

NOWA **POWIEŚĆ**
BESTSELLEROWEJ AUTORKI

MAŁGORZATA
KALICIŃSKA

*Trzymaj się,
Mańka!*



MAŁGORZATA
KALICIŃSKA

*Trzymaj się,
Mańka!*

– Mamo, a co z pracą?

Milczę. Grzesiek naciska zniecierpliwionym głosem:

– Mamo, mówiłaś, że to na czas opieki nad Lilą. Ale to już mija ponad rok! Dzwoniłaś do redakcji? Mamo!

Wkurza się. Jest mistrzem szybkiego reagowania. Zapewne on już ze sto razy zadzwoniłby do Reginy, Krysi, Jacka i innych redaktorów. Załatwia wszystko na już i na teraz. Mówi, że to jest normalne, bo spraw nie należy zaniedbywać, odkładać na jutro.

– Mamo, samo się nie załatwi!

Może ma rację?

Żegnam go, wysilając się na jakieś składne odpowiedzi, i podchodzę do okna z kubkiem chłodnej kawy.

Czerwiec. Chyba czerwiec. Nie wiem tak na pewno, bo jestem od jakiegoś czasu ślepy i głuchym ślimakiem. Nie jestem nawet pewna, czy sama faktycznie żyję.

Moja katalpa za oknem ma piękne jasnozielone liście wielkie jak wachlarze, a na gałęzi, którą musieliśmy kiedyś przyciąć, bo już była za blisko okien, siadają synogarlice. Nie cieszą mnie ani one, ani też słońce, które prześwieca przez ledwo poruszające się listowie, ani fakt, że jest ciepło. Od pogrzebu Lilki, mojej ukochanej przyrodniej siostry, jestem tępa, zdrewniała, obojętna. Prawie nie wychodzę z domu, z nikim nie rozmawiam. Kiedyś śmiałam się z niej, że idąc do naszych, bądź co bądź, eleganckich delikatesów, spina włosy ołówkiem, wkłada przydeptane tenisówki i nie zamienia domowego dresu na jakieś normalne spodnie. Odpowiadała mi zadziornie: „Nie śmierdzą, prawda?”. I już. Dzisiaj ja robię to samo. Kiedy w lodówce mam tylko światło, idę do sklepu w tym, w czym stoję. Kiedyś późnym wieczorem był to szlafrok. Niebrzydki, granatowy, długi jak płaszcz, ale na bosych stopach miałam domowe klapki. Włosy jak ona zwinęłam w koczek i wsunęłam w niego ołówek. Przede mną przy kasie stała szalenie elegancka para. Ona w długich kolczykach z błyszczących kamieni, sukni wystającej spod czarnego futerka. On pod muchą, pachnący jak perfumeria. Chyba szli na jakieś przyjęcie. Kupowali koniak i szampana, ja kupowałam... koniak! Bez szampana. To był jedyny raz, kiedy się ostatnio uśmiełam. No może nie spektakularnie, ale tak „ha, ha, ha” przy kasie. I zaraz zamilkłam.

Nie wiem, czy ja się w ogóle śmieję. Chyba nie. Smucę? Nie, też nie. Rozmyślam? Nie. Ja po prostu powoli jestem. I nie z powodu głębokiej żałoby, raczej dlatego, że wszystko, cały kontekst, okoliczności tworzące moją życiową otoczkę sprawiły, że niemal rok temu uciekłam w niebyt. Wiem, a raczej wiedziałam, że walenie głową w ścianę, tupanie i tak dalej nic nie dadzą, więc się poddałam. Na jakiś czas. Grzesiek nazwał to depresją i każe mi iść do lekarza, ale powiedziałam mu, że chrzani. A co? Lekarz na mój życiowy zakręt da mi pigułki?!

Gala już nie przychodzi. Nie mam pieniędzy, sama sobie radzę. Nie zarastam brudem, bo niektóre czynności wykonuję machinalnie. Umiem odkurzać, robić kawę,

umiem ją wypić i gapić się na ulicę z balkonu, umiem się umyć i ubrać. Ale nie umiem czytać, nie umiem oglądać telewizji, rozmawiać z ludźmi. Nie podnieca mnie polityka. No... troszeczkę, ale nie żołądkuję się tym, co się dzieje. Nie mam takiej potrzeby. Każda próba rozmowy na jakikolwiek temat nuży mnie śmiertelnie. Otwieranie ust i uruchamianie procesów myślowych to jakaś koszmarnie trudna praca, a ludzie są tacy dziwni i zadają takie skomplikowane pytania. Telewizja przeciwnie – niczego nie wymaga. Ślizgam się po niej jak po lodowisku. Nic, żadnej zaczepki dla oka, ucha, mózgu. Biorę pilota i klikam, klikam. Mam tyle programów! Na każdym ktoś coś mówi w jakimś niezrozumiałym języku, nawet jeśli są to kanały polskie. Nic... Reżimowe kanały w ogóle pomijam.

Książki są napisane za małą czcionką i po... marsjańsku. Czytam i jakoś nie łapię treści. Młodzi autorzy nie radzą sobie ze zwyczajnością. Ich światy przedstawione muszą być pokrecone, utaplane w rzygowinach, chlaniu, sikaniu, psychopatii, gwałcie, żeby po-trząsa-nąć nimi i ewentualnie czytelnikiem. Piękno, dobro, radość są tak nudne, że nie umięją się w tym znaleźć, a przecież nie mieszkają na zimnym poddaszu czy w wilgotnej i zimnej piwnicy, nie umierają na suchoty, nie obcinają sobie uszu. Może to już tak jest, że gdy twórca mieszka w domku z piernika i masełka ma pod dostatkiem, fascynuje go szambo i odwrotnie?

Tak czy siak, co wezmę do ręki okrzyczany bestseller, to bluzgi, śmierć, dewiacje i mord. Szaro, ponuro, nędznie, że aż chce się wybrać w podróż, to znaczy, chciałoby się, gdyby energii było więcej, żeby opisywać to, co tak odległe, inne, ciekawe. Bo świat zawsze fascynował mnie bardziej niż powieści. Zawsze o tym marzyłam i nigdy nie mogłam tych marzeń zrealizować, bo... Grześ, bo praca, tata, Lila. Wykręty czy gradacja ważności?

Może tak wybrać się w podróż jaką? Opisywać to, co tak odległe, inne, ciekawe? Zawsze o tym marzyłam, choć nigdy nie mogłam zrealizować, bo... Grześ, bo praca, tata, Lila... Wykręty czy gradacja ważności?

Tata czasem dzwoni i niespecjalnie zamęcza mnie rozmową, też jakiś wycofany. Jest wiosna, ma mnóstwo pracy i wie, że żyję. To mu wystarcza. Grzesiek cieszy się, że w ogóle odbieram telefon. Jest bardzo zajęty, dzwoni rzadko i tak jest dobrze. Marcin się nie odzywa. Antoni, mój korespondencyjny znajomy z Korei Południowej, może i pisze, ale nie otwieram poczty, nie odpowiadam.

Mam żal do Marcina. Czułam, że moglibyśmy. Że zaczynało coś się pleść między nami. A tu ten niepoważny i dziwaczny scenariusz jak z taniego filmu, „gonią mnie, więc uciekam”. Idiotyczne, dziwaczne i kabotyńskie. Tak mnie zostawić! Czyli nie byłam ważna.

Wzdycham i... nie czuję nic. No, prawie nic. Małe ukłucie, które zaraz znieczulam, zaklejам plastrem i spycham do piwnicy. Nie myślimy o takich rzeczach! Nie prowokujemy rozumku, a tym bardziej duszy do odczuwania! Ciiii. To niczemu nie służy! Łyk kawy sływa po gardle i znów jestem spokojna.

Bywa, że mi do drzwi w mojej głowie łomocze Lilka z wymówką, Włodek, mój

nieżyjący mentor, ze swoimi sarkastycznymi uwa-gami albo też nieżyjący już Gieniu, mój ukochany wuj, z troską i bitkami wołowymi. Ale nie otwieram. Nie ma mnie!

Podeszłam do scindapsusa i wsadziłam palec do doniczki. Jakoś nie mogłam się zdecydować, czy ziemia jest wilgotna, czy nie. Tak czy nie? Tak czy...

To niemyślenie i nieczucie przerwała mi kropla, która wpadła mi do kubka z resztką kawy. Głęboko w mózgu poczułam niepokój. Bo jeśli już nawet wylewam kawę na podłogę, bezwiednie przechylając kubek zwiotczałą dłonią, to powinna ta kropla spaść na podłogę, a nie odwrotnie. Patrząc na sufit, z którego spadła, i widzę niewielką moką plamę. Jednocześnie dociera do mnie dziwny dźwięk z kuchni. Cieknący kran?!

Weszłam do kuchni, patrzę, a tu coś bębni o zlew. Aberracja jakaś... Na metal kapie raz za razem woda z sufitu, na stół też i... podobny dźwięk słyszę z łazienki. O! Tu też kapie! Prosto do wanny i na pralkę. Aaaaaa!!! A w pokoju Lilki? Zaglądam ciekawie. Jeszcze nic. Spokój i dalej też. Wracam do pokoju. Kapie już na scindapsusa, na mój tapczan i na biurko. Zielone sukno ciemnieje szybko. Pobiełam po miednicę. Biurka szkoda. Rozłożyłam dwie parasolki do czasu znalezienia folii. Zgarnęłam pościel. Na tapczanie wylądowała duża miska. Kubel stanął pośrodku na dywanie, a na scindapsusa... a niech się leje! Do zlewu w kuchni – niech tam! W łazience do wanny – niech tam. Ale na pralce przytomnie stawiam garnek. Wreszcie mój mózg się budzi, jakbym otworzyła mu okna. Aaa!!!! Zalewa mnie!

Nie mam pojęcia, co robić, bo jeszcze mój mózg, odwykły od myślenia przyczynowo-skutkowego, ociąga się i nerwowo biega z kąta w kąt mojej czaszki. Ale oto odzywa się we mnie Lila: „Leć, debilko, na górę! Stamtąd się leje!”

Niestety to nie takie proste. Znaczący schody są proste i łomotanie do drzwi, i dzwonięcie, i znów walenie pięściami, ale jest sobota po południu i sąsiadów nie ma! Normalnie już bym zadzwoniła do Gienia, ale nijak się nie da. Do nieba nie ma takiej możliwości. Do ojca? A co on może pomóc? Wiem! Dozorczyni!

Biegnę, walę, pukam... Nic. Otwierają się drzwi obok i jakaś kobieta z maseczką na twarzy mówi:

– Nie ma. Pojechała z synem na wesele do Suwałk!

Machnęłam ręką i wróciłam do siebie. Zostało tylko pogotowie wodno-kanalizacyjne.

To, co się potem działo, ostatecznie postawiło mnie na nogi, bo... nie działo się nic. Poza tym, że lała mi się woda z sufitu w całym domu, kolorując już i sufit w pokoju Lilki. Żaden cud się nie zdarzył. Żaden Superman nie wskoczył mi przez okno ratować mojego dobytku. Biegałam po sąsiadach, próbując poderwać ich do wspólnych działań, ale to przecież leniwe czerwcowe popołudnie, i na dodatek sobota... Jednych nie było, drudzy rozkładali ręce, a jeszcze inni tak, tak, współczuli i pytali, czy byłam u dozorczyńni, bo trzeba zakręcić pion, i na tym się ich inwencja kończyła. LUDZIE! Pogotowie wodne? Tak, tak, oczywiście przyjadą, ale nie wiedzą kiedy!

Jeszcze raz biegnę do dozorczyńni, bo może jej sąsiadka zna numer do niej. Oczywiście, że zna! Jakbym z mety powiedziała, o co chodzi, zamiast tak się rzucać i świrować, toby mi go dała od razu! Ma też klucze do piwnicy. No jasne! Było od razu mówić, o co chodzi!

Zbiegam do piwnicy i szukam zaworu. Jakiś jest, ale czy to od tego pionu? Nie wiem. Zakręcam jakieś trzy dla pewności. Łażę i sprawdzam, czy są tu jeszcze jakieś zawory. Uffff! Nareszcie jakiś kawałeczek ratunku.

Nie muszę długo czekać – w piwnicy zaraz pojawia się dwóch sąsiadów z klatki. Nie znamy się, ale zaczynają od pokrzykiwanek, co też ja tu wyprawiam! Odpowiadam spokojnie, dlaczego pozbawiam ich wody, i nareszcie jeden, dość kompetentny i mniej krzykliwy, pokazuje na pewniaka, który to zawór jest NASZ, znaczy pion – mój i jego też. Resztę odkręca, zapewniając mnie, że tamtym sąsiadom nic nie grozi. Na oko trzydziestolatek, z ostatniego piętra, przedstawia się po kilku latach zamieszkiwania tu (bez zwyczajowego „dzień dobry”, mrużanego zazwyczaj na schodach) – co to za dziwne czasy... kiedyś znaliśmy się tu wszyscy – i bierze sprawy w swoje ręce. Znaczy raz jeszcze dzwoni do pogotowia wodnego i, jak słyszę, jest niemiły. Może dlatego obiecują szybszy przyjazd. Potem idzie na spytki, co to są za sąsiedzi, ci mieszkający nade mną, i kto ma do nich jakiś telefon. Nikt!

Wieczór. Sytuacja nadal napięta. Wodę bierzemy (nasz pion) wiaderkami z piwnicy, a sąsiadów z nade mnie nie ma. Pogotowie było, ale włamać się nie mogą, a skoro zakręcony pion, znaczy woda już się nie leje i nic tu po nich. Sąsiad z ostatniego piętra wkurzył się i poświęcił swoje dobre imię, włączając po moim balkonie na balkon tych z góry i tam lufcikiem do ich mieszkania. Normalny włam! No i okazało się, klasyka – pani zostawiła włączoną pralkę, pękł przewód i mają Śniardwy w mieszkaniu. A ja już wiem, że wody po kostki w ich mieszkaniu nijak się nie zbierze, musi ściec. ŚCIEC DO MNIE! Przeze mnie! I dalej!

Ja mam już w domu Pojezierze Mazurskie. Zalane książki, regał, który się zapewne wypaczy jak klepki w podłodze, i biurko w moim płaszczu przeciwdeszczowym. Masa wody na podłodze, zalana klatka schodowa, bo woda już przekracza próg i się leje... Pokój Lilki ratuję mopem, który wyciskam w tempie ekspresowym do wiadra, a z wiadra wodę wylewam przez balkon na krzaki pod nim. Wszyscy, którzy nie wyjechali na weekend, wylegli już na klatkę zobaczyć, jak woda płynie ode mnie, bo ci mieszkający nade mną mają szczelne drzwi. Oprawadam więc ciekawskich i wkurzonych po moim akwarium, pokazując sufit i zapewniając każdego wątpiącego, że to ja jestem ofiarą, a nie sprawcą, i że to od nich – tych z góry.

Koło pierwszej w nocy, gdy woda już nam z lekka spłynęła i spowszedniała, przynieśliśmy, kto tam co miał w domu, i piliśmy wódkę, wino i piwo, siedząc na suchych schodach nad powodzią, rozeź-leni, ale i jakoś zjednoczeni wspólnym nieszczęściem, nerwami, a może też resztką współczucia.

Oczywiście zapytano mnie, czy mam gdzie spać na suchym, że może do nich na kolację i na noc... Podziękowałam, bo nie mam najmniejszej ochoty iść do nich, a i oni, wiem to, czuję, zapraszają raczej kurtuazyjnie. Na tych schodach jest fajnie, bo nagle moi nieznani mi sąsiedzi pokazali, że są, istnieją i nawet coś czują. We włącznik światła wetknęliśmy zapałkę, bo gasło co chwila, jak to na klatce. Wreszcie pożegnaliśmy się, bo sytuacja się ustabilizowała, a woda i tak musiała zrobić swoje.

I na mojej podłodze robiła. Drewno zaczęło pęcznieć. Cholera jas-na!

Spałam w pokoju Lilki na rozłożonej kanapie koło balkonu. Na suficie u niej były

już nacieki, ale miałam nadzieję, że jest szczelniejszy. W pomieszczeniach po mieszkaniu pani Mieci – mojej stareńkiej wieloletniej sąsiadki, której mieszkanie odkupiliśmy i wchłonęliśmy – jest sucho. To inny pion i tu ułożyłam stertę rzeczy uratowanych z topieli: ciuchy z szafy, książki i komputer. Teraz wygląda to jak jakaś sortownia łąchów z PCK. Ale bałagan!

W niedzielę po przebudzeniu od razu poczułam w powietrzu zapach namokłego drewna i lekkiej stęchlizny. Westchnęłam wściekła. Wściekła, bo z prędkością światła zrozumiałam, jaki mam w koło ogrom zniszczeń i ile to będzie wymagało pracy. Układanie, sortowanie... no i remont! Gdzie ja mam jakieś papiery z ubezpieczeniem?

– Auuuu! Ożeż no, kurwa, no! – wrzasnęłam, siadając i spuszczając stopy w kałużę.

I były to pierwsze normalne słowa, jakie mi się wyrwały z gardła od śmierci Lilki.

No!

Czuję się, jakbym wytrzeźwiała, jakbym się nagle wybudziła z komy i dowiedziała, że minęło milion lat. Może nie milion, ale kilka miesięcy mi uciekło, to pewne. Prawie rok. Teraz mam „kupę balu, panno Lalo” i nie pora na zasypianie, zapomnienie i dziwaczną malignę, w której się bezpiecznie schowałam po śmierci Lili. Kiedy Mirek zabrał specjalne łóżko, które wypożyczył na czas choroby, Gala sprzątnęła dom i wyszorowała go tak, że zapachy biologiczne i przykre prawie znikły, zamknęłam za nimi drzwi, wyjęłam wtyczkę z laptopa i tym samym sama się odłączyłam od świata. Chciałam odpocząć, wyciszyć się, oczyścić z emocji wysysających mnie od jakiegoś czasu. I zapadłam w ten swój bezpieczny pół-letarg.

A teraz mam mokre stopy, podłogi pokrywają już brzuchate wydmy, mokro wszędzie, ślisko wszędzie, a jeszcze nade mną wisi kilka ton wody w betonowym suficie. Tynk już odpada, strumyczki cieką sobie po cichu koło scindapsusa zgodnie z grawitacją... Najgorsze jest to, że winnych nie ma. Wyjechali i nie mają pojęcia, co narobili sobie i mnie.

– *Muchas gracias*, wy cholerni debile! – wrzasnęłam do sufitu.

A może właśnie to jest najlepsze? Może to przywróciło mnie do życia? Tylko po co?

Tak czy inaczej, trzeba coś robić, wymyślić, działać. Nie dam rady chodzić po tych wydmach. Szkoda klepek, takie stare, dębowe, tyle lat było mi z nimi dobrze! I co teraz? Gieniu natychmiast by się tu pojawił i zarządził, co trzeba! Już by mnie pakował, wycieralibyśmy książki i lampy, a potem dałby mi walizkę, wyprawił do ojca, a resztą sam by się zajął. On to lubił! Jutro byłaby ekipa remontowa i pani od ubezpieczeń, jego robocze spodnie i koszula flanelowa, i słowa: „Ja to załatwię. Tylko spływasz mi stąd, Marian!”.

Sąsiedzi z góry wreszcie wrócili. Przepraszali oczywiście, co przyjechałam kwaśno i bez entuzjazmu. Wprowadzili się niedawno i ich wycacane mieszkanie też jest do remontu, choć właściwie tylko podłogi, może troszkę meble, ale oni mają jakieś takie metalowe meble i łóżka, więc strat mało. Panele tylko do wymiany.

Młoda lady przyszła obejrzeć straty u mnie, sama też pojękując, co to jej się zepsuło, zalało, zniszczyło. Ale nie chciało mi się jej słuchać. Nie muszę z niej zdejmować poczucia winy, choć też obarczanie jej winą za pękniętą rurkę... Byłam wkurzona i zniecierpliwiona, bo nagle w moje ciche życie, prowadzone na jałowym biegu, chlusnęła woda i spowodowała równie niemiłe przebudzenie jak w zasikanej pościeli.

– Szczęście, że to nie zima, prawda? – westchnęła, szukając pocieszenia, i poszła do siebie.

Nie chce mi się jej współczuć.

– Włodek, prawda, że nie muszę? – pytam mojego anioła Włodzimierza, który

zapewne krąży tu nade mną i pali niebieskiego e-papie-rosa.

– Jasne, mała – mówi, siadając na szafie. – To nie twoja sprawa zamartwiać się innymi. Masz prawo do wkurwu! I tak jesteś grzeczna, bo inna by się wydarła, żeby spuścić sobie emocje, a ty milczysz jak jakaś durnowata święta.

– Daj spokój, a co by to dało, gdybym się wściekła? – pytam go.

– No właśnie twojej złości oczekuję od miesięcy! Jakiegoś otrząś-nięcia się z tej twojej cichej hysterii.

– Histerii?! Włodek, to nie histeria. To była taka...

Nie wiem, co to było. Nie kontynuuję mojej wyimaginowanej rozmowy z Włodeczkiem. Niech sobie odfruwa w spokoju. Mam teraz inne problemy na głowie niż analizowanie tego, czemu na kilka miesięcy zamknęłam się w kokonie.

– Oto jak nas, zwykłych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi – zacytowałam Boya i zaczęłam się zastanawiać, za co ja mam się wziąć najpierw. Za mop, za telefon do kogoś pomocnego, za pakowanie? Muszę mieć kogoś do pomocy! Sama nie dam rady.

– Mirek? Cześć, czy mógłbyś....

Rozmowa z moim byłym mężem sprawiała, że coraz bardziej się prostowałam. Mirek nie może mi pomóc, ma zaraz trudny zabieg. Mam znaleźć w necie jakąś firmę, która pomoże.

– Marianna, to nie jest trudne! – rzucił zniecierpliwiony tonem przygany.

Niby nie, ale gdy się spało tak długo, organizm nie jest przyzwyczajony do działań, do myślenia, szukania i podejmowania decyzji! Zwykły telefon do Mirka to już był nie lada wyczyn! Czy on tego nie rozumie? Nie rozumie. I co dalej? Najnormalniej w świecie chciałabym zniknąć. Wiem, że istnieją gdzieś poza mną jakieś siły, ludzie, organizacje, które załatwią sprawę zalanego mieszkania, ale poszukanie ich, poproszenie o cokolwiek, wyłuszczenie problemu to nie na moje siły. Gdyby była ze mną Lila w jej dobrych latach, z mety już byłoby wszystko obdzwonione, a ona sama „przyłożyłaby mi do tyłu wektor siły”, czyli dała kopa na rozpęd, jak to kiedyś mówiłam do Grzesia, gdy jeszcze byłam młodą i wesołą matką.

Brzuchy na podłodze nie wyglądają na tymczasowe ani nie wygląda na to, że same znikną. OK, korona z głowy ląduje w koszu na śmieci, zbieram siły i... dzwonię do Juli, obecnej partnerki mojego byłego męża. Chyba zwariowałam.

– Cześć, Jula. Dzwonię, bo... wiesz... zalało mi mieszkanie, znaczy z góry sąsiedzi zalali mi, i jestem w jakimś kompletnym dole... – Milknę i nie wiem, co mam dalej mówić.

– Marianna? Cześć, miałam dzwonić. Mirek mi powiedział. Ale bałam się, że ci się będę narzucać z troską... No ale jak to zalało? A Gala?

Pokrótkie opowiadam, co się stało, i informuję, że Galina od pół roku już u mnie nie pracuje, bo nie mam kasy, i że sama właściwie też nie pracuję, tylko haftuję jakieś durnotki na umowy-zlecenie. A miałam być przecież bogatą freelancerką. Fakt, że stare kontakty Włodzimierza dały mi jakieś możliwości i czasem mam telefon z prośbą o jakiś materiał, wywiad. Ale mało tego. Po-woli przejadam oszczędności. Nie ma dla mnie nigdzie etatu. Jestem stara, znam swoje prawa, jest, jak jest... Opowiadam Juli o wydętej podłodze, o zlanych ścianach. Jula współczuje i mówi, że za chwilę oddzwoni. Ma

pomysł! Celowo nie dzwonię do ojca. Dzieli nas trzydzieści kilometrów. Co on mi pomoże? Jest stary i to nie jest na jego siły. Ale mogę faktycznie zrobić to, czego domagałby się wujek Gienio: pojechać do taty, jakby tu zaczął się remont.

Jula:

– Marianna? No to pisz. Firma nazywa się Faceci z Wenus.

– Oszalałaś? Nie pomyliły ci się adresy? Ja chcę...

– Uspokój się! To faceci do wszelkich poruczeń! Remonty, przeprowadzki, niesprawny samochód, chory pies, czwarty do brydża... Nigdy nie słyszałaś? Zapisz telefon i zadzwoń bez obaw. Pomogą. A może przyjechać? Wiesz, że nie biegam jeszcze maratonów, ale...

– No właśnie, Jula, a jak biodro po Zurychu? – pytam kurtuazyjnie, bo już się czuję zmęczona tymi dzisiejszymi telefonami i faktem, że mam dzwonić po kolejną pomoc do obcych.

Biodro i Jula mają się dobrze, rehabilitacja w toku, pytania o mnie, jak tam, co tam, i w ogóle miło się rozmawia... Kiedyś może bym była rozmowna, ale teraz męczy mnie ta aktywność, chociaż... dziwne, mimo to rozmawiam! To już kolejny telefon, a ja gadam! OK. Rzutem na taśmę dzwonię do PZU, i tych tam, z Wenus!

Wenus

Powoli dociera do mnie ogrom zniszczeń. Zaczynam się obawiać nawet o meble w kuchni, bo wiem, że cokoły są z płyty paździerzowej i na bank się rozejdą. Jedynym ucieszonym z tej nagłej kąpieli jest scindapsus. Przykro mi, że właściwie nie mam do kogo dzwonić o pomoc. Czekam na kosmitę z Wenus, potykając się o klepki, spod których widać beton i smołę sprzed lat. Ogarniam ogrom zniszczeń i klnę bardzo, bardzo brzydko. Włodek byłby dumny!

Dzwonek do drzwi. Próbuje otworzyć, ale podłoga już się uniosła i lekko nie jest, drzwi się blokują.

– Pan z Wenus? – pytam z nadzieją w głosie.

– Nie, ja z PZU – odpowiada mężczyzna z dziwnym uśmiechem i wciska się przez szparę w drzwiach, zaproszony do środka.

Racja! Likwidator! Polisa! Odszkodowanie! W mózgu zapalają mi się kolejne napisy. Dzwoniłam wszak. Tak? Dzwoniłam?! Jaka ja bywam doprawy zaskakująca!

Oprowadzam go po tym dramacie. Woda jeszcze chlupie pod klepkami, kapie.

– Proszę! Niech pan zobaczy, jaka rujnacja, a to stara... zabytkowa podłoga! – Usiłuję podbić cenę strat.

– No, bez przesady. Stara tak, zabytkowa nie.

– Z czasów... głębokiego PRL-u!

Facet zmroził mnie spojrzeniem i zatrzymał się w pokoju. Notował, pytał o mój cudny regał na książki. Przeleciał palcem, stwierdzając wodę między lampą a posążkiem Buddy. Poszedł do kuchni, łazienki, saloniku i gabinetu, i do byłego pokoju pani Mieci.

– A tu sucho?

– Tak to inny pion. Tu się nie lało wcale.

– Aha. Wycenę szkód wyślę pani na dniach pocztą i na maila. Ma pani maila?

Poszedł. Nie był wcale komunikatywny, współczujący, chociaż się starałam dramatyzować ile wlażło. Po kilkunastu minutach pukanie.

– Dzwonek działa! – mówię, uchylając drzwi. – Pan z Wenus?

– Tak. Dzwonek jest elektryczny, lepiej go odłączyć. Cud, że jeszcze nie ma spięcia! – uświadamia mi.

Znów próbuję mu otworzyć, ale podłoga puchnie chyba z minuty na minutę, bo już niemal blokuje drzwi, więc traktuję je siłą. Wciskam się w szparę i popycham z bodiczka, mężczyzna zaś ciś-nie mocno. Wchodzi i od razu sugeruje usunięcie kilku klepek, bo nas tu może kompletnie zablokować. Nożem z kuchni wyjmuje deszczułkę. Cholera jasna, co za rujnacja! Chodzi jak bocian, wysoko stawiając nogi, choć kałuż właściwie nie ma. Elegancki, pachnący i nieco wyniosły, rozgląda się w koło i pyta mnie, co się jeszcze stało, jakby niczego nie widział. Łazi i zagląda wszędzie, patrząc na mnie z coraz większym współczuciem. Notuje.

– Wiem, wiem – mówię. – Źle to wygląda, ale proszę mi powiedzieć, co ja mam robić.

– Pani?! – pyta niemal rozbawiony. – Pani niech pozbiera rzeczy cenne i osobiste, przepraszam... a te pomieszczenia są suche? – zmienia temat, wchodząc do byłego

saloniku pani Mieci, drugiej łazienki, garderoby i małego pokoiku, byłego gabinetu Mirka.

– Bo... to było inne mieszkanie, inny pion... I co dalej? – pytam.

– Dalej? Najlepiej byłoby, gdyby zostawiła nam pani klucze i wyjechała na dwa tygodnie na Majorkę.

Kocham te żarciki. Wyglądam na zamożną wariatkę?

– Dobrze. Jak najszybciej zrobię pani wycenę i zakres prac. Dobrze byłoby, gdyby pani faktycznie dała się...

– ...wyprosić z domu? Chyba ma pan rację. OK, wyjadę, ale będę koło Otwocka, no bo zapewne będę potrzebna. Kiedy pan mnie zawiadomi o kosztach, zakresie i terminie? – Odprowadzam go do drzwi, które współpracują niechętnie. – I niech mnie pan nie zrukuje, bo ja nie śpię na dolarach.

Puszcza tę uwagę mimo uszu. Pewnie, zadzwoniłam, a to znaczy, że liczę się z tym, że to firma, a nie Timur i jego команда czy tam zastęp Niewidzialnej Ręki.

– Ma pani łapkę? – pyta.

– Na myszy? – odpowiadam głupkowato.

– Taką do podważania. Zresztą zaraz, proszę mi pomóc.

Mężczyzna dał radę jakoś otworzyć drzwi na tyle, żeby się wymknąć. Wrócił po kilku minutach z małym łomem wygiętym w rozłazłe S.

– To jest łapka! – wyjaśnił.

Powyjmował większość klepek z podłogi w przedpokoju i ułożył w ładny stosik. Mogłam teraz swobodnie zamykać i otwierać drzwi. Tylko co mam zrobić z tymi mokrymi deszczułkami?

Następnego dnia wstałam wreszcie wypoczęta, bo przez ostatnie miesiące spałam paskudnie, nerwowo i ciężko. Nie mogłam zasnąć i tłukłam się wieczorami albo drzemałam w ciągu dnia i wtedy już wcale w nocy nie czułam się senna. A noc jednak jest bardziej od spania niż czuwania, więc piłam piwo na sen, potem drugie, koniak... Żeby tylko przysnąć, pokimać. Nie pracując i łażąc tak z kąta w kąt, czułam wciąż okropne zmęczenie i chyba przesadzałam z alko-holem. Na pewno przesadzałam. Ale kogo to? Co komu do tego? Teraz najwidoczniej organizm spracował się solidnie sprzątaniem i przenoszeniem i usypiacze nie były mu potrzebne. Wypiłam wodę mineralną i sok jabłkowy i... zasnęłam jak dziecko! Pierwszy raz od dawna.

Obudziłam się jak dziarski harcerz. Zamazany obraz życia prysł! Trzeba się zabrać za ten remont, ogarnąć to wszystko, a najbardziej siebie. Spakować się i... co on mówił? Cenne rzeczy? Nie mam cennych rzeczy. Pojadę do ojca na ten czas. No bo dokąd?

Wycena powaliła mnie na kolana. Choroba Lilki i moje długie wakacje szarpnęły moimi zaskórniakami. Gdy im zapłacę, nie zostanie mi nic! Stałej pracy nie mam. Kurczę, co robić? Grzesiek miał rację, hucząc na mnie. Mirek też dzwonił i delikatnie zahaczał o to, ale go goniłam w cholerę. Nie mam wyjścia. Albo mogę wziąć jakąś tańszą firmę... W sensie: męża dozorczyń. Za dużo jednak o nim wiem, żeby go zatrudniać. Zaufam tym kosmitom i niech mi robią mieszkanie na cacy!

I tak się zbierałam od dwóch lat, żeby tu wszystko nieco odświeżyć.

W ramach powrotu do żywych sięgnęłam po laptop i stojąc przy parapecie, pozamiatałam w zaległej korespondencji.

Jedyna jakaś w miarę bliska mi dusza to Antek, więc wyprzepraszałam go za długie milczenie i zakończyłam:

(...) no i Antku, tak to właśnie wygląda. Życie zapukało do mnie dość brutalnie, choć oczywiście wygodniej byłoby nadal użalać się nad sobą, udając, że to odejście Lili mną tak szarpnęło, a de facto to wszystko, co mnie spotkało, przydusiło z mocą słońca. Jej choroba i śmierć, owszem, ale i śmierć Gienia, Włodka i fakt, że Marcin odjechał w siną dal jak jakiś aferzysta, nie walcząc o mnie. Moje kolorowe czasopismo padło, żadne inne się o mnie nie dopomina, rynek jest już wypełniony nikomu niepotrzebnymi dziennikarkami. Jestem na jakimś cholernym zakręcie i chyba mnie to przerosło. Jeśli Ci przykro, że nie odpisywałam na twoje maile, to przepraszam i wybaczone. Albo nie odpisuj, bo po licho Ci korespondencja z rozregulowaną babą. Zrozumiem.

M.

Wsadziłam wtyczkę od komputera do prądu, bo wył z powodu pustych baterii. Własną życiową wtyczkę też bym gdzieś włożyła i naładowała się. Trzeba żyć.

Pakuje się: szmatki, bielizna na zmianę, laptop, portret Lilki, zdjęcia mamy, Gieniusia i Tadzia, mojego wnuka, z rodzicami – i jadę do taty. Najpierw jednak przyjechał Mister Wenus z kolegą i pudłami, żeby popakować moje książki, płyty i inne rzeczy na czas remontu. Jak robot! Niby krępy, nawet powiem: grubasek, a śmiga, nie pytając mnie, tylko pakując i opisując kartony. Ja robiłabym to miesiąc, oglądając każdą rzecz, i album ze zdjęciami, i filiżankę od ciotki Jadwigi. Zaraz też przyjedzie pan od malowania ścian z wzornikiem kolorów farb znanej firmy; i omówimy podłogi. Co ja chcę? Na powrót klepkę? Panele? Drewno czy ceramikę? Jechać do miasta?! Oglądać materiały?! Nie, nigdzie nie pojedę. Wiem, czym to się skończy, bo jest tego za dużo! Chcę po amerykańsku – garść informacji, kolor, faktura, materiał i do zobaczenia!

Tak, wiem, będę musiała czasem wpaść... Tak, kosztorys zatwierdzam z gulą w gardle. TYLE pieniędzy!!! Faktycznie przyjechał kolejny pan z próbkami, katalogami podłóg i wzornikiem farb do ścian i sufitów. Nazwy kolorów ocierają się o kabaret. Fantazja z awokado, Mgła nad jeziorem, Puszysty śnieg, Deszcz o poranku, Marokańska bransoletka, Tańcząca Masajka i Świeże mango... Poeta im to układał. Nie podjęłam ostatecznych decyzji – jeszcze mam chwilę.

Chyba potraktowałam pana obcesowo, bo nie bardzo miałam ochotę na deliberowanie, jakie mają być panele, a jakie ściany. Poszłam po tanioci. Choć tu zaoszczędzę.

Jadę zapakowana troskliwie do samochodu wraz z moimi larami i penatami. Zostałam wyekspediowana jak jakaś ich stryjenka. No, miła firma, doprawdy! Ze schodów to ja tylko torebkę zniosłam. Resztę panowie tak ułożyli w samochodzie, że

jeszcze zmieściłabym scindapsusa. Ale obiecali, że mu nawet listek nie opadnie!

U taty

Szosa Lubelska zapchana jak zawsze. Drażni mnie to. Odwykłam? Może tak... Muzyka w radiu też nie pomaga. Może Dwójka? O, tak! Poproszę o spokojną muzykę, bo życie mnie wkurza i na razie za nim nie nadażam! Rachmaninow? No... może być! Nareszcie zaczynam czuć, że jest lato. Widzę zieloność łąk i lasów, chociaż Lubelska jest załadowana przy drodze hurtowniami, stacjami benzynowymi i Bóg wie czym jeszcze. Zaraz zjadę do nas za mostek i jak zwykle tam uspokoję się, wyluzuję.

Bardzo się tu zmieniło od czasów, gdy mama nazwała to miejsce Zamościem. Taka to była dziura! A teraz to dość znane rejony, bo gdy się minie tatę i pojedzie dalej wiejską drogą przy Świdrze, dojedzie się do Kopek, które stały się dla kilku osób ze świata sceny łąkowym kąskiem, oazą ciszy i spokoju dla wybranych. Miesz-kali tu i mieszkają Artyści, a nie rolnicy jak tatko i Kobyliński. Czyli nie tylko rodzice odkryli czar tego miejsca.

Tatko czeka przy otwartej bramie i zaprasza gestem, machając mi z daleka. Mój kochany! Bieluśkie włosy, jakby mniej przygarbiony niż zazwyczaj, koszula w czerwono-zieloną kratę – jaka twarzowa! No piękny jest!

– Cześć, przystojny panie! – Przytulam go naprawdę bardzo stęsk-niona. Pachnie dobrą wodą kolońską i wiatrem.

– Cześć, Baranku. No nareszcie! Myślałem, że się obraziłaś!

– Na ciebie?

– Na życie! Chodź, chodź! Mam znakomitą zupę z jabłek i lubczyku.

– Już się boję – jęknęłam.

Jest jak dawniej. Ojciec robi sobie przerwę, bo przyjechałam. Daje mi zupę w altanie. Niesie parujący garnek, choć jest ciepło, a ja w samochodzie nie włączałam klimatyzacji i jestem spocona. W alta-nie jest cień. Cała jest porośnięta clematisem, który kwitnie na intensywnie fioletowo. Wkoło mniszek wielkimi kępami z żółtymi półpomponami kwiatów. Co za połączenie! Na stole oczywiście cerata, bo ojciec nie lubi jadać na surowym drewnie. Pewnie kupiła mu na targu córka Kobylińskiego, bo to cerata imitująca koronki. Jak mi tu dobrze! Zupa dziwna, przecierana z warzyw, z wyraźnym aromatem jabłek i posypana obficie tuż przed zdjęciem z ognia lubczykiem i pietruszką z koprem. Do tego ziemniaki z patelni odsmażane na maśle.

– Chcesz śmietany?

– Tatku, nie! Skąd taka zupa?

– A bo ja czasem oglądam tę śliczną panią w telewizji. Ona się pięknie uśmiecha i ma świetne pomysły. I to chyba jej przepis. Albo może tego chłopaka? Nie pamiętam. Ale pyszna jest! Ziemniaki, kwaśne jabłka, seler, biała część pora, bo wszystko ma być białe. I na koniec duuuużo lubczyku i pietruszki. No jedz, jedz. Chcesz jeszcze?

– O, nie. I tak się zatuczylam. Zobacz! Greenpeace zabrałby mnie do morza z mety.

Ojciec nie rozumie dowcipu, więc nie tłumaczę. Uśmiecha się i widzę, jak mu się świecą oczy na mój widok. Widocznie długo czekał. Dyskretny jest.

– Baranku, no to powiedz, czemu przyjechałaś. Tylko tęskniłaś za ojcem czy jeszcze coś?

Zaprzeczam z pełnymi ustami.

– Oj, pokaż nochał. Nie wydłuża ci się?

Ojciec mnie wypytuje, a ja już teraz mogę mu spokojnie powiedzieć prawdę. O zalaniu, o podłodze, o facetach z Wenus. Dziwi się.

– ...z Wenus? I co oni robią? – pyta podejrzliwy jak ja.

– Też sądziłam, że to panowie do towarzystwa, ale widzisz, nie! Kilku facetów się skrzyknęło i są pod telefonem, do wynajęcia do spraw różnych. My, kobiety, no zwłaszcza kobiety, miewamy problemy, o jak ja właśnie z zalaniem mieszkaniem, z samochodem czy czymś tam innym i nie mamy, dajmy na to, męskiego ramienia na gwizdek. Mogłabym dzwonić od Annasza do Kajfasza, a oni są, wiesz, no...

– ...szampon i odżywka w jednym? – puentuje mój bystrzak.

– No, właśnie. Wiesz, że nie kupuje się kota w worku. Pan przyjechał i go obmierzyłam wzrokiem, i pogadałam, i wydał mi się z sensem. No, tatku, komuś trzeba zaufać!

– Ach, Baranku... Gdyby żył nasz Eugeniusz...! – westchnął ojciec i ja westchnęłam, mówiąc jeszcze:

– Teraz Faceci z Wenus zrobią mi za naszego Gienia. A poza tym, tato, oni kompleksowo całość – podłogi, ściany, kartony... wynoszą wszystko bez mojego udziału i wołają mnie, gdy już jest na błysk!

– A ile?

– Co: ile – udaję, że nie rozumiem. – No, sporo. Ale co mam zrobić? Zadekuję się tu, u ciebie. Mogę?

Siedzimy sobie w tej altanie do wieczora i dopiero teraz widzę, czuję, że przespałam kawał czasu! Toż to lato, a ja zatrzymałam mój film jesienią.

Oganiem się od much, jest ciepło i pachnąco, mimo pory jasno, i powietrze takie miękkie. Po drewnianym stelażu łązi pajak kosarz na nogach rodem z obrazów Salvadora Dali. Zupełnie się nie boję kosarzy, a pozostałych pajaków – bardzo. Szczególnie od czasu, gdy obudziłam się kiedyś tu, u taty, i na udzie miałam czerwony placek wielkości talerzyka, a w środku dwie dziurki! Obok dwie identyczne. „Tato, co to może być?” – zapytałam go wówczas. Nie wiedział, ale kazał spytać Kobylińskiego, który poczerwieniał po cebulki włosów, widząc moje nogi, bezwstydnie podsuwane mu pod okulary, i ledwo rzucając okiem, mruknął: „Gad ten taki, czarny... Jak to... No, krzyżak chyba!”. Nie wierzyłam mu. Takie dziury?! To jakby mnie skorpion wyssał! Wyobraziłam sobie, jak nocą czarne straszne coś łązi po mnie i wysysa moje soki jak coca-colę przez rurkę! Skandal i ohyda! I od tej pory zawsze miałam dygot na widok pajaków, a te szczudlaste kosarze zupełnie mnie nie straszą! Raczej śmieszą.

Pijemy słabą herbatę tak tylko, aby pić, i z cicha sobie rozmawiamy, bo prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy od bardzo dawna.

– Tato, jaki tu jest ruch! Co to się dzieje, że tyle samochodów?

– Pewnie jest jakaś impreza w Kopkach! Bo zazwyczaj, jeśli jeżdżą, to zwyczajne samochody, czasem ciągnik, z rzadka koniem ktoś. A tu, patrz, jakie bryczki. No, no! Impreza. To prawie pewne. Może chcesz, to pojedziemy. Zobaczysz sobie.

– Co? Jaka impreza? W Kopkach? Przecież tam gęstwina i nic więcej. Artyści robią teatrzyk?

– Baranku, chyba tak. Ale to spokojni i normalni artyści, bo pijatyk i hałasu nie robią, wódki mało piją...

– Coś takiego! Artyści bezwódeczni? To niemożliwe.

– Nie mówiłem ci? Skrzyknęli się i zbudowali taką miniestradę koło zielonego mostku, koło figurki Nepomucena. Przedstawienia tam robią.

Często w stronę Kopek chodziłam na spacerzy czy rowerem nawet jechałam, ale to było jeszcze za Mirka, kiedy Grześ był mały. Z Lilką zaś chodziłyśmy najdalej do krzaków i hydrantu na winklu. Czyli tam dalej jest Nepomucen i scena?! I cywilizacja?

– Zobaczysz, co znalazłem w mamy rzeczach! – powiedział tatko z miną maga. To był stary adapter po Gienku. Odkurzył go i działa! – Kompletnie o tym zapomniałem, a to jest takie piękne, Baranku. Piękne!

Otworzył szeroko kuchenne okno, postawił na parapecie gramofon i położył płytę. Po chwili nawet bez charakterystycznych trzas-ków popłynęła ukochana pieśń mamy *Kalitka*, śpiewana przez... Nani Bregwadze. Pamiętam! To znaczy ja zapamiętałam ją jako Bret-wadze, ale na płycie napisane jest tak, jak ma być. I piosenkę zapamiętałam całą.

– Tato!

Łzy mi się zakręciły i przytuliłam się do niego.

Mama kochała romanse, dumki, i często je nuciła. Czasem nastawiała tę właśnie płytę, którą dostała kiedyś od kogoś. Chyba od członka wycieczki rosyjskich naukowców. Wspominała mi, że przyjechało dwadzieścia osób ze Związku Radzieckiego, a wśród nich był wyjątkowo piękny chłopiec, Wachtang... Wachtang Szewładze! Albo Szweładze, nie pamiętam dobrze. Byli sobą podobno zauroczeni, ale tydzień to za mało na wybuch uczuć, więc oboje poprzestali na kilku gorących spojrzeniach, jakimś walcu podczas balu na uczelni, szalonym twiście i tej płycie, którą Wachtang ofiarował pięknej Polce. A może mama sama kupiła tę Nani, żeby zapamiętać czarne oczy Wachtanga, a on jej dał ten gruziński chór z nieśmiertelną *Suliko* na początku?

Mama miała kilka czarnych analogowych płyt, które częściej były prezentami niż celowymi zakupami, dlatego nie ma wśród nich tematu przewodniego, próżno szukać jednorodności muzycznej. O, proszę, jest singiel z Aznavourem, i Domenico Modugno, płyta Nani Bregwadze, jakaś też z gruzińskimi chórami męskimi, dość męcząca, której nie wysłuchałam nigdy do końca. Jest światowa klasyka, czyli Szopen, Czajkowski i kilka innych. Engelbert Humperdinck – angielskie wydanie nie wiadomo skąd – Irena Santor i Filipinki, i kilka moich: Skaldowie, Czerwone Gitary, Niebiesko-Czarni, San Remo. I są jeszcze jakieś ramotki nierobiące już takiego wrażenia jak Nani, której głos nakłada mi się na sylwetkę mojej mamy stojącej w kuchni, oblizującej łyżkę po musztardzie i nucącej mormorando *Kalitkę* razem z Nani.

Komary mimo odstraszałającej je świecy wygoniły nas do domu.

– Tato, ale ja stara jestem! – westchnęłam, odkrywszy głębokie pokłady mojej pamięci.

– A co ja mam powiedzieć, słońce ty moje? Ja pamiętam Marteczkę Lipińską jako wiotką i piękną dziewczynę. Ty wiesz, ona była najpiękniejszą polską aktorką tamtych czasów. I co? Oglądam *Ranczo*, a moja idolka jest... stara. Czyli co, ja też?!

Rower

Rano zawinszowałam nam śniadanie na zewnątrz. Ta nasza altana jest urokliwa, cieniasta i widać z niej dom i kawałek sadu przed nim, ścieżkę i jak się wychylić – furtkę. Słońce dzisiaj ostre, mocne i chyba będzie gorąco, ale na razie nie czuje się tego tu, w ogrodzie.

Od ulicy koło ogrodzenia tatko zachował rząd starych drzew. Resztę wyciął, zostawiając blisko altany rozłożystą papierówkę. Trawnik jest praktyczny, kwiecica na nim od dawna nie ma, i jest dzisiaj niezbyt piękny, bo trawa pod koronami drzew ma za mało słońca, więc widać placki gołej ziemi.

– Tatku, nie da się tego jakoś obsiać? – pytam, sącząc herbatę z mlekiem z Gieniowego kubka.

– A, to? No nie wygląda to pięknie, wiem. Obsiewałem to mieszankami do cienia, ale nie wiem czemu, mimo to nie rośnie. Zajmę się tym jesienią. Baranku, a jak z pracą? Przepraszam cię, miałem nie pytać, ale nic nie mówisz. Nie pracujesz, co?

– Nie. Najpierw to był urlop, bo Lila... wiesz... a zimą naszą redakcję właściwie rozwiązali. Jest nowa władza, nowa siedziba... Regina poszła w odstawkę i dla takich starych bab nie ma tam miejsca. W innych... też tato, nie ma co się łudzić. Dziennikarka niezbyt wyspecjalizowana i w moim wieku nie jest potrzebna.

– Nie mów, że wszędzie zatrudniają młodzież.

– Prawie wszędzie. My, takie mamuśki, jeśli w ogóle się utrzymujemy w jakiejś redakcji, to rzadkość. No i ten codzienny lęk przed wywaleniem...

– Co ty mówisz? – Ojciec nawet nie oponuje, tylko się dziwi. Wie, że nie gadam bzdur. Za jego czasów, no i za moich kiedyś też, w poprzednim stuleciu, stare dziennikarki awansowały, były w redakcjach wyroczniami, nauczycielkami. A dzisiaj dostają ochłapy, mod-lą się, żeby nikt ich nie ruszył. Chylą karki! – Ale to chyba nie jest regu-ła? Czy się mylę?

– Tatku, gdyby żył Włodek, mogłabym być forsiastą freelancerką, bo on miał niezwykle kontakty i ułatwiłby mi dotarcie do ludzi. Ale go nie ma. I nie wszystkie drzwi umiem otworzyć. Znaczą, nie wszyscy mi otwierają. Niby jestem wolna i niezależna, a swoje teksty, oczywiście superrewelacyjne, sprzedaję redakcjom z wolnej stopy, ale to nie jest dostatnie życie. No i dzisiaj moje niektóre rozmowy są, owszem, czytane z wypiekami na twarzy, ale z powodów politycznych „nie wydrukujemy”.

– Taka z ciebie... Oriana Fallaci? – Ojciec mnie ceni.

– Gdzie mi do Fallaci... – wzdycham i sięgam po miód. – Nie mam jej odwagi. Zresztą w dzisiejszej Polsce trzeba być ostrożnym, żeby się nie narazić. Może i w końcu dojrzałam do otrząśnięcia się i podjęcia jakiegoś zawodowego wyzwania, ale potrzebny byłby mi Włodek! On mnie umiał nakręcić, zmotywować, pchnąć. – Gęsta słodycz spływa z osmalonej chałki na moją dłoń, bo się zamyśliłam. – Bez niego nie dam rady. Nigdzie sobie nie wyrobiłam wejść. A proponował mi! Głupia byłam, wierząc, że Regina jest mocna, że co jak co, ale nasza redakcja przetrwa – albo dostanę list żelazny do innej redakcji. Ale nie przetrwała. Znaczą redakcja tak, Regina nie. Nawet nie wiem, co ona dzisiaj robi. Nie dzwonię. Niezręcznie mi jakoś.

– Mogłabyś zrobić jakiś świetny wywiad rzekę z kimś wartym tego, jak Teresa Torańska. Ten twój Włodek dał ci klucze do ludzi, którzy są zamknięci w swoich światach, grzechach, sprawach, bo nie chcą gadać z tymi dzikimi dziennikarzynami, a mogliby być znakomitym świadectwem swoich czasów.

– No też mnie porównujesz! Gdzie mi do niej! Chociaż... podobnie mówił Włodek... że mogłabym. On też we mnie wierzył. Trzeba się uczyć od najlepszych! Zrobiłabym taki wywiad rzekę na początku z... nim! Tylko jak?

Coś mną szarpnęło. Na moim encefalogramie czy kardiogramie pojawiło się drgnięcie na prostej od kilku miesięcy linii. Muszę coś sobie znaleźć – pracę, nie tylko płacę! Mogłabym być wziętą free-lancerką – skandalistką, dziennikarką śledczą, jak Włodeczek mnie uczył. Tylko dzisiaj poruszać niektóre tematy strach. Kurczę! Co robić? Mogłabym nawet jakieś głupotki, byleby mnie ktoś chciał.

Pół dnia tak przesiedziałam, kombinując... na jałowym biegu. Nie umiem się poderwać, zacząć. Kiedyś to było łatwe, dzisiaj mam betonowe palce i niemoc w głowie. Wiem, że szukanie teraz pracy będzie drogą przez mękę, oberwę jak tysiące innych żebrzących o cokolwiek. Jestem za stara do gazet, chyba że miałabym pióro z dynamitem, a... nie mam. Jestem stara, wypalona, nudna. Dla pięćdziesięciolatek nie ma miejsca w społeczeństwie. To dlatego kobiety tak się wstydzą swojego wieku. Jak w *Chłopach* Reymonta: Jagusia – z rumieńcami, wyszczekana i z tupetem – jest miss wsi, a starej Agacie pokazano drzwi, bo... stara. Ale przesadzam. Jeszcze nie jestem Agatą! Lecz i Jagną już też nie.

– Tato? Taaato! – zawołałam. – Gdzie są rowery?!

Wyjęcie rowerów z garażu nie było łatwe. Przegrzebaliśmy się przez sterty przydasiów.

– Gienek się odgrażał, że mi tu zrobi porządek – burczy tatko.

– Kiedy?

– No raczej już nie robi.

– Tato, to wiem. Chodzi mi raczej o to, czego szukał.

– Nart biegówek.

– A na co mu one były?

– A ja wiem? Teraz nam już nie powie. – Ojciec zamyślił się i skrzywił. – Baranku, dlaczego go nie ma? Kobyliński też teraz u mnie nie bywa. Czuję się tu...

– ...samotny?

Milczy.

Wiem o tym, domyślałam się od dawna, ale przecież się nie wprowadzę do niego. Mam swoje życie.

Wreszcie wytaszczyłam moją starą damkę. Sama nie wiem, jak długo na niej nie jeździłam. Po niej mój mąż kupił nam BMX-y i potem je sprzedał. Na tej starowinie kpacie totalne, na starym rowerze Lilki też. Postanowiłam od razu pojechać do Otwocka po nowe koło, oponę czy co tam trzeba, ale zostałam usadzona w fotelu.

– Kobyliński ma złote ręce! Poradzi! – oświadczył ojciec.

I poradził! Pożyczył rower od wnuczki. I to jaki! Damka zupełnie jak moja, ale nowa! Z koszem na zakupy! A do tych naszych staroci, mówi, wpadnie kiedyś i naprawi.

Ojciec wsiadł na swój, ale chwiał się, jechał z wysiłkiem i koło furtki zaniechał.

– Jedź sama. Ja, wiesz... odwykłem czy jak?

Też nie powiem, że bym wskoczyła na rower jak leśna łania, ale dałam radę. Bo i prawda! To jest jak... jazda na rowerze, tego się nie zapomina!

I pojechałam sobie w stronę Kopek.

Pani Ania

– Tato? Wynajmujesz pokoje?

– Nie... Tak! Ale za darmo. Widzisz, mam tu od wiosny znów tych studentów z Akademii Rolniczej, właściwie już magistrantów od tych moich starych odmian jabłoni. Teraz ich nie ma, zrobili sobie krótką przerwę, ale mama Kasi pytała, czy mogłaby tu spędzić wakacje w zamian za drobną pomoc. Nie jest bogata, wręcz przeciwnie.

– A ty jak zwykle zgadzasz się, bo masz gest!

– Kochanie, nie mam pustego konta, choć i milionerem nie jestem. Nie wiedziałem, że ci zaleje mieszkanie, i wiesz...

Wiem. Nie mam prawa tak reagować. To ojca życie, dom, mieszkanie. Smutno mu samemu, więc ma, do licha, prawo wynajmować pokoje i zapraszać tu, kogo chce!

– Znasz ją?

– Była tu, u Kasi, kiedy ona tu była z Łukaszem, wtedy jeszcze narzeczoną. Rok temu. Pamiętasz?

– Nie, nie zwracałam uwagi, tatku. Wtedy Lilka chorowała.

– Ano tak, tak. Więc ona tu przyjechała do Kasi, ta pani Ania, i wydaje się sympatyczną kobietą.

Poczułam jakieś małe zafalowanie. Kasia i Łukasz dobrze, to studenci i z ojcem w tych jabłoniach grzebią, ale jakaś... kobieta? Poszłam po laptop, bo chyba zgłupiałam. Jakieś kretyństwa mi po głowie łażą. To znak, że mam pusty czerep i za dużo kombinuję.

Słońce schowane za koronką liści, ekran nie oślepia, dociągnęłam przedłużacz i mogę tu sobie siedzieć cały dzień!

Maili miliard. Głównie spam i teraz muszę to przebrać jak Kopciuszek mak z popiołu. Zeszło mi ponad godzinę. Od Grzeška sześć, ale on telefonicznie się dowiadywał, co się dzieje. Z różnych źródeł mnóstwo, ale żadne ważne. Jeden od mojego byłego kochanka Marcina, krótki i lakoniczny – życzenia na ósmego marca, typowa zaczepka, i trzy od Antka. Wszystkie serdeczne, normalne, ale ostatni zakończony tak:

Skoro nie odpisujesz, to albo jesteś stale podłamana, albo odpadłem po sprzątaniu komputera i wcale się nie dziwię, bo w końcu kim jestem? Trzymaj się.

Antek Emigrant.

PS Próbowałem Cię znaleźć na Facebooku, nawet się tam zalogowałem, ale Ciebie nie ma. A samemu tam być... nudy.

A.E.

No i zrobiło mi się irracjonalnie żal. Nie mnie. Tego Antka. Marcin się nie sprawdził, słabo o mnie walczył, a Antek nie walczy w ogóle. Jest kumplem, a nie *amoroso*, i paradoksalnie właśnie tego mi brak, kumplowania. Zaloty mi nie są potrzebne. Teraz nie! Odpiszę, nawiążę znów kontakt, bo właściwie nie mam do kogo pyska otworzyć.

Antku,

przepraszam Cię, ale potrzebowałam uciec, zapaść się pod ziemię, wpaść w komę, cholera wie co jeszcze. I chyba mi się udało, gdyby nie kapanie z sufitu. Zagięty i pęknięty wężyk od pralki mojej sąsiadki przywołał mnie do porządku dziennego i dobrze, bo inaczej pewnie zostałabym alkoholiczką, na dodatek w depresji. Fuj!

Właśnie siedzę u taty w altanie i klikam. Pomieszkałam tu, bo w domu mam Facetów z Wenus. Jest lato, a wiosny tego roku nie stwierdziłam. Trochę życia wnoszą tu artyści z osady, a do tatki zaraz przyjedzie pani Ania. I tyle!

Pozdrawiam

Mańka

Ojciec w bejsbolówce, z motyczką idzie koło peonii. Są ogromne. Kłębią się pod siatką, sadzone jeszcze ręką mamy. Jesienią tatko je przerzedza, odmładza i rozdaje kłacza. Znaczą kładzie je w skrzynkach po drugiej stronie ogrodu wraz z kartką: „Proszę sobie brać”. I po dwóch dniach kłaczy nie ma. U Kobylińskich też cała ich masa i właściwie u każdego, kto ojca zna.

– Tato? Idziesz pielic?

– Tak, słońce. Wymotyczkuje alejkę, bo zarosła. A co?

– Nic.

Chciałam się tylko do niego odezwać, coś powiedzieć, zaczepić. Stęskniłam się czy co? I nagle wypalam:

– Ja bym tę siatkę wywalila. Okropna jest, a coraz więcej samochodów tu jeździ.

– Baranku... Porozmawiamy później!

Wiem, że nie przeszkodzi mu w pracy. Jeśli coś robi, to robi, a nie planuje. Nie ma podzielnej uwagi. Ale jeszcze wołam:

– A kiedy ta Ania przyjeżdża?!

– Zaraz! Jutro jakoś. Dlatego chciałem, żeby ta baba przyszła ogarnąć górkę, skoro ty jesteś u siebie – dodał.

No u siebie jestem! Mam na parterze od zawsze swój pokój, choć zła jestem, że w pradawnym gościnnym – a potem w jakiś sposób Lilkowym – załęgali się ci studenci, Kasia i Łukasz. Tatko tłumaczył, że tak wygodniej i... zresztą sami sobie wybrali. Jasne. Czego się czepiam? Dom stał prawie całkiem pusty.

Zadzwoiłam po panią Bożenę, żeby ogarnęła przygórek na glanc. Przyjdzie rano, oczywiście, że przyjdzie do takiego porządnego pana. Ale czy to nie można było zadzwonić wcześniej? A jakby ona miała już zajęte? Jakby miała wizytę u lekarza czy fryzjerki na trwałą?

Taka jest, zawsze zrzędzi, ale kiedy przyjeżdża tu na swoim rowerze, to gdy już odpocznie chwilkę i zawiąże chustkę *à la* ninja, to jakby wrzucała piąty bieg. Nic nie mówi, jak moja Gala, tylko pracuje jak maszynka, a ja patrzę i podziwiam sumienność,

rytm i umiejętności. Mnie zawsze milion rzeczy i spraw rozprasza. Nie umiem tak. Podczas choroby Lilki weszłam w jakieś trybiki i sprzątałam szybko, sprawnie, ale to była konieczność. Miałam głęboką motywację. Teraz zaś wróciłam do normy i ten przygórek sprzątałabym pewnie kilka dni. Nie żeby tam był jakiś totalny bajzel, ale okna od roku niemyte, podłogi też, pościele trzeba powlec.

Zaniosiłam jej butlę wody średnio gazowanej i szklanę.

– Za półtorej godzinki pani mi kawy zrobi! – powiedziała mocnym tonem, nie odwracając się. – Sypanej i słodkiej. Dwie łyżeczki!

– Dwie czego?

– Wszystkiego!

Osiolkowi...

W moim mieszkaniu podobno już idzie ostra praca. Nie, nie powinnam przyjeżdżać. Tak, zadbali o meble i oczywiście o kwiatki. Oczywiście, że zdjęli obrazy i zdjęcia! Przecież będą malować ściany! Zabezpieczyli! Za każde pytanie nagradzają mnie zniecierpliwieniem. Nie, to nie jest jeszcze pora na wybieranie kolorów. Zresztą przecież wybrałam. Jutro – tak! Najlepiej jakbym dla uściślenia zanotowała w sklepie z farbami, jakie mi się podobają, i przywiozła próbki. „Próbki czego, białej farby?“, myślę. Biała to biała. Ale okazuje się, że nie. Może być biała z połyskiem, biała perłowa, biała matowa i półmatowa, i satynowa, i śnieżna... Co jeszcze?! No i jest też problem. Pan z Wenus chrząka i wali prawdę: w łazience odpada stary tynk.

– No to zatynkujcie! – Jestem otwarta i rozumna, przecież to jasne!

Chyba powiedziałam coś głupiego, bo słyszę w słuchawce głębokie westchnięcie, które w podtekście ma: „Oesuuuuuu”.

– ...ale on odpada razem z kafelkami – rzuca w słuchawkę.

– Jadę! – wołam, ale mnie studzi, że po co. Chyba że mu nie dowierzam.

Odpadły cztery, więc zaraz się sypnie reszta. Fakt, kładzione milion lat temu, w poprzednim stuleciu. Zwykle, białe. I ja lubiłam tę łazienkę z tą bielą. Tylko nam ją fachowiec przefugował na biało, bo szare fugi z PRL-u piękne nie były.

– Ściana namokła i tynk puszcza. Może pani przyjechać, ale i tak to trzeba skuć.

Zdecydowałam: pojedę. Przy okazji wybiorę tę farbę na ściany!

– O której będziesz? – pyta ojciec.

– Wieczorem, tatku. Pa!

– Nic nie zjesz?! – woła za mną.

No tak, dla rodziców to wydaje się najważniejsze. Czy zjem, czy zjadłam, czy nie jestem głodna...

Wyprowadzam samochód z garażu. Koła skrzypią na żwirze, ojciec jeszcze podchodzi i mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu, że przelał mi trochę kasy na ten remont. I dodaje, że nie chciałam pieniędzy na opiekę nad Lilą i pewnie nadwerżyłam oszczędności, i na dodatek nie pracuję, więc mam zamknąć dziób.

Poczułam się idiotycznie. Znów na utrzymaniu tatusia? Mam jeszcze pieniądze! Jakież mam. Jest jeszcze jakaś lokata nietykalna. Ile tatko ma? Miał? Czy dużo mu z tych upraw ekologicznych skapuje? Nie pytam, bo nie umiem być taka obcesowa, ale myśląc o pieniądzach i mojej niezbyt świetlanej przyszłości, dojeżdżam do domu.

Z mojego okna wystaje bloczek murarski, a na nim wisi sznur i wiadro. Sąsiedzi zapewne wściekli... Tynk, durny tynk odpada! Tyle lat wytrzymał, stan wojenny, zmiany ustrojowe, a tu zwykła woda go powaliła. Żal mi mojej łazienki, a pan z Wenus pociesza:

– Czy pani wie, jakie dzisiaj są możliwości? Ile kolorów, faktur, materiałów? Kłopot z wybraniem! Musi pani tylko określić, czego pani chce. Kafelki? Gres w wielkich płytach? Może tylko wodo-odporny tynk, taki rustykalny, z zacierkami? A może tapety wodoodporne? Mała ta łazienka... A może kuchnię zrobić w tamtej części, co pani ma taki jakiś gabinet, tam, gdzie teraz graciarnia... Bo tam jakaś druga łazienka jest. Na licho to? A tu zrobić łuk i połączyć otworem drzwiowym z pokojem.

Zrobić tylko małe miejsce na parzenie herbaty albo sypialnię, a w pokoju...

Ojeja, ale plany! Rozmawialiśmy ze dwie godziny. Pan mnie podjudza, że zamiast garderoby w drugiej części mieszkania zrobi mi wielką łazienkę z oknem, a tę zlikwidujemy. I zrobimy dużą kuchnię albo sypialnię. Kwota by urosła zaledwie o... jedno zero. Broniałam się, a diabeł w środku podjudzał, bo plan fantastyczny!

– Po cholereę ci dwie łazienki? – pyta diabeł.

– A jak się objawi jakiś Marcin? To wygodne! – droczy się anioł (czy drugi diabeł? Nie wiem!).

– Tak jest mądrzej! Będzie duża wygodna kuchnia!

– A na licho taka wielka? Dla większego bałaganu? To ma być lodowisko? Hala przylotów? Kuchnie się teraz minimalizuje!

– Tak, ale teraz garderoba niepotrzebna. Gabinet też stoi pusty... Po cholereę to? To może sypialnię tu...? A może na nowo podzielić te mieszkania, jak były, i jedno wynająć? Na diabła taka powierzchnia dla jednej osoby?

Dzielę się z panem tymi myślami. Na razie proszę się zająć pokojem, a mi dać czas na zastanowienie. Muszę pogadać z ojcem, ze sobą...

Jadę do marketu budowlanego i wzywam diabła na pomoc. Czuję się jak Fredrowski osiołek: „Uchem strzyże, głową kręci. I to pachnie, i to ńęci”. Za dużo tego wszystkiego! Za kolorowo, za ciekawie. W dziale z farbami zgłupiałam. Za moich czasów była biała, słomkowa, szara, beżowa, groszkowa i błękitna. Szara i groszkowa do zakładów pracy – na korytarze i lamperie. Pozostałe – do domów! W domach biel i ewentualnie ściany słomkowożółte. Kolory, a zwłaszcza jakieś wzorki, to było wsiowe. Potem był czas tapet, ale nie skusiłam się, chociaż widywałam masę pięknych. Brakowało mi czasu i... odwagi. Pozostałam przy białych ścianach i zawiesiłam koło tapczanu wielki dywanik ścienny typu tatarskiego, a na nim zdjęcia mamy, Gienia, Lilki, rodziców w owalu... Niektórzy sarkali, inni byli zachwyceni, że takie to retro.

A tu naraz tylu producentów, kolorów mnóstwo i te nazwy... pretensjonalne i głupie! A przecież to najzwyklejsze kolory! Lekko beżowy, bladofioletowy, piaskowy, bardzo bladobrzoskwiniowy, ciemnobrzoskwiniowy, właściwie ceglasty, beżowo... byle-jaki, z lekka oliwkowy. Nie wiem, o co chodzi z tą poezją. Chciałam zwykłą białą, jak dawniej, ale sprzedawca okazała się diabłem, bo do koszyka wzięłam próbki owej oliwki, która wydaje mi się ohydna, i tę Wieczorną magnolię (oszałamam?!). A i Egipski puder (odbiło mi całkiem) i Suchą gałąź, czyli jakiś dziwaczny szary... Teraz łazienki! Zapewne i tu zobaczę feerię wymysłów zamiast kilkunastu kolorowych kafelków. O, matko! Szkoda, że w ogóle tu weszłam. No i jak ja mam podjąć decyzję, skoro nie wiem, czy likwiduję tę łazienkę, czy... Tak w zasadzie to co ja mam robić?!

Pooglądałam te wszystkie płytki, lusterka, mozaiki, wielkie cienkie płyty, jakby marmurowe, malachitowe, drewnopodobne, starorzymskie i nowoczesne, z możliwością wklejenia własnych zdjęć. Jakich? Jakie pani chce! Z wakacji w Chorwacji albo sylwetki narzeczonego.

– Właśnie zamawialiśmy takie dla jednej pani. – Ekspedient się nachyla i mówi szeptem: – Zdjęcie jej faceta nago, naturalnej wielkości!

Hmmmm, a co będzie, jeśli zmieni faceta? Skuje kafelki?

No, czego tu nie ma?! Wiem! Mojej białej łazienki tu nie ma!

W drodze powrotnej zahaczam o Empik, w którym kupuję pięć czasopism wnętrzarskich, i wracam na Zwycięzców. Pan ochoczo odbiera próbki farb i woła malarza:

– Pan maźnie ściany wedle pani wskazówek!

Tłumaczyłam mu, że nie jestem przekonana, a raczej to mnie usilnie przekonywano do kolorów, ale... bez skutku, bo ja ciągle jestem za bielą. Lecz podczas spaceru po moim zrujnowanym mieszkaniu pokazano mi, jak ładnie może wyglądać lekki kolor potęgujący nasłonecznienie po niesłonecznej stronie i schładzający pokój bardzo słoneczny. No ale jak było białe, to nic nie trzeba było od- albo dosłoneczniać! Pan patrzy na mnie z boleścią w oku. Jak na dinozaura, dinozaurę.

Ze słowami: Jutro zadzwonię – wreszcie pojechałam do taty.

Kiedy siedziałam w altanie przy pałacej się antykomarowej śmierdzawce i oglądałam czasopisma dizajnerskie, powoli traciłam głowę dla łazienki z oknem. Tak! To genialny pomysł! Spora, naświetlona, z zielenią! Duża wanna, może jacuzzi? Kubły, znaczy takie donice w ozdobnych kubłach z palmami i lustro na całą ścianę! I duża kuchnia. Może nawet da się przy dzisiejszych technologiach połączyć ją z pokojem? Jako *open space*? A kiedy przeszłam już drogę podziwiania wykończeń ścian w łazience – od malachitowych gresów po marmuropodobne z lustrami, optycznie powiększające przestrzeń – oszalałam. Puściłam wodze fantazji i zakładałam kartki, żeby pokazać moim wykonawcom, co wymyśliłam. Ojciec siedział obok i czytając sobie *1000 lat wkurzania Francuzów* Stephena Clarke'a, co jakiś czas się zaśmiewał. Ale nawet gdy mi czytał fragmenty, nie słuchałam go. Na nowo kreśliłam plany mojego dizajnerskiego mieszkania!

W końcu z tego amoku wytrącił nas dźwięk klaksonu i na podwórko zajechał gustowny stary garbus, żółty jak jajko, ze staroświeckim bagażnikiem na tylnej klapie i z walizkami obwiązanymi paskami i gumami. O, mam...

Kobiety samotne

Z garbusa wysiadła dość niezgrabnie długowłosa i długonoga Kasia, młody i dość nijaki Łukasz w wymiętej koszuli flanelowej i pani – z lekka korpulentna, z gustownie ułożonymi włosami tleniony blond, starsza ode mnie, ale niewiele chyba, i przedstawiła się: – Anna. Uśmiech miły i z lekka nieśmiały, uścisk ręki normalny. Na szczęście nie zimna pletwa zdechłej fokki jak u tej Kasi. Łukasz w ogóle ręki nie podaje. Zajmuje go otwieranie bagażnika i odwiązywanie walizek.

Powitania, zanoszenie bagażu i oczywiście startuję z kolacją w altanie – jako nasze tu *spécialité*, bo mało kto z miastowych jada w ogrodzie. Jest bezwietrzny wieczór, jasno jak w dzień, powietrze ciężkawe, letnie. Muchy latają, komary próbują się zbliżyć, ale świece się pałą, i jest milusińsko. Pierwszy raz rozmawiam z Kasią i Łukaszem. Oboje jacyś tacy pszenni, ekologiczni, przeciwni wszelkim udziwnieniom. Lubią, żeby było „jak dawniej”, cokolwiek to miało znaczyć, „zimna nowoczesność” nie dla nich. Kasia mówi bardzo spokojnym głosem Seneki, a raczej wygłasza swoje myśli: że żyjemy niezgodnie z naturą, odżywiamy się fatalnie, że cały ten *junk food* ją mierzi i ta nadprodukcja jedzenia, i rzeczy, i niszczenie natury, i dalej w tym tonie i duchu. Łukasz potakuje, błędząc gdzieś myślami. Widzę, że właściwie nie mamy kontaktu.

Czy ja w ich wieku też byłam taka... zasadnicza, rozfilozofowana? Kasia niby się uśmiecha, ale raczej do miodu, truskawek i swoich złotych myśli. Pani Ania zaś zachwyca się wszystkim, że pyszne, że smakuje, że ach, jakie powietrze, i że u nich w Garwolinie to żyć się nie daje mimo obwodnicy. W końcu zeszło na moje mieszkanie, bo wyjaśniłam, skąd ja tu, u taty teraz. No i zaraz zrobiło się konsylium. Oczywiście podzielić na dwa mieszkania! Jedno wynająć i mieć z tego pieniądze na czas szukania pracy! Bo po co mi takie duże, skoro jestem sama?

– A jeśli kiedyś nie będę? – rzucam zaczepnie.

Konsternacja, niedowierzanie widzę w ich oczach, no bo przecież jestem stara, po rozwodzie i niepiękna, to co mi w głowie jakieś zajączki się płaczą? Facet?! Już pora dziać skarpety pod oknem i wspominać młodość!

– Pani Marianno, jacuzzi trzeba myć i konserwować, a to marnuje masę wody i wymaga specjalnych płynów. No, chemii! No i czy często będzie pani w tych bulgotach się myć? A kwiaty w łazience? Pani mówiła, że to północno-zachodnia strona. Nie utrzymają się, szczególnie palmy, niech Kasia powie!

I Kasia wywołana do tablicy mówi, że to absurd, że w Polsce mamy sporo miesięcy z krótkim dniem, czyli krótkim czasem naświetlania, i że musiałyby to być rośliny cieniożadne, a o takie też trzeba umieć dbać *et cetera*. No, fakt. U mnie w pokoju rośnie tylko ten scindapsus, inne jakoś zdychały. Wielkie lustro? Pani Ania znów mnie ustawia. To błąd! Ile się go trzeba namyć, żeby było ładne. A poza tym, szczerze, to co ja mam w nim oglądać? W domyśle: moje przywidłe ciało?! Niechętnie, ale przyznaję rację.

Naklikałam wieczorem do Antka:

Antku Emigrancie!

No i co ja mam robić?!

Pracy za grosz... Niby jeszcze mało szukałam, ale znam ten rynek, wiem, że każda z nas, wywalona z redakcji, a mająca 40+, jest na straconej pozycji. Chyba że ma klucze. Klucze do osób znanych, do ich tajemnic i zaufania. Wtedy może stać się wolnym strzelcem i szukać wydawcy, który zapłaci za wywiad i zdjęcia. Zdjęć robić nie umiem, ale kolega by się znalazł. Włodek zostawił mi jakieś kontakty, więc spróbuję. Ale i kupiec musi być.

Właściwie to zastanawiam się, co z mieszkaniem.

Tu wyluszczyłam Antkowi dość dokładnie sprawę. Faktycznie, z jednej strony mi samotnej po licha takie wielkie mieszkanie, ale z drugiej strony – przywykłam. Z trzeciej strony zaś masa sprzętania i czynsz wielki. A z czwartej... lepsza kasa, gdybym wynajmowała czy sprzedawała. No i jest tatki dom, wielki i pusty, mogłabym przecież tutaj być tym wolnym strzelcem!

Zasypiałam, mając w głowie bałagan, setki pytań i wątpliwości.

Fajnie było tak zapaść się po śmierci Lilki. O niczym nie myśleć, szlajać się po suchym mieszkaniu w dresach i mieć w nosie cały świat. Popijać koniak i niczego nie czuć! Ale teraz tak się nie da...

Przewracałam się z boku na bok. Pościel była jak z ciepłego aluminium, w powietrzu duszno i w siatce na oknie, dziurawej od lat, otwory wjazdowe dla hordy komarów! Koszmar!

Rano wstałam zła jak osa. Byłam niemiła dla wszystkich i poszłam na leżak pod jabłonią. Siedziałam najeżona, dziwnie pobudzona i skora do pyskówki, tylko nie miałam z kim. Włodek! No przydałbyś się!

Kasia z Łukaszem, oboje w słomkowych kapeluszach, poszli z ojcem do sadu. Pani Ania krzątała się w kuchni. No i bardzo dobrze! Myślę, myślę i jeszcze raz myślę, co mam robić. Bo to właśnie tu i teraz muszę podjąć jakąś decyzję odnośnie do mieszkania! Jak je remontować? Jako całość czy dzielić na dwa? Nie mam fury pieniędzy, teraz nie zarabiam i jakoś nie widzę dla siebie znakomitej i miłej finan-sowo posady. A więc może faktycznie wydzielić to byłe mieszkanie pani Mieci i wynająć? A jeśli zaraz coś znajdę? Szkoda takiego pięknego mieszkania!

Przydałby się Gienio – westchnęłam sobie i zamknęłam oczy, poddając się słońcu. Gieniu, Gieniusiu! Powiedziałbyś coś! Choćby: „Marian, weź się w garść, zdecyduj coś, a nie pitol mi tu bez sensu. Bądź mężczyzną!”

Przyszła pani Ania z filiżankami i imbryczkiem.

– Napijemy się zielonej herbaty? Trzeba się nawadniać!

Usiadła i powoli nakłania mnie do rozsądku. Siła jej argumentów mnie powala. Wystarczyła godzina, żeby przekonała mnie do tego podziału.

– Mogę być lodowato szczerą? – zapytała, ciepło się uśmiechając.

Kiwnęłam głową.

– Nie ma pani, pani Marianno, czarownych dwudziestu kilku lat – powiedziała, kładąc mi dłoń na dłoni – a tylko takie panny z zębami jak piranie, czasem z tupetem,

rzadko z doświadczeniem, bo i skąd, dostają pracę dzisiaj. I zapewne w wydawnictwach jest tak samo. Dlatego, życząc pani jak najlepiej, doradzam zabezpieczyć się na najgorszą okoliczność. A nawet jeśli, to i tak dobre rozwiązanie, bo samotnej pani bez dzieci po co tak duże mieszkanie? Prawda? Młode i piękne już byłyśmy! Nie ma co liczyć na rycerza na białym koniu. Pani wybaczy, ale Kasia mi mówiła, że pani jest rozwiedziona. My, kobiety samotne, musimy dbać o siebie, skoro prawdziwych mężczyzn, wiernych towarzyszy życia dzisiaj brakuje. Nie lepiej płacić niższy czynsz i mieć jakieś oszczędności, droga moja?

Nnnno... prawda.

Podział

Wsparta przez miłą skądinąd panią Anię pojechałam pertraktować z Facetami z Wenus. Pan sympatyczny już na mnie czekał, ale uśmiech spętał z jego twarzy, gdy mu powiedziałam, że chciałabym, o tu, zamurować drzwi. A, o tu, zrobić znów kuchenkę. A graty przenieść do mojego pomniejszonego mieszkania. Kompletnie mnie nie rozumiał i odwrotnie niż pani Ania tłumaczył, że to totalny bezsens.

Zaczynałam podejrzewać spisek. Chcą mnie doprowadzić do ześwirowania, przejąć mieszkanie i podzielić się kasą!

– Pani wie, że ubezpieczeniem pani tego nie opędzi?

O, właśnie. Ubezpieczenie! Zapomniałam, że mi coś skapnie. Dzielimy!

Musiałam użyć mojej miny pod tytułem „jestem ogromnie zdeterminowana”, żeby odpuścił. Mój remont wprawdzie przeistoczył się w absurd, ale ja mam w tym swój cel. A ta Ania jednak ma rację! Nie mam pracy, wynajmę to mieszkanie, będzie super! Poszukam pracy bez napinania się.

Kiedy już przeżyłam długie rozmowy o łazience, o kolorach, o podłodze *etc.*, wracałam do taty spięta i zła. Kurczę, tyle mnie to będzie kosztowało! Ten remont zje wszystko, co mam! Nie zostanie mi nic na czarną godzinę!

Nagle spadł deszcz. Siedziałam na ławce pod okapem, czekając na kolację, którą zajęła się pani Ania, i patrzyłam na trawę i drzewa, wystawiałam stopy i pozwalałam deszczowi kapać na nie. Tatko oglądał wiadomości, a Kasia z Łukaszem... nie wiem, co robili. Nie było ich, chyba. Zresztą byli tacy mało widoczni...

Rozpadało się po dość dusznym dniu. Taka ulga! Chyba nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak się uparowałam w mieście, dopóki nie usiadłam tu, spocona, zakurzona, brudna po prostu! Deszcz bębnił o liście łopianów rosnących koło garażu. Bum! Bum! Kapitalnie! Po te rośliny ojciec jeździł gdzieś, nie pamiętam dokąd, ale te ich duże okrągłe liście jak parasole faktycznie są dekoracyjne! W przesmyku za nimi rośnie dziewanna, piękny chwast, jak mówi tatko. Na jej włochatych listkach woda się nie trzyma. Jeszcze nie kwitnie, za wcześnie. Wspina się do słońca, bo ma tu lekki cień. Prawie słyszę, jak ziemia łapczywie pije wodę. Powietrze jest takie pachnące! Szkoda, że to nie burza!

– *A ja sobie giczolami, giczolami sobie kiwam!*... – zanuciłam.

Pani Ania zawołała mnie na kolację. W kuchni zaniemówiłam – wysprzątane jak w bombonierce, na stole obrus i wszystko na talerzykach ułożone jak do zdjęcia.

– To ja... pójdę się umyć – powiedziałam speszona i ku niezadowoleniu pani Ani pobiegłam do pokoju i łazienki. Nie chciałam siadać do jedzenia taka nieświeża.

Kasia i Łukasz zeszli z przygórka rozświetleni. Ona z warkoczami jak Pippi, on rozczochrany w kolorowej koszulce. Ona ciemnowłosa, on blondyn. Ładna z nich para. Przy nas milkną, zajęci jedzeniem. Dam sobie łeb urwać, że się kochali tam, w krzywym pokoju! W czasie tego deszczu to musiało być... romantyczne. Romantyczne! To romantyzm jeszcze w ogóle funkcjonuje?!

Pani Ania okazała się lepsza od pani Bożeny, bo sprząta z zapałem, gotuje z zapałem i, jak widzę, nie jada wędlin. Kasia też. Łukasz...? Nie wiem. Na szczęście nie ma agitacji, więc tatko spokojnie sięgał po serdelki, spore i nienaturalnie różowe w środku, które czasem kupuje w Otwocku w sklepie z własnymi wyrobami. Twierdzi, że te właśnie są prawdziwe, mięsne. Nie polemizuję, skoro lubi. Ania, Kasia i Łukasz jedzą sery i pomidory z ogórkami.

U taty zawsze leniwieję. Cała złość na sąsiadkę i jej wężyk od pralki, wszędobylską wodę i zrujnowane mieszkanie gdzieś odeszła. Jak tu u niego spokojnie! Inna perspektywa! Mam gdzie mieszkać, więc właściwie oba moje mieszkania obecnie powstałe mogą wynająć! Nie martwić się, czy coś sprzedam, czy ktoś zechce moje reportaże, wywiady... O, jeszcze skończyć książkę *Gotujemy, jemy, jemy*. Gdzie ja ją mam? W którym folderze?

– Tato! – wołam, bo przechodzi obok z koszem pełnym chwastów.

– Co, Baranku?

– Pomieszkać z tobą troszkę, co?

Ojciec wchodzi do altany, stawia obok laptopa kosz i daje mi buziaka.

– Pierwszorzędny pomysł! Choć, jak widzisz, teraz to mamy tu nie lada ruch! Pani Ania szoruje i porządkuje spiżarnię, Kasia i Łukasz pielą młode rozsady i warzywnik.

Pomyślałam sobie, że to miło ze strony pani Ani, że aż tak się odwdzięcza za darmowe wakacje. I zanim to pomyślałam, przyniosła mi dzbanek i kubek.

– Co to?

– Zielona herbata i mięta. Rośnie koło komórki łanami! Trzeba dużo pić! Coś jeszcze pani podać, pani Marianno?

Jest miła, łagodna i taka gospodarna. Żadnych zadęć na wczasowiczkę. Z mety się tu poorientowała, wie, co gdzie jest, i nikomu z nas nie zawraca głowy. Przydałaby się tu na stałe – przeleciało mi przez myśl.

– Pani Aniu! Proszę zaczekać! – Postanawiam się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Średnio mnie to interesuje, ale muszę wreszcie przestać siedzieć tylko we własnym wnętrzu! – Proszę się na chwilę. Pani tu na wakacje? Nie nudne to miejsce?

– Nie. Pewnie sądzi pani, że ja tak za Kasią? Że wścibska matka, nadopiekuńcza?

– Skąd!

– To może tak wyglądać, ale wie pani, nie jestem rozrzutna. Całe życie coś robiłam, pracowałam i nagle fiu! I nie ma dla mnie miejsca w szkole!

– Nauczycielka?

– Tak. Zlikwidowali nam małą wiejską szkołę, to przesłam z uczniami do zbiorczej, ale to nie dla mnie. Nerwy mi wysiadły i kiedy poszłam się leczyć, dyrektor... wyekspediował mnie na emeryturę.

– Czego pani nie wytrzymała? Hałasu?

– To może źle o mnie świadczy, ale... nie dawałam już rady wychowywać dzieci, którym dzisiaj wszystko wolno. Ja kiedyś, wie pani, byłam takim natchnionym pedagogiem. Chciałam, żeby dzieci... Idealistka – dodała głucho, może nieco teatralnie,

i popatrzyła ponad dach. Zawilgotniały jej oczy, zacięła się. Przeprosiła i poszła po chusteczkę.

Jest naprawdę miła, z pewnością wrażliwa... Niewysoka, zaokrąglona. Wyglądałaby na moją równolatkę, gdyby nie opadające powieki i fałdy pod oczami. Szopka farbowanych blond włosów i szczery, ładny uśmiech. Dzieci lubią takie nauczycielki!

Wróciła już opanowana.

– Ponudzić dalej? – spytała z uśmiechem.

Usłyszałam typowy gazetowy reportaż o dzieciach chamiątkach, o kompletnie ślepych rodzicach i wystraszonej dyrekcji, ale i tak nie dowierzałam. Sądziłam, że to tylko w miastach, w dzielnicach mocno zaniedbanych, z bezrobociem.

– O, tak! Frustracja rodziców ma tu znaczenie, ale i awans społeczny, dobrostan też sprawiają, że ślepną i głuchną. „Mój Aluś jest spokojnym dzieckiem. O czym pani mówi! Aluś nie kłamie!” Ów Aluś zebrał grupę chłopców i dziewczynek, którzy zaczęli być agresywni. Szósta klasa! W szkole padały wyzwiska już nie tylko wobec słabszych kolegów, ale i nas, nauczycieli. Ja się postawiłam, drażylałam i miałam przeciw sobie rodziców, dyrekcję i te dzieciaki. Gdy się wściekli na kogoś z nas, z grona, potrafili nawyzywać od kurew, bladzi, suk... Powoli się rozkręcali. Uwagi w dzienniczku, rodzice – nic! Szkolnej pedagog córkę zastraszyli, że jeśli matka nie przestanie, to ją zgwałcą. Mi wysmarowali drzwi gównem. Kasia, kiedy się dowiedziała, kazała mi natychmiast przestać, ale ja wierzyłam, że do nich trafię. Chodziłam do każdego do domu, rozmawiałam, a oni odgrywali aniołki. Każde z nich! Po takich wizytach miałam kolejne problemy – wybite okno, zniszczone drzwi. Wreszcie rozbili nagrobek mojego męża. Pochorowałam się, pojechałam do sanatorium. Wysłano mnie na emeryturę, że niby jestem konfliktowa. Pracy dla mnie nie ma. Daję korepetycje, ale to doprawdy żadne pieniądze. – Zawiesiła głos i zaraz się uśmiechnęła: – A tu odpoczywam! Ten sad, ogród! Piękna okolica! Jak najlepsze wakacje!

Zamilkła, a ja jej współczułam, jednocześnie myśląc o tym, jak to przekuć na dobry materiał do prasy. Opowiedziała mi jeszcze o ich życiu w Garwolinie i poszła zrobić kolację. Nie chciała pomocy.

Na swoich śmieciach

Pobyty u taty umilałam sobie zaległymi lekturami, no i bywaniem w domu. Zaraz, który to miał być kolor do pokoju? A jak pomalować tu? Jak robimy kuchnię?

Panowie uwijali się aż miło, żadnego papieroska, kawki co pięć minut, i natychmiastowe sprzątanie tego, co mogłoby utrudniać. Ładnie!

– Wie pani, nazwa niektórych elektryzuje – zapewnił mnie pan z Wenus, który okazał się jednak całkiem sympatyczny. – Jakies komentarze tych, którzy nie czytali *Greya*, o facetach z Marsa i babkach z Wenus. Mnie dopadło bezrobocie. Firma padła, siedziałem w domu i szlag mnie trafiał. To przynajmniej, myślałem, poczytam. Żona mi wcisnęła tę lekturę, że niby się nasze stosunki wzajemne poprawią. I wie pani co? Poprawiła się moja optyka widzenia was, kobiet, i nas, facetów. A potem, gdy kolejnej sąsiadce zreperowałem odpływ, a innej zmieniłem koła na zimowe, bo mąż wyjechał, to żona powiedziała żartem: „Zacznij brać za to pieniądze przynajmniej, bo co ja z tego mam?”.

– Namówiła pana na założenie nowej firmy?

– No chyba tak. Bo to wy, kobiety, jesteście wbrew pozorom motorem postępu!

– Myyyyyy? – Zdumiało mnie to wyznanie w ustach faceta. Ileż to razy słyszałam, że to faceci budowali cywilizacje, a my tylko rodziłyśmy dzieci i kazałyśmy wynosić śmieci.

– My jesteśmy leniwi z natury! Gdyby nie kobiety stale nas szturchające: „Wymyśl mi sedes!”, „Wykombinuj mi perfumy!”, „Wynalazłbyś koło!” – nadal wisielibyśmy na gałęzi i czochrali po jajach. Ups, *sorry*, ale to część gadki.

Roześmiałam się, wyobrażając sobie pana z Wenus na gałęzi i jego żonę neandertalkę żądającą perfum. No, coś w tym jest!

– I...? – ponagliłam go.

– I się kręci. Zebrałem kilku kolegów, nie tylko bezrobotnych, bo Jasiu, ten od hydrauliki, ma swoją firmę, ale wpada mi tu porobić w rurach. Rozrosło mi się do kilku facetów do specjalnych poruczeń. Znaczą inżynierowie i rzemieślnicy od prac wszelkich, czyli układanie glazury, podłóg, ale i prace przy samochodach, w ogrodzie. My się żadnej pracy nie boimy!

– E, każdej? Były dziwne zlecenia?

– Jasne! Potrzebny był młody pan z aparycją gwiazdy z Holly-wood dla panny na bal maturalny, bo właśnie zerwała z narzeczoną. A ten narzeczoną z tej samej szkoły. I, wie pani, żeby zawył z zazdrości. No takie tam... wyprowadzanie psa podczas czyjegoś wyjazdu, wymiana akumulatora, wycieraczek i założenie anteny w samo-chodzie. O! To lubimy, czwarty do brydża, wożenie dziecka do przedszkola, odśnieżanie posesji i sadzenie kwiatków.

– Ale kokosy to nie są?

– No, żeby wielkie to nie, ale mam co robić, nie wkurzam się na bezrobociu.

– Tworzy pan nowe miejsca pracy. Jakies dofinansowanie z Unii?

– Kolega już się stara.

– Tani to wy nie jesteście... – sarknęłam na koniec.

– Moja babcia mówiła: „Tanie mięso psy jedzą”. Warto zrobić robotę dobrze i z dobrych materiałów. A skoro chcemy płacić za siebie ZUS, to musi być, jak jest!

Trudno. Musi. Dużo to mi nie zostanie. Może choć połowę pokryje ubezpieczenie? Może... Z tymi ubezpieczeniowcami nigdy nic nie wiadomo.

Powoli przyzwyczajałam się do tego, że będą to już dwa mieszkania, tak jak było kiedyś, bo faktycznie wobec tego, że nie mam stałych dochodów, pojawiła się ta opcja jak manna z nieba. Trudno, faktycznie wielkie to mieszkanie i jak na jedną mnie – za wielkie. Muszę tylko zredukować ilość rzeczy i różnych przydasiów. OK! Zrobię to! Za dużo mam, jak to mówiła Lilka, pierduletów. Okroję się jak Japonka! Czas na minimalizm. A durnostojkom i sukienkom z epoki realnego socjalizmu mówimy: NIE.

Żeby być ze sobą w porządku, odwiedziłam kilka redakcji, ale kolejkę chętnych miały imponującą i chociaż słyszałam wiele achów i ochów nad moim CV, to widziałam w oczach redaktorów naczelnych wyrzut: „Czemu nie jesteś młodsza, kobieto?!”. Wciąż się boję zaoferowania współpracy z wolnej stopy, czyli że nie potrzebuję etatu, jedynie bierzcie moje teksty! Ale oni nie zamawiają u obcych. Mają swoich freelancerów.

Mówiłam sobie: „Powoli, Mania, powoli. Coś w końcu zatrybi!”. Nie zatrybiło...

Między wybieraniem szafek do kuchni w second-handzie meblowym, w którym złapałam zupełnie przyzwoite, niemieckie albo holenderskie umeblowanie za psie pieniądze, a wizytą w kolejnym piśmie wracałam do taty pod Otwock jak do hotelu. Pani Ania odgrzewała, podawała jak jakaś ciocia, ja niczego nie zmywałam, nie sprzątałam. Jakbym to ja była tu na wakacjach. Doprawdy, co za luksus! „Pani Marianno – spytała mnie któregoś razu po kolacji, kiedy ojciec poszedł na swoje wieczorne wiadomości, a Kasia i Łukasz wybrali spacer – może mogłybyśmy sobie mówić po imieniu? Na mnie przyjaciele mówią Anula”.

Był taki czas w moim życiu, że uważałam tykanie za coś naturalnego. To amerykańskie *you* wydawało mi się prostsze. Ale dzisiaj jakoś wyhamowałam i zarówno do Wenusjanina mówiłam „proszę pana”, jak i do tej pani też mogłabym już do końca wakacji „pani Aniu”.

Anula...? OK.

Raz, dwa, trzy... Szukam!

Szukanie pracy to bynajmniej nie zabawa. Może się uprzedziłam, ale każda moja rozmowa z kolegami z wydawnictw i poszczególnych redakcji upewniała mnie, że to z góry ukartowane – nie wpuszczają do siebie żadnej kobiety 45+. Totalny opór. Także moja wędrówka freelancerska się nie powiodła. Miałam w szufladzie świetną rozmowę z prominentem z lat siedemdziesiątych, bliskim współpracownikiem Gierka, który odważył się pogadać o sekretarzu prywatnie. Jaki był, jaka była jego żona, trochę plotek jak to teraz w zwyczaju i trochę światła na ówczesne czasy, decyzje, powody i przyczyny. Wywiad dobry! Włodek gwizdnałby przeciągle i zarekomendował mnie, ale... go nie ma. Sądziłam, że to znakomity wywiad. W dodatku poparty minirozmową z gospożą Gierków z czasów mieszkania w Klarysewie – o kapciach pani Stasi, o śniadaniach pana, o ogrodzie... Ale nie. Cztery wiodące redakcje nie są zainteresowane. Są gorętsze tematy – najprawdziwszy kanibal, kilka politycznych pyskówek i afer, rozróby w centrach dla uchodźców, marsze niezadowolonych z powodów różnych, być czy nie być immunitetów poselskich, górnicze protesty... Kto by czytał o Gierku?

Za ambitne pisma, za prywatny materiał. Trafiam kurą w płot, jak mawia tatko.

Co tam u Ciebie, Marianno? – pyta mnie Antek. Zapomniałam o nim, a i on jakoś mniej pisał. – Jak mieszkanie po powodzi? Pewnie z sąsiadami krzywo? Zgaduję, bo nikt nie lubi występować jako ten, co zalał innych. Sam kiedyś zalałem i skończyła się przyjaźń.

Ma rację. Sąsiadeczka z góry mija mnie i spuszcza wzrok. A gdy ją zahaczyłam, czy są ubezpieczeni, zaczęła mnie przekonywać, że u nich to istny armagedon – ile strat i jakie. Czyli odwieczny argument w rozmowach Polaków: „To ja miałem gorzej!”

Mało pisałem, ale i u mnie był remont. Administracja postanowiła mi i nie tylko mi odnowić mieszkanie. Robią to obligatoryjnie w naszym kompaundzie. Przychodzą, ustalają dzień i przysyłają panie i panów do popakowania i zabezpieczenia mieszkania. To fajne, ale wolałbym sam, a to wymaga czasu. W weekendy chyba poradziłbym sobie, bo nie mam nic do roboty. Ale nie. Administracja nam to robi i szlus!

U mnie upały okropne. Nocami cykady świdrują w głowie i jeszcze ten remont! Proszono mnie pięknie i miło, żebym sobie wyjechał na weekend. I już nawet miałem odwiedzić kolegę w Daegu, ale jak to bywa w życiu, lunęło jak z cebra, więc nasz wypad w góry nie wypalił. Za to pojechałem na spore zakupy do tutejszej hurtowni. Kupiłem sobie skrzynkę dobrego australijskiego wina, dwa duńskie sery pleśniowe (drogie, ale co tam, wynagrodzę sobie ten remontowy bałagan), zwyczajne, à la duńskie masło, śmietanę i jeszcze jakieś słodkości, bo jestem łasuch. W domu nie ma gdzie normalnie usiąść. Trwało to tydzień, razem z klatką schodową. To mały budynek, dwa piętra i kilka mieszkań. Ale... ładnie jest teraz! Przyszła ekipa poremontowa i mieszkanie dosłownie wykapała do czysta! Nawet powiesiła obrazki i poustawiła meble z powrotem! W ramach remontu!

W tygodniu miałem masę pracy i wracałem zmęczony. Po basenie padałem na pysk. Statek w budowie to nagrzaną w słońcu stalowy kadłub, linki, zastój powietrza – dosłowna sauna. Ale z sauny wychodzisz, kiedy chcesz, a tu trzeba wszystkiego dopilnować. Za bramą stoczni też upał, powiewu żadnego. Kolega pisał z Kuwejtu, że u nich jest czterdzieści pięć–pięćdziesiąt stopni wewnątrz kadłuba i czuje się jak kurak w piekarniku, „jaja mi się chyba ścięły”, dodał – żart facetów (wybaczysz?). No więc jestem w lepszej sytuacji. My mamy tylko trzydzieści osiem stopni na zewnątrz (w kadłubie też około czterdziestu), a w weekend zapowiadają spadek nawet do trzydziestu! Ha!

Dom, zimne piwo, trochę światowych dzienników, BBC, CNN, wiadomości miejscowe po angielsku i budziłem się jak stary dziad – przed telewizorem! Okropne.

Skrobnij, co u Ciebie. Pomysł z rozdzieleniem mieszkania dobry. Też bym tak zrobił. Zwłaszcza, wybac, gdy stałe dochody Ci się rozsypały.

A.

Remonty paralelne. Tyle że u niego odświeżenie za kasę admini-stracji, a u mnie totalna rozpierducha ze zmianą jakości i nikt mi nie przysyła ekipy do pakowania i rozpakowywania. Już właściwie skończone. W saloniku, na którym kończy się moje obecne mieszkanie, kupa paczek, czyli czeka mnie teraz zabawa w Kopciuszkę. Tylko nie mak z popiołu, ale przydasie z tego, co tak naprawdę niepotrzebne. Stare mieszkanie po pani Mieci stoi sobie świeże i puste. Teraz tylko wynająć, bo to oznacza miesięczne kapanie potrzebnych mi bardzo pieniędzy.

Chodzę między paczkami jak bocian i nie chce mi się ich za cholere rozpakowywać. Wiem, jak się będę trzęsła nad każdą duperelą. Lilka! Jesteś tu potrzebna! Chodź mi tu zaraz! Oj, tak! Lila natychmiast by przyniosła wielkie wory na śmieci i bezlitośnie skazywała na śmietnik to, co ja zapewne jeszcze bym ułaskawiła.

OK, zacznę od rzeczy kuchennych. Trzeba gdzieś jeść i pić. To zajęło mi cały dzień. O, matko! Co to za okropne zajęcie! Ile ja rzeczy uzbierałam! Samych otwieraczy do wina mam siedem, masę talerzy, każdy z innej parafii. Po co? No bo jak wpadnie więcej gości... A wpadło przez ostatnie piętnaście lat? Do kosza! O, ten nie. Jeden mam taki. Kupiłam go na targu w Kazimierzu. Jest tak cudnie staro-świecki! A niedobitki z poprzedniej epoki – won! Podobnie jak szklanki. Nie cierpię szklanek, to Mirkowe zbiory. Stały na najwyższej półce w szafce – tam już nie sięgałam. Zajmowały miejsce, wynocha! A... jeśli wpadnie ktoś, kto lubi pić ze szklanki? – zastanawiam się i już słyszę głos Lilki:

– To wypije w kubku. Wywalaj! Coś ty taka troskliwa?

– O kogo? – pytam.

– No właśnie, o kogo?

Szklanki precz. Układam w kartonie obok niechcianych talerzy. Postawię przy śmietniku. Po co tłuc?

Tak się zabawiałam z każdą filizanką i miseczkami, aż przyszła pora na garnki. Te

duże stoją nieużywane od wyjazdu pana Grzegorka do Krakowa na studia. Jeszcze kiedy był w liceum i uczył się z kolegami tu u nas do matury, gotowałam w tym garze masę spaghetti, a w tym drugim – sos boloński. Uwielbiali to! A ja lubiłam te ich nauki. Wpadało ich tak od trzech do sześciu i zakuwali. Młode to i głodne! Uwielbiali rzeczy najprostsze jak ziemniaki ze skwarkami i kefirem. Też w tym garze im gotowałam! A skwary musiały być duże i chrupiące. Czasem zamiast kefiru mizeria, mnóstwo mizerii pływającej w cienkiej śmietanie, z koperkiem i szczypiorem. Zimą zaś wykorzystywałam do skarmiania ich o, tę wielką brytfannę z jeneńskiego szkła, żaroodporną. Podawałam w niej wykwent, za który całowali mnie po łapkach, czyli kaszanek z cebulą z naszego bazaru. Fantastyczną kiskę tu sprzedawali! Cała jej brytfanna, okraszona zrumienioną cebulą, i pieczone ziemniaczki. I oczywiście szedł do tego cały słoik kwaszonych ojcowych ogórków. No i bigos gotowałam w tym garze od spaghetti, zawsze za dużo. Ale Grzesiek mówił: „Mamo! Charty zjedzą! W poniedziałek klasówka z chemii, spokojna głowa”. I zjadali...

Po co mi teraz te gary? Stały w głębi szafki zakurzone. Po co?

– Wywalaj! – podszeptuje Lilka.

I wywalam. Posłuszna jestem, bo ona miała taką umiejętność oceny, co się przyda, a co nie. Nie żeby była jakąś Pytią, bo dodawała czasem cicho: „A jakby co, kupisz sobie nowe”. Prawda... Dzisiaj AGD jest tanie i jest tego mnóstwo. Jakby tu zjechał oddział wygłodniałych kawalerzystów, to... zamówię im pizzę albo makaron z klopsami. Powyżej stu złotych dostawa gratis!

Zniosłam kartony z niechcianym szkłem, garnki i postawiłam w śmietniku. Zaraz tego nie będzie. Teraz szukam paczki ze sztućcami. Była cała rozkompletowanych, ale nie ma. Nie ma, nie, ma! „Diabeł trzasnął”, powiedziałyby Gieniu. Trudno.

Szło mi powoli, ospale. Nie znoszę tej roboty. Odrywało mnie byle co. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko nie porządkować, nie szukać, nie decydować, co wywalić. Wykonałam znów kilka telefonów w sprawie pracy, pogapiłam się na martwe podwórko, a wracając ponownie ze śmietnika, znów natknęłam się na sąsiadkę z góry, unikającą mnie ewidentnie. No, cóż...

Paczki ze sztućcami nie znalazłam, ale za to odkryłam... kuferek z kosmetykami. Stwierdziłam więc, że absolutnie i koniecznie muszę zmyć stary lakier i nałożyć nowy. Ale żeby to zrobić, trzeba wyciąć skórki. Zupełnie jak wtedy, kiedy nie mam weny i kiedy najważniejsze jest wszystko inne tylko nie tekst, którego nie mam w głowie. Jak przed klasówką z trygonometrii – wszystko było ważne, tylko nie sinusy i tangensy. KOMU TO POTRZEBNE?!

Potem poszło szybko – bo układać lubię.

Poszłam spać zła na siebie, że zmarnowałam cały dzień tylko na małą kuchnię.

Ania, Anula

Pojechałam do taty, właściwie nie wiem po co. Mogę już mieszkać u siebie.

Udaję sama przed sobą, że chodzi mi o świeże ogórki, jajka i śmietanę od Kobylińskiej. A tak naprawdę uciekam do niego jak kiedyś, kiedy byłam życiowo obolała. Zawsze tatowa dłoń na policzku dawała mi spokój. Wpadał Gieniu, Kobyliński popatrywał spod białych rzęs, milcząc, a czasem nawet mówił coś krótko i treściwie. Mogłam zapisywać te jego myśli! Na przykład: „No, nie może być cały czas dobrze, pani Marianno, bo by człowieka zemgliło!” albo „Lepi żałować za jakie grzechy, niż płakać potem, że się spieprzyło życie albo że, no, wie pani co!”. Dokładnie słowa H. Jacksona Browna juniora, które na swoim wallu ma koleżanka z redakcji: „Bądź śmiały i odważny. Kiedy obejrzysz się na swoje życie, będziesz bardziej żałował rzeczy, których nie zrobiłeś, niż rzeczy, które zrobiłeś!”. Kobyliński nie miał tylko takiego wykwintu, ale przecież filozofia ta sama. Czasem tak siedział koło nas i jakby nie słuchał, lecz umiał z nagłą podsumować coś niezwykle trafnie. „Nie wszystkie ludzie widzą, co jest dobre. I co chcą wszystkie ludzie, też nie zawsze jest dobre, no tak?” Dzisiaj Kobylińskiego u ojca prawie nie uświadczysz. Stary i z mniejszymi siłami zajął się wnukami, plecie kosze. W czasie pogody zawsze można go zastać na ławeczce przed domem. Gienio fruwa z aniołami, a może jeździ na niebieskim harleyu? Lilka skacze po chmurach, a Włodek pewnie wiedzie spory ze świętym Piotrem.

Tu, na ziemi, tatko zajęty podwiązywaniem pomidorów, Anula też w swoich rewirach, chyba robi dżem truskawkowy, a Kasia z Łukaszem wpadają tu, fotografują i opisują małe jabłuszka na młodych drzewkach starych odmian, a potem wyjeżdżają.

– Aniu, dokąd ich tak nosi? Nie żal im benzyny?

– A bo my mamy pieska, no i... mają pusty dom dla siebie, kiedy ja tu odpoczywam u państwa!

– No to niech go przywiozą tu, jeśli to nie jest jakiś pies Baskerville'ów, i już! – zdecydował ojciec.

Nie obchodzi mnie cudzy pies. Siadam w altanie i odpisuję Antkowi:

Cześć, Emigrant!

Właśnie się chmurzy. Ma być ochłodzenie nawet do osiemnastu stopni!

Sorry, że krótko, ale nie mam weny i wściekła jestem, bo nie znoszę zabawy w chowanego – czyli rozpakowywania i chowania różnych rzeczy na miejsce. Napiszę później.

M.

Anula przy pływa z filiżanką herbaty i jakimiś ciasteczkami.

– Co to? – pytam niegrzecznie.

– Drobiazg taki na smutki. Ciasteczka migdałowe. Masz kłopoty?

Opowiadam jej o tym, jakie życie jest niesprawiedliwe, że muszę rozpakować to

wszystko i jeszcze sortować, i że nie cierpię tego! Roześmiała się i powiedziała:

– Pomożesz mi z truskawkami, to jutro pojedziemy do ciebie. Zobaczysz, jak nam szybko pójdzie. No?

Po obiedzie włożyłam fartuch, Anula swój i rozsiadłyśmy się nad miednicą truskawek i lubianką porzeczek.

– Ostatnie – powiedziała.

– Co?

– Truskawki! I pierwsze porzeczeki. Ładnie złamię słodycz truskawek.

Pracowała jak maszynka, mówiąc coś o tych dzemach, opowiadając, jak je smaży. A ja, skubiąc szypułki, odpłynęłam myślami w moje sprawy, co jakiś czas machinalnie potakując, jakbym faktycznie słuchała, ile wziąć cukru, a ile owoców. Myślałam o Marcinie, o Jarku-Ofelii, czyli o facetach, z którymi może i nawet coś by mi w życiu wyszło, ale nie wyszło...

– Aniu? – przerywam jej. – Jak długo jesteś sama?

– Dziesięć lat. Czemu pytasz?

– Bo ja od niedawna. Jestem rozwiedziona i bez pretensji do męża. Ale teraz, kiedy jestem tak bardzo sama, kiedy nie ma Lilki, mojej siostry...

– Wiem, wiem, Michał mi opowiadał.

– Michał? – zdziwiłam się, a ona uśmiechnęła się szeroko i wyjaśniła: – Kiedy ciebie nie było, przeszliśmy na ty. Opowiedział mi o was, o Lilce... Siedzieliśmy tu, bo w telewizji, jak wiesz, jakieś totalne bzdury, więc poprosiłam go o jakąś książkę i tak się rozgadał. On się rozgadał.

– O Kobylińskim też mówił? I o Gieniu?

– Wszystko! Powiedział, że to dobre ćwiczenie, bo jeszcze chwila i wszystko pozapomina.

Hmmm. Za mało z nim rozmawiam? Dlatego tak się rozgadał z właściwie obcą osobą! Nie mam dla niego czasu. Nie siadamy już tak do wspominek jak kiedyś, obawiając się, że będziemy się wzajemnie ranić. On tęskni za mamą, za Gieniem i Lilką chyba bardziej niż ja. To dobrze, że go Anula stworzyła. Dobrze!

Przyszedł do nas wprost z ogrodu. Zdjął kapelusz i usiadł ciężko na ławce. Wącham jego ręce zielone od łodyg pomidorów. To taki lekko drażniący zapach!

– Co robisz, wariatuńciu?! – Ogania się.

– Ojej! – Ania zerwała się na równe nogi. – Która to?!

Zabrała miednicę oskubanych owoców i poszła do domu, sumitując się, że przecież to już czas na kolację.

– Miała być wczasowiczka, a jest... domownicza – powiedział ojciec i zamknął oczy. – Dobrze się u nas czuje i nie dość, że kompletnie bezobsługowa, jak się reklamowała, to jeszcze nas obsłuży! Jak tam, Baranku?

– Jutro zabieram Anulę do mnie. Pomoże mi poustawiać książki. Wiesz, jak tego nie lubię.

– Robi to jak rasowa bibliotekarka!

– Tobie też poustawiała?

– Przedwczoraj, tematycznie. U góry poezja, obok powieści, niżej podróznicze

i słowniki, krajoznawcze i podobne. Dalej biografie i te moje ulubione, wiesz, obok cały ten regał, na którym stał budzik, zastawiła moimi zawodowymi. A najniżej zeszyły albumy z fotografiami, Gierymski, Wyspiański i miasteczka toskańskie, ten album od ciebie. I teraz... niczego nie mogę znaleźć! – Zaśmiał się i dodał, otwierając jedno oko: – Ale mam porządek! Zabierz ją, ona jest pod tym względem świetna! A ja odpocznę. Miła jest, ale wiesz... Nie przywykłem.

Porządki

Nazajutrz na śniadanie dostaliśmy po miseczkę świeżego dżemu porzeczkowo-truskawkowego, który już się nie zmieścił do słoików, z bułeczkami wielozbożowymi. Ania puchła z dumy, kiedy zajadaliśmy je z zachwytem. Potem błyskawicznie sprzątnęła, powiedziała tacie, że w lodówce jest zapiekanka, i zaczęła mnie zaganiać do samo-chodu. Niewiele rozmawialiśmy w drodze, bo nastawiłam radio. Nie umiem jeszcze wyobrazić sobie jakiejś długiej rozmowy z nią, więc muzyka jest dobrym wypełniaczem. Kilka zdawkowych: „Lubię Gershwiną”, „Patrz, jaki okropny banner. Teraz te reklamy są takie agresywne” i „Czy mogę wyłączyć klimatyzację?”, tudzież „Jak ty się tu nie gubisz na tych rozjazdach?” – i dojechaliśmy wreszcie do domu. Na schodach spotkałyśmy nieszczęsną sąsiadkę z góry, która na mój widok zrobiła głęboki wdech i zatrzymała mnie:

– Przepraszam. Będzie pani miała kłopoty...

– Bo...? – odpowiedziałam pytaniem.

– ...bo my nie mamy ubezpieczenia – jęknęła jakby zawstydzona. – Tyle mieliśmy wydatków, mąż nie zapłacił i, no... tak, właśnie.

Nie zdążyłam się pozbierać, kiedy Ania wypaliła szczerze i z uśmiechem:

– A to faktycznie problem. Ale to już ubezpieczyciel się tym zajmie i lepiej się z nim dogadać, bo potem te sądy...

Sąsiadka została na schodach, a my weszłyśmy do mieszkania. Anula nie chciała kawy. Włożyła fartuszek i zaczęła to, po co przyjechała, rzucając w stronę scindapsusa:

– Ale wyłysiał. Może go wywalić? Kupisz sobie jakiego benjamina czy co. Albo storczyki...

– Nie. On tak ma, że łysieje, a potem pięknie rośnie. Zostanie. Ja go na końcu jakoś zaaranżuję.

Początkowo byłam zła, bo sądziłam, że usiadziemy, wypijemy kawę, ja jej jakoś objaśnię, gdzie, co i jak, ale ona „z mety w konkrety”. Choć może to i dobrze?

– Ładnie to popakowane wszystko! – pochwaliła Facetów z Wenus, choć nadal nie rozumiała tej nazwy. – Żeby porządna firma tak się nazywała...? To niepoważne!

Puściłam tę uwagę mimo uszu, bo już czułam, że Anula jest tradycjonalistką i pewnie nawet nie czytała *Greya*, a owych facetów ma za lowelasów.

Sprawdziłyśmy, czy regał trzyma się ściany porządnie. Ona zażądała wiaderka z wodą, żeby go przemyć – choć mi wydawał się czysty – i sarknęła, że warto go nawoskować. Nie mam wosku. Drewno było pociągnięte lakierobejcą, więc co da wosk? OK, nie mądrzę się.

Rozstawiłyśmy stół i zaczęłyśmy. Ja przynosiłam książki i odwijałam z papieru, a ona tylko szybko zrobiła ze mną naradę, gdzie ustawimy jakie gatunki, bo uparła się ustawiać albo autorami, albo tytułami, albo gatunkami. „W bibliotece to autorami, ale w domu – tylko gatunkami! Jeszcze mi podziękujesz”. Byłam z lekka rozczarowana, bo to, do licha, mój dom, mój regał i moje książki, i chciałam je ustawić jak kiedyś, ale prawdę mówiąc, nie pamiętałam za dobrze, jak stały i dlaczego właśnie tak. Kojarzyłam, że na górnej półce po prawej, tak pośrodku, stały podróznice, a z nimi, nie wiem czemu, albumy fotografii, sztuki i malarstwa.

Anula poprzeglądała je:

– Są dla ciebie ważną pamiątką?

– Nie.

– No tu masz dedykację, że za dobre sprawowanie na obozie harcerskim. *Krynica w fotografii*. Potrzebne ci?

Olśniło mnie. Nie!

– Ale ja nigdy nie wyrzucałam książek!

– To najwyższy czas. Pracowałam w bibliotece. Ludzie umierają i zostawiają tony książek, a potem rodzina, mając takie przekonania jak ty, dyga do biblioteki, sądząc, że my padniemy zachwyty. Tymczasem nam nie są potrzebne stare wydania *Rocznika Statystycznego*, *Dziadów* bez ostatniego tomu i tysiąca innych zakurzonych woluminów, na które nie mamy miejsca i którymi nie zainteresuje się pies z kulawą nogą! Chyba że to są jakieś białe kruki. I ludzie, wiesz, nie rozumieją, że to dla nas tylko kłopot!

– Nigdy bym nie pomyślała...

– No właśnie. Więc jak z tą fotografią Krynicy? Może wydrzyj tylko dedykację?

– Eeee. Po co mi?

– Po nic, tylko nazwisko tam jest.

– Fakt.

Poszło gładko i przyznałam jej w duchu rację. Książki medyczne Mirka spakowałam ponownie. Oddam mu. Ale Jürgena Thorwalda *Pacjentów* i *Stulecie chirurgów* zostawiam. Odkurzam każdą książkę i odkładam na stół już według gatunków. Potem podaję Ani stojącej na niewielkiej drabince kilka, żeby wstawiła na odpowiednie miejsce. Nie powiem, kilka razy dość mocno musiałam pertraktować, żeby zostawić na przykład jedno z pierwszych wydań *Muminków*.

– Przepraszam cię, ale czytasz to? – zapytała obcesowo. – Ja rozumiem, że to słodkie takie, ale ty dorosła już jesteś, a i twój wnuk, zdaje się, wyrasta właśnie z tego?

Poddała się przy *Kubusiu Puchatku* wydanym dwujęzycznie i starej, zniszczonej serii *Ani z Zielonego Wzgórza*, którą dostałam od ciotki Jadwigi. Anula westchnęła i powiedziała, że ona też uwielbiała *Anię*, więc... postawi się je o tu, wysoko, bo rzadko tu sięgam. Będzie to półka na starocki i bajki, bo jeszcze się znalazły *Baś-nie* Ander-sena z ilustracjami Szancera, *Pchła Szachrajka* w płótnie, *Ronja, córka zbójnika*, *Pożyczalscy* i kilka innych, których nie oddam za nic w świecie. Anula znów jęknęła, ale dała mi spokój.

Po południu moje książki stały na regale jak wojsko. Anula namówiła mnie jeszcze na zrobienie etykietek z napisem, co jest co – żebym się nie pogubiła i zachowała porządek. Muszę przyznać, że ma wielki talent artystyczny. Napisała mi pięknie na ładnym, ciemnoherbacianym brystolu, który znalazła w moim biurku, nazwy gatunków, a potem jeszcze zrobiła jakieś obwódki i zdobienia. Kiedy poszłam do delikatesów po jakieś jedzenie, ona w tym czasie umyła łazienkę po Facetach z Wenus, którzy i tak zostawili po sobie hotelowy porządek, i właśnie zaczęła ustawiać kosmetyki.

– Ułóżysz je sobie potem po swojemu. Daj ręczniki i szlafrok. Co teraz?

Zjadłyśmy pieczonego kurczaka z surówką i znów Ania wstała dziarsko, jakby była wciąż pełna sił, i rzuciła się do walizek, żeby poukładać w szafach. Wieczorem ja padałam

na nos, a ona była „lekką zmęczoną”, więc z radością przyjąłem jej rezygnację z powrotu do domu taty. Prześpijemy się u mnie – ja na swoim tapczanie, ona na kanapie w byłym pokoju Lilki. Jeszcze zostały nam cztery pudła nie wiadomo czego, karnisze i firanki.

– Przepraszam cię, Aniu – zapytałam ciekawa – ale ile masz lat?

– Sześćdziesiąt dwa. Kasia jest późnym dzieckiem. Miałam starszego syna, ale zginął przypadkiem. Jakaś bójka młodzieży na zabawie w remizie. Długo nie mogłam się otrząsnąć, mąż błagał, w końcu dałam się uprosić i stąd jest Kasia. A czemu pytasz?

– Masz więcej siły ode mnie. Ja ledwo zipię.

– Bo pewnie masz menopauzę – odpowiedziała bez cienia zażenowania. – No i stale siedzisz, a to fatalne dla nas, dojrzałych kobiet. U nas w szkole była taka dziewczyna od wuefu i prowadziła dla nas, senierek, takie fajne zajęcia ruchowe. Szkoda, że już tam nie pracuję – dodała z żalem, ale szybko zmieniła temat: – Zrób badania. Menopauza odbiera siły. Plasterek pomoże! No ja bym już się położyła, bo czuję w mięśniach tę naszą pracę. Ale wzięłam sobie do poczytania *Stulecie winnych* Grabowskiej. Koleżanki się zachwycały! – rzuciła i poszła.

Telewizor niby stoi tam, gdzie powinien, i nawet podłączony, ale nie chce mi się oglądać. Za dekodery już dawno nie płacę, a rządowe kanały jakoś mnie nie interesują. Poczytam o menopauzie.

Słyszałam, jak Ania wstaje w nocy, usłyszałam też jej szuranie rano, gdy wydawało mi się, że dopiero co świta. Zwlokłam się i ja, bo nie wypadało leżeć, gdy ona już na nogach.

Siódma?!

Przy śniadaniu zakomunikowała mi, że poprzeglądała już moje zasłony i firanki i że to się też do niczego nie nadaje. Od dawna używałam tylko zasłon. Firanki z poprzedniej epoki, z poprzedniego życia, tylko sobie leżały w pudle jako przydasie. Po licho? Nie wiem, ale nie pozwoliła mi ich zostawić koło śmietnika, mówiąc, że może na wsi się przydadzą. Zaczęła mi opowiadać, jak cudnie można zaaranżować okna, jak udrapować bajecznie białe firany z marszczeniami i falbankami. Poczulałam gwałtowny opór. Już nie, już wystarczy, bo ani się obejrzę, a będę tu miała mieszkanie Anki. Już i tak usłyszałam, co powinnam tu zmienić, żeby było przytulnie. Ania ma gust... szwarcwaldzki.

Dość sprawnie przy jej pomocy poukładałam w szafach ciuchy i pościele i pojechałyśmy do taty. Tym razem też słuchałyśmy muzyki z kanału dla dinozaurów i raczej nie gadałyśmy. Jakoś... chyba wyczerpałyśmy tematy.

Nie była obrażona – i za to jestem jej wdzięczna – ale dostrzegłam u niej nauczycielskie zapędy. To ma swoje dobre strony, lecz jestem już stara i trudno mi zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń, choć na książki w innym szyku dałam się namówić.

Anulę tylko zostawiłam u taty i szybko wsiadłam do samochodu. Chciałam już

wracać, bo nabrałam wiatru w żagle. Po remoncie mieszkanie wyglądało pusto i obco. Postanowiłam wpaść do Empiku i obkupić się w czasopisma wnętrzarskie, by znaleźć jakieś pomysły na mój stary, ale nowy dom.

Fakt – masę rzeczy wyrzucili za moją zgodą Faceci z Wenus, głównie stare meble z mieszkania po pani Mieci, które teraz, ponownie oddzielone, stało puste i czekało na najemców. Z Anulą wywaliłyśmy resztę. Biegałam tylko na śmietnik z worami pościeli Mirka, starych koców, jakichś kilimków i wypłowiałych obrazków. Wyrzuciłam też dywan z pokoju Lilki, który wstawiłam do garderoby tuż po tym, gdy pierwszy raz wymiotowała po szpitalu. Wyczyściłam go wtedy, zrolowałam i tak czekał... I lampę stojącą, starą i brzydką. Gdy ją znosiłam, natknęłam się na dozorczynię.

– Przepraszam, ale czy ja mogę w śmietniku stawiać też gabaryty? – Pokazałam moje worki i pudła i potrząsnęłam lampą.

– Stawia pani. Byle nie pralkę czy kanapę jak ta z góry, co panią zalała. Bo po gabaryt to śmieciarz był tydzień temu i zabrał. A to nurki rozniosą ino mig! Sama pani zobaczy! Ja potem pozamiatam. Idzie pani! A ta lampa? Mój zięć zaraz by sobie odnowił.

Lubię recykling.

Sikacz za 5,50

Mail do Antka:

Cześć, Emigrancie,

wróciłam do życia na dobre. Mieszkanie już po remoncie, a ja lżejsza o mały samochód. Tyle odłożyłam na koncie na czarną godzinę i fiuu! Poszło. Moje wielkie mieszkanie podzieliłam na dwa wyjściowe. Bo po licha mi teraz taki metraż? Szczególnie gdy jestem bez stałej pracy. To mniejsze wynajmę i będzie na życie.

Ojciec w doskonałej formie, więc jestem o niego spokojna. Zajął się wraz z dwójką młodych ludzi z SGGW starymi odmianami jabłoni. Wspominałam Ci? I to chyba sprawia, że krew mu żywiej krąży. Nadto zjechała tam do niego mama studentki – Anula, pani lat 60+, bardzo żywa i ochocza do porządkowania i sprzątnięcia z gotowaniem, bo mój ojciec wielkodusznie funduje jej wczasy pod gruszą.

Na koniec jeszcze jedna przyjemna historia.

Kupowałam w sklepie z mydłem chustki do nosa. Stałam obok regału z winem, gdy usłyszałam za sobą męski głos:

– A co to takiego?

Odwróciłam się, spojrzałam i mimowolnie odpowiedziałam:

– Obniżka.

– To widzę. Ale czy to nie podejrzane?

Wzięłam butlę do rąk. Obniżka z 14,50 na 5,50. „Wino półwytrawne musujące różowe” – czytam głośno, potem patrzę na kartkę ze starą i nową ceną.

– No, za piątką ma pan musujące wino!

– Ja panią pytam, z jakiego powodu ta obniżka.

– Ale ja tu nie pracuję, proszę pana.

No i oczywiście „Ach, przepraszam” i zaraz potem: „Ale za piątkę? Takie żółte to może być moc do analizy!”.

– Niech pan zobaczy, wino jak wino. Kolor żółty, barwa słomkowa, odczyn... nie wiem, bo nie piłam, ale na etykiecie, że różowe. Źle okleili i teraz ze wstydu obniżają.

Wcale nie musi być szczególnie podłe. Jest gorąco, a takie musujące... Proszę sprawdzić, ile tam tego jest.

Pochylam się i on się pochyla. Osiem butelek!

– No to co? Ryzykuje pani? – pyta gość.

Akurat stałam obok kasy kosmetycznej, w której niemal nieruchoma jak woskowa figura ekspedientka nie wykazywała żadnego zainteresowania naszymi rozterkami, bo ona przecież była od kosmetyków. Podałam jej butlę i odliczone pięć pięćdziesiąt. Zainkasowała i podała paragon. Wtedy odkręciłam flachę. Wino lekko się speniło, a ja pociągnęłam spory tyk.

– Biorę wszystko! – powiedziałam do niej, a pan jęknął, że to przecież on pierwszy...

Podzieliliśmy się, pytając, czy nie ma jeszcze na zapleczu, bo i on po zakupie siorbnął i cmoknął z akceptacją. Niestety nie było.

Tak oto stałam się posiadaczką pysznego musującego wina, które doję w domu z listkami mięty i kroplą soku z granatu. Niczego nie niszczy, bo to żaden szal. No szal za piątką. Stać mnie.

Co u Ciebie?

eM.

Siedzę na tapczanie, piję owego sikacza i oglądam czaso-pisma wnętrzarskie. W telewizji znana pani urządza ludziom mieszkania. W reklamie widzę, że zamienia nudne na niby-nowoczesne i cie-kawe. No nie wiem, czybym się odważyła na aż tak drastyczne zmiany – czarna ściana, na drugiej zgniózielone pasy, bardzo ostre kolory ikeowskiej kanapy i półka na ścianie w kształcie ślimaka. Biały abażur z białych ptasich piórek (zbiorowisko nieusuwalnego kurzu) i rolety w amarantowym kolorze. No nie moja bajka, ale... przypatruję się roletom.

Mój pokój po remoncie jest bardzo surowy. Nie chce mi się wieszać karniszy ani zasłon, ale przed słońcem muszę się zasłonić. OK. Ostatni już chyba wydatek to rolety i telefon do pana z Wenus na półgodzinny montaż. Cena znów powalająca i termin odległy, więc rezygnuję. W wielkim budowlanym sklepie rolet mnóstwo, jedno- i wielobarwnych. Kapitalna obsługa, podświetlają mi je od spodu, żebym widziała, jak to będzie ze słońcem. I już chcę je kupić, gdy pada najnormalniejsze pytanie sprzedawcy: „To jaki rozmiar?”. Oczywiście, że nie miałam pojęcia. Na rozstaw rąk pan zdecydowanie zareagował śmiechem i polecił jednak pojechać i wymierzyć. Zaliczyłam więc ponowny wyjazd po nie, uzbrojona w kartkę z wymiarami.

I nawet już byłam w dziale narzędzi, żeby kupić sobie wiertarkę, bo Mirek nie był typem majsterkowicza i takiego urządzenia w domu nie posiadaliśmy, gdy podszedł pan obsługujący ten dział i po krótkim wywiadzie – mimo mojego jawnego zachwytu – powiedział serdecznie:

– Wie pani co? Ja jestem, owszem, za emancypacją, ale jeśli pani NIGDY nie wierciła otworów ściennych i nie wie pani, co ma w ścianach, to ja bym jednak odradzał zabawę w Słodowego. Nie ma pani... brata, syna, skoro mąż nie wywierci?

– Nie mam.

– A sąsiad?

Do domu wracałam, pogwizdując. W końcu wypiliśmy z sąsiadem z góry troszkę wódeczki podczas pamiętnego potopu, więc może on? A jeśli nie, trudno, zadzwonię do... Jarka-Ofelii.

Sąsiad bez większych ceregieli obsadził mi rolety, pogadał o drogim remoncie, wypił dwa kielichy musującego wina i poszedł. Przyzwyczajałam się do mojego pustego teraz mieszkania. Było wręcz surowe bez tych dupereli, cacek, obrazków... O właśnie. Zapomniałam o obrazkach. Kilka przydałoby się jednak powiesić, od tego są. O, i kilim nad łóżkiem. Gdzie on jest? Stary, ładny i taki... tutejszy.

Pomyślałam, że powinnam jednak mieć skrzynkę z narzędziami. Mam z przyborami do szycia, a nie mam nawet pół gwoźdza, żeby obrazek powiesić.

W wielkiej sieciówce pan na dziale narzędzi powitał mnie jak starą znajomą i podszedł do sprawy ze zrozumieniem.

– Pani najpierw wejdzie sobie na taką stronę internetową, na której pokazują, jak się wierci, i skoro się pani upiera, to polecałbym tę. Jest średniej klasy, nie za ciężka, w komplecie z wiertłami. Wiertarko-wkrętarka. A tam jest regał z drobnicą, to proszę sobie tam wybrać gwoździe, młotek, cęgi i wkręty. Co pani ma w ścianach – beton czy cegłę? A może płytę gipsową?

– Cegłę. To dom z lat pięćdziesiątych i kiedy sąsiad wiercił, to leciał różowy pył. Cegła!

– Super! To proszę nie zanadto dociskać i życzę powodzenia! A i coś pani powiem jeszcze. Idzie pani.

Za ladą znalazł papier do drukarki, pokazał, jak go złożyć i przyłożyć do ściany, i dopiero teraz wiercić. Wówczas pył spada do tej papierowej kieszonki. Eureka!

Czułam się jak dziecko, któremu kupiono nowe wiaderko i foremki. W przedpokoju zaraz za drzwiami postanowiłam wywiercić moją pierwszą dziurę cienkim wiertłem pod cienki haczyk. Tam powieszę swoje okropne zdjęcie z liceum, które tatko tak lubił, albo te trzciny nad jeziorem, które się podobały Lilce. Za drzwiami mogę eksperymentować. W razie czego tata przyjedzie kiedyś i zaszpachluje dziury.

Rozpakowałam wiertarkę, wpięłam wiertło i stanęłam na krzeselku-drabince. Eeee, no i bez filmu instruktażowego poszło idealnie! To wcale nie takie trudne! „Trzciny malarza Porwasza”, jak mówiłam o tym zdjęciu po przeczytaniu *Skirolawek*, zawisły za drzwiami, a wyżej, prawie pod sufitem, to maturalne zdjęcie. Nikt ich tam nie będzie widział.

Pojadę z tą wiertarką do taty i tam powiercę sobie, ile tylko się da. Całą ścianę

starego magazynu nawiercę!

Postanowiłam, że w moim pokoju będzie jak dawniej – nad łóżkiem kilim ze zdjęciami rodziców, Gienia i Lilki. Niby taka ściana zmarłych, choć tatko jeszcze żyje, ale czemu ma nie wisieć koło mamy? To taki świetny portret! Lilka mu zrobiła późnym popołudniem, gdy słońce kładło się czerwienią na cały ogród. Tato przynajmniej nie jest blady, lekko mruży oczy i jest taki przystojny! Z tej samej sesji Gienio – roześmiany, bo coś mi opowiadał – a Lilka stała za nami i cykała jak rasowy reporter. Potem wybrała najlepsze.

Pożar

Zadzwoił tatko, żebym wpadła, bo musi mi coś powiedzieć. Jeśli mogę, to jutro z rana. Był tajemniczy i poważny.

– Stało się co? – dopytywałam, ale oganiał się od odpowiedzi.

– Anula miała pożar w domu – poinformował mnie, gdy tylko wysiadłam z samochodu. – Dom stary, w kamienicy wszystko się podobno wypaliło. Pojechała tam z Kaśką i Łukaszem.

– Ale jak to? Kiedy?

– Wczoraj rano ktoś z sąsiadów zadzwonił. Co za nieszczęście! Chodź, Baranku. Jadłaś śniadanie?

No ja nie wiem dlaczego, ale biały twaróg u taty smakuje mi z chlebem ogromnie, a w domu nie. Zjadałam kromę i słuchałam horroru.

– ...I wiesz, zawsze to powtarzałem, że powódź to zniszczenia, ale pożar to strata. Chyba wszystko im się spaliło. I wiesz, co pomyślałem?

– Niech zgadnę, tato. Anula tu zostanie, aż sobie jakoś to wszystko poukłada. Tak?

– No. Chyba nie widzisz w tym nic złego? I nie myśl sobie... – pogroził mi palcem.

Nic sobie nie myślę, bo jakoś nie widzę tu materiału na romans. Moja mama i Anula to jak dwunasta i szósta na zegarze. Ojciec miewał jakieś romansiki, ale nie wiem czemu w tajemnicy przede mną. Poprzyznawał się do nich później i z jakimś dziwnym wstydem. Ale jest taki gatunek ludzi, którzy, jak łabędzie, nie umieją już po śmierci partnera żyć po nowemu. Myślę, że Kobyliński też – jakby co – byłby sam.

– A co u Kobylińsia? – zapytałam, bo chyba był mi jednak bliższy.

– Ano nadciśnienie, cukrzyca, coś z kręgosłupem i był na operacji prostaty. Też się starzeje. Ale ja przy nim to, sama widzisz, kochanie, zdrowy jak moje jabłonki!

– Tak, oczywiście, jeśli nie liczyć twojego nadciśnienia i przypadków sercowych na Szaserów. Kiedy robiłeś badania?

– Jakie?

– Wszelkie?

Tatko wstał i machnął ręką, uznając temat za zamknięty.

– Kobyliński teraz ownuczony, a właściwie oprawnuczony, bo Pawełek to prawnuk, i Józik, i ta mała, jak jej tam, Klarcia. Siedzi przed domem i struga dzieciakom łódeczki, zabaweczki, mówię ci jaki dziadzio!

– Też byś tak chciał?

– Eeee, gdzie mi tam do takiego dziadkowania. Ja mam tu z Kaśką i Łukaszem misję do spełnienia! Ty wiesz, zabrali mnie w zeszłym roku, tak pod koniec listopada, do Parku Mużakowskiego. Ech! Oni tam mają warunki! Siedemset hektarów! A my tu co? Chyba wydzierzawię jeszcze trochę. Tam, za tym sadem, co to go wykarczowałam i gdzie teraz z Kasią mamy szkółkę młodzieży, są pola Parula. Parulowa się zwiija i jedzie do córki do Niemiec.

– Parul zmarł?

– Już ze dwa lata temu. Może kupić, co? Tylko co ja zrobię z tą ziemią, jak kipnę, Baranku? Na co tobie ona? I co będzie z drzewkami? Wiesz, dziecko – zaczął i widzę, że to będzie rodzaj zwierzenia, bo przysiada i patrzy gdzieś w dal – ja się śmierci nie boję, choć i jeszcze się nie wybieram. Czuję się naprawdę dobrze i – nie przerywaj mi – zbadam się, obiecuję. Ale gdy myślę o tym, że przecież każdy ma swoją datę przydatności... Pamiętasz? Gienek tak mówił. Brak mi go – zawiesił głos.

Nie pospieszałam go. Zaraz wróci do wątku.

– O czym ja...? A, że jedyne, co mi spać nie daje, to pytanie, co będzie z drzewami. Kiedy się wyniosę już z tego świata, to ty sprzedasz to komuś, ktoś wykarczuje... Serce mi pęka!

– Tato... – Nie wiem, co mu odpowiedzieć.

Fakt. Sadownikiem nie będę. No nie i już. Jeżeli taty zabraknie, sprzedam. Jasne, że sprzedam. I tylko – właśnie – co z drzewami?! Co z jego pracą? Taki jest zaangażowany i ta Kaśka z Łukaszem też... Eeeee, dzisiaj na pewno tego nie rozwiążemy. Tata też jest tego zdania i popatruje na zegarek, rozkłada gazetę i zabiera się za obieranie ziemniaków.

– Powinni wrócić niedługo, to obiad zrobię. Zostaniesz?

Anula wróciła szara i zrozpaczona. Kasia i Łukasz taszczyli z ich starego garbusa jakieś ocalałe resztki. Mało tego: obrazek, nad-palone zdjęcie, kilka książek. Żalodne szczątki ich życia. Ania usiadła i złożyła ręce na podolku, jak mówią, a głowę oparła o kratkę altany. Zamknęła oczy i milczała. Ojciec poszedł po coś do picia, ja wzięłam ją za rękę.

Nie otwierając oczu, wyszeptała:

– ...wszystko.

Przy kompcie Kasia opowiedziała o nieszczęściu. Kamienica stara już i zapyziała. Kilku sąsiadów z góry się wyprowadziło. Została Ania i sąsiadka z parteru, i dwa stare małżeństwa z pierwszego piętra. Przykrości ze strony nowego właściciela każą Łukaszowi się domyślać, że to być może jego sprawa.

– Nic kompletnie nie uratowaliście? – Nie mogłam uwierzyć w ogrom tego nieszczęścia.

– Zapaliło się w nocy. Zanim zadzwonili, to już nie było czego ratować, a strażacy zakazali wchodzenia do zgliszcz. Jeden dał się Łukaszowi uprosić i ten wszedł, wyniósł to... Nic więcej. Moje rzeczy są u Łukasza, znaczy – w mieszkaniu jego rodziców, tam często nocuję – Kasia patrzy na mamę i dodaje: – ale mamy rzeczy... wszystkie.

Anula nadal milczy. Jest zamyślona, jakaś taka zacięta, i wpatruje się w szklankę. Jeszcze chyba nie dotarło do niej, że właśnie została bez niczego.

– Najgorsze to chyba dokumenty – rzucam, żeby coś powiedzieć.

Łukasz wreszcie coś mówi:

– Odtworzy się. Ale dom do wyburzenia.

Kasia wstała i poszła do ich pokoju. Ania też powlokła się za nią. Zostaliśmy sami. Nie wiem, czemu zapytałam Łukasza:

– Kasia stale utyka. To coś poważnego? Bo jakby co, mój były mąż jest anestezjologiem, ale może zorganizować dobrego...

– Kasia ma protezę. – Łukasz popatrzył na mnie zdziwiony. – Nie wiedziała pani? Zamurowało mnie. Jak to: protezę? Lekko chodzi. Fakt, że mimo lata zawsze w spodniach, ogrodniczkach z grubego dżinsu. Ale w zasadzie rzadko się widzimy, nie przyglądałam się. Milczę. Czuję się niezręcznie. Spoglądałam na tatę. On uśmiecha się i mówi:

– Takie dzisiaj robią. Elastyczna, fajna. Prawda, że właściwie nic nie widać? Ładnie chodzi i... w ogóle. Teraz zbierają na taką nowocześniejszą, prawda, Łukaszu?

Ten tylko kiwa głową i milczy.

– Przepraszam, że pytam – zaczęłam – ale jak to się stało?

– Guz na kości – pospieszył z wyjaśnieniem tate. – Leczyła się, ale jakoś mało skutecznie i konieczna była amputacja.

Patrzę na Łukasza. Nie znoszę takich niekomunikatywnych ludzi. Powiedziałby po prostu wszystko na temat! To ciekawe! A on milczy jak jakiś Budda.

– Ale kiedy? – pytam go namolnie.

Wreszcie się odezwał:

– Zaczęła chorować w liceum. Przed maturą rzucił ją chłopak, a maturę pisała, wiedząc już, że tuż po egzaminach idzie na amputację. Miała rok w plecy. Po operacji leżała w Konstancinie i ćwiczyła. Pod koniec pierwszego roku dała się namówić na randkę. Rok koło niej chodziłem. Na trzecim roku zerwaliśmy i potem właściwie przed obroną jakoś znów... Wszystko? – zapytał chyba nieco obcesowo.

– Przepraszam.

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Jakbym zawiniła. Na chwilę sprawa nogi Kasi przykryła problem pożaru kamienicy w Garwolinie. Wstałam i się pożegnałam. Przy samochodzie tate przytulił mnie i szepnął:

– Ona na razie tu zostanie, Baranku...

– Jasne, tato.

To był przykry dzień. W domu czekał na mnie polecony od ubezpieczyciela z wyceną strat. Marnie... Pokryje to jedną trzecią tego, co wydałam. I nic nie dostanę od sąsiadów z góry. Nie są ubezpieczeni.

Sklep?!

Kilka dni później zadzwonił ojciec, że dzieciaki – czyli Kasia z Łukaszem – wpadły na pomysł i otworzą u niego sklep ogrodniczy. Mówią, że to blisko szosy i przy szerokiej ulicy, że jest miejsce na parkowanie tam, gdzie był ogród ze szklarnią i dalej sad, a dzisiaj jest szkółka. Wszystko to zamienią na sklep. Sporo się w koło buduje i skoro już mają w planach te stare odmiany jabłoni, to trzeba na tym zarabiać, a nie robić wyłącznie z miłości. I że mam się nie martwić, bo dzieciaki mają pomysł, potrzeba doprawdy niewiele. Jesienią drzewka ze szkółki wysadzi się na wynajęte pole, które przechodziło z rąk do rąk, więc już nie rozumiem, czyje jest. Najpierw, dawnymi czasy, było rodziców taty, potem ojciec je odnajął synom Kobylińskiego, potem... już sama nie wiem. Dzisiaj podobno wraca w tatowe ręce. Razem kilka hektarów po starych pieczarkarniach, bo pieczarki synowie Kobylińskiego zamienili na bilety lotni-cze i wyjechali do szwagrów w Hiszpanii rozwijać jakieś interesy z pensjonatami i nieruchomościami.

– Widzisz, Baranku, te ich dzieciaki takie sprytnie! Dogadało się rodzeństwo cioteczne, a potem rodzice i teraz wszyscy tam połączyli siły i budują spore przedsiębiorstwo turystyczne. Ja nie wiem, że to się im opłaca. I tak rzucają tu ojcowiznę...

– Tato, jaką ojcowiznę? Gospodarka Kobylińskich mała i uboga. To na twoich hektarach postawili pieczarkarnie i się dorobili. Może ty też byś dzisiaj był bogatym kułakiem, gdybyś w te pieczarki i *shiitake* poszedł?

– A ja co, biedak? Fakt, że usiadło to wszystko, sił nam z Kobylińsiem zbrakło, ale zawsze na kielbasę i benzynę było. Gdy mieliśmy szklarnie, kochanie, i jabłka, i warzywa, to i konto było tłuste. Pamiętasz? Nie biedowaliśmy, mieszkanie ci kupiłem... Dzisiaj już myślę, że sobie pójdę na emeryturę, ale Kasia wszystko podliczyła, a Łukasz pokazał mi to na komputerze. Taki biznesplan, jak to mówią.

– I? – Udawałam zainteresowanie, ale naprawdę byłam zła. Chęć to robić kosztem ojca? Dlaczego? Jakim prawem? A niechaj sobie kupią ziemię i wtedy robią z nią, co chcą!

– Jesteś tam? – pyta tatko, bo zamilkłam. – Ze starego magazynu akurat wyjdzie budynek sklepowy, a z obecnego magazynu – hala na to, żeby zimą tam stanął stół do rozsady, worki z ziemią, doniczki... Zrobi się zjazd z drogi do bramy, która i tak tam jest. Wiesz, tam, gdzie się wjeżdżało traktorem do sadziku.

– Tam, gdzie kiedyś studenci rozstawili namiot? Gdzie teraz masz tę szkółkę?

– No, przecież mówię! Nie uważasz. Drzewka są małe, to się je przesadzi i tam będzie plac zakupowy z roślinami do handlu.

Nie potrafiłam wykrzesać z siebie krztyny zainteresowania i tylko grzecznościowo przytakiwałam. Ojciec szybko skończył, mówiąc, że Anula woła na kolację. Odetchnęłam. Nie mój cyrk, nie moje pchły. I tylko czemu jestem zła?

Maile

Antek, ratuj!

Pojęcia nie mam, czemu mnie wszystko irytuje.

Po kolei.

Anuli tej, która spędza niby to wakacje u taty, spłonął dom, mieszkanie w Garwolinie. Caluśkie. Chyba, jak sądzą jej córka i prawie zięć, Łukasz, podpalenie przez złego kamienicz-nika. W nosie to mam! Ale żal człowieka. Mnie tylko zalało i dokumenty, książki, lachy czy ZDJĘCIA zostały! Ale myślałeś kiedyś, co byś zrobił, gdyby Ci spłonęło wszystko? Czego żałowałbyś najbardziej? Ja chyba zdjęć. Włodek opowiadał, że podczas wojny matka usłyszała syreny, nalot bardzo blisko, i miała już przygotowaną walizeczkę z najważniejszymi rzeczami, a w niej album i pudełko ze zdjęciami. I po kolejnym nalocie faktycznie z domu została kupa gruzów, że wszystko w drzazgi poszło, ale zdjęcia uratowała. I taszczyła je podczas wyjścia z Warszawy i potem. W podeszwach butów, w słoninie, miała schowane po cztery złote świnki. To po wojnie kilka razy uratowało ją i Włodka od strasznej biedy. Ale, jak mówił Włodek, zdjęć, wspomnień nie kupi się za żadne świnki ani dolary. No a Ania została tylko z tym, co ma u ojca. Kilka letnich łachów i już.

Następna historia to chłód i kalkulacja współczesnej młodzieży. Nie minęły trzy dni od tego pożaru, a już Kaśka i Łukasz dogadali się z moim ojcem, że zrobią u niego sklep ogrodniczy. Ledwo rok temu ta Kasia, mająca praktyki w Skierniewicach, namówiła mojego tatę na szkółkę starych odmian jabłoni, a dzisiaj już mowa o sklepie.

A! I jeszcze jedno. Doznałam niemałego szoku, bo dziwiłam się, że ona tak jakoś krzywo chodzi, jakby utykała. No bywa, że jakaś wada czy coś... A ona, uważasz, ma PROTEZĘ od kolana w dół... I nie to jest takie zadziwiające, że ma – no bo ma i cześć – ale to, że Łukasz poznał ją, kiedy już była po amputacji, i razem z kolegami przez dwa lata składał kasę z różnych koncertów i akcji, żeby mogła nosić taką bardzo nowoczesną. Teraz znów zbierają, bo Kaśka marzy o takiej, jaką mają biegacze. A tu sklep... Nie nadążam za młodymi.

I nie wiem, jaki miałby być w tym udział ojca, bo niezwykłam go pytać o jego pieniądze.

Widzisz... Taki był czas posuchy, a teraz tyle się dzieje!

U innych, bo ja nadal bez pracy. To słabe jest, ale nie upadam na duchu.

eM.

Marianno,

ucieszyłaś mnie. Twoje milczenie, stupor właściwie, było dla mnie trudne. Już myślałam, że to nie tylko śmierć Lilki tak Cię załamała, ale że mnie, starego nudziarza, masz dość.

Straszne z tym pożarem. Podobno najbardziej pożaru boją się mieszkańcy stacji polarnych.

Ania, jak mile o niej piszesz, ma w Was wielkie oparcie. Wierz mi, mało kto by się przejął.

Proteza? U tak młodej dziewczyny? Smutne, ale i radosne, że ta Kasia jest taka... ogarnięta, jak to mówią. I ten jej Łukasz też. Jakaś niezwykła historia, bo to zwykle kobietom nie przeszkadza kalectwo mężczyzny. Mężczyznom kalectwo kobiety – bardzo.

Nie byłbym taki mądraliński, ale właśnie oglądałem film o tym. Bohaterka jest kobietą bez rąk i ze zdeformowanymi nogami. Po talidomidzie. Jest ładna i fajna, ma świetnego męża i dwójkę dzieci. Sekwencje filmu pokazujące, jak ona sobie radzi z ich ubieraniem, kąpielą i porządkami, zmęczyły mnie ogromnie – oglądałem to cały jakiś... pokurczony. Wyobraźnia mnie zabijała. Potem wypowiadał się psycholog, że dzisiaj znajdują się mądrzy i współpracujący mężczyźni, dla których takie kalectwo kobiety nie jest problemem, ale kiedyś to było nie do pomyślenia. Odwrotnie – to kobiety od zawsze umiały kochać kalekich mężczyzn. Wiesz, że nigdy o tym nie myślałem? Ale to prawda. Macie w sobie coś z samarytanek. My z rzadka. Później pokazano podobne związki, ale doprawdy jest ich mniej.

Brawo, Kasia i Łukasz!

A co do tego sklepu, to jeśli Twój Tato też się w tym odnajduje, to chyba dobrze?

A rano znalazłam kolejny mail:

Panno Maniu – jeśli można na wesoło,

u mnie upały. Rozgrzane kadłuby sprawiają, że wewnątrz, gdzie nie ma żadnego ruchu powietrza, jest jak w suszarce do bielizny. Wczoraj mój kolega zastabł. Ja daję radę, choć najbardziej nie lubię, gdy taki mokry i spocony wylażę na nabrzeże i powieje chłodniejsza bryza. Z mety mam heksenszusa, jak mówiła moja mama. No cóż, młody to ja już byłem. I tak, przepraszam za narcyzm, jako sześćdziesięciolatek naprawdę lepiej sobie radzę od niektórych mło-dzików.

Za tydzień wymienią mi w domu lodówkę i klimatyzator. Całe szczęście, że mam

klimatyzator, bo wracam z pracy naprawdę ugotowany na miękko. Czasem mam jeszcze siłę i chęć wyskoczyć na basen – jest niedaleko, i nawet fajny, niewielki – ale bywa, że za dużo na nim matek z dziećmiakami i nie popływasz 😊 Wtedy tylko moczę się w chłodnej wodzie, żeby ochłonąć, i wstępuję do przybasenowego „klubu”, w którym ojcowie i mężowie popijają piwo albo grzechoczą lodem w szklaneczkach z ginem lub whisky. Wypijam i ja swoje piwo, zamieniam kilka zdawkowych słów i wracam do domu. Knajpy jakoś nigdy nie stanowiły dla mnie frajdy.

O! Od tego gadania o picciu nabrałem ochoty na gin z tonikiem, a nie mam toniku.

Jestem już wypoczęty, to się przejdę do sklepu. Cześć, Marianno.

PS Cieszę mnie Twoje maile! 😊 Inaczej brzmisz.

*Szybko napisałam:
Heeeej! Poczekaj!*

Kup i dla mnie, bo lubię i też nabrałam ochoty! 😊

Kto Ci wymienia te lodówki?

eM.

Po śniadaniu siadam do prasówki – jak nie ja. Otwieram laptop i czytam doniesienia o tym, co w świecie piszczy. Zatrważające, jak zaniedbałam swoją wiedzę o bieżących wydarzeniach. Wypadłam z obiegu. Co ze mnie za dziennikarka! Niby chcę być freelancerką, a nie wiem, co się dzieje... Załamka. Znów zaczynam intensywnie się zastanawiać nad tym, z czego mam żyć. Te grosze z ubezpieczenia mieszkania przejem, zanim się obejrzę. Powinnam się w kasie sklepowej? Czemu nie. Tylko ja ani techniczna, ani liczyć nigdy nie umiałam. Raz, kiedy siadłam porządkować papiery – jeszcze podczas studiów, na stażu – wyrzuciłam ważną fakturę na ciężkie pieniądze, bo była... brzydka i poplamiona. Sekretarka cudem ją znalazła w śmieciach za biurem i tylko dlatego nie zaszlachtowano mnie i nie wydalono do domu bez zaliczenia. Nie. Kasa odpada. Chociaż forsa potrzebna.

Dzwonek do drzwi oderwał mnie od prasówki i beznadziejnych myśli. Kurier przyniósł paczkę, a w niej zeszyty i list.

Pani Marianno,

przesyłam Pani te Włodkowe zeszyty, co to miała Pani po nie przyjechać.

Czekałam i czekałam, ale po sobie wiem, jak to jest wybrać się w jakby nie swojej sprawie, a jeszcze tak daleko jak do nas. Zresztą i u nas się pozmieniało, bo wybieramy się z mężem do dzieci do Szkocji. Powiodło im się tam i chcą pokazać dom i nową

wnuczkę. A tu leżą tak te Jego zapiski, co to On mówił, że muszą trafić w Pani ręce. Zostawił nawet Pani adres, to pozwalam sobie je wysłać właśnie.

Mam nadzieję, że u Pani wszystko dobrze

Lucyna

Zapomniałam! No tak! – ucieszyłam się. Teraz mam robotę na jakiś czas i pewien sukces, bo zeszyty Włodkowe, ho, ho, mogły zawierać – ba, nawet na pewno zawierają – bombę z opóźnionym zapłonem.

Wielkie serce

Telefon.

– Baranku?

– Co tam, tatku?

– Wiem, że masz wielkie serce – zaczyna tatko literacko i już czuję, że to jakiś rodzaj przygotowania gruntu pod coś, co mnie nie zachwyci. – Ja zaś pomyślałem sobie, że Anula w tym nieszczęściu, w jakim się znalazła, musi jakoś dojść do siebie. Poczekaj, nie przerywaj... I pomyślałem, że niechby ona sobie tu pomieszkała, zanim się sytuacja nie wyjaśni. Ona została, wiesz... jak by to powiedzieć... naga i bosa. Jest zakłopotana, zmartwiona, nawet chyba w depresji, a przecież cóż ona mi może przeszkadzać? Zajmuje się porządkami, za co chyba oboje powinniśmy być jej wdzięczni, gotuje i... wiesz. – Tatko nagle skończył.

Milczałam. No przecież z punktu widzenia ludzkiego to piękny gest! Nie mam pojęcia, czemu czuję lekki opór. No właśnie. Właś-ciwie czemu? To egoizm! Człowiek w potrzebie to trzeba pomóc. Ojciec nie ma z tym problemów. Mnie zaś jest wstyd.

– Chyba tak, tato... Jeśli ci to nie przeszkadza. A Kasia i Łukasz?

– Oni mają na razie miękkie lądowanie u rodziców Łukasza, a z czasem chcą coś sami. Na swoim.

Po jakimś czasie oddzwoniłam do ojca, bo zapewne chciał mojego entuzjazmu, a ja taka niewyrywna. No przecież, że trzeba pomagać. Tyle się działo i mówiło na ten temat, gdy do Europy napłynęła fala imigrantów. Najpierw entuzjazm, potem czas na chłodną ocenę i znowu entuzjazm, który już przybrał formę nacisku. Niektórzy nazwali to terrorem empatii. Zgadza się z tym. To niezbyt przemyślane hurraoptymizm. Bo dopóki sprawa pozostaje w sferze werbalnej, można głosić, co się chce, ale później KTOŚ się musi zająć tymi ludźmi. Ktoś, jakaś organizacja, musi zapewnić im byt, ciepło i jedzenie. Sam entuzjazm tu nie wystarczy. Gdy jakiś piosenkarz rzucił podczas wywiadu, że on tym uchodźcom odda pokój, zadzwoniłam do koleżanki, która niegdyś zabawiała się w bycie menedżerką gwiazd: „Krysiu, co o tym sądzisz? On naprawdę tak myśli? Da pokój obcym ludziom?”. Przecież my już chyba nawet podczas Wigilii kładziemy na stole puste nakrycie wyłącznie pro forma. „No a jak sądzisz, Mańka? To śliczna deklaracja! I wiesz co? On może nawet i tak pomyślał, lecz znam jego żonę. Być może przyjęliby znajomka, gdyby temu dom się spalił, ale też chwilowo. A obcą rodzinę? Na niewiadomo jak długo? Coś ty!” Tak myślałam. Kuzynka Reginy mieszka od dwudziestu pięciu lat w... Arles? Tak, chyba tak. Jak ona klnie na imigrantów! Żadnej czułości. Wyprowadzili się, bo mieli już dość politycznej poprawności, czyli udawania, że jest dobrze. Ta kobieta była żywym przykładem kogoś, kto może i chciał być otwarty na imigrantów, ale z jej wywodów wynikało, że wcale nie jest to takie łatwe. „ONI – jak mówiła – są tu tylko po to, żeby mieszkać w izolacji i nie znosić nas. Owszem, z sąsiadami mieliśmy poprawne kontakty, nawet czasem bywali u nas na podwieczorku, ale to wykształceni ludzie. To rzadkość” – zrzędziła. Myślałam, że przesadza, ale dzisiaj już tak nie myślę. Europę zalewa masa ludzi. Kiedyś nazwano by to inwazją i wezwano by wojsko do obrony. Dzisiaj w imię politycznej poprawności pozwalamy zalać się

ludzkiej powodzi, nie mając pojęcia, kto jest kim. Bo jak odróżnić uchodźcę od imigranta? Nie wiem. Ale po dramatach greckich rodzin, narażonych na inwazję przybyszy, nasze domy są szczelniej zamknięte. Nasze serca też. Strach jest czymś normalnym. Lecz czego ja się obawiam? ANULI?!

Zadzwoiłam do taty z przeprosinami.

– Kochanie, ja wiem, ja wiem... – usprawiedliwia mnie tata. – To zaskoczenie. Ale prawda, jaka ona gospodarna? Nienarzucająca się. Potrzebuje pomocy... Miałaby się gdzieś tułać? No sama pomyśl... A u mnie miejsce jest, prawda?

Zawsze był taki dobrotliwy, kochany. Jasne, że tak.

– Tato, a ten... sklep z Kaśką i Łukaszem? To tak na poważnie?

– Przyjedziesz, to ci Łukasz pokaże biznesplan! To nawet niegłupie jest i ja tu jestem, wiesz, ważną personą! Wspólnikiem! Pozarabiam jeszcze realne pieniądze, zamiast spać na ławce, czekając na listonosza z emeryturą.

Już-już chciałam wyrazić swoje wątpliwości, ale ugryzłam się w język. Nie przez telefon.

Skąd się bierze ten mój opór, brak entuzjazmu? Może to ja kwaś-nieję, bo sama nie mam pracy? Tłukę głową w mur, nie mogąc niczego znaleźć? Od zmiany władzy, od kiedy telewizja i radio publiczne nazywane są reżimowymi, jest jeszcze gorzej, trudniej. Oczywiście gdybym poszła do jakiejś stacji reżimowej i poprosiła, toby mnie przyjęli. Mają problem z kadrami. Ale nie pójdę. Nie i już.

Cała moja nadzieja w pamiętnikach Włodka. Mówił, że po jego śmierci mam poczekać, a potem je wydać. Wybuchną! To będzie szok! Nawet rodzinie oświadczył, że to moja własność i oni mają się nie przysysać do tego. Mam to na papierze od jego kuzynki. Rodzaj testamentu. Czyli jeśli je opracuję i wydaję, a będą tego ze dwa tomy, to będę miała pieniądze na jakiś czas! To do roboty, kobieto! I choć pismo Włodka nie należy do kaligrafii, zaczęłam czytać.

Bomba?

Wiem od ojca, że Anula jakoś się uspokoiła. Czasem jeździ do urzędu w Garwolinie pytać, co teraz z nimi, ale podobno nowy właściciel spalonej kamienicy jest solidnie umocowany partyjnie i nie daje żadnych sygnałów, że mieszkańcy cokolwiek dla niego znaczą. Radca prawny coś kręci, opowiada jakieś historie z paragrafami w tle, ale nic z tego podobno nie wynika.

Odpuszczam zaangażowanie w tę sprawę. Mam swoją pracę do wykonania, a Ania ma Kasię i Łukasza. Niechaj walczą.

Ugrzęzłam na kilka dni we wspomnieniach Włodka. Nieźle się nawet czyta te opowieści sprzed wielu lat. Mam wyobraźnię, więc jej oczyma widzę, jak bywały ubrane panie i jak wyglądało mieszkanie ministra, a jak gabinet pierwszego sekretarza, ale jakoś na razie żadnej bomby nie dostrzegam.

Myślę, że Włodek początkowo nie miał pojęcia, po co pisze. Za dużo mało ważnych szczegółów – dokąd pojechał tramwajem, kto kupił sobie opla kapitana i za co, jak sobie radzono na wycieczkach za żelazną kurtynę. Poza tym to wszystko już było... Czytam i czytam. Nawet w łóżku. Taka... dość osobista opowieść o latach przeszłych. Żona, zdrady, plotki i polityka w tle. Łapówki i picie, picie i polowanie, i kto komu podłożył świnię, ale... nic tu nie ma! Doszłam już do roku siedemdziesiątego i nic!

Spędziłam tak ponad dwa tygodnie nad rękopisami, w których raz na jakiś czas pojawiają się ciekawostki – głównie kto z kim zawierał jakieś pakt, kto komu co organizował, kto z kim handlował i z kim sypiały znajome panie, żeby rozpędzić nudę albo załatwić coś sobie, córce, synowi, mężowi. Nuda, nuda, nuda! Włodek! Gdzie jest bomba?! Ktoś znany ma żydowskie pochodzenie starannie ukrywane, ktoś był zamieszany w morderstwo, a czyjaś kochanka wyskoczyła przez okno. Ale to już wiadomo! Gdzie jest sensacja? Polityczne układy, tajemnice, które dzisiaj można znaleźć w internecie. Włodek, coś ty mi zostawił? To tylko rubryka towarzyska i, fakt, twój świetny język starego ironisty. Wielokrotnie śmiałam się w głos, ale bomby żadnej. Ani śladu trotylu. Nic...

Nic z tego nie będzie. To zgrana płyta. O, gdyby to opracować z dziesięć lat temu, to tak. Ale ktoś już zdążył te tematy wykorzystać. Nic z tego nie ukręcę. Żadnej książki nie będzie!

– Cholera jasna! – miotałam przekleństwa wściekła na Włodka.

Usiadłam i napisałam do Antka:

Antku,

wyrzucam z siebie masę brzydkich słów. Dobrze, że nie słyszysz.

Byłam pewna, że wspomnienia mojego przyjaciela Włodka, wspaniałego dziennikarza – za młodu bon vivanta – będą miały siłę wybuchu. Bo miał swój urok podrywacza. Mimo nałogów (palił fajki i popijał). Umiał też mówić ze swadą i miał poczucie humoru. Przyjaźniliśmy się. Zmarł – pisałam Ci chyba – jakoś przed Lilką. Był świadkiem różnych rzeczy w PRL-u, przyjaźnił się z establishmentem, z wierchuszką

polityczną, i dziennikarsko był cesarzem. No, może przesadzam, ale jednak.

Zostawił mi bombę – jak się wyrażał o swoich dziennikach – ale spędziłam dwa tygodnie na ich czytaniu i, nie powiem, ciekawe, bo ja pamiętam te czasy minione... zwłaszcza fajny jego język... ale trotyl się utlenił. Nie ma tu niczego, o czym byśmy nie wiedzieli. Zwłaszcza jeśli chodzi o Wałęsę i jego tajemne sprawy. Śledziłeś to nasze piekielko, to wiesz, jak był włączony. Polacy pokazali się znów jako naród niezrównoważony, pożerający własne idee i szczący na pomniki. Spolaryzowani jesteśmy od lewa do prawa, środka prawie nie ma. Tylko uwielbienie albo nienawiść.

Włodek tego nie dożył, ale jego rewelacje nie mają już dzisiaj żadnego zapalnika, nie spowodują wielkiego halo, nie wybuchną. Taka jestem rozżalona... Miałyby sens jeszcze dziesięć lat temu, gdy PRL był modny, gdy artystki i kochanki z tamtych lat to był temat w miarę świeży i ciekawy.

Nic nie będzie z tego Włodkowego pisania. A miałam nadzieję na bestseller...

Nie mam pracy, kończą mi się pieniądze i doprawdy nie wiem, co robić. Przyjdzie mi chyba zatrudnić się u ojca...

Przepraszam, że tak minorowo.

eM.

Żeby nie czekać na odpowiedź, pojechałam do taty. Nie dzwonił, więc wypadło się zainteresować, co tam u niego.

Zmiany

Jest burzowo. Lipiec w pełni. Czuje się lato, choć niebo zachmurzone i zaraz zapewne lunie. Szosa umyka pod kołami, a ja głowę mam zajęta słuchaniem kryminału – tak podróż szybciej leci. Kryminał babski, psychologiczny, nawet troszkę wciąga.

Przy narożniku ojcowego ogrodu widzę sporą reklamę:

Sklep ogrodniczy

Ziemia, torf, sadzonki

Stare odmiany jabłoni

Pod spodem godziny otwarcia i dookoła ładny szlaczek. Białe tło, szlaczek z niebieskich kwiatków – troszkę jak wrocławski półmisek. Wszystko razem eleganckie. To się może, myślę irracjonalnie, udać! W pobliżu, w Woli Karczewskiej, takiego sklepu nie ma, a kobiety chcą ładnych ogródków, skoro je stać na ładne ogroduchy. Więc może... może?

Tatko od razu każe mi włożyć kalosze i pokazuje zmiany w obejściu i pole przygotowane do przyjęcia sadzonek. Obiad w domu, bo pada. Zanim umyłam ręce i siadłam, dostrzegłam drobne innowacje: w oknach zazdrostki, pomalowany na biało kredens (a tyle czasu prosiłam ojca o zdjęcie farby, żeby wydobyć drewno. Trudno, pomalowany i szlus), nowa cerata na stole, też udająca koronki, i... nie wierzę własnym oczom... sztuczne kwiecie na oknie w doniczkach. No trudno, skoro ojciec nie oponuje, nie będę się wtrącać. Ania chce dobrze. Za możliwość pomieszkania tu płaci usługą, pomocą i usłuchaniem wszystkiego, czego tylko się tknie.

Kasi i Łukasza nie ma. „Są zajęci, zjedzą później”. Rozmawiamy, a właściwie ja słucham monologu Ani i, szczerze mówiąc, mało mnie interesują zawilosci jej sprawy mieszkaniowej. Jest, jak jest. Tata się zgodził, a nawet ucieszył, że ma panią do prowadzenia domu, bo ogromnie teraz się zaangażował w ów sklep ogrodniczy i spędza na poletku i w hali po magazynie masę czasu. A prace faktycznie galopują. W magazynie już jest wstawione okno i stoi surowa ściana z cegieł wydzielająca kantorek. Zaraz wnuk Kobylińskiego z ojcem położą tam płytę gipsową. Podłoga będzie wykafelkowana. I żeby się nie martwiła – kafelki przywiózł w darze młody Kobyliński, bo zostały mu z poprzedniej inwestycji. Także drzwi wejściowe i niewielką kasę pancerną, bo dzisiaj, mając warsztat samochodowy, nowszą wmurował sobie w ścianę.

– Tato, a po co wam ta żelazna kasa?

– Będzie gotówka, Baranku, więc trzeba gdzieś ją czasem przechować, zanim trafi do banku. No i wiesz, wrażliwe dokumenty czy coś...

OK, nie znam się, więc milknę.

Na poletku, już wywalcowanym porządnie, Łukasz rozesłał czarną włókninę. W rogu paleta z jakimiś roślinami w doniczkach. Czyli hop-siup i już?! Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że to tak szybko pójdzie. Młode drzewka tatowe już przeniesione na dalsze pole, w hali magazynowej wielkie sprzątanie i układanie folii, doniczek, cylindrów. Tu

jeszcze bałagan. Ojcu świeci się oko, mnie – wcale, ale rozumiem, że nie mogę okazać znudzenia. Cieszę się, że odżył. Że jest zadbany, oprany i nakarmiony. Podczas deseru Ania jakby niechcący pokazała kolorową saszetkę na leki, w której tatko ma piguły na cały tydzień rozłożone porami dnia. Podobną, zieloną, ma Ania.

– O, jak ładnie – chwalę. – A twój dom?

Z tego, co opowiada, wynika, że właściciel kamienicy właśnie ją wyburza.

– A lokatorzy? – dziwię się.

– W gminie mówili mi, że dostaniemy lokale zastępcze.

Milknie i spuszcza wzrok. Koniec nosa robi jej się czerwony, zaraz znów się rozplacze. Opowiada o lokalach zastępczych w Garwolinie i złym kamieniczniku. Faktycznie okropne, więc okazują jej serdeczność i się zbieram. Tata odprowadza mnie do samochodu.

– Tato – próbuję go zainteresować też moimi sprawami – stale nie mam pracy. Myślałam, że opracuję te dzienniki Włodka...

– Widzisz, jakie nieszczęście? Mój Boże, jakim trzeba być człowiekiem, żeby ludzi wyrzucać jak worki ze śmieciami! – odpowiada ojciec, myśląc o sprawie Ani, a moją skargę puszcza mimo uszu.

Jest mi przykro.

Wracam do domu.

W samochodzie ganię siebie za małostkowość. Ja mam gdzie mieszkać, nawet stać mnie było na remont, a ona nie.

Brak mi Włodka. Ale też czuję żal, że tak się ludził, tak polegał na tych swoich wspomnieniach. A one... zetlały, straciły datę ważności.

Muszę się raz jeszcze zebrać.

No to się zbieram...

Pada i pada. Ochłodziło się. A to dopiero druga połowa lipca!

Zamknęłam okno, nalałam sobie zielonej herbaty i jeszcze raz usiadłam, żeby spisać, dokąd powinnam pójść, do kogo zadzwonić. Z uwagą przeglądałam notatnik telefoniczny i kontakty w komórce.

Beata! No nie. Od pół roku jest na emeryturze. Przykro jej, ale nie umie mi pomóc. Romek! No nie, on już od dawna nie jest w kolorowym. Przebranżowił się i prowadzi z żoną przedszkole językowe. Justyna! Ups... Też porzuciła babskie pisma. Pracuje w agencji PR. Nie, nie odnajdę się tam. Iwo. No, w technicznym czasopiśmie sobie nie poradzę. Telewizja? Dorota odeszła na wcześniejszą emeryturę. Anka powiedziała, że sama modli się o przeżycie, a ja do reżimowej nie pójde – choć podobno pracuje tam żona Ryśka i pomogłaby. Nie. Nie ugnę się.

Grzesiek dzwonił i się dziwił. Współczuł, ale głównie chciał się wygadać. Tak, rozmawiał z dziadkiem. Tak, wie o jakiejś pani Ani.

– Mamo, o co chodzi? Ma zajęcie, ma opiekę! Z nieba ci to spadło! Dbaj o nią. Jeśli się dobrze zakręcisz, to ona zajmie się dziadkiem aż do śmierci, a ciebie przecież nie stać na dom opieki.

– Grzesław, jaki dom opieki? – pytam.

– Normalny. Dziadek się starzeje, a przecież ty się nie przeflancujesz na wieś do niego. Powiedzmy to sobie jak czekista czekicie, nie dasz rady.

– Ale on nie potrzebuje! Jest dziarski! Sam jeszcze...

– Ty wiesz, jak to potrafi szybko pójść? Wczoraj dziarski, a dzisiaj już niemot! Tak to bywa. Co prawda ja tam nie wyczuwam alzheimer, ale uwiad starczy potrafi przyjść niespodziewanie. I co wtedy zrobisz? Nie strój fochów! Ta Anka to palec boży! Chuchaj i ciesz się! Tadzkiem też nie umiałaś się zająć.

– Co ty opowiadasz? Albo to raz mu czytałam bajki?

– Mamo, litości! „Zająć” to znaczy: zmieniać pieluchy, prać gacie zasikane starczym moczem, wyjmować śpiącemu oślinioną szczękę. Ja pracuję w szpitalu, wiem, jak to wygląda. Dasz radę? Kiedy raz się Tadzio przy tobie sfajdał, to ci było niedobrze. No, mamo!

– Ale kiedy robił u mnie kupkę, to go wycierałam!

– To dzieciak. A dasz radę staremu człowiekowi?

– Lilce dawałam radę.

Milczy.

To prawda. Lilkę obsługiwałam, ale też było nielekko i czasem, niosąc wiaderko z wymiocinami, sama dokładałam swoje. Jestem przewrażliwiona na zapachy. No i Grzes chyba ma rację, że Ania jest aniołem. Nie wiem, jak długo, ale na razie jest. Nie ciągnęłam tematu. Chwilę jeszcze pogadaliśmy i skończyliśmy. Wiem, że po tak obfitej konwersacji on uważa, że odrobił lekcje, i teraz z miesiąc się nie odezwie. Czasem tylko przyśle zdjęcia Tadzka. Ostatnie mnie rozbawiło. Tadzik siedzi nad tabletem i pilnie czyta. Wlepia oczy, ma mocno myślący wyraz buziaka. To samo zdjęcie z dalszej perspektywy: siedzi z tym tabletem na kibelku. Jak Grzesiek z gazetą! Faceci to uwielbiają.

Dostałam też piękne zdjęcie od Igi. Zaszła ich od tyłu – Grześka i Tadzinka – w kuchni rano w niedzielę. Tadzio stoi na taborecie i z ojcem robią śniadanie. Obaj w koszulkach od piżamy i obaj bez... majtek. Dwa gołe tyłeczki pogrążone we wspólnej pracy. Uśmiełam się.

A może Grześ mi znajdzie pracę tam u siebie, w Göteborgu?

Naklikałam do niego bez większej nadziei. Nie znam angielskiego na tyle biegle.

Pada i pada. Spakowałam dzienniki – rozbrojone ślepaki Włodka. Już nie wystrzelą. Weszłam na schodko-drabinkę i odstawiłam je wysoko, pod sufitem, tam, gdzie Ania przyczepiła karteczkę „SŁOWNIKI”. To co, że nietematycznie? Anki tu nie ma. Niech sobie stoją między słownikami poprawnej polszczyzny, idiomów, wulgaryzmów i starego Doroszewskiego. A może powinnam je spalić?

Antku! Jesteś tam?

Jest beznadziejnie. Nie mogę znaleźć pracy. Ogromnie mnie to stresuje i dobija. Na razie nie piszę. Muszę coś wymyślić. Cześć.

eM.

I jakby mnie wyczuła, zadzwoniła... Julka.

– Cześć. Przepraszam, że tak milczałam, ale nie zamierzam kłamać. Miałam taki czas, że nie chciało mi się do ludzi. Co u ciebie? Przepraszam, nie przeszkadzam? Masz chwilkę?

Dowiedziałam się, że Mirek ją do tego nakłonił. Zamiast zadzwonić samemu, nakazał: „Zapytaj, co u Marianny. Zadzwon, będzie jej miło”. Chyba po rozmowie z Grześkiem wyczuł, że jestem skapciana, i wysłał Julkę jako kobietę, która miała mnie lepiej zrozumieć. Bo co on? Facet? Po kilku słowach Jula stanowczo wymogła na mnie spotkanie na kawie w moim ukochanym Bristolu.

Zeszczuplała, prawie nie utyka, jest w sukience. Aż mnie ścisnęło w dołku z maluskiej zazdrości. O, i jeszcze ma taki ładny manikiur.

– Mam dla ciebie małą propozycję, Maniu. Posłuchaj. Pracuję z koleżanką, której mąż robi właśnie telewizję internetową. Potrzebują tam rasowych dziennikarzy. Byłabyś zainteresowana?

Później już tylko paplałyśmy i Julka była tego samego zdania co Grzesiek – Anka spadła nam z nieba! Sklep z Kasią i Łukaszem? Super! To tylko dłużej utrzyma tatę w dobrej kondycji.

Z tej radości pojechałyśmy do centrum handlowego – Jula do sklepu z azjatycką żywnością po papier ryżowy i olej sezamowy, a ja poszłam na piętro i pierwszy raz od dawna oglądałam szmatki.

Wystrojona w kolorową bluzkę i nadzieję pojechałam.

Niestety nie dla mnie. Czuję, że jestem za stara. Nie nadążam za młodymi, nie znam tego slangu dziennikarskiego, nie rozumiem, dlaczego mam w pracy dziennikarskiej zniżać się do poziomu „naszego widza”, choć przecież w mojej poprzedniej pracy niby też nadążałyśmy za trendami. Próbowałyśmy jednak również nie-namolnej edukacji, przemycałyśmy wiedzę. Podobno tu też to będzie, ale „na innych zasadach”, których nie rozumiem.

W domu poczułam się podle. Widziałam wielki entuzjazm, tłumaczono mi wszystko, a ja... po prostu nie umiałam tego załapać i poddałam się walkowerem! A może powinnam zacisnąć zęby i choć spróbować? Nie jestem elastyczna? Zasiedziałam się w swoim zawodowym świecie, warsztacie, który wziął się i... zestarzał! To dzisiaj chwila!

Telefon.

– Halo, dzień dobry pani – mówi męski głos. – Mam pani telefon od Justyny R. Mówiła mi, że jest pani w posiadaniu dzienników Włodzimierza...

– Tak – przerywam mu. – A co?

– Byłbym zainteresowany odkupieniem ich od pani. Jestem w stanie sporo zapłacić, bo Justyna mówiła, że pani nie będzie ich opracowywać...

– Hmmmm. Musiałabym się zastanowić. Oddzwonię do pana.

Dziwne, pomyślałam. Tak w ślepo? Bez czytania? A co by na to Włodek? Najpierw rozeznałby pana! Jasne! Siadam do komputera i szukam jegomościa. Młody dziennikarz, niewiele o nim. Skończył politologię, jego hobby to historia.

Chce kupić? Daje sporą kasę w ślepo? Coś tu musi być...

Dzwonię do Justyny, ale ona niewiele wie o tym chłopaku, choć daje mu dobre referencje. Młody, ambitny, stoi chyba za nim spory portal historyczny, współpracował z jakimś pismem, zaraz, zaraz... Justyna szuka w pamięci, a ja czuję, że się spieszy, więc rozłączam się, żegnając serdecznie. Bardzo dziwne.

Wieczorem opowiadam ojcu o tym, a mój tatko całkiem na serio mówi mi, żeby brać, ale w cenę wkalkulować kopiowanie.

– Co?

– Baranku, on może dzisiaj wydać te dzienniki z jakimiś poprawkami, które, wiesz...

– No wiem. I mówisz, żeby się zabezpieczyć? To będzie kosztowało majątek! Ale poczekaj, poczekaj... już wiem! Masz rację. Mam kolegę w archiwistyce Biblioteki Narodowej. Nie policzy mi jakoś bardzo drogo, a ja będę miała kopie jakby co. Dzięki, tatku!

Oj przyda mi się dzisiaj każdy pieniądz! Puste konto straszy, pracy nie mam, mieszkanie po pani Mieci stoi puste, bo chętnego brak... Może za wysoka cena? No i pytanie: wynająć czy sprzedać? Mój rozsądek szepcze: „Wynajmij!”. Kolega Marek, znający się na rzeczy: „Sprzedaj! Forsę ulokuj w jakichś akcjach, obligacjach. Tak się zarabia!”. Rozsądek podszeptuje: „Nie wierz w szybkie pieniądze. *Langsam, langsam, aber sicher*”. Diabeł: „Zaryzykuj, jako i inni ryzykują! Dają radę. Giełda albo jakieś fajne obligacje. Sporo płacą!”. Kolega Marek opowiada cuda o tych operacjach. Kocha obracanie pieniędzmi, ryzyko. On mi to poprowadzi właściwie za darmo, obiecuje. No,

za drobną opłatą, gdy pieniądze zarobią. Gdy będą tracić, nic nie weźmie. „Jak to tracić?!” – niepokoję się. „Dziecko – mówi protekcjonalnie. – No nie zawsze jest hossa, czasem bessa! Ale to już mój żydowski nos, moje wyczucie, żebyś nie traciła”.

Nie wiem. NIGDY nie ryzykowałam! No, prawie nigdy. Z Jarkiem-Ofelią zaryzykowałam seks bez gumki i jakoś nic złego się nie stało – uśmiecham się do siebie. Poza tym już nigdy. Nie brałam też pożyczek, wydawałam tylko tyle, ile miałam. To był hyż Mirka. „Nienawidzę długów! Zadłużenie to topór nad głową i bezsenne noce. Będziemy jeść kartofle z wodą, ale żadnych długów!” Zgadzałam się z nim. Każda droższa rzecz w naszym domu była z oszczędności. Każda w związku z tym wyczekana, upragniona, skalkulowana. Sensowne i mądre. I faktycznie początkowo było nam ciężko. Nawet tacie się nie przyznawaliśmy, że mamy reżim z powodu chętki na meble. Ale ojciec się domyślał i pakował nam do bagażnika kosze z jedzeniem. Pieniędzy Mirek odmawiał kategorycznie. Ja czasem brałam na potrzeby Grzesia, na rowerek, płatne lekcje pływania. Ojciec zawsze znalazł sposób, żeby mi wcisnąć. Zazwyczaj mówił, że przecież nic Grzesiowi nie kupuje na urodziny, imieniny, to choć tak... Brałam.

Wzdycham, biorę się z życiem za bary i dzwonię do dalszych znajomych, których ostatnio ominęłam w moim poszukiwaniu pracy. Wstyd tak prosić, ale co zrobić. Nie ma ogłoszeń: „Dobrą specjalistkę, dziennikarkę przyjmę od zaraz na świetnych warunkach”. Wszelkie tego typu posady z mety są serwowane znajomym. Z tą myślą odgrzebuje telefony, pod którymi zostawiam dzisiaj moje dane i prośbę. Wiem, że jeśli ktoś mówi zasępiony: „Nnno wiesz... OK. Rozejrzę się, bądźmy w kontakcie” – to po naszymu znaczy: „Daj spokój, kobieto. Roboty nie ma, a ja nie mam gdzie dzwonić, zwłaszcza w twojej sprawie”.

Thukę się po domu coraz bardziej zła jak zwierzę zamknięte w klatce. Wezmę od ojca rower i pojeżdżę. Wypogodziło się, więc przynajmniej zrzucę to, co już kiedyś straciłam u Ofelii. Bo się znowu zapasałam, dycham jak stara baba. Lilki mi brak. Ta zaraz by się wyzwierzyła na mnie, porównała do foki, więc jeśli już, to rower. Przecież nie pójdę na siłownię, bo się tam natknę na Jarka-Ofelię!

Rowerem do wspomnień

Zajeżdżałam do ojca, trąbiąc z fasonem. Wszyscy, to znaczy tatko, Ania, Kaśka i Łukasz, byli w altanie, a tam jakaś feta – tort, szampan i wesoło. Zostałam z mety wciągnięta do środka, bo to przecież Anny. Prawda. Ale skąd ja mam pamiętać takie rzeczy? Ani mi ona brat, ani swat, więc tylko wyściskałam i pożyczyłam zdrowia. Ania natapirowana, umalowana, elegancka i pachnąca. Torcisko czekoladowe wysokie i ciemne jak należy, w środku przekładane dżemem wiśniowym, oprócz tego sałatka owocowa i szampan. Tata nie lubi, ale widocznie Ania tak. Wolałabym najpierw jakiś obiad, lecz fakt, przyjechałam niezapowiedziana, więc nie będę marudzić – zjem jakoś odwrotnie.

Przy stole królował temat sklepu, co mnie kompletnie nie obchodziło, więc wymówiłam się bólem głowy i potrzebą tlenu. Wsiadłam na rower i pojechałam w nasze pola i łąki.

Z początku czułam małe zmęczenie, ale nie narzuciłam sobie kolarskiego tempa, raczej emeryckie, więc szybko się rozluźniłam, złapałam rytm i moje myśli zaczęły się jakoś po swojemu układać.

Zjechałam z głównego traktu w boczne drogi, biegnące obok pól uprawnych. Wyjeżdżone kołami ciągników, tworzą jakby dwie równo-ległe ścieżki, a w środku łąn traw i chwastów. Kiedyś koń to wszystko wydeptywał kopytami, a dzisiaj nikt tu konnym wozem ani nawet przetrząsaczem siana nie jeździ. Dzisiaj królują ciągniki.

Twardą ścieżynką łatwo się jedzie. Czuję się troszkę jak kiedyś, gdy byłam dziewczynką i jeździłam na dalekie wycieczki z głową pełną marzeń. Już ich nie pamiętam, ale były to marzenia o wielkich miłościach i zawilościach z nimi związanych. Pewnie wyobrażałam sobie tych różnych walecznych, pięknych i świetnych chłopców, którzy mieli mnie kochać na zabój i toczyć o mnie walki, spory, a też pisać dla mnie piosenki i patrzeć mi w oczy. Marzenia miałam kolorowe, pachnące i niewinne. Zazwyczaj szczytem moich dziecięcych erotycznych uniesień było wzięcie za rękę i spacer po łące, i słowa układające się tym moim wymyślonym chłopcom jak w ustach Marka Grechuty. Że będę ich damą, panią, że pachnę jak tuberoza, że dadzą mi słońce i pomarańcze. Chyba nawet byli tacy śliczni i eteryczni jak Grechuta. A może to później? Może najpierw musieli być romantyczni i lekko gniewni jak Klenczon?

Tak... moje miłości dziewczynskie miały twarze ówczesnych artystów! Pamiętam. Przecież kochałam Andrzeja Nardelliego, eterycznego i delikatnego. Płakałam, gdy utonął w Narwi. Nosłam po nim żałobę. Uszyłam ją sobie z cienkiej aksamitki i nosiłam na palcu jak pierścionek. Tę samą nosiłam też po Klenczonie, gdy dowiedziałam się, że zmarł w Stanach. Co prawda już nie kochałam go, nie ubierałam w moje marzenia od chwili, gdy dowiedziałam się, że ma żonę i córkę. Tę zdradę wybaczyłam mu, jak też wybaczałam każdemu sennemu rycerzowi – Grechucie, Hirkowi z ósmej b, Januszowi Gajosowi, młodemu belgijskiemu piosenkarzowi Henriemu Seroce, w którym zakochałam się po festiwalu sopockim i... serce mi nie pękło, gdy się dowiedziałam, że ożenił się z naszą filipinką Niki Ikonomu (z pochodzenia Greczynką). Każdy z nich, gdy tylko się żenił, tracił moją miłość i już. Bez bólu, bez płaczu w poduszkę. No chyba że

była to taka tragedia jak z Nardellim. Wtedy sobie popłakałam. Później już myślałam o konkretnych, bliskich mi chłopakach, którzy wykazywali mną jakieś zainteresowanie albo w których ja się zakochałam. Byłam tak kochliwa! Ale i niedostępna. Kiedy czytam o tym, jak łatwo dzisiaj panny rzucają się w miłość fizyczną – jak wcześniej i bez większych ceregieli – to myślę, że te najszybsze, najodważniejsze, które ledwo wyrastają z rowerka i barbie, a już się całują na ostro (i szybko rozpoznają techniki pettingu, neckingu, a i zwykłego seksu), omija coś niepowtarzalnie pięknego. Czas rozkwitania, oczekiwania, przygotowania się do tego, żeby seks miał odpowiedni smak. Sama nie zaczęłam dobrze, ale też długo zwlekałam, bo tak to było za moich czasów, że w podstawówce rzadko która z nas całowała się z jakimś pryszczatym wyrostkiem. Jazda na łyżwach za rączkę była rozpamiętywana nocami z dreszczem praterotycznej emocji.

Mijam pastwiska i zagajniki. Tu było tak dziko, a teraz tuż za laskiem, wyrosłym z zagajnika, stoją domy. Nie wyglądają na wiejskie. To nowe osiedla warszawiaków, otwoczan? Ładne! Eleganckie. I tylko porządnej drogi nie mają. Jadę po rozjeżdżonej żwirówce. Rowerem trzęsie i przyskają romantyzmy. Znów wjeżdżam w dzikie łąki po lewej i mam obawy, czy aby dojadę do jakiejś poprzecznej, która by mnie doprowadziła do Świdra, bo z nim po prawej znajdę drogę do domu. Dało się. Mogę wrócić do siebie sprzed lat. Pierwszy pocałunek taki na wpół prawdziwy? Czemu „na wpół”? Jeśli nawet z grzecznie cofniętym językiem, nieświadomym, że można, trzeba się wysunąć, żeby dreszcz był jak trzęsienie ziemi, to czy te pierwsze zetknięcia ust nie były prawdziwe?

Prywatka u Beaty, koleżanki z klasy. Ładny dom daleko od naszej szkoły i tata, który mnie przywiózł i zapowiedział, że będzie po mnie o dziewiątej. Ja w ślicznym błękitno-turkusowym, ciasno przylegającym do ciała golfie bez rękawów i krótkiej plisowanej beżowo-turkusowej spódnicy. I obowiązkowe białe podkolanówki. No a jakże? Taka moda! I na pięterku, w pokoju Beaty i jej siostry, ta prywatka, a na parterze rodzice oglądający telewizję. Z adapteru lecą przeboje: Trubadurzy i No To Co, i pocztówki z Beatlesami i Paulem Anką – troszkę już niemodne, ale dobre do tańca, i ukochane Czerwone Gitary, i Skaldowie z ich czarownym *Dwudziestym szóstym marzeniem*. I Hirek z ósmej b, którego Beata znała i zaprosiła specjalnie dla mnie. Dziwiła się. On niewysoki, zawsze w szarym golfie, no, latem w podkoszulkach czy koszulach z zawiniętym rękawem. Miał falujące ciemnoblonde włosy z grzywą jak chmura, po bokach i z tyłu krótko ścięte. Jego ojciec był podobno bardzo surowy i nie pozwalał mu na plerezę. Nie przeszkadzało mi to. Hirek mnie złowił na krótkie spojrzenia spod tej grzywy. Poważna twarz, lekko wydatne usta i taki ten wzrok, analityczny, jakby patrzył w głąb... Nie znaliśmy się, ale te spojrzenia i milczenie oznaczające nieśmiałość nakręcały mnie, jak to się mówi dzisiaj. Kochałam go tym moim dziewczęcym zakochaniem, choć mnie kochał Darek z naszej klasy. Beata go nie zaprosiła.

No i była już chyba druga godzina tej prywatki, gdy wreszcie zaczęły się tańce i trzeci z kolei byli Skaldowie. Najpierw nic nie mówił, ale po chwili usłyszałam: „Cieszę się, że jesteś”. Serce mało mi nie wyskoczyło z piersi. A te ślicznie mi się w tym moim golfie układały. I stanik miałam na sobie ten śliczny, który z tatą kupowaliśmy na Krakowskim Przedmieściu, i sandały miałam na obcasiku. Tanie, ale ładne. Więc czułam się jak Elżbieta Czyżewska co najmniej albo Anna Prucnal. No a już z pewnością jak

Urszula Sipiń-ska, do której właśnie mnie kolega Beaty głośno porównał, gdy skończyło się *Dwudzieste szóste marzenie*, a Hirek nie puszczał mojej dłoni w oczekiwaniu na następną grającą pocztówkę. „Marianna, jesteś taka podobna do Sipińskiej!” – rzucił komplement kolega Mirek, a Hirek poważnie odpowiedział: „Nie. To Sipińska jest podobna do Marianny”.

Poczułam się taka... ważna, wyodrębniona, wywyższona, piękna, że chyba spłonęłam rumieńcem, a moja wdzięczność dla Hirka była wielka jak hotel Forum. Jeszcze jakieś tańce, szybkie, nowoczesne, do zadyszki, i Beata już wycisza muzykę, i kładzie na podłodze butelkę. Robi mi się zimno. To było zakazane, okropne! Pisał o tym Mirosław Bzdyra w swojej książce o chuliganach z Saskiej Kępy *Banda Siwego*. Drzę, ale nie wypada mi panikować. Zresztą okazuje się, że my czujemy granice. To będą tylko pocałunki. Z kimś niezbyt bliskim tylko musnięcie warg, a jeśli się trafi na osobę z marzeń – to się idzie za gustowny parawan, osłaniający tapczan Beaty, i tam pocałunek bez świadków. Beata, mająca koło siebie adapter, z lekka podgłośnia muzykę, a my głośno liczymy: RAZ, DWA... i tak do dziesięciu. Wreszcie Hirek zakręcił i szyjka wskazuje prawie mnie, bo zatrzymuje się między mną a Grażyną. Ale Hirek wstaje, poważny jak zwykle, i wyciąga po mnie dłoń. Też wstaję, choć kolana mam miękkie. Idziemy za parawan. Hirek patrzy mi w oczy i bierze moją twarz w dłonie. Świat mi faluje, nie wiem, co począć, ale on chyba wie. Czuję jego ciepłe wargi na moich, jest miło, bezjęzyczkowo, ale czule. DZIESIĘĆ już wybrzmiało, teraz tylko Klenczon kończy swoje *Nie mów nic*. Hirek ma na twarzy lekki uśmiech, jest wzruszony, ale pewny siebie. Czeka na mój uśmiech i dopiero wtedy bierze mnie za rękę, i wracamy na miejsca. Jeszcze były dwa takie pocałunki i Beata zarządziła tańce, tym razem już wolniejsze, bo niedługo koniec zabawy. Puszcza same przytulanki: *Stracić kogoś* Czerwonych Gitar, ponownie *Nie mów nic*, *Michelle*, *Oh, Darling* Beatlesów i *Byłaś tu* Trubadurów. Każdy tańczy z ukochaną. Mirek otoczył Beatę całym sobą, ale oni są parą już od dawna! Od trzech miesięcy! Hirek tuli mnie do siebie ślicznie i romantycznie, ja płynę w jego ramionach, zauroczona tym, co się stało. Niewinne pierwsze pocałunki.

Otrząsam się z tych marzeń, bo już mijam mostek i Jana Nepomucena. Jest późne popołudnie! No to pojechałam...

Pamiętam jeszcze, jak do pokoju Beaty wszedł pan Roman, jej tata, i zapowiedział wesoło: „No to, kochani, ostatnie tango-przytulango i kończymy! Panowie odprowadzają damy pod same drzwi!”. No i wyszedł, wesoło pogwizdując.

Co było ostatnie? Nie pamiętam, chyba też przytulone i pocałowane na koniec. Co za emocje!

Tata już stał pod domem Beaty, jako jedyny. Wszyscy się odprowadzali, tylko ja, ponieważ mieszkałam daleko od Otwocka, byłam zdana na tatę. Hirek podprowadził mnie do samochodu i uklonił się ojcu. Już w aucie, gdy wyjechaliśmy z miasteczka i tata odczekał, aż mi zjedą rumieńce, zapytał zabawnie: „To ukochany?”. „Tato!” „Dobrze, już dobrze. Nie myśl, że my w waszym wieku byliśmy inni!”

Jakoś... nie umiałam sobie wyobrazić taty jako „ukochanego” jakiejś panienki. A z Hirkiem? Nigdy nie zostaliśmy parą. Do nas, do Woli Karczewskiej, rzadko chodziły autobusy i chyba też ojciec stawiał mu jakieś straszne warunki, bo tylko się uczył

i podobno pracował w ojcowym warsztacie. Na przerwach zamienialiśmy kilka słów. Nigdy nie dałam się wziąć za rękę, bo umarłabym ze wstydu, i szybko przyszedł koniec roku. I po miłości!

I po przejażdżce.

Akordeon

Otworzyłam furtkę, wprowadziłam rower i stanęłam jak wryta. W altanie siedział tatko, jacyś jeszcze ludzie, a Ania grała coś rzewnego na... akordeonie. Mogłam się wszystkiego spodziewać, nawet tego, że nastawią jakieś stare płyty na mamy adapterze i zatańczą tango, ale że Ania gra? I to ładnie gra!

Okazało się, że to sąsiedzi, z którymi tatko był ledwie na „dzień dobry” – ci, co niedawno kupili sąsiednie gospodarstwo za sadem – a Ania już zdążyła się z nimi zakolegować. Kasia i Łukasz już zniknęli.

Najpierw byłam zła, że Ania tak się szarogęsi, więc po przywitaniu się poszłam do kuchni. Dopadł mnie wilczy głód. Znalazłam kotlety z obiadu, więc wzięłam taki spory, położyłam na chlebie i pałaszowałam na stojąco, podjadając jeszcze zimny kalafior z półmiska i zakąszając kiszonym ogórkiem. Popiłam piwem i dopiero poczułam przyływ radości i wstydu, że mnie ta złość wzięła. Wróciłam do altanki i dołączyłam do gwarzących i oklaskujących Anię gości.

To był naprawdę uroczy wieczór. Nawet komary się gdzieś wyniosły. Pachniała maciejka i cykały koniki polne. Dźwięk akordeonu i widok Anki, która go tak sprawnie rozciągała i ściągała, wiedziała, jak trafić i w które klawisze, nie patrząc na nie, a przy tym śpiewała albo tylko przytupywała do taktu i przekrzywiała głowę, były dla mnie czymś zdumiewającym i jednocześnie czarownym. Tatko też był zachwycony. A Gienio, gdyby żył, czy też byłby? A Lila? Chyba ogarnęłyby ich radość, że tacy inni jesteśmy, że nasz sad rozbrzmiewa nostalgicznym nieco, francusko brzmiącym instrumentem. Że Anka ma niezły głos i zna tyle utworów! Niebywałe!

Piliśmy wódeczkę, bo dziwne, ale wina już nie było. Tatko też z malutkiego kieliszeczka pił zdrowie solenizantki. Zrobił podkład z porządnego obiadu i tłustych tortów – niechaj tam! No ileż mu pozostało?

Pochyliłam się i pytam:

– Tatku, a Kobylińcio był?

– Zapraszaliśmy, ale wiesz, że to dzikus. Wykręcił się wnukami, że niby synowa pojechała do matki... Kłamie, bo nie lubi obcych, wiesz przecież. A u ciebie jak?

– Jutro ci powiem. Nie wypada tak ignorować solistki!

Tata uśmiechnął się, kiwnął głową, bo Ania znów zaczęła rozciągać sprzęt grający. Koło dziesiątej wszyscy się porozchodzili.

Z radością, nieco podlana wódeczką, ale przecież nie pijana, jedynie rozluźniona, położyłam się do łóżka. Zauważyłam, że mam świeżą pościel. „Miło” – pomyślałam z wdzięcznością o Ani, bo sama się do tego zabierałam już od jakiegoś czasu. Rzadko tu śpiam, ale tak czy inaczej zmieniałam ją... dawno.

Otworzyłam szerzej okno. Moskitiera nie wpuszcza nocnych polatuchów, a ja lubię spać przy dopływie świeżego powietrza. Noc wciąż ciepła, choć już nie tak upalna, jak to bywało. Jutro porozmawiam z ojcem, okażę mu zainteresowanie, bo ostatnio zajmowałam się tylko sobą. Ziewam, czytam kryminał Kasi Bondy, myślę i jeszcze raz ziewam, myślę, czytam. Sen nie nadchodzi. Może wypiję piwo? Może mleka? Może w kredensie znajdę tatową waleriankę?

Wstaję i cichutko, na paluszkach idę do kuchni. Nie zapalam światła, bo jest jasno – może pełnia? Widzę, że w altanie chyba ktoś nie zgasił świecy w latarence. Patrzę intensywnie przez okno i widzę wnętrze altany, i... tatę z Anią w objęciach!

Też coś! Może to omam? Ponownie się przyglądam – ależ to tatko i Anula w pozie jednoznacznej. Całują się! No nie... Zawstydzona cofam głowę za firankę. Od czasu, gdy jest tu Ania, są i firanki. Jeszcze raz się wychyłam. Teraz już tylko patrzę na siebie, Anka coś mówi, tatko błogo się uśmiecha. No kurczę!!! To takie buty?

Teraz już wiem, że nie zasnę. Wypijam walerianę jak koniak i idę do pokoju. Jestem zdumiona, oszołomiona i chyba zła. Nie rozumiem tego! Nie akceptuję. To nie tak miało być!

Przewracałam się z boku na bok, poduszka była jak blacha, kołdra za gorąca, za ciężka, za obca. Nakręcałam się i złościłam, aż w końcu przyszedł świt.

Nie chciałam widzieć, gdzie kto śpi i w ogóle co się dzieje. O piątej ubrałam się i cicho wyszłam z domu. W kuchni naczynia w zmywarce, w altanie posprzątane, choć częściowo pomagałam ogarnąć po gościach, ale Anula wyrывała mi ściereczkę, mówiąc: „Dajże spokój, ja dam radę!”

Skoro ona taka porządnicza, to gdzie tu miejsce na romantyczny zryw miłosny? Posprzątali po nas, zanim... Nie potrafię tego zwerbalizować... Zanim poszli do łóżka? Bo po takim pocałunku to chyba poszli.

A jeśli to nie pierwszy raz? W głowie zapaliła mi się nie czerwona lampka, lecz raczej czerwony reflektor. Nie pierwszy?!

Jechałam powoli, na szosie już ruch całkiem normalny. Tiry, osobówki dostawczaki, więc muszę uważać. Ojciec ma romans z... nią?

– Gieniu! Włodku! Na pomoc!

Pierwszy pojawia się anioł Włodek:

– I czego? Czego? Zazdrościsz czy co? Marianna, opanuj się i puknij w głowę. Dorośli są, mają prawo. A w ogóle daj mi spokój! Zajrzałaś do moich pamiętników? Co?

Odpowiadam mu wkurzona:

– Nie. Idź. Wracaj sobie z powrotem do nieba, skoro ja cię już nie interesuję. Dorośli? Tatko jest stary! Może miewał jakieś romanse, ale nigdy mamy nie zdradził tak, wiesz... żeby stworzyć z inną kobietą ZWIĄZEK! Związek, Włodeczku, dusz i ciał. Bzykanko to co innego. Nie wiem, bo mi ojciec o tym nie opowiadał, jak sobie z tymi sprawami radził. Ale kochanka w jego wieku?!

– W jakim wieku, serce? W dwudziestym pierwszym! Viagra jest i nawilżacze, a najważniejsze, że chęci są. Coś ty taka jakaś staroświecka, jak Boga kocham? Nie poznaję cię. Może ty masz problem? Jak tam ten twój kochaś z fitnessu?

– Nie ma go... – burczę.

– A widzisz. Sam nie mam i drugiemu nie dam. To, że ty zarastasz pajęczyną, nie znaczy, że masz ojcu żałować. A skoro ta Ania chętna... Wiesz co? Jedź do domu i poszukaj sobie kochanka. Pamiętniki przeczytała?

Kiwam głową. Przecież mu nie powiem, że są przeterminowane, uschnięte, zetlałe. Że za późno się ocknął.

Gienka zostawiam w spokoju. Pewnie też mnie ofuknie.

Wchodzę do domu i kładę się spać. Dopiero teraz mi odpuściło i powieki mi się zamykają. Moja poduszka układa mi głowę jak należy, a lekka letnia kołderka zachęca do zwinięcia się w kłębek. Spaaaaa! Pomyślę, gdy wstanę.

Obudził mnie dzwonek telefonu.

– Baranku? No gdzie ty jesteś? Śniadanko czeka. Ania pyta, czy lubisz jajka w koszulkach...

Opanowuję się, żeby czegoś nie szczerknąć w złości. Milczę.

– Marianna? – pyta tata nieswoicie, z niepokojem, więc wypada się odezwać:

– Aaaaa wiesz, w domu. Kiepsko się poczułam, a też mam tu, wiesz, taką pracę do zrobienia. Przepraszam. Wstałam raniutko i pojechałam. Przepraszam, wiesz, ale pogadamy później, teraz nie mogę.

Słyszę tylko smutne ojcowe „to pa” i się rozłączam. I nie wiem, dlaczego płaczę. Co mi jest?!

Już nie zasnę. Biorę na kolana laptop. W poczcie mail od znajomej, że niestety u nich w redakcji też nie ma etatów, że *sorry*. Ale jest też mail od nieznanego faceta:

Szanowna Pani,

wiem, że jest Pani w posiadaniu dzienników pana Włodka. Rozmawialiśmy krótko przed Jego wyjazdem do rodziny o publikacji onych, ale zastrzegł, że redakcję zrobi Pani i do Pani należą prawa autorskie. Czy była Pani uprzejma zapoznać się z ich treścią? Czy może już je Pani zredagowała? Czy możemy się spotkać?

Nasze wydawnictwo jest bardzo zainteresowane.

Z poważaniem...

Hmmm. Ciekawe. To chyba ten sam, który już dzwonił. Aż tak mu zależy? Tu nic nie ma! Dzwonię do Reginy po radę. Odzywa się na Skypie w miarę szybko. U niej akurat wieczór.

– Mania? Cześć! Co u ciebie? Skąd wiesz, gdzie jestem?

– Pytałam Justyny. Regina, jest taka sprawa – zaczęłam i wprowadziłam ją w sytuację.

– Mańka, a skoro to jest ten sam facet, to może ustal jego perso-nalia, co?

– Ustaliłam. Młody pistolet. Pisywał na znanym portalu, trochę w pewnym czasopiśmie, którego nie szanuję, a teraz chyba zaczął się w tym wydawnictwie wydającym książki, których ani ja, ani ty nie czytamy.

– Hmm... I oferuje spore pieniądze? Za coś, czego nie czytał? No to wiesz co? Ja bym postawiła uszy do pionu.

– Co masz na myśli?

– Mój nos mi mówi, że facio szuka konia trojańskiego.

– Rozwiń, bo jestem głupia.

– Pomyśl, kobieto. Chce, nawet gdy wie, że to pustaczek, a autor nie żyje. Więc...?
No?

– Tata mnie namawiał na zrobienie kopii.

– Masz mądrego tatę. I ja ci radzę...

Regina udzieliła mi porady. Może to wredne, ale sensowne. Pogadałyśmy jeszcze o beznadziei, o dramatycznym stanie Polski pod rządami jedyniesłusznej partii.

– Wiem – mówi poważnie Regina – codziennie robimy z mężem prasówkę. Córka się wkurza, bo mamy przy śniadaniu smętne miny, ale, Mańka, ja bez wiedzy o tym, co w kraju??? No jak? Znasz mnie. Źle się dzieje, wiem. A my tu w Perth jak pączki w maśle.

– No właśnie, jak Australia?

– Kiedyś, zyczę ci tego, sama zobaczysz. Ja zaraz wyjeżdżam do kuzynów do Ottawy, do pasierbicy mojego męża. Pobędę tam troszkę i wracam do Perth. Stefan zostaje, bo ma pracę. Może dałabyś radę też się jakoś wyrwać? Zapraszamy! O, Mańka, mam pomysł. Dam ci glejt do redakcji National Geographic. Może gdybyś się wyrwała w świat, a zapewniam cię, że warto, naczelna wzięłaby twoje relacje? Masz pióro, zrobisz kilka zdjęć... Albo wezmą z banku. Chcesz?

– Regina... miałam awarię hydrauliczną. Remont pożarł całe oszczędności. Nie mam pieniędzy. Znaczący, mam jeszcze ciut, ale to na czarną godzinę.

Regina milczy. Najwyraźniej myśli, bo nagle mówi:

– A jeśli ta czarna już była? To co? Dać ci namiar? Zadzwoń do naczelnej?

– Dzwon.

Rozłączyłyśmy się. Czemu ona nigdy nie była taka ciepła w redakcji? To jasne, że służą jej rodzina i święty spokój.

Zdjęłam z najwyższej półki dzienniki Włodka i postawiłam na biurku. Zadzwołam do kolegi z Biblioteki Narodowej i umówiłam się na środę. Może to zbędne zabezpieczenie, a może nie. Zobaczymy. Następnego dnia okazało się, że mam umówioną wizytę w redakcji National Geographic. Regina działa szybko jak pocisk kosmiczny. National? W życiu siebie tam nie widziałam. Czy to aby nie za wcześnie? I jak to „mam się wyrwać w świat”? To jakieś nie-realne! Trzeba mieć kasę, kontakty... Boże, czemu mnie to spotyka? Czemu nikt nie chce mnie tu, na miejscu?

Ojciec się nie odzywa. I dobrze. Każde z nas musi jakoś osiąść w obecnej sytuacji. Choć on zapewne zachwycony, a ja przerażona i zła. Nie dzwonię, bo powiem coś, czego pożałuję. A poza tym może to chwilowe i ojciec się opamięta?

Po południu lunęło. Zrobiło się nieprzyjemnie i chłodno, więc włożyłam dres, ciepłe skarpetki, wzięłam sobie do łóżka kubek gorącego kiślu z tartym jabłkiem i otworzyłam lapa.

Antku Emigrancie!

Ty wiesz...? Ale się porobiło!

Byłam u ojca pojeździć na rowerze. Chciałam się przejechać po starych ścieżkach. Ale gdy się pojawiłam, okazało się, że są imieniny Anny. Nie wiedzieć skąd wzięli się goście – sąsiedzi, których Anka bardzo szybko oswoiła. Jedzenie, toasty i zaskoczenie, bo

ona gra na akordeonie. Czujesz? AKORDEONIE! Ale to jeszcze nic. Przyłapałam ich – tatę i ją – na czułościach.

Nie mam pojęcia, co to jest, jak daleko zaszło, czy już śpiąją ze sobą, czy to dopiero podchody. Nie alarmuję Grzeska. Zresztą co mi powie? Jak zwykle zleje mnie wiadrem zimnej wody. Ich pokolenie nie widzi żadnych problemów poza własnymi.

Jestem w szoku. Nie, nie nadużywam zawartości emocjonalnej słowa „szok”. Jestem w szoku – kropka. Ona, ta kobieta, tak się sprytnie wślizgnęła w nasze łaski, że śmiem podejrzewać, iż specjalnie przedstawiła swoją sytuację życiową jako tragiczną, żeby móc sobie u taty osiąść. Jej córka z narzeczonym tak ojcu namotali w starej głowie, że już tam fizycznie jest sklep ogrodniczy!

Wyobrażasz sobie, jakie tempo?! Magazyn wyremontowany, już jest kanciapa sprzedażna, a w niej biurko, szafa, kasa fiskalna i segregatory. W tym magazynie są stoły robocze, stopy doniczek, sprzęt i nawet wózek widłowy kupiony z demobilu. Na tylnym podwórzu, gdzie kiedyś był warzywnik, jest sterta torfu i jakiejś ziemi innego koloru. A za nim tam, gdzie był właściwie nowo posadzony sad jabłoni starych odmian (ostatni hyż ojca), jest plac z roślinami w pojemnikach do sprzedaży. A te drzewka przesadzono do oddalonej szkółki, więc ojciec ma do nich dalej... On sam zachwycony, bo jest współnikiem! Podejrzewam, że dał im sporo kasy. A jeśli zbankru-tują?!

A ta cała ondulowana Anula ma tu jak u Pana Boga za piecem! Zamiast starać się o nowy lokal z gminy (pisałam Ci? Ich dom się spalił. To chyba była sprawka nowego właściciela, który wie, że plac więcej wart niż ta rudera, która tam stała. Teraz ma spokój z lokatorami i grunty sprzeda deweloperowi albo sam jest deweloperem). Nieważne. Inne rodziny cisną, żeby im gmina coś dała, a ta Anka chyba odpuściła, bo omotała ojca i ma ochotę na to miejsce. Co za przebiegła małpa!

Chce mi się wyc.

Ponadto kompletnie wyschła mi kasa. Pracy nie ma... Regina zrobiła mi wejście do redakcji National Geographic i tylko pytanie: po jaką cholere? Co ja im zaproponuję? Jestem za stara, żeby wędrować z plecakiem po świecie i z kawiarenek internetowych ślać korespondencje.

No i ostatnia wiadomość: jakiś gość chce koniecznie kupić pamiątki Włodka. Przysięgam Ci, że w nich nie ma nic interesującego, same zużyte już historyjki. Podobno wydawnictwo, w którym pracuje, uparło się i je chce. Dziwne.

Leje. Jem kisiel z jabłkiem i szlag mnie trafia.

Cześć

eM.

Następnego dnia Antek odpisał:

Pamiętasz, jak Pawlak mówił do żony? Pozwolisz, że odezwę się tym cytatem? „Uj, Mania! Nie nerwuj się!” Co da, że się wściekniesz? Chyba że Ci ulży.

Twój tata jest pełnoletni i chyba nie ubezwłasnowolniony, prawda? Daj mu spokój. Piszesz o tej Anuli, jakby to była jakaś zawściekła oszustka. A może to błąd? A zresztą nie wiem. Musiałbym z nią porozmawiać. Trzymaj rękę na pulsie, ale chyba niewiele poradzisz. Ważne, żeby ojciec nie dał się wpuścić w jakieś podpisywanie papierów. Masz nad tym jakąś kontrolę?

I czy myślałaś może o dobrych stronach tej sytuacji? Coraz starszy tata ma opiekę... I może ten sklep jednak będzie przynosił dochody? Byleby taty nie zadłużył. Pewnie ojciec ma jakąś emeryturę? Rozmawiałaś z nim o tym? Może pora?

A reszta to pryszcz!

Praca dla NG? Ooooo, Pani Marianno! To prestiż. Znaczący kiedyś wielki. Jaki dzisiaj – nie wiem, ale nadal TO JEST FIRMA! No i czemu miałybyś nie spróbować?

Poczekaj, robię głęboki wdech i... wyjeżdżam z propozycją:

Marianno. Na poważnie. Ja wiem, że ludzie straszą się znajomościami z netu, ale to bzdura. Jaką mamy gwarancję, że ktoś poznany w metrze, w supermarkecie czy na stacji benzynowej jest lepszy od tego, kogo znamy z netu? Jestem starej daty, zresztą widzieliśmy się krótko, to wiesz, że żaden ze mnie palant, a nawet chyba przestraszyłem Cię swoim zimnym osądem sytuacji – tej z psem (Pamiętasz? Ratowałaś potrąconego psa, narażając się przy tym na rozjechanie przez tira, a ja nakrzyczałem na Ciebie). Wybacz, ale uważam, że to tylko dobrze o mnie świadczy, bo Ty uratowałaś psa, a ja Was oboje 😊

No i po tym wstępie myślę sobie, że nie weźmiesz mnie za jakiegoś kretyna, gdy zaproponuję Ci pobyt w Korei Południowej. Co? Akurat znakomity temat do eksploracji. Co Polacy wiedzą o Korei Pd.?! Tylko że tu produkuje się samochody, które kupują, i telewizory, a nieliczni, że Koreańczyk wygrał ostatni konkurs chopinowski. Zatrzymasz się u mnie. Mam spore mieszkanie, więc będziesz w miarę niezależna. Serio. To duże mieszkanie. Ja jestem sam, dom pusty do 17:15, kiedy wracam ze stoczni. To poważna i serdeczna propozycja.

Chyba nie wyszedłem na nachalnego chama? Odpoczniesz, będziesz miała czas na zwiedzanie i pisanie. Zapewniam kinder-sztubę, jaką odebrałem od rodziców, i szacunek, jaki od zawsze mam dla kobiet. To przyjacielska propozycja, a nie jakieś romansowe

zagryw-ki. *Serio, serio.*

Antek

No i замуrowało mnie. Ale że jak to tak? Właściwie nieznany mi facet zaprasza mnie w takie odległe miejsce?

W pierwszym odruchu popukałam się w głowę. W drugim zadzwoniłam do Agaty – psychoterapeutka z pewnością oceni to na zimno. Miałam rację. Zapytała mnie, co wiem o Antku, i kiedy zaczęłam jej opowiadać, sama się zastanowiłam, czy znamy się z krótkiej akcji „pies”, czy jednak maile pokazały mi go w jakimś przyjaznym świetle. Ale jak to psycholog Agata powiedziała, że to moja odwaga i decyzja.

Teraz dzwonię do Julki. Czemu do niej? Julka nie jest w żaden sposób ze mną związana, nie ma między nami zależności, więc będzie szczerą.

Zadała mi właściwie te same pytania co Agata, ale też poszła dalej:

– Znasz go na tyle, żeby nie czuć obawy?

– Chyba tak. Nigdy mnie nie podrywał, czyta te moje bzdetki i sam też się czasem odkrywa.

– I co takiego odkrywa?

– Nic takiego. Los emigranta zarobkowego. Jest inżynierem budowy wielkich statków. Inteligentny i skromny. Myślę, że czuje się tam samotny. Bo czemu miałby inaczej pisać?

– Samotny znaczy też nieżonaty?

– A, tak. No przecież nie zapraszałby obcej baby do siebie, gdyby w Polsce miał kochającą rodzinę. Tak, jest samotny, rozwiedziony. Dawno bardzo.

– Hmm. Mania, dorosła jesteś. Nie sędzę, wybaczyć, ale polećmy po szczeroci... a więc nie sędzę, żeby cię zapraszał z powodów erotycznych.

– Bo?

– Bo oni, jeśli im tylko o to chodzi, załatwiają to inaczej. Na świecie są samotne laski do wyrwania, domy publiczne, *call girls* i tak dalej. Azjatki są piękne, więc gdyby o to tylko szło, to...

– ...nie ściągałby z Polski podstarzałej baby z histerią życiową? – przerwałam jej. Julka się roześmiała.

– No, mniej więcej.

– Szczerą jesteś, ale wiesz, to mnie przekonało. Choć oczywiście nie do końca. Nie wiem, czy się odważę. To jednak jest zaskakujące. Czekać, przeczytam ci coś. – Poszukałam w laptopie w poczcie i zacytowałam Antkowego maila sprzed roku: – „Sam? Ha. No sam. Moja żona nie wytrzymała oddalenia. Kiedy wyjeżdżałem, jej firma była w upadłości, więc mój wyjazd za bardzo godziwe pieniądze był zrzędzeniem losu. Pomógł jej bardzo mój przyjaciel. Tak bardzo, że dzisiaj są już małżeństwem, a ja jeleniem na emigracji. Sam? Stale zadaję sobie to pytanie, bo mieszkam sam, ale mam tu kolegów, a nawet koleżanki. Czy mam na stałe partnerkę? Jakies romanse były po rozwodzie, nie powiem, ale się nie stały niczym więcej jak tylko romansami. Europejki oczekiwały jakiejś deklaracji, a ja niedeklaratywny jakoś, więc się skończyło. Miałem

nawet krótki romans z Tajką. Nie, nie myśl sobie. Żadna tam dziewczynka. Pani nie pierwszej młodości, ale bardzo ładna, pracująca niedaleko tu, w barze. Ale trafił się jej Niemiec o wyższych dochodach, więc... Ech! Życie. Chcę odpocząć już. Żadnych romansideł już nie potrzebuję. Kobiety dzisiaj są inne, niż ja może bym chciał. A może już mi się nie chce chcieć?" To brzmi jakoś normalnie. Ja mu wierzę... – powiedziałam to do siebie, a może też do Julki.

– Hmmm – odrzekła Julka i niewiele to znaczyło.

Potem zmieniłyśmy temat. Julka opowiedziała o swoim biodrze i nowych zabiegach rehabilitacyjnych i o kłopotach Mirka z cukrem, o ich pobycie na Kostaryce i z lekka westchnęłyśmy na temat polityczny, ale szybko go odrzuciłyśmy, rzucając stary żydowski szmonces: „Pan wie, ja wiem, więc po co o tym rozmawiać?”

Grzesiek mnie zaskoczył i wkurzył, bo sądziłam, że zbagatelizuje i wyśmieje moje obawy, a tu odezwał się mój syn z wyżyn. Czy ja zwariowałam? Czy ja go znam na tyle, żeby zaufać? Że jestem naiwna i zbyt prostolinijna. Że tak się nie robi! Że może ewentualnie wyjazd tak, dokumentacja tak (zwłaszcza do National), ale niech mi zapłacą za jakiś hotel, pensjonaty czy coś! Nie wytrącałam go z mirażu. W Szwecji może redakcja zafundowałaby swojemu reporterowi hotel i przelot, i wikt, i opierunek w zamian za cykl reportaży, ale ani ja nie jestem reporterką, ani Szwedką, ani pracownicą National Geographic. Nie byłam tam nawet jeszcze ani nikt mi nie obiecał jeszcze niczego.

Mam w głowie mętlik.

No to jeszcze została mi Regina. Liczę się z nią. Obliczyłam różnicę godzin i zadzwoniłam przez Skype'a. Zgłosiła się jej córka, serdecznie przywitała i powiedziała, że mama jest z ojcem i wnuczkami na imprezie dziecięcej. Nie mam pojęcia, czemu wyjaśniłam jej, o co chodzi.

– Pani Marianno, czuję się w obowiązku zabrać głos. Moje pokolenie nie ma aż takich zastrzeżeń jak wasze. Niedawno moja kumpela poleciała na zaproszenie koleżanki do Lizbony. Na miejscu okazało się, że dziewczyna z Lizbony jest w szpitalu, bez przytomności, po ciężkim wypadku, jej rodzina nic nie wie o gościu – słowem kiszka. Oszczędna panna stwierdziła, że hotele drogie, więc może jakiś tani pensjonat. Ale w Portugalii tanio nie jest. Usiadła nad brzegiem Tagu i majtała nogami. Ktoś do niej zagadał, zaproponował towarzystwo, poszli więc w górę miasta w stronę słynnej Alfamy. Pojawiło się sporo młodych ludzi, ciekawość i pogaduszki. „Nasza miła Polka nie ma gdzie spać!” – zakrzyknął pierwszy znajomy. Za chwilę odezwał się inny, że ma spore lokum, więc zaprasza. Koleżanka zrobiła oczy jak lemur, ale dziewczyny z towarzystwa dały mu najwyższą ocenę.

– I poszła do nieznajomego na noc?! – zapytałam zdumiona.

Córka Reginy najspokojniej odparła:

– No widzi pani. Dziewczyny dały glejt, chłopak sympatyczny, a my, Polacy, a zwłaszcza Polki, wiecznie zakładamy, że każdy facet to świnią i cham. Jeśli się ma jakieś minimalne choć wyczucie, to z rozmowy, zabawy jasno wynika, czy mamy do czynienia z palantem, czy nie. No chyba że jesteśmy kompletne lebiody.

– Czy ja jestem lebioda?

– A czy ja to powiedziałam? Dla wszelkiego spokoju proszę wziąć klin pod drzwi

i elektryczny szoker, jeśli aż tak się pani boi. Ale skoro gadacie od roku fajnie i sensownie, to... Proszę pomyśleć logicznie, czy on ściągałby sobie na głowę, wybaczy pani, kobietę już niemłodą, skoro na świecie roi się od chętnych lasek?

– No ale on ma około sześćdziesiątki!

– Ojejka! To co? Gdyby mu chodziło wyłącznie o bzykanko, to z pewnością znalazłby sobie jakąś narzeczoną albo płacił za usługi. Opłacałby mu się import kobiety z daleka? Proszę na logikę... No?

– Jasne... – zamyśliłam się. – Mamy straszne uprzedzenia?

– Mamy! – odrzekła. – Wie pani, ja już lata całe jestem poza zapyziałą Polską. Tu, w Australii, ludzie są otwarci, normalni, choć oczywiście trzeba uważać. Moje koleżanki z Polski, a zwłaszcza te starsze ode mnie, wszędzie węższą gwałcicieli. A to tylko w trzecim świecie. W Libii czułam się bezpieczna tylko w burce. Taka religia. Faceci tak napaleni na babę, że w mózgu mają wyłącznie seks. A na Starym Kontynencie, a i tu w Australii, jest w miarę normalnie. Chłopaki, owszem, chętni do tej roboty, ale też mają maniery i potrafią rozmawiać, potaćzyć, pośmiać się i dać wsparcie. Nie mają w obyczaju rzucać się na każdą samicę. Ile myśmy tu zawarli znajomości takich czystych, bez podtekstów! Ile nam w Polsce umykało z tym naszym nieodzywaniem się do nikogo i unoszeniem: „Proszę pana, ja jestem porządna!”.

– Czyli ja taka uprzedzona dziumdzia?

– Na to wygląda. – Zaśmiała się. – Ten pani znajomy to, *sorry*, starszy pan. I skoro posiada maniery, nie sady ortograficznych byków, nie bredzi idiotyzmów, to jakoś nie widzę w nim potencjalnego gwałciciela.

– Mądrze mówisz. – Roześmiałam się ja z kolei. – I ja żadna tam Marilyn Monroe, faktycznie. Ech, to nasze wychowanie. Patrz, swoimi podejrzeniami być może krzywdzę człowieka.

– Ostrożność nie zawadzi, ale też dajmy ludziom szansę pokazania, że są fajni. A wyjazd do Korei Południowej? Fiu, fiu!

– OK. Dziękuję. Proszę pozdrowić Reginę i niechaj może już nie oddzwania.

Rozłączyliśmy się.

Było mi wesoło, bo jej córka wlała mi do serca optymizm i wiarę w człowieka, jakiej już dawno w Polsce nie czułam.

Zadzwoił ojciec.

– Baranku... Musimy porozmawiać.

Nie powiedział zwyczajowo „pogadać”, lecz „porozmawiać”. Zabrzmiało poważnie. Nadto zadeklarował swój przyjazd do mnie. Dziwne... No, to czekam. W tym czasie przyszedł mail od Antka: „Ale... nie uraziłem Cię? Jeśli tak, proszę o wybaczenie”. Och, nie mam czasu teraz na tłumaczenie.

O co chodzi tacie? Będzie mi się wyjaśniał, że ma romansik?

Na razie zrobię obiad, bo tatko wpadnie akurat w porę jedzenia. Jego porę, bo moje bywają różne. Jestem sama i nie mam zegarkowego odruchu. Kiedy był tu Mirek, to i tak ze względu na jego dyżury też nie było sztywnych pór posiłków, a od kiedy go nie ma, od kiedy też nie ma Lilki, nie jadam jakoś regularnie. Wiem, proszę wysokiego sądu, że to źle, ale jest, jak jest. Jem, gdy zgłodnieję, i co tam sobie wymyślę. Dwudaniowy obiad to

już tylko u taty albo w restauracji. Choć i to z rzadka. Kanapki to może nie, ale różne rzeczy na szybko. Makaron z białym serem mogę jeść często. Ziemniaki utłuczone na miazgę z zerowym jogurtem i z prażoną cebulą, i z pieprzem wchłaniam w zbyt wielkich porcjach – bo to wszak nadzienie do ruskich, a bez otoczki z ciasta jakby mniej tuczące. Kaszę gryczaną robię na dwa dni, bo uwielbiam taką zwyczajną, z suchymi skwarkami (tłuszcz odlewam) i kefirem. Ale bywa, że sobie kupię porcję sushi albo opiekanego kuraka z rusztu, i wtedy zjadam go z obranym pomelo. Czyli nie jest ze mną tak źle, nie jadę na suchym prowiancie.

Ojciec jest zupolubny, to ugotowałam mu samograja, czyli to, co zje zawsze i o każdej porze – krupnik grzybowy na suszu ze śmietaną. To zawsze go znakomicie nastraja. Nadto uważa, że tylko ja taki robię i nikt inny. Przynajmniej w tym jestem dla niego mistrzynią.

Przywiózł mi bukiet kwiecica z ogrodu. Widzę to po kompozycji i alufolii, w którą owinięty jest od dołu. W niej wilgotny papierowy ręcznik – i już wiem, że to dzieło Anki. Dostaję też kurczaka zagrodowego ze starym tekstem: „Masz tu, Kobylińsio dla ciebie dał”, no i wytlaczankę jajek.

Siadamy w kuchni przy małym stoliku, przy którym jadałam sama, z Mirkiem i z Lilką też. Akurat na dwie osoby. Jemy i widzę, jak tatko się zbiera w sobie. Pewnie się dowiem, że mają romansik. Meczyje... Choć może nie zakwilę z zachwytu, ale co mi tam. Właśc-ciwie nie chcę o niczym wiedzieć! Skubnął ją, to skubnął, no ale spowia-dać mi się z tego?!

– No, mów, tato, bo widzę, że ci ciśnienie skacze – ośmielam go.

Wzdycha i zaczyna:

– Baranku, jak już zauważyłaś, między mną a Anią... – zawiesza głos. Patrzy na mnie takim wodnistym wzrokiem. Koniec nosa ma czerwony, denerwuje się.

– No, domyśliłam się, że jest między wami coś... „ciepło”, tak? Tato, ja nie wiem, czy musisz mi koniecznie o tym mówić. To twoje życie i twoja sprawa. Taki, jak rozumiem, wakacyjny romans? Daj spokój i nie miej wyrzutów. Chcesz herbaty?

Milczy. Lekko drżą mu usta. Nie żartuje, nic nie mówi, rzuca nerwowe spojrzenia to na stół, to na mnie. A więc jest coś jeszcze...

– No co? Nie mów, że zaszła w ciążę... – Śmieję się lekko i odnoszę naczynia do zlewu. Czuję, że głupio palnęłam, że tata ma coś w zanadrzu, a ja trywializuję. Nastawiam czajnik, siadam.

– Wiesz... Ja tyle lat sam. Opowiadałem ci. Jakies tam sprawy były, z Halą nie wyszło, ale od dawna nic, jak przykładowy wdowiec. Tak zazdrościłem Gieniowi Elżbiety, tej miłości, tego uniesienia. Nie wierzyłem, że starcom to się może zdarzyć, a jemu, patrz... Gdyby żył, pewnie już byliby razem na amen. Mówiła mi ta pani Ela, że się sobie zadeklarowali. Że ona nie chciała pierścionka, ale wiosną mieli się pobrać po cichutku.

– Prawda. Ładna historia. Ale co? Zakochałeś się? Poważnie? – zapytałam, sądząc, że zaprzeczy, że coś wymyśli. Że nie, no nie w tej tlenionej, egzaltowanej i takiej... innej niż mama, tak szalenie innej Anuli! No i to imię, Anula. Jakies takie małomiasteczkowe, „nie nasze”. Inne od mamowego imienia Wanda. Takiego imienia, jak i ona była – intelektualistka, szalenie odczytana i, owszem, też życiowo zaradna, ale milcząca

i niepospolita! A tu Anula koloru blond z tortami i akordeonem! W niej się ojciec zakochał?

Ojciec robi minę pod tytułem „no cóż poradzić” i patrzy wyczekująco. Dodaje:

– Od dawien dawna nikt tak o mnie nie dbał, nie troszczył się. Nie gniewaj się, ale ty i Lilusia to co innego i z rzadka. Ja sam i sam... Kiedy już Kobyliński całkiem oklapł i zakończyliśmy, wiesz, to nasze intensywne warzywnictwo i sadownictwo, to ja stale, Maniu, sam! I nagle, wiesz, ta Ania, która wniosła do domu tyle życia!

– No właśnie. Miałam zapytać. Nie drażni cię to?

– Co? Anusia? Drażnić? Początkowo troszkę może, bo, wiesz, ona dużo mówi. Ale gdy spłonęła ta jej kamienica, to raczej milczała, popłakiwała, niż gadała. A kiedy zaoferowałam jej u mnie zamieszkanie, odżyła, a cały dom z nią! Jemy razem posiłki, rozmawiamy, jeździmy po zakupy, mam wszystko uprane, poprasowane i po-załatwia-ne. Jakbym się obudził z długiego snu!

Nie wiem, czy chcę dalej słuchać tego hymnu.

– I... – kontynuuje tato i wiem, że zbiera się do czegoś, kurczę, jeszcze ważniejszego. – I wiesz, jakoś tak się między nami zrobiło, że...

Nie może mi powiedzieć najprostszej rzeczy, że ją bzyknął!

– No, tato. Że poszłicie do łóżka? Oj tam! – Znów próbuję bagatelizować.

Widzę napięcie na jego twarzy. Więc to nie wszystko. Boże, co jeszcze?!

– No, nic dziwnego, Baranku. Tak się stało, bo oboje byliśmy długo sami i tego... no... jakaś się czułość wdała w nasze relacje. Nie powinnaś się dziwić, bo sama przecież miałaś jakieś cieplejsze relacje z tym kolegą z siłowni, prawda?

– Lilka ci powiedziała?! – niemal krzyknęłam.

– Oj tam, oj tam, jak wy teraz mówicie. – Roześmiał się wreszcie, widząc moje zakłopotanie, i zanucił jakąś ramotę sprzed lat: „Dlaczego człowiek na człowieka tak uparcie czeka, chociaż niejednego przecież zna?”.

– Ty tak poważnie?! Tato?

Milczy. Kiwa głową. Nuci dalej, a właściwie deklamuje:

– „A człowiek może nie wie o tym nic, jak bardzo trudne są samotne dni. I nie wie tego, że odmienił świat, gdy tak jak nigdy w oczy spojrział mi...” Nie pamiętasz tego? Kunicka śpiewała.

Nie wiem, co powiedzieć. Rozumiem jego samotność. No ale on ma siedemdziesiąt kilka lat. Do licha! To już bliżej niż dalej, pomyś-lałam i się zawstydziłam. Żałować mu tego domowego ciepła? No ale jak długo?

– A kiedy Ania się wyprowadza? Wybacz, że pytam, tato.

– No właśnie się nie wyprowadza, Marianno. Wprowadza się w moje życie tak, wiesz, kompletnie.

Zatkało mnie. Że co?

– Ale... przecież miała dostać od gminy lokal zastępczy.

– Miała, ale gmina nie ma takich lokali. Powiedziała, że poczeka i jeśli już coś będzie, to Kasia przejmie, a my sobie z Anią będziemy razem tam u mnie. Ja, Maniu, mam już krótki kalendarz. Ile ja pożyczę? A wiesz, że teraz z nią jest mi tak dobrze, tak jak powinno być. Każdy to miał, Kobyliński na stałe, Gieniu na przychodne, a ja wcale! No

to teraz spadło mi to jak z nieba. Ty wiesz, kochanie, że my tak sobie często teraz siadujemy w altanie? Anusia gra, sąsiedzi wpadają, bardzo im się to granie podoba – zamilkł i dodał po chwili: – I w ogóle, wiesz... – zawiesił głos, zarumienił się, uśmiechnął zawstydzony i wiem, że myśli o łóżku, ale dyskretny jest, więc tylko spuszcza wzrok i dodaje: – ...tego, no. Jest dobrze.

Nie mam słów. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ale – ciągnę go jeszcze za język – to już na stałe? Taki... związek? Tato?

– No a jak inaczej? Czy ja mam dwadzieścia lat i temperament poborowego? Pewnie, że na poważnie, na stałe i na amen. Baranku, ty sobie myśl, co chcesz, ale ja się zakochałem. Może nie jak sztubak, ale tak na spokojnie, jak nasz Gieniuś. Powinnaś się cieszyć, bo mam całodobową opiekę. No, będę leciał już.

Nawet się nie zastanawiam, co by Włodek na to rzekł, bo to facet, stary satyr. Zaraz musiałabym słuchać żartów na temat tego, że w starym piecu diabeł pali, że czemu mam ojcu żałować, skoro Anka sama mu do łóżka weszła, że skoro tatko w TYM wieku może bez viagry, to pogratulować i tak dalej. A sprawa ma głębszy wymiar. Tak nagle muszę się pogodzić z tym, że tam już rządzi inna kobieta!

No i nagle poczułam mocny kop zazdrości, złości, cholera wie czego. To nie było przyjemne. Tata o nic mnie nie spytał, tylko zameldował, jak jest! Jestem już nieważna. No tak, to chyba czują dzieci rodziców, którzy znajdują sobie nowych partnerów. Tyle że ja mam pięćdziesiątkę na karku!

W poczcie niewiele. Reklama domu meblowego, która nie trafia w spam, mail od tego gościa, który chce dzienniki Włodka. O, właśnie, pora podjąć jakąś decyzję. Przesuwam spotkanie na *mañana*, bo przecież muszę mieć kopię. Pojutrze mogę zawieźć koledze z Biblio-teki Narodowej dzienniki do skopiowania i potem mogę przekazać. Wstyd mi, ale te pieniądze spadają mi jak z nieba. Muszę z czegoś żyć, póki nie zacznę pisywać do National. A zacznę? Naprawdę zacznę? To takie proste?

Decyzje

Kilka dni później, podczas których byłam dość zabiegana, bo ledwo zdążyłam na przegląd samochodu, wizyty: u dentysty, w redakcji i u kolegi w Bibliotece Narodowej, spróbowałam odgrzebać jakieś moje wczesne próbki tekstów o moim nieudanym wyjeździe do Indii i dość krótkim do Japonii (z Mirkiem). Podciągnęłam narrację i przypomniałam sobie te wyjazdy, zwłaszcza Japonię. Na szczęście opisałam Kraj Kwitnącej Wiśni Grześkowi – barwnie i ciekawie. Tyle rzeczy kompletnie mi się zapomniało! Trzeba robić zapiski, bo pamięć jest dziurawa, wybiórcza i zawodna. Dla przypomnienia pooglądałam zdjęcia. Jestem na nich szczuplejsza, Mirek mniej siwy, wyluzowany i przystojny. Jest zaledwie na trzech, bo albo był na kongresie, albo robił je mi. Na jednym jesteśmy razem – w parku z wiśniami wszelkich odmian. Jakiś miły Japończyk zaproponował, że nam zrobi tę fotkę, bo zobaczył, jak Mirek próbuje ustawić samo-wyzwalacz i stale coś mu nie wychodzi, a kijków do selfie wówczas nie było.

W sobotę wieczorem siadłam do zaległości pocztowych i zobaczyłam mail od Antka. No tak. Pisał do mnie entuzjastycznie, że zaprasza, ja się nie zdeklarowałam, co zapewne wziął za focha, napisał dwa słowa przeprosin i ja nic. Nie jest namolny. To miłe, ale prawie tydzień bez maila od niego – dziwne. Bo właściwie przywykłam, że nader często rano zastaję od niego jakieś krótkie miłe wieści. Zdjęcia ptaków, które zrobił ostatnio, z jakimiś śmiesznymi nazwami. Nie jestem mocna z biologii, więc rozśmieszyła mnie warzęcha, która naprawdę ma dziób jak drewniana łyżka do pyz, kulik z dziobem zgiętym w kabłąk i mój faworyt – ślepowron. Jak można się tak nazywać? Pod zdjęciami było kilka słów o tym, co robił, co upitrasił, co obejrzał. Tak gadamy sobie jak sąsiadki zza płota. A teraz cisza, bo mnie замуrowało. Córka Reginy ma rację. Co się będę krygować!

Antku,

bardzo Cię przepraszam za milczenie. Miałam tu niezłe urwanie głowy.

Odnosnie do Twojego zaproszenia to wiesz co? Może to i dobry pomysł?

*

Był u mnie mój tatko i powiedział, że się... zakochał. Tak, dobrze zgadujesz, w owej Ance, która pomogła mi się rozpakować po remoncie, której mieszkanie spłonęło w Garwolinie i która miała pomieszkać u taty tylko przez lato, aż jej gmina zastępczy lokal znajdzie. I on mi przyjechał powiedzieć, że zaproponował jej wspólne życie... Jestem zdruzgotana. Nie potrafię się z tym uporać, wiem, że mu tego nie wybije z głowy.

Tak, tak, powinnam się cieszyć, że ojciec zyskał opiekunkę, bo też faktem jest, że w domu ma szczyściuteńko, on oprany, obkarmiony i zadbany, nadto obcałowany i, wiesz... aż mi głupio myśleć o tym, bo o ile seksualna część życia Gienia (niby-brata ojca,

już nieżyjącego) była czymś normalnym (choć nie lubiłam się nad tym zastanawiać), o tyle życie erotyczne mojego papcia jest dla mnie odległą bajką. Sama myśl o tym, że oni razem śpią, sprawia mi tylko kłopot i wprawia w zażenowanie. Co robić?

Ta sprawa już tak daleko zaszła, że tata nie przyjechał poradzić się mnie, ale zawiadomić i szlus! Załamka.

To dramatyczne „co robić” świetnie się zgrało z tym Twoim zaproszeniem. Jeśli to na poważnie, to skorzystam. A jeśli nie na poważnie, to... też. Jeśli to był żart, to zapewne są tam jakieś tanie pensjonaty – wpadnę na chwilę odetchnąć, zbiorę jakieś materiały do reportażu. Przecież umówiłam się z wydawnictwem. Co Ty na to?

Pozdrawiam Cię

Marianna

*Już następnego dnia rano znalazłam odpowiedź:
No i świetnie!*

Nie pogniewasz się, jeśli kupię Ci bilet? Mam w tym zakresie wprawę, bo za pierwszym razem nie powinnaś przemieszczać się po Seulu na inne lotnisko, żeby się przesiąść na samolot do Ulsan. Niby to nic takiego – jest transport i możliwości, czytelne napisy i informacja – ale pozwól, że Ci tego oszczędzę. Ja zresztą mogę przyjechać po Ciebie samochodem i do Seulu, ale będziesz bardzo zmęczona lotem, który, przyznam, jest długi, i tych 400 kilometrów w samochodzie jeszcze Cię wykończy. O reszcie porozmawiamy, gdy już tu będziesz.

Cieszę się, że odpoczniesz. Jutro zabiorę się za porządki w Twoim pokoju. Dorobię też klucz do zamka, żebyś miała poczucie całkowitej niezależności.

Domyślałam się, jak musiały nastraszyć Cię koleżanki, jeśli się pytałaś o radę! Pewnie przedstawiły mnie jako nienasyconego Rudobrodego czyhającego na naiwną Polkę... Zgadłem? Sama się przekonasz, że jestem raczej zwykłym i chyba nawet nudnym facetem, ale postaram się pokazać Ci jak najwięcej atrakcji, żebyś:

a – odpoczęła,

b – polubiła Koreę,

c – zebrała fajny materiał,

d – spędziła ten czas jak najciekawiej, choć Korea to nie Nepal, Bali czy Australia



OK. To ja siadam do zamawiania biletu.

Pozdrowki!

Antek Emigrant

O, jak miło. Ma rację. Lepiej ode mnie zapewne porusza się po internecie, zwłaszcza że podróżuje sporo, więc umie znaleźć najlepsze połączenia. Ja za to zapłaciłabym frycowe, bo nie pomyślałam, że z Europy może nie być bezpośredniego połączenia do tego... Ulsan. Kasę mu zwrócę i kłopot z głowy.

Pomyślałam też, że ojciec, nie widząc mnie i nie słysząc za często przez miesiąc – bo zakładałam, że wszystko będzie fajnie i normalnie, więc miesiąc chyba mi wystarczy na zebranie materiałów – przemyśli sprawę Anuli. A może cała rzecz z nią jakoś się sama rozwiąże? Rozmyje, rozejdzie po kościach? Tak czy inaczej, źle mi i samotnie.

Poszłam do szafki w biurku, pełniącej od lat funkcję minibaru, i nalałam sobie koniaku.

Tak. Od śmierci Lilki jestem bardzo osamotniona.

Do niedawna to Mirek był mieszkańcem mojego życia, ale już nie jest... Kiedy jednak był, to z nim rozmawiałam, to on wy-pełniał przestrzeń. Potem była Lilka, od zawsze Gieniuś, Włodek, a też wcześniej Grzesiek. Oni zaludniali mój świat. Agata nie jest moją koleżanką, jest terapeutką, i dzisiaj mnie już do terapii nie ciągnie. W pracy, w redakcji miałam koleżanki, ale jak widać tylko dorywczo. Gdy rozsypało się pismo, rozsypały się i przyjaźnie. A może to ja nie umiem dbać o kontakty? No ale, dalibóg (czasem mawiał tak Gieniu), co to za sposób na przyjaźń spotykać się w mieście na kawce? Julia też przyjaciółką nie jest i nie może być. Mogłaby, gdyby nie była obecną „żoną” mojego byłego. Czasami po kilka dni do nikogo pyska nie otwieram. Podobno, tak mówiła Justyna, nasza operatorka konta fanpage’owego na Facebooku, właśnie Facebook jest takim antidotum na samotność.

Jakoś... nie wierzę. Nie złapałam bakcyła, choć właściwie wszyscy moi znajomi fejsbukują, tłitują i mają mi za złe, że mnie tam nie ma. Nie nauczyłam się. Trudno.

Antek jeszcze dopytuje, jaki termin byłby najdogodniejszy, i proponuje albo coś zaraz, teraz, natychmiast, i uprzedza, że jest bardzo gorąco, albo sugeruje końcówkę sierpnia z opcją na całe trzy miesiące.

Antku,

trzy miesiące?! Nie wiem, czy dam radę finansowo, bo u mnie krucho z pieniędzmi. Zaczy jakieś tam zabezpieczenie mam, ale bardziej jakieś niż konkretne, a głupio by mi było narażać Ciebie na koszty.

Może jednak miesiąc?

eM.

Marianno,

przebukowanie biletów to zawsze strata, a sądzę, że Ci się spodoba. Więc może jednak trzy miesiące, jeśli nie masz innych planów? Jeśli ja Cię rozczaruję czy Korea, to oczywiście przebukujemy. Nadto możemy się umówić na barter. Gdyby Cię to satysfakcjonowało, to z miłą chęcią odpocznę od koreańskiej stolówki czy własnego gulaszu. Nie jestem mistrzem kuchni, więc jeśli byłabyś skłonna upitrasić mi jakiś obiad od czasu do czasu – rozliczymy się obiadami. Co Ty na to?

A.E.

Emigrancie,

to jakby w pakiecie – gotowanie za mieszkanie. Też nie jestem mistrzynią kuchni, ale chętnie zajmę się pitraszeniem 😊 Pozwól, że co do czasu pobytu dam Ci ostateczną odpowiedź pojutrze.

Zrobiłam sobie stałe zlecenie zusowskie, skoro nie mam pracy, i dla świętego spokoju odwiedziłam jeszcze dwie zaprzy-jaźnione redakcje, w których ze zdziwieniem zastałam komplet nieznanymi mi ludźmi, bo jak się okazuje, zmiana polityczna poszła tak daleko! Po czystkach nie ma z kim rozmawiać, a kiedy nawet próbowałam, pani cerber w telewizji nie wpuściła mnie do dyrektora programowego, do którego przypadkowo miałam słaby, ale jednak, glejt od dawnej koleżanki z liceum. Nadto pani okazała się niesympatyczna, gdy usłyszała, na kogo się powołuję, i rzekła gorzko, że dzisiaj po znajomości to można najwyżej wylecieć z pracy. U nich liczą się KOMPETENCJE, no i wiek, bo z młodymi lepiej się pracuje – podkreśliła to nawet, wpatrując się w monitor.

Warszawa rozgrzana i pachnąca asfaltem nie jest uroczym miejscem, zwłaszcza dla osoby wkurzonej, zniechęconej i rozczarowanej tym, że znalezienie pracy teraz graniczy z cudem. Mogłabym – w razie totalnej biedy – sięść na kasę w sieciówce, ale żal mi pracy, którą wykonywałam całe życie, wykształcenia. Nie tego z mgr przed nazwiskiem, ale tego, które zbierałam, pracując. Co teraz z tym? *Do hasioka*, jak po śląsku mówił Gieniu? Bardzo lubił to powiedzonko, teraz ja je lubię.

Trzymam się umowy na reportaż, choć to mam pewne, podpisanej niestety bezzaliczkowo, choć właściwie to – czując redakcyjne wahanie – sama to zaproponowałam. Kiedy napiszę fajne teksty, będzie kasa.

Zadzwoiłam do Grześka, żeby go jakoś uprzedzić.

– Halo? Cześć, synek. Co u was?

– Mama? Właśnie rozmawiałem z dziadkiem na Skypie. Tadiusi się bardzo ucieszył, że widzi dziadka, bo w szkole rozmawiali o rodzi-nie i mnie dopytywał.

– Na Skypie?

– Tak, wyobraź sobie! Tam u niego są ta pani Ania i zdaje się jej córka z zięciem, więc odpaliła dziadkowi Skype’a i mieliśmy kontakt. Dziadek w doskonałej formie, jak sądzisz? I ta pani Ania taka opiekuńcza... I jak mówił o niej! Jest dobrym duszkiem tego domu. No, no!

Milczę. Grześkowi to nie przeszkadza. Jest zachwycony!

– No, właśnie – wzdycham i nie chcę ciągnąć tematu.

– Mamo, ty stale na nie? No zobacz, jakie pozytywy! Ma posprzątane, ugotowane i ma opiekę, mówiliśmy o tym! Przestań widzieć w tym cokolwiek złego!

– No, wiesz, oczywiście, tak. – Chcę już skończyć ten wątek. Mój syn niczego nie rozumie. Może to irracjonalne, ale wyczuwam jakieś zagrożenie w tej Ani. – Grzesiaczku, a wy? Co u was?

Mój syn chwilę milczy i mówi jakoś niezbyt radośnie:

– Jesteśmy dość zmęczeni, mamo. Chcemy spłacić kredyt, odłożyć coś na studia dla Tadzia... Nie jest lekko.

– Macie pracę oboje?

– Tak, ale Iga zarabia mało. Nie zawsze ma zlecenia. Proponowano jej pracę w wydawnictwie, ale się nie zgodziła, a miałaby wiesz, stały dochód, socjal...

– A dlaczego nie chce? – pytam.

Grzesiek ciężko wzdycha.

– Ona mówi, że jest artystką i w takim codziennym kieracie zanudziłaby się i czuła jak górnik przodkowy.

– Ale ty chyba zarabiasz dobrze?

– W miarę. Choć nie są to kokosy. To drogi kraj...

– Grześ. Kochasz żonę, więc ją wspieraj. Nielekko jest się wybić artyście. To wszędzie wymaga czasu...

– Mamo – przerywa mi – ale trzeba mieć megatalent, wzięcie, a Iga, no... może go i ma, ale nie jest na tyle przebojowa.

Jestem zdziwiona słowami syna. Czuję, że się kłóca. To źle.

– Pomóż jej. Tak nie można. Macie całe życie przed sobą. Tadzio potrzebuje mądrej i ciepłej rodziny. Wspieraj Igę, nie nakazuj jej kierunku, bo jeśli ją zapędzisz do czegoś, czego ona nie lubi, to zgaśnie, wpadnie w depresję i, wiesz... nie można tak! Pieniądze... – Chciałam coś dodać o tym, że przecież mają na czynsz, na życie, więc co ten mój syn wygaduje, ale znów mi przerwał:

– To nie tak. Nie można wiecznie żyć jak za młodu. Trzeba jakoś okrzepnąć, a ona tego nie rozumie. Jej potrzebny byłby samochód, wszystkim nam jakaś kasa na fajne wakacje. Może zamienilibyśmy tego naszego szeregowca na domek z ogródkiem?

– Nie za szybko? Dopiero tam się zdomowiliście. Macie ten swój szeregowiec z miniogródkiem. To mało?

– Czterdzieści pięć metrów parteru i tyle samo piętra? Mamo! A drugie dziecko jakby co? Już teraz jest ciasnawo. W tym roku właściwie zero urlopu. Rodzice Igi zabiorą Tadzia na półtora miesiąca do siebie, znaczy jadą z nim do Chorwacji. Ojciec obiecał, że wpadnie tu do nas i może zabierze nas do Disneylandu. Akurat mamy tydzień wolnego i tyle z wakacji – marudzi.

Nie powiedziałam mu o moim pomysle i kłopotach z pracą. Nakręcił się na narzekanie, a przecież jak na imigranta żyje wspaniale! Szybko skończyliśmy rozmowę, bo wiem, że kiedy Grzesiek ma kiepski nastrój, zaczyna narzekać na wszystko, a ja teraz nie umiałabym go pocieszyć, bo po mojemu zwyczajnie bredził. Chciałby po dwóch latach mieć dom z basenem i dwa mercedesy w garażu? Haha! Jaki niecierpliwy! Muszę porozmawiać z Igą. Mailowo.

Decyzja podjęta, ale nie jestem w euforii

Sprawa taty nie daje mi spokoju.

Nie, no przecież nie jestem zazdrosna! Mam tylko wiele nieufności wobec Anuli. Nie wierzę, że ona się zakochała. Nie wierzę i już! Jak dla mnie to proste wygodnictwo i cwane wykorzystanie mojego naiwnego ojca.

OK, dość już tego. Lecę za dwa tygodnie. Antek uprzedził, że jest gorąco jak w piecu. I świetnie! Przydadzą mi się takie tropiki. Pisze do mnie:

Nie nastawiaj się, proszę, na to, że to będzie jak na Bali czy Seszelach. Korea, owszem, latem przypomina rozgrzany piec, ale bajecznych plaż tu, szczególnie w Ulsan, nie uświadczysz, ani turkusowego morza. Jest tu niewielka plaża w pobliżu (kilka przystanków autobusem). Może Ci się spodoba? A w weekendy obiecuję zawozić Cię w naprawdę fajne miejsce, jeśli już będzie po tutejszym sezonie urlopowym. Dowiem się, kiedy się kończy.

Mam sporo zaległego urlopu, więc mam też fajną propozycję, ale o tym sza! Tak czy siak – kostium weź 😊

Antek

Kostium?! Mam jakiś z czasów prehistorycznych, ale gdzie? Po gorączkowych poszukiwaniach znalazłam wreszcie w pudle z napisem „LATO”. Takie jakieś dziwne dzinsy z bardzo szerokimi nogawkami – był taki nawrót mody hippie jakieś sześć, siedem lat temu – kolorowe tuniki i... jest! Kostium w kolorze turkus i zieleni, ale niestety wkładka w biuście dziwnie się rozciągnęła. I choć sam kostium niby wchodzi, to jakby sflaczał i wygląda dziwnie. Kolor też zszarzał. Kartka i długopis. Co mi potrzebne?

Nie mam żadnych letnich kłapek, tylko zeszłoroczne kroksy, nie mam rybaczek (fajnie wyglądam w rybaczkach, a stare są spsiałe i się nie dopinają), jakieś poncho? Może kupię na miejscu? A nie, jest przecież piękne i zwiewne, kolorowe po Lilce. Odkładam poncho. Powinam zabrać... zaraz, zaraz, bo znów idę na żywioł, a tu trzeba jakoś planowo. Okazuje się, że na wegetację w mieście i do jakiejś pracy biurowej ubrania mam, ale takich wakacyjnych, wesołych i luźnych brak! No bo kiedy i gdzie ja miałam wakacje? W mezo-zoiku?

Zalogowałam się do banku, żeby sprawdzić, na ile mogę sobie pozwolić. Słabo... Za to w poczcie bardzo ponagląjący mail od faceta napalonego na dzienniki Włodka i mail od kolegi, że mikro-filmy już zrobił. Kwota przyzwoita, bo i kolega przyzwoity, nie zdarł ze mnie.

Machnęłam ręką i zapaliłam Włodkowi świeczkę w lichtarzu, mówiąc na głos:

– Włodeczku. No co ci mam motać? Te twoje dzienniki są pustawe. Nic tam interesującego nie ma. Nie wiem, na co liczy młody człowiek, ale jestem w potrzebie posiadania kostiumu. Czujesz? Zatem wybaczone, ale sprzedam je. Nie ma tam nic osobistego, sam obyczaj, jakieś gadanie o polityce, spotkania... No nic dla mnie. Zawsze, gdy cię głębiej wspomnę, zapalę lampkę. Obiecuję. Amen.

Młody człowiek chcący kupić dzienniki okazał się faktycznie młody. „Siedzę przy oknie w Bristolu, mam brodę” – napisał w esemesie. Na przywitanie wstał i pierwszy wyciągnął dłoń, mamrocząc niezrozumiale imię i nazwisko, jakby się wstydził. A przecież wiem, jak się nazywa! Zygmunt Gontarz. Niewiele wyższy ode mnie, w przyciasnej marynarce (taka moda) i podobnie ciasnawych spodenkach, uścisnął mi dłoń i przywołał kelnerkę. Tonem znawcy, jakbym była dziumdzią z prowincji, zachwalał tutejszą kawę, na co odpowiedziałam mu:

– A wie pan? Z Włodkiem piłam kawę właśnie tu, przy tym stoliku!

Lekko się zmieszał:

– A kiedy?

– Zawsze, gdy się spotykaliśmy na plotkach. Zazwyczaj tu, lataaaaaami! Z trudem przeżyłam osiem lat remontu Bristolu. Wie pan, jak długo go budowano? Dwa lata. A remontowano osiem!

– Straszne. Naprawdę? To jakaś paranoja! – Starał się być miły.

– Czy ja wiem... Odbudowa zabytku zawsze trwa dłużej. Znacznie dłużej, bo to niespotykana liczba szczegółów, ręcznie robionych detali. I oczywiście montowanie nowoczesnych rozwiązań – takich jak elektryka, hydraulika – tak, żeby nie było tego widać. Tak... – zakończyłam, widząc, że go nudzę. – To Włodka ulubiona kawa i kawiarnia. – Pomięłam Włodkowe ukochane Rozdroże, do którego ja nie miałam serca, bo zazwyczaj nie miałam gdzie parkować, a na Karowej jakoś dawało radę.

Dalej rozmowa się wybitnie nie kleiła. Pan chciał jak najszybciej dostać reklamówkę z dziennikami i pójść sobie, nie wdzięcząc się do podstarzałej baby. Wręczyłam mu więc torbę, a on pod-pisał dokument, w którym zobowiązał się do wpłaty reszty pieniędzy, bo zaliczkę zapłacić mu kazałam, zanim przekazałam zeszyty. Myślę, że to roztropne, choć Włodek rzekłby zapewne: „Gotóweczka do rąsi!!!”. Lubił gotówkę. Nie ufał przelewom, nie prowadził konta przez internet.

Chłopię poprawiało okulary, poprawiło brodę, a też poruszało ramionami, jakby miało mrówki pod marynarką, i zerkało na zegarek. Zrozumiałam, że murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść, i po chwili zganiał siebie za to powiedzonko. Dzisiaj tak się nie mówi! To niezgodne z polityczną poprawnością! Faj! Ech, jakkolwiek na to spojrzeć, facet dostał swoje i spławił mnie grzecznie. Myślałam, że mając taką okazję, każe mi opowiedzieć o Włodku wszystko, co wiem. Czekałam, aż wyjmie dyktafon, wyciągnie mnie na zwierzenia! Tyle myślałam o tym, jak mu go przedstawię, jak nakreślę sylwetkę starego satyra, przyjaciela, alkoholika i wspaniałego gawędziarza – byłego męża, który przyjaźnił się z byłymi żonami, a jednocześnie zadbał, żeby żadna nie była na jego pogrzebie... A ten hipsterek zwyczajnie to olał! Wstał – znów pierwszy (!) – wyciągnął rękę na do widzenia, wziął szalik z siedzenia, choć lato mamy w pełni, i... poszedł!

– Hipster – parsknęłam, jakby to była obelga, a przynajmniej wada.

Było mi przykro, bo zlekceważył nie tylko mnie, ale i Włodka... Nie wróżyło to dobrze. Ale na osłodę miałam na koncie miłą zaliczuchnę, a miało jeszcze wpłynąć trochę.

Zła i rozczarowana po tym spotkaniu pojechałam w regały! Najzwyczajniej, po babsku połączyć po centrum handlowym, poprzymierzać szmatki i poprawić sobie humor iluzją, że kupiony łaszek sprawi cud i będę choć w połowie tak śliczna w nim, jak to sobie wyobrażam. Niestety, a może na szczęście, lustra w przymierzalniach są bezlitosne. Ale ja, jak tylko umiałam, rozpędzałam mój wrodzony krytycyzm i żal za utraconym powabem młodości.

Nastrój mi wrócił, gdy przymierzyłam dzinsy z podwiniętą nogawką – luzackie i w świetnym głębokim kolorze *super blue*, i z wysokim stanem, świetnie leżące i sprawiające mi radość rozmiarem. TYLKO czterdziestka!!! Z radością więc sięgnęłam po bluzkę w kolorze fuksji, dwa podkoszulki w cenie jednego z działu *basic* – granatowy i fuksja. Białych nie noszę, a czarnych mam po kokardę. Klapki! Tak, w sklepie z niezbyt drogimi butami są na wyprzedaży świetne – w idealnie pasującym kolorze fuksji, z lekkim podwyższeniem z tyłu, no idealne wprost na plażę japonki. W głowie natychmiast alarm: „Pedikiur, laluniu!”. I jeszcze jedno hipsterskie półtrampki z dzinsu. Frajdy dopełniły świetne, proste i z piękną *à la* szylkret oprawką okulary przeciwsłoneczne.

Dawno tak nie potrzebowałam ciuchów. Dawno tak bez pośpiechu nie łąziłam po sklepach. Dawno nie upieściłam własnego ja zaku-pami!

– Pfff – parsknęłam dla równowagi, żeby nie czuć się typową kobietą, której życiowe problemy rozwiązuje zakup kiecki.

A po tym „pfff” znów pławiłam się w dziewczęcej radości i właśnie gdy podeszłam do samochodu, jak mnie nie weźmie! Oblało mnie gorące... powietrze? Co to jest? Wsiadłam i rzuciłam torby za siebie na tył. Ufffff. Ufffff! Gorąco! Ale to podziemie. Nie ma tu upału. Co to jest? Wypiłam ciepłą wodę z butelki wyjętej z bocznej kieszeni auta. Była ohydna i zwietrzała i pewnie już się w niej zalęgły kijanki. No i żadnej ulgi. Na parterze centrum handlowego jest spożywcza. Może pójdę po coś zimnego? Nie, nie chce mi się. Tętno mam jakieś przyspieszone, dziwnie mi. Oddycham spokojnie, jak kazała Lilka – wdech nosem i wydech ustami. Spokojnie, spokojnie Mańka. Jadę, ale nastrój ze sklepu znikł. Ten gorąc też ucicha, a w głowie mam czerwony alarm: to... menopauza! No bo co innego? Czytałam o tym, koleżanki opowiadały i dziwiły się, że ja jeszcze nic. Niektóre syczały za moimi plecami, że zapewne tak tylko udaję. I choć wiem, że różnie ją przechodziły, to tak czy siak ma się to jak pryszcz i pierwszą miesiączkę. Skoro była pierwsza, będzie i ostatnia. Właściwie to ja od dawna ich nie miewam, bo w odruchu strasznego lęku przed późną ciążą założyłam sobie spiralę. Sama sobie zadawałam pytanie po lichu, skoro z Mirkiem kochałam się rzadko? A potem znakomicie podziałało przy Jarku-Ofelii, bo nie bałam się tak ciąży, jak zarażenia się czymś. A teraz... mam menopauzę. To po co mi ta spirala? Właśnie mija pięć... nie, sześć lat od założenia, trzeba by ją już usunąć. – A więc tak to wygląda – powiedziałam do siebie na głos teatralnym tonem. W odpowiedzi zaśpiewała mi Marta Mirska z Radia Pogoda, że właśnie ujrzała pierwszy siwy włos na mojej skroni. Zamyśliłam się i dokończyłam razem z nią: – „I widzisz, miły, przed wzruszeniem trudno się obronić. Mam przecież w oczach

dzień, gdy pierwszy raz ujrzałam ciebie. Pamiętam każde słowo, każdy uśmiech twój”. – Kto mi będzie tak śpiewał? Kto w ogóle dzisiaj tak śpiewa? Kto będzie mnie kochał na stare lata? – „Jak obłoki dwa łabędzie przecinają staw, człowiek zawsze wracać będzie do lirycznych spraw. Chodźmy, już się kryje słońca blask, w domu dzieci oczekują nas. Pomyśl, ile to już lat idziemy przez ten świat”. Nie. Żadne dzieci nie oczekują nas, bo ja nie jestem „nas”, ja jestem SAMA. Grześ i Iga z Tadziem daleko, w domu pusto... Moje serce wolne jak sanki w lecie, a tuż za mną tup, tup drepcze starość. Niby wiem i od zawsze wiedziałam, że ten czas nadejdzie, ale jakoś tak... Chyba każdy z nas, udający rozsądnego, niby wie o tym, ale sam fakt przekłada do folderu „święte nigdy”. Znaczy... może nie nigdy, ale tak bardzo kiedyś, że to kiedyś jest o parseki ode mnie. Zupełnie jak królestwo – za siedmioma górami, za siedmioma rze-kami... gdzieś, kiedyś, czyli nigdy i nigdzie. A tu *red alert!* Czerwone migające światło! Siwy włos zamalowany farbą sam ucieka od oczu. Ale menopauza jak wredna czarownica pojawia się zupełnie nieproszona, pojawia się jak gdyby nigdy nic, jak czkawka czy zgaga, i zdaje się, że od tej pory musimy ją tolerować.

Na Wisłostradzie już jej nie było! Już chyba nawet na Konwiktorskiej też, kiedy zjeżdżałam ku Wiśle. Nadeszła, prasnęła mnie na odlew gorącym i uleciała! Bezcelność! Wkurzona i zła od razu zadzwoniłam do Ewy, mojej kochanej ginekolożki, i zamówiłam natych-miastową wizytę. Znaczy jutro! W domu wrócił miły nastrój zbliżających się wakacji, a problem przejmie Ewa! Ona wie, co zrobić, więc ja na spokojnie poprzymierzam ciuszki. Mam wiedzę od koleżanek z działu moda z mojego byłego czasopisma: żeby nie mieć stresu, przymierzam ze zrobionymi włosami i makijażem. Inaczej zobaczę straszycło i popadnę w czarną rozpacz. To jest rada dla dojrzałych dam z nadwagą, bo młódź zawsze wygląda bajecznie, cholera jasna!

Palnęłam torby z zakupami na tapczan i poszłam się umyć, nastroszyć sierść, jak mawiała Dana, umalować się i włożyć obciskające body. Tak! Dokładnie tak to działa! Taka wyfloczona wkładałam łaszki, stojąc sobie w klapko-koturnach, dzięki czemu wydawałam się sobie wyższa i smuklejsza. Świetnie! Kostium kąpielowy jednoczęściowy – leży dobrze, obłaskawiając fałdki jak należy. Spódniczka plażowa dołączona do niego to dobry pomysł, okulary przeciwsłoneczne też są świetne. Brak tylko jakiegoś kapelusza. Może tam kupię? Emigrant pisał, iż wydaje mu się, że widywał stoiska z kapeluszami słomkowymi i chustami, i w ogóle z plażowymi – jak się wyraził – utensyliami, więc MUSZĄ tam być. Utensylia? Kto dzisiaj używa tego słowa? Mnie się kojarzy z przedwojennymi przyborami do golenia albo robienia lewatywy. Czytałam swego czasu o wczesnych latach małżeńskich Iwaszkiewiczów, o których Jarosław opowiadał, że seks z Anną nawet jakby całkiem... ale zaraz po nim ona wyjmowała jakieś dziwaczne utensylia, zdaje się do płukania pochwy, i to ostatecznie zbrzydziło literata. Zacytowałam nawet ten kawałek Mirkowi, który akurat jadł obiad. Pamiętam, że zastygł z łyżką w ustach i jęknął: „Nie przy jedzeniu...”. Śmialiśmy się, a Mirek potwierdził, że faktycznie istniała przed wojną taka metoda antykoncepcji – natychmiastowe płukanie pochwy wodą z octem urządzeniem do lewatywy. No... wyobrażałam sobie owe zabiegi po upojnych chwilach i nie dziwiłam się, że mężczyznom na długo przechodziła ochota na małżeńskie obowiązki. Ladaczniczki robiły to już po wyjściu klienta, za parawanem.

Dobrze, niech będzie, że kapelusz i plażowe utensylia kupię już tam, bo i tak w walizce go zdefasonuję. Antek obiecał, że dośle zdjęcie. Reszta leży fajnie. Skomponowana z jakimiś szmatkami z poprzednich lat mówi mi, że mam co pakować do walizki. Emigrant zwrócił uwagę, że najważniejsze są wygodne buty do łożenia po mieście, jakieś plażowe i cześć. Tylko? Mogę mieć dwadzieścia parę kilo bagażu. Dam radę. Usiadłam już po przymiarkach, wypiłam whisky z lodem i uśmiechnęłam się podekscytowana. To porządna, daleka i długa podróż! Jak ta kiedyś do Indii. Wspaniale się wówczas czułam, ale jechałam z małą grupką ludzi z Orbisu, więc nie musiałam niczego pilnować oprócz grupy. Dopiero na miejscu się odłączyłam. Nawet nie chcę dzwonić do taty, że lecę do Korei. Przykre. Gdyby żył Gienio i nie było Anki, miałabym z domem gorącą linię. Moje stare grzyby interesowały się każdym moim krokiem, a teraz nikt się nie interesuje.

Ewa powitała mnie zmęczonym uśmiechem i przeprosiła, dodając, że niestety musimy się spręzać. Przebadala mnie, co w naszym narzeczu określamy jako „przeгляд techniczny”. Stwierdziła, że spiralę wyjmemy po moim powrocie z Korei.

– A jeśli tam, moja śliczna koleżanko, napotkasz jakiegoś... Jona Bon Jovi, to co?

– To... – ciągnę idiotyczną supozycję – będę miała ze sobą gumki.

– No, to jest jakiś pomysł, ale wiesz, jednak zostawimy ją jeszcze. Na USG nie widać problemu. Masz endometrium w miarę, ja bym jeszcze poczekała. Natomiast, moja śliczna, zaraz sprawdzę w kartotece... Ty masz zaległości! O, mammografia sprzed trzech lat... Trzasnąć cię w ucho? A cytologia sprzed dwu. No, dobrze – mówi dalej, jakby do siebie, klikając w klawiaturę. – Masz tu, laluniu złocista moja, skierowanie na mammo, na cytologię, na USG piersi, krew rozszerzona, cholesterol, enzymy wątrobowe, hormonogram, a też zwyczajowo siki i... wszystko. Wyrobisz się do wyjazdu! Przyjedź jutro koło dziewiątej trzydzieści na czczo. A ja zaraz poproszę dziewczyny, żeby cię wpisały tak na mammografię i USG, żeby to było jednego dnia o tej samej porze. Dobrze? Daj pyska, musisz iść, pacjentki czekają.

– Ewa, a to uderzenie gorąca?

– Jak zobaczę hormonogram, to zaradzimy. A na razie w aptecce poprosz o roślinny preparat. Babki mi mówią, że są znakomite.

Dobrze, że mnie ten wyjazd zmotywował do badań. Kilka dni później moja szkolna koleżanka przeanalizowała ich wyniki, wstała zza biurka i przybrawszy uroczystą pozę, zakomunikowała mi, że... przekwitam.

– Witaj w klubie, lalunia!

Boszs, jak ja nie lubię tego „lalunia”, ale Ewa o tym wie i specjalnie żartuje, żebym to lepiej zniosła.

– Czyli co? Starość?

– Nie rób scen! Jaka starość? Zofia Kucówna mówiła, że starość to kwestia wyboru. Ty wiesz, że ja tu mam dziewczyny po czterdziestce z menopauzą? Laski jak na wybieg i meno! Bywa. A ty wyglądasz ładnie. Dzięki tej twojej tkaneczce tłuszczowej nie masz zmarchów jak ja, o, zobacz. – Rozciągnęła skórę wokół ust. – I cyczuszki masz świetne. – Popatrzyła na kliszę mammografii i przeczytała opis.

– Czyli dobrze?

– Dobrze, laluniu. Co my tu mamy... Cytologia... Bzyka cię kto? Mnie możesz powiedzieć. Ciocia Ewa słowem nikomu!

– Nie.

– Szkoda, przydałoby się – mruczy i czyta wynik cytologii. – Druga grupa. Przy spirali to jest normalne. Krew w porządku, wątroba śliczna, cholesterol dyskusyjny.

– Co to znaczy?

– Łapiduchy ci wmówią, że za wysoki, ale ja nie znam właściwie nikogo dorosłego z odpowiednim poziomem. Teraz każdemu dorosłemu zapisują statyny. Ja mam swoją teorię na ten temat, a ty zrobisz, jak uważasz.

– ?

– Poczytaj, popytaj. Mądra jesteś. Siki w porządku, a hormony potwierdzają tylko nieuchronne. Masz menopauzę! Chcesz HTZ?

– Hormonalną terapię? Źle o niej mówią...

– Umówmy się tak – wyjaśnia Ewa niespiesznie, bo jestem ostatnią pacjentką – poleć na fitohormonach, jeśli te uderzenia cię wkurzają i są okropne. A kiedy wrócisz, zdasz mi relację, jak jest, i jeśli będziesz miała dodatkowe atrakcje, wprowadzimy HTZ. OK? No to co u ciebie?

Pogadałyśmy sobie serdecznie. Ja opowiedziałam o ojcu i o tym, jak zmarła Lila, bo zapomniałam się do Ewy odezwać, gdy to się stało. A Ewa opowiedziała mi o swoich sprawach, że wreszcie zakończyła jakieś prawne szmaty, jak się wyraziła, z byłym, że nikogo nie ma i samej jej jest fajnie, że dzieciaki to i tamto. No i że nasza szkolna koleżanka nalega na spotkanie.

– Co ją tak naszło? – zapytałam nieco zdziwiona.

– Ujęła to tak – Ewa wyjęła z kieszeni fartucha komórkę i odczytała mail od Basi: – „Spotkajmy się, dziewczęta, cholera jasna, zanim poumieramy!”

– Aaaaaaa – powiedziałam, kiwając głową. – To jest argument!

– No to leć do tej Korei i wiesz co? Teraz to już się możesz bzykać na lewo i prawo! Męża nie masz oficjalnie, miesiączki też, czyli w ciążę nie zajdziesz. Życie nie umierać! Czemu my wcześniej byłyśmy takie... niepuszczalskie. Powiedz? Miło by było tak za młodu pokosztować tego miodu z kilku uli. A my takie święte, wierne... Twój Mirek latał na baby? Nie wiesz? Bo mój i owszem, ale dowiedziałam się dopiero po rozwodzie, ile zaliczył.

Pożegnałam ją, obiecując spotkanie po powrocie. Ale czy mnie ciągnie? Na razie zbliża się termin wylotu. Już coraz bliżej!

Jestem spokojna i niespokojna zarazem. Spokojna, bo na konto chłopię w hipsterskich ciuchach wpłaciło mi całą sumę za dzienniki i nie pojedę do Korei jako uboga krewna. Niespokojna, bo zaczynam mieć klasyczną rajzefiber.

Na poczcie mailowej mam zaklepany przez Antka bilet do Seulu i dopisek:

WYBACZ mi, kupiłem Ci lot przez Frankfurt, z przyzwyczajenia, bo firma tak mi zawsze kupuje. Jest ciut dłuższy niż bezpośredni LOT-em. I do Seulu. Inaczej nie wyszło.

Powrotny przebudujemy na bezpośredni. OBIECUJĘ – A.

Rokpol i śledzie

Pojechałam do taty się pożegnać. Z najwyższą niechęcią, bo wiedziałam, że będzie tam Anna i dość obojętni na wszystko Kasia i Łukasz.

Dom taty stoi, jak stał. Na zewnątrz cisza, w altanie tylko obrus świadczy o tym, że ktoś tu jadł śniadanie. Nie zaglądam do części sklepowej, nie interesują mnie też Kasia ani Łukasz. Chociaż fakt, ojciec mocno tym sklepem podekscytowany, a ja się zastanawiam, czy on ma na to siłę. Pukam do drzwi wejściowych mimo że uchylone. Jak nigdy pukam! Bo wiem, że tu mieszka inna kobieta i chyba obawiam się, że zakłócam jakąś ich intymność. Ale nie. Tata sam siedzi w kuchni i czyta gazetę. Unosi się na mój widok uśmiechnięty i zdejmuje z nosa okulary.

– Baranek mój przyjechał!

Rozglądam się, szukając Anki.

– Ani nie ma, pojechała do sklepu. Siadaj. Już zaraz zrobię herbatki, są pyszne pączki. Ania wczoraj nasmażyła!

No nie przyczepię się do niczego. W domu w każdym kątku czysto, w kredensie poukładane, a tatko w czystej koszuli, pachnący i ogolony. Czemu się nie cieszę? Może to ja jestem ta wredna?

– Tatku, wyjeżdżam na jakiś miesiąc, no może dłużej.

– Tak? Dokąd?

Opowiadam mu, przypominając, skąd znam Antka, jak mnie nastawili znajomi, zwłaszcza córka Reginy. Wyjaśniam, że nie ma co się bać, że korespondujemy długo i serdecznie, że to cywilizowany inżynier Polak – bo ojciec na chwilę zamarł, pytając idiotycznie, czy ten pan to Koreańczyk. Na co odpowiedziałam mu:

– A gdyby nawet, to co? Sądzisz, że to kanibale?

Zamilkł, a mnie zrobiło się głupio, bo z powodu Anki stałam się zaczepna.

– Polak? – zapytał, byle ta rozmowa jakoś się toczyła. – A co on tam robi?

– Statki buduje. Duuuuże.

– A... – odparł ojciec i zamilkł.

Rozmowa nam się rwie. Tata jak nigdy chowa wzrok niby dzieciak, który stłukł wazon.

– To ja spadam, tatku – mówię, bo mam dość tego dziwaczego przedstawienia. Ktoś mi podmienił ojca! Nie umiemy rozmawiać. Co się stało?

Tatko jeszcze próbuje:

– A... sklep widziałaś? Już sprzedajemy rośliny i mamy pierwszy utarg! Anula zrobiła tort za ten pierwszy...

Tak, torty są specjalnością Anuli. Tort jako okazanie radości. Ile ja już tych tortów zaliczyłam?

– Tak, widziałam. Pojadę, wiesz. Jeszcze kupię temu Antkowi rokpoli i śledzi.

– A co? Tam nie ma?

– Nie ma...

Żal mi ojca. Ma w oczach poczucie winy. Milknie, stale za coś przeprasza, jest nader usłużny, przymilny. Tak mi jakoś bezsensownie głupio, bo ani on nie zawinił, ani ja. Anka chyba też nie, ale jestem zdania, że jest tu ciałem obcym. Szybko ściskam tatę, obcałowuję go i przytulam. Ance, która zdążyła nadjechać, Kasi z Łukaszem, siadającym do stołu, rzucam coś pospiesznie i przepraszająco, że nie mogę zostać na obiedzie, i wypadam. Żegna mnie przeciągłe i zawiedzione spojrzenie Ani, niosącej do stołu pół-misek pyz.

Niby nie mam nikomu i niczego za złe, a jednak... mam. Mam zadrę w sercu, bo nie bardzo wierzę w jej bezinteresowność. A raczej mam pewność, że po tym pożarze dom ojca wydał jej się łatwą zdobyczą i bezpieczną przystanią.

Nic nie poradzę. Nielekko mi uwierzyć w miłość w ich wieku. W jej miłość zwłaszcza.

Zatrzymuję się w osiedlowym sklepie, który ma doskonałą renomę. Tu wszak jest wszystko! Nawet czarny makaron barwiony atramentem z kałamarnicy. I owszem, są sery pleśniowe, owcze i kozie, ale rokpolu nie ma. Śledzi solonych vacuum też nie, ale ja się uparłam. Nadto muszę się czymś zająć, bo jednak mi głupio z tym pożeg-naniem ojca. Trzeba to zagłuszyć.

Jadę jeszcze do czterech innych sklepów. W jednym znajduję rokpol – biorę pół krążka. A w innym są solone matiasy pakowane próżniowo. Biorę trzy paczki. A co tam! Przecież mnie nie deportują, tylko w razie czego wywalą. Znaczą ser i śledzie. Wieczorem sprawdzam stan walizek. Ta, o której miałam dobre zdanie, okazuje się brzydka, z zaciekami po zalaniu mieszkania. Ma jakieś dziwne plamy i wygląda paskudnie. Wstyd mi lecieć z czymś takim. Zresztą są w niej kalosze i zimowe kozaczki. Druga jest za mała. Mam czas, jadę do supermarketu, tam jest tego mnóstwo. Mirek strzelałby focha. On kupiłby w markowym sklepie za cenę pięciu tutejszych. Ale ja nie jestem wieczną podróżniczką, wystarczy mi sieciówkowa. Wybieram czarną w wielkie tęczowe litery. Podśmiewam się z siebie, ale kupuję. Za jednolicie czarną, granatową albo szarą Lilka – gdyby żyła – zmyłaby mi głowę. Zabroniła mi używania tych kolorów pod karą straszenia mnie po nocach. „KOLORY!” – wołała. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że objawiła mi się jako zjawa, siad-ła na brzegu łóżka i mówi:

– No i co, Maniuśka, lecisz?

– Lecę, LECE, Lilutku.

– Oj, coś ty taka zasadnicza? Dobrze, lecisz. Nie boisz się?

– No ile można o tym samym? Antek chyba nie jest wampirem!

– Pytam się, czy nie boisz się lotu, bo wiem, że nie lubisz zanadto.

– A, to...

– To, to. Tyle było ostatnio wypadków. Widzieliśmy z nieba. Smutne.

– Sama mi tłumaczyłaś, że nie ma co się bać, jeśli się już zdecydowałam przejść przez bramkę. Startu nie znoszę. Jakoś tak... a potem trudno. Lecimy.

– Serek i śledziki? – mówi Lila. – No miiiilo. Leć i baw się dobrze.

– Nie wiem, czy właściwie robię, Lil. Nie wiem, czy spodoba się mój reportaż

o Korei. Nie wiem, czy umiem go napisać. Może jednak powinnam poszukać jakiejś pracy? Uciekam od ojca i tej... Anki. Uciekam.

– Nie uciekasz – ucina. – Wylatujesz zmienić otoczenie, odnaleźć się, uspokoić, pomyśleć. Powtórz!

– Wylatuję zmienić otoczenie, odnaleźć się, uspokoić i pomyśleć – powtarzam.

– No. Kup prezerwatywy, tam możesz mieć problem językowy.

Lila się rozwiewa i znika, a mi jakoś lepiej.

Prezerwatywy? Wariatka. Wariatka?

– Lilka, głupku ty! – wołam cicho.

Lila samym już tylko głosem rzuca z nicości:

– A może spotkasz tam jakiegoś księcia? Jona Bon Jovi? A jak ów Antek albo jego kolega wzburzy ci krew? Kup!

– Mam menopauzę, wiesz?

– W dupie tam z menopauzą! – Lilka się śmieje. – Meno jest doskonała, bo już nie wpadniesz w ciążę! Możesz się walcować, ile tylko sił! Trzymaj się, Mańka!

– Lilka!

Znikła na dobre.

Jutro się spakuję.

Mail od Antka:

To już niedługo Cię powitam 😊 Będę na lotnisku!

Taksówką na Okęcie

W wielkim holu elektroniczne urządzenie do samoodprawy. Nie. Nie odprawię się sama. Poproszę staroświecką odprawę – stanowisko i człowieka na nim! Zresztą chyba muszę, bo mam walizkę do nadania na bagaż.

W „ludzkiej” odprawie miła pani uśmiecha się i pyta:

– Seul? O, daleko...

Uśmiecham się tylko, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Pyta mnie jeszcze, gdzie chcę siedzieć. Wybieram przy oknie. Pani pyta cicho:

– Blisko kibelka?

– Nie rozumiem. – Panikuję, bo co to ma do rzeczy? Czy ja wyglądam na starszą panią z problemem nietrzymania moczu?

– ...to długi lot, więc tak wygodniej. Proszę bardzo, miłej podróży.

OK, teraz odprawa celna.

Pakowałam się starannie. Obostrzenia i wymagania są po to, żeby nie było kłopotów, i ja to wiem, i akceptuję w całości. Koleżance zabrano nawet miniaciadełko do paznokci. Miałyby nim sterroryzować załogę? Śmiałyśmy się w redakcji z tego, ale, cóż, czasy są dziwne i pełne horroru.

Kontrabanda w postaci śledzi i rokpola są już w drodze do samolotu. Ja mam tylko podróżną plecak-torebkę. To lekcja otrzymana od Reginy. W plecaku mam to, co wolno, i kilka drobiazgów na długi lot. Paszport, wizę i bilet. Ciepłe skarpetki, krople do oczu, zapasową bieliznę i T-shirt na zmianę, gdyby coś mnie w podróży zatrzymało nieprzewidzianego. Przezroczystą saszetkę z mini-przyborami toaletowymi i dozwolonymi minikosmetykami, a wśród nich mininić do zębów, minipastę i szczoteczkę do zębów, minikremy, szminkę bezbarwną i miniperfumy. Myślę, że w czasach, gdy byłam małą dziewczynką, wszystko to powodowałoby u mnie głęboki zachwył. Tablet i telefon, portmonetka z kartą i trzysta złotych na przekąski – teraz i na powrót.

Sprawdzają nas solidnie. Niektórzy zdejmują buty, paski, trzeba wyjąć tablet czy laptop i cierpliwie czekać, posuwając się raczej bez żartów. Celnicy są skupieni i nie znoszą żartownisiów. Regina mi opowiadała, jak stojąca przed nią para pożartowała sobie zbyt głośno i została zabrana na trzepanie osobiste.

Po drugiej stronie, po odprawie celnej sklepy, restauracje i... masa czasu do odlotu. Siadam w restauracji z planem wypicia kawy i może dla kurażu zamówię sobie małą whisky, ale ceny powodują u mnie głębokie zdumienie. W mieście nawet w eleganckich knajpach za pięćdziesiąt mililitrów whisky zapłaciłabym jedną trzecią tego, co tu, a chętnie machnęłabym setkę na rozluźnienie. Boję się? Coś mnie kręci przed tak długim lotem. Do Indii leciałam dawno i już zdążyłam zapomnieć, jak to jest. Chyba to wyparłam, bo doprawdy nic nie pamiętam z podróży! Jakbym się przeniosła w przestrzeni. Ale dzisiaj, po wielu wypadkach lotniczych mam pietra. No mam!

Wychodzę zła. Za kawę chcą tu tyle, ile w mieście za dziesięć kaw... No prawie.

Idę do sklepu wolnoćlowego. Pyskam się najnowszymi perfumami, oglądam kosmetyki. W moim normalnym życiu są one kompletnie poza granicą moich zainteresowań. Tu mam czas. Dział alkoholowy. Piersiówka whisky jest i opłaca się bardziej niż ta w knajpce. Pytam się obsługi, czy napoczętą mogę wnieść na pokład. Pani ściągnęła usta i powiedziała jakby karcąco, że nie. Odeszłam od kasy. Koło regału, na który odstawiłam piersiówkę, pojawił się młodziak z obsługi i szepnął:

– Może pani kupić piersiówkę czy tam małąkę i opędzlować przed odlotem w kibelku. Ja tak robię, bo się boję latać. I tylko kiszka, no bo ciepła jest...

Wzięłam tę piersiówkę. Zapłaciłam w innej kasie, żeby uniknąć wyniosłej kasjerki, i dalej łąziłam po sklepikach – asortymentu nauczyłam się niemal na pamięć. Jak tu nudno!!! Łaziłam tak tam i z powrotem, gdy nagle natknęłam się na daleką znajomą, ale ponieważ ona pracuje z Mirkiem, nie pogadałyśmy sobie jak koleżanki, a nawet sąsiadki. Chyba mnie zbyła... Siedzę. Wstaję. Chodzę. Znów siedzę. Gapię się na płytę lotniska, na ludzi i wyję z nudów. Matki z dziećmiakami mają stale co robić, bo dzieci a to chcą pić, a to siusiu. Nudzą się, skaczą (bo je roznosi temperament) albo są niegrzeczne (bo nie rozumieją, że na lotnisku trzeba być dwie godziny przed odlotem). O, właśnie – siusiu i pić. Poszłam do toalety i zamknięta w kabinie wypijałam trzy porządne łyki łycholca. Jak jakaś alkoholiczka! Uśmiechnęłam się do własnej konfidencji. Dwa razy spuszczałam wodę, żeby nie słyhać było tego gul, gul.

Amerykański *de facto* burbon, ciepły, bez lodu, wstrząsnął mną, jakbym miała dreszcze. Schowałam resztę do plecaka, bo miałam jeszcze dwadzieścia pięć minut do odlotu, a przy mojej bramce nie widziałam prześwietlarki, czyli ponownej odprawy. Wezmę resztę whisky do Frankfurtu!

Miałam rację. Nikt już mi plecaka nie sprawdza. Siadam na ławce z pozostałymi oczekującymi, czując mrowienie w uszach, niepokój w gardle i brzuchu, i nucę sobie: „*Que sera, sera, Whatever will be, will be. The future's not ours, to see. Que sera, sera. What will be, will be*”.

Lot do Frankfurtu w miarę krótki, bo zabrałam ze sobą dwa grube kolorowe pisma. Jak nigdy czytałam w skupieniu powoli, tekst po tekście, omijając wkurzające reklamy. Jako była pracownica takiego pisma wiem, że to owe reklamy je utrzymują. Zastanawiam się, czy zwalista kobieta, mająca trudny do zniesienia piżmowy zapach potu, zamaskowany ostrymi perfumami, też będzie siedziała obok mnie w samolocie do Seulu. Odchylałam się od niej i oparta głową o szczelne niestety okno czytam skupiona wywiad z Maćkiem Stuhrem. Śmieję się cicho. Jest taki inteligentny, błyskotliwy.

We Frankfurcie wysiadamy na płycie i autobus wiezie nas do terminalu. Odprawa. Muszę teraz znaleźć moją bramkę. Mam na to godzinę. Dużo? W sam raz, bo lotnisko wielkie. W samolocie piłam sok i wodę i znów mam parcie na pęcherz. W toalecie wypijam resztę burbonika i czuję się już leciutko zakręcona, bo teraz czeka mnie długaśny lot nad Rosją.

Moja bramka już niedaleko, choć idę i idę, i idę. No, jest!
Jednak raz jeszcze prześwietlają nasz bagaż podręczny.

O, matenka, ile ludzi! Właściwie wszyscy to skośnoocy, Europejczyków mało. Z kim będę siedziała? Ciekawe...

Lot mamy nad południową Rosją, Kazachstanem. „Może nas nie zestrzela?” – myślę niby to na wesoło, ale czuję zwyczajny lęk zrodzony z oglądania wiadomości ze świata. Przecież różnie to ostatnio bywało. Burbon jakoś jednak tuszuje te obawy. A może wiara w to, że jestem spod szczęśliwej gwiazdy. A jestem?

Nieopodal mnie siedzi wysoki mężczyzna wyglądający na... muzyka. Ma rosochatą blond czuprynę i piękne elgreckowskie dłonie pianisty. W ogóle cały jest jak z obrazu El Greca – smukły. Ma koło siebie kilka toreb, a przed sobą nosidło i w nim... dziecko. To skośnooki kilkumiesięczny zaledwie niemowlak. Śliczny! Tatko co chwila coś robi, otaczając się mnóstwem rzeczy – wyjmując pieluchę do zaślinionej buzi, rozpina sweterek, bo za ciepło, sprawdza torby, podaje smoczek, bo wypadł z paszczy i dynda na zapince słoniku. A to małe się denerwuje, zagaduje i uśmiecha do ojca, choć czasem skrzypi, nie mogąc się zdecydować, czy jest zadowolone, czy nie. Dostaje pić i buziaczka w czubek czarnej łepetyнки. Tatusiek nagle jakimś cudem ogarnia wszystko niezwykle zgrabnie i szybko wstaje, bo trzeba się ruszyć do tego Seulu. Jejka, on jest sam! Żadnej z nim kobiety! Swoją drogą, co za świetny widok. Pożeram ich wzrokiem. A ile kobiet w Polsce syczy, że faceci to niczego przy dziecku nie robią! Robią, robią! Najnormalniej na świecie robią, jeśli trzeba! Właśnie to obserwuję.

Stewardesa wychodzi przed nas i pokazuje numery siedzeń znajdujących się z tyłu samolotu. Prosi pasażerów z tymi miejscami, żeby wchodzili pierwsi. Widzę, jak Koreańczycy ustawiają się grzecznie w kolejkę, popatrując na swoje bilety. Siedzę, bo to nie mój numer.

Bramką dla klasy biznes wchodzi ludzie, których stać na wygodę, i matki z dziećmi. I ten wydłużony ojciec też. Stewardesa pomaga mu jakby czulej. Mężczyzna z dzieckiem budzi w nas takie opiekuńcze odruchy! Zresztą widzę, że i rodziny z dziećmi są otoczone troską.

W samolocie obsługa wita nas lekkim ukłonem. To miłe. Stewardesa wskazuje mi lewy korytarzyk. Mijam klasę biznes, popatrując zazdrosnym okiem na szerokie i wygodne miejsca suto opłacone. Gdy nacisnąć taki dynks, fotel się rozkłada do pozycji półleżącej. Ech... Pewnie bogaci śpią sobie wygodnie!

Idę dalej, do mojej *economy class*. Widzę, jak tuż za kantorkiem stewardesa, po prawej, kokosi się ów obserwowany przeze mnie ojciec. Stewardesa rozkłada przed nim rodzaj stolika i tam na razie ustawione jest nosidło dziecka. Gdzie on podzieje te swoje torby i torebki, kocyk i poduszeczkę, zajęcia przytulankę z długimi uszami i własny plecak?

Moje miejsce jest kilka rzędów dalej. Siadam na razie sama. Za namową Reginy wkładam ciepłe skarpety, chociaż jest ciepło. „Po starcie nie dasz rady, za ciasno ci będzie”. Prawda. Ciasno jest. Obok mnie wreszcie siada młody Koreańczyk. Wita się

enigmatycznie i z mety zakłada na uszy słuchawki. Zapada w niebyt. Już? Jeszcze nawet boarding nieskończony! A może to i dobrze...

Koło stóp trzymam mój plecak i drewniaki. Regina upominała, żeby wybrać coś, co łatwo wsunę na nogi po locie. „Starszym ludziom stopy puchną”. Polskie czasopisma stale są ze mną. Nie wyczytałam wszystkiego.

Lot będzie trwał dziesięć godzin i piętnaście minut – czytam na małym ekranie przed nosem. Dziesięć? A ja już zmęczona tymi lotniskami i lotem do Frankfurtu. Dzień już się kończy właściwie!

Kołujemy. Chciałabym zapytać, czy nie zapomniano mojej walizki. Czy jej nie zgnieciono. Czy nic nam się nie stanie. Jednak denerwuję się z lekka. No i czy Antek będzie tam, w Seulu? A jeżeli nie dojedzie, to co ja pocznę?

„Uspokój się – szepnąłby mi Włodek – bo cię pacnę w ucho. Co ty wymyślasz? Po co? Wy, kobiety, uwielbiacie tworzyć czarne scenariusze, w które się wsłuchujecie cholera wie po co. Dywagujecie, wymyślacie i same siebie wpędzacie w stany lękowe. Zwariować można. Mańka, miałem cię za mądrzejszą! Jestem w niebie po to, żeby cię chronić, chociaż jesteś niewierząca. Gdy tylko przyjdzie stewardesa, poproś o koniak i sobie walnij! Boszsz... Gdybym żył, uszczypnąłbym cię w tyłek”. Wzdycham głęboko, bo samolot już wjeżdża powoli na pas startowy i za chwilę pofruniemy. „OK, Włodeczku, wszystko przebiegnie świetnie. Już nie kombinuję! *Sorry*. I zamiast mnie strofować, pilnuj mnie teraz!”

Młody obok słucha czegoś. Ma półprzymknięte oczy. „Podłużny” *padre* z dzieckiem stale czymś zajęty, obok niego usłużna i pomocna stewardesa zapina mu pas. Widzę buziaka tego dziecka, bo ojciec wziął je na rękę. Skośne oczka rozglądają się ciekawie, czarne i błyszczące włosy ułożyły się w czub. Ile on ma tych włosów! Powinnam zrobić im zdjęcie, ale nie wypada.

Wznosimy się. Czuję w uszach wysokość, znaczy ciśnienie. Dziecko płacze. Pewnie też ma to paskudne odczucie. „Zaraz się to wszystko uspokoi – myślę sobie. – Włodek obiecywał czuwać i kazał myśleć pozytywnie! No to lecę!”

Lot

Muszę wszystko zapamiętać, dlatego obserwuję. Jeśli się zacznę nudzić, wyjmę notes i będę sobie notować. Wszystko jest warte zapisania, bo każdy szczegół może urosnąć do opowiadania, eseju albo tylko wtrącenia czy opisu. Jak ten gotycki ojciec z okrągłutkim dis-nejowskim wręcz dzieckiem, przypominającym bobasa z *Epoki lodowcowej*. Już nie płacze. Siedzi naprzeciwko taty i zajmuje się własnymi paluszkami. Tata odpoczywa. Ma pomoc w postaci stewardesy, która przyniosła, odniosła, nałała, wyjęła, schowała, zapakowała, postawiła, wytarła i... poszła sobie. Jest czysto, porządnie i cicho. Mojego Koreańczyka natomiast jakby nie ma. Zapadł się w opatulisko, w nirwanę?

Dostajemy jednorazowe słuchawki, które wpina się w fotel z boku. Teraz odpalana jest telewizja z puszki, bo przecież nie na żywo. Programy dla dzieci, jakieś dokumenty, coś, czego nie rozumiem, jakieś ciekawostki samochodowe, wyścigi motocyklowe i filmy. Przeglądam repertuar mojej osobistej telewizji i za-poznaję się z pilotem. O, może służyć jako telefon, ale to podobno droga zabawa. Mam tu ogrom muzyki od klasycznej po K-pop. Jest cała płyta Tiny Turner i Davida Bowiego, ale też Montserrat Caballé i jeszcze jakiegoś nieznanego mi tenora. W programach telewizyjnych nic... O, jest Jamie Oliver! Dobrze, aż trzy odcinki. To razem półtorej... zaledwie godziny. No dobrze. To później, bo pachnie przyjemnie jedzeniem, a panie rozwożą napoje. Na-reszcie!

Chcę zamówić koniak. Ale po co? Nerwy przysły, za oknem pięknie zachodzi słońce. Eee, na razie sok, a do posiłku wino. Nie jestem senna, chcę obserwować!

Niezbyt wylewna stewardesa roznosi koszyczek z ciepłymi miniręczniczkami do wytarcia rąk. Pachną mile. Inna zabiera puste kubeczki po picciu i rozdaje menu. Można wybrać danie kuchni koreańskiej o dziwnej nazwie bibimbap, danie z kurczakiem albo z rybą. Czekam na obiad, bo zgłodniałam potężnie. Koreańczyk siada, wyjmuję słuchawki i uwalnia blat do posiłku. Ni stąd, ni zowąd uśmiecha się zadziornie. Dziwak! Uśmiecham się i ja, ale chyba minę mam niezbyt mądrą. On bierze ten cały bibimbap, co brzmi śmiesznie, jakby zamawiał zabawkę. Ja mówię: „*Chicken, please*” i stawiam tackę przed sobą. Ciasno. To pamiętam z lotu do Indii. Wracają wspomnienia! Ciasno! Nie ma jak dystygowanie władać sztucami. Łokcie tuż przy ciele. Jak to robi Koreańczyk? A! Sprytnie. Ma pałeczki. Fakt, tak jest łatwiej. Przyglądam mu się dyskretnie. Raz próbowano mnie nauczyć jedzenia pałeczkami, ale wówczas syczałam: „Po lichu?”. Wypiłam wino do kurczaka, czerwone, bo na białe nie mam nastroju. Zaraz zamówię drugie i poopisuję to, co widzę. A nade wszystko widzę kolejkę do WC, zwanego w samolotach *lavatory*. Sporo ludzi jak i ja w samych skarpetkach! Musiałam przeprosić sąsiada, który usłużnie wyskoczył z siedzenia, znów ze słuchawkami w uszach. Jakiś maniak.

Mimo że już jest po posiłku, w całym samolocie pachnie *kimchi*, czyli sałatką z kiszzonej koreańskiej kapusty. Każdy ją dostał. Podpatrzyłam u Koreańczyków – każdy ją miał, a jeszcze wyjmowali własne albo prosili obsługę o dokładkę. Znam i lubię tę kiszonkę, Mirek kupował czasem w Kuchniach Świata. Uwielbia to. Zakochał się w *kimchi* podczas jakiejś wielkiej konferencji anestezjologów w Seulu.

Na mojej tacce obok europejskiego nudnego kurczaka z frytkami i trzema szparagami też znalazłam miseczkę i opakowanie *kimchi*. A w drugiej miseczce – cztery kulki winogron, kawałek melona, arbuza i szesnastkę jabłka. Czekam na swoją kolejkę na siusiu, a potem znów długie godziny lotu i wymyślanie zajęć, żeby jakoś zeszło.

Szkoda, że nie ma tu jakiejś salki do fitnessu. Ludzie zajmują tylko poziomy środek walca samolotu, w sensie przestrzeni poprzecznej. Wiem, że w dole są pomieszczenia nieogrzewane na bagaż, ale jest chyba jeszcze kupa miejsca oprócz luku! Tam można by zrobić salkę do ćwiczeń, minisiłownię, fryzjera, stanowisko do manikiuru... – puszczam wodze fantazji.

Tyle godzin w pozycji ciasno siedzącej! Zwariować można. Lecimy dopiero drugą godzinę!

Za oknami jest noc. Ludzie moszczą się do snu. Przejście do WC opustoszało.

Azjatyckie bobo w swoim nosidle śpi najedzone i przewinięte. Tata z blond czupryną *à la* Paderewski też już ogarnął swoje rzeczy, które chyba namnażają się, gdy wyjmuję z toreb jakieś dro-biazgi. Ileż on tego ma dla jednego małego dziecka! Butelki, puszka z proszkiem mlecznym, smoczki, śliniaki, chusty, pieluszki, sweterki, czapeczka, ale też pisma do czytania, książka i jeszcze widzę tablety i okulary. Te rzeczy tańczą wraz z nim, dzieckiem i stewardesą. Nagle znikły. Dziecko śpi, więc i może on też pośpi, biedaczysko.

Dzisiaj dziecko otoczone jest tak wielką liczbą gadżetów! Pisałam o tym tekst swego czasu. Zdumiało mnie takie dziecięce łóżeczko z elektronicznym kołysaniem na pilota, elektryczna niania – czyli podsłuch, żeby mama w kuchni słyszała oddech dziecięcia (to akurat mądre) – i usypiacz z kilkoma programami, w tym z szumem morza, najpopularniejszym. Smoczki, gryzaki, śliniaki, termometr i dzisiaj każdemu dziecięciu towarzyszy wielka torba różnych kropelek, leków na wszelki wypadek, maści, talków, wód i inhalatorów. Dobrze, że już nie mam ani ochoty na dziecko, ani możliwości. Mój organizm powiedział, że skończył się mój termin przydatności jako rodzicielki. Uffff! Cudownie!

Sąsiad zrobił z siebie motyli kokon. Owinął się samolotowym kocykiem i własnym szalem tak, że go nie ma. Oczywiście ze słuchawkami w uszach. Śpi z tą muzyką? Nawet przez sekundę nie doleciało mnie, czego słucha. Ludzie też się owijają, kładą poduszki albo podróżne ślimaki pod kark i kręcą się, szukając odpowiedniej pozycji do spania. Podobno niektóre z tych ślimaków też mają wmontowany głośniczek z szumem morza czy innymi usypiającymi dźwiękami. Gadżety nas kiedyś zawałą, zginiemy pod nimi.

Moja tutejsza poduszka wylądowała pod moimi lędźwiami.

Póki piszę sobie i słucham koncertu Czajkowskiego, nie jest mi potrzebna. Kiedy kończę z myślą o bolącym karku, zazdroszczę Koreańczykom tych ślimaków. To akurat świetny gadżet. Nawet bez szumu fal!

Przełączam koncert na film. Stewardesy wyłączyły światła niedługo po gorących

napojach i po powrocie ludzi z toalet na miejsca. Jak w przedszkolu: „A teraz, dzieci, gasimy światelko i idziemy lulu! Rączki proszę trzymać na kołdrze!”.

Kompletnie nie chce mi się spać.

Włączam sobie ostatniego Jamesa Bonda. Próbuję się skupić. Po półgodzinie ekwilibrystyk Jamesa zdycham z nudów. Przełączam ekran na tor lotu. Lecimy wysoko i szybko. Mija dopiero trzecia godzina! Przedemną jeszcze siedem długich! Powinnam była posłuchać Reginy i wziąć tabletki na sen. O, ja głupia...

Przywołuję stewardesę:

– *Can I get something to sleep?*

– *Some medicine? Oh no, we do not have any specific. But if you want, I can bring you a beer.*

– *Pardon?*

– *A beer.*

– *Ah! A beer!* – powtarzam szeptem, jakbym nie rozumiała.

No tak, zupa z chmielu usypia, jak twierdził zawsze Grześ. Kiwam głową na tak i wypijam małą puszkę. Mój sąsiad śpi jak zabity, podczas tych wszystkich czynności dziejących się nad jego ciałem. Młodość, młodość!

Sugestia czy nie – uspokajam się, staram się przyjąć taką pozycję, żeby rozluźnić ciało. Nie da się, jest ciasno i nie mogę ułożyć się na boku. Okropne. Chce mi się płakać, bo prawie wszyscy śpią! Ktoś czyta, ktoś coś ogląda, ale właściwie cała sala – czy tam kabina – śpi! Grzecznie i jak za dotknięciem różdżki!

Postaram się i ja. Wyrównuję oddech i zaczynam myśleć o czymś miłym, nudnym. Wyobrażam sobie wakacje w tropikach, to mi zazwyczaj pomaga.

Mój niby-sen jest półjawą. To męczące, bo niby śpię, pływam sennie, ale mózg rejestruje niewygodę. W końcu, gdy już chyba czuję, że dam radę odpłynąć, przez spływający sen czuję... pęcherz. No tak, wypiałam sok, dwie buteleczki po dwieście mililitrów wina i potem to moczopędne piwo! Głupia! Trudno, muszę wstać, bo nie zasnę. Będzie coraz gorzej! I tylko jak tu wstać, skoro wszyscy mają odchylone fotele, a mój sąsiad-kokon ani drgnie, śpiąc snem sprawiedliwego? Chce mi się wyć.

Postanawiam przeleźć przez niego. Delikatnie rozpinam pasy, podnoszę się i staję lewą nogą na moim fotelu, a drugą próbuję przełożyć przez śpiocha. Ani drgnie, choć, przysięgam, potrafiłam go kilka razy.

Nie mam pojęcia, jak wrócę, ale to teraz nieważne.

W kabinie ciasno i nawet wciąż czysto. Żadnej już kolejki. Na spokojnie robię siusiu, myję ręce i ciekawie zaglądam, gdzie się da. O, w wiszącej szafce są minisety do mycia zębów i minikubeczki. Stoi woda kolońska, chusteczki do nosa, oprócz papierowych ręczników i mokre chusteczki. Fajnie. Wielgaśne lustro mówi mi, jak jestem szarozielona i rozczochrana. Wyglądam jak Shrek samica. Ohyda.

Nachodzi mnie pytanie, jak ludzie mogli się tu bzykać. Kiedyś tuż po transformacji, a zwłaszcza gdy pojawiła się kasa na wycieczki i loty samolotem, wśród moich młodych znajomych nastąpiła moda na seks w przestworzach. Opowieści podlane alkoholem były

pikantne i wesołe. Dziwne... Zupełnie nie miałabym ochoty na to tutaj. Jak się później umyć? Jak zachowywać, żeby nie wzbudzać podejrzeń? A może chodzi właśnie o to, żeby to podejrzenie wyszło za nimi z owego *lavatory*? Żeby zostawić w oczach stewardes czy podró-żujących błysk domysłu?

Wychodzę. Obsługa pokazuje mi stojące w kantorku szklanki z wodą i sokami. Właściwie czemu nie? Wszystko już chyba wysiusiałam, mogę pić dalej!

Podchodzę do mojego miejsca, mijając rzędy śpiących ludzi. Nie mam pojęcia jak, ale mój Koreańczyk wymotał się z siedzenia i zwyczajnie stoi obok fotela, puszcżając mnie na moje miejsce z uśmiechem. Znów się zawija. Nie poszedł na siusiu. Android czy co? Po chwili znów jest mumią.

Ja już nie zasnę. Wiem to. Szkoda!

Przeglądam program. Już chyba czas na Olivera. Niech gotuje – ja popatrzę.

Nieco zawstydzona wołam obsługę lotu i dukam:

– *May I have... a little glass of cognac, please?*

Drobna i miła pani skinęła głową i zaraz już miałam swój ko-niaczek.

Mija dopiero szósta godzina lotu! Zapisuję w głowie na przyszłość: koniecznie wziąć nasenną tabletkę! KONIECZNIE!

Po dwóch godzinach jestem zmęczona pozycją, w jakiej oglądam program. Sąsiad chyba przepoczwarza się w coś niesamowitego, bo zawinięty po uszy śpi nieruchomo. To jednak chyba idealne towarzystwo! Znacznie gorzej byłoby, gdybym siedziała z rozgadaną Polką albo tą... aromatyczną wielką lady. Dziękuję ci, Włodeczku, za Koreańczyka! A może to sprawka Lilki? Eee, nie. Lilka posadziłaby koło mnie jakiegoś przystojniaka! Gdyby miała taką moc sprawczą, byłby to jeden z szefów Samsunga wracający z Europy. Przypadkowo nawiązalibyśmy rozmowę – choć nie mam pojęcia jak, bo mój angielski jest mocno podstawowy i nie zabłysnęłabym erudycją, a już z pewnością nie gasnącą urodą! Lilka kopie mnie w te myśli, mówiąc, że i on – ten od Samsunga – jest siwym już panem, mającym wielką potrzebę rozgonienia samotności związkim z Europejką, znaczy mną. I oczywiście ma na koncie kwotę z wieloma zerami, jest hojny i wspaniały. I z porządnym... urządzeniem. Tak, tego życzyłaby mi Lilusia.

Zaczynam bredzić i snuć idiotyzmy. To z nudów i niewygody. Mija siódma godzina lotu. Jeszcze trzy. Ktoś po przekątnej podnosi zasłonkę na okno i okazuje się, że tam już jest dzień! Kompletnie mi to umknęło. Ja też podnoszę roletkę, a kokon się wysupłuje ze szmat. Jest uroczo zaspany i potargany. Ale nie jest androidem – idzie do łazienki. Długo go nie ma, ale wraca umyty i uczesany. Już wszyscy podnoszą rolety. Koniec spania! Pachnie jedzenie. Znów pani roznosi mokre i gorące ręczniczki do wytarcia rąk i twarzy.

Tym razem dostajemy zwyczajne śniadanie. Znaczy Koreańczycy mają jakieś ryżowe ciekawostki. Ja jem europejskie śniadanko z bułeczkami i serkiem topionym. Mój sąsiad wziął też danie europejskie. Teraz oboje gimnastykujemy się ze sztucami.

Coraz częściej patrzę na odległość do Seulu, na zegar. Godziny lotu wloką się niemiłosiernie. Programy i filmy wychodzą mi nosem. Wyjmuję tablet, ale nie, nie chce mi się niczego pisać! Sięgam po czasopisma. Próbuję skupić uwagę. Udało się przez pół godziny. Dziecko pana muzyka, jak go nazywam w myślach, pierwszy raz od startu płacze. Całą drogę było grzeczne, nawet gdy nie spało. Bawiło się paluszkami, kolorowymi kóleczkami, memlało w buzi ucho zająca. Teraz zanosí się płaczem. W kabinie gwar. Każdy już czuje łąd i nuda każe rozmawiać, zabijać wlokące się jak żółw minuty. Za okienkiem chmury, słońce, a na szybcie mikroskopijne kryształki lodu. No tak, na tej wysokości jest lodowato.

Zmuszam się do jeszcze jednego programu krajoznawczego o Gruzji. Mijają kolejne minuty. Szybciej, no, bo powariujemy tutaj! Znów czasopismo i setny raz sprawdzam komunikat o wysokości, odległości do celu i czasie. Obsługa przeprosza, ale musimy usiąść i zapiąć pasy, bo wlecieliśmy w turbulencje. Faktycznie są. Błagam, żadnych niemiłych niespodzianek! Chcę spokojnie dolecieć do Seulu, a nie łądować na wodzie! Turbulencjom mówimy NIE!

Po pewnym czasie za oknem zauważam coś więcej niż tylko chmury!!! Kończy się jakiś łąd i zaczyna morze. Pewnie to jest Morze Żółte. Czyli już bliżej niż dalej! *Yes!* Mój Koreańczyk też, jak widzę, stuka palcem po ekranie i patrzy na mapę. Nie widzę po nim żadnych emocji i tylko czasem, gdy łapie mój wzrok, uśmiecha się subtelnie. Słuchawki ma non stop na uszach. Może to jednak android, a te słuchawki to zasilanie?

Zajmuję się notatkami. Teraz chcę zapisać wszystko, żeby nie zgubić szczegółów. Opisuję. Podnoszę głowę na papcia z dziekiem – czyta coś. Dzieciucha zabawia kolejna stewardesa. Oboje się śmieją, gdy ta chowa twarz w dłoniach i odsłania ją znienacka, wołając „U!”.

Wyglądam na zewnątrz i staram się zobaczyć szczegóły na morzu. Samolot ewidentnie obniżył już lot. Jeszcze nic poza burozieloną taflą odległej wody.

Obsługa znów roznosi napoje i dla chętnych jakąś zupę z makaronem w kubku. Odmawiam. Nie znoszę junk foodu. Śniadanie mi wystarczyło. Koreańczyk bierze, a pani nalewa mu wrzątku. Czuję zapach chemicznego jedzenia. *Fuj!*

Wreszcie po, jak myślę, długasnym czasie widzę na morzu małe punkciki. Mija jeszcze piętnaście minut. Punkciki są wrzecionowate. To statki! łąd blisko.

Kapitan obniża lot, znaczy już koniec tych mąk piekielnych. Jeszcze... ojejku, pół godziny!

Stateczków na wodzie więcej i jakieś maluchy też widać. Kutry rybackie? Znów dopadam ekranu, odczytuję dane. Cierpliwości, Mańka.

Morze znaczone jest już równoległym białym wzorkiem. Fale? Czyli jakoś blisko do brzegu? Jeszcze niżej! Nie tylko ja jestem podekscytowana. Wszyscy mają już kategorięcznie dość ciasnoty i monotonii, oczekiwania. Dzieci płaczą albo pokrzykują, w uszach pojawia się znane odczucie – bębenki reagują na zmianę ciśnienia. Teraz już wyraźnie widać kolory kadłubów – zazwyczaj granatowe z wiśniowym paskiem. Mniejsze to kutry. Wspaniale, niedługo łądujemy.

Idę do łązienki ogarnąć się, wyszorować zęby, uczesać i jakoś obmyć. Obwąchuję się. No, przydałby mi się prysznic, ale cóż, musi wystarczyć mokra chusteczka i nowa

porcja dezodorantu. Kolejka pod *lavatory* spora, więc wychodzę szybko. Uśmiecham się do tatuśka, który robi młodemu na kolanach hop, hop, hop. Paszcza młodego roześmiana, *padre* jeszcze bardziej rozczochrany i radosny. Mój sąsiad wyprostowany i, o dziwo, bez słuchawek uśmiecha się do mnie promiennie. Cała sala wie, że to już koniec tych galer.

Już lecimy nad lądem, morze zostaje za nami. Nie wolno nam rozpinać pasów, pan kapitan przemawia do nas szybko, podając temperaturę na zewnątrz w Seulu i dziękując za miły lot. Za piętnaście minut lądujemy. Panie sprawdzają, czy jesteśmy grzeczni i mamy zapięte pasy, po czym same siadają w swoich krzeselkach w kantorku. Seul jest na wyciągnięcie... skrzydła! *Yes!*

Lądowanie nie było najdelikatniejsze – choć lot bez zarzutu – ale zaraz kołowanie, rękaw, wstajemy, android sięga po bagaż, pyta, czy zdjąć mi mój. Dziękuję, bo ja mam tylko plecak. Czekamy na przyłączenie rękawa. Ostatnie chwile, już za chwileńkę, jeszcze tylko karuzela z walizkami i pytanie, czy jest tam Antek. Czy ja go poznam?

Wysmukły ojciec zawinął sobie bachorka w chustę, ręce ma wolne i trzyma w nich swoje lary i penaty. Młode siedzi cicho. Wychodzimy!

Antek stoi blisko wyjścia. Na szczęście. Mam zapewne mocno skupiony wyraz twarzy, bo niepokoiłam się – przecież mógł złapać gumę, utknąć w korku, a nie mam jego numeru telefonu. Znaczą gdzieś zapisałam wraz z adresem, ale mam go w walizce. Stoi w tłumie innych oczekujących, uśmiechnięty, z uniesioną dłonią, żeby w miarę szybko złapać mój wzrok. Wita mnie serdecznym uściskiem – niezgrabnie, ale szczerze. Odbiera walizkę i pyta, jak się czuję. Mijamy smukłego ojca, który wyszedł wcześniej, i widzę jego żonę – Koreankę. Malutka i ładna. Właśnie przejmuje chustę, tyle że kładzie sobie młodego (młodą?) na plecy. On jej czule pomaga, całując. Ona ogania się, wstydzi. Na szybko opowiadam Antkowi o tym ojcu i pokazuję tę miłą parę. Antek potwierdza:

– No wstydzi się, bo facet urzęduje jej tu pokazówkę, a tutaj to jednak nieprzyjęte. Jak lot?

– W porządku. Odrobinka turbulencji krótko przed lądowaniem.

– Spalaś?

– Ech... taki tam byle jaki sen. No, lądował nieładnie. Chciałam zapytać obsługi, jak ta stara lady z dowcipu przywołująca stewarda: „Przepraszam, czy to było lądowanie, czy nas zestrzelono?”

Antek uprzejmie się zaśmiał, a ja poczerwieniałam. Taki suchar!!!

Na zewnątrz upał dosłownie wali mnie na odlew. Jest gorąco jak w tropikach. Przystaję i wzdycham, rozglądam się. Nie, nie ma palm! To naprawdę Seul. Na parkingu w wąskich pasach wyschniętej trawy rosną drzewka.

Oboje jesteśmy lekko zażenowani. Idziemy gdzieś, dość daleko, na zupełnie inny parking. On płaci takse, a ja jestem już w środku jego samochodu. Zostawił mnie z włączonym silnikiem i chłodzącą klimatyzacją.

– Daleko jest do Ulsan? – pytam, żeby okazać zainteresowanie.

– No, kilka godzin. Wybacz, że nie dało rady do Pusan – odpowiada, wkładając portfel do kieszeni. – Zapnij pasy i jeśli jesteś zmęczona, możesz pospać, choć radzę wytrzymać do nocy.

– No nie wiem jeszcze. Paskudnie pieką mnie oczy. Zapuszczałam sobie krople w samolocie, ale słabo pomogły.

– OK, to tylko zmęczenie – odpowiedział i skupił się na wyjeździe z labiryntu przylotniskowego. – Z tyłu położyłem dla ciebie poduszkę. Tak... na wszelki wypadek.

Miłe.

Próbowałam. Naprawdę próbowałam się rozglądać, patrzeć, łapać okiem i mózgiem na Seul, choć przez szyby. Ale czułam, że niczego nie widzę, nie koduję, a mój organizm jest w trakcie zapadania się, woła o drzemkę. Pozycja siedząca się nie sprawdziła. Każdy mój mięsień jest rozdrażniony, smutny, zmęczony.

– Antek, wybaczysz mi? Przejdę do tyłu i się zdrzemnę.

– No, dobrze, dobrze – mówi i się uśmiecha.

Stoimy w wielkim wolno posuwającym się korku. Ani to ciekawe, ani fascynujące, więc przelażę niezdarnie na tylne siedzenie, moszczę się i jestem mu wdzięczna za tę poduchę. Nie jest to łóżko, ale prawie leżę, i to na boku, jak lubię. Wiem, ściępnę za chwilę, bo nogi mam skulone, ale jest doprawdy sto razy lepiej niż w samolocie. Antek pyta, czy nie będzie mi przeszkadzała muzyka. Puszcza coś staroświecko miłego.

– A to co? – pytam.

– Orkiestra Paula Mauriata, takie staroćko. Zwykle słucham w trasie Pink Floydów, ale chyba nie pospałabyś...

– Dzięki. Zostaw Paula. Faktycznie stare to – mruczę i czuję, że odpływam, kołysana samochodem.

Wspaniale!

Zatrzymaliśmy się na siusiu i tankowanie.

– Do Ulsan mamy jeszcze tylko sześćdziesiąt kilometrów. Nie kładź się, nie warto, bo się roześpisz. Chcesz kawy?

– Nie, ale chyba wypiłabym jakiś napój izotoniczny. Dzisiaj i tak jestem dętka, nie ma co katować się kofeiną.

– Poczekaj, coś ci przyniosę.

Antek wraca z butelką z herbacianym napojem w środku. Dziwny.

– Siedem ziół. Bez cukru. Gasi pragnienie, ziołowy i zdrowy. Chyba że wolisz colę? Wziąłem dla siebie, bo za kierownicą czasem ją piję.

Dalej już siedziałam z przodu i się rozglądałam. Autostrada, za nią pagórki i pagórki. W oddali jakieś drobne zabudowania i nic poza tym. Bez zachwyty. Jest popołudnie, trochę chmur, ja zmęczona, choć już nie senna.

– Jutro niedziela – mówi Antek. – Wszystko ci pokażę co i jak, bo ja w poniedziałek do pracy. Będiesz sama.

– No domyślam się. To już chyba jakieś przedmieścia, bo widzę zagęszczenie samochodów?

– A tak. Ludzie wracają do Ulsan, jak wszędzie. W Polsce chyba podobnie?

Opowiadam mu, jak jest w Warszawie na wylotówkach w weekendy, i myślę, że rozmawiamy o tym, bo inaczej zapadłaby krępująca cisza. Naprawdę to był dobry pomysł, żeby tu przyjechać?

Powoli sunąc przez zakorkowane miasto, dotarliśmy wreszcie do centrum. Tu jakoś się połuźniło. Samochody rozjeżdżały się w różne strony i można było wrzucić nawet czwórkę!

– No to mamy to za sobą. To jest Taehwa. Rzeka. Jak widzisz, miasto jak miasto. Są mosty, trochę wielkich budynków. O, tamtych, zobacz, tam po prawej za rzeką, rok temu jeszcze nie było. A te tutaj, po lewej, wyrosły dwa lata temu i znów coś tu budują, bo wyburzyli trzy kamienice.

W oddali zobaczyłam kilkanaście biało-beżowych wysokościowców. „Jak nasz Ursynów” – pomyślałam.

Szeroka arteria skręcała w lewo, a po prawej zobaczyłam ogromny statek, stojący przy nabrzeżu wielkiej zatoki.

– Tylko jeden? – Wskazałam go zdziwiona. Pisał mi, jaki tu jest wielki port, ile statków na redzie...

– Tak. Tu zawsze stoi jeden, maksimum dwa, bo po lewej jest fabryka Hyundaia i te statki...

– ...zjadają ichnią produkcję i wałą z nimi do Europy? Zgadłam?

Uśmiechnął się. Rzucił okiem i kiwnął głową. Krępującej ciszy nie ma. Nawet gdy milczymy, ta cisza nie jest krępująca. Po prostu jest cicho. Mijamy ogródki działkowe, dokładnie jak w Polsce.

– Ogródki działkowe! – wykrzykuję.

– Tak, a zaraz następna dzielnica to Nammok, a za nią już stocznia i moja dzielnica. Uprzedzam cię, żaden cud. Jest stara z elementami nowoczesnej zabudowy. Myślę, że za kilka lat zburzą i ją. Postawią wysokościowce. Na razie jednak tam jest kompaund dla ekspatów.

– Że co?

– Takie zamknięte osiedle dla pracujących tu obcokrajowców. Takich jak ja.

Po chwili zobaczyłam po lewej stronie charakterystyczne zabudowania przemysłowe, a za nimi wielkie dachy budynków. Jak powiedział Antek – malarnie, magazyny, a dalej techniczna brama, nieużywana na co dzień, i znów magazyny, magazyny... Po prawej faktycznie jakieś niskie i wyjątkowo brzydkie domki, kamieniczki i ulice idące stromo w górę jak w górskich miejscowościach. Mnóstwo brzydkich reklam jedzenia i nieznanymi mi produktów, apteka i... skręcamy koło niej w uliczkę.

– To dłuższa droga. Chciałem ci pokazać najbliższą okolicę, choć wjazd do kompaundu już minęliśmy. Patrz, tu jest moja ulubiona piekarnia, tu poczta, a tam niżej bank. Teraz z górki i pod górkę i już mamy inną bramę kompaundu.

– Czemu takie odseparowanie?

– Nie ma w tym niczego złego, wierz mi. Przyjezdni ze świata lepiej się czują ze sobą. Ci, którzy chcą mieszkać na koreańskich osiedlach, mogą sobie wynająć tam mieszkanie. Ale sami muszą za nie płacić. Moja firma stawia mi mieszkanie w kompaundzie plus opłaty za media. Inne dodają do pensji tyle, żeby można było sobie coś wynająć.

Parkujemy. Koniec podróży. Wychodzę z samochodu i czuję się wymiętoszona, połamana, a nade wszystko nieświeża. Jest gorąco, słońce ma się ku zachodowi. Przez drzewa widzę, że zrobiło się czerwone i zmierza gdzieś w dół. Słyszę głośne cykanie.

– Cykady?

– No tak. Będziesz musiała przywyknąć. Weź tylko torebkę i idź. To tamta klatka. Zresztą jedyna. Pierwsze piętro.

Budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy. Po obu stronach klatki schodowej loggie, a pod parterową – rząd urządzeń do klimatyzacji. Wspaniale!

Mieszkanie Antka

Pierwsze, co się rzuca w oczy, to brak przedpokoju. Widzę jednak, że sobie poradził, stawiając niedaleko drzwi niewielką szafkę, żeby jednak była przestrzeń wejściowa. Od razu też spostrzegam, że buty ma w owej szafce, a nie wszystkie wywalone na podłogę. Plus! Na haczykach są drewniane wieszaki na ubrania, więc się kurtki nie wieszają byle jak za fraki. Plus! W mieszkaniu czysto i uchylone okno. Powiewa czysta firanka. Plus! O! Jaki piękny scindapsus! Jak mój, tylko żółty! Pnącze ma długość z sześć metrów i widać, że zadbane. Fikus i jakaś jukka – zielone i zdrowe. Plus! I dalej też plusy.

Zachowałam się okropnie, taksując mieszkanie jak jakaś urzędniczka z sanepidu, ale samo tak wyszło. Przecież mam tu przebywać. Nie żebym była maniaczką czystości, ciekawiło mnie jednak, jak mieszka samotny mężczyzna. Żartobliwy albo wręcz złośliwy stereotyp mówi głupstwa. Że samotni faceci mieszkają w piaskownicy z brudnymi skarpetami, stosem zaskorupiałych naczyń w zlewie i pleśnią w lodówce. Zawstydziałam się, widząc ten porządek.

Antek z mety zaniósł moją walizkę do pokoju z pojedynczym tapczanem, niewielką szafą, biurkiem i nocną szafką z lampką. Też nocną.

– Proszę, to twój pokój i klucz do zamka. Nie jestem dzikusiem, ale rozumiem, że możesz chcieć się czuć bezpiecznie. To są okna przesuwne, nie otwierają się, tylko chodzą tu, w szynach, i patrz, siatka na komary, bo oczywiście też są. Masz ten pokój, ale jakbyś chciała, jest też inny, gościnny. Tamten nie ma zamka pod klamką, ale jest bliżej łazienki. Zdecyduj. Chcesz może herbaty? Coś chłodnego?

Pospałam w podróży – na raty co prawda, ale jednak. Niewiele to dało. Mam piasek pod powiekami i jestem ogólnie rozbita. Tak, kubek herbaty z cytryną dobrze mi robi.

– Gdy chwilę odpoczniesz, proponuję ci spacer po osiedlu albo nawet basen. Mamy tu osiedlowy, zewnętrzny. Są upały, więc woda ciepła. A ponieważ jest sobotnie popołudnie, może tam być gwarno, ale ujdzie. To nie jest jakieś wielkie osiedle.

Antek wyraźnie jeszcze lekko spięty, ja mało rozmowna z powodu naprawdę długiej i męczącej podróży.

– No to poproszę herbatę. I wiesz co? O, to koniecznie trzeba do lodówki!

Wybiegam do pokoju, otwieram walizkę niepewna, czy przypadkiem ktoś mi nie usunął kontrabandy. Nie! Jest! Podaję mu pół-krażek rokpoła i śledzie. Patrzy z niedowierzaniem i uśmiecha się jak dzieciak, który dostał cukierka.

– Dla mnie? Och, co za przysmaki! A ja jak ostatni prostak! Przecież jesteś zapewne głodna! Mam jajka, jakąś tutejszą wędlinę, która cię nie zachwyci, parówki i ser topiony w plastrach.

– Może być. A jakieś pomidory?

– Nie mam. I owoców też. Masz siłę pójść do pobliskiego sklepu czy zjesz, co jest?

– Mam dziką chęć na pomidory ze śmietaną i jakieś owoce, ale nie chce mi się nigdzie ruszać, wybacz. Zjem chleba z rokpołem albo parówką. A jutro, obiecuję, pójdziemy poznać okolicę. Ale najpierw łazienka. Pozwolisz?

– Och, oczywiście! To ja przygotuję coś do jedzenia.

– Tak! – wołam z pokoju, w którym wyjmuję z walizki podomkę i kapcie. –

Zdecydowanie! Ale może masz jakiś koniaczek, to też chętnie! Albo nie. Koniak za mocny – milknę. Na moim łóżku widzę wielki zielony ręcznik.

– W łazience masz koło umywalki swój zielony ręcznik, ten mały, i z boku zrobiłem ci miejsce na utensylia. Ten kubeczek z pandą jest dla ciebie! – woła z kuchni i zaraz dodaje: – Zrobię ci koreańskiej herbaty! Fajna, zobaczysz!

Tymczasem ja biorę prysznic i od razu mi lepiej. Spływają ze mnie samolotowe powietrze, pot i zmęczenie. Ale oczy nadal pieką. Jutro upiorę łąszki, dzisiaj jestem na jałowym biegu.

W pokoju przy niskim, niestety, stoliku widzę już kanapki i spory kubek herbaty. Są jeszcze małe czarki i butelka czegoś z napisem po koreańsku. Na dnie leżą cztery niewielkie owoce, pewnie śliwki. Może to coś na kształt japońskiego *ume*.

Antek potwierdza i pokazuje też słoiczek dziwnego dżemu, który okazuje się koreańską herbatą cytrynową.

Jest... normalnie. Jest absolutnie normalnie. Jemy ciemny chleb z rokpołem, gadamy, choć to raczej Antek mi opowiada o tym, co jest na osiedlu, a co poza nim. I że pojutrze, jeśli chcę, założymy mi konto w banku na czas pobytu, żeby łatwiej mi było kupować. A jutro pokaże mi, gdzie jest fitness i basen, i sklep, i wyjście do miasta. Wspominamy wypadek z psem, rozmowa się toczy niewymuszenie. Jak to bywa, włączamy telewizję, bo zaraz będzie prognoza pogody.

– O, niedobrze. – Antek kręci głową. – Zmiana pogody. Może i tajfun?

– TAJFUN? Tutaj? Mówiłeś, że klimat podobny do południowej Europy.

– Tak, ale z atrakcjami! Pisałem ci o tajfunach? Nie? To mój błąd. Sprawdzę zaraz na stronie internetowej, jaki będzie.

Uruchamia komputer, sprawdza i oświadcza spokojnie:

– Do nas dotrze za kilka dni.

Na kanale japońskiej telewizji *Śniadanie u Tiffany'ego* z prześliczną Audrey Hepburn. Zaczynam oglądać całkiem zaciekawiona i ubawiona, gdy Audrey mówi po japońsku. O dziwo, film jest z postsynchronami. Pytam go, czy nie umrze z nudów, ale twierdzi, że też lubi te urocze ramotki. Równie ubawiony wyjaśnia, że czasem trafia na japońskojęzycznego *Columbo*. Oglądamy, oglądamy... Po pewnym czasie słyszę jego głos:

– Panno Maniu, pora spać!

Film jest już gdzieś w połowie. Kompletnie nie pamiętam, co też Audrey robiła, mówiła... Musiałam zasnąć w fotelu zaraz, gdy tylko się zaczął. I pewnie chrapałam. Ale wstyd! Antkowe oczy uśmiechają się serdecznie.

– Idź i śpij spokojnie. Ja tu jeszcze sobie pomantykuję.

Ziewam i idę do pokoju. Mam mały dylemat – zamknąć się na klucz? Idiotyzm. Nie sądzę, żeby Antek... Nie, to tak absurdalne, że aż obraźliwe wobec niego.

Mam trudności z zaśnięciem, wiercę się, niby zasypiam, ale sen nie nadchodzi. Słyszę, że wreszcie i on człapie do siebie, bierze prysznic i w końcu światła gasną. Cykady grają bardzo wyraźnie i ten ich metaliczny szum jest chyba nawet irytujący. Odbiorą mi resztki snu? Może faktycznie nie powinnam drzemać za dnia? Trudno, przecież wkrótce się przyzwyczaję. Jakby co, koło łóżka mam nocną lampkę i książki

z półki z dużego pokoju. Coś o Australii i *Duma* wraz z uprzedzeniem.

Niedziela w Ulsan

Książki w ogóle się nie przydały. Zasnęłam, gdy tylko stwierdziłam, że z pewnością z powodu cykad nie zasnę! Spałam zdrowo, a rano obudziły mnie... cykady! Leżałam, czując, że jest gorąco. Wstałam więc, uchylając cichutko drzwi. Mieszkanie było przyjemnie wychłodzone klimatyzacją, a mój pokój bez niej nagrzał się niestety. Poszłam na palcach do łazienki, a potem do kuchni po wodę. Z zainteresowaniem przeskanowałam lodówkę – czysto tu i... po męsku. Tylko to, co potrzebne. Bez różnych tam przydasiów, które mieszkają na przykład w mojej lodówce, a które usuwam zła na siebie, kiedy data przydatności woła o pomstę do nieba albo kiedy zaczynają żyć własnym życiem.

A tu nic z tych rzeczy! Litrowa butla piwa, karton soku jabłkowego i drugi pomarańczowego. Masło na zaś, bo to codzienne stoi na stole w miseczce, pod wodą, jak stało u taty od zawsze. Na półce pleśniawiec ode mnie, opakowanie dziwnej wędliny, jedna cebula, sześć jajek i na dole śledzie – też ode mnie.

– Cześć, jak się spało? – słyszę Antka, gdy właśnie siadam w pokoju ze szklanką soku.

Wchodzi uśmiechnięty i w stroju domowym. Ma na sobie japońską jukate z bawełny – rzecz idealna na upał. Muszę i ja się jakoś ogarnąć.

Śniadanie robimy razem, gadając o cykadach, o tym, jak się przyzwyczaić, o klimatyzacji tak tu potrzebnej i jukacie – skąd ją przywiózł i jak bardzo ją lubi. Pogaduchy zupełnie jakbyśmy się znali latami. Jest uprzejmy i spokojny. Pyta, co pijam na śniadanie, i pokazuje mi szafkę z kubeczkami.

– Wybierz sobie coś, choć nie bardzo jest w czym wybierać. Tamten kubek z R2-D2 i C-3PO jest mój.

– O, lubisz *Gwiezdne wojny*?

– Uwielbiam. Stary ze mnie chłop, ale niektóre filmy oglądam chętnie, choć to może wstyd. Przecież to bajki.

– Wstyd? Po prostu zachowałeś w sobie chłopczyka. Dziecko. To mi się akurat podoba! Ja też lubię *Gwiezdne wojny*, czasem gdy mam zwiesława...

– Co masz?

– Zwiechę, no wiesz, jak mi smutno, smętnie, źle...

– Zwiesława, rozumiem! – Nie wiem, czemu się ucieszył.

– No więc ja wówczas też sięgam po lektury czy filmy bajkowe. I tylko kiedy była u mnie Lilka, moja siostra – wiesz, ta która chorowała – to jakoś nie oglądałam, bo ona nie lubiła bajd i kosmicznego chlamu, jak nazywała gwiazdną serię.

– To i *Harry'ego Pottera* też nie lubiła?

– Też. Ani *Shreka*, ani *Władcy pierścieni*. Za to mogła bez końca oglądać *Casablanę*, *Wichrowe wzgórza* z Ralphem Fiennesem jako Heathcliffem, oczywiście *Przeminęło z wiatrem* starą wersję...

– O, a była jakaś nowsza? – zapytał, a ja się stropiłam, bo poczułam się

sprawdzana.

No tego akurat nie wiem, czy była jakaś nowsza, ale chyba nie...

– Nie wiem – przyznałam – ale remake’ów kręci się mnóstwo. Samej *Anny Kareniny* jest już ze czternaście wersji. *À propos*, Lilka uwielbiała tę rosyjską, z Samojłową. I *Wojny i pokoju* lubiła też wersję rosyjską. No i wszystko z Marilyn Monroe – zakończyłam z uśmiechem.

Przyglądał mi się, uważnie słuchając. Po chwili westchnął:

– No to ja zdzieciniałem, bo wiesz, czasem gdy mnie tu jakiś, jak to ty mówisz, zwieszaw dopadnie, to faktycznie wracam do dzieciństwa i koją mnie jakieś *Epoki lodowcowe*, a *Shrek* śmieszy zawsze! Tolkiena uwielbiam. Przeczytałem *Diunę* i film mnie rozczarował.

Mówił o swoich ulubionych filmach, krojąc jednocześnie chleb i wtrącając pytanie, ile zjem kromek, bo kroi zawsze tyle, ile się zje. Oszczędny? Wyjaśnił mi to już przy jedzeniu:

– Tu nie ma chleba w naszym pojęciu, znaczy wielu gatunków na każdym rogu. Pokażę ci. Są piekarnie, ale to raczej cukiernie, w których jakimś n-tym elementem jest chleb, ale zazwyczaj ten typu amerykańskiego, „waciany”, i francuskie bagietki. Koreańczycy je pokochali. Ja mam wielkie szczęście, bo niedaleko jest piekarenka z chlebami naprawdę europejskimi. Zajdziemy tam!

– W niedzielę?

– Ano w niedzielę. Czynna jest do czternastej. Podobnie inne sklepy. Kapitalizm pełną gębą. Czeka, wezmę karteczkę i zapiszemy, co kupić.

Już na klatce schodowej poczułam upał, a gdy wyszliśmy na zewnątrz, fala gorącego powietrza od nagrzanego asfaltu i murów uderzyła w nas mocno. Spojrzałam na Antka, uśmiechnął się tylko. Widać przywykł, a moje płuca jakby się przytknęły.

– Uch! – wykrztusiłam tylko.

– To niedaleko. Pójdziemy spacerem. Nie wszędzie warto jechać samochodem z klimatyzacją. Sama zobaczysz, że tu wszędzie blisko. Tylko teren pagórkowaty, więc jeśli jesteś nieprzyzwyczajona, poczujesz zmęczenie.

– O, jestem zasiedziała! Zwłaszcza po locie. Dawno też nie ćwiczyłam – zaczęłam i zamilkłam na wspomnienie moich bytności w salce ćwiczeń. Bo chociaż straciłam wówczas kilka kilogramów, to chodziłam tam nie do końca na fitness. Ale to zamknięty temat.

Pamiętałam, że teren, na którym pobudowano osiedle, jest mocno pofałdowany i że zaniepokoiły mnie hardcore’owe stromizny uliczek. Ale skoro wszyscy po nich jeżdżą, to znaczy, że samochody, a zwłaszcza ich hamulce, dają radę.

– Tam za budką portiera, parę kroków w prawo, jest sklep spożywczy, a w lewo, nieco dalej, piekarnia. Dokąd najpierw?

– W spożywczym nie będzie pieczywa? – pytam już zgrzana i niezbyt zachwycona perspektywą łożenia po tej spiekocie.

– Mówiłem ci, że porządny chleb jest tylko w naszej piekarni. Ale jeśli chcesz, to

innym razem. W spożywczym będzie ten waciany.

– No to piekarnia!

Minęła nas jakaś młoda para i kilku chłopców na deskorolkach. Poza tym jest dość cicho i mało ludzi na osiedlu. Nagrzane mury tworzą zaduch. W uliczce ciągnącej się pod górkę też prawie nikogo. Pewnie wszyscy siedzą w klimatyzowanych domach i korzystają z wolnego dnia. Piekarnia istotnie oznakowana, a jakże. W środku szczupły i dość wysoki Koreańczyk kłania się i uśmiecha, bo zna Antka. Antek też się kłania. No to i ja się skłoniłam skoro to obyczaj. Pachnie pięknie, a za ladą widzę same pyszności. Okrągłe chleby chyba z czarnuszką i prostokątne jak nasze żytnie, i bułkę jak ciabatta, skręconą i rumianą, a dalej owalne pieczywo, jak nasze chleby lubelskie na Saskiej Kępie. Zdziwiająca! Wychodzimy z ciabattą i okrągłym chlebem.

– *Anaseyo!* – mówi Antek z ukłonem.

– *Anaseyo!* – odpowiada piekarz.

– Co powiedziałeś? – zapytałam już za drzwiami.

– Do widzenia. *A-na-se-yo* – sylabizuje.

– *Anaseyo* – powtarzam. – A kiedy wchodzę?

– Też *anaseyo*.

– Aha – powtarzam cicho: – *Anaseyo, anaseyo, anaseyo*.

Po chwili Antek mówi:

– Wiesz, gdyby nie ta piekarnia, to chyba nauczyłbym się piec chleby!

– Żartujesz.

– Wcale nie. Bez naszego pieczywa nielekką tu wytrzymać tak długo. Niemcy mają w domach urządzenia do chleba. Musiałbym tylko jeździć do Daegu po mąkę albo wozić samolotem z Polski. Ale czy u nas są dobre mąki chlebowe?

– Wiózłbyś kilogramowe paczki mąki? – Nie dowierzam.

– Niemcy lecą do domu z kilkoma łauskami i prezentami, a z powrotem z dwudziestopięciokilogramowymi worami z mąką chlebową. Wiem, bo mi Klaus mówił.

– Taka miłość do chleba?

– No pomyśl, czy dałabyś radę tak tylko na ryżu albo z tym wacianym *american bread*?

Pomyślałam. Nie dałabym. W Japonii, w Egipcie, w Stanach nie było na śniadanie porządnego chleba. Jakieś tosty dla Europejczyków, namiastki naszego pieczywa. Słodkie bułki i ciasta to wszystko nie to. Pamiętam wielki hotel w Tokio i pięć restauracji śniadaniowych. *American style, Japan style, British style, French style i India style*. W amerykańskiej: kielbaski, frytki i kawa z dzbanka – fuj! W angielskiej: fasolka w sosie, kielbaski, jajka na bekonie – oj, nie. No może te jajka, ale reszta... W japońskiej: ryż, rosółek dashi, wodo-rosty i kłaczki z kurczaka, szczypiorek i sosy rybne – nie. W indyjskiej: curry, ryż i ogólnie zapach ziół w natężeniu, którego mój poranny nos nie umiał znieść. I na koniec francuska. No, to jest to! Kawa pyszna, urokliwy kelner, chyba z Afryki subkontynentalnej, władający francuskim i zachowujący się jak rodowity Francuz. To znaczy niechętnie mówił po angielsku. Podał kartę śniadaniową, a w niej miłe oku zestawy z chrupiącymi bułeczkami, maselkiem, twarożkami, jajkami na różne sposoby i dżemy z croissantami. O, tak! Także wielkie kromki prawdziwego chleba ze

zwykłą „europejską” szynką.

O tym wszystkim opowiedziałam Antkowi z lekką zadyszką, gdy wracaliśmy w stronę spożywczego i znów pokonywaliśmy górki i dolki osiedla.

– No widzisz – rzekł tylko i puścił mnie przodem w wejściu do sklepu.

Tu znów zobaczyłam ukłon ekspedientek i odkłon Antka, znów i ja się skłoniłam, i poszliśmy w regały z koszykiem. Jak w Polsce. Postanowiłam z lekka zapłacić lodówkę, bo to przecież i coś na kolację trzeba by i obiad dzisiaj i jutro. Krążąc i dotykając wielu opakowań, zastanawiałam się, jak sobie poradzę. Napisy na nich właściwie tylko po koreańsku. O! I czasem małymi literkami po angielsku. Szybko zorientowałam się, że są też na puszkach, pudełkach i torebkach rysunki oraz zdjęcia. Przecież nie jestem na Marsie, dam radę! Proszę, ryby są na stoisku rybnym, warzywa na warzywnym, mąki na półce z mąkami, a jajka w garmażu. Proste i oczywiste. Resztę rozpoznam powoli.

Antek idzie obok gotów wszystko objaśnić. Wiem, że mnie obserwuje. Sprzedawczynie też rzucają na nas dyskretnie okiem. Pewnie znają go od dawna, a on nagle z kobietą. Nagle? A może bywał tu z innymi i jestem porównywana? Ciekawe...

Biorę do ręki słoik z napisem (nareszcie po angielsku też) „Honey lemon tea”.

– To... ta herbata, która wygląda jak dżem? – pytam go, bo w słoiku widzę płynną cytrynową konfiturę.

– Herbata. Piłaś ją wczoraj.

Wkładamy do kosza.

– Wędlin nie ma. Jak tu żyć, co? – Żartuję.

– Ano takich w naszym rozumieniu nie ma. Parówek jest mnóstwo, zwłaszcza tych malutkich, ale to dla dzieci. W smaku jak nasze. Ale ile można jeść parówki?

Na garmażu widzę je. Faktycznie jak dla dzieci. Biorę malusie opakowanko. Spróbuję, na bezrybiu... Niby są jakieś mielonki, ale Antek mówi, że paskudne. Bierzymy jeszcze jajka i pomidory, paprykę i ogórka. Podziwiam jeszcze dział podręcznego AGD, bo faktycznie jest wszystko to, co gospodyni potrzebne na szybko: klamerki do bielizny, naczynia, opakowania plastikowe, kapcie, sztuce, chemia gospodarcza jak nasza, papierowe ręczniki, papier toaletowy, pieluchy. Taki sklep, niby niewielki, a tak bogato zaopatrzone. Są nawet alkohole i gotowe sałatki. No i różne słodkie bułki i amerykański chleb tostowy.

Wracamy. Człapiemy noga za nogą. Otacza nas ciepłe powietrze, zwłaszcza gorące przy asfalcie. Jest leniwe przedpołudnie, ludzi niewielu, samochodów jadących nie ma. Mijają nas małe dzieciaki na rolkach. Widać, że się uczą. Śmieją się, jakby upał ich nie dotyczył. Na kolanach i łokciach mają ochraniacze, ale jadą bez kasków. Na poboczu jak chwasty rosną wielkie aralie japońskie z błyszczącymi liśćmi. Takie widywałam w Polsce tylko w kwaciarniach. Wielkie drzewa mają kompletnie nieruchome liście. Między araliami – jak zwykle w miastach – papierki po lodach, zgnieciona puszka po piwie i butla po napoju, pety.

Antek złowił moje spojrzenie i mówi:

– No, to nie Singapur. Nie są czyściochami.

No nie są. Jeszcze się pewnie nieraz o tym przekonam, skoro tak mówi.

Falującą uliczką (już było stromo w dół, teraz jest pod górkę) wczłapujemy na

w miarę prosty odcinek. Mam zadyszkę. On się podśmiewa:

– O, ho, ho. Zero kondycji. To nic. Tu się poprawisz. Pagórków jak mrówków.

Trochę mi przykro, ale przecież to prawda. Od dawna nie chodzę na fitness, nie jeżdżę na rowerze...

– Nie jestem rączą gazelą – tłumaczę się.

– Damy radę! Dokąd teraz byś chciała?

– Masz szczęście! – mówię. – Nie chce mi się w ten upał dalej zwiedzać.

Młodzież jedzie na skuterach. Ptaki śpią w gałęziach drzew. Mam wrażenie, że gorące powietrze stoi. Wdychanie go jest nieprzyjemne. W jakimś malusim sklepiczku Antek kupuje dwa litrowe piwa.

– Lubisz? – pyta.

Kiwam głową. Marzę o powrocie do domu. Jestem spocona i znużona tą krótką wyprawą. Nie przywykłam czy słaba kondycja? Na szczęście teraz już tylko z górki, po gorącym asfalcie.

Klatka schodowa jest ciut chłodniejsza od podwórka. W mieszkaniu chłodek, bo działa klimatyzacja. Czuję zmęczenie, a przecież to był mały spacer! Zimne piwo stoi w lodówce, Antek napełnia dwie szklanice i jedną mi podaje.

– Nie jesteś rozczarowana?

– Nie, tylko nieprzyzwyczajona. Mieszkam na płaskim Mazowszu, od dawna nie ćwiczę, nie mam kondycji. Odzipnę i zrobię obiad.

– Ale może zabiorę cię gdzieś? Czemu masz... nie przyjechałaś tu do pracy. Serio.

– Nie zamierzam stać w kuchni godzinami. Zrobię coś na szybko. Później może nad morze? Skoro tu stocznia tak tuż-tuż to może i morze blisko.

Po zimnym piwie nabrałam ochoty na ugotowanie czegoś dobrego i pokazanie Antkowi, że potrafię się odwdziżyć za gościnę. Zapytał, czy się przyda. A jeśli zechcę, to nawet coś mi pokaże – gdybym miała zamiar usmażyć kupionego kuraka z grzybkami enoki, które wzięłam na dziale warzywniczym, bo zwyczajne pieczarki wydały mi się nudne. Kurczak dość mały, ale akurat na dwie osoby i był już... poszatkowany wraz z kośćmi, na o wiele drobniejsze kawałki niż w Polsce. Był i cały, ale ten w kawałkach wydał mi się znakomity na szybkie danie z patelni.

Na oleju kokosowym podsmażyłam posiekany czosnek, wrzuciłam kurczaka i kiedy już był lekko zrumieniony z każdej strony, podlałam to wszystko piwem. Na samym końcu dodałam grzybki wyglądające jak białe cienkie kluseczki z maleńkimi główkami. W szafce znalazłam sos sojowy, a ze sklepu przynieśliśmy olej sezamowy, bo Antek nawet nie wiedział, co to jest, gdy go zapytałam, czy go ma w zapasach. On za moimi plecami też coś robił z miseczkami wypełnionymi ryżem. Faktycznie, jakie to wygodne. Ryż ugotowany w osiemdziesięciu procentach zalany filiżanką wrzątku dochodzi szybko, choć też mogłabym go wyłożyć w ostatnich minutach na patelnię.

– Nie pomyślałam o surówce – westchnęłam, a on zaraz przyniósł z loggii pomidory.

Umył, pokroił i skropił oliwą.

– Może być? – zapytał i siedliśmy do obiadu.

W pudełeczku na stole leżały metalowe pałeczki, ale tę lekcję odrobie jutro.

Nie czuję skrępowania. Może minimalne? Niby słabo się znamy, ale zachowujemy się jak starzy znajomi. On się nie narzuca, nie kryguje, jest taki... naturalny. Zupełnie jak nie ten groźny facet z Wisłostrady, gdy się poznaliśmy w niemiłych okolicznościach. Na szczęście nie zagadujemy się sztucznie, żeby pokonać ciszę. On chwali jedzenie, dziwi się, że znam enoki, ja odpowiadam, że kiedyś zajmowałam się redakcją kulinariów, no i gotuję jak każda niemal kobieta. Wspominam czasy spędzone z Lilką i delikatną kuchnią, jaka była konieczna z powodu jej choroby. Kilka pytań o nią, ale wiem, że stara się być dyskretny i nie draży zbyt głęboko.

Po obiedzie mam sobie posiedzieć, on pozmywa. Z kuchni rzuca pytanie, czy pijam poobiednią herbatę. Nie pijam. Myślę, że skoro pyta, to pewnie jego rytuał. Jeszcze się dowiem. Lekko się chmurzy, ale nic nie zapowiada deszczu.

Wychodzimy z domu, bo jak mnie zapewnia, zdążę się jeszcze w nim nasiedzieć, a niedziela jest do wykorzystania. Proponuje wypad nad morze, skoro się tego dopominam.

– Ty je masz na co dzień, a ja Mazowszanka. Widuję je tylko wówczas, gdy się specjalnie wybiorę nad Bałtyk, którego nie lubię, bo zimny i bury, albo... – zawieszam głos.

– ...albo? – dopytuje.

– Ach, wiesz, w poprzednim życiu, to znaczy kiedy jeszcze byłam mężatką, zdarzało się, że spędziliśmy tydzień czy dwa gdzieś w ciepłych krajach. Ale to rzadkość, bo on nie lubi plażowania. Zawsze wołał górskie wspinaczki. A ja za młodu faktycznie lubiłam wytaplać się w ciepłych wodach i poleżeć na piasku. Ostatnio jeździliśmy rozdzielnie – ja z koleżankami, on z kolegami. A już tak bardzo ostatnio to nie miałam wakacji, bo... no nie wiem, nie pamiętam, czemu nie wyjeżdżałam. A potem Lilka i jej choroba...

– Wiem. No, chodź!

Znów żar na zewnątrz wali jak obuchem. Na piętrze jeszcze jest półnormalnie. Z mieszkań chłodne klimatyzowane powietrze wydostaje się szparami, a na dole są szklane, dość szczelne drzwi. Już koło nich czuję gorąco, a jak otwieramy – bach! Znów mam ogień w płucach.

W samochodzie piekarnik, ale Antek szybko odpala i czekamy chwilkę, aż się w środku zmieni powietrze. Ruszamy i jedziemy szeroką ulicą wzdłuż stoczni. No za nią musi być morze! Na ulicy spory ruch jak na niedzielę, ale Antek zapewnia, że to nie to co każdego dnia rano i po południu. Jeszcze się przekonam! Po kilkunastu minutach zjeżdżamy w lewo, stajemy na parkingu i faktycznie widzę niewielką zatokę, plażę, a w oddali morze. Ludzi niewielu, trochę spacerowiczów. Nikt się nie kąpie.

– Czemu? – pytam.

– Też się zastanawiałem. To chyba dlatego, że to plaża miejska, rodzaj dreptaka. I to by chyba krępowало miejscowych. Ale czasem widywałem tu nas, białasów. O, zobacz, tam się taplają młodzi ludzie. Chyba miejscowi.

Istotnie, taplali się. Pomyślałam, że kiedyś – zresztą całkiem niedawno – i ja bym się wytaplała, ale dzisiaj... Mowy nie ma. Nie mam na sobie kostiumu, nie mam odwagi. Zwłaszcza nie znam miejscowych obyczajów. Gorąco!!!

Nadmorski park pełen starych drzew dał nieco cienia. Morze spokojne, lekko tylko obmywało zanurzone w wodzie szarordzawe skały, jakby pocięte maczetą i wspierające półwysep, na który alejki wspinają się wśród sosen. Idziemy jedną z nich. Spacer fajny, choć ciut męczący. Antek co chwila pyta, czy może mam ochotę odpocząć albo napić się czegoś, to pójdziemy w prawo – tam, gdzie są knajpki.

Straciłam kondycję. Aż wstyd się przyznać, więc udaję, że nic, że wspaniale mi się łązi. Zresztą spora część owych ścieżek, te strome ich części, to schody z imitacji drewna. Wreszcie jesteśmy w najwyższym punkcie. Owiewa nas morska bryza. Patrzę na otwarte morze, spostrzegam statki na redzie. Pięknie jest!

Na skalistą część parku nie mam już ochoty. Czuję pragnienie, więc wypijamy po piwie w knajpce przy parkingu i wracamy do domu.

– *Gloomy Sunday* – mówię, wchodząc do domu.

– A wiesz, że to piosenka samobójców?

Antek kładzie kluczyki do koszyczka stojącego na szafce przy drzwiach.

– Nie miałam pojęcia. Zresztą, szczerze mówiąc, nie za bardzo ją lubię. Takie tylko miałam skojarzenie, bo na samobójstwo nie mam nastroju.

– A na co masz?

– Wino, sery i owoce!

Dostałam trochę wskazówek, jak mam się jutro poruszać po mieście, drugie klucze i kwestię do rozstrzygnięcia, czy może nie wołałabym, żeby mi zostawił samochód, ale podziękowałam. To jego narzędzie pracy, a ja nie umiałabym chyba jeździć po nieznanym mieście. Straszny stres! Połazę. Nadto jestem nastawiona na zrzucenie kilku kilogramów, więc spacer nawet w tym upale dobrze mi robi.

Zasnęłam piorunem, nie mając czasu na jakiegokolwiek refleksje. Ledwo położyłam głowę na poduszce, a zasnęłam jak nastolatka. „Zmęczenie usypia najlepiej” – jak mówi tatko.

Mój pierwszy samodzielny dzień

Słyszałam rano jak przez mgłę, że Antek wybiera się do pracy. Obudziłam się na dobre, kiedy dotarło do mnie zamykanie zasuw. Spałam pod samym prześcieradłem, bo noc gorąca, klimatyzacja działa w salonie i do mnie chłód nie dochodzi, dodatkowo więc uchylałam drzwi. Antek rano je zamknął, znaczy dyskretny, ale przez to w pokoju zrobiło się zbyt duszno. Wstałam, gdy tylko wyszedł.

Klimatyzacja daje życie. Wyszłam na loggię, rozsunałam szklane drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Upał, chociaż to dopiero ósma! Loggia pusta, wisi tylko sznur na pranie. To słoneczna strona. Zajrzałam na drugą loggię, tę przy kuchni. Tu jest cień, stoi pralka, której działania uczył mnie wczoraj Antoni. Znow wiszą sznurki, kosz na pranie i szafka, a obok proszki i płyny do sprzątania. Czysto. Zmyślne to, że jest taka techniczna loggia w domu. Ta pralka, suszarka i zapasy zagrabiłyby kuchnię i niewielką łazienkę.

Gdy pozmywałam po śniadaniu, usiadłam do komputera. W Polsce noc, a ja od tygodnia nie zaglądałam do poczty.

Mam trochę spamu, krótki mail od Grześka, że właśnie wracają z wyprawy na Sycylię i że „Tata się na Ciebie skarży, że nie odbierasz telefonu”. Faktycznie nie odbierałam. Wyłączyłam na lotnisku, bo rozmowy z zagranicą drogie. Po co kusić licha?

Do taty jeszcze nie napisałam. Jak siebie znam, pewnie chlapnęłabym coś, a po co? Może strzelam focha niepotrzebnie? Cięży mi na sercu ta sprawa, bo wiem – po prostu czuję to – że Anki intencje nie są do końca szczerze, że chce go wykorzystać. A Kasia i Łukasz? Nie mam pojęcia, jacy są, bo nie są wylewni. A jeśli już coś mówią, to i tak nie wiem, co myślą, bo są oszczędni w słowach i emocjach.

Ach, muszę szybko wymyślić, co na obiad. Już dziewiąta trzydzieści, więc pora się zabrać za zakupy. Od śmierci Lilki posiłki mnie nie zajmowały. Jadłam oszczędnie i szczerze mówiąc, głupio, bo najczęściej rzeczy tuczące, więc znow jestem pyza.

Wzięłam torbę na zakupy, klucze i poszłam do sklepu osiedlowego, bo na wypad do Tesco, oddalonego o sześć przystanków auto-busem, było za wcześnie. Dzisiaj jeszcze zaliczę sklep, który jest podobno w podziemiach wielkiego domiszcza, stojącego *vis-à-vis* głównej bramy stoczni. Budynek nazywa się Hyundai Store i podobno to kilka piętér babskich fatalaszków, a w podziemiu delikatesy. OK! Może po obiedzie.

Zdecydowałam się na gołąbki, a w sklepie okazało się, że bez problemów działają gestykulacja i łamany angielski, jakim władam. Strasznie to głupie, że nie gadam tak dobrze po angielsku jak mój syn. Przecież mogłabym! Mam słuch muzyczny i uczę się szybko. Ale znam tylko *basic English* i daję radę wszędzie, bo i inni w większości też mówią nim w takim zakresie. Otóż pan na dziale mięs-nym pojął, że chcę mięso zmielone. Miał na tacy już gotowe, ale wolałam, żeby mi zmielił kawał, który mi się podobał. Był chudszy, a ja właśnie postanowiłam, że będę robiła rzeczy lajtowe.

Znalazłam ów póługotowany ryż, będzie szybciej, i znalazłam bez problemu ładne

niewielkie główki zwykłej białej kapusty. Nie szukałam sosów pomidorowych, bo jest mnóstwo pomidorów, więc zrobię sos ze świeżych! W kasie bez problemu pani przyjęła pieniądze i wydała resztę, nawet na mnie nie patrząc. Emigrant mówił, że w tym sklepie kupują okoliczni ekspaci: Rosjanie, Chorwaci, Ukraińcy, Niemcy, więc personel zna nas i nasze zwyczaje i *vice versa*. Zresztą jakie zwyczaje? Zachowujemy się tak samo. Może dla mnie nowością jest tylko ukłon, jaki obowiązuje wśród Koreańczyków. Zwracają się do siebie, witają z lekkim ukłonem, żegnają się też, kłaniając. Fajne to! Antek też tak robił, no to i ja po zapłaceniu skłoniłam się z tą formułką, którą miałam zapisaną w kieszeni.

– *Hamsamnida, anaseyo* – powiedziałam, czyli „dziękuję, do widzenia”.

Kasjerka uśmiechnęła się, rzuciwszy na mnie okiem, i się odkloniła. Chyba jej się spodobało, że długonosa zna etykietę.

W kuchni nastawiłam gar wody na zdjęcie liści z kapusty, zrobiłam ryż z mięsem na nadzienie i zdjęłam skórę z pomidorów, żeby sos był bez niej. Poczułam radość. Myślałam o tym, co powie Antek Emigrant na polskie gołąbki. Znów ogarnęła mnie ta sama chęć zrobienia czegoś pysznego jak wtedy, gdy w domu miałam chorą Lilkę. Dziwne. Dla siebie nie miałam ochoty pichcić, a dla kogoś... To była misja nakarmić Lilę zdrowym i pożywnym jedzeniem. A teraz? Odplacić Antkowi za gościnę? No i za to, że zostawił pieniądze w koszyczku, mówiąc, że bym nie używała swojej karty, bo „bankomat strasznie zdziera”, a potem o tym porozmawiamy. Miłe, bo to, co mam na koncie, to moje jedyne pieniądze. Martwi mnie to, ale może gdy już przejdę na emeryturę i będę stara, coś się w tej kwestii zmieni. Tato przecież nie będzie żył wiecznie. Chociaż chciałabym oczywiście, bo kocham go jak jasny gwint. Ale przyjdzie czas, gdy odfrunie do lepszego świata. Wówczas sprzedam dom i ziemię i będę miała na jakieś godniejsze życie... Na starość. Godną oczywiście i pogodną. Taką, jaką ma on.

Tak rozmyślając, zwinęłam ostatni ósmy gołąbek, bo reszta liści była już mała, surowa i nienadająca się do zawijania. Zresztą po co nam tysiąc gołąbków, skoro dwoje nas do tego specjału. Jeszcze sos ze świeżych pomidorów i już! Posprzątałam, wyniosłam resztę kapusty i organiczne śmieci do śmietnika i obrałam trzy spore ziemniaki. Zbliżało się południe, zaraz powinien przyjść – tak mi powiedział, że z wybiciem południa będzie.

Trochę dziwnie się czuję, czekając na prawie nieznanego faceta z obiadem jak żoneczka. Ale gdybym opiekowała się Gieniem czy Włodkiem, przecież też tak bym czekała. To całkiem normalne.

Opowiadała mi Regina, moja szefowa, że kiedy jej córka Kaśka za młodu wyjechała do Paryża uczyć się języka, to nie wypalił jej ustalony nocleg. Miała niby wszystko ugadane z koleżanką Reginy, że ta ją przenocuje przez kilkanaście dni, nawet miesiąc, zanim młoda nie znajdzie pracy i ewentualnego mieszkania, ale na miejscu okazało się, że znajoma Reginy poczęstowała Kaśkę herbatką z ciasteczkami i wyjaśniła, że niestety nie może jej udzielić gościny, bo ściągnęła do niej chora siostra. Przykre.

Chore siostry się zdarzają. Ale czemu nie zadzwoniła?! Tłumaczyła się mętnie, lecz Kasia musiała po prostu udać się donikąd! „Wynajmiesz sobie coś, pensjonacik jakiś choćby. Na sąsiedniej ulicy jest!” Przyjaciółce wydawało się, że rada jest doskonała. Nie przyszło jej jednak do głowy, że panna ma przy sobie marne kilkadziesiąt dolarów, bo na więcej Reginy stać nie było.

Kaśka wyszła na ulicę. Było późne popołudnie. Kilka przecznic dalej usiadła na zwoju starych szmat wystawionych na śmieci i się rozplakała. Dalej było jak w bajce. Jakieś psisko zaczęło ją obskakiwać z głośnym szczekaniem. Było brzydkie, podobne bardziej do szczotki klozetowej, szczerbate, stare i chrypiące, ale merdało radośnie ogonem, popiskując współczująco. Zwierzak zaglądał jej w twarz i ewidentnie starał się ją pocieszyć. Poglaskała szczotkę i próbowała coś powiedzieć, ale łkała. Nie udało jej się sklecić nic więcej poza tym łkaniem. Zaraz też pojawił się właściciel psa. Jeszcze brzydszy, stary, również szczerbaty i nieporadny. Sapał, nachylając się nad nią i usiłując spojrzeć jej w twarz. Spytał, co się stało, dreptał tam i z powrotem koło Kaśki i powtarzał stale: „*O lala, o lala!*”. Potem przysiadł na jakiejś skrzynce i zapytał, kto ją skrzywdził. A gdy ta mówiła, że nikt, że wynikało takie *qui pro quo* i że ma teraz problem, powiedział: „*Ne pleure pas!*” – i podał jej paczkę chusteczek. Milczeli chwilę, aż starszy pan klepnął się w uda i zapytał, czy umie gotować. Czas jakiś trwało, zanim wystraszona dziewczyna dała się namówić na nocleg w domu tego francuskiego dziwaka, ale poszła do niego, bo strasznie chciało jej się siusiu. Domek okazał się mały, ale czysty. Pachniało w nim z lekka lekarstwami i starym psem. Starzec – tak o nim myślała, bo nie był to urokliwy staruszek – nie wyglądał na gwałciciela. Kojarzył jej się ze Scroo-ge’em z *Opowieści wigilijnej*, ale zaraz poprawiła się: „No nie aż taki zgryźliwiec!”. Starzec, skoro takie mu nadała imię, wskazał jej dość strome schodki na pięterko i przeprosił, że nie pójdzie z nią, ale artre-tyzm... Jeżeli się jej spodoba pokoik po prawej stronie, to może zostać. Pościel jest w szafie ściennej na korytarzyku.

Kasia wspinała się po schodach spłoszona nieco całą sytuacją i szybko kalkulowała, że przecież tę noc musi gdzieś spędzić. Jakby co zaprze drzwi krzesłem, gdyby się okazało, że Starzec udaje artre-tyzm, a w nocy zamienia się w jurnego kochanka. Podczas rozmowy przy kolejnej herbacie okazało się, że on jest potomkiem rosyjskiej arystokracji, ma na imię Aleksander (ale lubi, gdy mówić na niego Sasza), jest wdowcem, latami prowadził cukiernię na rogu, która dzisiaj ma nowego właściciela, i że całkiem miły z niego człowiek, stary i samotny. Kasia mieszkała u niego pół roku w zamian za sprzątanie i gotowanie, którego nauczył ją chętnie. Często wspominała ten wieczór, gdy schodziła z pięterka, myśląc w duchu, czy przypadkiem się na nią nie rzuci. Mówił jej wówczas: „Dziecko drogie, jesteś ostatnią kobietą, która zobaczyła we mnie potencjalnego, szczątkowego mężczyznę. A przecież na pierwszy rzut oka widać, że jestem chodzącą kupą gnatów i nic więcej...”. Czasem prosił ją, by opowiedziała o tym komuś znajomemu, kto wpadł z wizytą. Sprawiało mu to wyraźną radość.

Fajna historia...

Z tego wspomnienia wytrącił mnie chrobot klucza w zamku i zaraz później

usłyszałam dobiegające od wejścia:

– To ja!

Pewnie, że on, a któż inny to mógłby być? Dla mnie było ciut za wcześnie na obiad, ale przecież on miał swój ustalony rytm.

Aż jęknął, gdy zobaczył gołąbki.

– Pycha! A ten sos... mmm, babcia taki robiła! Mogę jeszcze? – pytał ucieszony, sięgając po miseczkę z sosem.

– Taki tam... Jest masa pomidorów, to zrobiłam z żywych, nie z puszkowych. I zużyłam ci resztkę tej dziwnej śmietany. W twoim osiedlowym śmietany nie ma. Są jogurty, same owocowe, a śmietany nie ma. Antek... – zaczęłam i urwałam. Nielekko o tym gadać. Jadłam spokojnie, czekając, aż mi się odwaga uzbiera. – Antek, jak wiesz, mam teraz z lekka pod górkę z pieniędzmi...

– Marianna, ja myślałem, że zrozumiałaś i że nie będziemy musieli dzielić włosa na czworo. Sam cię zaprosiłem i doprawdy stać mnie na to, żebyś nie musiała się dokładać... Poczekaj, nie. To inaczej. Znacząco uważam, że nie ma powodu rozdzielać i podliczać. To jest układ wzajemnościowy. Ja mam wielką frajdę z faktu, że jesteś, że nie jestem tu sam, że ktoś na mnie czeka w domu, a do tego bonus – gołąbki! Nie zamieniamy relacji międzyludzkiej w księgowość, bo to może wszystko popsuć, dobrze? – I całkiem od rzeczy dodał, żeby zmienić temat: – Patrz no. Tajfun odbił i nas nie zaszczyił. Ale jeszcze powieje nieraz!

Zaskoczona nieco milczałam, nie znajdując odpowiedzi. Proste i miłe. Może to ja niepotrzebnie coś komplikuję?

Przypomniało mi się, jak Grześ był mały i miał serdecznego kolegę, przyjaciela chyba wówczas, któremu zaproponowaliśmy wspólny wyjazd na wakacje. Mama sama go wychowywała. Gdy zaprosiliśmy ją na kawę i przedstawiliśmy propozycję, żeby chłopcy razem z nami pobyli w wakacje, najpierw się uniosła, że nie, że to niemożliwe, że ona sama go wychowuje, ojciec nie płaci alimentów, że robiła remont łazienki i niestety nie stać jej na kolonie dla synka. Trudno, spędzi wakacje w mieście, ale nie. Nie potrzeba takiej propozycji – poradzą sobie. I dziękuje bardzo, ale nie, nie i nie. Chłopiec siedział obok smutny i mój Grześ też zwiesił głowę. Zebrałam się z ostatecznym argumentem: „Niechaj sobie pani wyobrazi, że mieszkamy na wsi i że jest przednówek. Skończyły mi się ziemniaki, a pani ma ich jeszcze w ziemiance sporo. Nie podzieli się pani?”. Popatrzyła na mnie zdziwiona. Myślała i zerknęła na chłopców. W tamtym czasie byli zżyci jak bracia. W końcu westchnęła: „Ale to tak niezręcznie...”. Chłopcy rzucili się na nią z obściskiwaniem, a Grzesiek wołał: „Dziękuję pani, dziękuuuuuję!”. Ja dodałam: „To doprawdy żaden problem. Domek i tak wynajmujemy, a koszty dodatkowego łóżka w pokoiku Grzesia czy posiłki to doprawdy nic takiego. Ważne, że będą razem!”.

Tym razem ja się poczułam jak tamta mama, a Antek znalazł dobry argument. OK, gdy mi się jakoś poprawi sytuacja czy coś, to mu oddam. A na razie odpłacę się gotowaniem, sprzątaniami, jak w aśramie. Powiedziałam mu to. Roześmiał się i westchnął:

– No to mamy dogadane. I przestań sobie głowę zawracać, dobrze? Jestem tu sam, samotny, zarabiam porządnie, więc będzie mi miło podzielić się z tobą tym, co mam.

Zresztą dość już o tym. Wracam do pracy. Aha! A tutaj masz swój telefon komórkowy, tutejszy. Siebie wklepałem pod numer pierwszy! Jakby co, dzwoń. Jeśli nie będę wisiał w cherry pikerze czy peźzał w zęzie – odbiorę. Cierpliwości.

Wydałam z siebie jakiś ciąg samogłosek, nie wiedząc właściwie, co odpowiedzieć. Fakt, swoim dzwoniłabym do niego przez Polskę, a to absurdalnie drogie i głupie. Pomyślał i o tym! Jaki ogarnięty!

– No to ja będę około siedemnastej piętnaście – dodał, a potem włożył buty i wyszedł, uśmiechając się i rzucając: – Do zobaczenia.

Słońce mocno świeciło przez powiewne firanki. Kremowe zasłony zsunięte w sam kąt nie były potrzebne. Rozkoszowałam się tym światłem, ciepłem i ciszą. Umieć być sama ze sobą. Powiedziałyby, że to dla mnie daleko bardziej normalny stan niż bycie z kimś na stałe. Nawet gdy jestem u taty, lubię pobyć sama na rowerze, w altance czy wieczorem w pokoju. Dziwaczej? Nie miałam nigdy grona przyjaciółek. Koleżanki owszem, ale bez tych buzi, buzi i babskich kręgów. Nie żebym miała coś przeciwko. Nawet był czas, że zazdrościłam tego, marzyłam trochę, żeby mieć wokół siebie taki wianuszek bab, wiem, czarownic. Umieć się wygadać w ich gronie, wypłakać, wyśmiać i poczuć więź kobiecą, taką siłę... plemienną, pierwotną. Opowiadała mi o tym Agata, moja terapeutka, ale sama chyba też była samotnicą i nie należała do żadnego babskiego kręgu.

Zawsze byłam sama. Dzisiaj również. Widzę z okna, że osiedle też właściwie puste. Przez podwórko-parking przebiega rude kocisko. Samochody rozjechały się, panowie wrócili do stoczni, kobiety są w domu. Na niebie żadnych chmur, jest gorąco. Nadal stoję w oknie. Po dłuższej chwili widzę jakiegoś pracownika administracji z wielką torbą, z której wystaje rura. Pewnie hydraulik.

Nieruchomy pejzaż jak na stop-klatce. Żadnych ruchomych scen, nawet ptaków. Te zapewne siedzą w cieniu liści na drzewach i podsypiają.

Po dwudziestu minutach z klatki schodowej naprzeciwko wyszła kobieta z wózkiem. Europejka. W każdym razie „biała”. Wózek dokładnie osłonięty od słońca, a ona idzie w stronę sklepów. I znów bezruch. Zrobiłam sobie wielką szklanekę wody z cytryną i lodem, otworzyłam komputer i zajrzałam do poczty.

Jest mail od taty:

Kochany mój Baranku!

Ciekaw jestem, jak Twoje wrażenia.

Nie byłem zachwycony Twoim wyjazdem z prostej troski. Nie znam pana, który Cię zaprosił, a tyle mówi się o jakichś okropieństwach. Ale Anusia mi zaraz powiedziała, że przecież jesteś dorosła i mądra, nie pchałabyś się w kłopoty. I ma rację. Po co ja wywołuję złe obrazy, skoro nic nie wiem. Wieszczę kłopoty, a może tam ich wcale nie ma? Daruj ojcu.

Jak tam jest? Wiem, że za krótko jesteś, żeby serwować mi głębsze analizy, ale tak ogólnie?

Myszę, że to świetnie, że poznajesz inne kraje. Moje pokolenie, które żyło pół życia w zamknięciu, zebrało o wkładkę paszportową, żeby pojechać do Pragi czy Berlina Wschodniego. Gdy dano nam wreszcie paszporty, nie jeździliśmy po świecie jak pies spuszczonego z łańcucha. No bo i koszty, Córeńko, nie były tu bez znaczenia. Dzisiaj relatywnie jest taniej, a jeszcze te tanie połączenia...

Nie miałem chyba odwagi, bo przecież był czas i paszport miałem, i pieniądze były, ale ja wolałem w domu, w sadzie. Szwecja, Niemcy, Anglia – można było, bo to jakoś tak w obrębie Europy. Niektórzy latali do osławionej Ameryki, ale żeby do... Korei Południowej, Indii, na Seszele czy Mauritius? Dla mnie to brzmi tak, jak wycieczka na Księżyc.

U nas masa pracy. Kasia z Łukaszem ręce sobie urabiają. Nie powiem, i obrót jest, zatrzymują się samochody. Ludzie są nastawieni już nie tylko na nieśmiertelne iglaki, ale mają wiedzę i pytają o ciekawostki. Ostatnio o bożodrzew, judaszowca, gunnerę olbrzymią, palmy mrozoodporne. O wielu ciekawostkach nawet nie słyszałem. U nas to Łukasz jest od tego. Kasia, jako osoba milcząca (poznałaś ją, wiesz, że jest bardzo powściągliwa), nie bardzo umie rozmawiać z klientami, chociaż ma kolosalną wiedzę. Łukasz jest o wiele bardziej komunikatywny. Lubię być przy tym, jak rozmawia z zainteresowanymi, przysłuchuję się. A on, wiesz, czasem mnie prosi o pomoc! Miło mi, gdy mogę opowiadać o stanowisku, wymaganiach glebowych, o szczepieniu czy przycinaniu. Ciągłe się czuję potrzebny. Pytają mnie, ale czasem myślę, że to grzecznościowe.

Jak Ci tam? Jak klimat? Jak otoczenie? Jak sam pan Antoni? Są tam jacyś Polacy?

Czytam jakiegoś bloga o Korei Południowej, ale to nie to samo co Twoje opisy.

Pa, Kochanie.

Jestem zdrow – nie martw się.

Tata

Zdrow. Najważniejsze. I zapracowany choć trochę, i uważany za kompendium, i oprany, i odżywiony, i... zapewne wyprzutyłany. Powinam pisać z radości. No dobrze, cieszę się.

Mam też mail z wydawnictwa, z którym kiedyś nasze było w konkurencji. Hmmm. Ciekawostka.

Szanowna Pani Marianno,

pozwoiliam sobie napisać, bo rozmawiałam z Reginą.

Wiem od Niej, że ma Pani dobre pióro i wyjechała Pani w świat. Czy znalazłaby Pani czas na obserwację i znalezienie kilku Polek, które żyją poza krajem i wiodą całkiem odmienne życie od tego, jakie my wiemy tutaj? Byłabym zainteresowana takimi historiami. Dzisiaj, gdy Polska jest jak gar z wrzątkiem, gdy ewidentnie odstawiamy od świata państw cywilizowanych, marzy mi się zajęcie uwagi Polek tym, że w innych krajach żyje się inaczej, że kobiety mają jednak ciut inne priorytety, problemy. Niewiele to da, gdy przedstawi się to z pozycji pani Lu, pani Joan, pani Avanashi. Lepiej trafi, gdy rozmówczynią będzie pani Jola, pani Kasia, pani Marysia.

Co Pani na to?

Ewelina Łuszczewska

Redaktor naczelna czasopisma „Kobiety Świat”

Odłożyłam to *ad acta*. Nie chce mi się teraz o tym myśleć, choć propozycja fajna!

Zrobiłam gruntowną prasówkę, wyszłam na maleńki spacer, ale było tak gorąco, że wróciłam uparowana. Prysznic i już piąta! Niedługo po tym usłyszałam kroki na schodach i Antek wrócił z pracy. Niespiesznie się wykąpał i zapytał, czy mam ochotę gdzieś wyjść, bo siedziałam w domu cały dzień. Ale nie chciałam. Po wczesnej kolacji zapytał:

– Herbata? Jestem wielbicielem dobrych herbat. Lubisz?

Tak się zaczęło moje smakowanie herbat. Głupio mi było odmówić. Ja w zasadzie ani kawiarniana, ani herbaciana, ani baristka, ani... herbacistka, ale skinęłam wówczas głową.

Jakoś trzeba było dokończyć wcześniejszą rozmowę o finansach. Żałuję, że nie jestem zamożną, niezależną kobietą, mogącą podróżować po świecie. Antek nie chciał drażyć tematu, ale ja dociskałam:

– No bo wiesz, im jestem starsza, tym bardziej się przekonuję, jak bardzo pieniądze ułatwiają wiele spraw, uprzyjemniają. Za młodu można sobie gadać przy świecach i tanim winie, że pieniądze szczęścia nie dają, że miłość nade wszystko. W czasach studenckich paplałam o tym jak najęta, a dzisiaj... stanęłabym do takiej dyskusji raz jeszcze. Jak zapłacić za światło, czynsz, gaz, prąd, nie mając pieniędzy? Jak żyć bez mieszkania? Nawet za wynajem się płaci. A jedzenie? A środki lokomocji?

Patrzy na mnie i uśmiecha się jak Budda, kiwa głową.

– Człowiek się starał, pilnował składek na ZUS, OFE. A potem nagle dowiaduje się, że państwo sobie to wzięło, bo musi załatać jakieś dziury, a ty możesz najwyżej złamać rękę, waląc nią w ścianę ze złości.

Antek na to:

– Zawsze uważałem, że powinienem jako obywatel mieć jakiś wybór, jak zabezpieczyć się na starość. Wiesz, mój kolega kiedyś kategorycznie odmówił płacenia

ZUS. Zaparł się.

– I...?

– No, jak myślisz? Awantura, wezwania, wreszcie sąd, kary. To chore i skandaliczne. Powinienem mieć wybór, a też na tyle rozumu, żeby sobie starość zabezpieczyć tak, jak chcę.

– O, żartujesz. W Polsce to nie przejdzie. Już pewna gwiazda z rządu powiedziała na głos, że to absurd, żeby ludzie sami decydowali o swoich pieniądzach w aspekcie ubezpieczenia.

– Tak, czytałem. Tu jest inaczej. Choć i nielekkko. Dopóki fajnie zarabiasz, jest dobrze, ale emerytury są niskie i trzeba o tym myśleć za młodu. I ludzie myślą. Może nie wszyscy, ale jednak. Daj spokój smutkom. Na razie wynajęłaś to mieszkanie po sąsiadce i już masz na opłaty. A resztą się nie przejmuj. Przynajmniej na razie, dobrze? Tak się cieszę, że tu jesteś. To miłe wracać do mieszkania, gdy ma się świadomość, że ktoś czeka.

Zamilkłam. Może i racja? Jeśli będę się tak zatruwała, skwaszę ten czas sobie i jemu. Na razie mam od dentysty, któremu wynajęłam mieszkanie po Mieci, na opłaty i jakieś drobne. Mam też swoje mieszkanie, a kiedyś przecież majątek taty, bo choć chciałabym, żeby żył wiecznie, wieczny nie jest i nie będzie. Westchnęłam. Upiłam łyk aromatycznego naparu i się uśmiechnęłam. Od dawna, bardzo dawna nie piłam czegoś równie pysznego. Najprawdziwsza herbata, a nie jakieś okruszki herbaciane w fizelinowej torebeczce.

– W sobotę zabiorę cię za miasto, do Bomun Resort. Jeśli masz ochotę oczywiście.

– A co to?

– Sztuczna wioska stworzona na potrzeby historycznych filmów, sztuczne jezioro i najprawdziwsza koreańska kuchnia. Możemy zabrać rowery, bo jezioro można objechać.

– Masz dwa rowery?

– Mam swój i damkę. Została u mnie po żonie kolegi z Ukrainy. Iwan miał świetną kolarkę, którą przed wyjazdem sprzedał. Damka Anuski nie miała wzięcia, więc mi ją wcisnął. Miałem ją sprzedać za grosze, ale faktycznie nie było chętnych, a może ja się niespecjalnie starałem? Tu rowery tanie, chciałem zaproponować ją jakiejś ajumie sprzątającej, ale jeśli ci się nada, to zabieramy w sobotę oba i jedziemy. Masz ochotę?

Kiwnęłam głową. Mam ochotę na wszystko, byle nie myśleć o smutkach, o tym, że jestem samotna, że się starzeję, że tuż przed emeryturą straciłam pracę i nie mam pomysłu na nową. Że za kilka lat walnie mi z hukiem sześćdziesiątka... A kysz! Nie myślimy o tym!

Do wieczora on sprawdzał swoją pocztę, gadaliśmy i skakaliśmy po kanałach, próbując znaleźć coś ciekawego. Z marnym skutkiem, więc po szklaneczce ginu z tonikiem poszliśmy spać. W łóżku przed snem zastanawiałam się, jak to świetnie, że jest tak normalnie. Że Antek nie jest jakimś namolnym amatorem kwaśnych jabłek, że w najmniejszy sposób niczego nie sugeruje w kwestiach damsko-męskich. Ooo, niechby się moje koleżanki dowiedziały, że mieszkam u mężczyzny, że na tych sześćdziesięciu siedmiu metrach mieszkają chłop i baba i że NIC! A przecież jest męski, przystojny i szarmancki. Ale nie rzucamy się na siebie jak małpy bonobo, najnormalniej

funkcjonujemy jako znajomi. O!

Wkurzające są te pochrząkiwania i uśmieszki ludzi, którym się coś takiego nie mieści w głowie, którzy w swej prymitywnej jaźni sądzą, że każdy mężczyzna i każda kobieta znajdujący się w jakimś pomieszczeniu mieszkalnym z mety się na siebie rzuca w oparach grzesznego pożądania. Idiotyzm.

Dalsze dni były podobne. Rano zakupy i pitraszenie, zwiedzanie okolicy, wyszukiwanie innych sklepów. Podobno jest tu taki wędrujący bazar. Nie trafiłam. Odpowiedziałam tacie z opisaniem wszystkiego drobiazgowo. Do informacji o tym, że Anula tam mieszka, się nie odniosłam. No, mieszka... Jest, jak jest. Grzesiek ma rację – tatko ma opiekę i tyle. Oczywiście stale gryzie mnie... zazdrość. Może to się samo jakoś ułoży?

Popołudniami Antek obwoził mnie i oprowadzał po dzielnicach Ulsan. Zaliczyłam wielkopowierzchniowe sklepy, w których jak dziecko oglądałam wszystko ciekawie.

– Przecież tu jest prawie to samo co u nas? – Dziwił się.

– PRAWIE – mówię i dodaję: – Ale inne ryby, inne... wszystko!

Jest cierpliwy. Po sklepach i ulicach, po wizycie w wielkim parku wchodzimy do knajpek i zjadamy jakiś koreański posiłek jako kolację. Pokazał mi, jak sprawnie posługiwać się pałeczkami i kilka razy uchronił przed wielką porcją ostrej pasty, którą serwowała ajuma – kobieta usługująca przy stole. Zaliczyłam jakieś dziwne zupy, oczywiście ryż i *kimchi*. Powoli się uczę, że tu wszystko jest bardzo ostre.

Weekend

W sobotę Antek wstał dopiero około dziewiątej. Ja obudziłam się wcześniej. Niestety znacznie wcześniej. Włożyłam lekki szlafrok i na paluszkach poszłam do łazienki. Starłam się jak mogłam wysuszyć bezszelestnie i chyba mi się udało. Spuszczanie wody obudziłoby Antka, a nie chciałam tego, bo chłopisko ciężko doprawdy pracuje, więc w sobotę należy mu się odespanie. Dlatego znów wykonując masę delikatnych ruchów na palcach, splukałam kibełek przyniesionym z kuchni wiaderkiem wody. Niemal wstrzymywałam oddech, żeby broń Boże nie udźwignąć moich ekwilibrystyk. Niech śpi. Udało się.

W kuchni cichuteńko zrobiłam sobie kawy z mlekiem i chciałam poczytać na kanapie. Firanka ledwo się poruszała, a na zewnątrz było gorąco, tylko gdzieniegdzie zobaczyłam lekkie chmurki. Stałam przez chwilę w loggii z rozsuniętymi szybami z pleksi. Budynek Antka znajduje się na skarpie. Miejsca koło klatki schodowej jest akurat tyle, żeby wjechał samochód, ale dalej jest barierka i pięciometrowy klif. Niżej stoi inny budynek, też na „piętrze”, i niżej kolejny. W oddali rosną drzewa i krzewy, których nie umiem nazwać, ale stamtąd właśnie dobiegły mnie ptasie pogwizdy. Całe osiedle jeszcze śpi. Nasłuchuję dźwięków. Gdzieś w oddali jeżdżą jakieś pojedyncze samochody, ale nic więcej. Cisza aż dzwoni w uszach. W tygodniu zaś, stojąc tu na balkonie, słuchałam odgłosów stoczni. Nawet myślałam, że będą mnie drażniły, ale nie. Są... przyjazne. Jakieś stukania, czasem zgrzyt metalu, czasem jakaś syrena na statku – ewidentne odgłosy pracy ogromnego me-cha-niz-mu. A dzisiaj cisza.

Potem starałam się czytać, ale nie czytałam. Zamyśliłam się nad propozycją książki z wywiadami. Rozmowy z Polkami, które mieszkają za granicą. Hm. Czy to może być zajmujące? No... żyją jak wszyscy, którzy wyjechali. Muszą się ukokosić w nowych warunkach, ale czy to będzie ciekawe? Jak się za to zabrać? Szkoda, że nie mogę pogadać z Włodziem. Po lichu umierał, skoro mi tu potrzebny? Uśmiechnęłam się do wspomnień o nim.

– Ach ty kochany dziadygo – mruknęłam akurat w chwili, w której Antek otworzył drzwi od swojej sypialni.

– Coś mówiłaś?! – zawołał.

– Nie. Znaczą tak, ale nie do ciebie. Dzień dobry.

Gdy brał prysznic i przebierał się, poszłam do kuchni zrobić śniadanie.

Pojawił się niedługo w tej swojej bawełnianej niebieskiej jukacie i krótkich spodenkach. Dopiero teraz zauważyłam, że rękawy miał przyszyte grubą bawełną tak, że zamiast ciasnego szwu powstał prosty ażur.

– Jakie sprytne! Masz tu wywietrzniki! – Przyjrzałam się. – Też taką chcę!

– OK. Polecimy do Japonii i na sto procent kupimy w markecie. Chyba że wolisz już teraz, to siądziemy po śniadaniu do netu i poszperamy.

– Nie. Poszperamy wieczorem, a teraz śniadanie i... obiecałeś wypad z rowerami.

Całe szczęście, że w samochodzie jest klimatyzacja. Okazało się, że wyjazd

z miasta zaplanowało wielu mieszkańców Ulsan i musimy swoje odstać w korkach. Droga troszkę mi się dłużyła, ale nie mrug-nęłam okiem. No co, przecież nie jego to wina, że cel naszej wycieczki daleki, a na zewnątrz gorąco, i że całe Ulsan chce pojechać gdzieś, gdzie będzie wszystko, tylko nie miasto. Chyba nawet zdrzemnęłam się odrobinę. Jakieś piętnaście minut napoleońskiej drzemki niewynikającej z niedo-spania, ale z gorąca i jednostajnego ruchu samochodu. Autostrada gładka, a dookoła jak nie ekrany dźwiękoszczelne, to pagórki i mieścinki.

Ocknęłam się na wjeździe do tego... Bomun Resort. Nic zachwycającego, ale Antek wie, dokąd jedzie.

– Chodź. Troszkę pozwiedzamy. To jest taka ich dekoracja na stałe.

– Skansen?

– No nawet nie. To są dekoracje pałacu, grodu i podgrodzia, po naszymu. Dwór i chaty wiejskie na potrzeby filmów. Bardzo dużo tu tego kręcą.

– U nas szła *Cesarzowa Ki*. Czasem oglądałam, bo stroje bajeczne i taka prosta narracja – biel i czerń w charakterach. Ta jest dobra i uczciwa, a tamta zła i knująca. No i miłość, i przeszkody do happy endu. Cudne to było. I to wszystko kręcą tu?

– Chyba tak, bo wystarczy postawić inaczej kamerę, poprzestawiać dekoracje, donice, drzewka i duperele i już jest inny kadr. A wsie i dwory cesarskie wyglądały chyba wszędzie tak samo.

Dekoracje były dość ciekawe i faktycznie kojarzyłam je z koreańskim serialem. Właśnie krzątała się wśród nich jakaś ekipa. Nadto na małym jakby stadioniku odbył się pokaz sztuk walki na koniach. Przyznam, ciekawy, i oklaskałam wojów chętnie, a później poszliśmy na tereny niby-wiejskie, na których pokazywano tradycyjne rzemiosła. W jednej z zagród Antek zachęcił mnie do tego, żeby popробować zabawy z gliną pod okiem ceramika. Utoczyłam dwa kubeczki, ozdobiłam naszymi monogramami i pociągnęłam rozczynek, tak że po wypaleniu glina miała się zeszklić.

– To potrwa? – zapytałam Antka, a ten zapytał pana ceramika, jak to będzie.

Potem zobaczyłam, jak Antek płaci i podaje mu wizytówkę i... poszliśmy do samochodu.

– Wyślą nam pocztą twoje wypalone dzieło – zapewnił mnie.

– Zapłaciłeś z góry? – zapytałam z powątpiewaniem, że te kubeczki w ogóle dojdą w całości.

– Zapewniam cię, że dojdą. A teraz chodź, zmęczymy się troszkę, to obiad nam lepiej wejdzie. Dzisiaj zaplanowałem twoje pierwsze starcie z tutejszą tradycyjną kuchnią.

Mimo upału jazda rowerem była niezbyt męcząca. Czapka z daszkiem i lekki strój, przejażdżka wzdłuż sporego jeziora niespieszna, swobodna. Antek czasem przystawał, żeby zrobić zdjęcie lotosom, czaplom, trzcinom albo mnie.

– Stań w cieniu pod tym drzewem, bo jest za ostre słońce. Oooo, tak!

Miłe. Oparłam się o pień, zamknęłam oczy. Naprawdę tu jestem? Tak bardzo, bardzo daleko od warszawskich kłopotów?

Mijali nas inni rowerzyści, młodzi i niemłodzi. Dzieciaki też. Słońce nie dokucza, bo teraz mam je z tyłu. Obserwuję ludzi, naturę, miasteczko po drugiej stronie wody

i przyjezdnych. Tłumy są gęste.

– Całe Ulsan się tu zjawilo? – pytam Antka.

– Może też i Daegu. Takie to sztuczne Mikołajki koreańskie.

– Mikołajki?

– No te z Mazur...

– A! No tak.

– Masz już dość, to usiądziemy. Patrz, tam jest cień i ławeczka.

Faktycznie pod rozłożystymi drzewami placyk, ławeczki i automat z napojami. Antek pyta mnie, co chcę, ale ja się nie znam, więc dostaję do łapy butlę czegoś chłodnego. Płyn jest koloru herbaty, a na nalepce rozpoznaję tylko cyfrę siedem. Reszta to koreański napis.

– To napój z ziół. Gasi pragnienie i ponoć zdrowy.

Faktycznie ziołowo-herbacyany, zupełnie niesłodki. Chłodny. Coś mi przypomina...

– To chyba ten, który mi kupiłeś pierwszego dnia?

– Nie pamiętam. – Uśmiecha się.

Ale nie tylko pić mi się chciało... Rozglądam się i za sporym krzewem rozpoznaję budyneczek z drewna z dyskretnymi oznakowaniami „PANIE” i „PANOWIE”.

– Masz drobne? – pytam Antka, który przegląda zrobione zdjęcia.

– Aaaa toaleta? Bezpłatne są.

– Serio?

– Serio, serio – odpowiada Shrekiem i dodaje: – Przyzwyczaj się. BEZPŁATNE. Nigdzie żadnych aparatów wrzutowych, babć klozetowych i miseczek na drobne. Dziwny kraj, siusiasz za *free*.

Podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się zmrużonymi oczami, bo ma je w słońcu. Gałęzie się tak ułożyły, że promienie padają wprost na jego twarz. „Uroczy” – przebiega mi przez myśl. Idę i wychodzę zdziwiona. Najnormalniejsza toaleta, kafelki i umywalki, papierowe ręczniki i papier toaletowy i... nikt nie chce ode mnie pieniędzy? Faktycznie dziwny kraj! Wsiadamy na rowery, bo dopiero pół okręgu nadjeziornej ścieżki za nami, a jeszcze Antek odskakuje w bok i wijącą się ścieżką powoli i z wysiłkiem podjeżdżamy pod niewysoki wzgórek. Ufff, męczące. Koło taty na Zamościu jeździłam sama albo z Lilką tylko po płaskim, bo tam górek nie ma. Antek nie pedałuje za szybko. Na górcę stajemy i robi kilka zdjęć widoku – jezioro, nawet spore hotele, place zabaw dla dzieci, drewniana zabudowa jak w Polsce i po prawej też jakieś wysokie budynki.

– Te drewniane domeczki to knajpy?

– Tak, tradycyjna kuchnia, bo wykwintna jest w hotelach. Co byś wolała?

– Tradycję! Już jej ciut liznęłam i jestem nastawiona na więcej, więcej!

– Dobrze, ale pamiętaj, że trzeba uważać na ostrą pastę.

– Zgłodniałam. Zjem wszystko, nawet ogień!

– OK.

Zjazd jest miłszy. A potem jeszcze kawał drogi do knajp. Niemiłosiernie chce mi się pić. I jeść! Jeeeeść!

Rowery zostawiamy przed knajpką. Niezabezpieczone, ale Antek wie, co robi.

Mówi, że tu nie kradną. Nie kradną? No ale skoro on to mówi... W knajpce chłód, bo działa klimatyzacja. Jedna strona to niskie stoliczki i poduchy na podłodze.

– Koreańczycy to lubią, bo tak siadywali od wieków – mówi Antek i proponuje zwykle stoliki z krzesłami, bo też są tu takie.

Podchodzi kobieta i podaje nam ilustrowaną kartę. Z mety też stawia oszronioną karafkę wody wyjętą z lodówki i zimne metalowe kubeczki, też z lodówki. Ja już wiem, że to norma. Piję wodę łączywie, ale tak naprawdę marzy mi się szklanica heinekena.

– O, tego tu nie ma, ale daj szansę miejscowym piwom. Hite jest popularne, zamówię ci. A ja wezmę colę.

Fakt. Jest kierowcą. Nawet szklaneczki nie wypija. Podoba mi się to. Jest zakaz jak u nas i on go respektuje. Miłe.

Piwo świetne. Zimne i takie najzwyczajniejsze... piwo! Antek zamawia coś, o czym ja nie wiem, że istnieje. Podobno to najpopularniejsze danie Korei. Świetnie!

Danie niestety jest gorące. W kamiennej misce dostajemy bibimbap. Ale najpierw kilka miseczek z jakimiś pochrupajkami i kiszoną kapustę w czerwonym sosie, znaczy *kimchi* kilku rodzajów. Orzeszki w sosie miodowo-sojowym, fasola podobnie, jakieś dziwne brązowe sznurowadła i miniaturowe suszone rybki w słodko-ostrym syropie. Dzwonne, ale jadalne. Ta inna *kimchi* smaczna. I kiszona rzepa, i ogórki. Ogórki w czerwonej zaprawie lekko tylko podkiszzone, ostre, imbirowe.

– Pod spodem masz ryż. Na nim ułożone kolorami masz warzywa i... o tu... mięso siekane w paseczki. Tu masz miseczkę zupy. Wlej ją albo popijaj. To zupka z wody i fermentowanej pasty sojowej gotowanej z wodorostem. A tej pasty nie bierz, bo to jest ogień. Na to jeszcze przyjdzie pora.

– A to jajko? – Pokazuję na jajo sadzone wieńczące potrawę.

– Wymieszaj wszystko. To jajo też i... zjedz.

No... taka papra, jakby powiedział Gienek, wujo mój najukochańszy. Widziałam paseczki marchwi, rzodkwi, mięsa, zielska jakiegoś i innych cośków. Dodałam owej zupki, Antek dosmaczył mi ciut czerwoną pastą i zrobiło się z tego jakby risotto. No, może nie zaraz ślepy zachwyty, ciekawe danie i z pewnością zastępujące saunę. Zrobiło mi się gorąco. Spłynęłam potem. Wypiłam do końca piwo i wodę. Czas wracać.

Dojechaliśmy prawie do parkingu, bo jednak korciło mnie obejrzenie owego „terenu wiejskiego”, czyli czegoś w rodzaju skansenu. Dobiegały stamtąd jakieś dźwięki, okrzyki i rzenie koni.

– Chodź, zobaczymy! – Zachęciłam Antka.

Skęciliśmy na bitą drogę prowadzącą do murów okalających niby-wieś, a w zasadzie gród z podgroziem, jak mi to objaśnił Antek.

– Tam gdzie widziałaś dekoracje, jest kilka wielkich zagród i sied-lisk. Każda naprawdę świetnie imituje podwórzec, pałac albo chatę jakiejś historycznej warstwy społecznej. Jest jakby pałac cesarski, ale w mikroskali. Nie aż tak wielki jak w Seulu. Jest znacznie mniej wystawny pałac namiestnika, dom wojownika, nauczyciela, chata wieśniaka, ale też miejsca pracy garncarza, lekarza, balwierza i takie tam. A obok też

mały stadion czy raczej otaczająca wybieg widownia. Tam się odbywają pokazy konnej woltyżerki w kostiumach z epoki. Widziałas.

Byliśmy w połowie drogi do bramy, jechaliśmy obok siebie, gawędząc, gdy nagle wrota otworzyły się z hukiem i wprost na nas runęła galopem kolorowa konnica. Mało nas nie stratowali. Jeźdźcy objechali nas z obu stron – w strojach z epoki i ucharakteryzowani. Kobieta i ośmiu chłopów w kłębach kurzu i w tupocie kopyt. Dwóch z nich w bogato zdobionych kostiumach, a reszta wojowie w jednakowych strojach żołnierskich z epoki. Tuż za nami zatrzymali konie niemal dęba i zawrócili spłoszeni, robiąc znów niemały tumult. Gdy się z nami zrównali, zeskoczyli błyskawicznie z koni i z troską przypadli do nas z pytaniami i okrzykami: „*Sorry, sorry, sorry! Is everything all right? Oh! Sorry!*” – co brzmiało: „Szoryszory-szory! Isewiting-orajt? Oszooory!”. Kiwam głową, Antek z lekka oszołomiony walczy ze sobą w środku. Zapewne chciałby ich porządnie ochrzanić, huknąć, że co to, do licha, jest, żeby tak ludzi rozdeptać końskimi kopytami! Ale wobec wybuchu przeprosin i troski zmiękł. Wdaliśmy się w rozmowę. Wojowie trzymali za uzdy konie pięknej pani i pięknego pana, którzy szli z nami, rozmawiając i ciągle przepraszając.

Ze środka wybiegł realizator czy też reżyser, krzycząc coś. On też przeproszał, ale był nadal wściekły. Okazało się, że miał to być teren ogrodzony taśmą, a nie był. „Oj, co za wstyd! Co za wstyd! Gdzie są pomagierzy?!” I ukłony, i przeprosiny brzmiące jak awantura.

Antek zapytał go wesoło:

– A w jakim filmie zagraliśmy?

Reżysera zatkało na chwilę. Nie odpowiedział na pytanie, ale znów tłumaczył, że co prawda kamera już nie filmowała tej sceny za bramą, mimo to dla bezpieczeństwa, ojejku, jejku, teren powinien być ogrodzony! I znów w lament i wrócił biegiem zrobić komuś awanturę.

Tymczasem my postawiliśmy rowery na wspornikach i rozmawialiśmy sobie z aktorami na luzie. Film to oczywiście kostiumowy serial o romansie żony pisarza i bogatego syna namiestnika, a w tle historia, bitwy i awantury, zawile intrygi. Faktycznie idąca koło nas aktorka ma ze czterdzieści lat, jest piękna i ma bajeczny strój, jak też kunsztowną fryzurę. Gra dwudziestolatkę. Antek zagadał się z aktorami i wojami o koniach. I co ja widzę? Już mu podają uzdę pięknego srokatego rumaka aktorki i już Antek jedzie na koniu prosto do bramy!

– Zaraz wracam! – zawołał zawadiacko, a ja pomyślałam, że naprawdę pięknie się prezentuje. Aż żal, że nie wypada mi przerywać aktorce jej wywodu, z którego prawie nic nie rozumiałam, wyjmować telefonu i strzelać mu fotek.

A ona idzie ze mną piechotą, mówiąc: „Polska? Polska?! O, tak! Polska to ona wie! To Chopin, Wałęsa i jej ukochany Andrzej Wajda”. Z trudem zrozumiałam, bo „Andrzej Wajda” z koreańskimi zmiękczeniami i akcentem zabrzmiało jak „Anie Wada”. I znów nastąpiły uśmiechy i ukłony, a tymczasem wrócił mój książkę na srokatym koniu, zeskoczył i zapowiedział:

– Reżyser cieszy się, że nie jesteśmy na nich wściekli, i zaproponował, a nawet się uparł, że musimy sobie z ekipą palnąć fotkę. Chodź!

– Ale ja taka nieuczesa – zażartowałam i dodałam: – A rowery?

– Zaraz je przyprowadzą. Chodź!

Faktycznie weszliśmy w sam środek baśni. Światła, dekoracje, kostiumy i mnóstwo aktorów i aktorek. Zapytałam, czy mogłabym mieć narzucony na siebie do zdjęcia czerwonozłoty płaszcz wiszący na oparciu krzesła koło kamery, więc w ogóle poubierano nas w stroje i nakrycia głowy. A ja dostałam gratis lekki makijaż.

Ustawiono wszystkich, a trwało to trochę, i Antek podał operatorowi swój aparat fotograficzny i kilka razy nieruchomieliśmy na widok jego podniesionej ręki i uśmiechaliśmy się, mówiąc chórem: „kimchiiiiiii!”. Potem ukłony, pożegnania i odjechaliśmy.

W samochodzie, wycierając makijaż, zapytałam Antka:

– Powiedz... specjalnie to wymyśliłeś i urządziłeś?

Popatrzył na mnie najpoważniej i wzruszył ramionami:

– O, to drobiazg! Dla ciebie wszystko!

Antek odpałił mi klimę w samochodzie, a sam załadował nasze rowery na dach. Byłam zmęczona, natleniona, najedzona i oszołomiona.

– I jak? Żyjesz? Nie za dużo dałem ci w kość jak na pierwszy raz? – zapytał zwyczajnie, jakby epizodu z aktorami i końmi nie było.

Zamyśliłam się. Skoro tak zapytał, to znaczy, że ma mnie za jakąś... emerytkę? Ale fakt, że po fitnessie z Jarkiem-Ofelią ślad zaginał. Talia mi znikła, wiotkość, szczupłość, jakiej się nabawiłam podczas głodówki cebulowej z Lilką i ćwiczeń z Jarem też uleciały. Ponownie jestem sobą. Znaczy kluchą.

W drodze powrotnej samochód znów mnie ukołysał na dobre dwadzieścia minut. I zapewne spałam z otwartym pyskiem! I chrapałam! Jaki wstyd! Antek się uśmiechał dobrotliwie jak święty Mikołaj. Jest stonowany. Tak, to dobre określenie – stonowany. Nie śmieje się w głos, nie dowcipkuje dosadnie i nie komentuje tej mojej drzemki z solniczką, jak mówią młodszy na sen z otwartym dziobem.

– Kupimy ci ślimaka do samochodu, bo widzę, że zasypiasz jak dziecko – powiedział tylko.

– Ślimaka?

– No, tę poduszkę z gryką, taką w kształcie połówki obwarzanka... Znajdziemy takie, pod świątyniami sprzedają.

„Troskliwy...” – przeleciało mi przez myśl.

Znów powrót w korkach na dojazdówce do miasta. Muszę się przyzwyczaić, wszyscy wracają, jak w niedzielę do Warszawy...

Wieczór zapadł piorunem. Tu tak jest, długość dnia jest względnie stała zimą i latem. Taka szerokość geograficzna. W domu każde z nas wzięło kąpiel. Każde zasiadło do odebrania poczty. U mnie pusto, on coś klikał, kopiował i obrabiał zdjęcia.

– Chodź, zobacz! – poprosił mnie do ekranu.

Ze zdjęć uśmiechają się koreańscy, ponoć znani aktorzy. Antek klnie, bo operator niechluj obciął nam nogi na dwóch zdjęciach, a inne niezbyt starannie wykadrował. Ale

zrobił też sporo fajnych zbliżeń. Będzie pamiątka.

– E tam, nogi... Czepiasz się – powiedziałam. – Szkoda, że nie masz zdjęć na tym srokaczu.

Uśmiechnął się triumfalnie i kliknął kilkanaście klatek wstecz. Jest! Siedzi na koniu w pięknej postawie. Kilka ujęć! Ja niezbyt fajnie wyglądam w stroju z epoki, ale nie mam urody Koreanki, tylko pyzy mazowieckiej. Trudno. Pewnie ładniej by mi było w łowickim pasiaku.

Zapomniałam tylko tytułu tego serialu. I tak myślę, czy polska telewizja go kupi jak *Cesarzową Ki?* Zdjęcia wysłałam tacie, Reginie i Grześkowi, z małym komentarzem.

Po kolacji z rokpołem w roli głównej wypiliśmy jeszcze piwa, które kupiliśmy po drodze. Obejrzeliśmy jakieś wieści na CNN i skakaliśmy po kanałach telewizyjnych w poszukiwaniu czegoś ciekawego, trafiając tylko na drugą część *Epoki lodowcowej*. Po niej zasnęłam piorunem i spałam do rana bez przerwy zdrowym snem. Warto się było zmęczyć!

Rozpadało się

Niedzielny obiad tym razem zaliczyliśmy niedaleko. W dość... dziwnej i niezbyt eleganckiej knajpce. Kurczak z patelni smażony techniką *stir frying*, na wrzącym oleju z warzywami i kluskami ryżowymi, przypominającymi nasze kopytka, ale bardziej elastycznymi. Danie spore, choć kurczak, sądząc po skrzydełkach, niewielki. Później Antek zadzwonił do Polaka Wieśka i umówił nas na wieczorną wizytę. Podjechaliśmy do pobliskiego marketu, w którym jeszcze nie byłam. Jakies osiem przystanków od domu.

Układ produktów jak u nas. Żaden problem połapać się, co gdzie jest. Ludzi mnóstwo. Rodziny jak u nas na niedzielnych zakupach.

– Antek, zobacz, ile mają w koszykach! Jakby wojna szła – szepczę do niego, kładąc do wózka tylko jedno opakowanie makaronu.

– A bo oni mieszkają z dziadkami, znaczy teściami. Zawsze to spora rodzina jest w domu, więc i wszystkiego kupują więcej. Nadto faceci długo pracują w tygodniu i niechętnie dają się wyciągnąć na zakupy. W niedzielę, zobacz, to niemal hurt! Wielopaki wszystkiego. W Polsce chyba też jest podobnie?

Fakt. Nas tylko dwoje. Poszperałam jeszcze na półkach, pooglądałam dziwadełka, wzięłam owoce i opakowanie jogurtów, i dziwaczne mięso – plasterki cienko krojone zmrożonej chyba wołowiny, pozwijane w ruloniki. Nawet nie taka droga jak świeża. Zdecydowałam się na pół kilo. Sporo tego, ale pewnie po usmażeniu czy ugotowaniu objętościowo się zmniejszy. Wrzuciłam do koszyka kapustę *pak choi* i tofu. Stale mam nadzieję, że odnajdę w nim jakiś smak... W Polsce było takie... nijakie. Może tutejsze mnie zaskoczy? Antek wrzucił zakupy do domu, wołowinę do lodówki i była już pora na wizytę u znajomego Polaka. Mieszka daleko, na innym osiedlu, w zwyczajnym dziesięciopiętrowym budynku. Ma żonę Olę, Białorusinkę, na którą mówią także Olga, od lat mieszkającą w Turku w Finlandii. Teraz jest tutaj z nim, dobrze mówi po polsku. Przyjechali tu podobno w tym samym czasie co Antek, ale Wiesiek pracuje w innej stoczni. Poznali się przypadkiem przez jakiegoś Niemca, ku obopólnej radości, bo zbyt wielu Polaków w Ulsan nie ma. Antek mówi, że jest chyba dziesięciu, ale pracują rozrzuceni – kilku na Off-shorze, inni w Mipo, a w Hyundaiu tylko Antek i pewien młodzik. Nadto młodziaki trzymają się razem. Antek mówi, że raczej wolą swoje towarzystwo niż nasze siwe głowy – mając na myśli siebie, Wieśka i jeszcze dwóch bliskich kolegów z Ukrainy.

– Nie spotykacie się, chociaż jesteście z Polski? – dziwię się.

– Nnnno, nie bardzo. Oni mają młode żony, małe dzieci i zupełnie inne zainteresowania. Ale to nie oznacza niechęci. Tylko wiesz... o czym ja, starszy pan, mam gadać z młodzieżą?

Może i tak...?

Drzwi otworzyła nam uśmiechnięta Ola. Na oko w moim wieku, ciut tylko okrągłjsza niż ja. Bez makijażu, krótko obcięta, bardzo... zwyczajna. Faktycznie mówi po polsku bardzo składnie, choć z oczywistym akcentem. Nadchodzi Wiesiek i sumituje

się, że musiał skończyć mycie podłogi w loggii, bo rozlał piwo. Jest podobny do Antka, choć troszkę niższy. W tym samym wieku, znacznie krócej strzyżony, bez zarostu. Ogorzały i serdeczny, co widać po radosnym powitaniu.

– O, jak miło panią widzieć! Antek naopowiadał o pani... – zawiesza głos i uśmiecha się zawadiacko – tak niewiele, że rozbudził ciekawość, jaka też jest ta kobieta, która go tak ochrzaniła na jezdni!

Śmieję się. Ciekawa jestem, jak przedstawił tę sytuację z psem.

– Jak: ochrzaniła? – pyta Ola. – Ja nic nie wiem!

Już jesteśmy w salonie. Rozmawiamy usadzeni na kanapach. Wiesiek przynosi zamówione wino, a ja wyjaśniam Oldze, jak się poznaliśmy:

– ...i wiesz, zobaczyłam, jak ten pies zostaje no... przejechany. To ja z mety hamuję!

Antek wtrąca:

– Zatrzymała samochód tuż przed wjazdem na wiadukt, na jezdni ciągłego ruchu, a ja za nią. Boże, żebyście to widzieli! Za nami zahamował z piskiem dwunastu czy ilu tam opon wielki tir! Dobrze, że miał gdzie hamować, boby z nas zrobił marmoladę.

Wiesiek chyba zna tę opowieść, ale Olga słucha z uwagą.

– No a on – pokazuję na Antka – podbiega do mnie z awanturą! No to go usadziłam z mety, bo tam przecież potrącony pies. Widać, że żywy i cierpiący. Zrugalam faceta i zagoniłam do pomocy, żeby mi psa do kabiny przerzucił, bo akurat jechałam na wywiad do weterynarzy z Łomianek. A nawet gdyby nie, zawiozłabym go na pogotowie. A zamarudził, że może go pies ugryźć, że sobie siedzenia pobrudzę...

– Prawda – wtrąca Antek.

– No i kiedy Antek pakował mi psa do samochodu, to zostawił u mnie na przednim siedzeniu piterek z dokumentami.

Ola pyta Wieśka:

– Co to piterek?

– Ach, to takie polskie słówko na saszetkę na dokumenty.

Kontynuowałam opowieść o psie i Antku już przy stole. Ola zaproponowała mi przejście na ty, a ja to samo Wieśkowi i dalej już było swojsko. Na półmiskach jakieś jedzenie, wino białe i czerwone, a przy nim opowieści o tym, jak Wiesiek poznał Olę, jak wymiotował, wysiadając z taksówki, gdy wracali z jakiejś imprezy w Helsinkach, a ona właśnie na tej imprezie wpadła mu w oko.

– Rozumiesz, jak się czułem? Ja zwyczajowo się nie upijam, ale wówczas byłem bez obiadu, zjadłem jakieś krakersy z orzeszkami, popijałem whisky z lodem. To była mocna impreza u niejakiej Miriam. Karol, mój kupel, mnie nie uprzedził i zwyczajnie się strułem. Taki wstyd!

– No, wstyd! – podtrzymała Ola. – A ja... i tak bym się dała poderwać – dodała miękko i powiedziała do mnie najzwyczajniej: – Bardzo mi się ten Polak spodobał, ale ja nie taka, żeby mu się zaraz uwiesić na szyi. Karol mi o nim mówił, że taki troszku staroświecki, z manierami...

– Karol? – zwróciłam się do Antka. – Poznam go?

– Właśnie wyjechał na rozmowę o pracy do Dubaju – wtrącił Wiesiek i szybko

dodał: – Dla mnie to żadna gratka. Byliśmy z Olą wiosną. Tam się nie da żyć. Potwornie gorąco...

– Przecież są klimatyzatory, to bogaty kraj – rzucam roztropnie.

Ola na to:

– To prawda, ale w stoczni tylko w biurach, na halach. Kadłubowcy pracują na zewnątrz, a i dla mnie pracy tam nie ma. Musiałabym siedzieć w klimatyzowanym domu do siedemnastej i Wiesiu zrezygnował. – Poklepała go po dłoni z uśmiechem.

Miło nam się gawędziło i pomyślałam z niemałym zaskoczeniem, że w Polsce od bardzo dawna, od niepamiętnych czasów nie urządzałam takich wizyt! Nie spotykałam się ze znajomymi w domach. Wizyty zresztą odeszły w przeszłość. Przyjęła się nowa moda na umawianie się w knajpach, kawiarniach. Młodszy wyjeżdżają wspólnie całymi rodzinami w poszukiwaniu food trucków, a wielu urządza domówki ze wspólnym gotowaniem. Ale to nie moje pokolenie. Taka archaiczna forma spędzania czasu na jedzeniu i gadaniu w czyimś domu.

Ola jest miłą rozmówczynią. Może nie jest papłą i duszą towarzystwa, ale dobrze się rozumiemy. Gdy panowie wdepnęli na jakiś fascynujący ich wątek pewnego krewkiego Chorwata, który nadepnął na odcisk szefowi Koreańczykowi, my zebrałyśmy naczynia ze stołu, rozmawiając o pracy Oli.

– Ja myślała, że tu pracy dla mnie nie będzie, ale wiesz, skoro trafił mi się mój Wiesio... Jak się mówi na polskim?

– ...jak ślepej kurze ziarnko – podpowiadam.

– Nu, tak, właśnie, i że skoro taki on jest i dobry, i czuły, i wiesz, no szukaj dziury w całym, kochany taki, to wypada mi rzucić wszystko i być z nim. No i po pół roku znalazła się dla mnie praca. Tu niedaleko szpital taki jest z rehabilitacją, bo tam chirurgię mają. No to ja zgłosiłam się i pytam o pracę. Mówią mi, to ciekawe takie jest, że masaże to nie, bo tu w Korei pierwszeństwo mają ociemniałi. Oni kursy przechodzą i są świetnymi masażystami. Ale ja mówię, że fizykoterapeutką jestem i pielęgniarstwo ukończyłam. No to zapytali, czy mogę pracować ze starymi ludźmi. A czemu nie? Dla mnie nawet lepiej, bo staruszkowie są, powiem ci, Marianna, wdzięczniejsi jako pacjenci. U nas w szpitalu nowatorskie metody są! A stare Koreanki mają duże problemy z kolanami, w ogóle z nogami, bidulki. Po operacji mają ze mną rehabilitację! I wiesz, żeby tę pracę mieć, to musiałam z nim ślub wziąć. Ach, po co ja ci takie szczegóły... – powiedziała i poszła po kawę.

Panowie zakończyli właśnie pogawędkę i Wiesiek zapytał, czy ja na długo i czy pracuję.

– Nie. Rozleciała się moja praca w Polsce. Takich... staruszek jak ja tam nie trzeba, młodych pełno.

– No wiesz, staruszek?! – Zaśmiał się i zaraz umilkł. – Masz balzakowski wiek. Tu panie po czterdziestce też lekko nie mają. Wczesna emerytura nie ułatwia, szukają sobie jakichś prac dodatkowych. No a ty co zamierzasz? Czy nie pytać? Mogę zmienić temat!

– Właściwie – odpowiedziałam – to dostałam propozycję od znajomej z wydawnictwa książkowego, żeby opisać historie Polek w świecie, które znalazły sobie całkiem inne miejsce niż ojczyzna. Bo jak wiecie, sytuacja w kraju do najlepszych nie

należy. Nie wszystkie kobiety mają szansę iść z parasolkami pod Sejm. Wiele z nas oprócz zajmowania się domem, pracą, problemami i polityką chce... powinno wiedzieć, że świat jest też inny... ciekawy.

– Świetny pomysł – podchwycił Wiesław.

Antek milczał. Ola słuchała.

– Wiśta wio, łatwo powiedzieć – kontynuowałam. – Ja się zgodziłam. Ale jak to zrobić? Nie znam, nie wiem, jak i skąd wziąć rozmówczyń!

– Jedna siedzi obok ciebie. – Wiesiek uśmiecha się i dodaje: – Tak na rozpęd Olę weź, a w tym czasie porozpytujemy znajomych. Od czego jest ta, no...

– ...poczta pantoflowa – powiedział coś wreszcie Antek.

Piłam wino i myślałam.

– Ale... – Popatrzyłam na Olę.

– Ja Bylewicz jestem z domu, po babci. Półkrwi Polka! Nu, może ćwierć. Jak chcesz mieć rozpęd jakiś, to ci opowiem, skąd się wzięła ja w Finlandii, a w tym czasie poszukamy ci rozmówczyń. Nu, co?

Antek uśmiechał się znad szklanki z sokiem. Odetchnęłam. Fakt, zastanawiałam się po nocach, jak to ugryźć. W Ulsan według słów Antka mało było Polek, jedynie młode żony młodych Polaków wychowujące dzieci. Mogłam się z nimi spotkać jutro. Czułam jednak, że to nie do końca moje bohaterki.

Ola obiecała mi towarzyszyć, sama chciała je poznać i wyrwać się z kręgu dom-praca. Pożegnaliśmy się z Wieškami już jako serdeczni znajomi.

Antek mało się odzywał w drodze do domu. Powiedział tylko, że się ogromnie ucieszył, że mi się Wieśkowie spodobali, bo z tego, co wie, mało mają znajomych.

Olga Iwanowna

Nazajutrz Ola przyjechała po mnie i zawiozła do knajpki, w której czekały na nas Polki mieszkające, jak się okazało, chwilowo w Ulsan. Po drodze na szybko opowiedziała mi swoją historię, ale nie nagrałam jej. Młode mamy siedziały przy długim stole w kawiarni, bo tam jest klimatyzacja i kącik dla dzieci. Były miłe, starały się, ale rozmowa się nie kleiła.

Tak, są przy mężach, bo mają urlop i małe dziecko. Nie są zachwycone byciem tu, ale są, bo wolą być z mężami niż same w domu. Jedna wpadła na trzy miesiące i wylatuje pojutrze, bo mieszkają z mamą i ojcem, którzy pomogą jej przy dziecku. Mąż się już nacieszył. Inne podobnie, przylatują, odlatują, bo firma im refunduje loty, ale twierdzą, że robią to dla mężów, bo oni doskonale zarabiają. Ta dziwna Korea nie odpowiada im ani klimatycznie, ani smakowo. A w ogóle są raczej znudzone byciem w domu samej do siedemnastej. „Dziecko jest małe, nie zostanie bez opieki, gdybyśmy chcieli iść do kina. A zresztą ja jestem francusko-języczna i tak niewiele bym rozumiała. No ogólnie Ulsan to dziura...” Pani pochodzi z Olsztyna. Nie miałam sumienia pytać, czy to większa dziura. Ulsan to ponad milion mieszkańców... No, ale nie znam jeszcze tutejszej oferty kulturalnej, więc milczę. Właś-ciwie nicze-go nie mam. Pół godziny nagrania i wyłączyłam. To nie to. Nie chcę słuchać o frustracjach, o tym, jak źle jest w kraju, o tym, że tu też czują się samotne i znudzone, bo mężowie w pracy, a one w domu siedzą i ani pracy, ani rozrywek, tylko dziecko i obcy kraj. Ale wiedzą, że to do czasu, że konto roś-nie, że wracają do rodziców, i jeśli się stęsknią, znów przylecą do Korei.

– Nie tego szukałaś? – pyta Ola.

– No, nie... – Zamyśliłam się nad tym, jak odmówić wydawnictwu. Co powiedzieć? Że nie widzę możliwości napisania tego zbioru historii Polek na świecie? To znaczy, że ta Korea jest nietrafiona. Ale w rozmowie telefonicznej pani redaktor zaznaczyła, że Polki z Anglii i Stanów są dla niej mniej interesujące.

– Ola, nie napiszę tego. Nie dam rady. Tu nie ma moich boha-terek.

– Paczekaj, nie poddawaj się. – Ola uśmiecha się spokojnie i klepie mnie po dłoni. – Paczekaj! Wiesiek ma coś. Nu? To do zobaczenia, bo już muszę jechać.

Byłam zła. Nie chciałam, żeby mnie podwoziła do samego domu. Mimo gorąca wysiadłam przy naszych uliczkach z mnóstwem sklepików, że niby muszę coś jeszcze dokupić, i poszłam, żeby wychodzić moje rozczarowanie. Staralam się pocieszać, że pierwsze koty za płoty, ale nic nie poradzę, że czułam się jak na wagarach i że oblałam klasówkę. Bo sobie odpoczywam w Ulsan u Antka, zamiast pisać. A tu Polek jak na lekarstwo... Albo ja słabo szukam. Żeby choć jedna z fajnym życiorysem!

Gorące wąskie uliczki ciągnące się pod górę sprawiły, że się spociłam i zmęczyłam. Do domu niedaleko, więc wzięłam się w garść i przyspieszyłam. Aby do chłodu! W lodówce jest ten dziwny napój z wielu ziół i piwo.

Ale w domu czekały mnie dwie niespodzianki. Na półce przy drzwiach paczka. Mówił mi Antek, że administracja ma klucze i kiedy go nie ma, a przychodzi przesyłka,

otwiera listonoszowi mieszkanie. W paczce gliniane kubeczki z Bomun Resort! Druga niespodzianka to mail od Reginy, której zwierzyłam się z kłopotu i poprosiłam o radę.

Mańka, Kochanie,

dziękuję za zdjęcia. Twój rycerz przystojny, że ach! Świetnie wygląda w tym stroju... samuraja (byli tacy w Korei?) na koniu.

Cieszę się, że wyjechałaś się pozbierać. Odejście Lilki (nie pasuje mi słowo „śmierć” do tak młodej osoby) całkiem Cię załamało. Widziałam to, choć pewnie nie umiałam Ci okazać współczucia. Poza tym sama byłam w oplakanyim stanie, bo wiedziałam już, że nasz magazyn umiera, a raczej mój czas w nim się kończy, i byłam pochłonięta szukaniem ratunku. Przepraszam Cię. Jak to mówią: „Co nas nie zabije...”. Ja zbieram się w sobie u Kasi. Coś razem wymyślamy. Ty, mam nadzieję, też sobie poradzisz.

W Polsce wydawało mi się, że każdy problem to problem nie do przeskoczenia. Chyba z powodu ogólnej atmosfery ostatniego roku. Z oddali przyglądam się temu, co wyprawia nowy rząd, i gdy robimy poranną prasówkę, Kaśka tylko stwierdza: „No i całe szczęście, że wyjechałyście. Po co wam ten cały bałagan? PRL już przeżyłyście!”. Też masz to wrażenie? OK, obiecałam sobie, że nie będę politykować.

Ja w innej sprawie.

Przyjaciółka Kasi ma znajomą w Stanach o imieniu Julika. Ma nieledwie czterdziestkę. Singielka. Urocza. Piegowata jak Pippi i jas-noruda. To nie jest zwyczajna kobieta. Jej historia jest naprawdę niezwykła i chyba wstrząsnęłaby Polkami, które czasem wydają mi się niestety dość zaściankowe, a może się mylę... Gdy poznasz życiowe wybory Juliki, zrozumiesz, o czym mówię. To dziewczyna zwyczajna i niezwykła zarazem. Jako dziecko miała duże trudności z przyswajaniem wiedzy. Bardzo dużo pracowała w domu z mamą polonistką. Ćwiczenia lingwistyczne, mnemotechnika, pisanie, żeby dać jakoś radę. Nie żeby być geniuszką. Po podstawówce wszystkich zadziwiło, że zdaje do liceum. Niektórzy kręcili głowami, że nie da rady. Ale dawała, robiąc równoległe szkołę muzyczną. Maturą ich zaskoczyła. Pracowała więcej niż inne dzieciaki. Gdy złożyła papiery na studia, znajomi jej mamy wywracali oczami. „Po co ona się tak męczy?” Przestali komentować, bo Julika uczyła się rzetelnie i z pasją i trafiła na to, co ją naprawdę zajmowało – oceanologię. A resztę zapewne opowie ci sama. Dam Ci jej adres mailowy, powołaj się na Kasię. OK? Ona mi tak zaimponowała, że aż żałuję, iż nie mogę zaprezentować jej w naszym czasopiśmie na kilku stronach! I żeby Cię przekonać, że jest kimś wyjątkowym, powiem, że właśnie oddała nerkę swojemu profesorowi. Czujesz?! Obcemu człowiekowi! Ja, przyznam się, oniemiałam. Najpierw kręciłam głową. Ale to Kasia mnie zapytała: „A dlaczego nie?”.

Zapytaj ją o to, co zrobiła, bo dla mnie to jest niesłychane. No i napisz, co u Ciebie.

Jaki jest Antoni, jaka ta Korea?

Co u taty?

Uściski

Regina

Nielecco było się zebrać z mailem do owej Juliki. Rozleniwiałam się i miałam słabą wiarę w to, że zechce w ogóle ze mną porozmawiać. Antek przy kolacji też był sceptyczny.

– Oddała własną nerkę profesorowi? To co najmniej mało rozsądne.

– Dlaczego?

– A jeśli jej własna wysiadzie?

– Z pewnością o tym myślała. Ale tu szło o czyjeś życie. Moim zdaniem rzuciła się na ratunek. To szlachetne.

– Egzaltowane.

– Mówisz jak wówczas na drodze, gdy ja ratowałam psa...

– ...i naraziłaś się na śmierć wraz z tym psem pod tirem.

– Ale żyję! A tirowiec nawet mnie nie sklął, tylko ty byłeś... wkurzony i niezbyt grzeczny!

– Ależ ja tylko z wielkiej troski! Ja się bardzo przestraszyłem, że cię ten tir zabije!

– ...na śmierć! – Parsknęłam. – Poczekajmy, aż mi odpisze i poznamy całą tę sprawę, dobrze? Jutro siądę i napiszę do niej. Ułożę pytania. Wiesz... myślałam, że ten materiał nie ma sensu, bo spotkanie z mamami nie było zbyt udane, a tu nagle bęc i mam bohaterkę. A co wiesz o Oli? I czy mogłabym ją włączyć do książki, chociaż jest Polką tylko w ćwierci?

– Nie mam pojęcia. – Antek wstał odnieść naczynia do kuchni. – To chyba zależy od tego, jak to opiszesz. O! Widzę, że kubeczki przyszły. Mówiłem ci, że to sprawnie działający kraj?

Nazajutrz poczułam wielki entuzjazm. Szybko ogarnęłam dom po śniadaniu i pobiegłam do sklepu. Na szerokiej ulicy za bramą zobaczyłam wędrowny bazarek. Nie było go tu ani wczoraj, ani przedwczoraj. Na stoiskach warzywa, ryby i kraby, znów warzywa, nabiał i *kimchi*, i co tam jeszcze... Kolejka jest! Po co? Okazało się, że do pierożkarni. Widzę kilka pań o europejskich rysach i dwie Koreanki. Stanęłam i ja, bo pomyślałam, że zamiast pitrasić wołowinę albo rybę, podam po prostu te pierożki. Choć nie wiem, z czym one są, to ładnie pachną. A skoro ludzie stoją w kolejce, znaczy dobre! Euro-pejki okazały się Rosjankami. Jedna zamawiająca знаła chyba ciut koreański. Szybko się uwinęły, ale już Koreanki musiały czekać na nowe porcje, a wraz z nimi ja. Sprzedawca, na oko 45+, stał obok żony pakującej pierożki i małą drewnianą szpatułką brał z miednicy masę, chyba mięsno-warzywną, z posiekaną *kimchi*, bo była

pomarańczowo-czerwona, i zgrabnie zawijał porcję w płatek ciasta. Potem niewielkim drewnianym wałeczkiem robił owe płateczki i doprawdy szło mu to bardzo zgrabnie. Odłożone pierożki wyglądały jak spod sztancy!

Kiedy przyszła moja kolej, ukloniłam się, powiedziałam *anaseyo* i pokazałam dwa palce jakoś tak, że poproszę o dwie porcje. Pani się uśmiechnęła szeroko i odkloniła. Pan nadal zawijał pierożki, skinął głową i też się uśmiechał. Musiałam poczekać, aż się zagotują, bo takich świeżych nie odkleiałabym od styropianowej tacki. Jeszcze dostałam małą torebeczkę sosu i poszłam do domu pisać do Juliki.

Antek przyszedł jak zwykle i wcale się nie obraził, że na obiad są gotowe pierożki z wędrowniej pierożkarni.

– Marianno, przecież nie najęłaś się na kucharkę! Może, jeśli chcesz, będę kupował w restauracji na naszej uliczce handlowej obiady na wynos? Pierożki bardzo lubię!

No niby się nie najęłam, ale jestem wystarczająco niezamożna, żeby czuć potrzebę odwdzięczenia się tak po ludzku za gościnę. Tylko się uśmieł i powiedział, że plotę bzdury i że to on jest wdzięczny, że w ogóle tu jestem i że dzięki mnie nie ma depresji. I poszedł znów do stoczni.

Napisałam do Juliki mail z pytaniem, czy zgodzi się na taką rozmowę, dołączyłam przykładowe pytania i sprawdziłam na mapie, która godzina jest w Stanach. Jakies osiem godzin różnicy. OK. Siedziałam w napięciu, nie wiem czemu sądząc, że ona tam czeka z utęsknieniem na mail od jakiejś zdesperowanej dziennikarki. Gdy Antek wrócił, pojechaliśmy na cypel morski na Bangeojinie, bo musiałam jakoś rozładować zdenerwowanie. Chciałam, żeby mi odpisała, żeby mi miała pierwszą bohaterkę, żeby coś z tego wyszło.

Park na cyplu przypomina raczej zagajnik sosnowy, ale panorama z niego jest piękna. Poprzednio też mnie oczarowała. Szczególnie dla mnie, lądowego szczura, widok morza jest pobudzający, a tak rzadko mogłam go podziwiać, głównie u nas, kilka razy w Bułgarii i Chorwacji. Prawda! Pływałam też w Morzu Czerwonym, w Egipcie.

– Wiesz, Antek, że ja nawet w Grecji nie byłam? – powiedziałam, gdy już uspokoiliam oddech po wspinaczce po niezbyt stromych, ale licznych schodach wiodących z plaży na górę.

– No ja też w wielu miejscach nie byłam – stwierdził, a ja widziałam, że kompletnie nie wie, o co mi chodzi z tą Grecją.

– No bo mnie widok morza tak ujmuje...

Tym razem nie odpowiedział nic, tylko się uśmiechnął.

Żywcicznie zapachniały sosny, a od morza doleciała swoista woń soli i wodorostów. Poczulałam lekki wiaterek. Powietrze się poruszyło, można było pooddychać już nie upałem. Patrzyłam w dal, na linię brzegową. Mijali nas spacerujący Koreańczycy, młodzi i starsi. Też przyszli odetchnąć i wcale im się nie dziwię. Przyjemne miejsce.

Antek poszedł na skały z aparatem fotograficznym, a ja przysiadłam na ławce i zaczęłam liczyć statki na odległej redzie.

– Na razie czternaście! – zakomunikowałam, gdy wrócił.

– Co czternaście?

– Statków na redzie!

– Znów liczysz? Poczekaj, aż wejdziemy na taras widokowy. Tam będziesz miała całą redę Hyundaia i pokażę ci kalmarowce, je-żeli będą.

– Są daleko. Jak je rozpoznasz?

– Zmierzcha się, więc będą widoczne. Są obwieszane silnymi lampami sodowymi. Kalmary lubią to światło i podpływają. Ładny widok, chodź na mostek.

Uspokaja mnie ten obrazek. Morze faluje łagodnie, słońce zachodzi i robi się niemal kiczowato. Daleko „stoją na fali” statki. Wszystkie właściwie takie same, granatowo-wiśniowe. Lekka bryza przynosi ulgę ludziom, parkowi za naszymi plecami i zapewne ptactwu.

– Ptaków nie widzę, nie słyszę. Są tu jakieś? Nawet mew mało.

– Faktycznie niewiele – odpowiada Antek i więcej nic nie mówi.

Czasem czuję, że patrzy na mnie, ale gdy tylko próbuję go na tym złapać, udaje, że się wgapia w aparat i kontroluje zdjęcia albo natychmiast spogląda w dal. Uśmiecha się, gdy jednak krzyżujemy spojrzenia, ale nic nie mówi. W ogóle mało mówi. Jak w tej rosyjskiej śpiewce:

На закате ходит парень

Возле дома моего,

Поморгает мне глазами

И не скажет ничего.

И кто его знает,

Чего он вздыхает?

Odwracam się i schodzę na mostek. Daleko za nim, koło skałek stoi kot. Rudy jak marchewka i właściwie chyba nie bardzo się nas boi. Siada koło kamienia, owija ogonkiem i gapi się na prze-chodniów.

– Cześć... Harry! – wołam.

– Czemu akurat Harry? – pyta Antek

– Jejka, no bo ryży jak książę Harry. Lubię tego urwisa.

Kot wstał, popatrzył na nas, odwrócił się i wskoczył w skałki.

– To kocica! – zauważyłam. – Widziałeś?

– Nie oglądam się za koticami.

– Ej, Harry!

– Mówiłaś, że kocica.

– To koreańska kocica i jej to obojętne. Pewnie ja jedna nadałam jej imię.

Poszłam między kamienie zobaczyć Harr...ą. Niżej mignął mi jej ogon, a Antek się zaniepokoił:

– No proszę cię, nie ryzykuj! Tu jest stromo. Skalki prawie w pion. Wpadniesz i co ja zrobię?

– Nakrzyczysz na mnie jak na Wisłostradzie! Widzę jej ogon!

– Daj choć rękę, skoro musisz wściubiać tam nos. Nie strasz jej.

Podał mi dłoń, a ja się wychyliłam, ile tylko się dało, i wtedy zobaczyłam jej gniazdo pod kamieniami, a w nim maleńkie ryże kuleczki.

– A!... Harry ma dzieci!

Antek się uśmiecha. Nic nie mówi. Wracamy powoli do samochodu. Takie to normalne milczenie, nie jakieś krępujące. Wciąż oddychamy sosnowym powietrzem. Tu już nie ma bryzy, ale upał lżejszy, bo jest wieczór. Do domu mamy jakieś dziesięć kilometrów.

– Może chciałabyś tu zjeść kolację? – pyta mnie, pokazując oszkloną knajpkę.

– E, może jednak w domu?

Ulice zatłoczone. Ludzie wracają z Tesco z zakupami, z parku, niektórzy z pracy. Ruch też tutaj spory. Na światłach małe korki, ale jednak są.

– Myślałam, że cicha portowa dzielnica będzie cichsza od śródmieścia, a tu korki na ulicach.

– No, a teraz w samym centrum Ulsan to dopiero korki! Tu zawsze zmrok jest o podobnej porze, a ludzie długo pracują i jak u nas uwielbiają zakupy w megastorach. Tam dopiero jest tłok!

W domu po kolacji pocałował mnie w rękę.

– A za co to?

– Za kolację w domu. Miałem wielką ochotę na dom. Dzisiejsza szychta dała mi w kość.

Poczułam się głupio.

– No to trzeba było... Antek, do licha, mówi się wprost o takich rzeczach! Park mógł poczekać.

– Nie, park mnie zrelaksował. Przepraszam, nie odbieraj tego jako męczeństwa. Ja lubię tam pooddychać, popstrykać. Wiesz... Nigdy tej kocicy nie widziałem. Następnym razem może będą syreny?

Mimo pytań nie chciał powiedzieć, co miał na myśli. Jakie syreny?

Na mail od Juliki czekałam i czekałam. Dzień za dniem. Było mi przykro, ale też pomyślałam, że może ona nie chce swojej historii wywlekać nieznannej babie? Na co ja liczyłam? Siedziałam na Fejsie i czytałam czyjeś posty, komentowałam i się nudziłam. Tata przysłał kilka zdawkowych zdań, jak nie on. Że jest dużo pracy, że Kasia i Łukasz padają wieczorem ze zmęczenia, że bardzo go oszczędzają, ale i tak potrzebne wszystkie ręce. Więc on na siedząco napełnia mniejsze doniczki i sadzonkują coś tam, i nawet Anula siedzi popołudniami i wypisuje nalepki, bo ma ładny charakter pisma, i koniec. Od Grześka tylko zdjęcia Tadzia i zapewnienia, że się zbierze i napisze więcej i że nie ma

czasu.

Maila od Juliki ciągle nie ma. Szlag!

Tajfun

– Cześć. Ale wieje – powiedział Antek, stając w drzwiach któregoś dnia.

– Tak?... Nie zauważyłam. Będzie lało?

– Tajfun idzie wprost na Ulsan.

– Tajfun?! Już jeden miał być, a go nie było...

– Bo to różnie bywa. Pisałem ci o tajfunach. Czy nie? To ich strefa. Nieprzyjemne, ale da się z tym żyć. Zazwyczaj nas omija, bywa, że zahacza, ale ten podobno wali wprost na nas. Będzie szalał. Chłopaki z produkcji wszyscy w robocie. Wyciągają na redę, co się da.

– Na redę?!

– No a jak? Inaczej w basenach statki i kadłuby poobijałyby się jak dziesięć lat temu. To co robimy z popołudniem? Może chciałabyś pójść na basen? Albo na kręgle? W mieście dzisiaj piekło piątkowych zakupów, a w kręgielni dopiero wieczorem będzie tłoczno. Chcesz?

Dopiero teraz spojrzałam za okno i zobaczyłam szalejące drzewa. Pewnie czułam, że wieje, ale byłam zajęta sobą i ględzeniem na Face-booku. Może dlatego jestem podenerwowana? Jak podczas halnego w górach.

– Nie. Nigdzie nie idźmy. Pooglądamy coś albo zagramy. Widziałam, że masz scrabble. Z kim grasz?

– Czasem z Wieskiem, czasem z Karolem, gdy mu co odbiło i wpadał się napić. Tylko nie myśl, że się uchlewaliśmy. Karol nie lubi samotności i jeśli Wiesiek z Olą mieli jakieś zajęcia w weekendy, a Karol akurat nie miał romansu z jakąś mężatką, to wpadał do mnie.

– Czemu mężatką? Nie ma tu ślicznych i wolnych laseczek?

– Koreanek? Są. I Filipinki są, i Tajki, ale Karol jakoś... woli Europejki. A tu są Rosjaneczki, Ukrainki, Chorwatki, które wyrwały się z facetami i niekoniecznie są to mężowie. Karol zawsze miał romansik z którąś. Ostatnio z Wietą, ale ona wyjechała.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz. Radosne wolne związki?

– Jak najbardziej. Dobrze, wyjmij scrabble, a ja unieruchomię szyby balkonowe.

Antek poszedł oklinować loggię. Wielkie okna są przesuwne, z przezroczystego pleksi. Kilka z nich – wówczas jeszcze szklanych – zbiło się podczas tajfunu parę lat temu i od tej pory trzeba je klinować. Nie są szczelne. Gumowe kliny leżące zazwyczaj w doniczce sprawiają, że mimo wichury tafle pleksi się nie ruszają. W pozostających oknach są szklane szyby i dodatkowo siatki przeciw komarom. Drobne, bo i komary drobniejsze.

Podczas kolacji oglądaliśmy koreańskie wiadomości i pogodę. Coś w kształcie rozczochranego wiatraka faktycznie sunęło po mapie w stronę Ulsan, a za oknem wiało, jakby się ktoś obwiesił. Graliśmy i nasłuchiwalismy wycia wiatru.

Około jedenastej Antek zarządził koniec zabawy, bo był zmęczony. Zażądał ziewaniem.

– Weź coś na sen, jeżeli masz, bo to nie będzie fajna noc. Twój pokój jest najprzytulniejszy, ale jakby cię coś wystraszyło, obudź mnie. Posiedzimy razem. Jutro

sobota...

Tym razem ja nic nie powiedziałam, bo Antek stał, jakby jednak coś go trapiło. Wreszcie westchnął i zebrał się w sobie, żeby wyznać, iż ogromnie się cieszy, że jestem.

– Serio? – Zażartowałam Shrekiem. – Serio, serio? Nie lepsza byłaby jakaś długonoga antylopa? – Koniecznie chciałam rozpędzić tę jego nagłą powagę.

– A co ja bym robił z antylopą? Nie jestem myśliwym. – A po chwili dodał z jakąś nostalgią: – Dom pusty, nikt nie czekał choćby z dobrym słowem. Po tych kilku latach zacząłem czasem, tylko nie śmieję się ze starego dziada, gadać sam do siebie. I do scindapsusa gadam. Przestał gubić liście.

– Od gadania?

– Taka jest moja teoria i będę się jej trzymał! Kto pierwszy do łazienki?

Faktycznie nie dało się zasnąć. Wietrzysko zamieniło się w jakiegoś wściekłego smoka, który szalał za oknem i tarosił, co tylko się dało. Do tego wyl.

Ciotka Jadwiga mówiła w taką wichurę, że ktoś się obwiesił. Była raz taka „sucha burza”, kiedy byłam u niej w Garbatce. Siedziałyśmy przy piecu, bo mimo lata napaliła, i to właśnie powiedziała. Wystraszyłam się, ale ona zaraz się roześmiała i wyprostowała sprawę, żebym zasnęła spokojnie. A teraz ani pieca, ani ciotki Jadwigi... Pościel nieprzytulna i ogólnie paskudnie. Straszno.

Nie mam ośmiu lat, ale wydawało mi się, że dom się rozlatuje – każde okno dzwoniło, a mury jakby trzeszczały z wysiłku. To oczywiście trzeszczała moja wyobraźnia, więc ją wyłączyłam i z całej siły myślałam o wakacjach na ciepłej plaży. Pomogło. W końcu zasnęłam.

Nagle z hukiem się obudziłam. Faktycznie huknęło i posypały się na mnie kawałki szkła. Przez chwilę wybite okno blokowała jakaś wielka i gruba gałąź odłamana i rzucona silnym powiewem. A już po chwili, wraz z następnym powiewem, oderwała się i runęła w dół. Oczywiście skoczyłam na równe nogi nieziemsko wystraszona. Z trudem łapałam oddech. Chciałam wyjść z pokoju, ale próbując zapalić lampkę, naturalnie nadepnęłam na szklany odłamek. Syknęłam i zakłęłam.

Rozbłysło światło i zapukał Antek. Stałam na jednej nodze w koszuli, bo bałam się szkła na podłodze. Było na łóżku i pod stopami, a jakże.

Przeskoczyłam odłamki, podając rękę Antkowi.

– Zraniłaś się. Usiądź, zaraz ci opatrzę stopę.

Zanim zdjął apteczkę z górnej szafki, wyjął pękaty kieliszek i nalał mi koniaku.

– Zdenerwowałaś się?

– A ty nie? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Przeżyłem tu kilkanaście tajfunów, ale fakt, żaden mi się nie włamał do mieszkania.

Koniak zrobił mi o wiele lepiej niż środek odkażający na bazie spirytusu, bo jak się okazało, w domu nie było wody utlenionej. Siedziałam w kuchni i dygotałam z lekka. Antek przyniósł mi koc i uspokajał, opowiadając o tajfunie. Zamiótł szkło, ale pościel zostawił w spokoju. Ciągle mną trzęsło.

– Zimno ci?

– Niby nie, ale stopy mam zimne. Gdy się zdenerwuję, to tak mam – wyjaśniłam. – To krążenie.

Szok ustępował powoli.

– Posłać ci w drugiej sypialni? Czy może bez obawy dośpisz u mnie? Tylko się nie obrażaj, to...

– Nie obrażam się, co ty! – pocieszyłam go, bo zobaczyłam, że się zmieszał. Poza tym w tych „okolicznościach przyrody” nie widziałam w tej propozycji niczego niestosownego. Trzeba byłoby znaleźć prześcieradło, koc, powlec poduszkę... Po licha? Ma wielkie łóżko, chrzanić, co ludzie by powiedzieli, bo nikogo poza nami tu nie ma, a znam go już na tyle, że wiem, po prostu wiem, że nie zachowa się niestosownie. Znaczący, nie rzuci się na mnie. „Nie rzuci? Szkoda” – pomyślałam żartem, po czym wstałam i poszłam do jego sypialni.

Wietrzyśko wyło jak oszalałe, ale u niego okna były widocznie szczelniejsze, bo tak nie dzwoniły. Trzęsło mną, więc najzwyczajniej wskoczyłam do łóżka i przylgnęłam do jego męskiej piersi, a on powiedział:

– Dawaj te sople, to ci rozgrzeję.

I faktycznie, jak mówi mąż mojej koleżanki, poplątał nogi.

Powoli się rozgrzewałam. Nie mogłam spać. Czułam, że on też nie.

– Antek, ty jesteś jednym z ostatnich już żyjących dżentelmenów – powiedziałam cicho.

Milczał zaskoczony i wreszcie odezwał się bardzo *à propos*.

– Bo cię nie zaczepiam? Nie wykorzystuję sytuacji? Wiesz, dla mnie to normalne. Uważam, że to zawsze kobieta daje sygnał. To jak z semaforem – musi być znak, że wolny przejazd. Nie ma, to nie ma, *ruki pa szwam!*

Zamilkliśmy, a ja pomyślałam: „No... żartujemy z sytuacji. To dobrze, ale też chyba oboje czujemy lekkie skrępowanie. Faktycznie dżentelmen. Od początku nigdy nic, żadnego nawet żarciku czy próby zluźnienia, prowokacji”. Zaraz też przyszła druga myśl: „Hmmm. Pewnie, że nie prowokuje, bo po co mu taka dojrzała śliwka? Jest bardzo przystojny, mimo lat i siwizny atrakcyjny, więc z pewnością ma powodzenie. A ja... czasy świetności mam dawno za sobą. Nie pytałam go o tę jego samotność. A może ma na mieście kochankę? Hmmm, a ja i on? Byłoby to całkiem miłe, bo wciąż jestem sama od czasów nieudanych prób z Mar-cinem... Właściwie u mnie to z tymi sprawami koniec”. Uśmiechnęłam się do siebie.

A gdybym miał cię zjeść, to co byś powiedziała?

A ugryźć gdybym chciał, czy coś byś przeciw miała?

Chciałabym, chciała, chciałabym, chciała.

Chciałabym, chciała, chciałabym, chciała.

Zanuciłam w myślach i wtedy odezwał się Antek:

– Wiesz... Ja nie chciałbym, żebyś myślała, że... – zamilkł. – Yyy... to znaczy, to nie jest tak, że ja cię traktuję jakoś bezosobowo, tylko że nie chciałbym, żebyś pomyślała, że ja jestem jakiś cham i prostak. I żebyś się poczuła molestowana. Znaczący... niemolestowana. Ale gdyby ci przez myśl przeszło i, dajmy na to, chciałybyś jednak... Boże mój, to daj znak, bo ja...

Leżałam tyłem do niego, a ta jękająca się tyrada nieco mnie zdumiała, ale i ucieszyła. Odwróciłam się i uśmiechnęłam. Dotknęłam jego szorstkiego policzka.

– To co, ogoliłbyś się?

– Słucham? – Chyba nie zrozumiał i zaraz się też uśmiechnął.

– No bo wiesz, Gruzini chełpią się, że podobno francuscy kochankowie golą się rano, a oni... wieczorem.

– Że niby tacy mistrzowie sztuki miłosnej? Dobrze – powiedział i zamilkł. Patrzył ciepło.

Tak. Teraz byłam pewna. Chciałam.

Nie było już słów. To kobieta decyduje. Pocałunek nieśmiały, potem śmielszy, a potem już cała kaskada czułości. Erotyzm budzi się we mnie wolniej niż kiedyś, ale jest coraz mocniejszy i otwiera kolejne bramy intymności.

Poznaję jego zapach, dotyk i miękkość skóry, szorstkość głowy i policzków. Uśmiecham się, bo jest zaskakująco i dobrze.

Za pierwszym razem, zwłaszcza gdy nie jest to seks smarkaczy, poznawanie kogoś, komu pozwala się na tak wiele, jest chyba, chyba, bo nie jestem znawczynią... ostrożne. Nie znajduję innego słowa. Dojrzałym ludziom hormony nie uderzają już do głowy jak szampan. Mimo poruszenia zmysłów kontrolujemy się i obserwujemy siebie samych. No i partnera, to oczywiste.

Antek jest delikatny, pewny, męski. Jest dobrze, bez niepotrzebnej brawury, ale z nieukrywaną namiętnością i naprawdę miłą zabawą. Seks jest bajeczny! Kompletnie zapomniałam o tajfunie za oknem. Miłosny trans pochłonał nas i cieszył.

Dopiero gdy złapałam spokojniejszy oddech i wstałam do łazienki, spojrzałam na okno. Antek wstał i uchylił lekko firankę.

– Nadal wieje, ale do rana osłabnie.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął tak jak nigdy wcześniej – bardzo promiennie. I nawet nie poczułam skrępowania, że on jest nagi i że ja jestem naga, no i zdecydowanie niepiękna, niemłoda. W jego ramionach czułam się bardzo kobieca.

Kiedy znów ułożyliśmy się w łóżku, Antek patrzył, nic nie mówiąc, i pocałował mnie w nasadę nosa i w usta. I westchnął chyba zadowolony. Milczał. Nie widziałam oznak senności, więc powiedziałam cicho:

– I kto by pomyślał!

Ponieważ nadal milczał, kontynuowałam:

– Nie sądziłam, że mi się jeszcze przydarzy taka urocza randka.

– Urocza? – upewnił się.

– Urocza – potwierdziłam – i zaskakująca.

– Tak właśnie myślałem, że nie jesteś pruderyjna ani niechętna, ale nie umiałem ocenić swoich szans. Pisałaś o tym... Marcinie.

– Hmm. Wiesz, wszystko jest dla mnie z lekka zaskakujące. Zaskoczył mnie mój mąż, odchodząc, ale też uświadomiłam sobie wówczas, że może nasze życie, a właściwie pożycie małżeńskie było kiepskiej jakości. Dla niego zapewne też. Najpierw było mi okropnie żal tych lat niemiłosnych. Siebie żal, że w tej niemiłości i kiepskim seksie zwiędłam.

Żachnął się, ale ja mówiłam dalej:

– Proszę cię. Nie mam trzydziestu lat. Właśnie przekwitłam, taka jest prawda. I myślałam wtedy, z nieukrywanym żalem, że to już *turbo finito*, jak mówiła Lilka, moja siostra. I to ona mi to wybiła z głowy, namawiając na Ofelię.

– Ofelię? – Antek był zdziwiony.

– Kiedy Lilka chorowała u mnie, wkurzała się, że się zapasałam i zaniedbałam, i wysłała mnie na siłkę. Do pobliskiego klubu fitness. Tam spotkałam dawnego kolegę z liceum, trenera. Miał ksywkę Ofelia, bo grał Ofelię w przedstawieniu *Hamleta* Jeremiego Przybory. A ja Hamleta właśnie. I wiesz, doprawdy nie wiem, jak to się stało – zażartowałam, mrugając rzęsami – ale... się stało!

– Miałaś romans z trenerem? Mięśniakiem?!

– Tak. Wyglądał jak Mister Propper z tej reklamy.

– Boszsz – jęknął i złapał się za głowę. – To z czym ja... Taki stary dziad...

– Antonio, kokietujesz, prawda? Świetnie wiesz, że jesteś w doskonałej formie. Zresztą na komplementy przyjdzie czas, bo się zbyt szybko rozbestwisz. A teraz pomyślę, jak zdrabniać twoje imię. Szczególnie w wołaczcu jest mało poręczne, gdybym chciała jakoś czulej. „Anteczku” można mówić do dziecka, ale do... kochanka – odważyłam się wreszcie nazwać rzecz po imieniu – wołałabym jakoś inaczej. Pośpimy?

Zasnęliśmy chyba równocześnie przytuleni na łyżeczkę. Banalnie i zwyczajnie, jak chyba miliony par po miłosnych igraszkach. Tajfun jeszcze wciąż nie dawał za wygraną. W mojej sypialni szkło leżało na łóżku. Odpływając w sen, pomyślałam, że gdyby ta gałąź się nie urwała, to wcześniej czy później wymyśliłabym coś, żeby móc teraz zasypiać w jego objęciach. Bo to nadspodziewanie fajne jest! Z Mirkiem właściwie nigdy tak nie zasypiałam, z Jarkiem-Ofelią też. Nigdy nawet nie spędziliśmy nocy. Z Marcinem owszem, spaliśmy, ale nie po upojonej nocy i nie zanadto przytuleni. A teraz czuję, że mogłabym takie wspólne spanie polubić. I zasnęłam.

Obudziły mnie cisza i słońce. Za oknem nic już nie wyło, nie szalało. Łóżko puste, Antka nie ma, ale jakieś dźwięki dobiegały z kuchni.

Przeciągnęłam się z radością porządnie wyspana i wypoczęta. Zegarek pokazał irracjonalną dziesiątą. Nie pamiętam, żebym tak długo spała. Od kilku dobrych lat budzę się wcześniej. Czasem tylko u taty, gdy się powyleguję ździebko, wstaję przed dziewiątą. Ale dziesiąta?! Dosłownie wystrzeliłam z łóżka, poranną higienę obskoczyłam migiem,

włosy związałam frotką i owinięta ręcznikiem poszłam do mojej sypialni, wołając do Antka:

- Czeeeeeeść! Wstałam!
- Słyszę! Zjesz jakieś jajko?
- Tak, poproszę sadzone na maśle!

Moja sypialnia posprzątana, z pościeli zdjęte powłoczki, przez wybite okno wpada wietrzyk. Już nie wicher – wietrzyk. Jeszcze się lekko kołyszą drzewa, ale spokojnie. I tylko bałagan z tyłu domu, na które wychodzi moje okno, świadczy o tym, że szalał tajfun.

Włożyłam domową sukienkę i poszłam do kuchni.

Na stole śniadanie, a obok kuchenki uśmiechnięty Antek. Pachnie kawa z ekspresu, a on się popisuje kulinarnie. W kromkach chleba zrobił otwory, podsmażył kromki na maśle i teraz w powstałe dziury wbija jajka. Świetne to. Miłe.

– Dawno wstałeś? Czemu mnie nie obudziłeś?

– Spałaś tak mocno. Sobota jest. I bonus w postaci pogody. Wiatr zaraz ucichnie. Dzisiaj żadnego gotowania, obierania i zmywania. OK?

Uśmiecham się i kiwam głową. Obawiałam się lekkiego zakłopotania i może nawet jest, ale dość szybko ustąpiło, bo zaczęłam wymyślać, jak by tu nazywać Antka mniej formalnie. „Antoni”, „Antku” i co dalej? Tonio? OK, ale w wołaczku jak? Toniu? Tońciu? A może Toniku?

– Mówiono do ciebie zdrobniale?

– Nie pamiętam. Chyba babcia mawiała Tosiu, Toniu, ale to już tak dawno! Mama była dość kostyczna i elegancka, więc mówiła „Antku” albo gdy chciała być czulsza – „dziecko”. Tato nie lubił formy wołacza, więc zwyczajnie „Antek”.

– A twoja była żona?

Zamilkł i zrobił nieokreśloną minę.

– A tam... Była wówczas taka moda i wszystkie kobiety nagle zaczęły mówić do mężów „Kocie”.

Parsknęłam.

– Przepraszam, fakt, była taka moda. Ale nigdy jej nie uległam. Długo nie używałam też wołacza. Wiesz, to sztucznie brzmiało: „Mirku, zdejmij buty”. Mówiłam: „Mirek, zdejmij buty”. Wołacza nauczyli mnie dopiero korektor w wydawnictwie i Włodeczek, mój stary kumpel, dziennikarz.

– No to na jakie imię mam reagować?

– Mogę czasem mówić ci „Tosiek”?

– Jak tylko chcesz. Mogę już sprzątnąć?

Żadnych wieści od Juliki...

Ostro, ostrzej, auuuuu!

Kiedy siedziałam przy komputerze i klikałam w najlepsze, Antek wyjął odkurzacz i zaczął sprzątanie. Trochę mi się zrobiło głupio, bo oprócz zakupów i gotowania nie wpadłam na to, żeby sprzątnąć solidniej. Wstałam, ale mnie wstrzymał:

– Siadaj. Ja tu jestem od sobotnich jazd na mopie.

– Ale pomogę!

– Siadaj! Jeśli mogę cię prosić to... kurz. Nie cierpię wycierać szafek i tym podobnych. Podłogi są moje, wszelkie inne powierzchnie kurzochłonne – twoje. Ściereczki wiszą w technicznej loggii.

Miło razem sprzątać. Miło czuć bliskość, a ją czuję. Nawet scindapsus, uchowany przez Antka, jakby się specjalnie nadstawiał do odkurzania liści. I po wykonaniu nad nim tej okropnie nudnej czynności – zabłysnął.

Około południa spytałam Antka:

– Czyli dzisiaj kuchnia koreańska na poważnie?

– Tak. Z nikim się nie umówiłem. Mam nadzieję, że wystarczy ci moje towarzystwo.

– Jasne. Daj mi dwadzieścia minut, to się jakoś ogarnę.

Umyłam głowę i nawet lekko się umalowałam.

Nie czuję się ekspertką i chętnie poznam inne tutejsze przy-smaki.

Pojechaliśmy do niebrzydkiej restauracji w dzielnicy portowej: oszklonej, z elementami drewna, modernistycznej, ale wtapiającej się w otoczenie niewielkich domów. Przestrzeń podzielona, a jakże, na tę, gdzie się siedzi po turecku, przy niskich ławach, i tę „normalną”, z krzesłami i stołami. Zdałam się na Antka, on wybrał dania i uśmiechał się, jakby coś zmalował.

– Jakaś ciekawostka?

– Tak. Podobno lubisz sushi?

– Lubię! Świetny wybór!

– No... to na przystawkę będzie rodzaj tutejszego sashimi. Uprzedzam cię, to z pozoru trudne danie, bo ma specyficzny zapach, ale zapewniam, że kiedy się przemożesz...

– A coś normalnego potem?

– Potem wieprzowina duszona z *kimchi*.

Ajuma przyniosła talerzyki i sashimi. Po chwili ostry zapach amoniaku walnął mnie w nozdrza.

– O, FUJ! – jęknęłam zdumiona. – Nie. Nie dam rady!

– Dasz! Nie bądź mięczaczka!

– Co?

– Mięczak to facet, a kobieta to mięczaczka – upierał się i sięgnął do pudełeczka po pałeczki. – No! Patrz!

Wziął płatek białego prażkowanego mięsa i umoczył w sosie z miseczki.

Z przerażeniem zobaczyłam, że podaje mi go wprost do ust. Zatkanam nos i utworzyłam dziób. Niech się dzieje, co chce!

Fakt – początkowo czuje się lekki smak ryby zmieszany z amoniakiem, ale szybko ustępuje i mięk w ustach po prostu dość sprężystą słoną, surową rybę. Żaden szal, ale jestem dumna, że nie zwróciłam. Co więcej, sama sięgam po pałeczki. Nagrodą będzie zwykła wieprzowa duszeninka. Pogryzam rybę marynowaną rzepą, którą ajuma przyniosła jako pochrupajki. To cienkie płatki różowej rzodkwi daikon marynowanej w mirinie – occie japońskim. Zawijam sobie kawałki płaszczyki w te płatki i zjadam!

– Dzielna Marianna! – chwali mnie Antek.

On robi coś bardziej drakońskiego, bo zawija tę rybę w kawałki zielonego świeżego wodorostu. Jak dla mnie zbyt wiele morza w ustach.

Po rybie w miskach dostajemy duszone mięso w warzywach i miseczki z ryżem. Teraz wydaje mi się to takie zwyczajne!

Wracaliśmy ugotowani zarówno ostrością posiłku, jak i upałem. No może już nie upałem, bo od tajfunu pogoda zelżała. Po drodze wstąpiliśmy do ostatniej knajpki przed osiedlem napić się zimnego piwa i zeszliśmy stromymi schodkami do budynku stojącego obok basenu. Wkoło trochę ludzi. Przeważały rozkrzyczane dzieciaki wszelkich barw.

– To jest osiedlowy klub sportowy. Na piętrze jest fitness, a na dole bar i sala do squasha. Możesz tu wpadać za dnia, będzie pusto.

W ciemnym i chłodnym barze siedziało kilku białasów i piło piwo. Tosiek, czyli Antek, przywitał się i przedstawił mi panów. Chorwata, Greka i Rosjanina. Chyba nie znali się z Antkiem na tyle dobrze, żeby gadać, więc wypiliśmy szklankę wody z cytryną i poszliśmy do domu po stromych schodkach w... górę. Nasz dom stoi o wiele wyżej niż basen i klub. Po drodze usiłowaliśmy sobie przypomnieć *Loko-motywę* Tuwima. Śmiało się, recytując z pamięci albo dodając jakieś głupstwa od siebie:

– ...żar z rozgrzanego jej brzucha bucha, jasna cholera, czy ona głucha? Co za dziewczucha! – Tosiek nagle zamilkł i przeprosił: – No wybacz, to licealne wygłupy. Fajnie się śmiejesz. A zaraz niby oburzasz. Bywasz zabawna. To miłe, a ja tu jak niedźwiedź.

– Ja? Żartujesz, prawda? Wydawało mi się, że jestem nijaka, szara i nudna.

– No początkowo byłaś taka... czujna, ale to zrozumiałe. Teraz chyba już wiesz, że jestem tylko nieszkodliwym safandulą.

Znów się roześmiałam. Na całe gardło, bo mi to wyznanie kompletnie nie pasowało do głośnego skandowania *Lokomotywy* na koreańskiej ziemi ani tym bardziej do wydarzeń nocy. Wręcz odwrotnie. Patrzyłam na niego z uśmiechem. Przed ostatnim biegiem stromych schodów stanęłam schodek wyżej i objęłam go.

– Mnie się podoba Wasza Safandulowatość. Nie zmieniaj się.

– Ani ty. – Tylko tyle umiał powiedzieć.

Nie jest uwodzicielem, to z pewnością. Nie używa pustych, okrągłych słówek pełnych słodkiego syropu. Świetnie całuje.

Pod klatką oddychałam ciężko.

– Schody. Strome są.

– No muszą, bo tu, zobacz, jakie różnice wysokości. Przyzwyczaisz się. Chodź na górę, lomokotywo. – Uśmiechnął się, przekręcając słowo.

– Mój Grześ tak mówił: lomokotywa! – zauważyłam.

– Moja córka też. I chyba wszystkie dzieci – dodał poważniej. Już się nie uśmiechał. Czemu? Nie wiem... Nie znam go jeszcze na tyle, żeby rozpoznać mowę ciała, mimikę... A czy da się poznać? Może da?

Żeby się przyjaźnić, bo na razie to jakiś zaczątek przyjaźni, ledwie znajomość, choć w mailach już się z lekka pokazaliśmy, jacy jesteśmy, trzeba się poznać w wielu aspektach. Mówiło się kiedyś „zjeść beczkę soli”. Może nie beczkę, bo sól szkodliwa jest, ale warto poznać się bardziej.

Po prysznicu przy herbacie zagadnęłam go:

– Antku, a skąd wiemy, że się znienacka nie pożremy o coś?

– Nie wiemy. Ale ja bym bardzo nie chciał. Nie lubię kłótni. A ty lubisz?

– Nie, ale wiesz, jak to bywa. Z małej chmury duży deszcz albo niechący wywołamy do tablicy coś, co nas skłóci. Co wtedy?

– Eeee, chyba nie.

– Co „nie”?

– Jakoś nie widzę powodu do tego, żeby aż tak. Pryncypia mamy już z dawna ustalone, to ważne w... – zająknął się – przyjaźni, w związkach. Reszta to najwyżej różnice zdań. Te zawsze można jakoś przedyskutować bez pazurów. Można? – zapytał.

„Jaki on logiczny” – pomyślałam. No bo z czym tu polemizować? Ma rację. Chyba szukam dziury w całym. I wówczas on rzucił, patrząc na mnie zagadkowo, ciepło:

– Chyba jednak się nie skłócimy na bardzo poważnie, co? – I zmienił temat: – Kundera jakoś tak to ujął, że sam seks z kobietą nie jest tak intymny jak wspólne spanie, sen. Fajnie mi się z tobą spało, pani Marianno.

Przysunęłam się bliżej i pocałowałam go. Gdy mnie objął, poczułam się świetnie, prawie się rozkleiłam. Takiej czułości mi brakowało. Bardzo. Po dłuższej chwili wyswobodziłam się i otworzyłam laptop.

Z pewnym już spadkiem wiary w to, że znajdę tam mail od Juliki, otworzyłam pocztę... I jest!!! Jest mail od niej!

– Antek, ojejkuuuu! Odpisała! Będziemy gadać! Co za historia!

– Odpisała ci? Ta kobieta, która oddała nerkę swojemu znajo-memu?

– Swojemu profesorowi, mentorowi. Tak, to ona!

– Nie wydaje ci się, że to rodzaj... egzaltacji? Ile ona ma lat?

– Czeka, no... około czterdziestu!

– Czyli nie młoda siksa. Ale to dość nieodpowiedzialne wobec własnej rodziny...

– Jest sama. Ma przyjaciół i psa.

– ...no i wobec własnego ciała. Zawsze miałaby drugą w zapasie.

– Poczekaj, ona to uzasadnia. Daj jej szansę! Wysłałam jej pytania, a ona odpowiedziała pisemnie. Przeczytam ci, OK?

Pytanie 1: Jak się znalazłaś w Stanach Zjednoczonych?

Julika:

– Cześć. Fajnie, że ktoś jest ciekaw tej historii. Nie z powodów sensacyjnych, bo

to głupie, ale dlatego żeby może wziąć sobie jakąś lekcję? Przepraszam, ale mój polski jest dawny, ja go tu nie praktykuję, pewnie robię błędy. Poprawisz mam nadzieję 😊

Odkąd obejrzałam film E.T. (miałam jakieś siedem lat może), marzyłam, żeby mieszkać w Ameryce. Ameryka! Jak to brzmiało w smutnawej Polsce. Amerykańska guma do żucia, amerykański film, amerykańskie jeansy. Wiesz, o czym mówię?

To były lata siedemdziesiąte. Mieszkałam z mamą, babcią i prababcią na Żoliborzu. Często chodziłam nad stawek do parku koło Cyta-deli z psami. Byłam dziwnym dzieckiem, miałam bujną wyobraźnię, mało koleżanek. Troszkę jak Ania Shirley. Wymyślanie sprawiało mi frajdę, dawało ulgę. Zawsze sobie wyobrażałam, że park to jest ocean i że ja jestem na jego drugim... brzegu. Jak widziałam przelatujący samolot nad skwerkiem, koło domu Aliny Janowskiej, moja wyobraźnia wymyślała, zastanawiała się, skąd albo dokąd ten samolot leciał. I z pewnym smutkiem, ale jednak sobie myślałam: jak by to było, gdybym to ja była na jego pokładzie? Dokąd byłby ten lot? Ach, jak to kręciło moją wyobraźnię!

Pewnego letniego wieczoru, gdy już byłam w łóżku, usłyszałam przez otwarte okno głosy z amerykańskim akcentem. Na mojej małej żoliborskiej uliczce! Odsunęłam kołdrę, wstałam i wyjrzałam zza firanki. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szedł mężczyzna z małą dziewczynką w wieku mojej siostry i dużym długowłosym psem. Rozmawiali po... amerykańsku (American English rozróżniałam, bo mam słuch muzyczny. Nie był to Oxford English!) i nigdy ich tu wcześ-niej nie widziałam. Zdumienie! Skąd oni tu?! Przez kilka następnych tygodni spotykałam tego samego psa (!) w parku, ale z kobietą, której czasami towarzyszył mały chłopiec na rowerze. Pewnego dnia zebrałam się na odwagę (a trzeba Ci wiedzieć, że u mnie z odwagą to nie było tak dobrze, zawsze byłam dość nieśmiała) i zaczęłam z nią rozmawiać moją łamaną angielszczyzną, którą znałam dzięki pozaszkolnym kursom, na które zapisała mnie moja mądra mama. Ja nie pamiętam dokładnie, co mówiłam, bo miałam wielką treść, ale Ellen (to była ona) po wielu latach mi powiedziała, że ja jej powiedziałam, że chciałabym ćwiczyć mój angielski w naszej pierwszej konwersacji. Wyobrażasz sobie? Jakaś mała dziewczyneczka, ruda i piegowata, proponuje ci w parku... konwersatorium! Sama siebie podziwiam, że też zdobyłam się na tę odwagę! Mimo nieśmiałości miałam tupet i determinację! Jak to mówicie teraz w Polsce? Brawo ja?! No, brawo. Uwierzysz? Zgodziła się.

Dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, opiekowałam się Sashą i Davidem przez dwie godziny wieczorem i wtedy Ellen i Greg wychodzili sobie na kolację albo do kina. Jako babysitterka zarabiałam dolara za godzinę! W Polsce w tamtych latach to była uczciwa stawka dla takiej panny. Miałam wtedy trzynaście–czternaście lat, w kilka wieczorów mogłam uzbierać sobie na coś fajnego w Peweksie, ale uprzedzając Twoje pytanie – nie zależało mi na ekstraciuchach, a gadżetów wówczas nie było. Zbierałam chyba na rower. Już nie pamiętam.

Tak poznałam tę rodzinę, która teraz jest moją rodziną tu, w Stanach.

Pierwszy raz ich odwiedziłam w lecie 1992, gdy byłam jeszcze licealistką. Przyleciałam, pamiętam to, w czerwcu i byłam u nich przez całe lato, aż do końca sierpnia. O! To były wspaniałe wakacje. Pojechaliśmy całą rodziną z Massachusetts, gdzie mieszkaliśmy, do Oklahomy, gdzie mieszkali wtedy rodzice Grega, a w drodze

powrotnej zajechaliśmy nad wodospad Niagara. Podziwiam moją mamę za to, że mnie puściła samą za morze.

Wiesz, moja mama to zupełnie osobny rozdział. O tym Ci jeszcze opowiem.

Siebie też z lekka podziwiam, że sobie poradziłam, bo mogło się stać masę rzeczy kompletnie nieprzewidywalnych! Ale wszystko omówiłam w domu z mamą. Wszystkie scenariusze i sytuacje.

Wakacje z „Gregami” to była wspaniała dwutygodniowa wycieczka samochodem. Niewyobrażalnie ciekawa dla dziewczyny z Polski, zwłaszcza że przecież znałam język i zarabiałam.

Drugi raz pojechałam do nich już jako studentka oceanografii na cały rok, bo wzięłam dziekankę. W ciągu tego roku poznałam wielu ludzi. Nie jestem wprawdzie duszą towarzystwa, ale lubię ludzi. Jestem ich ciekawa i chyba otwarta jestem – tak to się mówi w Polsce? Przepraszam, ale staram się bardzo pisać poprawnie, jednak zapewne nie uniknę wpadek ☺ U nas się mówi „zrobiłam sobie kontakty”, to znaczy poznałam wielu świetnych ludzi z branży. Jak wspomniałam, studiowałam oceanografię, co znajomych mojej mamy wprowadziło w osłupienie. To nie był popularny kierunek i wśród moich kolegów. „Coooo? Oceanografia? A dlaczego?” Czy może być głupsze pytanie do człowieka, który wybrał sobie ten kierunek? Jak to dlaczego? Bo takie są moje zainteresowania od zawsze, od kiedy zaczęłam czytać książki podróżnicze, od kiedy wodziłam palcem po globusie, który stał u babci w pokoju, od kiedy sobie wyobrażałam masę rzeczy związanych z głębinami.

Jak widzisz, byłam mocno osadzona w marzeniach. Gdy już obroniłam pracę magisterską dziesięć miesięcy po powrocie do Polski (!), kupiłam bilet i wyleciałam do Stanów, tym razem na Long Island w stanie NY. Znów podziw dla mamy, która wiedziała, że wylatuję na długo, może na zawsze. Wybacz, jeśli Cię zanudzam, jakby co skreślisz. Tam zamieszkałam u rodziny z małym chłopczykiem, którą poznałam, gdy mieszkałam u Ellen i Grega, bo moja przyjaciółka ze studiów była ich au pair akurat w tym samym roku. Zawile czy jakoś łapiesz?

I oni mnie do siebie zaprosili. U nich opiekowałam się Kyle’em, ich synkiem, a w wolnym czasie zaczęłam wolontariuszować (mogę tak napisać? Jak by to było po polsku?) w ośrodku ratowania i rehabilitacji ssaków i żółwi morskich na Long Island. Szefa tej fundacji poznałam poprzedniego roku, kiedy mieszkałam u Ellen i Grega, na sześciotygodniowym rejsie po zatoce Maine. Po sześciu miesiącach kończyła mi się wiza turystyczna, więc nie mając nic do stracenia, poprosiłam o zatrudnienie mnie w tej fundacji. Wszystko się układało gładko – dostałam pracę! Skracając – pracowałam tam przez trzynaście lat.

Pytanie 2: Jak było u twojej drugiej mamy, u której tam mieszkałaś?

Julika:

Moja druga mama to Amerykanka – Ellen. Oboje Ellen i Greg traktują mnie jak swoją córkę, a Sasha i David jak siostrę. Ellen z Gregiem jakieś osiem lat temu przeprowadzili się do Burlington w stanie Vermont, bardzo blisko granicy z Kanadą. Często tam jeżdżę i spędzam tam każde święta Bożego Narodzenia. To zdumiewające, że można tak najzwyczajniej pokochać kompletnie obcych genetycznie ludzi jak własną

rodzinę. Zobaczyłam, że tu, w Stanach, to prostsze. Ludzie tutaj jakoś zwyczajniej podchodzą do tych kwestii, bez zbędnego romantyzmu, ale też czulej, serdeczniej. Zwyczajniej. To ułatwia.

Sasha mieszka i pracuje w Bostonie, tak jak ja teraz, więc jesteśmy blisko. To moja tutejsza siostra.

Pytanie 3: Kim jest Michael Moore?

Julika:

Gdy po raz drugi przyjechałam do Stanów, na rok, kiedy byłam po czwartym roku studiów, bardzo chciałam wykorzystać ten czas, żeby zdobyć jakieś doświadczenie w dziedzinie ssaków morskich, które mnie bardzo interesowały i z którymi chciałam pracować, od kiedy skończyłam jakieś piętnaście lat. Jak na piętnastolatkę miałam bardzo ugruntowane zainteresowania, choć mama upierała się, żebym poznała też muzykę. Ale o tym później 😊 Wiele moich koleżanek kompletnie nie wiedziało, co będą robić w życiu. Kiedy się ma piętnaście lat, ważne są ciuchy i Marcin z sąsiedniej klasy, dyskoteki... U mnie jakoś tak było, że te rzeczy nie miały wielkiego znaczenia. Może uchodziłam za dziwaczkę? Nawet na pewno. Dlatego ceniłam tych przyjaciół, znajomych, którzy mnie akceptowali wraz z całym moim wiesz... bagażem życiowym, a może i dziwnym charakterem? Byłam spokojnym dzieckiem, myślę, że dawałam się lubić. Czy to w Polsce przyjęte, żeby dobrze o sobie mówić? OK, dalej.

Ellen z Gregiem powiedzieli, żebym spróbowała skontaktować się z jakimiś ludźmi, którzy pracują ze ssakami morskimi, i spróbowała gdzieś wolontariuszować. No, znaczy pracować za darmo. No więc przeszukałam internet i znalazłam dziesięcioro ludzi w okolicach Bostonu i Cape Cod, do których napisałam e-maile.

Michael Moore, o którego pytasz (słusznie!), był jedyną osobą, która odpowiedziała na mój e-mail. Zgodził się ze mną spotkać i potem wziął mnie do swojego laboratorium w Woods Hole Oceanographic Institution. Ale się cieszyłam!

Dzięki niemu poznałam wielu ludzi, zaczęłam pracować z delfinami, bo on był weterynarzem dla grupy, która powstała akurat, jak ja tam byłam. Ta grupa ratowała delfiny strandujące się... ojej, jak to napisać? Ładujące na mieliźnie na Cape Cod. On także zaaranżował rejs, na którym poznałam mojego przyszłego szefa z Long Island. Pracowałam z nim nad pewnym projektem. To było studiowanie grubości tłuszczu wielorybów biskajskich nad zatoką Fundy. Spędziłam tam dwa letnie miesiące dwa lata z rzędu. Codziennie, o ile pogoda pozwalała i nie było mgły albo wiatru zbyt dużego, wypływaliśmy na zatokę Fundy, szukając wielorybów. Gdy je znaleźliśmy, zbliżaliśmy się do nich łódką, z której wystawała długa pałka z ultrasonografem na końcu. Gdy już byliśmy bardzo blisko bardzo wielkiego wieloryba, osoba, która operowała tą tyczką, dotykała pleców wieloryba przez kilka sekund, a dysk ultrasonografu robił pomiar grubości warstwy tłuszczu. Bardzo fajny projekt. Pewnie marszczysz czoło, ale ja to uwielbiam!

Kiedy już się przeprowadziłam na Long Island i zaczęłam tam pracować, nie miałam częstego kontaktu z Michałem, ale spotykaliśmy się na konferencjach i innych okazjach. Cały czas pracowaliśmy w tej samej dziedzinie i te wszystkie organizacje się znają i współpracują. To świetny fachowiec. Poczytaj o nim w necie 😊

Pytanie 4: Michael zachorował, a Ty oddałaś mu bez wahania swoją nerkę. Dlaczego Wy, jego współpracownicy, zaproponowaliście oddanie każdy swojej nerki? Czy to w Stanach bardziej normalne niż w Polsce?

Julika:

Nie wiem, ja nie wiem, jak to jest normalnie w Polsce, i nie wiem, jak to jest normalnie w Stanach. Nie mogę mówić o motywach innych ludzi. Mogę mówić tylko o swoich.

Kiedy ja się dowiedziałam, że nerki Michaela przestają działać, zaczęłam dużo czytać na ten temat. I tak dowiedziałam się, że opcja dawcy nerki nie jest taka rzadka. W Stanach sześć tysięcy ludzi oddaje nerkę co roku! I przeszczepy nerki są przeprowadzane od trzydziestu lat. Ja bardzo mało o tym wszystkim wiedziałam, prawie nic. Dopiero musiałam się wyedukować.

Byłam u Michaela i jego żony Hannah na obiedzie i Michael mi powiedział, że potrzebuje nowej nerki. Bez namysłu mu ją zaoferowałam, to było spontaniczne. Oczywiście nie wiedziałam wtedy, że ja będę dawcą, bo czekał mnie długi proces różnych badań, no i oczywiście nie wiedziałam, czy moja tkanka będzie kompatybilna genetycznie z jego... Ale była!

Pytanie 5: Jaki proces myślowy doprowadził Cię do decyzji o oddaniu mu części swojego ciała? (Czy to była radość, czy lęk, obawa, wahania?)

Julika:

Na początku, gdy się dowiedziałam, jak bardzo poważny jest jego stan, byłam zszokowana i smutna. Czułam się taka bezradna. To świetny, mądry człowiek! I jak to nie ma dla niego ratunku?! Zaczęłam czytać o żywych dawcach nerek (znaczy, wiesz, nie tych, co zmarli w wypadku). Zaczęłam mieć promyk nadziei i czułam podekscytowanie. Jest szansa!

Jego syn ma też genetyczne skłonności do tej choroby, na którą cierpi Michael – nie mógł być dawcą, żona też nie. Mi-chael umierał. Wtedy się zebraliśmy – jego uczniowie i przyjaciele – ja im wszystko objaśniłam i zgłosiliśmy się, ci, którzy chcieli mu oddać nerkę, do szpitala na badania. Wyszło, że moja była najlepsza w zgodności. A gdy podjęłam ostateczną decyzję, która przyszła bardzo naturalnie, nigdy później już się nie wahałam. Byłam na 100% przekonana, że robię to, co powinnam zrobić. Jako ja i jako człowiek. Brzmi górnolotnie? Trudno. Nawet przez sekundę nie miałam lęku czy obawy. NIDGY. Uwierzysz? Do końca, aż do samej operacji zero wahania.

Byłam szczęśliwa i podekscytowana, nawet gdy mnie wieźli na salę operacyjną i kiedy ze mną rozmawiano, podłączano. Michael czekał, będzie żył, a jego praca to ratowanie setek istnień morskich!

Gdybym ileś lat temu miała tę wiedzę na temat dawstwa nerek, jaką mam teraz, to pewnie bym zaoferowała moją nerkę obcej osobie. Ale wcześniej byłam ignorantem i nic o tym nie wiedziałam.

Afektacja? Nazywaj to, jak chcesz, dla mnie to bardzo naturalne, dobre.

Pytanie 6: Co dzisiaj o tym myślisz? Czy wiesz, co myśli/czuje Michael?

Julika:

Tak, wiem, co myśli i czuje Michael, bo do siebie często piszemy SMS-y.

Zwłaszcza w środy po południu, kiedy Michael daje mi update, znaczy... jak by to powiedzieć... sprawozdanie (?) po swojej co-tygodniowej wizycie kontrolnej w Tufts Medical Center. Dzisiaj Mi-chael czuje się szczęśliwy, jest wyzdrowiony i ma ostry umysł. Mówi, że od wielu lat nie mógł myśleć tak jasno jak teraz. Był zatruty przez chore, źle działające nerki. Niestety cały czas boryka się ze skutkami ubocznymi leków, które bierze. Ale w chwilach, kiedy te skutki uboczne nie są duże, czuje się tak dobrze, jak nie czuł się od trzydziestu lat. Nie jest stale zmęczony i nie czuje się już, jakby go ktoś wolno zatrzymał – to jego słowa. To bardzo dobre wieści!

A ja? Ja się czuję świetnie. Jestem już rok po operacji i gdyby nie małe blizny na brzuchu, nie wiedziałabym, że ją miałam. Nigdy nie czułam żadnej różnicy z powodu braku jednej nerki. Sikam (sorry) jak dawniej i nic się nie zmieniło. Fizycznie – tak jak było. Psychiczenie – czuję, że jestem inna. To mnie zmieniło, ale w dobrym znaczeniu. Czuję, że mam misję w życiu i sens. Oczywiście przedtem też czułam, że moje życie ma sens. Ratowałam zwierzęta, to potrzebne zajęcie, dobre, mające wielkie znaczenie dla natury. Ale nie czułam, że mam misję jako człowiek. Teraz czuję, że moja misja jest taka, żeby mówić o żyjących dawcach nerek i dawać ludziom wiedzę na ten temat. Może dzięki temu ktoś zrozumie, że to nie jest takie straszne oddać nerkę i uratować komuś życie. To, co się wówczas czuje, to jest takie... nieopisane. Takie zwycięstwo! Niedługo zacznę też wolontariuszować w szpitalu – tym właśnie, gdzie miałam operację. Będę pracować z pacjentami, bo ja teraz wiem, co oni czują i jak im mogę pomóc, dać wsparcie, obniżyć ich lęk.

Pytanie 7: Jak wygląda Twoje normalne życie codzienne w Stanach, Twój dzień? Wstajesz i co jesz? Jak jadasz? Regularnie czy z doskoku? Jesteś wege? Gotujesz czy jednak zamawiasz, kupujesz?

Julika:

Pracuję teraz w New England Aquarium w departamencie ratowania i rehabilitacji żółwi morskich i ssaków. Moja nowa praca jest super! Jestem tutaj już od dwóch i pół lat – przedtem byłam na Long Island. Pracuję od środy do soboty, czyli cztery dni w tygodniu, ale po minimum dziesięć godzin na dzień. Trzy dni mam wolne, więc to jest wygodne. Wstaję bardzo wcześnie, około piątej, zwłaszcza gdy mam u siebie Sashę (mojego psa, który ma na imię Sasha i którego dzielę z moim przyjacielem Kenem. Ken mieszka na Long Island, czyli Sasha jest czasami ze mną, a czasami z nim). Wstaję, biorę prysznic, mielę kawę, nastawiam kawiarkę, ubieram się, po czym siadam na kanapie z kawą i albo włączam CNN, albo biorę iPada i patrzę sobie na wiadomości, i przeglądam czasami Facebook, żeby się dowiedzieć, co się dzieje na świecie. Mam wielu przyjaciół, więc mam wieści z innych niż Polska krajów. Mam przegląd od Japonii, przez Europę i USA.

Potem około szóstej wychodzę z Sashą na spacer. Mieszkam na farmie konnej, więc dużo tu terenów do chodzenia. Zaraz obok jest las, gdzie jest fajny szlak wędrowny, a potem dookoła zapuszczonego starego pola żurawin. Spacer zabiera nam trzydzieści-czterdzieści minut w zależności od pogody. Często dołącza się do nas Dani, pies właścicielki tej farmy i domu, gdzie mieszkamy. Ja wynajmuję mieszkanie. To taka przybudówka do domu głównego i jest samodzielna. Mam sypialnię, pokój gościnny,

łazienkę i małą kuchnię. Dla mnie i dla Sashy wystarcza i wszystko tu mamy, co nam potrzebne do życia – włącznie z małą werandą. Po spacerze karmię Sashę, robię sobie śnia-danie i lunch, które jem w pracy. Nigdy nie lubiłam jeść śniadań, jakoś, wiesz, mój żołądek nie lubi jedzenia wcześniej rano. Kiedy byłam mała, to moja prababcia zawsze dawała mi gorące mleko z miodem rano do wypicia przed szkołą, bo ja nic jeść nie mogłam. Wtedy to dlatego, że ja się potwornie stresowałam szkołą i jej nie lubiłam. Każdego ranka mój żołądek był tak ściśnięty ze stresu, że nic nie mogłam jeść. I tak mi zostało już na całe życie. Tyle że teraz, od kiedy pracuję w Aquarium, już się nie stresuję WCALE! 😊

Na śniadanie pakuję zawsze płatki, takie muesli orzechowe, jogurt – waniliowy albo kokosowy – i banana. Na lunch to albo kanapkę z serem i sałatą, ogórkiem itp., albo jakieś resztki z obiadu. Nie jestem wegetarianką, ale staram się jeść produkty organiczne, jeśli mogę (choć są droższe, więc nie zawsze kupuję organiczne), i takie, co nie są przetwarzane, i nie mają dużo chemikaliów. Nie jem szynki i innych wędlin do chleba, bo to wszystko ma jakieś chemikalia – azot, sól itp. Jeżeli mięso, to tylko takie surowe, które sama gotuję – kurczaka, stek. Staram się kupować kurczaki i steki od zwierząt, które były hodowane na wypasie, a nie w jakiejś hodowli bez wybiegu i na sztucznych paszach.

Ryby też jem, ale staram się kupować takie, które są tzw. sustainable seafood, czyli takie, które nie są przełowione i których łowienie nie niszczy dna morskiego i innych organizmów. Jest takie fajne App z Monterey Aquarium, które można włączyć do telefonu i ono podaje informacje, jakie ryby gdzie łowione są sustainable, a których trzeba unikać, bo są przełowione.

Około szóstej czterdzieści pięć wyjeżdżam do pracy, pracuję pod Bostonem w Quincy. Moja praca zaczyna się o ósmej, ale ja lubię być tam trochę wcześniej. Do domu wracam około siódmej. Wieczorem od razu idę na spacer z Sashą, potem jem obiad, mój obiad, trochę TV i spać.

W wolne dni często gdzieś wyjeżdżam – do Vermont odwiedzić Ellen i Grega, nad jezioro do moich znajomych w Plymouth, do Bostonu do Sashy, mojej niebiologicznej siostry, czasami w góry, do New Hampshire. Albo zostaję w domu. Oczywiście w dni wolne chodzę na długie spacery z Sashą i jeśli gdzieś jadę, zawsze ją zabieram. Lubimy chodzić po górach, zwłaszcza w Vermont i White Mountains w New Hampshire. Od kilku lat zaczęłam też grać w tenisa, więc czasami pogrywam z koleżanką z pracy, bo żadna tam ze mnie Serena. W zimie w prawie każdy poniedziałek jeżdżę na nartach. Lubię.

Pytanie 8: Czym jest dla Ciebie Twoja praca? Na czym polega? Wiem, że jeździsz na konferencje, sympozja. Czy widzisz efekty tej pracy? Cieszą?

Julika:

Główny cel mojej pracy to jest rehabilitacja zagrożonych gatunków żółwi morskich. Na całym świecie jest siedem gatunków żółwi morskich, cztery z nich są tutaj, w naszej części Atlantyku. Wszystkie żółwie morskie są pod ochroną i są zagrożone wyginięciem, ale zwłaszcza jeden gatunek, żółw zatokowy, jest najbardziej zagrożonym gatunkiem żółwia morskiego na świecie. Walczymy o niego. My tych żółwi rehabilitujemy dużo, bo każdego roku wiele z nich, małych jeszcze, migruje z Zatoki Meksykańskiej do zatoki Cape Cod w Massachusetts. Potem, gdy przychodzi jesień

i zimna pogoda, a one z tej zatoki na czas nie wypłyną, to jest problem. One nie mogą przeżyć w zimnej wodzie. W listopadzie i grudniu dziesiątki albo setki (nawet ponad tysiąc) tych żółwi wyłazi na plażę, gdy już są tak zimne, że nie mogą pływać (są w głębokiej hipotermii). Wtedy wolontariusze patrolują plażę każdego dnia, znajdują je i jeśli są jeszcze żywe, przywożą do naszego akwarium. U nas przechodzą rehabilitację. Często mają zapalenie płuc i są długo na antybiotyku. Wiosną zazwyczaj przewożymy około trzydziestu zdrowych już żółwi na Florydę, gdzie jest ciepła woda, i tam je wypuszczamy. Moja praca w ciągu tych kilku miesięcy polega na pracy klinicznej – pobieraniu krwi od żółwi, dawaniu im zastrzyków, płynów itp. Ale także na organizacji całego dnia i zarządzaniu ludźmi. Trochę to przypomina taki bardzo zajęty ostry dyżur – ktoś musi to wszystko organizować i mówić ludziom, kiedy, gdzie i co mają robić. To się u nas nazywa operation section chief i ja to często robię.

W pozostałych miesiącach, kiedy nie mamy pacjentów albo jest ich tylko kilku, pracuję nad jakimiś projektami naukowymi lub organizuję workshopy treningowe (po polsku – warsztaty chyba) dla naszych wolontariuszy. Przez lato przygotowujemy się także na następny sezon żółwiowy. No i też w lecie mamy dużo małych fok, które się pakują na mieliznę i często wymagają naszej ingerencji. My nie rehabilitujemy fok, ale jeżeli jest opcja znalezienia miejsca dla nich w innym ośrodku rehabilitacji ssaków morskich, np. Mystic Aquarium w Connecticut, to my je tam przewożymy.

Ja bardzo lubię moją pracę. To moja pasja jest!

Pytanie 9: Pytanie dodatkowe i nie musisz odpowiadać, jeżeli nie chcesz. Jak wyglądało i wygląda Twoje życie osobisto-towa-rzyskie?

Julika:

Ja nie mam rodziny w tym dosłownym znaczeniu, że męża i dzieci. Jestem single, tak się mówi w Ameryce – I'm single. A w Polsce – samotna? Chyba nie. Samotna to smutna, a ja nie jestem smutna. Mam ciekawe życie i dobrych ludzi koło siebie.

Jeśli mam Sashę (psa, kiedy jest u mnie), to mój czas spędzam z nią. Najczęściej chodzimy po górach albo po lasach, na jakieś wycieczki w plenerze. Wielu moich znajomych ma rodziny, dzieci. Mieszkamy od siebie daleko, więc nie mam za bardzo możliwości spotykać się z nimi poza pracą. Mój czas towarzyski głównie spędzam z Sashą (siostrą amerykańską) i czasami dołącza do nas Catherine – siostrzenica przyjaciółki Ellen, która mieszka też w Bostonie. Chodzimy sobie razem do baru na drinki albo na obiad od czasu do czasu, albo sobie coś gotujemy razem w domu.

Jeżeli chodzi o życie takie bardzo osobiste, to od czasu do czasu zaglądam na portal internetowy i mam randki, ale jakoś do tej pory nie znalazłam mojej drugiej połowy. Jakoś mi tego nie brakuje i jestem zadowolona ze swojego życia. Jestem tak niepodległa i samo-wystarczalna, że chyba trudno by mi było dzielić życie z drugą osobą. No ale zobaczymy, nigdy nie mówię nigdy 😊

Czy to Ci wystarczy?

A! Miałam coś o mamie.

Mamę mam naprawdę świetną. Wiele jej zawdzięczam, choć bywało, że na nią krzyczałam – szczególnie gdy mnie zmuszała do lekcji muzyki.

Ja się urodziłam z kilkoma punktami Apgar. Kiepska podobno byłam,

niedotleniona. Lekarz mówił, że mogę być bardzo uszkodzona. Na przykład w szpitalu przyszli do mamy i powiedzieli, że prawdopodobnie jestem głucha. Hałasowali nade mną, robili jakieś doświadczenia i nic. Mama przyszła do noworodków w ko-szuli bardzo przestraszona i załamana. Pochyliła się i mówi do mnie jakby z wyrzutem: „Juliko! Julisiu...” – a ja podobno odwróciłam głowę i otworzyłam oczy. Na mamę. Bo poznałam jej głos. Nie miałam łatwo. Faktycznie byłam jakby cofnięta w siebie. Uczenie się było dla mnie wyzwaniem, a właściwie dla mamy. Jest polonistką. Po wielu wizytach u logopedów i pedagogów, psychologów mama mnóstwo ze mną pracowała. Z takim, pamiętam, niezbyt wielkim magnetofonem na kasety. Pisałam już, że ja się wychowałam bez taty? W domu kobiet! Byłam ja, moja młodsza siostra, mama, babcia i prababcia. Nagrywałyśmy wierszyki na tym magnetofonie, robiłam różne ćwiczenia z głosem i językiem, rysowałam, malowałam i to wszystko, żeby doganiała koleżanki. Strasznie to było trudne, dlatego pewnie nie znosiłam szkoły. Nadto, ach, Pani mnie nie zna, to podsyłam zdjęcie, byłam jak połączenie Ani Shirley z jakąś irlandzką sierotką. Byłam dość cicha, ale jeśli już wybuchłam... No i blada cera, rude, jas-norude włosy i miliony piegów. To też mi życia nie ułatwiło. Siłę zawsze dawała mama. Uczyła, jak mam reagować, jak nie reagować i w ogóle wyrobiła odruch wewnętrzny – to ja byłam ważna, a nie te durne docinki. Pamiętam, jak kiedyś podsłuchałam rozmowę mamy ze znajomymi: „Na studia?! Julika na studia?! Ty ją przecież ledwo przez liceum przeciągnęłaś i jeszcze ta muzyka, basen... Czemu ją zmuszasz? Ona sobie nie poradzi!”. Dodam, że mama, owszem, naciskała na naukę, ale nie ciągnęła, to była przesada. No i słyszę, jak mama mówi dumna i spokojna: „Ale to decyzja Juliki!”. No to znów pytali, co wymyśliłam. I kiedy usłyszeli o oceanografii, to zdechli. Przepraszam, chyba się tak nie mówi już w Polsce. No, zaniemówili. Babcia też była uparta i silna, a moja młodsza siostra to dopiero uparciuch! Takie jesteśmy w tej naszej babskiej rodzinie. Silne i dajemy sobie radę.

Jeśli Pani zechce jeszcze o coś pytać, to proszę bardzo.

Opowiedziałam Michaelowi o tej książce, którą Pani pisze, i że będzie o naszych nerkach. Kazał Panią pozdrowić i powiedzieć, że jestem wielka. Ale to nieprawda. Jestem NORMALNA 😊

Milknę. Mam łzy w oczach. Antek milczy i chyba też jest poruszony. Mówi nagle:

– Faktycznie. Niezwykła dziewczyna! Ale... nie wiem, czy mnie byłoby stać na taki gest. Nie wiem...

Porozmawialiśmy trochę o tym, a ja ośmielona szczerością Juliki znalazłam ją na Facebooku. Na czacie zapytałam, czy mnie przyjmie do grona znajomych i czy mam zmienić w książce jej dane osobowe. „Nie. Po co? Ja to ja 😊 Niczego się nie wstydzę”. I tym zaimponowała mi jeszcze bardziej.

Kiedy ja klikałam z Juliką, Antek czytał jakiś kryminał po angielsku. W ten sposób – mówi – poszerza sobie słownictwo, bo w stoczni to się mówi tylko językiem technicznym. Podziwiam go za tę samodyscyplinę. Usiadłam bokiem do komputera. Tak, że miałam go na oku. Udawałam, że coś czytam, ale tak naprawdę myślałam o zbliżającej

się nocy. Jak to teraz ma być? Mój pokój sprzątnięty ze szkła, Antek-Tosiek odkurzył i to bardzo dokładnie, ale nie ma tam nowej pościeli. Tak miłe powiedział o wspólnym śnie... Mam już od teraz spać z nim? Ja chętnie, bo było naprawdę zaskakująco, bo podoba mi się jego uścisk i bliskość, ale czy on? Czy na pewno chciałby? Może nie? No ale skąd wobec tego tyle ciepła w jego oczach?

– Skończyłaś już? – Złapał mój wzrok. – Może kolacja i, jeśli chcesz, spacer przed nią? Patrz, cisza jak makiem zasiał, żadnego wiatru, spokój. I chyba całkiem miły wieczór.

– O tej porze już tak ciemno? – Zdziwiłam się.

– W Polsce pewnie jeszcze jasno. Ludzie siedzą w kawiarniach, na tarasach. Czytałem, że jest piękna jesień. Tu inaczej, bo tu zawsze właściwie o tej samej porze robi się ciemno.

– Fakt, mówiłeś. A kawiarnie i tarasy?

– Może w centrum? Zapewne w Seulu też. To jest dzielnica portowa z kilkoma barami z wódeczką i restauracjami. Może jakieś dwa ogródki od głównej ulicy... Szkoda, co? Tego mi tutaj brak, tej atmo-sfery miast europejskich, południowych. Nawet kiedy byłem w Finlandii, latem urządzano ogródki piwne, kawiarniane...

Ładnie mówi. Patrzy na mnie ciepło i opowiada. Jest jakiś inny niż wcześniej. Może powoli zdejmuję zbroję?

– Zostańmy w domu – proponuję.

Po kolacji szukamy po kanałach fajnego filmu.

– Gdybyśmy niczego nie znaleźli, to patrz, mam bogatą płytę-tekę.

– Ściągasz czy kupujesz?

– Ja jestem starej daty i... kupuję. Wiem, że wielu moich kolegów ściąga i że tu praktycznie nic nam nie grozi, i może mają mnie za frajera, ale kupuję.

Poszukać czegoś fajnego? Nie trzeba było, bo trafiliśmy na *Osiem i pół* Felliniego na kanale japońskim. Wychyliliśmy po kieliszku jakiegoś wina, a japońskie postsynchrony ubawiły nas tak, że zaśmiewaliśmy się serdecznie i, jak to bywa na filmach, całkiem nagle zaczęliśmy się całować.

Wylądowaliśmy w Antkowej sypialni, w jego dużym łóżku z moskitierą. Tym razem było spokojniej, wolniej i z masą czułości. „Niechby się to nie zepsuło!” – pomyślałam, gdy po powrocie z łazienki ułożyłam się w jego ramionach. Poprawił mi włosy, bo mu chyba włożyły w nos, i pocałował w czubek głowy.

– Marianna – mruknął

– Ale że co? Że Marianna?

– Też chyba wymyślę ci skrót. Oboje mamy nieporęczne imiona. W łóżku głupio jest mówić do siebie pełnymi imionami, a do tego jeszcze w wołaczu? Masz rację, wymyślę ci jakieś zdrobnienie, Maniu.

Przytuliłam się do niego.

Fajnie mi. Ciepło i bezpiecznie w jego ramionach. Fala tkliwości zalała mnie tak, że prawie odebrała oddech. Nie czułam się tak z Ofelią ani z Mirkiem. Może kiedyś, bardzo dawno temu na poddaszu u taty, ale potem już nie. Konstanty Ildefons napisał o podobnym wzburzeniu: „Nie śpię. I śpiewam. I jest mi tak dobrze, jakbym był

połączonym orzechem”.

- ...połączonym orzechem – powiedziałam cicho.
- Co mówisz?
- Nic, nic. Śpijmy.

Całkiem zwyczajne dni

Wstajemy razem, razem jemy, potem Antek idzie do stoczni, dając mi buziaka i przytulaka, jakbym była jego ukochaną. No... bo może jestem jakąś jej namiastką? A on? Czy jest moim ukochanym? Ukochankiem raczej na razie. Nie wiem, czy czuję w sobie miłość, za-kochanie. Z pewnością jeszcze nie jest to burza, ale jest w tym czułość i coś nieokreślonego, miłego i zaskakującego. Lubię z nim rozmawiać, lubię na kanapie w pozycji niemal półleżącej oglądać filmy i programy. Lubię tę chwilę, gdy około dwunastej słyszę na klatce jego stąpanie. Rozróżniam kroki sąsiada z góry i kroki Antka. Staram się gotować mu smacznie, w ogóle się staram. Coś podobnego! Staralam się dla Lilki. Dla Włodeczka, starego mojego czorta też bym się starała, bo mimo złośliwości z obu stron kochaliśmy się dziwną miłością. On plótł jakieś słodkie bzduki, adorując mnie, ale kochając jak córkę, jak najlepszego kumpla. A ja się opędzałam, ale też go kochałam jak córka, siostra, koleżanka z wojska. Pewnie jako duch siedzi teraz na lodowce i śmieje się z moich rozterek.

– Nie śmieć się, diable rogaty! – ofukuję go, wycierając kurz.

– Ja? – odzywa się, tłumiąc chichot. – Dziecko, to miłe patrzeć, jak ci się serce wkręciło w ten romans.

– To żaden romans!

– Tak? To oświeć mnie, co to jest. Jako duch mogę wszystko, ale dyskrecję zabrałem ze sobą całkiem ziemską i do sypialni wam nie zaglądam. Powiedz staremu – fajnie jest? Lepiej niż z tym osiłkiem z siłowni?

Milczę czerwona jak burak. Fakt, jako duch może siedzieć choćby i na suficie i gapić się na nas w nocy. No ale skoro mówi, że nie...

– Inaczej.

– No opowiedz JAK!

– Zwariowałeś?! Włodek, przeginasz!

I robię zamach szmatką do kurzu w kierunku lodówki.

– No, nie o szczegółach technicznych, Mańka! Proszę cię, rusz głową!

Ruszam. Tak, on chce, żebym o tym myślała, definiowała, jakoś to ułożyła w sobie.

– Jest inaczej, Włodeczku. Z Jarkiem-Ofelią to był mocny i rados-ny bezmiłosny seks.

– Bezmiłosny?! A kto się niemal zakochał jak pensjonarka? – kpi ze mnie nieludzko. – Nawet chciałaś się z nim wiązać! Całe szczęście, że on mądrzejszy od ciebie!

Wstyd mi. Prawda, na krótko straciłam głowę. Wyobrażałam sobie, że moglibyśmy być razem, chociaż on nieczytający, mało elokwentny i olewający wiele z tego, co dla mnie ważne.

– Włodek... Inaczej, bo coś mnie zaskoczyło. Wspólne spanie, którego nigdy wcześniej nie lubiłam. Od lat sypiałam sama. Dopiero potem z chorującą Lilką, ale to, wiesz, insza inszość. Antek jest zupełnie inaczej reagujący, a spanie z nim, znaczy sen, to poplątanie ciał w łóżku. To dotulenie jest zaskakująco fajne.

Cisza. Nie ma już Włodka, odfrunął.

Na schodach słyszę kroki. Ziemiaki dochodzą. Zaraz usłyszę: „Jestem już!” – i stwierdzam, że pełna radości CZEKAM na Antka!

– Jestem już!

Okolo pierwszej wychodzi, a ja mam przed sobą kilka godzin, a dokładnie cztery i jakieś piętnaście minut bez niego. Dla siebie, dla tekstu, dla korespondencji albo mogę to urozmaicić basenem, fitnesssem, spacerem, albo nie, spacerem nie, bo na spacer czy do śródmieścia pojedziemy razem.

Redaguję tekst o Julice, szybko, składnie, bo poprawek wiele nie trzeba. Intryguje mnie ten jej wybór, decyzja. Myślę o niej intensywnie. Chciałabym się z nią spotkać, sprawdzić na żywo, spojrzeć w oczy, usłyszeć, jak mówi – spokojnie czy nerwowo. Szybko mi zeszło. Teraz poczta. Mail od taty, że wszystko dobrze, że Anusia (!) dba o niego i że dość dobrze poszedł sezon, że połowa nakładów się zwróciła, ale to mało, bo zima to martwy czas i dopiero za rok będzie można mówić o zyskach. No i co u mnie. Mój kochany papcio dołącza swoje zdjęcie zrobione pewnie przez Ankę telefonem. Bez niej, bo wyczuwa mój grzyb, że nie zachwyca mnie jego pani.

Powinam do niego napisać porządny mail, bo cóż on winien, że ja mam focha.

Kochany Tatku!

Zadziwia mnie ta Korea. Południowa, oczywiście. Spodziewałam się czegoś znacznie bardziej... egzotycznego, odmiennego, a tu nawet budownictwo wielkopłytowe jest na wyciągnięcie ręki. To pozór, Tatku. W rzeczywistości Korea jest inna niż to, co widziałam – niż Indie, nie mówiąc już o Europie. Zresztą piszę „Korea”, ale mam na myśli okolice Ulsan, choć Antek twierdzi, że reszta nie odbiega od tego, co widziałam.

Co widziałam? Miasto zbudowane inaczej niż stare miasta Euro-py, w których zawsze jest jakiś plac, rynek, coś centralnego. Tu tego nie ma i Antek zapewnia, że zarówno w Pusan, w Daegu, Mokpo czy Seulu nic takiego nie istnieje. Tu szybko się wyburza stare (i niepiękne, bo rokokokowych domów ani klasycyzmu, ani belle époque, późnego art déco tu nie ma). Stare nieładne kamienice ustępują miejsca nowoczesnemu budownictwu i dlatego w centrum Ulsan stale gdzieś stoją parkany, a za nimi wre robota. Bo każdy dom mieszkalny, biurowiec albo centrum handlowe MUSZĄ mieć podziemne parkingi, więc robią wielkie i głębokie wykopy. A potem fik-mik i stoi wielgaśny dom!

Jacy są ludzie? Nade wszystko czarnowłosi i skośnoocy. Na nas mówią „długonosi”, bo sami mają nosy azjatyckie. Z tego, co wiem, Azjatki wydają masę pieniędzy na zrobienie sobie ślicznych nosków nieazjatyckich.

Małe dzieci są tak śliczne, że gapię się na nie nieprzyzwoicie. Posyłam Ci trochę zdjęć, prawda że fajne pyszczki? Pozwalają fotografować, bo ja zawsze pytam. Ulica kolorowa, bo starsze Koreanki lubią kolory, a młode odwrotnie – wolą półcienie, szarości, beże i... kolory neonowe, krzykliwe, jak to dzieci. Przebojem są grube neonowo świecące ledzikami podeszwy dziecięcych butków i kółko w podeszwie, dzięki któremu bachorki jeżdżą na bucie jak na hulajnodze. Pomyślałbyś?

W weekendy wybieramy się zazwyczaj za miasto i Antek pokazuje mi góry. Piszę zdrobniale, bo nie są to Himalaje. Ot, góry, a w nich mnóstwo wędrujących ludzi. Pozdrawiają się i włączają na szczyt, żeby tam usiąść i radośnie zjeść posiłek. I schodzą. Ale też na tych górach są piękne azjatyckie świątynie. I po tym wędrowaniu zahaczamy o jakąś koreańską jadłodajnię.

Poznaję tutejszą trudną kuchnię. Trudną, bo piekielnie ostrą. Już się tego nauczyłam, jak też jedzenia pałeczkami. Mogę poprosić o widelec, ale jestem już zaznajomiona z techniką i pałeczki stały się nagle wygodne i sensowne 😊 Najfajniejsze są tu grille w stolach, bo to ulubiony sposób uctowania Koreańczyków. Obsmażają sobie na nich mięso i zjadają, zawijając kęsy w różne jadalne liście. Bez frytek, klusek i ryżu też. Taki obiad jest zdrowy i sycący, ale nie zalega jak nasze ciężkie pieczenie z kapuchą i pyzami.

Sklepy są samoobsługowe i mają na półkach prawie wszystko, co mi potrzebne w kuchni. Brakuje mi tylko śmietany i... szarych renet na szarlotkę, bo tutejsze jabłka są piękne, dość wyraziste w smaku, ale za słodkie.

Ciekawa ta Korea, Tatku. Antek opowiadałby Ci godzinami o cudach techniki. Niedaleko nas w Pusan są niezwykle most i tunel podwodny na wyspę Geoje. Tunel był budowany na lądzie od razu z dwoma pasami ruchu! Jeden taki blok ma sto osiemdziesiąt metrów długości, a był kładziony na głębokości czterdziestu ośmiu metrów na dnie morza. Wyobrażasz to sobie? Żadne damskie czaso-pismo nie kupiłoby tekstu o tym, wiem, ale słuchałam jak zaczarowana, kiedy mi Antek o tym opowiadał i polecił film na kanale YouTube o tym tunelu.

Na końcu tekstu wrzucę Ci linka. Obejrzyj!

A ja tu? Wspaniale, powoli i na luzie. Odpoczęłam, wypałam się i odbiłam od zeszłego roku. Naprawdę. Antek jest troskliwy i fajny. To pojemne określenie Tatku, zawiera w sobie wiele dobrych cech – jest inteligentny, pracowity, ogarnięty i odważny. Jak Ty! Ale też przystojny i ma poczucie humoru.

Nie sądziłam, że to będzie aż takie proste – poznanie go w internecie i nierozczarowanie się. Tak, Tatku, bo ja Antka poznałam niby na Wisłostradzie, ale wówczas zrobił na mnie kiepskie wrażenie. Dopiero niespieszna korespondencja pokazała jego niewątpliwie inną stronę medalu. Zazwyczaj ukrywamy jakieś swoje cechy 😊

Zawodowo, Tatuśku, jakoś mi idzie. Pisałam Ci? Mam opisać kilka Polek prowadzących w świecie dziwne żywoty. Na tyle dziwne, żeby były warte opowieści.

Już mam opracowaną pierwszą moją respondentkę. Młoda kobieta, samotna,

oddała nerkę swojemu mistrzowi – profesorowi, światowemu specjalście w dziedzinie ochrony żółwi morskich i wymierających delfinów. Poznałam też Olę i Wieśka – jedynych tu Polaków w naszym wieku. Ola jest ćwierćkwi Polką. Też ma ciekawy życiorys, choć nie tak jak owa Polka ze Stanów Zjednoczonych.

Ściskam Cię. Pisz do mnie, co tam u Ciebie.

Mania Baranek

O, tu masz o tym tunelu: [youtube.com/watch?v=Xr2HAJXPP2A](https://www.youtube.com/watch?v=Xr2HAJXPP2A)

Wyskoczyłam jeszcze do sklepu po drożdże, ale dopiero koło budki portiera zastanowiłam się, jak je, u licha, znaleźć. Mogłam jakoś sobie poradzić w domu z translatozem, który jest w necie, i wydrukować nazwę koreańską, ale zapomniałam. Wybiegłam spontanicznie, myślałam o papataczach, czyli pszennych ślimaczkach z cynamonem. Z pewnością Antkowi posmakują, bo mężczyźni w ogóle lubią cynamon. O, a cynamon jak będzie po ichniemu? Muszę być mniej romantyczna, a bardziej rozważna – pomyślałam i weszłam do naszego osiedlowego sklepu. Musiałam się zabawić w pantomimę, żeby pokazać kierownicze, o co mi chodzi. Śmiała się, ale zrozumiała, że nie potrzebuję *baking soda*, tylko drożdży! Ich działanie musiałam jej pokazać, wskazując na mąkę i paczkę grzybków enoki. Były tylko proszkowane suche, ale i tak dobrze, że były. Cynamon z angielską nazwą był najnormalniej w przyprawach, nawet nie musiałam prosić o pomoc.

Kierownicza naszego sklepu w niczym nie przypomina ugrzecznionej Koreanki. Jest postawna, ma długie włosy, nosi dzinsy ładnie opięte na jej sylwetce i jest bardzo energiczna. Personel to panowie i panie – widać, że ma u nich posłuch i szacunek. Taka trochę Angelica z *Piratów z Karaibów*.

W domu okazało się, że cynamon leży w pudełku Tośkowych przypraw, więc dołożyłam ten kupiony. Rozrobiłam drożdże z mlekiem, mąką i cukrem, zrobiłam kogel-mogel i stopiłam masło z oliwą. Zobaczyłam też z radością koreańską herbatkę z cytryny – czyli konfiturę ze skórkami – to będzie z cynamonem znakomite smarowidło do papataczy.

Pchły ciastkami zwykle gardzą,

Nasza zaś lubiła bardzo

Tartoletki, papatacze,

Ptysie, bezy i sękacze,

Rurki z kremem, tort z wiśniami

I babeczki z malinami

– wyrecytowałam kawałek *Pchły Szachrajki*, którą moja mama знаła całą na pamięć i mówiła mi do snu, gdy byłam mała. I kiedyś zajęło mnie to, czym są tartoletki i papatacze. Czy to wytwór wyobraźni Jana Brzechwy, czy faktycznie nazwy ciastek? Bingo! Najprawdziwsze nazwy! A papatacze to ukochane moje cynamonówki, które zamrożone kupowałam w IKEA, a dzięki Juli – czyli przyjaciółce Mirka – nauczyłam się robić w domu. Julia robiła masę cynamonową z masła, cukru i cynamonu, potem zmodyfikowała to o syrop klonowy, a ja za nią. Teraz czuję się jak wynalazca, bo ta herbatka, czyli konfitura cytrynowa, znakomicie podniesie cynamonowy smak i złamie słodycz cukru.

Wyjątkowo zachwycona moim wypiekiem postawiłam je gorące na stole, gdy wszedł Antoś i od progu omal nie zemdlał, wachając powietrze pełne aromatu. Miałam rację – mężczyźni uwielbiają cyna-mon!

– Ale nie w piwie! – zastrzegł i zapytał, czy może wypić piwo, czy dokądś jedziemy.

Nie mam pojęcia czemu ten jego zachwył sprawił mi tyle frajdy. Patrzyłam na niego, jak wcina te papatacze, śmiejąc się z nazwy i mlaszcząc teatralnie...

– Chodź, trzeba to wyłazić, jest piękny wieczór. Pójdziemy na spacer. Albo wiesz co? Może damy radę zagrać w kręgle? Dzisiaj jest w telewizji jakiś mecz ichniej reprezentacji, więc może kręgielnia nie będzie aż tak obstawiona?

W mailu do Reginy tak to opisałam:

Królowo Ty moja!

Czemu ja Ciebie dawniej tak blisko nie czułam? Już Ci pisałam, że przyjaciółce nie mam, ale dzisiaj Tobie mogę powierzać własne tajemnice i sprawy. Nie przeszkadza Ci to?

Otóż wspaniały wieczór był w sobotę. Napiekłam papataczy – dasz wiarę, że to dawna nazwa ślimaków drożdżowych z cynamonem? I Antek je zjadał z błogim wyrazem twarzy, a potem wycalował mnie po rękach – taki był zadowolony. Napisałabym chętnie „ukontentowany”, ale mogłabyś pomyśleć, że mi na rozum padło. A ja tak lubię czasami staropolszczyznę! I pasowałyby to do niego, bo wiesz... miły jest nad miarę. Zaskakująco fajny, inteligentny i z poczuciem humoru. Mieszkam sobie u niego i jest mi dobrze. Prowadzę życie drobiu domowego i zupełnie mi to nie przeszkadza. Reniu – WCALE! Powoli sobie przędę literaturę zadaną mi przez panią redaktor, której szepnęłaś, że jestem w potrzebie. Już złapałam pierwszą ciekawą dziewczynę i... złapię inne.

Pokażemy, że gdy się wyjeżdża z Polski, to nie tylko z potrzeby kasy i lepszego życia w sensie zarobków i udogodnień. To OCZYWIŚCIE jest bardzo ważne, ale zdaje się, że z takimi dziewczynami robi wywiady kto inny. Ja jestem od takich, które z własnej woli mają życie wykręcone jak faworek. Mieszkam w zwyczajnym domu, zwyczajnie robię zakupy i zwyczajnie pitraszę obiadki Antkowi, i kompletnie mnie to nie uwiera. Feministki zeżarłyby mnie, że mało ambitnie i brekekeks, mówiąc Wańkowiczem. Ale ja tego teraz

potrzebuję, bo po tych niemiłych próbach załapania się gdziekolwiek i po dziwnym oddaleniu się od taty (pisałam Ci? Babę ma!), po zalaniu mieszkania i menopauzie stwierdzonej oficjalnie, pragnęłam poczuć się taka... potrzebna i wyciszona. Muszę nabrać sił.

Po tych ślimakach z cynamonem wyszliśmy wczoraj na kręgle. Tu blisko. Pierwszy raz byłam w kręgielni (chciałam napisać „krąg-larni”, co świadczy tylko o tym, jaką jestem w tej dziedzinie ignorantką). Kapitalne to było! Byliśmy we dwoje i gdy już złapałam z grubsza, o co chodzi, walczyliśmy zaciekle! Napiwieni i ubawieni wracaliśmy do domu przez nasze brzydkie i pagórkowate osiedle. Trzymaliśmy się za ręce.

Ty wiesz, jakie to mile? Kiedy mnie Mirek trzymał ostatni raz za rękę podczas spaceru, po Ziemi jeszcze biegały dinozaury! Jakie to jest urocze uczucie – zarówno gdy się ma naście lat, jaki i... dziesiąt! Lubię te jego spore, męskie i miękkie dłonie.

Uściski

Mańka

Odpowiedź miałam już następnego dnia po południu, akurat gdy wróciliśmy z obiadu.

Maniuśka!

Jak miło, że mnie uważasz za kogoś bliskiego. Bywa tak, że z powodów zawodowych zależności nie może się rozwinąć przyjaźń. Albo może to jeszcze inaczej? Może jak u Honoriusza i Eweliny – korespondencja wspaniała i uskrzydlająca, a real już nie czarował?

A teraz przyznaj się: macie romans? O co ja pytam?! MACIE! I wiesz co? Bardzo, bardzo chciałabym, żeby Ci się udało – choć to nieco zaskakujące ten Wasz... związek (?). Gdyby nie moja Kasia, która de facto Cię namówiła na ten wyjazd, ostatecznie pewnie bym Ci truła, żebyś uważała, że wszak go nie znasz, że ble-ble-ble... A tu, jak widzę, nie muszę się trząść jak o córkę. Podeslij jakieś Wasze zdjęcia, zrób selfiki, bo w tym stroju szoguna na zdjęciach, jakie mi wysłałaś, już mi się opatrzył.

Uściski

R.

Curry

Poniedziałek. Cisza i spokój po wyjściu Tośka do pracy. Ledwie wyczuwalny przeciąg porusza firanką. Lodówkę mam pełną po niedzielnej wizycie w Daegu, w wielkim sklepie *à la* nasze Makro Cash. No jednak tam są z grubsza inne towary niż w osiedlowym sklepie i w miejscowych marketach. Po prawdzie to hurtownia z możliwością kupowania drobnicy, ale też skład produktów dla restauracji. Fajnie było się przejechać. Niebo od rana się zasnulo i wypad turystyczny nie wypalił. Podobny pomysł miało masę rodzin, ale nic to – ja lubię obserwować, zwłaszcza że tu jest nieco milej niż w Polsce. Ludzie nie są aż tak napięci i naburmuszeni.

Kupiliśmy skrzynkę dobrego i taniego wina, kawałek polędwicy wołowej, której w sklepie nie uświadczę – bo Koreańczycy nie cenią chudego mięsa, nadto polędwicę z rzeźni kupują na pniu *steak house*'y i inne restauracje z kuchniami świata. Kawał pięknego świeżego tuńczyka na dwa spore obiady, dwie paczki pierożków *gyoza*, bo Antek zapewnił mnie, że są świetne, nową deskę do krojenia, chemię domową, papier toaletowy i fantastyczną bawełnianą, patch-workową lekką kołdrę do spania. Będzie zamiast amerykańskiego stylu prześcieradło i koc. Fajna, w stylu English Home.

Antek się śmiał, spytałam więc, o co mu chodzi.

– Urządzasz dom – wyjaśnił. – Tak się cieszę!

– Bo?

– Bo to znaczy, że się tu dobrze czujesz! Cieszę się – powtórzył i pocałował mnie w czubek głowy.

Tak więc dzisiaj grillowany tuńczyk, sos cytrynowy i ryż. Mam czas na... nicnierobienie albo na fitness. O! Fitness! Przebrałam się i poszłam do klubu, w którym cisza i pusto. Sama jestem, sama sobie ćwiczę i oglądam na wiszącym ekranie kanał dla ekspatów Arirang. O tej godzinie Francuz o ewidentnie indyjskich korzeniach, Benjamin Joinau, kapitalnie opowiada o tutejszej kuchni. Wędruje sobie pokornie po Korei, zagadując a to gospodynie domowe, a to kucharzy w knajpkach, a to mnichów gromadzących wiedzę o starych recepturach i kulturze kulinarnej. Już wiem, że tutejsza kuchnia w całości wraz z całą jej historią i tradycjami nazywa się *hansik*.

Do mojej samotni wchodzi Europejka zaciekawiona tym, kto tu jest, bo najwyraźniej nie jest ubrana do ćwiczeń.

– *Hello! Where are you from?* – pyta mnie i wyciąga rękę. – *I'm Marina from Russia.*

– *I'm Marianna from Poland.*

Dalej już rozmawiałyśmy po rosyjsku, bo w szkole byłam dobra z tego języka i nalegałam, żeby go sobie trochę poćwiczyć.

Marina wyjaśniła, że robi nabór do grupy ćwiczącej *belly dance*, i zapytała, czy nie chciałabym spróbować, bo zapewne jak prawie każda Europejka nie pracuję. Oczywiście początkowo gwałtownie zaprzeczyłam. Ja? *Belly dance*?! W życiu. No jak? Jestem po pięćdziesiątce, nadto, patrz, Marina, ćwiczę, bo mam boczki i brzuszki do spalenia. A ona mi na to wyjęła zdjęcie siebie pyzatej i mówi, że tak wyglądała kilka lat temu, po dziecku. A tańca brzucha uczyła się w Dubaju, bo tam pracował mąż. I raz, że tłuszczuk nie

przeszkadza w tym tańcu, dwa – nawet pomaga, i trzy – ten taniec zwraca kobiecie-coś.

No... nie wiem. Może jestem trochę kłocowata, ale żeby zaraz taniec brzucha?

– To moja nowa grupa, bo jedna już mi się skończyła. Dziewczyny się porozjeżdżały do domów. Prowadziłam tu, w Korei, zwyczajną grupę fitness, ale to takie... bezduszne. *Belly dance* daje wielką radość. Zobaczysz!

Obiecałam, że wpadnę.

Zdażyłam tuż przed przyjściem Antka. A gdy wyszedł, włączyłam komputer i... straciłam z godzinę, oglądając taniec brzucha. No... piękne to i bardzo kobiece, prawda.

Z zachwytu wyrwał mnie hałas na schodach. Wyrzłam i zobaczyłam otwarte drzwi *vis-à-vis* naszych, masę tobołów i niosącą sporą torbę śliczną Hinduskę. Ukłoniła się i pokazała rząd zębów białych jak śnieg. Jest młodsza ode mnie, w dzinsach i kolorowej narzutce typu duża męska koszula. Odkłoniłam się i uśmiechnęłam. Najszerzej, jak umiałam, i pomyślałam, że w Polsce chyba by mnie nikt tak nie witał w nowym miejscu życia. Potem jej mąż wniósł na górę kolejny tobołek – już chyba ostatni – i też pokazał szeroki uśmiech. Lekko szpakowaty i chyba za młody na te siwe włosy błyszczące mu na skroniach, przystojny. Nie zamknął drzwi, tylko odstawiwszy paczki, wziął żonę za rękę. Wyszli z mieszkania i stanęli... przede mną. Złożone jak do modlitwy dłonie, skłon i powitanie.

– Rasul – powiedział on.

– Lali – powiedziała ona.

– Marianna – powiedziałam ja, skłaniając się jak oni i składając podobnie dłonie.

Lali przeprosiła i od razu wbiegła do domu. A on powiedział, że teraz będziemy sąsiadami i że mu miło. I na moje pytanie odparł, że tak, pracuje w stoczni, oczywiście. Głupio zapytałam, bo to przecież stoczniowe osiedle. Rasul poszedł pomóc żonie rozpakowywać się, więc zamknęliśmy drzwi – oni swoje, a ja swoje.

No! To wyjaśniło się, czemu nigdy nikogo nie widywałam w tym mieszkaniu. Było puste. Zresztą jak się zdażyłam zorientować, nad nami mieszkał jakiś ogromnie tajemniczy albo nieśmiały... Duńczyk? Szwed? Kiedyś pomógł mi wnieść torbę z ziemniakami, bo niosłam też wielopak piwa i kiepsko mi szło otwieranie drzwi. Coś tam bąknął na uprzejme pytanie, skąd jest, ale nie zrozumiałam. Pan się zmieszał, postawił mi zakupy pod drzwiami i tyle go widziałam. Drugie mieszkanie na drugim piętrze, to naprzeciwko nieśmiałego Szwedo-Duńczyka, jest chyba puste, bo zasłony są zawsze zaciąg-nięte, a loggia zamknięta.

Na parterze inżynier, chyba Chińczyk, mało sympatyczny. Choć nie pracują razem, to Antek twierdzi, że nie odzywa się do nikogo. Raz na jakiś czas widuję w jego mieszkaniu kobietę, to chyba jedna z pracownic administracji – jak twierdzi Antek. Zapewne nie jest zadowolona z tej pracy, bo mimo mojego uprzejmego ukłonu nie reaguje, a na moje wesołe „*Anaseyo!*” odburknęła tylko swoje i schowała się do środka. Wpada tu i z miejsca słyszę pralkę, potem na loggiach Chińczyka wisi pranie. Chyba w ogóle wszystkie szmatki z jego mieszkania – koce, koszule, piżamy, ręczniki, pościel. I słyszę odkurzacz, a na podwórze pani wylewa co i rusz wodę z wiadra i wraca, a po jakimś czasie ustawia koło śmietnika po kilka worków ze śmieciami.

– Taak? – Antek zdziwił się ogromnie. – Ty to jesteś spostrzegawcza! Taki z niego

niemot?

– Tak. Ona się urabia u niego, ale przynajmniej za pieniądze, co?

– No chyba tak, choć jeśli to Chińczyk i to taki niemiły, to i pewnie skapiradło. Oni nie lubią płacić – zakończył Antek.

Z Chińczykiem sąsiaduje też jakiś samotnik. Brytyjczyk albo Kanadyjczyk. Antek nie wie, a ja nie dopytywałam. Widziałam go może z pięć razy. Przypomina zmarłego niedawno Johna Hurta. Też ma worki pod oczami, włosy rano ulizane na mokro, a po południu w nieładzie. Przygarbiony i stale zamyślony – albo takiego udaje. Nosi kraciaste marynarki i pożera pizzę tonami, bo na jego loggii stoi duży plastikowy worek, do którego wkłada puste opakowania. Lubi stary jazz, bo czasem popołudniami słyszymy, jak włącza Charliego Parkera, Ellę Fitzgerald, Glenna Millera czy Scotta Joplina. O! Zacnie!

Czyżbym poza panią Koreanką sprzątającą była tu do tej pory jedyną kobietą? Tu, u nas, bo w domu po prawej jest sporo mieszkań, a w nich jakieś Brytyjki – młode mamy z dziećmiakami.

Kiedy Antek przyszedł z pracy, usłyszałam od progu:

– CZUJESZ?

– A... co? – spytałam mało przytomna, bo głądziłam z kimś na Fejsie naturalnie o polskich sprawach. Drzewa wycina się na potęgę, bo weszła w życie nowa ustawa. Chciałam o tym powiedzieć Antkowi, ale zaraz poczułam, o co mu chodzi. Razem z nim wtargnął z klatki schodowej zapach curry. Ostry, mocny i... bardzo apetyczny. Aż dostałam ślinotoku.

– To ty? – zapytał chyba z nadzieją, ale u nas w kuchni nie pachniało curry. Nic a nic! Na kolację wymyśliłam pastę jajeczną. Czyli kanapki z nią. Żaden cud.

– Nasi nowi sąsiedzi – odparłam. – Lali i... Rasul – przypomniałam sobie ich imiona.

– Przyjechał z żoną? – spytał Tosiek.

– Kto?

– No, ten z naprzeciwka!

– To wy się znacie?

– No nie, mijaliśmy się. On tu mieszka, ale ostatnio chyba wyjechał na urlop.

– Aaaaa – domyśliłam się. – Dlatego tam było pusto i cicho! Wrócił. Z żoną. Taki szpakowaty?

– Czy ja wiem? Nie przyglądałem się mu. Z żoną? To fajnie!

– Czemu fajnie? Bo będzie miał ugotowane i uprane?

– A choćby i to, ale ty wiesz, Marianna, jak my tu cierpimy na samotność...

A jeszcze Hindus to, wiesz, religia mu zabrania.

– Czego?

– No... innych kobiet!

– Świetnie. To religia ma was facetów trzymać na sznurku przyzwoitości? Nie umiecie sami utrzymać ptaka w spodniach? To takie trudne?! – oburzyłam się, choć starałam się nie być kąśliwa, bo nie przyjechałam go wychowywać. Ale ciekawe, co powie. No? No?

– No wiesz, ja jestem niewierzący i mnie nie religia trzyma w ryzach, ale jakiś

rodzaj przyzwoitości osobistej. I choć nie mam już żony, bo, jak ci mówiłem, pofrunęła z kolegą i mógłbym tu z kwiatka na kwiatek, to naprawdę wolałbym stały, może niemodny analogowy, jak mówią, związek.

– To dziwne – powiedziałam.

– ?

– Stereotyp mówi, że mężczyźni uwolnieni z krępujących więzów sami głowy w obrożę nie włożą.

– Zaraz. Gdzie ja czytałem takie zdanie? Czekaj, czekaj... A! Już wiem! Karol tak mówi. Przyjaciel Wieśka i Oli, ten, co wyjechał do Dubaju. Serio masz mnie za stereotypowego samca? – Miał w głosie zawód.

– Ja jeszcze nie wiem, za kogo cię mam! – odpowiedziałam i przyniosłam kanapki z pastą. – Tak czy siak, z lekka się dziwię, że skupiłeś swoją sympatię na mnie, a nie jakiejś pięknej laseczce.

– Ale po co mi piękna laseczka? Maryniu! – jęknął. – Już ci to tłumaczyłem! Śliczna, szczupła, pachnąca i doskonała? Po co mi?

– No żartujesz? – Już nie kpię. – Każdy się o taką modli.

– Ja nie jestem każdy, a taki chodzący i młodziutki cud tylko by mnie krępował. Popatrz na mnie. Jestem stary, siwy... Ja chcę mieć koło siebie kobietę mądrą, bo chciałbym móc z nią rozmawiać i podziwiał świat, żeby była fajna, dobra i ciepła. Miałbym wtedy sto procent pewności, że jest ze mną... A dajmy spokój... Nie swataj mi lasek. Ciebie chcę i... tych kanapek, bo uwielbiam pastę jajeczną!

– No właśnie! – Roześmiałam się. – Wyszło szydło z worka! Ty mnie lubisz za żarcie!

– Oczywiście! – odkrzyknął z pokoju.

Poszedł wziąć prysznic, więc chwyciłam za śmieci, żeby je wynieść. Gdy wracałam, na schodach spotkałam Rasula. Szedł z samochodu z jakimiś drobiazgami. Był już w domowym stroju – lnianych spodniach i szarej długiej koszuli. Bąknęłam coś o pięknym zapachu i po kilku minutach usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Lali i Rasul zaprosili nas do siebie na... zapoznawcze curry. Najzwyczajniej poczęstowali nas własną kolacją, a Rasul ucieszył się z piwa, które przynieśliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, czy przypadkiem nie popełnimy nietaktu, bo może oni są ortodoksyjni? Niepijący? Ale Tosiek zauważył przytomnie, że jakby co, zwyczajnie to powiedzą.

Okazało się, że Rasul pija piwo chętnie, lubi też wino, poza tym oboje urodzili się w Anglii i są mocno zeuropeizowani. Nakryli stół w kuchni – normalny, z krzesłami. Nieco bałaganu, ale przecież to nic takiego – kobieta przyjechała! W pokoju mają niziutki stolik jak my. Antek swój podniósł, bo blat od podłogi był na wysokości trzydziestu centymetrów. „Bardzo po koreańsku, ale nie po mojemu – wyjaśnił. – Kupiłem, z niejakim trudem, takie małe kantóweczki i podniosłem, i teraz jest OK”. Nawet śniadania przy nim jadamy, bo tu najłatwiej ustawić laptop z polskim programem infor-macyjnym.

Lali podała michę z curry i ryż. Naturalnie zatroskałam się, że przecież jest prosto

z podróży, zmęczona i już hop-siup obiad. Ale tylko się roześmiała. Wyspała się w samolocie, jest wypoczęta, a Rasul nie jadł jej curry od roku, więc zrobili po drodze zakupy i cieszą się, że mogą się z nami zapoznać i wspólnie zjeść. Rozmowa się plotła, choć mój angielski w porównaniu z czystym oksfordzkim ich obojga był śmieszny. Z pomocą Antka dałam radę, bo ja byłam pierwszą osobą, która opowiadała, co tu robi. Powieka im nie drgnęła, gdy usłyszeli, że pies, wypadek, że Antek zostawił dokumenty, że maile, internet i oto jestem tu. W domyśle – bez ślubu i na kocią łapę. Potem panowie weszli na temat stoczni, a ja pomogłam Lali posprzątać i kopnęłam Antka pod stołem, bo strasznie się rozgadał, a pierwsza wizyta powinna być szarmancka, krótka i dyskretna.

Lali pokazała mi szmatki, jakie zabrała ze sobą, żeby ocieplić surowe wnętrza kawalerskiego mieszkania Rasula. Zrozumiałam tylko, że już tu była rok temu, a teraz wpadła na dłużej. Przyszła pora na pożegnania.

– No, fajni ludzie. – Antek się uśmiechnął, nalewając mi wina. – Tyle razy mijaliśmy się z Rasulem i nic. A wystarczyło, że przyjechałaś i już mam sąsiada, a nawet kolegę, bo on pracuje piętro wyżej. A i ty będziesz miała miłe towarzystwo! Lali jest rozmowniejsza, niż sądziłem.

– Bo?

– Bo Hinduski raczej nie należą do lwic salonowych, jeśli wiesz, co mam na myśli. A ona dzięki doskonałej znajomości angielskiego i temu, jak on ją traktuje, nie jest zahukaną kurką.

– Fakt, oboje tacy... brytyjscy. Fajni!

A w duchu pomyślałam z niepokojem, że nie jestem typem sąsiadeczki, która będzie z Lali oplotkowywać potrawy, zakupy i kolor firanek. No, ale skoro byliśmy u nich na curry będzie wypadało urządzić rewizytę i jakoś znosić sąsiedzkie wizyty i pogawędki. Dam sobie głowę uciąć, że taka miła i otwarta Lali będzie wpadać albo zapraszać do siebie. Może też wyciągać mnie na wspólne zakupy, bo jako żona Hindusa i kobieta domowa, wychowana w kobiecych kręgach... Oj, nie. Nie zachwycał mnie ten pomysł, ale jak Scarlett O'Hara pomyślę o tym jutro!

Bomba...

Przy śniadaniu zagadnęłam Antka:

– Tosiek... Okropnie mi głupio. Rozsiadłam ci się tu jak jaka żona i choć świetnie się u ciebie czuję, nie wypada mi nadużywać twojej gościnności. Za ile dni mam powrót?

Z kanapką w ustach zamarł. Gdy wreszcie pogryzł i przełknął, powiedział najpoważniej:

– Maryniu, twój pobyt tu to dla mnie największa frajda od lat. Naprawdę. Opowiadałem ci o samotności, ale chyba nie do końca wiesz, o czym mówię. Prawdą jest, że po trzech miesiącach trzeba odnowić wizę. Ale to automat. Wystarczy wyjechać na dwa dni i wrócić. A twoja wiza kończy się za trzy tygodnie. Mówiłaś, że wolisz wracać bezpośrednio do Polski, i tak powiedziałem naszej sekre-tarce.

– Sekretarce?!

– No wybacz, ale tak jest najprościej. Wszelkie bilety zawsze załatwiamy przez nią. Dlatego leciałaś tu przez Frankfurt, bo pani Han nie miała pojęcia, że są już loty bezpośrednie. Bardzo się sumitowała. Jakoś jej się chyba udało klepnąć dla ciebie lot LOT-em. Ale powiedz tylko słowo, zaraz polecimy na dzień do Japonii albo Chin i masz znów wizę na trzy miesiące! Tak bardzo chciałbym, żebyś została!

Zaskoczył mnie. Coś mi w środku drgnęło. Niby mam z tyłu głowy, że pora wracać z tych przydługich wakacji, ale też coś szepcze, że nie był to czas stracony, że czułam się tu świetnie i właściwie mogłabym z nim... Patrzyłam nieco zbита z tropu, zamyślona.

– Aha, zapomniałem ci powiedzieć. Dzisiaj przyjdzie pani z administracji i umyje okna. Już ją opłaciłem, więc niczym się nie przejmuj. Nawet możesz ją zostawić tu samą, jeśli masz ochotę wyjść. Tak się robi.

– Ale jak to?

– Normalnie! Już kilka razy była, i to w godzinach mojej pracy. Bierze zapasowe klucze z administracji i już. Zrobi swoją pracę i wyjdzie. To tutaj norma. No, daj buziaka. Pa!

Antek uśmiechnął się jakoś tak smętnie, włożył kombinezon, robocze buty i wyciągnął do mnie ramiona. Podeszłam i przytuliłam się, a on mruknął:

– Faaaaaaajnie mi z tobą, pani Maryniu. Naprawdę.

I poszedł do pracy.

Nie pytałam go więcej o szczegóły. Mamy jeszcze trzy tygodnie! W tym czasie popitraszę mu polskie dania, pojeżdżę nawet na nudnawe wyprawy w górki, pogramy w scrabble. Może zaciągnę go do kina? Znów kręgle? Kończy się październik. Kiedy to minęło? Przecież dopiero co przyleciałam, zmięta i zmęczona, a tu znów mam lecieć taki kawał drogi?

Smutno mi się zrobiło.

Kochany Tatku!

Co u Ciebie?

Ja opracowałam pierwszą moją bohaterkę i coś słabo z innymi, ale ponieważ

termin tego pomysłu się z lekka przesunął, bo... a, to skomplikowane. Ale szukam dalej moich dziewczyn do książki. Reszta w porządku – Antek jest świetnym kumplem i opiekuje się mną porządnie, więc się nie niepokój.

U nas przyszła jesień, a ja za dwa tygodnie zbieram się do Polski. Chyba koniec wakacji. Może w kraju łatwiej złapię kontakty?

Uściski

Baranek

Rozległ się dzwonek i faktycznie przyszła Koreanka. Młoda i uśmiechnięta. Ma ze sobą zmyślny organizator ze środkami do mycia okien, szmatkami i ściągaczką. Pokazuje mi, co będzie robiła, i goni mnie gestem do komputera, że sio, sio – ona sobie poradzi, a ja mogę klikać!

OK, znaczy mam się nie wtrącać. Już wie, gdzie są wiadra. Idzie do technicznej loggii i zabiera się za masę szyb w naszym mieszkaniu. „Naszym mieszkaniu”... Ale mi się pomyślało. „Naszym”, no proszę, jak się człowiek przyzwyczaja do dobrego.

Dni tutaj mijają mi na spokojnym i powolnym życiu. Sądziłam początkowo, że jadę na miesiąc, a i tak myślałam, że to za długo. Jestem tu znacznie dłużej. Myślałam też, że nie zniosę tego, że pół dnia będę sama, a zniosłam znakomicie. Najnormalniej. Moje koleżanki z redakcji wydełyby usta na samą myśl o tym, że obcemu chłopu prowadzę dom, a nie pomyślałyby, że to układ wzajemny. Że co sobotę to Antek odkurza i myje podłogi – sumiennie i dokładnie – nie ja. A do umycia okien umówił tę panią z administracji. Bo fakt – jak umyć z zewnątrz przesuwne okna? Że polubiłam gotowanie dla niego i w ten sposób odpłacam mu się za hojność. Swoje zakupy robię oczywiście z własnych pieniędzy, ale jedzenie i przyjemności opłaca Antek.

Marinie odmówiłam *belly dance*, bo przecież zaraz wyjeżdżam, ale żał mi było tych zajęć. Jeszcze korzystałam z fitnessu, w weekendy natomiast zawsze robiliśmy wypad w interior i łąziliśmy po górkach i po wsiach. A teraz jest prawdziwa jesień i mniej mi się chce.

Niedawno zaliczyliśmy bajeczne miejsce, świątynię w górach, bo jesień zrobiła takie show, że było na co patrzeć. Zbocza kotliny porośnięte drzewami liściastymi poprzebarwiały się jak u nas na różne kolory. Było zaskakująco ciepło i pięknie. Antek trzymał mnie za rękę, jakbyśmy byli starym dobrym małżeństwem.

– Zeszczuplałaś, wiesz? – powiedział, gdy usiedliśmy pod pochyłą skałą w pobliżu wodospadu.

– Tak? Naprawdę to widać? – Bo fakt, dzinsy musiałam lekko zaszyć po bokach.

– Widać! Ruch ci służy i powietrze, choć Ulsan to nie Krynica-Zdrój.

– Znaczy kiepskie powietrze?

– No tak. Stocznia niby ma porządne filtry na kominach, dzielnica przemysłowa

też, ale to przecież rafinerie, cementownia, farby, lakiery...

– Smog?

– No czasem tak, ale też jest bonus. Ulsan leży nad morzem. Tu zawsze wieje i wywala smog z miasta. I ten fitness też wykorzystujesz, jak widzę.

– Widzisz?

– I wyczuwam dłońmi – szepnął mi na ucho, a ja nadstawiłam i ucho, i szyję, bo lubię te jego szorstkie pocałunki, po których mam ciarki.

„O, mam. Przecież my się uwodzimy! To jest najzwyklejszy romans!” – pomyślałam odkrywczo i radośnie. Wieczorem, gdy zasypiałam, patrząc na jego siwe włosy, pierwszy raz pomyślałam „mój Antek” i poczułam w brzuchu nieśmiałego motyla. No, no, no! W tym wieku!

Agashi, jak się tu mówi o młodej niezamężnej kobiecie, myje okna z taką wprawą, że aż miło patrzeć. Jest skupiona i bardzo zorganizowana. W uszach ma słuchawki, a na sobie granatowy kombinezon. Piękne lśniąco włosy zebrała w koński ogon. Powinnam się wziąć za obiad, zamiast hodować motyla. I to w brzuchu.

Zostało mi ćwierćkilowe opakowanie cienko krojonego mięsa wołowego i pół tacki kości schabowych. Mam ziemniaki, więc zrobię pyzy i płatki tego mięsa w sosie. Mam też zakiszone koreańskie ogórki. Świetnie się kisa z polską przyprawą i czosnkiem, a kiedy otwieram słoik, syczą i puszczają bąbelki jak szampan. Za ten cud, bo podobno nikomu się tych ogórków nie udało zakisić, Antek pocałował mnie ze trzydzieści razy.

Jedenasta. Zapraszam *agashi* do kuchni. Jest nieco zdziwiona, gdy pytam ją, czego się napije:

– *Juice or tea?*

Najpierw macha ręką, ale pytam raz jeszcze, wtedy mi odpowiada nieco spłoszona:

– *I don't speak English good. I learn but I can't speak!* – I śmiesznie rozkłada ręce.

– Oj, sierotko, sierotko – mruczę do siebie – to po licho te lata nauki?

Pokazuję jej pudełko soku i opakowanie herbaty. Wybrała sok.

– *Something to eat?* – pytam, wskazując pieczywo i masło.

– *No!* – deklaruje zdecydowanie i dopija sok.

– *Hamsamnida!* – dziękuje już po swoim i się kłania.

– *Czongmaneyo!* – odpowiadam uprzejmie z ukłonem i uśmiechem. – *What's your name?*

Zrozumiała.

– Min! Lee Min Su!

– Marianna!

Przyjęła do wiadomości, znów się ukloniła i wróciła do pracy. Zapięła jakiś rodzaj uprząży i mocno wychylona za obręb loggii myła okna zewnętrzne. OK, na pewno mają to technicznie sprawdzone i zafiksowane. Antek mówił, że tu BHP to podstawa.

Ugotowałam dwa duże ziemniaki, dwa mniejsze starłam. W piekarniku pieką się kości na sos. Mięso usmażyłam z cebulą i czosnkiem. Gdy poszłam sprawdzić, czy Min wciąż jeszcze żyje, ta wesoło wisząc po zewnętrznej stronie loggii, pokazała swój nos

i zawołała:

– *Good smell!*

– Tylko nie spadnij! – odkrzyknęłam po polsku jak zwykła troskliwa mamcia.

Zabawiałam się robieniem mięsa, sosu z pieczonych kości schabowych i sałatki z kiszonych ogórków. Pyzy leżały na ściereczce i czekały na wrzątek. Ugotuję je już, bo szernieją.

Pół do dwunastej do kuchni weszła Min. Jeszcze duży pokój. Pić jej się chce. Dostała sok. Uśmiecha się. Podgrzałam miseczkę preparowanego ryżu, wyłożyłam go do miski z porcelitu, polałam sosem i z pałeczkami podałam Min.

– *Sit down and eat! Please!* – powiedziałam.

– *No, no, no!* – Absolutnie! Krzyżuje dłonie, co tu oznacza, że absolutnie nie!

– *Sit!* – mówię jakby poważnie i dodaję: – *You are young! I'm mama! Sit!*

Z lekka się opiera, ale wreszcie siada. Młoda jest, a ta praca nielekka! Musiała zgłodnieć.

Spróbowała. Nie widzę uśmiechu, tylko skupienie i chyba... bez zachwytu. Jest uprzejma, ale najwyraźniej jej nie smakuje.

– *O! Sorry!* – wołam i wyjmuję z lodówki dość ostrą pastę chili z pastą sojowo-warzywno-czosnkową. Tę samą, której czasem używam, gdy sobie obsmażamy po koreańsku kawałki mięsa. Zapomniałam, że ich musi szczypać w język!

Nakłada sobie wielką łyżkę pasty, miesza i dopiero teraz widzę, że zjada ze smakiem. Kiwa głową i zjada radośnie. No, moje matczyne serce się uspokaja. Widocznie tkwi we mnie jakiś gen wszystkich matek świata, odruch mamusizmu: nakarmić dziecko.

I wreszcie słyszę kroki na schodach, i wchodzi mój Antek.

– Mam dla ciebie taką bombę... – mówi tajemniczo, ale zobaczywszy Min, kłania się i idzie rozebrać z kombinezonu do pokoju.

Wraca w dresie i siada grzecznie w kuchni. Stawiam na stole półmisek z pyzami, mięso w sosie i sałatkę z ogórków, dumna, że serwuję typowo polski obiad. Liczyłam na achy i ochy, ale widzę, że on skrywa w zanadrzu coś większego kalibru. Ma na twarzy lisi uśmiech i aż pęka z chęci opowiedzenia mi czegoś „wybuchowego”. Milczy taktycznie i czeka, aż usiądę, więc siadam. On, na razie milcząc, bierze półmisek i po chwili pyta niby obojętnie:

– I jak tam z Lali? Byłyście gdzieś razem?

– Nie. A co?

– No to słuchaj! Lali jest sprawczynią jednego z największych skandali w stoczni. Nie żeby wiesz, jakaś megaafra, Koreańczycy jednak są powściągliwi. Ale narobiła... O! Narobiła!

– Ale co?

Jestem ogromnie zaintrygowana. Może poszła do biura zanieść mężowi obiad? Fakt, tego się tu nie robi, ale czy to byłaby zaraz afra?

– No to, kochana Maniu, wyobraź sobie, że Lali pracuje w stoczni!

– Serio?! A Rasul?

– No Rasul też. On pracuje dwa piętra wyżej, w biurze, zajmuje się oprogramowaniem. Musi mieć tęgą głowę, skoro go Koreańczycy zatrudnili.

– Mówiłeś, że pracuje u Lloyda.

– No tak. U Lloyda, ale rzadko się zdarza, żeby zatrudniali tu kogoś od programowania, bo sami są dobrzy. Widać on jest najlepszy. Ale nie on jest głównym aktorem całej sprawy, którą żyła dzisiaj stocznia, ale... Lali!

– Coś nawywijała?

– Nawet bardzo. Przyszła do pracy, włożyła kombinezon, wzięła kask i poszła... na odbiory!

– Iiii, też mi afera! Co to? Nie pracują w stoczni kobiety? A Agnieszka? Opowiadałeś mi o niej. Była przecież kadłubowcem, tak jak ty. Ona z mężem, zdaje się, wyjechała na stałe do Norwegii?

– No, tak. Agnieszka była pewnym ewenementem i nie miała lekko. Musiała w dwójnasób udowodnić pracownikom, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Ma takie samozaparcie i charakter, że przegryzła sobie drogę do sukcesu i była bardzo szanowana przez kierownictwo i pracowników. To ewenement!

– A co? Lali nie może być następna, a potem inne kobiety?

– No teoretycznie tak. To wolny kraj i zdaje się, że równouprawnienie i tu jest polem walki.

– No to się panowie Koreańczycy muszą nauczyć, że *c'est la vie*, takie jest życie, że kobiety się kształcą i są równie dobre jak oni. Nie ma cofki.

Antek żuł jedzenie i kiwał głową, milcząc.

– Choć oczywiście bywają...

– Co?

– Cofki. Afganistan. Zaraz ci pokażę.

Poszłam po tablet, włączyłam go i wybrałam konto kolegi na Face-booku, na którym zamieścił zdjęcie ładnych dziewczyn w białych bluzkach i stonowanych minispódniczkach.

– Zobacz, to Kabul, lata sześćdziesiąte. Normalny kraj. Kobiety mają prawa wyborcze, studiują... A dzisiaj Afganistan to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie dla kobiet, poza zdziczałą Afryką.

– Faktycznie – skomentował.

– No i powiedz, co dalej z Lali?

– A. No i poszła na odbiory.

– Ona też z Lloyda?! Pracuje z Rasulem?

– Nie. Podobno w Bureau Veritas. Jest od wyposażenia.

– Znaczy od czego?

– No, żurawiki, łodzie pokładowe, trapy, dźwigi, wyciągarki, rury, kołnierze. Kto by się spodziewał, co? Nie zwróciłem uwagi, jak mówiła, że studiowali razem w Anglii. Sądziłem, że razem to znaczy ona, powiedzmy, psychologię czy anglistykę, a on...

– ...na politechnice. Bo myślisz stereotypem! Facet to polibuda, a kobieta duperelki, bo skąd ma mieć pańcia głowę do cyferek i fizyki?

– Marianna. No, głupio to powiedzieć, ale gdzieś się to tak utrwalilo, że mało was

w tych dziedzinach. No co ja na to poradzę? Feminizm kończy się przed bramami kopalń i przed platformami wiertniczymi.

– I przed stoczniami?

– No już mnie nie katuj. Ale kobiet u nas malusieńko! A inspektorek, w sensie: kadłubowców, elektryków, materiałowców, to nigdy nie było!

– No to co? Lali druga rewolucjonistka po Agnieszce?

Milczy i wyciera talerz z sosu połówką pyzy.

– Na to wygląda. – I zaraz dodaje uśmiechnięty: – Żebyś widziała twarze kierownika i innych, jak o tym mówili. Chyba dzisiaj wezmą coś na obniżenie ciśnienia. Ha, ha, ha! – Roześmiał się jakby już pogodzony ze sprawą i sięgnął po szklankę z piwem. – Zdrowie Lali!

– Zdrowie! – I się z nim stuknęłam.

Pojechaliśmy do centrum po zakupy spożywcze, bo mam wielką ochotę na rewizytę państwa Choprów. Wypadałoby coś polskiego, ale też żeby smakowało.

– Zróbmy obsmażanki koreańskie, będzie najprościej – namawiał Antek, ale ja się upierałam.

Ich curry było z kurczakiem, więc są kurczakożerni. Myślałam o kurczaku z warzywami, ale cóż to za wykwint? Schabowe z kurczaka też mi nie leżały. Ryba? A jak się robi koreańskie ryby po polsku? Nie zaryzykuję innego mięsa. Wreszcie wymyśliłam – gołąbki. Jest kapusta, jest ryż, jest kurczak i szlus! Danie inne niż wszelkie indyjskie, smaczne i ewidentnie nasze! – Gołąbki są super – powtarzał Tosiek z uporem, bo zapewne chciał już się wynieść z Mega Martu.

Mężczyźni jednak nie lubią zakupów i ja się im szczególnie nie dziwię. To nie oni mają w głowie obiad i składniki, więc tylko błąkają się jako popychacze kosza. Owszem, wybór win, kupno piwa to Antkowa domena, ale reszta?

Kolacja była świetna. Polskie gołąbki smakowały. Przyprawiłam je mocniej, żeby się nie wydały mdłe dla ludzi jadających na co dzień rzeczy bardzo wyraziste i aromatyczne. Byłam zadowolona. Lali opowiadała o swoich pierwszych dniach w stoczni i wyczuwalnym oporze mężczyzn, którym kolorowa kobieta wydaje dyspozycje i sprawdza ich.

– To zamach na ich męskość! – skwitował Antek.

– A ty sam? – zapytała Lali. – Zniósłbyś nad sobą kobietę?

– Ale że... szefowa biura? I że to kobieta byłaby kimś, kogo słucham? No myślę, że mi, Polakowi, łatwiej. U Koreańczyków stale jeszcze pokutują patriarchy i konfucjańska hierarchizacja.

– A jak jest w Polsce?

– Różnie – wtrącam się. – Są kobiety piastujące wyższe stanowiska, ale też o naszym zdrowiu czy sprawach osobistych decydują faceci. Zwłaszcza tacy w sukienkach.

– Transwestyci?! – Zdumiewa się Lali, ale Tosiek nadciąga z odsieczą:

– Nie, nie, Lali, księża. Marianna ma na myśli hierarchów, którzy mocno cofnęli

Polskę w sprawach i prawach kobiet.

Oboje próbowaliśmy naświetlić im, co to jest klauzula sumienia, restrykcyjne prawo aborcyjne, wtrącanie się w kobiecą płodność. Nasi goście kiwali głowami. W odpowiedzi wspomnieli, że w Indiach też jest restrykcyjnie, ale oni są drugim pokoleniem wychowanym w Anglii i myślą już inaczej. Z niejakim skrepowaniem opowiedziałam, że teraz jestem bez pracy, że mam tylko propozycję napisania książki o kobietach – Polkach żyjących i pracujących w świecie niestereotypowo.

– Po co to robisz? – zapytała Lali.

– Myślę, że warto pokazać Polkom, że świat jest wielki, ciekawy, że można w nim żyć na mnóstwo sposobów. Nie tylko powielać tradycyjny model: praca, dom, nowy dywan, praca, dziecko, wakacje, praca, praca, praca. Że jest też możliwość szukania w tym wszystkim radości, własnej ścieżki, własnego sposobu na zado-wolenie.

Rasul siedział raczej milczący. Wiedział, że to wieczór Lali, że jej praca tutaj musiała wywołać sensację. W końcu Antek zagadnął go o stocznię i panowie rozgadali się o sprawach, w których ja się kompletnie gubię. Grzecznościowo głądziłam z Lali o jej studiach i życiu w Anglii, i o tym, że ona po cichu marzy o Australii, a najchętniej Nowej Zelandii. Anglia ją nuży, ale Rasul jest na razie na nie, bo jest silnie związany z rodziną.

– To ja powinnam oponować, bo u nas to kobieta, wiesz, jest strażniczką tradycji i rodziny. Ale nasza rodzina z lekka się rozsypała, a tradycje mnie męczą. Są miłe, ale uciążliwe.

– Wybacz, że pytam – zaczęłam. – Wiem, że to jest niegrzeczne, więc jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj. Ale jesteś religijna?

– Już nie aż tak jak kiedyś. Rasul właściwie wcale. Na studiach oboje byliśmy w takiej grupie antyreligijnej. Mieliśmy spotkania z wieloma mądrymi ludźmi, którzy znakomicie udowadniają, że religia nie jest potrzebna wolnemu i świadomemu człowiekowi. Och, nie wyobrażasz sobie, jak ja się o to kłóciłam z rodzicami... A potem straciliśmy dziecko i religia już w ogóle przestała być mi potrzeb-na.

Milczałam, nie chcąc być jeszcze bardziej wścibska, a Lali krótko wyjaśniła:

– To była okropna choroba. Nasz syn zmarł na raka mózgu. Powiedz, jaki bóg skazuje niewinne dzieci na takie cierpienia? Po co? Urodziłam go z wielkimi komplikacjami, był naszym oczkiem w głowie i taki cios. Nie mogę mieć więcej dzieci, a ten wyjazd wyrwał mnie z poczucia beznadziei.

Rozstaliśmy się nagadani, napiwieni i zakolegowani.

– To wszystko twoja zasługa – szepnął mi na ucho Antek już w łóżku.

– Ale że co?

– Ja, widzisz, z nikim się tu na osiedlu nie zapoznałem, a tobie wystarczyło wyjść na klatkę schodową i już wszystko wiesz o naszych sąsiadach, no i kumplujemy się z Choprami.

– Ale że jestem jakąś plotkarą? – droczyłam się, prowokując go do mówienia.

– Nie plotkarą, ale skądś wiesz, że ten Chińczyk z parteru zatrudnia panią do sprzątnia, a ten Anglik podobny do...

– ...Johna Hurta...

– No właśnie, podobny do Johna Hurta, lubi pizzę. A ten z drugiego piętra...

Właśnie. Coś o nim wiesz?

– Nic. To chyba Duńczyk, bo coś do mnie powiedział po angielsku, ale ma taki jakiś akcent... niderlandzki.

– Skoro niderlandzki, to Holender albo Belg.

– Nie wiem, ale jest miętowy.

– Jaki?

– Miętowy – powtórzyłam.

– A co to znaczy?

– Że jest gejem.

Antek zamilkł i parsknął.

– No ale skąd wiesz?

– To się wyczuwa. On się tak ubiera pastelowo i jak rozmawiał przez telefon, to tak jakoś...

– Serio? Wy, kobiety, macie ten szósty zmysł. A jeśli nie?

– Antek, co „jeśli nie”. To nieważne! Mam więcej czasu, to sobie popatruję.

I wiesz, najważniejsze dla mnie, że ty nie jesteś miętowy.

Dotknęłam jego ust i wzięłam w dłoń to, co mężczyźni uznają za swój skarb.

Reaguje jak młody poborowy. Jakie to miłe! Za to ja wolniej, ale też czuję, że pragnienie rozlewa się we mnie i że chcę czuć jego dłonie i usta na skórze, i ten jego skarb w sobie. Jego szept „Maryniu” jest pełen czułości. Jest tak dobrze!

No to pa... choć nie chce mi się wracać

Często budzę się przed budzikiem. Nad nami miętowy Belgo-Holendro-Duńczyk już wstał. On jakoś szybko się zbiera, bo wcześniej wychodzi. Słyszę, jak otwiera drzwi od łazienki, spuszcza wodę, bierze prysznic. Gdy skończy, to jeszcze minutka i zadzwoni nasz budzik.

Za oknem robi się jasno, ale to nie jest już wczesnojesienna jasność. Dzisiaj chyba pada. Antek śpi – oddycha równo, spokojnie. Leży do mnie tyłem. Ma krótkie szpakowate włosy, z przodu już zupełnie mlecznobiałe, ogorzałą i pomarszczoną szyję i spore uszy. Teraz widzę lewe. A między muszlą ucha a włosami jest taki pasek skóry z dwiema podłużnymi zmarszczkami. Dotykam ich opuszkami palca, bo to takie nieważne miejsce, widoczne tylko dla mnie. Nie wiem, czemu wzrusza mnie to jego ucho. Jest ciepłe, a skóra mięciutka. Będę za nim tęskniła i wcale, ale to wcale mi się nie chce lecieć do Polski. Właśnie teraz poczułam to mocno i dojmująco. Nie chcę! Mogłabym tak tu sobie z tym moim Antkiem być i być.

Prysznic na górze cichnie. Miętowy koleś pewnie sięga po ręcznik, a u nas właśnie dzwoni budzik.

– Cześć, skarbie – mruczy Antek. – Nie śpisz już?

Jeszcze odrobinka przytulajek. Ocieram się o jego ciepłego i sporego wacka. Peszy go to i obraca to w żart:

– O! Mam wzwód jak młody harcerzyk. Patrz, kochanie, czyli jeszcze nie uwiad! Nie wiem, jak reagować, więc tylko szepczę mu na ucho:

– To chyba dobrze? – I... wstajemy. Niestety.

Przyszedł wreszcie ten dzień, gdy trzeba było się spakować. Nie kupowałam właściwie nic, to i pakowanie szybkie.

– Antek, a ja niczego nie zostawiłam? Mam taki luz w walizce.

– Kochana moja, ja się nie znam na twoich rzeczach. Przejrzałaś szafki? No przecież adidas ci pękły i wywaliłaś...

– A tak, a nie kupiłam innych, tylko te pepegi. Ale na co mi one w Polsce? – Myślę na głos.

– To zostaw, na lato będą jak znalazł.

– Przywieziesz mi je?

– Nie. Ty przylecisz. Prawda, że przylecisz? No co masz do roboty w polskiej zimie? Maryniuuuu.

Pierwszy raz jest taki. Jak nie on. To nie jest ten swarliwy chłop z Wisłostrady!

– Mam miejsce, zabiorę je. Tylko gdzie one...

– Koło pralki na loggii.

Prawda, zdażyłam je uprać, bo strasznie upaćkałam w górach dwa dni temu, kiedy mnie Antek zawiózł do ostatniej świątyni – Tapsa. „Zobaczysz – obiecywał wówczas – zwariujesz, gdy ją zobaczysz”. I faktycznie było czym się zachwycać. Sam budynek może

żaden cud, ale położony był w „czerwonej kotlinie”, jak ją z mety nazwałam. Stoki gór, pokryte klonami palmowymi różnych odmian, płonęły wszelkimi odcieniami czerwieni: od brązu, ciemnej wiśni i burgundu, przez krwistą czerwień, amarant, a nawet fuksję, aż po pomarańcze, żółcie i złocistości. Fakt – gdy tylko weszliśmy na ścieżkę, z której widać było Tapkę, oniemiałam. To było tak nie-zwyk-le piękne zjawisko, że stałam jak żona Lota, ale w zachwycie, nie mogąc powiedzieć słowa. Antek się uśmiechnął i pokręcił głową. Poszedł pierwszy, żeby mi nie zakłócić tej chwili. Gdy się odwrócił, byłam już blisko.

– Dasz radę to sfotografować? Ależ to jest widok! No wiesz... Chowaleś tę Tapkę na sam koniec!

– No a jak inaczej. Latem wszystko jest zielone, nie ma efektu. Ja sam trafiłem tu jesienią właśnie i stąd wiem, jakie to piękne miejsce. Ale gdybym trafił latem, to już bym cię tu chyba nie ciągnął. Chyba.

– A co tu jest jeszcze fajnego poza tymi kolorami? O, patrz! Jaka wysoka stupa!

Wskazałam palcem na dwuipółmetrowy stos ułożonych misternie kamieni. Małe stupy widywałam często – kamienie są układane w jakieś kompozycje, żeby jeden utrzymał się na drugim i żeby było ich sporo, i żeby stały nieporuszone. Ale taka wielka?

Tam, w Tapsie, pokłóciliśmy się pierwszy raz. Niegroźnie, ale jednak. Wykpiłam te stupy jako dzieła sztuki pewnego mnicha. On tam żył cały czas i tylko układał te kamienie. Ułożył tych kompozycji wielkich i mniejszych tyle, ile mu życie pozwoliło. Pozostali mnisi podchodzą do nich czołobitnie.

– Taki ich święty! – tłumaczy mi Antek. – Układał te kamienie z jakimś przesłaniem.

– Żartujesz.

– No skąd? Tu jest napisane, że to był człowiek święty już za życia!

– Bo układał kamienie? Mnie się zdaje, że to lepszy cwaniak. Pomyśl, nic nie musiał! Ani uprawiać ogródka, ani przywozić gnoju od chłopów pod warzywa, obierać warzyw na obiad. Milczał i układał, a młodzi mnisi widzieli w tym świętość... Sprytnie! Karmili go i opierali do śmierci, a on układał. Też mi święty.

Antek z lekka się oburzył, wszedł ze mną w dyskurs nie do obrony, bo stałam twardo na swoim, że cwaniak. I usłyszałam, że nie umiem uszanować cudzej świętości. Tłumaczyłam, że umiem. Przecież nie tańczyłam kankana na jego grobie, tylko po polsku – a więc w języku nikomu tam niezrozumiałym, w dodatku szeptem – wypowiedziałam własną opinię o mnichu układaczu.

– Pamiętasz, jak się na mnie obraziłeś w Tapsie? – zapytałam Antka, patrząc na uprane pepegi wsuwane jak baletki.

– Ja? Obraziłem? W życiu. To ty miałaś swarliwy dzień.

No tak. Czyjaś wina musi być. Antek wtedy nagle zamilkł i schodziliśmy na parking, milcząc, ale już koło auta przemówił i sprawa poszła w zapomnienie.

Wczoraj, w piątek, miałam niespodziankę. Pojechaliśmy wieczorem do restauracji, w której byli Wiesiek z Olą oraz kilku znajomych Koreańczyków (w tym kierownik i jakiś majster oraz sekretarka, która załatwia bilety lotnicze, więc chyba i moje też załatwiała), i wszyscy inni, których poznałam. Trochę wstyd, bo zapomniałam imion Greka, Chorwata i dwóch Rosjan. Ale prawie nie rozmawialiśmy, to i zapomniałam. Przyszedł też Klaus, starszy i otyły Niemiec. Zapraszaliśmy również Choprów, ale coś się wymigiwali, że może się spóźnią. Byłam wzruszona, doprawdy, bo wieczór był podobno na moją cześć. Choć padły tylko dwa toasty na początku, a potem, jak to zwykle bywa na takich imprezach, ludzie gadali o pracy i strzelali dowcipami. Zwykle przyjęcie.

Były grille w stolach, był *banchan*, czyli mnóstwo miseczek z przekąskami, był tłusty boczek do obsmażania i masa liści różnych sałat, kapust i nawet mi nieznanach. Było też *kimchi* w różnych postaciach i sporo innych różności: czosnek, cebula, pasty i sosy. Było piwo i *soju* (którego nie lubię), i *makkeolli* (które lubię), czyli alkoholowy napój musujący z ryżu o mlecznej barwie. Ktoś mi tłumaczył, że to *Korean champagne*. Koło *champagne* to chyba jednak nigdy nie stało. Ale fakt, fajnie gasi pragnienie i dlatego je lubię.

Pożegnalny wieczór na moją cześć – też coś! Choprowie nie dojechali, znajomi Antka się objedli, opili i... sami za siebie zapła-cili. Taki obyczaj. Potem Europejczycy wyściskali mnie z dubeltówki, a Koreańczycy tylko pożegnali ukłonami i uroczystym zwrotem, z którego zrozumiałam tylko końcówkę: *doeseyo!*

– Co powiedzieli? – dopytywałam Antka

– Chyba życzyli ci szczęśliwej podróży.

Pani Han jako jedyna uściskała mnie z uśmiechem i ukłonem.

Pojutrze wracam do Polski już LOT-em z Seulu. Jakoś to zmyślnie urządziła. Do Seulu Antek odwiezie mnie KTX, czyli tutejszym pendolino.

Widocznie Antek nie wiedział, jak mi urządzić pożegnalny wieczór, a szkoda. Bywa nierówny – raz zrobi taki wyraz twarzy i powie coś takiego, co właściwie można byłoby zakwalifikować jako dość romantyczne, a raz jest... chłodny, jakby się obawiał śmieszności. A może – myślałam już w drodze do domu – podobnie jak ja nie jest do końca pewny? Tego, co czuje, co się uległo między nami.

Znów odezwała się we mnie O'Hara: „Pomyślę o tym jutro”. To się nawet jakoś nazywa w psychologii. Zaraz, zaraz... na „p”... prokrastynacja!

Teraz pakowanie. Chyba mam już wszystko. Jeszcze tylko ta sobota, noc i lecę.

Lali i Rasul wpadli na szybko z pysznymi słodyczami, które pewnie zrobiła ona, bo na koreańskie nie wyglądają. Zamieniliśmy kilka słów i wymiksowali się, bo mają bilety do kina. Na obiad Antek chciał pojechać do fajnej restauracji, ale poprosiłam go o spacer do naszej miejscowej, brzydkiej, ale serwującej pikantnego kurczaka *kampunggi*. Może kaloryczny, ale pyszny – naczosnkowany i chrupiący, w małych kawałeczkach. W naszej „kurczaczarni” dostaje się wiaderko takiego porąbanego kurczaka – na dwoje to czasem i półtora, gdy kawałki są małe – i drugie wiaderko na kosteczki. I... rękawiczki jednorazówki. Dla elegantów pałeczki. Do tego zimne piwo, *kimchi* i jest fajnie.

To spora porcja, więc kolacja chyba będzie jakaś symboliczna. Oboje stwierdzamy, że tylko owoce, więc w drodze powrotnej kupujemy piękne *nashi* – gruszkę wielkości pomelo. Trzeba ją trzymać w lodówce, wówczas jest najsmaczniejsza. Pokrojona na ćwiartki zastępuje szklanicę zimnego napoju.

Wracamy spacerem, bo mimo iż to już listopad, nadal jest ciepawo. Lekka kurtka i kolorowy szal, który kupiłam koło świątyni, wystarczają.

– W Polsce ziąb i mokro – mówię na głos, by przerwać milczenie.

Tosiek tylko trzyma mnie za rękę.

– No widzisz? Po licha ci ten ziąb? – I dodaje po chwili jakoś tak niezgrabnie: – Zostałabyś.

A ja mięknię. Widzę, że musiał wyjść z tej swojej roli na wpół kostycznego faceta, żeby mi objawić, że chce, bym została. Mimo wszystko to zaskakujące.

Do Seulu dotarliśmy szybką koleją. Doceniam fakt, że pojechał ze mną, żeby mnie bezpiecznie odstawić na lotnisko. Stacja leży w śródmieściu i trzeba znaleźć pociąg na lotnisko Inczon. Niby nic takiego, jak się przekonałam już w Seulu, ale bez Antka sama musiałabym się telepać z walizką i szukać, pytać... Razem przyjemniej. I nic do tego nie ma feminizm ani nic podobnego. Razem zwyczajnie milej.

– Miło, że jesteś ze mną – mówię i gładzę go po twarzy. – Coś masz tu w planach czy wracasz z mety?

– Skoro jestem, to wpadnę na taką tu moją ulubioną ulicę. Zagłębienie sklepów fotograficznych. Taki raj dla chłopaków, bo jednak to my tam szalejemy. W tym czasie żony, dziewczyny z lekka się nudzą albo idą kilka ulic dalej na Namdaemun Market. Następnym razem, kiedy będziesz, to zobaczysz, co to takiego. Lubisz?

– Nie wiem... Myślę, że chętnie poznałabym Seul lepiej.

– No to jesteśmy umówieni! I już się cieszę. Zaraz daj mi znać, kiedy do mnie wracasz, a ja znów zamówię bilet.

Jest miękki i serdeczny, trzyma mnie za rękę, potem całuje ją czule. No jak to nazwać? Czy to jeszcze przyjaźń, czy już kochanie, trawestując z lekka Mickiewicza? Bo faktycznie przecież, gdy go nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę. I nie tracę zmysłów, kiedy go zobaczę. Jednakże gdy go „długo nie oglądam”... No tak, ale to dopiero nastąpi. Hmm. Może rację miała Anna German, że probierzem miłości jest tęsknota. Nie tęskni się, gdy się nie kocha.

I już lotnisko, odprawiłam się i mamy odrobinę czasu na posiłek, bo nic nie jedliśmy od wyjścia z domu. Idziemy do barku z rosołem. Mamy szczęście, bo stoi tu młody kucharz, który robi makaron na zamówienie do rosołu metodą rozciągania i kręcenia ciastem jak skakanką. Ooo! Fajna sztuka! Szczególnie gdy się siedzi o krok od tego prestidigitatora. Powywijał, powywijał i wrzucił do wrzątku. Potem wyjął go do misek i zalał rosołem, dodał jeszcze trochę mięsa, warzyw, tofu, zieleniny i już. Antek wziął miskę L, a ja M. Za trzy godziny mam posiłek w samolocie.

Na do widzenia przytulamy się mocno. Buziak, pocałunek w usta, w dłoń. Jejka, co się z nim dzieje? Z tym moim twardym Antkiem? Ja zresztą też dłużej przytulam się

i przeciągam odrobinę pożegnanie. I myślę, że właściwie to mało co mnie ciągnie do Polski. Jest zima, więc co za frajda?

Lot powrotny jak przylot – długi, nudny, niewygodny. Tyle że bez przesiadki. Łądujemy na Okęciu. Jestem zmęczona, wymiętoszona i marzę o kubku mojej domowej herbaty, własnym tapczanie i poduszce. Ze zdziwieniem stwierdzam, że nie ma już w hali przylotów łapiduchów, taryfiarzy szukających ludzi, z których wydoją pięć razy więcej kasy niż za zwyczajny kurs. Za to są panowie w firmowych kurtkach, z krótkofalówkami, kierujący tym całym taksówkarskim ruchem.

– Dla pani taksóweczka? Konkretna firma czy obojętne? Mamy tu trzy korporacje, ale jeśli ma pani jakieś swoje przyzwyczajenia... Wszystkie jeżdżą w tej samej taryfie, nie ma co się martwić – rzuca jeszcze.

Proszę o tanią i zaraz jestem zapakowana do Sawa Taxi. Od lat korzystam.

– Co to się stało, że nie ma już łapiduchów i wojny na lotnisku? – pytam taryfiarza.

Pan rozmowny tłumaczy mi zawile, kto, jak i kiedy wreszcie pogo-nił oszustów i wyłudzaczy i że teraz jest fajnie, i że... Nie słucham go. Grzecznościowo czasem mruczę „aha” i „uhmm”. Patrzę na szaroburą Warszawę. Pada deszcz ze śniegiem, jest zimno paskudnie. Dobrze, że mam *vis-à-vis* moje delikatesy, to zbiegnę i kupię coś na zupę, bo mam ochotę na gorącą pomidorówkę.

I tak też zrobiłam. Pomidorową na wywarze włoszczyźnianym z mrożonej włoszczyzny, z pulpą pomidorową włoskiej marki i śmietaną. Jadłam, rozgrzewając i ugłaskując mój biedny, wymiętoszony w podróży i jakby obolały żołądek. Ostatnia łyżka wchodziła mi powoli, a oczy same się zamykały. Spaaać!

Zamykając oczy już we własnym najukochańszym łóżku, miałam pod powiekami Antka. Fajnie byłoby dotulić się do niego.

Tęsknię? Naprawdę tęsknię?

Zakochałam się. Motyle w brzuchu i tęsknota.

Słodko, domowo

Rano rzucam okiem w pocztę. Ciągle nic od Antka. Jejka, ale smutno. SMUTNO! Zapowiedziałam się tatkowi. Obecność Anny hamuje mnie przed spontanicznym stawieniem się tam, w MOIM domu rodzinnym, bez uprzedzenia i z okrzykiem „jestem!”. Umawiam się telefonicznie.

To już nie ten czas, gdy tatko był na każde moje skinienie, znaczy mój przyjazd. Oczywiście mogłabym demonstrować fochy, szaro-gęsić się i wykazywać córczaną wyższość, tylko po co? Grzesiek ma rację. Tatko ma opiekę, bezpłatną i całodobową, a reszta nie powinna mnie obchodzić. I przecież kiedy ja gotowałam Antkowi i sobie obiady, łąziłam z nim w górki, całowałam się w łóżku i... nie tylko, to nie musiałam się kłopotać o ojca. Prawda, nie musiałam. Anka, Kasia i Łukasz zawiadomiliby mnie, a nade wszystko zajęli się nim, gdyby coś się stało. „No i nie głupio ci?” – zapytałam sama siebie.

Dom i tatko z Anią już czekali na mnie z obiadem i... tortem oczywiście. Kasi i Łukasza nie ma. Już po sezonie, wyjechali do znajomych w Bieszczadach.

Tatko w dość dobrej formie, choć widzę, jak znów się posunął. Chociaż jest zadbane, czyściutki i ogolony, wygląda mizernie. Koszula pod szyją odstaje, pasek od spodni zaciśnięty tak, że widać, iż były kupowane na tęszą sylwetkę. Sztruksy dobrze kryją chudość taty. Nie sądzę, żeby to było niedożywienie, bo Anula w kuchni bryluje i dokarmia wszystkich. Aż dziw, że Kasia taka szczupła. Starzeje się papcio i już.

Czekał na mnie barszcz ukraiński, ulubiona tatowa zupa, krokiety z mięsem zrobione zgodnie z zasadami – czyli panierowane i smażone na chrupko – i surówka z papryki i pomidorów, cebuli oraz kiszono-ogórka. Na deser tort orzechowy. Kawa, herbata i prośba o opowieści.

– To ja może was zostawię, a wy idźcie sobie do pokoju. – Anula zawiązuje czyściutki fartuch i zabiera się za zmywanie, zostawiając nas przy stole.

– No, Aniu, coś ty! Zostań! Mam zdjęcia na pendrivie, to wam pokażę. Tato, odpal laptop!

Ance jest miło. Ale upiera się, że pozmywa, bo nie lubi statków w zlewie.

– Macie tam pewnie jakieś swoje... a ja zaraz się uporam!

Mamy. Od zawsze mamy swoje sprawy. Ojciec i córka, nawet tak starzy jak my. Tato był zawsze moim powiernikiem, przyjacielem i pierwszą osobą, której meldowałam o wszystkim – dobrym czy złym. A teraz mam same dobre wieści.

– Tatku... jak ty się czujesz? Jak zdrowie? Badasz się?

– Oczywiście, Baranku. Anusia jeździ ze mną do mojej pani doktor. Mam nadciśnienie, ale kto go nie ma? Szmery w sercu, czasem zawroty głowy, ale, dziecko, ja mam już prawie osiemdziesiątkę!

– No, wiesz. Szaflarska zmarła, mając sto dwa lata, i do końca pracowała. I tego ci życzę, kochany mój!

Wstałam, bo się autentycznie wzruszyłam, i objęłam go serdecznie. Za gardło chwyciła mnie najzwyczajniejsza córczyna miłość. Tatko klepał mnie po dłoni, chyba również

wzruszony, i wreszcie szepnął:

– To opowiadaj...

Najpierw bez lapka zaczęłam mu prywatnie i, tak jak zawsze między nami, o intymnostkach:

– Okazało się, tatuśku, że nie miałeś się o co martwić. Antek dżentelmen, opiekuńczy i zaradny. Bardzo mi było fajnie. Odpoczęłam, w sensie, wiesz, jakoś tak się ogarnęłam, bo po śmierci Lili zamieniłam się w hibernatusa.

– No dobrze, ale ten Antek, to tylko taki przyjaciel z za siedmiu gór i rzek? – Patrzy na mnie filuternie. Domyśla się, że coś jest na rzeczy.

– Tak się porobiło. – Spuszczam wzrok i udaję zawstydzoną, ale kontynuuję już odważnie: – Tak się porobiło! Jakoś tak... jesteśmy razem. Wiesz, nie umiem sobie samej odpowiedzieć na pytanie, czy to jest przyjaźń, czy to jest...

– ...kochanie – dokończył tato i patrzy na mnie świetliście. – Ale czy, Baranku, musiałaś tak daleko szukać?

– No, to prawda. Po locie wszystkie gnaty bolą i pupa od siedzenia, ale warto było lecieć i zamienić złość, bo byłam na niego zła, kiedy go poznałam, na oczarowanie. Przyznam ci się do czegoś. Nigdy nie lubiłam spać z kimś. Dopiero z Lilusią. Z nią spałam w jednym łóżku, gdy cierpiała. Tuliłam ją, a i jej było podobno lepiej ze mną, bo mówiła, że nocą, kiedy się budziła wystraszona, moja obecność ją uspokajała. I z Antkiem jest tak samo.

– A czego on się boi? – Podkpiwa tata.

– Oj, daj spokój! Ale to pierwszy facet, z którym sen był taki fajny!

– Wybacz, ale wolę określenie „mężczyzna”. Za moich czasów „facet” to był synonim określenia „gwizdek”, „palant”, „gość”, „chłystek”. Rozumiem, że Antek jest mężczyzną?

– Tak. Tak, jest na całego! Jest bardzo zwyczajny, zaradny, zorga-nizowany. W weekendy zwiedzałam z nim Koreę, a w tygodniu gotowałam nam posiłki, bo on wracał zawsze w południe na obiad. Wieczorem, gdy kończył pracę, chodziliśmy na basen, na spacer albo jechaliśmy do takiego nadmorskiego parku na skałkach, w dzielnicy portowej, gdzie prawie oswoiłam rudą kocicę, którą nazwałam Harry. Na redzie zawsze kotwiczyła masa statków i Antek pokazał mi kalmarowce...

Wszystko to powiedziałam niemal na jednym oddechu, jak za czasów szkolnych. Tata uśmiechał się jak Budda. Pokiwał głową i rzekł tylko:

– No to wpadłaś!

– No... wpadłam.

Wtedy weszła Ania z tortem i kiedy już usiedliśmy przy stole blisko siebie, odpaliłam pokaz slajdów z Korei. Opowiadałam o stoczni, o Antku, o państwie Choprach, o tym, jak Lali zrobiła zamieszanie, i o tym, jak wygląda osiedle, jak sklepy.

– A zaprzyjaźniłaś się z kimś od nich, z Koreańczykiem znaczy? – pyta Ania.

– Nie. I nie dlatego, że nie chciałam, ale oni są jednak bardzo... hermetyczni. Zwłaszcza ludzie w naszym wieku, bo młodzi to, wiesz sama po Kasi i Łukaszu, są o wiele bardziej bezpośredni. Seul aż tętni młodymi. Knajpki i parki są pełne turystów, studenteria je i bawi się wspaniale – pozazdrościć – ale dojrzały ludzie jakoś tak nie

umieją.

– Może to wyście się jakoś nie wysilili?

– Aniu! – mityguje ją tatko.

– Może... Niemal w każdy czwartek spotyka się ekipa pracująca przy danym statku, znaczy ekipa inżynieryjna z żonami, ale to wieża Babel. Są różne narodowości, a Koreańczycy tylko raz przyprowadzili żony. Rozmawiałam z nimi o kiszonkach i na tym się skończyło. – I żeby zmienić temat, dodałam: – Koreanki są ładne, zwłaszcza oczywiście młode. Chłopcy są bardzo chłopięcy, no i kompletnie nie przyjęły się tam hipsterskie brody, bo oni mają kiepski zarost.

Zrobiło się cicho. Dodałam coś jeszcze o ludziach w sklepach, o samych zakupach, ale Ania niestety straciła zainteresowanie moją opowieścią, a gdy zapytała: „A jakie tam są religie? Czy są kościoły?” – zbaraniałam.

– No, to głównie kraj ateistyczno-buddyjski, ale są i zielonoświątkowcy i jakieś chrześcijańskie wyznania, ale szalenie skromne. Nikogo tam się nie epatuje wielkością kościoła. Chyba bardziej chodzi o duchowość.

Zasznurowała usta i jakoś przestała oglądać slajdy i słuchać. Strzepywała okruszki z obrusa i wreszcie poszła uchylić lufcik, a potem stanęła przy zlewie. Aż tatko nie wytrzymał i ją zawołał. Opowiedziałam jeszcze o dzieciakach, jakie są urocze i ładne, gdy Ania znów się popisała:

– Podobno tam kobieta musi iść trzy kroki za mężczyzną... To prawda?

– Nie. To brednie. To zwyczajny kraj z równouprawnieniem kobiet, choć ślady patriarchy nadal są w wielu obyczajach. Tamtejsze panie też kręcą głową rodziny jako szyje, a młode domagają się totalnego równouprawnienia.

Ania milczała. Zupełnie jakby chciała uciąć temat, jakby rozmowa o tym była jej nie na rękę. Już ostatnie slajdy z Tapsy. Kolory drzew i stupy, i jeszcze kilka zdjęć z chryzantemowego korso, jakie stanęło tuż przed domem handlowym Hyundaia kilka tygodni przed moim wyjazdem. Antek zrobił mi tam masę zdjęć w kwiatkach. Potem zapytałam grzecznościowo, jak działa sklep, i choć mało mnie to obchodzi, słuchałam uprzejmie, czując, jak tort Anki przyprawia mnie już o przesyty i niemal mdłości. Pyszny jest, na maśle, ale za dużo go i za słodki.

Zmiana tematu na jałowce, sadzonki i stare odmiany drzewek, które wspaniale się przyjęły i doskonale się sprzedają, wyraźnie ożywiła tatę. Anka chyba jest bardzo religijna i nie lubi słuchać o tym, że gdzieś jest inaczej pod tym względem niż w Polsce. Dziwne.

Dopiłam wino i poszłam spać do mojego pokoju.

Rano tatko spał jeszcze, gdy wstałam i weszłam do kuchni.

Ósma i jeszcze ciemnawo, więc pali się światło. Ania zrobiła już śniadanie. Krząta się w kolorowym szlafroku, a nad czołem ma zawinięty zielony walek. Rozmawia ze mną jakby o niczym. Interesuje się, co teraz zrobię, mówi, że ogromnie mi współczuje utraty pracy, i zapewnia, że nikt jak ona mnie nie rozumie. Jest w tym cień egzaltacji. Może fałszu? Szybko się ganię za tę myśl. Czepiam się, bo jestem zazdrosna o tatę?

– Wiesz, że dwa tygodnie temu Grzegorz wpadł do Warszawy i był tu u nas?

– Cooo? Naprawdę? Nic mi nie pisał, nie chwalił się – mówię teraz naprawdę zła i zazdrosna. No, co prawda, mnie nie było, ale to pierwszy chyba przyjazd od ich emigracji.

– Bo wpadł na dwa dni na jakieś... sympozjum czy coś. Nocował w hotelu w Warszawie, ale znalazł czas i wpadł do dziadka. To bardzo miły człowiek, wiesz? Uroczego masz syna, choć taki zagoniony. – Zamilkła i po chwili dodała: – Wykształciliśmy, odchowaliśmy, a dzieci fiuuuuu! W świat! Ja też tak wypieściłam Kasię, od ust sobie odejmowałam: najpierw na jej studia, potem na leczenie i protezę, rehabilitację... i dzisiaj napatrzeć się nie mogę. Udały nam się dzieci, Marianno, i z tego trzeba mieć radość! A twojemu ojcu to ja się nigdy nie wywdzięczę za jego dobroć. Że nas tak przygarnął i że Kasi i Łukaszowi tak pomógł!

– No... – Chciałam jakoś zakończyć ten wylew słów. – I on na tym korzysta! Wstał już? Zobacz? On nigdy tak długo nie sypiał.

Ania uśmiechnęła się nostalgicznie.

– Starość. Starzy ludzie albo nie śpią, mątykują, przewracają się z boku na bok, łązą po nocy i biorą tabletki, albo zaczynają nagle doskonale spać, zwłaszcza rano. Pani doktor mówiła, że to częste. I Kobyliński też mówił do Michała, że teraz to późno wstaje, wraz z wnukami dopiero. Około siódmej, bo te najmłodsze to na dziewiątą dopiero do przedszkola. Przedszkole mamy bliżej, wiesz? – zmieniła temat.

Na szczęście tatko wstał i można było znów pogwarzyć przy śniadaniu. Tym razem o planach. O tym, że wybieram się na grób Lilki, że nie, absolutnie nie zabiorę taty ze sobą. Jest koniec listopada, a sam tatko mówił, że byli z Anią na Wszystkich Świętych.

– Sama pojedę, tatku.

Opowiedziałam jeszcze o nerce Juliki, co spotkało się z kwaśną uwagą Ani, że Julika najwyraźniej postradała rozum, bo co się stanie, gdy jej ta jedyna wysiadzie, i o projekcie książki o Polkach za granicą, co przyjęła obojętnie, i... pojechałam. Chciała mnie niby zatrzymać, ale ja już czułam, że wyczerpały nam się tematy.

Wyprytulałam ojca i poczułam pod dłońmi, jaki stał się kruchy, stary po prostu. Nieporadny. Dobrze, że się nim ta Ania opiekuje, choć chyba jednak przyjaciółkami nie będziemy.

Gabi

Nie ma maila od Antka – szlag!!!

Pojechałam rozmówić się z redaktorką Ewelina Łuszczewską, która zamówiła u mnie wywiady z ciekawymi kobietami. Średniego wzrostu, w garsonce koloru morza, z naturalnie kręconymi blond włosami. Około czterdziestki. Pantofle na słupku. Ładnie pachnąca. Nie miała dla mnie wiele czasu, owszem, przywitała mnie w redakcji, zaproponowała wodę mineralną i przysłała asystentkę. Trochę mnie to szarpnęło, ale cóż począć? Zamiast pięciu wywiadów miałam... jeden. Oli nie dopracowałam, zlekceważyłam dojeżdżające, a właściwie dolatujące do mężów w Korei Południowej Polki, które i tak wcielały w tamtejsze życie polskie tradycje i nic poza tym. Umierały z nudów.

Do salki spotkań weszła młoda dziewczyna o sarnich oczach i wielkiej urodzie, bez makijażu, co z mety dobrze mnie nastawiło. Pomyślałam od razu, że gdy się ma tyle piękna w sobie, to na co dzień do pracy wystarczą higiena i dyskretny błyszczący. Tu praca jest, a nie wybieg. Zauważyłam długopalce dłonie bez tipsów i skromną sukienkę. „Urocza” – przeleciało mi przez myśl, choć powinnam z zachwytem albo rozczarowaniem zaczekać do końca spotkania.

– Gabrysia. Gabriela. Gabi – przywitała się zwyczajnie, czekając, aż to ja podam jej rękę.

„W dodatku dobrze wychowana” – pomyślałam, przedstawiając się.

– Pani Marianno – zaczęła. – Przeczytałyśmy z panią redaktorką rozmowę z Julią. To jest prawie ten kierunek. Jak dla mnie to totalnie ten, bo mną to wstrząsnęło. Bardzo to odniosłam do siebie. Czy ja tak umiałabym?

– No tak – przerwałam jej – ale to wszystko. W Korei napotkane kobiety nie prowadziły aż tak odmiennego życia. Czy ja mam jeszcze szansę? Bo coś mi się wydaje, że ja tylko źle szukam, ale temat czuję.

– Oczywiście. Pani redaktorka pisała do pani zapewne, że projekt nam się przesunął. Nie ma pośpiechu. Czy jadła pani obiad? Jest godzina lunchu, jak mówi się w eleganckim świecie, a mnie burczy w brzuchu, bo od wczoraj nic nie jadłam. Czy dałaby się pani zaprosić na koszt firmy do restauracyjki na dole? Tam możemy kontynuować.

W knajpce na parterze, nastawionej ewidentnie na karmienie żołnierzy korporacyjnych w słynnym warszawskim Mordorze, zjadłyśmy pyszne gołąbki z kaszą gryczaną, popijając prawdziwym kompotem z jabłek. Moja rozmówczyni udzieliła mi bardzo szczegółowych informacji o projekcie:

– Dzisiaj większość pomysłów nazywa się szumnie projektami. Taka moda, cóż, ale też mimo mody i nadęcia nadal żyjemy w jakimś zamknięciu, zakleszczeniu. W klaustrofobicznej przestrzeni polskich tradycji, obyczajów i przekonania, że jesteśmy pępkiem świata i wszystko, co wymyśliliśmy, jest *the best*. Choć dla mnie raczej *beast*.

– A pani dużo czasu spędziła za granicą? – zapytałam Gabi.

Poczerwieniła i odparła prosto:

– Nie. Ale czuję, że Polska to nie świat, że tam, poza granicami, jest baaaaardzo ciekawie. Mnie... na razie nie stać. Mało zarabiam. Ale kiedyś pofrunę!

– Jest pani z Warszawy? Bo chyba nie? – zagadnęłam i z mety przeprosiłam: – Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam zaglądać pani w życiorys, ale wydaje mi się pani inna niż warszawskie młode dziewczyny.

Gabi kiwnęła głową i z zakłopotaniem dojadła gołąbka. Wówczas wpadłam na pomysł:

– Opowie mi pani o sobie?

Niemal się zakrztusiła.

– Ale... że ja? Ja nie jestem typem do opisania, przecież nie mieszkam w Polinezji Francuskiej ani Wyspach Owczych.

– OK, ale jest pani „przed wielkim skokiem”. Na razie jest pani tu, uczy się, zdobywa szlify, nabywa odwagi. Proszę pozwolić mi na to, abym uczyniła z pani moją pierwszą bohaterkę!

– Ale ja... Moje życie jest takie...

– Pozwól... może mówmy sobie po imieniu... A więc: pozwolisz, że to się dopiero okaże jakie? To może spotkamy się u mnie? Tu masz adres. Jutro około siedemnastej.

– O siedemnastej czterdzieści pięć. Dojadę.

– OK, czekam z kolacją.

– Ale nie trzeba! Po co kłopot!

– Żaden. Wy młodzi musicie porządnie jeść. Do jutra!

I tak się dogadałyśmy. Oczywiście redaktor Ewelina musiała udzielić zgody, ale... udzieliła! Zrobiłam miłą kolację: faszerowane twarożkiem pomidory i babeczki z francuskiego ciasta nadziewane pieczarkami. Łatwe, szybkie, pyszne.

Gabi zjawiała się o czasie. Gdy jadła, oswoiłam ją nieco z sytuacją, gadając o sobie. Przełykała i słuchała ciekawie, a potem odetchnęła i nieco zmieszana pozwoliła mi włączyć dyktafon.

– Powiedziałaś nieco kąśliwie, że jesteś słoiczką. Prywatnie i ja nie znoszę tego określenia i wyczuwam, że ty chyba też. Skąd się wzięłaś w Warszawie? I czemu akurat tutaj?

– Nie lubię kategoryzowania ludzi, wrzucania ich do określonego worka. Owszem, ludzie jakoś się tam dzielą, ale po co to wszystko nazywać? Uważam, że Polska i tak jest wystarczająco podzielona, nie ma sensu tego mnożyć. Kiedyś w wiadomościach widziałam reportaż o „słoikach” i jeden z dziennikarzy zapytał na ulicy warszawiaków, co o nich sądzą. Jedna z zagadniętych odpowiedziała: „Mi słoiki nie przeszkadzają, ale niech się przynajmniej kulturalnie zachowują”. I wtedy sobie pomyślałam: „Nożeż kurwa”. Przepraszam, ale tamte słowa bardzo mnie dotknęły i od tamtej pory mam uczulenie na słowo „słoik”, bo ktoś bez mojego przyzwolenia postanowił mnie skategoryzować. A przy okazji ocenić.

– Zabolęło?

– Bardzo. Jestem Polką, tak samo jak tamta pani i każdy inny warszawiak,

krakowiak, olsztyniak *et cetera*. „Polskość” to jest kategoria, do której można mnie przypisać, bo wszyscy pracujemy dla jednego kraju. Chociaż mogłabym pewnie wyjechać za granicę i działać na rzecz obcego kraju, prawda? Może wtedy byłoby lepiej? Nie używajmy określenia „słoik”, bo jest ono po prostu obraźliwe, wredne i sztuczne.

– Skąd pochodzisz, Gabrysiu?

– Z małej miejscowości położonej na Warmii, niedaleko granicy z Obwodem Kaliningradzkim. Słynie ona głównie z zakładu karnego, w którym pracował niemal każdy ojciec mieszkający w Kamińsku. Mój też. Było to wówczas jedyne źródło dobrego dochodu, które umożliwiała rodzinom funkcjonowanie. Tak jest chyba do dziś. – Zamyśliła się. – Dzieciństwo miałam naprawdę szczęśliwe, ale kiedy zaczęłam dojrzywać, zaczęłam też inaczej myśleć. To śmieszne, ale wychowywałam się w czasach, kiedy w polskich domach namiętnie oglądało się seriale. Internet nie był jeszcze dostępny dla wszystkich. Telewizja i gazety były dla mnie podstawowym oknem na świat i tam zobaczyłam ten większy: Warszawę i inne możliwości. W końcu zauważyłam, że poza rodziną niewiele mnie w tym Kamińsku trzyma. A punktem kulminacyjnym była moja sesja zdjęciowa do gazety „Bravo”.

– O! A jak do tego doszło?

– Zgłosiłam się do konkursu „Zostań twarzą Bravo”. Miałam wówczas piętnaście lat. Na casting i sesję jeździłam do Warszawy sama.

– Odważna byłaś.

– Czy ja wiem? Zdeterminowana. Mogłam siedzieć, obgryzać paznokcie i czytać „Bravo” lub „CosmoGirl” albo coś zrobić. Wie-dzieli tylko rodzice i moi dwaj przyjaciele. Wtedy Warszawa wydawała mi się ogromna, wręcz przerażająca! Teraz, kiedy to wspominam, to chce mi się śmiać, bo dziś zamknęłabym ją jedną dłonią. Nie jest wielka i wspaniała. Jest... zwyczajna.

– Co się stało na castingu?

– Nooo, wygrałam ten konkurs i poleciałam na Cypr, na sesję zdjęciową. Dodało mi to skrzydeł i pomyślałam, że marzenia jednak się spełniają. Później próbowałam zostać modelką, chodziłam na castingi, ale nie wyszło. Urody za mało albo tupetu. Poświęciłam się więc nauce. Aha, i ważne – straciłam przyjaciół, którzy nie mogli znieść mojego sukcesu. Jeden z nich powiedział podobno: „Wkurza mnie to, że tej Gabryśce wszystko się udaje”.

– Popłakałaś?

– Popłakałam, oj, popłakałam! Ale patrzyłam na życie mojej mamy i innych kobiet, patrzyłam na starsze koleżanki, które żyją w Kamińsku, wychodzą za męża, rodzą dzieci i pracują w sklepach, dorabiają za granicą albo po prostu siedzą w domach. Bo innej możliwości nie było i chyba nadal nie ma. Ich jedyną rozrywką były kawka, ploteczki, pilnowanie dzieci na podwórku i pielgrzymka pod bar Kaprys w celu ściągnięcia męża do domu. Oczywiście niektóre miały całkiem niezłą pracę – a to w urzędzie, a to w banku... No ale to wciąż nie było dla mnie.

– Nie podobała ci się taka perspektywa?

– Nie. Ja nie chciałam wtedy takiego życia. Chciałam skończyć studia i mieć dobrą pracę, być aktywna zawodowo i się rozwijać. Rozwijać! Być niezależna od wszystkich,

a tym bardziej od przyszłego partnera.

– Zapachniało feminizmem.

– Nie, zdrowym rozsądkiem. Kochajmy się i szanujmy, ale miejmy własne konta.

To daje swobodę i suwerenność.

– Ty mądrasku. – Uśmiechnęłam się serdecznie. Miło się tej Gabrysi słucha.

– Być może uprościłam życie tych kobiet, strywializowałam, bo może one są szczęśliwe, może to było ich celem. A może jednak robią więcej, niż mi się wydaje. Nie chcę, żebyś pomyślała, że czuję się lepsza od nich, bo się wyrwałam z zadupia. O nie. Po prostu ja wybrałam inne życie. Powodów było wystarczająco dużo, aby wyjechać z Kamińska i spróbować rozwinąć skrzydła.

– To mogło być solą w oku twoich przyjaciół. Czemu Warszawa? Ta żarłoczna Warszawa?

– Warszawę wymarzyłam sobie jako jedenasto- czy dwunastolatka, gdy byłam jeszcze w podstawówce. Nie pamiętam, od czego to się zaczęło, ale chyba od tego, że najpierw chciałam zostać aktorką, a Warszawa wydawała mi się na to idealnym miejscem – przynajmniej tak wynikało z telewizji. Kraków... za daleko. Zaczęłam więc planować swoją przyszłość właśnie w tym miejscu: przeglądałam ofertę akademii teatralnej, jak się dostać i co przygotować. Potem zdecydowałam, że muszę skończyć dobre liceum, najlepiej o profilu teatralnym. Niestety takich blisko mojej miejscowości nie było. Z czasem przekonałam się, że chyba za mało potrafię na szkołę teatralną: nie chodziłam na żadne warsztaty, lekcje śpiewu czy tańca, bo po prostu tego nie było w pobliżu. A rodziców nie byłoby stać na to, bym szukała gdzieś dalej. Grałam więc sobie w szkolnych przedstawieniach i znalazłam inne zajęcie: redagowanie szkolnej gazetki i prowadzenie szkolnych imprez. Takie zastępstwo, errata do marzeń.

– Ja też kiedyś myślałam o PWST – wtrąciłam – ale zrezygnowałam. Szybko. Nie zobaczyłam w lusterku żadnej ówczesnej gwiazdy ekranu. Byłam zbyt szara. A może w twoim przypadku to był lęk przed zbyt wysokim schodkiem?

– O, chyba tak. Wówczas pomyślałam: a może jednak dzienni-karstwo? Pisałam to tu, to tam. W końcu poszłam do liceum do Ol-sztyna, z wielkimi nadziejami, że tam znajdę więcej furtek. Lekko nie było, bo ja nie byłam uczennicą zdolną, raczej pracowitą. Wiedziałam, że jeżeli chcę w życiu więcej, to muszę zdać maturę. A akurat weszła obowiązkowa matma, moja zmora – dużo mnie kosztowało zdanie tego przedmiotu. Czas w liceum spędzałam więc głównie na nauce. Między sprawdzianami chodziłam do Książnicy Polskiej i uczestniczyłam w spotkaniach autorskich, które potem relacjonowałam w lokalnej gazetce. I właśnie wtedy pomyślałam o studiach dziennikarskich. Zaczęłam czytać, rozmawiać z ludźmi, którzy studiowali ten kierunek, i doszłam do wniosku, że jest... za mało konkretny.

– Ty marudo!

– Prawda. – Nareszcie się roześmiała i upiła łyk wina.

Widzę, że się rozluźnia, a opowiadanie tej historii sprawia jej frajdę.

– W liceum miałam cudowną polonistkę, dzięki której pokochałam język polski jako przedmiot. Pewnego razu, kiedy przedstawiała wyniki próbnych matur, moją pracę omówiła na końcu i pierwsze, co powiedziała, to to, że jestem MISTRZEM. Wie pani, co

to było? Taka największa nagroda, frajda, jak namaszczenie. Ja mistrzem? Mistrzynią? Ju-hu! Wtedy postanowiłam, że będę studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Pomyślałam, że skoro tak dobrze idzie mi pisanie, to mogłabym pracować w redakcji kobiecego pisma albo w wydawnictwie książkowym.

– Nareszcie konkret, tak?

– Tak. Udało się.

– Pojechałaś do Warszawy po marzenia?

– Ano tak. Warszawa była dla mnie takim Hollywoodem. I chyba nadal jest.

Zamilkła i znów sięgnęła po wino. Dolałam jej, bo ewidentnie jej pomagało.

– Dobrze – mruczę zadowolona, bo to jest dokładnie to, czego chciałam. – Wróćmy do twoich stron i byłych znajomych. Jak twój wybór odebrali twoi ziomkowie, rówieśnicy, bo przecież dowiedzieli się, co wymyśliłaś, gdzie lądujesz... Jakie były ich reakcje? Jakie są ich życiowe wybory? Czy podziwiali twój? Jakie są twoje odczucia? Przepraszam za deszcz pytań, dasz radę?

– Dam. – Zaczerpnęła powietrza i kontynuowała: – Tak jak wspomniałam, Warszawa pojawiła się w moich planach, gdy miałam dwanaście lat, i już wtedy każdemu opowiadałam o moich tęsknotach. Chyba nie za bardzo mi wierzyli. Podkpiwali. Nie sądzili, że wyjadę, a może wcale ich to nie obchodziło, sama nie wiem... Od kiedy wyjechałam, kontakty się prawie urwały. Dopiero teraz, po pięciu latach, z niektórymi znajomymi z Kamińska odnowiłam kontakty i słyszę najczęściej: „Dobrze, że się wyrwałaś z tego miejsca, z tej pustyni”. Nie. Nie sądzę, żeby ktoś mnie podziwiał. Nie czuję tego. Mam raczej wrażenie, że albo są obojętni, albo mi zazdroszczą i czekają, aż coś mi nie wyjdzie i wrócę do domu z podkulonym ogonem.

– Kowalskiemu lepiej się chodzi, gdy sąsiad złamie nogę?

– O, właśnie tak. Tak to czuję. Wiem, to strasznie brzmi, ale to środowisko, w którym się wychowałam, było specyficzne. Jako że mniej więcej wszyscy mieli ten sam status finansowy (przypominam: większość tatusiów pracowała w ZK), to jeśli ktoś nagle miał coś więcej, na przykład nowy samochód czy odnowione mieszkanie, to ludzie, zamiast się cieszyć, po prostu byli zawistni. Mój tato jest bardzo pracowitym i zaradnym mężczyzną. Pamiętam, jak w liceum dostałam nowy laptop i aparat cyfrowy. Moi „przyjaciele” po raz kolejny postanowili się ode mnie odwrócić, bo miałam coś, czego oni nie mieli! Aberracja, prawda? A może jest tak, że nikt już o mnie nie pamięta? Myślę, że ci ludzie mają ważniejsze sprawy do obmyślenia niż moje życie. Mam taką nadzieję.

Odstawiła kieliszek i wyszła do łazienki. Po powrocie znów usiadła jak grzeczna uczennica i mówiła dalej, pamiętając o meritum, o zadanych pytaniach. Żadnego pogubienia wątków. Świetna jest.

– A jakie są życiowe wybory moich ziomków? Trudno mi powiedzieć. Wiem o nich głównie z Facebooka. Różnie wybrali: jedni założyli już rodziny, mają dzieci, ktoś tam jeszcze studiuje, ktoś wyjechał na stałe za granicę. Część na pewno układa sobie życie w Trójmieście lub Olsztynie – to są najczęściej wybierane miasta przez mieszkańców Warmii. Awans. Każdy jakoś żyje. Mam nadzieję, że są szczęśliwi i kiedyś, gdy się spotkamy na ulicy, to pójdziemy na kawę i powspominamy stare dobre czasy. Z moich znajomych do Warszawy wyjechała tylko jedna koleżanka z liceum i zawsze mogę na nią

liczyć.

– Powspominacie przy kawie? Tak myślisz?

– Może. Mam nadzieję, że mnie całkiem nie skreślili tylko dlatego, że postanowiłam skoczyć ponad Olsztyn.

– Jakie były pierwsze tygodnie w Warszawie? Miałaś umówione miejsce? Firmę?

– Ha, dobre pytanie! Pierwsze tygodnie w Warszawie... to był czerwiec, jakiś miesiąc po maturze... spędziłam u kuzynki. Wyniki matury odczytywałam, już będąc w stolicy. Nie miałam umówionych żadnych rozmów o pracę. Głupie co? Najpierw zaczęłam szukać pokoju, co udało mi się dość szybko.

– Szybko?

– Tak. Była to klitka, w której mieściło się jednoosobowe łóżko i segment, ale i tak byłam szczęśliwa – zrobiłam kolejny krok ku lepszemu życiu! Dalej już jakoś poleciało. Znalazłam pracę na stacji benzynowej. To był lipiec, pamiętam, że była piękna pogoda, słońce...

– I to dało ci możliwość zapłacenia za mieszkanie, jak podejrzewam, i możliwość poczekania na ofertę wymarzonej pracy – wtrąciłam. – Co dalej? Bywało dramatycznie, jak się domyślam?

– Czy ja wiem... No, nie szło jak po aksamicie, to pewne. Zamieszkałam przy ulicy Szklanych Domów na Pradze-Południe. Warunki były dobre jak na pierwsze mieszkanie. Wbrew wielu opowieściom o początkach w stolicy, że karaluchy, że dużo osób w mieszkaniu i generalnie ciężko, to ja miałam szczęście. Mieszkanie zadbane, fajna współlokatorka, która na początku była jak starsza siostra. Zero dramatów. W październiku zaczęłam dzienne studia, więc zwolniłam się ze stacji benzynowej i po miesiącu zaczęłam pracować w weekendy. Sprzedawałam wyroby garmazeryjne w centrum handlowym. Zarabiałam na swoje drobne wydatki, dalej pomagał mi tata. Dramat na stacji zaczął się, gdy do mieszkania wprowadziła się siostra współlokatorki. Niestety trzy osoby to już tłok, a trzy baby oznaczają trzecią wojnę światową. Konflikt narastał z dnia na dzień. Byłam na pierwszym roku studiów, więc miałam naprawdę dużo nauki, do tego jeszcze praca w weekendy, no i ciągle nie byłam przyzwyczajona do Warszawy. Kłótnia dotyczyła jakichś bzdetów: a to, że nie sprzątam, że nie dbam o mieszkanie – totalne bzdury, raczej zwykły pretekst, żebym się wyprowadziła.

– Nie wierzę, że byłaś brudasem.

– Bo nie byłam, ale mogło się zdarzyć, że nie zaniósłam kubka do zlewu, bo zasnąłam nad książką, czy nie umyłam po sobie prysznicą. Wystarczyłaby uwaga, jak do tej pory, ale jak powiedziałam, one były dwie, ja jedna. Było mi naprawdę ciężko, lecz stwierdziłam, że muszę zacisnąć zęby, muszę dać radę, bo przecież studia i praca, jak ja teraz mam zmieniać mieszkanie? A był środek sesji zimowej... Starłam się łagodzić konflikt i byłam cichutka jak myszka.

– Schodziłaś z drogi. Udało się? Nie wierzę, że obyło się bez większych problemów.

– No i dobrze się pani domyśla. Pierwszy poważny strzał w plecy nastąpił, gdy wróciłam z weekendu u rodziców i zobaczyłam, że moje łóżko nie ma materaca. Zapytałam, co jest grane, a siostra Magdy na to, że nie może już z nią spać na jednym

łóżku, bo się nie wysypia, a ten materac jest jej. Dziwne, bo nic o tym nie wiedziałam. Przecież gdyby mi powiedziały, kupiłabym sobie nowy. I tak wylądowałam na deskach.

– Jak to: na deskach? Zabrały ci materac, nic nie dając w zamian?!

– Tak, dosłownie, spałam przez miesiąc na samych dechach. Nie miałam pieniędzy na nic, nawet na dmuchacza. Przeżyłam. A drugi, na razie ostatni strzał, zdarzył się w czasie, kiedy zbliżał się egzamin z łaciny. Przez tę całą chorą sytuację trudno mi było skupić się na nauce, a łacina wymagała porządnego przygotowania. Wróciłam z zajęć do mieszkania i na drugi dzień miałam pierwszą poprawkę. Było już ciemno, więc chciałam zapalić światło, a tu zonk! Nie pali się. Poszłam kupić nową żarówkę, wymieniłam, a tu nadal nic się nie świeci. Odłączyły mi światło w pokoju! Dosłownie zaczęłam się trząść ze złości.

Zamarłam.

– Z wściekłości i upokorzenia chyba, co? Poczulaś się niszczone?

– Tak. To było jak cios w szczękę, w podbrzusze. I to od kobiet? Zacisnęłam zęby i oczy, wybiegłam bez słowa z mieszkania i zaczęłam wyc. Dawno tak głośno nie płakałam jak wtedy. Nie miałam do kogo pójść, nie wiedziałam, co zrobić, a tak bardzo nie chciałam tam wracać. Zadzwoiłam do rodziców. Wypłakałam wszystkie łzy. Chcieli przyjechać do mnie, ale nie pozwoliłam. Powiedziałam, że sobie poradzę i żeby się nie martwili.

– Twarda jesteś, Gabrysiu.

– E, czy ja wiem? Zdesperowana, uparta. Na drugi dzień poszłam na to zaliczenie łaciny, ale tylko po to, żeby wyjaśnić profesorce, dlaczego jestem nieprzygotowana. Od płaczu miałam tak spuchniętą i smutną buzię, że chyba w najzimniejszym sercu świata wzbudziłabym litość.

– Zdałaś?

– No, nie. Postanowiłam się wyprowadzić tego samego dnia. Pomogła mi Monika, koleżanka z liceum, która jako jedyna z moich znajomych także wyjechała do Warszawy. Pozwoliła mi się u siebie zatrzymać, zanim znajdę nową stancję. Uratowała mnie. Fajna kobieta, bo takie też są! Uratowała przede wszystkim dlatego, że nie musiałam ściągać na pomoc rodziców, że nie musieli mnie takiej oglądać – bezradnej, słabej i zrezygnowanej. Ale taka byłam tylko przez jeden dzień! U Moniki nie siedziałam i nie lamentowałam. Zesztywniałam. W tydzień znalazłam nowy pokój i się przeprowadziłam. Dodam, że cały czas trwała sesja zimowa, więc uczyłam się jeszcze do egzaminów i wszystkie zaliczyłam. Łacinę też! Ha!

– No to idźmy dalej. Jak upragniona praca? Sięgnęłaś po ma-rzenia?

– Moja obecna praca – dodam, że jest to pierwsza poważna praca – jest... spełnieniem moich pragnień. Pracuję w jednym z największych wydawnictw w Polsce, zajmuję się książkami, kontaktami z mediami, ze znanymi ludźmi. A trafiłam tu znikąd. Z TK Maxxa.

– Wyjaśnij.

– Jestem jak kobieta pracująca z *Czterdziestolatka*, żadnej pracy się nie boję. Byłam sprzedawczynią w TK Maxxie i jedyne, co mnie łączyło ze światem książek, to studia.

– Żadnych znajomości, nic?

– Tak. Złożyłam papiery jako człowiek z ulicy. Przyjęto mnie naprawdę dobrze. Bałam się, że ze względu na brak doświadczenia i umiejętności będę wytykana i prędzej czy później wylecę na zbity pysk. Ale nie. Ja chciałam tej pracy i wiedziałam, że będę w tym dobra! I pokazałam wszystkim, że chcę tu pracować, że mi zależy. To stanowisko jest nawet ponad moje wyobrażenia, serio. To dla mnie wielki sukces, ale przede wszystkim to dopiero początek. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do uzupełnienia. Chcę zdobywać nowe umiejętności i kwalifikacje. I powoli, w miarę możliwości to robię.

– Dziewczyno, brzmisz trochę jak siłaczka, trochę jak bohaterka serialu o, wybaczone, słoikach. Brzmisz pięknie. Mów dalej. Czy odczułaś bardzo na własnej skórze... pogardę dla przyjezdnej dziewczyny? W wydawnictwie żadnych przytyków?

– Nie, nic. W Mordorze przyjezdnych warszawianek na pęczki. Nigdy nie odczułam najmniejszej pogardy i mam nadzieję, że to się nie stanie. Wiem, kim jestem, i nie pozwolę, żeby ktoś tak mnie potraktował. Określenie „słoik” budzi we mnie wojowniczkę o tożsamość. Naprawdę nie radzę poruszać ze mną tego tematu, bo mam dużo do powiedzenia i nie dam się nikomu przegadać.

– Świetnie, wojowniczo. Jak dajesz sobie radę w mieście bez rodziny? A w ogóle masz fajną rodzinę? Daje ci oparcie?

– Mam trudną rodzinę, ale bardzo ją kocham. Bywało tak, że mocno się angażowałam w problemy bliskich. Do tego stopnia, że zapominałam o sobie. Kiedy wracałam do Warszawy, ciągle o nich myślałam i się martwiłam. Na szczęście ktoś mi uświadomił, że nie mogę być bezustannie strażakiem gaszącym pożary w rodzinnym domu, siostrą miłosierdzia i Kurą Troską, że powinnam więcej myśleć o sobie, być asertywna. Co nie zmienia faktu, że bardzo mi ich brakuje. Chcę, żeby byli ze mnie dumni, i marzę o tym, żeby im kiedyś pomóc, sfinansować coś, czego oni sami nie mogą. Wiem, że rzeczy materialne nie mają znaczenia, ale świat w połowie jest duchowy, a w połowie materialny, od tego nie uciekniemy. Myślę, że duchowo już im podziękowałam, więc mam nadzieję, że przyjdzie w końcu czas na superprezent. Rodzina jest fundamentem mojego życia, to na nim buduję całą resztę.

– Jak jest dzisiaj?

– Jak jest dzisiaj? Hm, no lekko nie jest. Jeszcze się nie kąpię w oślim mleku. Ale pierwszy etap za mną – skończyłam studia i mam upragnioną pracę. Stawiam sobie kolejne cele, do których dążę, i na razie końca nie widać. Ale chyba nie chcę go nawet widzieć. Marzenia są po to, żeby je spełniać. Mknę do przodu, choć czasami jeszcze się potykam, bywa, że rozcieram guza. Teraz skupiam się na pracy, żeby zapewnić sobie stabilizację finansową i oczywiście zawodową. W pracy poznałam wspaniałe koleżanki. Przez całe dotychczasowe życie nie miałam obok siebie tak cudownych dziewczyn jak one. Są jednym z powodów, dla których warto było wyjechać do Warszawy.

– Czy mimo to czujesz się w Warszawie samotna? A gdy wracasz do rodziców?

– O, to czuła struna. Tak. Czuję się samotna. Brakuje mi rodziny i znajomych miejsc z dzieciństwa. Kiedy spaceruję po Warszawie, widzę historię tego miasta, ale nie mam z nim związanych żadnych wspomnień. I to czasami boli. Choć świadomie wyrwałam się z korzeniami (a raczej z korzonkami) i postanowiłam zasadzić się w stolicy, bo bywało, że czułam się tak samo w Kamińsku. Zawsze jakaś taka

wyobcowana, inna, marzycielka... Miałam nadzieję, że gdy wyjadę do Warszawy, to to się zmieni – poznam innych ludzi, którzy mnie polubią. No ale się nie zmieniło, wielkiego grona znajomych wciąż nie mam. Więc ja chyba po prostu taka jestem. Outsajderka? Singielka? Ale wszystkie możliwe święta, Boże Narodzenie, Wielkanoc, Wszystkich Świętych, obowiązkowo spędzam w Kamińsku. To jest właśnie ten czas, w którym muszę być z najbliższymi. Gdybym mogła, spędzałabym jeszcze z nimi niedziele – to też dla mnie ważny dzień w tygodniu, taki rodzinny. Ale mam to w planie, jak tylko kupię auto. Jestem gotowa jeździć do rodziców dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów, żeby pójść z nimi do kościoła, wypić kawę i zjeść obiad.

– A co, Gabi, robisz w wolnym czasie?

– W zależności od tego, jaka jest pora roku. Wiosną i latem spędzam czas wolny aktywnie: jeżdżę rowerem, pływam (najchętniej nad jeziorem) i zwiedzam Warszawę, bo jeszcze dużo w niej do zobaczenia. Jeżeli mogę, zwiedzam inne miejsca. Zimą lubię oglądać seriale, różne: od kryminalnych po obyczajowe. To dla mnie forma odmóżdżania. Czasami sięgam po jakąś książkę, jak *Anna Karenina* choćby. Zawsze jednak najchętniej słucham muzyki – koniecznie na słuchawkach. Wtedy odpoczywam, wyłączam się ze świata.

– A jeśli można: z kim spędzasz wolny czas?

– Najczęściej sama. – Gabrysia spuszcza wzrok i milknie. To chyba bolesna strona jej życiowych przypadków. Nie drażę więc, zmieniam temat:

– Kogo podziwiasz? Kto jest mistrzem, który cię prowadzi, imponuje ci?

– O. To trudne pytanie, bo właśnie tego mi w życiu brakuje – mentora, na którym mogłabym się wzorować, któremu mogłabym zadać pytanie: „Czy popełniłam błąd? Czy dobrze wybrałam? Myślisz, że mam szansę coś osiągnąć w życiu?”. Może to dlatego, że za mało jeszcze przeczytałam ważnych książek, może za słabo znam historię, może za mało poznałam ludzi, a może... może nigdy nie znajdę mojego mistrza? To musiałby być ktoś podobny do mnie. Jeszcze szukam!

– Zawsze na koniec zadaje się takie pytanie: jakie są twoje marzenia?

– No to szczerze i z głębi serca: moim największym marzeniem jest... nie być samą. Chciałabym czuć się potrzebna i móc przelać na kogoś całą wielką miłość, którą w sobie noszę. Jeżeli nie będę miała z kim się dzielić moimi pragnieniami, to one nie mają sensu. Uważam, że jestem stworzona do życia w stadzie, ale na razie ciągle go szukam.

– Stada czy gniazda?

– Jedno i drugie mi potrzebne. Najpierw on, potem gniazdo, potem stado. Mogę mieć to stadko spore, bo mam pojemne serce.

Wyłączam dyktafon, bo wdepnęłam w sferę intymną. I choć wiem, że Gabi dałaby się porwać w głębsze wywody, bo czuje się tu u mnie swobodnie i bezpiecznie, sama mówię stop. Mogłaby żałować spuszczenia ze smyczy swojej szczerości.

Postanowiłam jej opowiedzieć o sobie ciut więcej, jakby w nagrodę, ale udało nam się pogadać jeszcze tylko przez chwilę – do przyjazdu taksówki.

Świetnie. Mam już dwie opowieści. Może jednak mi się uda?

Przed snem poczta. NIC! O, Boże. Może się rozczarował? Nie lubi mnie, nie jestem miłym wspomnieniem. Czuje ulgę, że wyjechałam... Ale mi przykro...

Wysłałam mu wieść, że doleciałam, że jadę do taty i tak dalej, a on milczy. Jak to rozumieć?

Przykro mi. Bardzo przykro, bo... tęsknię.

Dentysta sadysta

Gdy cyzelowałam wywiad z Gabrysią, usłyszałam pukanie do drzwi. Okazało się, że to sąsiad dentysta, któremu wynajęłam mieszkanie po pani Mieci. Dentysta to był strzał w dziesiątkę. Cicho, żadnych awantur czy pijatyk, regularne wpłaty na konto – świetnie.

– Dzień dobry pani. Wpadłem, żeby się z panią rozmówić.

– Zapraszam! Kawy?

Pan przy kawie wyłuszczył mi, że chyba zwinie działalność, bo mieszkanie za małe, bo on chciałby większe, bo kolega, bo aparat rentgenowski... Słowem – do widzenia.

Fatalna sprawa. Ale co pocznę?

Roześlę wici!

Napisałam, dokąd się dało, nawet coś na Facebook wrzuciłam, bo ten portal potrafi cuda zdziałać. Zadzwoiłam też do Agaty, mojej byłej terapeutki, a ona obiecała pomóc, popytując wśród swoich. Nie chcę ludzi z przypadku. To spokojna kamienica. Gabinet byłby OK. Jakikolwiek.

Wreszcie HURAAAA!!! Jest mail od Antka:

Kochana Moja – WYBACZ, że nie pisałem, choć tak bardzo, bardzo chciałem. Wyobraź sobie – w Korei to niewyobrażalne – siadła sieć! No, nie w całym kraju. Tu u nas, na osiedlu. NIGDY się to nie zdarzało. Administrator się giął w przeprosinach, że zaraz naprawią, i... trzy dni to trwało! A u nas w biurze nie ma wyjścia mailowego – bo nowy szef zabronił. Wiadomo, Europejczyk. Co więcej, Polak! Waldemar, facet ostry, trudny w kontaktach i szalenie podległy szefostwu. Ten zakaz korespondowania w biurze jest upodlający! Wszelkie maile mamy wysyłać z... sekretariatu i wszystkie są sprawdzane, czy przypadkiem nie prywatne. To jakiś PRL w Korei. Próbowałem z nim rozmawiać, ale jest strasznie zawzięty i kompletnie nie do rozmowy. Kiedy indziej Ci to opiszę.

Owszem, mogłem iść do knajpy z Wi-Fi z laptopem, ale przepraszam, nie miałem sił. Uznałem, że wszystko Ci zaraz opiszę, bo miałem nadzieję, że za godzinę, dwie znów ta sieć będzie.

Źle jest bez Ciebie, Maniu, Maryniu Moja (moja?). Nie, nie chodzi o kotlety, pierogi, gołąbki. Ciebie mi brak – Twojego głosu, Twoich ciuszków tu i ówdzie, Twojej szczoteczki w kubeczku i śmiechu. Twojego: „Zaraz będzie obiad, myj ręce!” i „Zobacz, naliczyłam czterdzieści dwa statki na redzie!”

Wczoraj byłem w parku nadmorskim na Bangeojinie i wołałem kotkę tak, jak ją nazwałam: „Harry, kici, kici”. Ale nie przyszła. A Tobie zawsze się pokazywała.

Brak mi Twojego oddechu i ciepła w... łóżku.

Mówi się, że doceniamy coś, gdy to stracimy. Ja ogromnie doceniam Ciebie i mam wielką nadzieję, że nie ma Cię chwilowo, że to nie jest strata. Co? Pani Marianno? Kiedy wracasz?

Twój Tosiek Emigrant

No... nareszcie!

Tak bardzo czekałam na mail od niego, chciałam mieć wieści o tym, co czuje po moim odjeździe, bo co ja czułam – wiem. Zdumiewa mnie siła tego, jak o nim myślę i jak tęsknię. Sądziłam, że to takie chwilowe zawirowanie, romansik... A tu, proszę, jak moje kobiece serce zawołało, zapragnęło znów się przytulić do Tośka. I oczywiście chciałam całą swoją dojrzałą kobiecością wiedzieć, że to wzajemne.

Myślałam o tym w samolocie, że to odważne marzenia, odważne plany. On kawał życia sam, niezależny, niewykłany w żadne więzy i cudze rządy. Więc ktoś, kto mu zburzy codzienne rytuały, będzie na straconej pozycji. To ja – ja jestem zaburzaczem. Wytrąciłam go z codziennego rytmu, z dnia świstaka, jaki sobie sam wyreżyse-rował.

Zanuciłam Elektryczne Gitary:

Byłem jeden, okrągły, miałem wszystko na twarzy

Byłem chętny i czuły, miałem o czym pomarzyć

Byłem pełen równości, byłem górą powagi

Wytrąciłaś mnie z równowagi

Ra-ta-tam, ta-ta-tam, ta, ta-ta-ta-ta-tam

Wytrąciłaś mnie z równowagi

Świat był piękny i pusty, a ja w porównaniu

Byłem prosty, gotowy na każde spotkanie

Świat był drzwiami słabości i ścianą odwagi

Wytrąciłaś mnie z równowagi

Każdy z nas, kto jest sam, tworzy sobie własne scenariusze, wedle własnej woli i przyzwyczajenia. Rano kawa z mlekiem, wieczorem tylko herbata z połową łyżeczki cukru mieszana zgodnie ze wskazówkami zegarka osiem razy, papcie stojące w jakimś miejscu i nigdy w innym, dzień, w którym podlewa się kwiatki w doniczkach, i sposób ułożenia się w łóżku do snu. Trochę to jak w *Dniu świra* Koterskiego. Bo faktycznie

chyba każdy z nas, samotników, ma swoje obsesyjki i rytuały. Swojego świra.

Jak bardzo wlałam mu w jego świra? Jak bardzo zaburzyłam mu powtarzalność czynności? Jak rozbiłam ten dzień świstaka? Czytam ten mail i się uśmiecham. Czyli chyba dobrze, że zakłóciłam, że... byłam. „Nie ma Cię chwilowo” – jak to świetnie brzmi. Ma nadzieję, tęskni? „Twój Tosiek Emigrant” – mój? Oddał mi siebie? A ja? Czy go przyjął? Cała jestem posklejana z wątpliwości i znaków zapytania. Czuję się jak zaprzeczenie feminizmu, w który pakowałam się za każdym razem, gdy pisałam jakiś prokobiecy tekst, gdy rozmawiałam z działaczkami, gdy chciałam się jakoś usadowić w rzeczywistości jako dumna singielka. Niby taka się czułam osobna, zwycięska z tymi wszystkimi hasłami: „Dam sobie SAMA radę”, „Jestem silna” i „Po co mi facet?”. A teraz co? Zdradzam sama siebie czy zdejmuję niewygodne buty?

Bo tak świetnie mi było w jego ramionach, w jego towarzystwie, bo tak znakomicie nam się rozmawiało na różne tematy wieczorami przy winie albo herbacie ze zbyt słodką szarlotką ze zbyt słodkich koreańskich jabłek. Tyle wieczorów przegadanych o sprawach wielkich i malusich. Żadnych rozczarowań – jest mądry i odcytany, stale szuka wiedzy, imponuje znajomością techniki, ale i klasyków światowej humanistyki umie zacytować. To było zaskakujące i świetne! Taki mężczyzna!

Pamiętam szczególnie jeden wieczór, kiedy nalał nam wina, a na moje pytanie, czy wyjąć scrabble, odpowiedział:

– Daj mi piętnaście minut!

Po czym przyniósł swój kombinezon, otworzył pudełko z niemi i wyjaśnił:

– Muszę sobie przyszyć guzik na stopce.

– Może ja? – wychyliłam się z pomocą.

– Czemu? Dam sobie radę. Zawsze dawałem. To zasługa mamy!

– Opowiedz.

– No więc, gdy bywałem niegrzeczny, spóźniłem się czy coś podobnego, mama sadzała mnie w kuchni i karą było przyszywanie guzików. Na płask, na nóżce i na stopce. W ten sposób dyscyplinarnie nauczyła mnie wszywać ręcznie zamek błyskawiczny i podszywać spodnie.

– Miałaś zniszczone ciuchy?

– No nie. Mama brała nożyczki i... tworzyła mi pole pracy. Wolałem to od wcirow, jakie dostawali koledzy. Choć bywało, że myślałem: „Lepiej, jakby mi złała dupsko ścierką, zamiast kazać mi tak dziugać igłą”. Miałem mądrą mamę – westchnął.

I dzięki tej mądrej mamie mój Antek jest mężczyzną... ogarniętym – pomyślałam i zatrzymałam się na tym „mój Antek”. Szybko mi poszło. Mój? Czy to aby nie na wyrost?

A jeśli nawet na wyrost, to przyjemnie tak myśleć. Szczerze mówiąc, samotność mnie męczy. Niemal pół życia spędziłam sama w domu, bo Mirek siedział w szpitalu na dyżurach. Z rzadka miewaliśmy jakieś wspólne przedsięwzięcia. Kino? Teatr? Od dawna nie. „Nie, kochanie, to raczej nie moje kino”, „Nie, nie chce mi się. Obejrzymy w domu, jak wydadzą”. A kiedy już zaciągnęłam go do Teatru Wielkiego na kapitalną operę w reżyserii Trelińskiego, przysnął. Musiałam go trącać. No cóż. Wiem, że to był gest dla mnie: „Patrz, poszedłem, żebyś nie odsądzała mnie od czci, ale MÓWIŁEM, że to nie mój

krąg zainteresowań”. Fakt. Naciskałam, a potem żałowałam. Mirek nie zmuszał mnie do tenisa, który lubił kiedyś, ani nie przekonywał do koszykówki. Nie wymagał, żebym dzieliła z nim pasje sportowe. Zdarzało się, że urywałam się z jakąś koleżanką na świetne przedstawienie, z rzadka na koncert... Ze starym moim mentorem Włodkiem byłam dwa razy na recitalu znanego pianisty, ale poszliśmy tam nie dlatego, że Włodek kochał klasykę, lecz z powodu obecnych tam osób. Dla niego to było „wprowadzanie mnie w świat ludzi potrzebnych”. Ale na nic mi się to zdało. Te znajomości na nic się zdały.

Do dzisiaj jeszcze na nic.

Dzwonek do drzwi. Stomatolog przyniósł mi wieść, że jutro zabiera sprzęt i odda klucze. Cholera jasna, szkoda. Nie stomatologa szkoda, ale wynajmu. Na razie żadnego odzewu.

Thukę się po domu. Nie mam zajęcia. Znajduję mail od Reginy:
Mańka,

jak było w Korei? Jak Antek tak w ogóle?

Mam dla Ciebie dziewczynę! Moja córka spotkała ją na lotnisku w Sydney, gdy wracała do Perth. Estera, Polka. Lat... po trzydziestce. To jest bohaterka dla Ciebie! Masz tu jej mail. Była żołnierzem w korpo, uwielbiała tę robotę. Potem chyba po prostu tyrała, aż coś w niej zawyło. Zresztą zgodziła Ci się opowiedzieć, co robi dzisiaj. Za naszych czasów to się prychało i mówiło: „To się do prasy nadaje”. Bo nadaje!

Otóż ta Estera się... włóczy! Do Sydney przyleciała w odwiedziny do koleżanek. Pracowała tu przez rok. Lata sobie po świecie to tu, to tam. Nie, nie jest zamożna (!) – zarabia na każdy wyjazd. Zwiedza, mieszka u ludzi, nie w hotelach. Wyobrażasz sobie?! Zapytaj ją, co ma w plecaku... Kaśka była zdumiona i z mety mówi: „Mamo, to boha-terka dla Marianny”.

Uściski i wybacz, że krótko, ale jedziemy z psem do szpitala.

R.

Nareszcie! Mam kolejną bohaterkę i tylko pytanie, czy zechce faktycznie ze mną rozmawiać.

Podeszłam do okna.

Ziąb. Szaro i chmurzyska wiszą złowrogo niziutko nad dachami. Otuliłam się szalem Lilki i poszłam na Zwycięzców na pocztę. Patrząc, a tam, gdzie były warsztaty samochodowe, stoi parkan, a za nim buduje się apartamentowiec. Na parkanie zdjęcia onego – jak w Korei! Czyli zmiany, zmiany i u nas. Koło poczty tablica z ogłoszeniami

i tam zobaczyłam: „Poszukuję lokalu”. Osoba prywatna. Zadzwoiłam. Miły męski głos. No, proszę! Może wynajmę mieszkanie po pani Mieci komuś, kto robi catering dietetyczny? Ma wpaść po południu. Wracalam smętna i zmarznięta, choć bardziej psychicznie niż fizycznie, bo mam ciepły płaszcz i buty. Polski listopad, deszcz ze śniegiem, szaro, buro i ohydnie. U Antka też zima, ale jakaś taka słoneczniejsza. No i razem byłoby milej.

W domu zwyczajnie – coś ugotowałam, coś posprzątałam. Scindapsus ledwie odżywa, bo dentysta mi go ususzył. Zapomniał o podlewaniu. „Przepraszam panią”. Niechluj. Miał TYLKO scindapsusa podlewać i wyjmować pocztę ze skrzynki. No! To tak dużo?

Czekam na kucharza. Ma być za godzinę.

Męczy mnie ta moja cisza, to uporządkowanie, powtarzający się rytm. Chcę wrócić do myślenia o tym, jak mi było w Korei u Tośka, o tym, że chętnie ugotowałabym mu coś fajnego, a on odwzajemniłby mi się zaaranżowaniem weekendu. Przyjemne takie myślenie wzajemne. O Mirku chyba tak nie myślałam za często. Jeśli już, to o Grzesiu, ale on tak szybko wydorósł! Bardzo szybko zaczął jadać na mieście, oganiać się od mojej troski. Nawet to rozumiałam. Mirek też „już jadłem kochanie”, „jutro mam dyżur za Pawła, kochanie”, „nie, nie mogę, kochanie, idź sama”, „boszszysz, jaki jestem zmęczony”. I tak się rozlało...

Dzwonek do drzwi. Faktycznie miły, dość okrągły młodzian lat około trzydziestu, a może mniej. Blisko osadzone oczy, ujmujący uśmiech i eleganckie zachowanie.

– Ja pracuję z kolegą. Robiliśmy to u babci, ale to już niemożliwe.

Nie chciał powiedzieć dlaczego. Niemożliwe i koniec. Szukają innego lokalu.

Muszą się odbyć badania i wizyta kogoś z sanepidu. Musi być dobra wentylacja i próbki wody. Szybko to załatwią. Chłopak nie ma żadnych wątpliwości, bo klientów już mają. Obejrzał mieszkanie. No, wielkie nie jest. Wstawią większą lodówkę i duży stół. Na szczęście meblościanka, fotel, biurko i tapczan ofoliowane stoją w piwnicy, chłopcom one niepotrzebne. No, może biurko. Tak, zgadzają się na cenę, choć dosyć wygórowana, ale podobno mają mieć jeszcze dodatkowych klientów na dietę tysiąc dwieście kilokalorii. Robią tylko zestawy tysiąc, tysiąc dwieście i tysiąc sześćset. Nie, nie będą tu mieszkać. Mieszkają na Grochowie, niedaleko. Czyli bezpiecznie – żadnych balang i kłopotów.

OK. Nie wiem, co na to sąsiedzi, bo pewnie zapachów będzie trochę. Ale na razie nie kraczę. Zobaczymy. Zamiast dentysty więc będą chłopcy dietetycy.

Ja tymczasem siadam do maila do Estery.

Jak zacząć? Czy jest uprzedzona? Chyba tak. No to prosto z mostu przedstawiam się i zagajam. Aby ocieplić nieco własny wizerunek, posyłam kilka zdjęć z Korei i opisuję garść moich wrażeń, że niby i ja jestem podróżniczką. Teraz czekam.

Kochana Moja (moja?) Maryniu,

w domu pusto bez Ciebie. Jadam w stołówce. Dzisiaj wyjątkowo dobre dania, zupa podobna do miso, ryż i kurczak duszony w ostrym sosie. Rzadkość.

Zimno, choć słonecznie. A wczoraj wymieniono tu meble. Nam, mieszkańcom domu – obligatoryjnie. Te podobno już się wysłużyły – znaczy kanapa, fotele i jamniczek, czyli stół. Podjechał samochód z dźwigiem i ciężarówka z meblami. Podczas mojej nieobecności adm-nistrators i pomocnicy kolejno wchodzili do mieszkań, otwierali loggie, a dźwig usuwał starocie i unosił pakunki z meblami, które wkładał do mieszkań przez loggie. Nie mówiłem Ci o tym, jak to tu wygląda. U nas to nic – dwa piętka. A trzeba Ci byłoby zobaczyć, jaki mają wielki wysięgnik, gdy ktoś się wprowadza na dziesiąte piętro. Ależ to jest widok! W Polsce, zdaje mi się, korzysta się z windy?

Tak więc wnieśli owe meble, odpakowali, skręcili, POSPRZĄTALI i zamknęli drzwi. Ja wracam na gotowe. Mamy nowe meble w pokoju, Maryniu! Wygodne, w brzydkim pospolitym kolorze. Takie... szarobrązowe. Może wolałabyś inne? Gdy przyjedziesz, pomyślimy, chętnie wymienię na coś, co się Tobie spodoba. Kobieta ma inne oko i lepszy gust. Ty zadecydujesz. Dobrze?

Już chciałbym Ci zadać ważne pytanie – KIEDY wreszcie przylecisz? Wiem, wiem, że masz tam co robić, zapewne już Cię zajmuje sprawa taty i Ani, jakieś kwestie zawodowe, towarzyskie... Gdy tylko to skończysz i okaże się, że nie masz konkretnych planów – wracaj.

Czeka tu na Ciebie pewien stary i siwy facet.

Uściski. Posyłam zdjęcia z pokoju.

A.

Faktycznie, może i wygodniejszy ten wypoczynek, ale kolor „bezpieczny”. Rudoszary brąz. A co tam! Ważne, że wygodne i nowsze. Stolik za niski, ale ja już wiem, że to bardzo po koreańsku i Antek podniesie blat. O! Myślę, jakbym to ja była gospodynią tego mieszkania, i uśmiechnęłam się do siebie.

Nazajutrz się okazało, że niestety chłopcy nie będą mogli robić tu cateringu, bo wentylacja w pokoju jest zbyt kiepska. Nie dostali zgody. Trudno. Szukam nadal kogoś, kto wynajmie to mieszkanie. Czekam też na wieści od Estery podróżniczki i, szczerze mówiąc, obijam się. W Ulsan miałam jakiś rytm, wiedziałam, że za trzy dwunasta usłyszę kroki na schodach i radosne: „Jesteeeeeem!”. Że do tej godziny mam czas na zakupy i pitraszenie, że po wyjściu Antka mam czas do siedemnastej na pisanie, łażenie po mieście, sport, przepierkę. Że po siedemnastej spędzamy czas razem – spacer, wypad do parku albo na rower, na basen, kręgle, scrabble, film w telewizji, kolacja i łóżko.

A teraz jakoś nie umiem wejść w mój poprzedni tryb.
Tęsknię.

Bum!

Życie, a właściwie mieszkania nie lubią pustki. Pomogła Agata, która przysłała mi dwóch starszych panów. Jeden to psychiatra, drugi psycholog. Para? Nie mam pojęcia i nie pytam, bo co mnie to obchodzi?

Obaj po pięćdziesiątce, pachnący, elegancy. Jeden z nich – pan Jacek – ubrany na sportowo, w dżinsach i w swetrze. Drugi – Paweł – starszy, w tweedowej marynarce i koszuli z muszką. Chcieliby mieć tu gabinet terapeutyczny, więc czy mogą obejrzeć? O, tak, jest w porządku. Jest łazienka – dobrze, w kuchni się zrobi poczekalnię. Można zlikwidować część szafek? Wstawić krzeselka? Oczywiście, świetnie. O, i pokój akurat na gabinet. Wstawią własny zestaw. Biurko, krzesło i kanapa z fotelem. Lampa jest OK. Rolety też. No bardzo fajnie! Pan Jacek bardziej entuzjastyczny. Jeden przyjmuje rano, a drugi po południu. „O dwudziestej zawsze kończę” – mówi ten w dżinsach. „A ja – wyjaśnia pan Paweł, starszy – około czternastej, potem około piętnastej wchodzi Jacek. Nie palimy. Bywa, że Jacek ma grupę, ale to cztery, maksimum pięć osób. Żadnych okrzyków, cisza. Terapia niewymagająca zbędnej ekspresji. Znaczący nie tańczymy i nie krzyczymy. Ja mam spotkania indywidualne”.

Bardzo im odpowiada. Cena też, choć z lekka marudzili, ale widziałam, że tak dla picu, bo do tej pory wynajmowali na zamkniętym osiedlu i to było dla pacjentów uciążliwe. No i z pewnością płacili więcej.

Oczywiście uregulują z góry za trzy miesiące.

O tym nie pomyślałam. Miłe.

Telefon od Anki:

– Marianna, nie denerwuj się... U Michała było pogotowie.

– Jadę!

– Nie, nie trzeba. Chyba że chcesz koniecznie. Ale jemu teraz potrzebny spokój.

– Co to było?

– No lekarz się upiera, że Michał przeszedł zawał czas jakiś temu, a teraz to był taki stan przedzawałowy. Znów. On ma słabe to serce...

Milczę.

– Zaraz będę – rzucam i wyłączam telefon.

Tatko leży blady i słaby.

– Baranku! Mówiłem, żeby cię nie niepokoić.

– Tatku, mam tylko ciebie. Trzeba mnie zawiadamiać o wszystkim, co z tobą związane. Jak się czujesz? I co to znaczy, że przechodziłeś zawał?! To było niedawno?! Leżałeś na Szaserów. Mówiłeś im?

– A, nie wiem, lekarze coś wymyślają, że całkiem niedawno...

Anna odzywa się, stojąc w drzwiach:

– Stale na niego dmucham, zauważyłabym. Czas jakiś temu faktycznie był jakiś

kaszlący, ale położyłam go do łóżka, dałam mleka z miodem, wiesz... No nic takiego.

– OK, przecież nie robię ci wyrzutów, Aniu. Dostałeś leki?

– Tak, Anula ma recepty. Nie denerwuj się, córeńko. Ja się naprawdę dobrze czuję!

Tak się tylko zdenerwowałam wczoraj...

– Czym?

Anka:

– Przepraszam, Michał zazwyczaj nie ogląda pierwszego programu, a ja wczoraj niechcący włączyłam...

– Oglądałeś reżimową? Tatoooo, po co?

– Aj, tak jakoś. I okropnie mnie wkurzyli. No daj spokój. Już jest dobrze. A ty? Co zamierzasz, Baranku? Znalazłaś wynajemcę?

– Wynajemcę? Znaczą podnajmującego? Chyba tak. Będzie gabinet terapeutyczny.

– O, to dobrze! – odezwała się Ania, która niby coś robiła w kuchni, ale jak widać, słuchała – bo teraz tyle ludzi ma problemy! Jak byliśmy z Misiem w kościele, to ksiądz mówił, że ludzie nie wytrzymują napięć.

Zatkało mnie. Spojrzałam na ojca. Udawał, że mu się pić chce. Milcząc, czekałam na to, aż Ania faktycznie zajmie się kuchnią i oderwie od nas swoje słoniowe ucho. Cicho podeszłam do drzwi i przymknęłam je.

– Tato?

– Co, kochanie? No tak, tak, byłem z Anulą w naszym kościele.

– NASZYM?

– No naszym tu, parafialnym. Ania jest praktykująca i narzekała, że tak jej samej smętnie na mszy. A co mi szkodzi, kochanie, towarzyszyć jej.

– Ale... zawsze byłeś poza kościołem, tatku. Sądziłam, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, że jesteś ateistą!

– No raczej byłem antyklerykałem, choć fakt, był czas buntu i naporu, że się z Panem Bogiem pokłóciłem. Kiedy mi zabrał Wandeczkę, to już całkiem. Ja kochanie, byłem tu chrzczony...

– No i?

– No to jednak, wiesz, jestem tu zapisany i tu jest mój wpis o chrzcie. A niedługo koniec. I jeśli jestem odwrócony od Kościoła, to mnie Anula łatwo nie pochowa. Latami przecież nie przyjmowałem księdza po kolędzie. Na szczęście stary proboszcz zmarł, a nowy, całkiem młody, zrozumiał i wybaczył.

– WYBACZYŁ? A co on ci ma do wybaczenia?

– No, Baranku, źle może się wysławiam, ale dał sygnał, że Bóg się nie gniewa.

– „Bóg się nie gniewa”? Tato?!

– No, daj spokój, daj spokój. Muszę jakoś zadbać o mój pochówek. Ania nie powinna mieć problemów, bo ty miałabyś. A i też może być tak, że cię nie będzie. To i jeszcze coś ci powiem, Baranku.

– Tak?

Ojciec westchnął i wziął moje dłonie w swoje. Ojej... już się boję. Zachowuje się tak, jakby stłukł wazon czy zarysował samochód. „Tylko nie to” – szepczę w duchu, czując już, co chce mi powiedzieć.

– Baranku... z wielu powodów to jest naprawdę sensowne i dobre. Otóż postanowiliśmy, kochanie, z Anusią, że się pobierzemy.

Moje serce płacze, moja dusza klnie brzydkimi słowami, ale moja twarz pozostaje nieskażona żadną myślą, a przynajmniej bardzo się staram, żeby taty teraz nie wystraszyć moim wewnętrznym nieeeeeee! Nic nie mówię. Gdzieś głęboko, głęboko w podświadomości tego właśnie się obawiałam. Tak, tak, to racjonalne, ale, do licha, nie umiem tego zrozumieć. Anka jako opiekunka, towarzysząca, kucharka i pielęgniarka tak, ale ŻONA?

Chyba jednak moja twarz zapomniała o konwenansach, bo ojciec ściska mnie za rękę.

– Kochanie moje, to rozwiąże mnóstwo spraw! Ja jestem jakby jednak na finiszu. No ile mi zostało? Trzy lata? Pięć? Oddech krótki, garść leków rano, podczas obiadu i wieczorem, słaby jestem. Pora pomyśleć o sprawach ostatecznych, Ania ma rację.

Milczę. Nie umiem nic powiedzieć.

– Nie denerwuj się. To nic takiego. A u nas w kościele te msze niedzielne są mądrze prowadzone, wiesz? Ja nawet nie bardzo słucham kazania i liturgii, tylko sobie z Najwyższym rozmawiam.

– Ty? Z Najwyższym? Tatku, to normalne, że się boimy śmierci...

Ojciec mi przerywa:

– Dziecko drogie, tylko błagam, bez wykładu. Ja jestem blisko. Ty jeszcze wciąż masz tylko świadomość, żeśmy śmiertelni. Tylko świadomość – powtórzył i zamilkł, a potem kontynuował: – Ja już kilka razy poczułem chłód tamtej strony. Naprawdę, Maniu. Ja już wiem i to dokładnie wiem, że to już niedługo. Że nie dana mi jest starość taka, wiesz, długa, drepcząca i pierdząca. Tacy starzy ludzie z czasem stają się wyobcowani i mają dość. Nie rozumieją świata, technika ich przeraża i wówczas pojawia się naturalne zmęczenie życiem. Ty wiesz? Kobyliński tak ma. On nie umie obsłużyć internetowego banku. Telefon to jego szczyt umiejętności – odebrać, wysłać esemes, gdy ma okulary blisko, i rozmawiać. Szlus, koniec! To taki właśnie starzec dreptuś, zubożniały już na świat.

– A dzieci, wnuki?

– Też nie ma z nimi wspólnej płaszczyzny. Póki wnuki były małe i głupiutkie, siedziały mu na kolanach, a on im śpiewał. Teraz wnuki mają swoje problemy – klasówki, pryszczki i tego, no... Facebooka, i już dziadek jest niefajny. Nudny.

– To tak się obaj nakręcacie na to umieranie?

– Nie. Prawie się nie widzimy, bo on po wylewie źle chodzi, źle jeździ rowerem i jakoś się z Anią nie dogadują.

– Właśnie – sarknęłam.

– Co: właśnie? To Kobyliński gotuje mi żurek? To on mi zamknie oczy?

Racja. Milczę z gonitwą myśli. Milczę i tatko milczy, popatrując na mnie, szukając wsparcia, zgody.

– Kiedy? – pytam.

– Jak najszybciej, Baranku. Chcesz przyjechać? Może byś się zgodziła być świadkiem? Moim – dorzuca. – Mieli nam świadkować Kasia i Łukasz, ale przecież jeśli

ty...

Godzę się. Jasne. Widzę, że tak czy siak ojciec to zrobi. Chce coś Ance ułatwić.

Zaskakuje mnie termin, który faktycznie jest już za chwilę. Za dwa tygodnie!

Ściska mnie w brzuchu. Jestem wzburzona, ale udaję, że wszystko jest dobrze.

Zjadam talerz rosółu z kurczakiem zrobiony naprędce. Anka chce jeszcze podać racuchy, ale wykręcam się i jadę do domu.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale w samochodzie popłakuję. Racjonalna ja mówi, że to dobre dla taty, emocjonalna ja wrzeszczy ze złości. Zastępuje mamę kimś takim? Tlenioną, pulchną, prostą babą? Drze się we mnie zazdrosny dzieciak. I ja to wiem, rozumiem, ale dzieciak się drze. Nic nie poradzę.

Ślub

Panowie Paweł i Jacek szybko urządzili sobie przychodnię. Wstawili skórzaną kanapę, fotele i biurko z krzesłem. W kuchni jest teraz malusi kącik na zrobienie kawy i herbaty. Reszta to regał z czasopismami, książkami z odzysku i cztery krzesła dla czekających. Na koncie mam zaliczkę za trzy miesiące! Ju-hu!

Przy życiu trzymają mnie Regina, Grzesiek i Antek, którzy wmawiają mi, że ślub taty to najlepsze, co go mogło trafić, i że powinnam świeczkę postawić świętej Annie za Anulę. Tak, wiem, wiem... ale niechęć urosła mi w gardle jak *globus histericus*. Nie umiem tego zrationalizować. Ona jest tak bardzo, bardzo inna od mamy, nie mam z nią żadnej bliskości, wspólnej płaszczyzny! Jest mi obca. Jak smutno, że tata się tak zaangażował.

Lilka pojawia się koło mnie w rudej chmurce godnej rudego ducha:

– Zwariowałaś?! – huczy na mnie. – A co to? To ty z nią sypiasz, jesz, rozmawiasz? Spadła ci z nieba, Grzesiek ma rację! Powinnaś jej czekoladki kupić.

– To ty zwariowałaś. Tatko mój i twój w rękach tej pańci? Przecież ona mu wiedzą do pięt nie dorasta!

– A musi? Marianna, ofisiałaś? A co to oni dysputy będą prowadzić?

– Do kościoła go zaciągnęła. A on całe życie poza Kościołem! Myślałam, że ateista jak ja!

– O, kochana. Dwójka z psychologii! A ty myślisz, że ja, kiedy umierałam, gdy Kostucha stuknęła po pokoju kosturem, nie modliłam się?

– Taaaa. Ty i modlitwa, już ci wierzę – sarkam.

– A co ty wiesz? Co ty wiesz o tym durnym uczuciu, gdy masz pewność, po prostu pewność, że to już niedługo? Że świat będzie się kręcił już bez ciebie? Że to ty odejdiesz, a nie świat, i to nie wiadomo dokąd? Ateistyczna wiedza o śmierci to piach i robale albo piec i wprowadzenie moich szczątków cielesnych w stan instant. Ale CO DALEJ? NIC?!

– No... nic. Obieg pierwiastków w przyrodzie...

Lilka wkurzona tupie nogą i znika. Zamiast niej wołam na pomoc Włodka, ale coś czuję, że i on przeciw mnie.

– No, co tam, panno Maniu?

– Włodek... Ja nie lubię tej Anki.

Stary Włodziu prychnął:

– Aleś ty durna, dziecko...

– Nie obrażaj mnie. Nie durna, tylko się dziwię. Ojciec całe życie poza kościelną ideologią!

– No i...? Dziwisz się, że raz kiedyś wpojone bajki o świątku pozazmysłowym mu pasują teraz, gdy już wkłada ciepłe skarpety? Gdy Śmiertka drapie go w stopy?

– Jaka Śmiertka?! Włodek, to jest jeszcze... no, nie staruch! – jękam się.

– Marianno, jak Boga kocham, głupiejesz. Miałem cię za mądrzejszą. A ja? Zmarłem, gdy miałem ledwie sześć lat więcej, niż dzisiaj ma twój ojciec! Tyle że ja się porządnie konserwowałem. Wódka i seks! To mężczyźnie daje siłę!

– Tere-fere. A twój rak płuc?

– Czepiasz się. Mańka, twój *padre* może jeszcze żyć i pięć, i dziesięć lat. Jego ciągnie do baby. A Anka, czy jak jej tam, to z tego, co mówisz, „dużą blondyną mi bądź” – czyli kawał ciepłej kobity. On się chyba trochę pieści z tym umieraniem, ale wiesz, wielu przed śmiercią jak trwoga, to do Boga. Daj żyć, kobieto! Myślę, że jej to potrzebne z powodów... babskich.

– Jakich babskich?!

– Ja nie wiem, jak to jest, ale wy uwielbiacie śluby! Wam to daje poczucie spełnienia i bezpieczeństwa. To jest jakaś wasza bajka, obsesja. No i faktem jest, łatwiej z papierami w szpitalach i w ogóle.

– Mówisz? A tata poddał się temu tłumaczeniu czy jednak zakochał się i lubi mieć przy sobie to... ciepłe, kobiece ciało Anki?

– Chce mieć ją przy sobie za wszelką cenę, bo inaczej byłby sam. Prawda?

Ma rację.

– Idź już, Włodeczku. Prawda.

Wyganiem włódkowego ducha.

No tak... Ani ja się tam nie wprowadzę, ani tatko tutaj. Muszę się zgodzić na to wszystko. Muszę sobie w głowie poprzesztawiać, jak mi pisze Regina, bo i ona ma to samo zdanie. Czyli jak mówiła mama, gdy ci pięć osób mówi, żeś pijana – połóż się spać.

W końcu nie byłam taty świadkiem na ślubie, bo ksiądz młody i miły uparł się, że skoro nie jestem katoliczką, to nie mogę. I to ja uspokajałam tatę, że to doprawdy nic takiego, że Kasia i Łukasz znakomicie się sprawdzą w tej roli, a ja przecież stoję obok. Kobyliński z rodziną przyjechali oczywiście i stary, jeszcze bielszy niż zwykle Kobylińcio wyściskał się ze mną serdeczniej niż z ojcem. I nie wiem, co myśli, bo jest jak Budda. Uśmiecha się, łzawiąc, i nic nie mówi.

W kościele stałam niedaleko nich z gulą w gardle. Tatko wyglądał na zmęczonego, ale uśmiechał się i trzymał Anię stale za rękę. Ona, w koronkowej sukni koloru pudrowego różu i z przedziwnym przybraniem we włosach, promieniała, rozdając uśmiechy na lewo i prawo. Dam sobie głowę uciąć, że obok mnie usiadła moja Lilusia, duch w pomarańczowym szalu, bo tu chłodno w tym kościele, tym razem już okazując mi pełne wsparcie:

– Pffff, ale cud na głowie ma panna niemłoda! – parska.

– Ciiiiicho. No, taki ma gust. Mówiłam ci. Koronki i ptasie piórka, co chcesz?

– Suknia nadto opięta. Pewnie kupiła w sklepie wysyłkowym i nie zmierzyła się należycie.

– Daj spokój, spod jesionki nie widać.

– Zaraz ją zdejmie, zobaczysz baleronika. Ja ją już ofrunęłam z każdej strony i widziałam oponki.

Msza ciągnęła się jak msza – bezduszna dość i obojętna wobec taty i Anki. Ksiądz klepał swoje jak nudny wiersz. Młody facet w komży wiszącej na szarawym garniturze recytował kawałki Pisma Świętego tak, jakby czytał je pierwszy raz i bez zrozumienia.

– Ooooo, matko – jęczała Lilka i podkpiwała, z czego tylko się dało.

– Ciszej – mitygowałam ją – sama mnie ustawiałaś do Anuli na „tak”, więc się zamknij.

– Rozumiem cię – szepnęła. – Mieć taką macoszkę!

– Jaką „macoszkę”? Faktem jest, będzie żoną ojca, ale przecież nie będę jej pasierbicą!

– A kim?

Lilka roześmiała się i znikła.

Zadzwończy dzwonki, ludzie klękali, wstawali, a ja odpłynęłam myślami do Antka, który... ładnie mnie uspokoił w ostatnim mailu.

Maryniu, Kochana,

zglupiałem bez reszty. No źle mi bez Ciebie!

Nigdy jeszcze się tak nie czułem. Serio, serio, serio, serio!

OK, nie chcę wyjść na mazgaja, ale wiedz, że tu, w Ulsan w Korei Południowej jest jeden taki tęskniący za Tobą. Zaraz, czy DO CIEBIE? To mniej ważne.

Ty wiesz, przedwczoraj wchodzę do domu po pracy (byłem jeszcze w banku), otwierają się drzwi państwa Choprów, Lali podaje mi półmisek takich fajnych słodkich kuleczek i uśmiecha się, że to dla mnie, bo pewnie mi smutno bez Ciebie. Za nią stał Rasul i wołał, żeby Cię pozdrowić. Kulki pyszne! Chyba z daktylami i ryżem. A w niedzielę wieczorem wpadł Wiesiek z Olą i przywieźli kolację. I też z powodu mojego smutku, bo podobno, gdy mnie Wiesiek spotkał na stolówce, miałem „takie smutne spojrzenie” – jak to zrelacjonował Oli. Postanowili mnie pocieszyć. Ola była w Helsinkach i, wyobraź sobie, ona też szmugluje! Tym razem przywiozła niezłą porcję wędzonego łososia. Oczywiście, że się z lekka bała, ale nikt nigdy jej nie sprawdzał walizki, a łososia zawinęła w kilka warstw folii. Kupiła bardzo świeżego i leżał w naszej kuchni taki spory, w płateczkach, i pachnący.

Ola zapytała, czy może się porządzić, bo przywiozła... ciasto na bliny. Usmażyła ich tyle, że się tego przejeść nie dało. Wcinaliśmy je z tą niby duńską śmietaną i popijaliśmy piwem. Państwo Choprowie zapowiedzieli spotkanie na przyszły weekend „na miłe jedzenie i pogaduszki” i uprzedzili, że zaprosili sąsiada z parteru. Tego, który słucha jazzu i, jak twierdzisz, jest podobny do Johna Hurta (masz rację! Przyjrzałem mu się ostatnio). Może się uda namówić tego z góry, miętowego. I Lali dodała, że to tak naprawdę Twój pomysł, bo mówiłaś jej, że to dziwne mieszkać na jednej klatce, a się nie znać. Patrz, Marianno, jaką jesteś siłą sprawczą!

Gdy Cię w moim życiu nie było, byłem przezroczystym facetem, jakimś tam inżynierem, Polakiem tu, na tym osiedlu Babel. A teraz wszyscy WIDZĄ, że Cię nie ma, nawet szefowa sklepu pytała o Ciebie. A Ty jesteś taką ciepłą i miłą osobą i nawet umiesz zakisić koreańskie ogórki (Ola prosi o tę tajemnicę – jak Ci się to udaje? Ona próbowała

i kiszka!).

Co do Taty – nie umiem nic poradzić sensownego. Może tylko powiem tak: Lata temu, gdy – jak wiesz – żona zostawiła mnie dla kolegi, moja córka była właściwie dorosła. Znaczący, można było ją tak traktować, bo była studentką. Niestety z powodów, których nie rozumiem, to mnie zarzuciła pretensjami o rozpad rodziny i jej życia. Widziała, jak jest – harowałem jak wół, niestety za granicą, bo w Polsce nie było dla mnie pracy. Jestem „wąsko specjalizowany”, a stocznie zdechły. Moja córka nie umiała się z tym pogodzić, że żyła na wysokim poziomie, studiowała, bo ja zarabiałem. Pieniądze były, ale mnie nie było. I wiesz? Może miała rację? Wówczas to bardzo bolało i boli nadal, bo Dominika ciągle jest na mnie obrażona. A nowego męża mamy zaakceptowała! Dla mnie to był policzek, bo to nie onłożył na jej studia i fanaberie, ale ona z uporem twierdziła, że mamie potrzebny był wspierający mąż, a nie iluzja. Oniemiałem. Nawet się nie starałem jej przekonać. Poddąłem się. Dzisiaj oni są rodziną, a ja... wyrzutkiem. Choć wiesz? JUŻ NIE!

Byłaś tu, namacalna i prawdziwa. Nie ulękałaś się w Warszawie mojego pancerza. Zaakceptowałaś mnie najeżonego, samotnika z pewnie wkurzającymi narowami. Mam nadzieję, że jesteś nadal. I choć nie modlę się w sensie religijnym, to uznając Pragnienie za modlitwę – tak, modlę się, żebyś nadal BYŁA.

Uściski i wybaczyć tę egzaltację staremu chłopu.

Twój Tosiek

LIST MIŁOSNY? Do mnie?! Od lat, a właściwie nigdy, nie dostawałam listów miłosnych. Uważałam, że to relikw. Że listy miłosne umarły wraz z gęsim piórem, ze stalówkami, jakimi żołnierze pisali wyznania do swoich ukochanych, używając prawdziwego atramentu. Że nikt już poza Gałczyńskim, no... Jeremim Przyborą i Agnieszką Osiecką nie umie ich pisać! A na nie zasługiwały tylko heroiny, nie ja, szara i nieatrakcyjna, zwyczajna i nieładna ja.

Oto mężczyzna, który za mną tęskni. Nie wierzyłam własnym oczom i czułam się jak drożdżowe ciasto. Kocha mnie! Chyba.

Wesele jak to wiejskie wesele. Kobylińskich nie było, stary się wykręcił złym samopoczuciem. Jest po wylewie, ale jakoś chyba nigdy nie lubił wesel. Sąsiedzi, znajomi... – ponad połowy nie znam. Pyszne jedzenie, oczywiście autorstwa Anki – musiała się narobić! Ale torty i ciasta odstąpiła sąsiadkom i te przyniosły istne cuda. Muszę przyznać, że to niewątpliwie zasługa kobiecych pism, które faszerują czytelniczki kolosalną masą wymyślnych przepisów, a barwne zdjęcia ilustrują ten przepych. To już nie jest era tortów zdobionych na jedno kopyto, w wymyślne fale i rozetki z kremu. Dzisiaj królują zdobienia z masy cukrowej, kolorowego lukru z bardzo wymyślnymi

detalami.

Objadłam się nieprzytomnie, opilałam też i nawet mnie poruszyła chwila, gdy Anka w zmienionej sukni zasiadła ze swoim akordeonem i zaczęło się muzykowanie. W przerwach była muzyka z płyty *Włoskie przeboje*, bo Ania uwielbia, i jakieś typowe do tańca: walce, tanga, składanka weselna dla starszych. Po nich znów wołano, żeby Ania dała koncert. Ojciec wniebowzięty i rozczulony talentami... żony. Boże! ŻONY!

Nazajutrz po obiadowej porcji porządnego rosółu wróciłam do domu. Z tatą rozmawiałam o niczym, wspominałam Koreę, opowiadałam o Julice i pomysłach, jakie niby mam w związku z pisaniem, o nowych lokatorach mieszkanka po pani Mieci. Takie ble-ble. Anka nieustannie obok, a ja stale się jej krępuję.

Sąsiadki posprzątały. Anka rano dokończyła, żeby wszystko było tak, jak ona lubi. Trzeba przyznać, porządnicka jest. Za każdym razem, przechodząc obok taty, jakby ostentacyjnie całowała go w skroń, w czubek głowy, co tatko przyjmował z uśmiechem. „Pieszczą się jak papużki. Proszę, proszę...” – tłamsiłam focha. I zaraz: „Jestem niereformowalna” – myślałam o sobie z naganą.

W domu poczułam wciąż jeszcze lekkie zmęczenie weselem, więc z kubkiem herbaty i z lapkiem wpakowałam się na tapczan. Co tam w świecie?

Jest mail od pani, ale masz, babo...

Miła Pani Marianno,

pani propozycja ciekawa, fajna, ale z przykrością musimy ją odłożyć, bo właśnie za kilka dni lecę na Bali i teraz nie mam czasu. Tam będę mieszkała u ludzi, którzy nie mają Wi-Fi. Czasem mi się może trafi kawiarenka internetowa, ale rzadko. I ja tak celowo odkrywam życie poza internetem. Sporadyczna kawiarenka to za mało (i za drogo), żeby poświęcić sporo czasu na odpowiedzi. Za pół roku, za rok wpadnę może na chwilę do Warszawy ucałować mamę. Może wtedy?

Estera

Pół roku? O, nie... To mi nie na rękę! Co robić?

Odłożyłam jednak na chwilę problem z Esterą i zamyśliłam się nad mailem od Antka. Odpisałam mu serdecznie i czule, ale ostrożnie, żeby mnie nie wziął za jakąś egzaltowaną gęś, że szczerze mówiąc, to ja chyba czuję słynne literackie motyle w brzuchu! Staram się wszak myśleć w miarę rozsądnie. On tam, ja tu... Odpisałam, skarżąc się jednakowoż, że mam wiatr w oczy z tą Esterą.

Może to nie dramat, bo w tym czasie Justyna, moja koleżanka z byłej redakcji, dała mi namiar na córkę sąsiadki, która mieszka na Fuerteventurze, bo w Polsce czuła zbyt wielką presję i postanowiła odpocząć, i już się tam zadomowiła. Kasia zaś, córka Reginy, adres do córki pewnej pisarki, która zamieszkała cztery lata temu w Sydney i ma z kolei kontakt z innymi tam mieszkającymi młodymi ludźmi z Polski. Ju-hu!

Oduściło mi. Mam moje bohaterki, choć bez Estery. Szkoda.

Jestem podekscytowana. To znajomy smak radości z napływu tematów, możliwości spełnienia pisarsko-dziennikarskiego.

Świetnie! Od kogo zacząć? Już wierzę, że dam radę, że te opowieści się skleją, powstaną, i ja powoli trafiam w to, o czym myślała redaktor Łuszczewska, mówiąc o wydaniu tych rozmów. Odczułam to właśnie dzisiaj, gdy z nudów dłużej poczytałam wieści na Facebooku.

Wiadomo, w kraju sytuacja polityczna trudna, napięta i właściwie bez nadziei. Cały świat dzisiaj dziwnie skręcił w prawo. Nacjonalizmy i uprzedzenia, jakieś autokratyczne zapędy i zamordyzm wkurzają i obezwładniają zarazem. Trochę się dałam wkręcić i popyskowałam sobie na profilu pewnej rewolucjonistki. Widocznie to, co pisałam, spodobało się jakiemuś kompletnie obcemu człowiekowi, bo poinformował mnie w prywatnej wiadomości:

Powiem ci, koleżanko, że masz rację w swoim wkurzeniu, ale to nic nie daje oprócz psucia nastroju. My z żoną sprzedaliśmy rok temu wszystko – mieszkanie w mieście, działkę – i kupiliśmy niewielki dom z ogrodem po słowackiej stronie. Do Polski mamy godzinę jazdy samochodem. I wiesz... wrócił spokój.

Weszłam z nim w dyskusję, bredziłam górnolotnie, że co to będzie, jeśli wszyscy wyjadą, a on na to:

Ostatni zgasi światło ☺ A na poważnie? No cóż, wszyscy nie wyjadą. Zostaną ci, którym to wszystko na rękę. I może gdy oni przejrzą na oczy, zrobią jakiś ruch społeczny?

Ja znów swoje, że za czasów Wielkiej Emigracji to niektórzy musieli, ale wszak Polska... Polsce... Polską... – odmieniałam jak w szkolnym wypracowaniu, a on spokojnie:

Pani Marianno, wtedy mieliśmy zewnętrznego wroga. OBCEGO. A dzisiaj sami sobie jesteśmy wilkiem, nienawistnikiem, oprawcą. W to to ja już nie gram, jestem za stary. Chcemy z Elą dożyć swych dni we względnym spokoju. I bracia Słowacy nam to zapewniają. Tu naprawdę jest inny świat.

Opisałam to wszystko Antkowi w długim mailu i zaraz mnie naszła tęsknota – pogadałabym z nim, przemieliła tematy, może zagrałibyśmy w scrabble... Spojrzałam na zegarek. On teraz śpi tam, w Ulsan, a ja tu mam dramaciki egzystencjalne. Śpi. Widzę we wspomnieniu poranną jasność za oknem i niemal słyszę tę ciszę osiedla, domu. Firanka ledwo się rusza albo nie rusza wcale. On śpi głęboko, leżąc pewnie na prawym boku. W marzeniach dopiero co się odkleiłam od jego pleców. Już się przebudziłam. To taka nowa właściwie dla mnie sytuacja, bo ja rzadko sypiałam w jednym łóżku z Mirkiem i to w przytuleniu. Jeśli w ogóle, to dawno, kiedy Grześ był mały. I sądziłam, że nigdy nie polubię tego spania na łyżeczkę, zaplatania nóg, obłapywanek, jak pogardliwie nazywałam to, co jest mi dzisiaj tak miłe, czyli przytulanie. A teraz? Co to się porobiło! Tęsknię wieczorem za objęciami Antka.

Wracam myślami do naszego łóżka. Na tle okna widzę zarys jego ucha. Jest ciepłe, różowe, z tyłu pomarszczone. Przypomniał mi się tekst z *Muminków*: „Ryjek wstał i rozprostował od snu zmięte uszy”. Czułość mnie wypełnia po moje, też zapewne wymięte od snu uszy. Mój... Antek.

I kto by pomyślał, takie rzeczy!

Cwany plan pana Zygmunta

Rano przy kawie sprawdzam pocztę. Oczywiście jest miły mail od Antka o niczym, pełen czułych, jak na niego, zdań i stwierdzeń. Zapowiada mi niespodziankę i prosi o określenie się względem zimy. Czy nie spędziłabym jej z nim. Oczywiście w Ulsan. Pomyślałam znów Scarlett O’Harę, że zastanowię się nad tym jutro, bo mam mail od nieznanej mi osoby. Temat wiadomości: „Dzienniki Włodka”. Ki czort? Otwieram i czytam:

Szanowna Pani,

nazywam się Krystyna Wojcieńska i jestem korektorką.

Dostałam zlecenie korekty dzienników Włodzimierza Ż., byłego dziennikarza PAP i komentatora w Waszyngtonie w latach sie-demdzie-siątych i osiemdziesiątych XX wieku. Włodek często wspominał, że się przyjaźnicie i że w razie Jego śmierci Pani wyda Jego dzienniki. Jestem po korekcie Jego (Jego?!) dzienników i jestem w... szoku. Jakim prawem dopuściła Pani to do wydania?! I kto śmiał je redagować? Pan Gontarz niejasno się wypowiada, więc pytam Panią.

Długo szukałam kontaktu, bo redakcja Pani czasopisma nie istnieje, a durna ochrona danych sprawiła, że niełatwo było namówić dawne redaktorki do podania mi Pani maila. Dziwne, ale po mojej pracy z dziennikami zrozumiałe.

Zanim więc wybuchnę, zapytam, czy to Pani je redagowała?

K.W.

Zdębiałam i natychmiast odpisałam:

Pani Krystyno,

z przykrością czytam mail od Pani.

Nie, nie redagowałam, bo po lekturze onych stwierdziłam, że tam nic nie ma. Albo sam Włodek je z lekka ocenzurował, albo... W dziennikach znalazłam kilka tanich sensacyjek ze sfery obyczajowej, kilka tajemnic poliszynela, a reszta to ładny, choć surowo nakreślony klimat PRL-u, który wionie dzisiaj nudą. Szczerze mówiąc, spodziewałam się zapowiadanej przez Włodzia bomby, ale jej nie znalazłam. Wspomnienia mojego Przyjaciela niestety są zdezaktualizowane, a kilku autorów już przemielilo temat znanych kobiet w PRL-u i kilku skandali. Nic ponad to w dziennikach Włodka Ż. nie ma.

Sprzedalam je panu Gontarzowi, ponieważ planował projekt związany z ckliwym PRL-em. Upierał się, że stworzy obraz prasy z tamtych czasów ilustrowany zdjęciami.

Uznałam, że skoro ja nie widzę powodu do zrobienia z dzienników sensacji, o jakiej marzył Włodek, robi z nich pożytek pan Gontarz, który przedstawił się jako historyk i nudnawy zresztą hipster.

Z poważaniem

Marianna Roszkowska

Na odpowiedź czekałam do wieczora.

Szanowna Pani,

nic nie rozumiem.

Sprzedala Pani? Niczego tam nie znalazła? I nie sprawdziła Pani pana Gontarza? To współpracownik prawicowego portalu. Antysemita i niemila postać. Dzienniki, które ja redagowałam, musiały być... podrobione. Ja znam styl Włodka. Są fragmenty bardzo nieelegancko przedstawiające kwestie żydowskie przed wojną i po niej. Jest masa oskarżeń osób jeszcze żyjących tak sformułowana w dziennikach, jakby miały służyć za półdowód albo i dowód na to, że ten i ów dzisiaj działający opozycjonista albo jest Żydem, albo ma żydowski rodowód. Sama Pani rozumie, że to szarganie pamięci Włodka, bo wszak mało kto wie, ale on był Żydem uratowanym z getta. Jak można się nim posłużyć w tak podły sposób?! Pani nic o tym nie wiedziała?!

Nie wiem, co robić. Książka już jest po korekcie, zapewne poszła do składu, jeśli nie do druku. To trzeba powstrzymać! Ale jak udowodnić, że on to wszystko dodał, dopisał?! Ludzie są tak wredni...

Czy Pani może mi pomóc, czy nie ma Pani na to wpływu?

K.

PS BARDZO źle się stało, że Pani je sprzedała.

No masz ci los. To ja sama doskonale wiem. Czulałam, że źle robię, ale tak bardzo potrzebowałam pieniędzy. A ten dziennikarzyna wydawał mi się nieszkodliwą pierdołą. A tu taki zgrzyt! Umówiliśmy się z panią Krystyną w Bristolu.

Gdy weszłam, od razu ją poznałam. Starsza, około siedemdziesiątki. Okulary w grubej oprawie i burza siwych włosów. Nietknięta kosmetykami ciekawa twarz o mocnych rysach. Pomachała mi dłonią, jakby mnie znała. Widocznie już zrobiła rozeznanie.

Przy kawie, jak zwykle w Bristolu świetnej, pani Krystyna najpierw mnie objechała za sprzedaż dzienników, a potem, udobruchana nieco, przeszła do konkretów:

– Nic nie mamy! Nic się chyba nie da zrobić. Bo co dadzą domysły i nasze słowa

przeciw temu gnojkwowi? – Łyknęła kawy i szepnęła bardzo nieparlamentarne słowo. A za nim padł wyrzut: – Jesteśmy w czarnej dupie! A tak chciałabym go przyszpilić! Ile to trzeba mieć w sobie sprytu, złej woli, żeby wymyślić coś takiego! No i gdybym wiedziała, wzięłabym je od pani na raty choć!

Odezwała się:

– No, nie do końca w dupie. A pani bym je oddała, gdybym wiedziała o pani istnieniu. Powtarzam, byłam w paskudnej sytuacji finan-sowej i Włodek by mi wybaczył.

– Nie do końca? Co pani ma na myśli?

– Mój ojciec namówił mnie do tego, żeby zrobić mikrodokumentację dzienników.

– I... zrobiła pani?! – krzyknęła niemal na całą kawiarnię.

– Tak – odpowiedziałam z niemałą satysfakcją.

– Przecież była pani bez pieniędzy?

– Tato pożyczyl. Uważał i, kurczę, miał rację, że tak trzeba, zanim się wypuści z rąk.

– Pogratulować ojca! Wykazał się harcerską czujnością! Ma pani to na kopiach cyfrowych?! – upewniła się.

– No mam. Kolega zrobił. Pracuje w Bibliotece Narodowej i tak po koleżeńsku...

Ale ona mnie już nie słuchała. Wystukała jakiś numer i mówiła do kogoś:

– Wojtek? Tak, spotkałyśmy się. Wyobraź sobie, że pani Marianna ma te dzienniki Włodka na kopiach cyfrowych! Tak! Oryginały! No jasne, że tak! – skończyła rozmowę.

– Co natchnęło pani tatę?! Jesteśmy uratowani, znaczy Włodek i pani. Rozmawiałam z synem, jest prawnikiem i chętnie się zajmie tym przekrętem. Powiedział, że jeśli są te kopie, to ma pani gwarantowane odszkodowanie. Swoją drogą doskonały pomysł z tymi kopiami.

– Ja jednak chciałam je mieć dla siebie... Zdążymy?

– Lekko nie będzie, bo zanim się to wszystko stanie, oni gotowi już puścić książkę, ale jakby co, będzie jak z *Nocnikiem* Żuławskiego – wstrzymają sprzedaż albo nawet część wycofają.

– To dopiero jest reklama!

– Trudno. Zróbmy, co się da!

„Witamy w polskim piekle” – pomyślałam, gdy już byłam w samochodzie.

Całą sprawę opisałam Antkowi, dodając na marginesie jakieś miłe czułości. Bo od niedawna ja, Marianna Roszkowska, pisuję miłosne maile. Coś podobnego! „Starsza pani się zakochała!” – podkpiwam sama z siebie.

Kopie na nośniku zamknęłam w szkatułce i położyłam na biurku, czekając na sygnał prawnika. „Padalec! – wściekałam się na Zygmunta Gontarza. – Jak tak można!” Ale prawdę mówiąc, gdy przyjrzałam się temu, co się dzieje po prawej stronie sceny politycznej, wiedziałam już, że to norma, że niegdysiejsza szkoła dziennikarska trąbiąca o źródłach i prawdzie to dla nich bajki z mchu i paproci.

Wołam Włodka nieco zawstydzona:

– Mam rację, stary przyjacielu?

On pojawia się, siada na biurku i prycha.

– Stary przyjacielu? Marianna, na Boga, co ty? Grasz w tanim przedstawieniu? No

powiem ci, że zamarłem, gdy mnie sprzedałaś temu chłystkowi, ale wszak widziałem, że jesteś bez kasy, a ja ci te dzienniki dałem. Głupi. Mogłem dać Kryśce.

– Sypialiście ze sobą? – pytam.

– Z Kryską?! Zwariowałaś? Za stara dla mnie! Nadto kumpela i żona przyjaciela.

Daj spokój.

– Tak pytam, bo z twoich relacji wynika, że obleciałeś pół Warszawy.

– Dziecko, czyś ty na głowę upadła? Jakie pół? Miałem kilka żon, trochę romansów i... no... troszkę kochanek, jakieś pojedyncze wysoki, ale to jeszcze w czasach, zanim mnie dopadła astma, a właściwie obturacyjna choroba płuc. To, wiesz, Marianno, bardzo w seksie przeszkadza.

– Włodek... To się nie gniewasz?

– Gniewam. Jestem, powiem ci, porządnie wkurwiony, ale na siebie. Sądziłem naiwnie, nie wiem czemu, że to pierdnie na całe miasto. Ale masz rację. Te tam aferki się zdezaktualizowały, zszarzały, straciły moc. Kiedyś to byłoby coś... A tego gnoja zniszcz, jak tylko się da. Ja nie rozumiem takiego dziennikarstwa.

– To jest dziennikarstwo funkcyjne, czyli włożenie w tyłek władzy i preparowanie tego, co ona chce mieć. Niepojęte!

– Zdążycie wycofać nakład?

– Obawiam się, że nie. Sądy, sam wiesz, jak działają i w czyich są dzisiaj rękach. Też funkcyjne.

– Prawda. Nie mów mi, bo mnie szlag trafi.

– Nie chciałabym być niegrzeczna, ale już trafił.

– No fakt... – westchnął, zamyślił się i chyba zaciągnął niebiańskim e-papierosem, bo zaraz zmienił temat: – A jak ci tam z tym inżynierkiem? Dobry w te klocki? Rusza cię bardziej niż ten osiłek z klubu osiedlowego?

– Oj, spadaj! Idź już! Sio! – oganiam się.

– O, ho, ho, ho! Jaka urażona! Czy nam się panna Mania nie zakochała czasem? O, tak, tak! Cha, cha, cha! – Śmiech Włodka huczał jak z dna studni, cichnąc w moich myślach.

No, mam to już za sobą. Byłam spanikowana, wściekła na siebie i było mi głupio wobec nieżyjącego przyjaciela. Dobrze, że jest ten adwokat. „Teraz tylko szybko podziałaj, panie mecenasie, i zastopuj sprzedaż tego gówna” – pomyślałam i spojrzałam na zegarek. Właśnie zadzwonił kurier, który przyjechał po fotokopie przysłany przez syna pani Krystyny. Pożałowałam, że nie zdecydowałam się sama mu ich oddać, ale jest późno i zimno. Kurier to zapewne aplikant pana mecenas. No bo skąd o tej porze kurier?

Niespodzianka

Ojciec zadzwonił. Ot tak, pogadać o niczym, bo czuje, że jestem nabzdyczona, albo sobie dopowiada. Wie, że jego dziwne małżeństwo z Anią nie budzi mojego entuzjazmu. A ja wiem, wiem, do licha, że powinnam bardziej się cieszyć, nawet poudawać. Pamiętam taki materiał w naszym piśmie o nieuzasadnionej zazdrości dorosłych dzieci o szczęście miłosne starszych już rodziców. Chodziło oczywiście o nowe szczęście rodzica u boku innej osoby. Nie powinnam, ale jako autorka tekstu wykpiwałam i chlastałam niemiłosiernie tych samo-lubów i histeryków, jak ich nazwałam w gabinecie u Reginy, która poprosiła o komentarz mniej emocjonalny. „Mańka, jesteś autorką, a nie księdzem! Ja rozumiem, bo też jestem zdania, że ta zazdrość jest krzywdząca, ale za ostro ich oceniasz. Ty im robisz pręgierz publiczny, a to miał być temat wyjściowy do dyskusji”. Fakt, miał być. Złagodziłam, ale zdania nie zmieniłam. Uważałam, że dorosłe dzieci nie powinny zabraniać osamotnionemu rodzicowi ułożenia sobie życia z kimś nowo poznanym. No ileż tym ludziom czasu zostało? Mają tak czekać na Kostuchę w samotności, bo dzieci mają focha? Absurd. A teraz oto ja w tej właśnie roli... No, doprawdy, życie płata figle!

Rano obudziłam się głodna, ale tak bardzo, że wstałam natychmiast. „Jajecznic!” – zawołał mój żołądek, a rozum zaraz dodał: „Iwan Pawłowicz Jajecznic!” Bo obecny kochaś Zuzy, tej, która mnie kiedyś umówiła z ministrem w sprawie kampanii o kulturze bycia, pracuje przy spektaklu *Ożenek* według Gogoła. Jak można nazywać się Jajecznic? Byłabym stale głodna. Ale ten nowy *Ożenek* ponoć genialny, więc trzeba chyba zaliczyć! Zadzwonię po śniadaniu i zapytam o bilety.

W dresie, z włosami zawiniętymi w kupkę i spiętymi ołówkiem poszłam z łazienki do kuchni. Mam wszystko! Znaczą: dwa jajka, masło i kawę. Zaraz zabiorę tę jajecznicę i kawę na tapczan, bo za oknem szaruga i śnieg z deszczem, a nadto okropnie wieje. Na sto procent jest mail od Antka! Uśmiecham się, bo ta myśl powoduje motyla w brzuchu. A ja sądziłam, że to tylko przenośnia!

Na mojej jednoosobowej patelence ląduje spora łycha masła i gdy tylko zaczyna się lekko topić, wbijam dwa jajka. Dwa jedyne jajka, jakie mam. Lekko mieszam białka, a potem delikatnie też żółtka. Lubię taką, w której widoczne są kawałeczki białka i spajające je żółtka w kilku postaciach – ściętej i płynnej. Jajecznic wilgotna, ale bez glutów, nie zbeltana jak na omlet. Lekko słona. Już!

Chleba w domu nie mam, więc biorę z szafki grissini, które uwielbiała Lila. Dla niej owijałam je cienką szynką hiszpańską albo włoską, choć szwarcwaldzką lubiła najbardziej. Zagryzała to świeżo obraną gruszką. Uważała to za wielki i pyszny wykwiut. Patrzę na jej portret wiszący nade mną i posyłam całusa.

Mail od Antka oczywiście jest, a w mailu niespodzianka.

Marianno,

Bali? Fuerteventura? Znakomicie!

Wczoraj szef przypomniał mi (bardzo niechętnie), że mam do odebrania masę urlopu i że muszę teraz. Nie korzystałem zbyt często, bo nie mam w Polsce takiej rodziny, do której gnałbym z antypodów. Świat jest cudowny, gdy można go zwiedzać z bratnią duszą. Samemu jest smutno i jakoś dołująco.

Szef powiedział, że jest okazja, bo na ten czas moje obowiązki powierzy młodemu praktykantowi, który będzie robił odbiory pod okiem pana Kanga. Nie będę tłumaczył szczegółów – dobrze to wymyślili. Zatem, Maryniu moja, plan mam taki – musisz tylko potwierdzić terminy: Pozwoliłem sobie założyć, że ponieważ nie masz obecnie stałej pracy, wymagającej siedzenia za biurkiem, weźmiesz pracę ze sobą i spotkamy się na Fuerteventurze. Znajdziemy tam ową pannę do rozmowy i zaliczymy Wyspy Kanaryjskie. Ja, mimo latania po świecie do różnych miejsc, nigdy tam nie byłem. Zatem wiedząc, że śnisz o ciepelku, wymyśliłem, że stamtąd polecimy na Bali wygrzać się i... znajdziemy Esterę. Jest teraz pora deszczowa i jest tanio. Serio, serio! Potem wrócimy do Korei, do Ulsan. Razem. Co Ty na to?

Tosiek. Cały Twój.

Wybacz, jeśli zbyt wiele tego uczucia, ale gdy tylko myślę o Tobie – z mety mi weselej.

Siedzę i się uśmiecham. A ja sądziłam, że takich mężczyzn już nie ma. Wyginęli z dinozaurami albo... nigdy ich nie było. Choć gdy czytałam listy Sobieskiego do Marysieńki, Balzaca do Hańskiej, Przybory do Osieckiej i starsze, Abelarda do Heloizy, sądziłam, że to literatura, że to niemożliwe, by ludzie tak się czulili na papierze. Teraz wyławiam słodką czułość, spijam małmazyję z elektronicznych maili. I choć daleko Antkowi do poufałości Sobieskiego, czytam raz po raz nawet to, co ukryte między wierszami. Chce ze mną oglądać świat! Natychmiast zanuciłam Wodeckiego z Sośnicką:

Z tobą chcę oglądać świat,

jaki piękny księżyc, patrz

Widzisz to, to co ja, jakie to jest proste,

wystarczy być...

A ja tak się podśmiewywałam z romantyzmów, a teraz czytam i czytam...

Jest tylko jeden problem w tym wszystkim. Nie jestem aż tak zamożna, żebym mogła szastać kasą na takie wyjazdy. Bali? Marzenie! Wyspy Kanaryjskie? Kiedyś było nas stać, ale sarkaliśmy, bo to były wyspy dla nowobogackich snobów. Stawało na tym, że spędzaliśmy z musu razem z Grzesiem dwa tygodnie w Sierakowie Wielkopolskim albo w Międzyzdrojach. Potem Grzesiek jechał na obozy i kolonie, które naprawdę lubił,

z czasem urywał się na całe wakacje na żagle z przyjaciółmi, a my z Mirkiem oddzielnie – on narty zimą, ja spędzałam urlop w Jastarni albo w Cetniewie i Sarbinowie. Z Antkiem mogłabym podróżować, to już wiem. Taka frajda! Wyspy Kanaryjskie i Bali. O, ludzie kochani, los się do mnie uśmiecha!

Szczerze mówiąc, wkurza mnie ten brak pieniędzy. Byłoby tak świetnie móc się nie przejmować znowu i podróżować po świecie bez skrupowania. Ale trzymiesięczny czynsz od panów Pawła i Jacka nie wystarczy...

To mi kompletnie rozwaliło nastrój. Nagle wszystko zszarzało. Pieniądze. Kurczę no... pieniądze! Pieniądze, ech, pieniądze!!!

W słowach subtelnych i gładkich wyjaśniłam Antkowi, że nie mogę skorzystać z tak hojnej propozycji, i popłakałam się z żalu i złości. Nazajutrz pojechałam na cmentarz ogarnąć grób Lilki. Samochód wstawiłam na przegląd do pana Janka, wzięłam taksówkę i wio.

Wybrałam fatalny dzień. Wiedziałam to już, gdy po odstawieniu samochodu czekałam na taxi. Wietrzysko i przejmujący ziąb. Po jakie licha pchałam się na te groby? Nie jestem specjalnie wierna tradycji biegania tam pierwszego listopada. Zmarłym to obojętne, więc dla kogo te gesty? To przykład na to, jak taki wpojony od lat termin wciska nas w rodzaj obowiązku. „To głupie, głupie!” – mówiłam sobie w duchu, siedząc już w taksówce. „Dobrze, że to nie pierwszy!” – pomyślałam bez radości, bo i tak podły i zimny to dzień. Co mnie wyгнаło z domu? Obowiązek?

U pana obok bocznego wejścia na cmentarz kupiłam wianuszek z jedliny z szyszką i zatrwanem, i lampkę.

– Może chce pani taką na baterijkę? Żaden wiatr jej niestraszny, a cena podobna. Świeci kilka dni!

Już miałam na końcu języka jakąś złośliwość o tym, że Lilce taka lampka już niepotrzebna, że to nieekologiczne, ale... co chłopina winien.

– Zimno – odpowiedziałam, żeby zyskać na czasie, i wzięłam jednak na wpół ekologiczny wkład żelowy zapalany zapałką.

– Ma tu pani wszystko w siatce i zapałki tam wrzuciłem. Pani odda, wychodząc.

No zawsze oddaję, bo bawi mnie to, że on mi pożycza te zapałki, a pudełeczko dwadzieścia groszy kosztuje. Śmieszne.

Szłam aleją prawie sama, zgięta pod wiatr i wściekła na siebie. Co mnie wzięło? Zaraz się zaziębię, bo kurtka jakaś dziwnie przewiewna i czapka też. Czuję, jak to lodowate zimno przenika w głąb mnie.

Nad grobem nawet nie zamieniłam z Lilką ani słowa poza:

– Liluś, ziąb jak cholera. Pogadamy, kiedy będę w domu, dobrze? Tam też ci zapalę zniczyk. Pa!

I poszłam z powrotem, klnąc półgłosem tak, że mnie zmarli powinni postraszyć.

Gdy tak szłam, mamrocząc pod nosem, zza kaplicy wyszedł chwiejnym krokiem gość, ewidentnie popijający coś z papierowej torby. Na mój widok podniósł ręce i zwołał:

– U-huuuuu!

– A idździesz, debilu! – wymsknęło mi się.

I usłyszałam:

– Ty sama de-ebilu.

Przypomniał mi się mój ulubiony dowcip cmentarny, jak to taki właśnie pijaczek wpadł do grobu, wyspał się, a potem wstał, wykaraskał się i postanowił wracać do domu. Idąc, zobaczył dozorcę cmentarnego i postanowił go nastraszyć. Mimo prób nie udało mu się. Dozorca niewzruszony ładował liście na szuflę. Gdy facet był już prawie przy bramie, nagle oberwał od dozorca szuflą w łeb i usłyszał: „Tak, tak! Straszymy, bawimy się, ale za bramę nie wychodzimy!”.

Oj, mam ja wyobraźnię! A ten dowcip zawsze mnie śmieszy. No i przecież sama rozmawiam z duchami! I to z dwoma. Dziwne, że nigdy z mamą, z Gieniem prawie też.

– Bo ich nie wołasz – mówi mi Lilka nad uchem.

– Serio? Trzeba zawołać?

– A jak myślisz? OK – szepcze Lilka. – To ja lecę do ciebie, a ty się pospiesz. I wybacz, ale ponieważ ciała fizycznego nie posiadam, nie powitam cię gorącą herbatą. Paaaa!

Taksówki stały rzędem, więc podałam adres pana Janka i trzęsłam się z zimna. Gdy odebrałam samochód, czułam już, że jest kiepsko. A niech to szlag! Zaziębiłam się trywialnie, bo się uparłam, że pójdę na cmentarz akurat dzisiaj. O, ja głupia!

Samochód szybko schowałam do garażu i poszłam do domu, marząc o łazience i gorącej herbacie. Niby jest na cmentarzu toale-ta, ale wołałam szybciej pozalać sprawę. Pan Janek jest postawnym i wysokim mechanikiem o niespotykanych manierach. No po prostu miło u niego i elegancko, czysto. Mówi piękną pol-szczyzną, jest odcytany i przystojny. Nieco chyba młodszy ode mnie i nieraz się zastanawiałam, czy się w nim nie zakochać, ale ja się nie zakochuję w żonaty, a wiem, że żona pana Janka ma pizzerię przy Kato-wickiej.

– Pani Marianno, to tak, jak mówiłem, wyślę esemes o następnym przeglądzie, a teraz wymienię olej i klocki. Naprawdę nie chce pani wymienić opon? Niby jeszcze nie mroźno, ale zaraz grudzień.

– Panie Janku, ja zdaje się... wygaram ten samochód przez zimę, więc po licho? – powiedziałam, sama zdumiona tym, że to mówię. Przecież odmówiłam Antkowi!

W domu zdałam sobie sprawę, że korci mnie laptop, bo byłam dziwnie pewna, że Tosiek będzie mnie namawiał na te wyspy. A co tam! Chętnie się zgodzę w myśl zasady: lepiej żałować za grzechy, niż żałować, że się nie grzeszyło – choć przecież żadnego grzechu nie czynię. Jestem ateistką! I on też.

– Skąd wiesz? – pyta Lilusia, siedząc na lodówce. – Ma sześćdziesiątkę. Kto w tym wieku nie jest wierzący?

– Tata – wymknęło mi się i wiedziałam już, że za późno.

– Tata był chrzczony, opuścił Kościół na długie lata, a teraz jak trwoga, to do...

– ...Anki – przerwałam jej. – Do Anki, bo to dla niej to kościółkowanie, sama wiesz! A Antek złożył dokument.

– Samo złożenie to nic. Nie wykreślili go – mówi moja wszechwiedząca.

– Podobno prawnik tego dopilnował. Lilka, zaziębiłam się. Trzęsie mnie jak nie wiem co. Chodź do pokoju.

Biorę herbatę w wielkim kubasie, do którego wsadziłam pięć krążków cytryny,

cztery krążki limonki, spory plaster imbiru i łyżkę miodu.

– I po co ci ten miód? Nie lubisz!

– Odczep się. Aaaaaa, prawda. Woda za gorąca! Zabiłam miód! Trudno. Wleję jeszcze koniak.

– No to dosyp jeszcze kreta do udroźniania rur i płyn micelarny.

– Głupia – burczę, ale wiem, że w odruchu walki z zaziębieniem przesadzam.

Postawiłam kubek na szafce, zrobiłam posłanie i przyniosłam miskę z gorącą wodą i solą.

– Auuuu! Gorąca!

– O, widzisz, mądrze! – chwali Lilka. – No to mów!

– Ale co?

– No czy lecisz, czy nie. Lecisz!

– Poczekaj – mówię i otwieram lapka.

Wiedziałam! Antek namawia tak ładnie, logicznie, serdecznie i po przyjacielsku, że teraz faktycznie wykręcanie się wyglądałoby... głupio i nie na miejscu.

Maryniu, czas biegnie o wiele za szybko. Jest wielką dla mnie niespodzianką, że się jeszcze w moim życiu wydarzyło coś tak fajnego jak spotkanie z Tobą. Wiem, że zwiedzanie z Tobą będzie miłe, że Tobie sprawię frajdę i sobie. A pieniądze? Nie rób z nich głównego hamulcowego. Ja wiem, że nowoczesna kobieta chce być niezależna finansowo. Świetnie, ale jeśli los się tak pouklada jak u Ciebie, że nie masz zasobnego konta, to czemu pieniądze, jakie mam ja, nie mają Ci służyć? One po prostu są. Zgromadziłem ich tyle, żeby móc poznawać świat, ale zabrakło bliskiej osoby, z którą świat smakuje zdecydowanie lepiej. Zaprzęgnijmy je zatem do roboty i nich one nie urastają do problemu. OK?

– Fiu, fiu! – Lilka nade mną przefrunęła lekko. – Król!

– Przestań...

– Ma rację, siostrzo. Ma rację! Durne pieniądze nie powinny być aż takim powodem, żebyś nie poleciała. Popatrz na mnie. No popatrz! Życie jest za krótkie na takie niuanse! Leć z nim. Fajny jest!

I po tym zdaniu Lilka znikła.

Wydało mi się, że siorbnęła nosem.

Z czajnika dolałam sobie wrzątku do miednicy i piłam herbatę, niemal parząc usta. Czytałam po raz wtóry mail od Antka, gdy nad uchem usłyszałam Włódkowy bas:

– Co robisz, mała? Myślałaś o mnie. Słyszałem.

– Niczego nie chcę, idź sobie. Albo nie! Poczekaj. Włodek, jestem w kleszczach.

Antek mi proponuje coś, o czym marzyłam. Nie powiem, że całe życie, ale długo...

– Podróże?

– Tak. Wiesz, że w dzieciństwie...

– Wiem, wiem. W PRL-u nie śmieliśmy nawet o tym marzyć. Zwłaszcza ty, bo ja miałem chody i trochę jednak świata liznąłem. Ty za to w niedzielę oglądałaś z zachwytem dziecka program Ryśka Badowskiego z Czajkowskim, Dzikowską... A teraz twój epuzer Antoś rzuca ci świat pod nogi, a ty się dumnie wypinasz, bo jesteś

taka nowoczesna emancypanka, rzekłbym nawet, feministka, i za cholerę sobie nie dasz zafundować spełniania marzeń. Wiesz, Mańka, miałem cię za mądrzejszą.

– No ale że co? – Wkurzył mnie.

– Że pstro. Pisze ci ten twój amoroso, że dla niego forsa jest wyłącznie drogą do celu, a nie metodą na kupienie ciebie. – Włodek nabrał powietrza i sarknął: – Kurczę, jakie wy jesteście pokręcone! Facet stawia sprawę szczerze i sensownie, ale ty musisz pokomplikować, zakałapućkać i sfochować to tak, że się wszystkiego odechciewa. Mańka, chcesz zobaczyć świat z fajnym gościem u boku?

– Ale...

– Cicho, no! Chcesz – obiektywnie – czy nie? To jest fajny gość, więc się nie kryguj! Gdybym to ja był młodszy, zamożniejszy i... żyjący, tobym cię porwał, gdzie tylko byś chciała. Dzisiaj są takie możliwości... Weź aspirynę. Cześć!

I już go nie było.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, napisałam do Antka:

Ja też chcę z Tobą oglądać świat. STOP. Ślij konie na stację. STOP. Jak najszybciej. STOP. Buziak, tęsknię.

eM.

I szybki klik na enter.

Poszło. Czyli decyzja podjęta.

Wzięłam aspirynę. Zasypiając, zastanawiałam się, czemu nie odwiedza mnie duch Gienia.

Decyzja

Leżę w łóżku. Czuję się podziębiona, bo chyba to nie grypa. Trochę kataru, zmęczenie, temperatura, znakomity pretekst do barłozenia.

Leżę zatem, klikam w zaległe maile, omijając ten od Antka, bo zostawiam go sobie na deser. Wywalam spam i śmieci. Trochę głądżę na Facebooku, kłócę się z kimś o Młynarskiego, bo ktoś nie uważa, że powinno się go nazywać Mistrzem przez wielkie M. A ja uważam! Jeszcze odpisuję, że i Wysockiego, i Okudźawę, i Osiecką też nazywam Mistrzami. I co mi zrobi? Zbieram lajki i odpisuję koleżance z liceum, że niestety nie mogę się spotkać, bo wyjeżdżam. Od słowa do słowa przegadałyśmy z godzinę.

Oj, lubię tak odleżeć takie podziębienie, tylko bez gorączki, *please!* Łykam coś na grypę i robię sobie gorącą herbatę.

Decyzję już podjęłam. Oboje – i Lilka, i Włodek – mają rację. Przecież ja się nie sprzedaję w jasyr! Nadto spojrzalam w lustro i jest jasne jak słońce – Tośkowi nie chodzi o młodą hulajnogę, ale o mnie. Szlus i amen!

Teraz tylko zadzwonić do pani redaktor i wyjaśnić sprawy z książką o Polkach za granicą, ogarnąć bieżące sprawy i mogę lecieć! Właściwie przecież do pracy!

Tak to przedstawiłam pani Ewelinie Łuszczewskiej ku jej mało radosnej, ale akceptacji. Była wyraźnie zajęta czym innym, szybko zakończyła rozmowę, mówiąc, że czeka na rozmowę z Juliką i Gabi. Czekaj na dalszy ciąg i proszę, żeby to z lekka obudować realiami. Zadzwoniłam do Gabrysi, która chętnie dorzuciła mi trochę szczegółów o sobie, tak żebym mogła ją osadzić w jakiejś scenografii, kolorach. Żeby stała się bliższa czytelniczce, cieplejsza. Bo to właśnie Gabrysia byłaby pierwsza. Nie jest bohaterką zagraniczną, ale w swojej kategorii jest Polką, która zrobiła desperacki sus do przyszłości. Swojej przyszłości, przez siebie ukształtowanej, podług własnego marzenia. Za nią pokażę inne, które wyskoczyły stąd, z Polski, z powodów bardzo różnych. Raczej nie ekonomicznych, bo to jest mniej ciekawe.

Samochód będzie spał do wiosny w garażu. Scindapsusa podleje pan Jacek – tego jestem pewna, dobrze mu z oczu patrzy. A poza tym, co mnie tu trzyma? Nic, tylko ojciec, którym troskliwie zajmuje się Ania. No to czekam na mail od Antka i wio!

Werka mieszkająca na Fuerteventurze – do której wysłałam zapytanie o rozmowę – zgodziła się, więc jeszcze tylko mail uściślający miejsce jej pobytu i wiadomość do Estery, że będę za dwa tygodnie na Bali i jak ją tam łapać.

Mam czas, więc napiszę do Grześka, relacjonując mu dokładnie moją wizytę u ojca, i z lekka skarżę się na Ankę, która, wydaje mi się, emocjonalnie szantażuje ojca, żądając wspólnych wizyt w kościele i kościelnego ślubu, na co przecież jeszcze rok, dwa lata temu za opiekę i „miłość” by się nie zgodził. Tak. Cudzysłów konieczny, bo jakoś wierzyć mi się nie chce, że ona kocha mojego sucharka. Ech, tak się wszystko doskonale układa, ale gdy tylko przypominam sobie tę sprawę, szarpie mną i mam odczucia... mówiąc delikatnie, ambiwalentne. Z jednej strony najbezczelniej cieszy mnie, że tatko nie jest sam, z drugiej nijak nie umiem pozbyć się zazdrości o niego. A w tej zazdrości też uczucia się huśtają i sama siebie za to ganię. To jakaś dziecinada!

Zadzwonił telefon. Jula! No proszę! Jula, obecna pani mojego byłego męża, a ja

mimo to ją lubię, więc nie jestem jakąś heksą!

Jula jest na Saskiej Kępie i pyta, czy może wpaść. Wynika z rozmowy, że jest sama.

Zanim przyjdzie otwieram mail od Antka. Zwyczajowe doniesienie, co robił, co zjadł, kto mnie miło wspomina i że stocznia już ucich-ła na temat Lali Chopry i jej widok, dziarsko kroczącej na przerwę z kaskiem w rękę, już nie elektryzuje pracowników. I że jest piękna pogoda, lekki mróz tylko w nocy, za dnia słońce, że zmienił już kombinezon na zimowy. Że tęskni. I nic więcej. A na końcu czerwoną pogrubioną czcionką: „Ogromnie się cieszę!”. I już zwyczajną: „Czyli klepię bilety i hotele! Yes! <3”.

Jula jakby szczuplejsza, już bez kuli, lekko tylko utykająca, przynosi mi pudełko... japońskich rolek zawijanych w wodorosty.

– Byłam na zmianie opatrunku u klientki, która mieszka tuż obok rolni Handroll. Byłaś tam? Na Francuskiej. Jestem tylko po małym śniadanku, więc wzięłam na wynos dla nas obu. Zjesz?

Dobrze, że wpadła. Z nią z mety lepiej się poczułam. Zakrzętnęła się jak za dawnych czasów, gdy bywała tu u mnie, wspierając mnie w opiece nad chorą Lilką. Zrobiła małe sprzątanko, pozmywała i ułożyła pokrojone rolki na talerzu.

– Będziesz jadła pałeczkami czy palcami?! – zawołała z kuchni.

– Pałeczkami! Już mam wprawę jak nie wiem co!

– Jak Koreanka? – pyta, niosąc dodatkowo sałatkę z cykorii.

Ona ma niesamowite tempo. I zawsze taka ogarnięta! Nawet o tej cykorii do rolek pamiętała. „Mirek poszedł w dobre ręce!” – pomyślałam bez ukłucia zazdrości.

Rozmawiałyśmy o wszystkim. Najpierw wyciągnęła ze mnie wszystko o Korei. Potem sama jej przedstawiłam Antka – jakim jest mężczyzną i że chyba mamy romans, a przynajmniej tak to się nazywa w literaturze.

– Nie krępuj się – powiedziała. – To ładne słowo! I ja cię doskonale rozumiem, bo i ja też!

Oniemiałam, ale Jula rozwiała moje zdumienie, śmiejąc się serdecznie:

– Nie, no Marianna, z Mirkiem. Nie myśl sobie, że ktoś poza nim chciałby taką kulawą kaczkę.

Ma dystans do siebie, a niech to! Dyskretnie mnie powiadomiła, że wynajęli mieszkanie na starym Mokotowie, skąd Mirek dojeżdża Puławską do firmy, i że całkiem zrezygnował ze szpitala na Wołoskiej i teraz ma więcej czasu, i że był u nich Grzesiek.

– Co z twoją pracą? – zainteresowała się, więc dość szybko jej objaśniłam, co i jak. Znów postanowiłam się poskarżyć na Ankę i znaleźć sojuszniczkę.

Ale Jula z wrodzoną sobie elegancją nie podjęła ataku na słodką Anulę, powtarzając wszystkie argumenty Lilki, Włodka i Grześka. Przekonywała mnie i próbowała leczyć z zazdrości, i chyba jej się udało. Ona ma dar! Tak jakoś rozmawiałyśmy, używała takich argumentów, a przy tym za grosz nie odczułam, żeby mnie ganiła czy krytykowała. Wręcz przeciwnie! Tak ciepło i fajnie nam się rozmawiało, że odpuściłam tej Ance. Może faktycznie to ułatwi ojcu, mnie i jej współistnienie?

Po wyjściu Juli zasnęłam. Obudziłam się na tyle późno, że nie miałam już siły na

długi mail do Antka, więc wysłałam mu szybkiego buziaka, wyjaśniłam, że się podziękowałam, i po przeklinaniu kilkunastu stacji telewizyjnych stwierdziłam, że mam ciepłe czoło, ciężkie powieki i mogę, a nawet powinnam spać dalej. Do rana! Mama mówiła, że podczas chorowania trzeba sporo spać i nie męczyć serca. Proszę bardzo!

Fuerteventura

Spakowanie się jesienią w Polsce na wylot w ciepłe kraje to nie lada wyzwanie. Antek napisał mi o tym i tą analizą wzruszył mnie bardzo:

Kochana moja,

bagaż to dwadzieścia kilo. Pomyśl, co wziąć na Bali. Zimowymi łaskami (wracamy do Ulsan i tu wciąż będzie zima) nie przejmuj się zanadto. Widziałaś, że jednak możesz tu coś znaleźć dla siebie, a jeśli będzie problem, zamówimy w sklepie internetowym. Buty też, więc nie pakuj rzeczy zimowych, zresztą jakieś minimum przecież zostawiłaś w swoim pokoju. Weź letnie i mało, w ciepłe mało potrzeba, bo jak już Cię troszeczkę znam, nie jesteś znudzoną damą na wybiegu, która musi codziennie mieć inny ciuch. Zresztą pasujemy do siebie pod tym względem, bo i ja do dandysów nie należę.

Ma rację. Też o tym myślałam. Fakt, nie dam rady spakować się zimowo i letnio do dwudziestokilogramowej walizki. OK, pora może na minimalizm i przetrzepanie ciuchów. Wszystko mam raczej... kilkusezonowe, choć i tak przejrzałam zasoby po zalaniu mieszkania. Dobrze. Nie biorę suszarki do włosów, ciężkich butów, więc po próbnym spakowaniu się moja walizka waży szesnaście kilo. Faktycznie może za mało? Pomyślę, co jeszcze wziąć, bo coś chyba przesadziłam. Tymczasem chcę pojechać, a raczej... nie chce mi się, ale czuję wewnętrzny przymus, żeby pożegnać się z ojcem oso-biście. Znow wyjeżdżam na trzy miesiące albo dłużej.

Oczywiście zjawiam się zapowiedziana. Kasi i Łukasza nie ma, są w Krakowie u przyjaciół, a potem jadą do Wilna. Na stole waza z kapuśniakiem, są też kotlety mielone, ziemniaki i marchewka z groszkiem.

– O, jak tradycyjnie! – zawołałam, a Ania pospieszyła z wyjaśnieniem:

– O, ja chętna jestem nowościom, ale gdy zrobiłam meksykańskie tortille, to Michaś się krzywił, guacamole też mu nie smakuje.

– Ale ten... humus lubię! Lilusia robiła pyszny.

– A klasykę Miś zjada, aż mu się uszy trzęsą! – Ania mówi to, całując ojca w czubek głowy, i stawia na stole półmisek z ogórkami własnej roboty. Są obrane ze skórki, jakby Miś był przedszkolakiem. Anka łowi mój wzrok i tłumaczy niemal szeptem: – Ta skóra z kiszniaków źle mu robi na żołądek.

Ojca to wyraźnie krępuje, bo mruży:

– No ale nie przy jedzeniu, proszę cię!

Jest... milej. Jest niemal naturalnie. Może to te moje duchy mi coś poprzestawiały w głowie? I Julia? Może.

Informuję ich, że jadę ponownie, i opowiadam całą historię, i że jadę pracować, i zbierać materiał.

– Wydawnictwo nie partycypuje? – pyta ojciec.

– Tatku – mówię wymownie. – To już nie PRL, kiedy wzięty reporter dostawał delegację.

– Głodową – dodaje tatko. – I musiał tam gdzieś w świecie kombinować, żeby żyć

za te grosze.

– A ja nie jestem wziętą reporterką i nie dostaję od nikogo szmalu. Muszę albo się przestawić, zostać nią i podbić rynek, albo dać sobie spokój. Mam pięćdziesiąt plus tatku.

– A Nela, ta mała podróżniczka, ma dwanaście i już jaka kariera?

– Za nią stoją rodzice, tatusiu. Ja sama staram się jakoś przetrwać w świecie, w którym nie ma miejsca na czterdziestolatki, a co dopiero pięćdziesięcio? Może gdyby żył Włodek? Ale on mnie widział w dziennikarstwie politycznym. Zresztą ja nie wiem, czy on by nie padł na zawał, gdyby zobaczył, co się teraz wyprawia w redakcjach. Tatku, dbaj o siebie, uważaj, proszę. Tak cię kocham bardzo – mówię nagle z wielką czułością i przytulam go.

Łatwo się wzrusza, więc już wyjmuję chusteczkę i odwzajemnia szeptem, że też, że jestem jego ukochaną córeczką. Anka zmywa. Jest dyskretna i nie przeszkadza nam. Miłe z jej strony.

W kuchni poświęcam jej trochę czasu. Pytam o Kasię i Łukasza, cieszy mnie dobry sezon, jaki sklep ma za sobą. Opowiadam o Bali i Fuerteventurze to, co wyczytałam w necie. Ania starannie omija temat Antka, więc jakby z przekory wspominam jeszcze o Lali Choprze, używając określenia „nasza sąsiadka z naprzeciwka”, Duńczyku i innych mieszkańców sąsiedniego bloku.

– A ja czytałam ostatnio wywiad ze śliczną młodą pilotką samolotów pasażerskich – oznajmia w odpowiedzi Ania.

– No widzisz. W Europie to już nie problem. Ale w Korei Południowej równouprawnienie tak daleko jeszcze nie zaszło. Choć na pewno zajdzie!

– Czy ja wiem... Widziałaś, że i tam kobiety protestują przeciwko uciskowi?

Zamilkłam. Zaskakuje mnie ta Anka. Śledzi działania feminizmu na świecie?

– A ty co sądzisz, Aniu, o kobiecym ruchu?

– Marianna, ja jestem głęboko wierząca, ale nie idiotka. Też mi się nie podoba dyktowanie nam, kobietom, jak mamy żyć. I powiem ci, że nie podoba mi się w tych protestach to, że przywódczyni tych ruchów zbyt wiele trąbią o aborcji, a przecież to nie tylko o aborcję chodzi, tak? Ja jestem już za stara na myślenie o sobie. Mam dom u Michasia i jestem po menopauzie. Ale Kasia? Jak ona ma żyć?

Zaskoczyła mnie. Myślałam, że jest skamieniałą konserwatystką! No, no...

– Tatku, pojedę już.

– Nie zostaniesz, Baranku, na noc? – Tata wyraźnie smutny.

Nie zostałam. Nic właściwie poza objęciami ojca mnie tu nie trzyma. Gienia nie ma, Kobyliński nie przychodzi. Obco jakoś.

Pewnie jutro rano Antek przyśle mi bilet na Kanary. Dalej polecimy razem. Niepotrzebnie robiłam sobie wyrzuty. Szkoda na nie życia!

W domu mail od Weroniki, że tak, mieszka niedaleko hotelu, w którym pracuje – jakieś dwadzieścia minut rowerem – i że to duży hotel o dziwnej nazwie Oxy-2 w odróżnieniu od brata bliźniaka Oxy-1.

Prawie na końcu miasta, oba nad brzegiem morza, spore! Zobaczy je Pani bez

problemu, są zresztą drogowskazy. Ja pracuję w godzinach 9:00–13:00 i 16:00–20:00, mam sporą przerwę. Możemy się umówić na lunch. Tu jest mój telefon, proszę dzwonić.
Wera

Raz jeszcze poczytałam o pogodzie na wyspach i dorzuciłam do walizki trzy bluzki z długim rękawem. Włożę adidasy, wezmę lekką kurtkę i ubiorę się na cebulkę, żeby jakoś dojechać na lotnisko. Pojutrze chyba lecę.

W mailu od Antka dane logistyczne. Samolot leci z Okęcia rano. Jest na lotnisku w Puerto del Rosario w pół do piątej mojego czasu. OK. Antek już będzie czekał, startuje za chwilę. Jemu się dłużej zezdziej, ma przesiadkę w Hongkongu, podróż mu zajmie dwadzieścia godzin. O mój Boże... Poświęca się chłopak dla mnie!

Dzień mi się dłużył, posprzątałam, wyniosłam z domu wszystko, co jest jedzeniem, żeby nie kusić moli, prusaków i myszy. Ugadałam pana Jacka do wyjmowania korespondencji i podlewania scindapsusa. Zamówiłam taksówkę.

Maila od Antka nie ma – dolatuje już pewnie na Fuerteventurę. Jutro wieczorem o piątej spotkamy się na lotnisku.

Byłam tak podekscytowana, że nawet wdałam się w rozmowę z taksówkarzem.

– Nie za zimno pani? – zapytał, taksując mnie wzrokiem.

Fakt, trampki i lekka kurteczka, a tu ziąb i śnieg sypie, choć topi się natychmiast, bo mrozu właściwie nie ma, ale zima się zaczyna nieodwołalnie.

– A wie pan, lecę na Wyspy Kanaryjskie, tam wieczna wiosna, jak mówią. Co zrobię z ciepłymi łachami? A potem dalej lecimy już... z mężem – kłamię z lekka – w świat.

– Urlopić? Fajnie. Za naszych czasów to było coś, te wyspy, co? – pyta.

– Prawda, teraz tylko mieć pieniądze i czas!

– A pani wie, moja córka nie potrafi mi uwierzyć, że kiedyś były granice, szlabany na granicy, wojsko, służby celne i że nie mieliśmy paszportów. Dla niej to był szok i niedowierzanie!

– No tak, urodzona w dobrobycie...

– No nie w takim, żeby się zaraz kąpać w mleku, ale wykształciłem dziewczuchę i teraz porządnie zarabia! Też sobie leci to tu, to tam. Umie grzebać w necie i wylapuje tanie przeloty. Kiedyś poleciała z chłopakiem w te i nazad do Oslo za osiemdziesiąt zeta! Ja pytam, co ona tam miała za interes w tym Oslo, a ta, że żadnego, tak sobie poleciecieli, skoro jest taniej niż do Krakowa i to samolotem. Patrzy pani!

Na hali ciepło. Szybko się odprawiłam i zanim poszłam przez bramki, pochłoniłam kanapkę, którą przygotowałam sobie zawczasu, wiedząc, że ceny jedzenia i picia na lotnisku są po prostu nieprzyzwoite. Zresztą, jak widzę, wiele osób wcina. Ja tym razem

bez alkoholu, wyluzowana i tylko z lekkim niepokojem o Antka, żeby doleciał i był! Mam co prawda wszelkie dane hotelu, rezerwacji i tak dalej, ale chciałabym już poczuć jego ciepłą dłoń i szorstkiego buziaka, pachnącego staroświeckim „CK one”.

Pięć i pół godziny przeleciało mi szybko. Czasopisma przeczytane od deski do deski. Te babskie zostawiłam w samolocie, a „Przekrój” wzięłam niedoczytany dla Antka. Lądujemy, o, matko, jakie malusieńkie lotnisko! Czy nam na pewno wystarczy tego pasa do lądowania?

Bum! I kołujemy. W rękawie samolotowym czuję, że na zewnątrz jest ciepło. Antek pisał, a internet potwierdził, że temperatura nie saharyjska, ale jest zima, więc coś między osiemnaście i dwadzieścia gwarantowane.

Walizka, wyjście i... jest Antek! Przytula mnie mocno, bo chyba i on naczekał się i tęsknił.

– Chodź, kochanie! Mamy fajny mały samochód z wypożyczalni i godzina jazdy przed nami.

Jest wyraźnie zmęczony, choć puszy się, że nie, nie, pospał w samolocie, a tych kilka godzin czekania na mnie to doprawdy nic! Jest tu od kilku godzin i nawet przespał się ciutkę w hotelu.

– Po dzisiejszej nocy zmęczenie podróżą zniknie! – obiecuje.

Na parkingu znajdujemy małego czerwonego opla.

– Nie ma GPS-a?

– Pytałem, ale pani w wypożyczalni zaręczyła, że wszędzie trafimy, bo to malutka wyspa, ma tylko dwie główne drogi i doskonale oznakowane.

– Patrz, musimy tu dojechać. – Pokazuje mi mapę. – Costa Calma, choć myślałem o Morro Jable, ale to za wielkie. A gdzie mieszka ta Weronika?

Uśmiecham się do niego, bo mnie tak zagadał, że nie dał mi szansy na radość ze spotkania. A mnie aż w dołku ściska z emocji.

– No co? – dziwi się mojemu milczeniu. Całuje mnie w oko i dopytuje: – No?

– W... Costa Calma, hotel Oxy.

– Wspaniale! Wykazałem się czujnością, ale pomyślałem, że będziesz wolała małe miasteczko. Jest tu wprawdzie kilka mniejszych, lecz nie nad morzem. Rozważyłem jeszcze El Cotillo, tylko że ze zdjęć jakoś mi nie pasowało. Jest jeszcze Corralejo, ale chyba czulibyśmy się tam jak na mini-Hawajach.

– A hotel? Wielki, co?

– No... wielki, lecz mieli jakieś zniżki, a domek do wynajęcia drogi jak diabli. Przepraszam cię, ale zawsze wolę wybrać coś oczywiście wygodnego i czystego, ale też nie szastać, żeby mieć na jakieś inne przyjemności.

Dotknęłam jego policzka. Co ja mam do powiedzenia?

– To ile mamy do przejechania?

– A jakieś pół godziny do czterdziestu minut, bo to co prawda sześćdziesiąt siedem kilometrów fajną autostradą, ale są i ograniczenia.

Jest podekscytowany i oczy mu się świecą, mimo że zapewne pada na twarz. Tyle godzin tu leciał i przecież nie odespał tego! Wzruszyło mnie to. Kochany jest.

Szosa faktycznie świetna, miejscami autostrada, jakieś skrzyżowania z rondami. Na jednym śmieszne figurki dzieci z kolorowej gliny, naturalnej wielkości. Stoją grupkami pośrodku ronda na trawniku i patrzą w słońce. Po obu stronach drogi niezwykle suchy i nieco ubogi krajobraz. W oddali góry o łagodnych kształtach. Niektóre jak kapelusze, inne jak grzbiety monstrualnych zwierząt śpiących na boku. Jestem zachwycona i zmęczona.

– Wiesz, tak myślę, że projektanci samolotów sądzą, że nie mamy nóg. Nie jestem wielka, a było mi ciasno, a co dopiero tobie czy większym osobom?

– Źle pojęta ekonomia niestety. Jakoś udaje mi się spać na siedząco, ale fakt, ta podróż była długa i męcząca. Dlatego musisz mi wybaczyć, bo nie wiem, jak dotrwam do wieczoru. Zapewne padnę jak kłoda.

– Tosieczku, ale ja nie oczekuję od ciebie dzikiego seksu, jeśli masz to na myśli. Mamy tyle lat, ile mamy, i może młody, wyposzczony żołnierz rzuciłby się na bogdanę, ale myślę, że zarówno dla mnie, jak i dla ciebie liczy się jakość, a nie...

– Wiem, wiem, też tak myślę, ale miło to usłyszeć. Zobacz, ile kóz! – Wskazał kamienisto-piaszczyste pole u podnóża jakiejś góry i wielkie, naprawdę wielkie stado ospałych kóz. Na szczęście jest też kilka żłobów do karmienia i w oddali ocieniona cysterna. Roślinność, jakakolwiek zieleń jest tylko wkoło domostw.

Mijamy przydrożne zajazdy, warsztaty, hoteliki i tylko tam rosną palmy, agawy, jakieś krzewy. W oddali czasem widzę domki typu hacjenda – maleńkie, białe albo ceglane, prawie bez okien, ganków. Dwa drzewka, kilka krzaków, a wszędzie to kamieniste pustkowia. Jakie to inne od europejskich domów z wielkimi oknami, okiennicami i werandą. Nawet szwedzkie czy fińskie budynki są większe i więcej wkoło nich... życia. Antek ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, bo fakt, słońce tu mocne mimo zimy. Moje mam w bagażu.

Wreszcie kolejne rondo i zjazd w lewo, w dół, nowym, jak widać zjazdem pod autostradą. Dalej droga prowadzi do miasteczka. Jedziemy aleją obsadzoną wielkimi krępyimi palmami. Pod nimi, ciekawostka, ciągnie się długi czarny wąż. Jak się domyślam, służy do nawadniania palm. Dalej prawie same hotele i sklepy, osiedla domków pod wynajem dla przyjezdnych i zamożniejszych. Domki są białe albo piaskowe, szeregowce o ciekawym śródziemnomorskim wyglądem. Jakieś kopuły, czasem wieżyczki, dyskretne zdobienia z elementami morskimi. Na jednym konik morski, na innym delfin albo rozgwiazda.

– Architektura Maghrebu. – Antek celnie ocenia to, co oglądam. – Wybacz, że nie taki domek wynajęłam, ale są drogie.

– No coś ty! Ładne, lecz co nam potrzeba na tych kilka dni? Łóżko, łazienka z ciepłą wodą i jakieś papu!

– Papu będzie w nadmiarze. Wykupiłam opcję *all inclusive*.

– No i wspaniale! Jak dla mnie to luksus. Byle nie było za głośno wkoło i bez robali.

– Nie będzie. W takich resortach dbają o to. – I dodaje po chwili: – No, widzisz, jak żeśmy się dobrali? Dziękuję ci.

– Antek... a nie za słodko jest? Ciumkamy, kłaskamy jak ptaszyny. Obawiam się,

czy w końcu nie pokłócimy się o jakieś duperele.

– O duperele? Oj tam. Nie chce mi się, wybacz. Koniecznie musimy? Patrz, to chyba tu.

Pod wielkim hotelem, otoczonym oczywiście palmami, wielki napis „OXY”.

Pokój dostajemy szybko. Jest czysto i pachnąco. Z okna widać kawałek morza, troszkę zaplecza hotelowego, pusty plac i trzysta metrów dalej jakiś następny hotel.

– To jest morze? – Pokazuję palcem.

Antek obejmuje mnie i wzdycha:

– Nareszcie.

Milczymy chwilę. Ja też czuję w sobie to „nareszcie”. Jakbym miała naście lat. Najzwyczajniej w świecie się zakochałam.

Zdążyliśmy na posiłek. Ogromna sala restauracyjna, którą nazwaliśmy stołówką, zapelniona. Ale są miejsca dla wszystkich. Na różnych stanowiskach kucharskich jedzenia tyle, że się człowiekowi kręci w głowie. Jestem bardzo, bardzo głodna, bo w samolocie nie zjadłam bułki z serem za dwa i pół euro, a kanapka na lotnisku to już od dawna wspomnienie. Najchętniej rzuciłabym się na wszystko, bo widzę kucharza z grillem, a obok niego jakieś mięsa duszone z warzywami i bez, dalej grillowane ryby i kalmary, grillowane warzywa i sosy do tego. Są też stoiska z makaronem, ryżem, frytkami i okrągłymi ziemniaczkami. Z internetu wiem, że to słynne kanaryjskie *papas arrugadas* – pomarszczone ziemniaki. Nabieram sobie. Antek łowi swoje smakołyki. Jeszcze zakąski, które mnie jakoś nie interesują, i warzywna surowizna. Surówki można sobie komponować samemu z tego, co tu jest. Są też sosy do tego. Dalej owoce, ciasta, lody, ale to nie teraz!

Wracam do naszego stolika. Antek nadchodzi ze swoim talerzem – chyba też zgłodniał! Ma na nim frytki, pieczone mięso, ale też łyżkę paelli, grillowaną paprykę, a na twarzy uśmiech. Rzuca okiem na mój talerz i pyta o te ziemniaczki, bo wyglądają... kiepsko, jak beżowe kamienie.

– To jest tutejsze *spécialité de la maison*, czyli tutejsze ziemniaki gotowane w solance, a kiedyś w wodzie morskiej. I do tego to, *mojo verde*, czyli zielony sos z różnych różności. Są w nim oliwa, czosnek, zielona papryka, zielone zioła i zapewne każda gospodyni kanaryjska ma swoją recepturę.

– A to? Gulasz?

– Tak, ale też tutejsze *spécialité*. Koźlina. Lubisz? Ma specyficzny smak, jak i jagnięcina.

– Nie wiem, czy lubię. Ja nie jestem odważny i chyba... nigdy nie jadłem.

– Żartujesz? Jeździsz po świecie...

– Przy tobie się odważę. Obiecuję!

Przy stole staje miła pani kelnerka i pyta o wino. Przynosi butelkę czerwonego i zostawia ją nam.

– Całe nasze? – pytam.

– *All inclusive*, kochanie!

Koźlina pyszna! Wino dobre, wytrawne, ale nie kwach. Ma swój bukiet. Bukiecik. Ziemniaczki fajne, a sos ciekawy w smaku. Jutro spróbuję *mojo rojo* i już wiem, że

wymawia się to „moho roho” i „moho verde”.

Objedzeni nieludzko wstajemy od stołu. Butelka wina stoi pusta... Wiem, że Antek już ledwo widzi na oczy ze zmęczenia, ale dzielnie proponuje jeszcze mały spacer po tej uczcie.

– Choć zobaczymy to morze, to tuż za hotelem! Chodź!

Faktycznie bliźutko jest kamienista plaża i morze jak... jezioro. Kompletnie gładkie jak tafla lustra. Słońce zachodzi i jest ciepło. Trzymamy się za ręce i kawałek dalej stajemy, gapiąc się w tę granatową dal.

– W Daewangam morze nigdy takie nie jest – mówię.

– Jutro pojedziemy na drugą stronę wyspy. Tam zobaczysz inne oblicze morza, właściwie oceanu. Od lądu jest jak blat stołu, ale od zewnętrznej...

Antek zasnął po prysznicu niemal natychmiast. Dla mnie za wcześnie. Z baru przyniosłam sobie jeszcze jedną szklankę wina i usiadłam na balkonie.

Zadzwoiłam do Weroniki, umówiliśmy się nazajutrz o pierwszej, gdy ma przerwę. Świetnie.

Poszłam jeszcze sama na spacer. Blisko kamienistej plaży jest nadmorski deptak, wiodący do hotelu obok, i tam jest plaża piaszczysta. Wąska, co prawda, ale chciałam sprawdzić wodę. Słona, jak się należy! Ale zimna. Nie będzie kąpieli! „Przecież to zima, idiotko” – napomniałam się. Zima, ale jaka fajna!

W pokoju natrudziłam się, żeby opanować połączenie z Wi-Fi. Przejrzałam pocztę i od razu pożałowałam:

Szanowna Pani – pisze do mnie pan mecenas. – Sprawa z dziennikami pana Włodzimierza i ich publikacją nie będzie taka łatwa. Ale i nie trudna, proszę się nie martwić. Mam dwie wieści. Przykra jest taka, że książka jest już w hurtowni i idzie, niestety, do sprzedaży, a sąd na razie milczy. Dobra taka, że konsultowałem sytuację z kolegą, który miał bardzo podobną sprawę. To jest naruszenie dóbr! Na szczęście dla Pani nabywca nie wczytał się w umowę, w której jasno jest opisane, co może, a czego nie może zrobić. Facet poszedł ścieżką złodziejską. Założył, że poza nim nikt nie ma oryginałów, i może robić, co chce. I tu brawo, że się Pani zabezpieczyła. To jeszcze potrwa, ale kolega podsunął mi niemal gotowe rozwiązania, więc pracuję.

Czy mógłbym liczyć na jakąś dopłatę do zaliczki, bo mam pewne dodatkowe koszty?

I to ostatnie zdanie mnie dobiło. Skąd na to brać? Mam niewiele własnych pieniędzy, a on jeszcze chce...

Kliknęłam na moje zasoby w banku i uśmiechnęłam się do siebie. Tatko! Mój kochany! Nic mi nie mówiąc, przelał mi całkiem miłą sumkę! A w dzisiejszej poczcie wyjaśnił, że to na wyjazd i że bym się nie sumitowała, on ma wszystko, czego potrzebuje, a z rozliczeń i podziałów po sezonie wynikło, że jest czym szastać! To szasta!

Wymięklam. Antek leży na wznak i chrapie jak pułk kawalerii. Układam go na boku. Cichnie. Widać ogromnie zmęczony. Mama opowiadała, że tatko też tak rąbał, gdy był utyrany. Od dawna nie słyszałam męskiego chrapania. Co ciekawe, w Korei Tosiek nie chrapał... No, ale zawsze spał na którymś boku!

– Nie śpisz? – pyta nieprzytomnie.

– Już, już – zapewniam go. – Już zaraz.

Weronika i Chris

Czuje, że Atek nie śpi. Nie wstaje, leży za moimi plecami i czeka, aż się obudzę.

– Dawno nie śpisz? – pytam.

– Nie. Dopiero co się obudziłem. Dzień dobry. Ależ się wyspałem! – ziewnął i poklepał mnie po biodrze. – Wstajemy, panno Maniu? Patrz, jakie słońce! Małe śniadanie i jedziemy!

– Małe? Tu małe? – zapytałam ze śmiechem i też ziewnęłam, i z mety usiadłam na łóżku. – Wstajemy i idziemy zobaczyć Fuerteventure!

Ablucje poszły nam sprawnie. Gdy wyszłam z łazienki, Antek siedział już gotowy na balkonie i analizował mapę. Nie maluję się. Krem z faktorem, potem troszkę pudru na nos, włosy zawiązuję w węzeł. Lekka lniana tunika, legginsy do kolan i wygodne buty do łażenia. Na jakimś stoisku kupię sobie daszek od słońca. Mój koreański został w Ulsan.

Śniadanie jest absolutnie sybaryckie – znów przepych, masa jedzenia i miłe dodatki w postaci owoców. Jajka sadzone i pomidor, bułka z ziarnami i nic więcej nie zmieszczę. Antek zjada męską porcję i... przynosi dwa kieliszki szampana.

– Co to?

– Na dobry początek dnia, kochana moja. A szampany stoją tam, w tamtym zlewozmywaku pełnym lodu, jak jakaś oranżada! Koło melonów i słodczy, jak rozpusta, to rozpusta! Wszystko w cenie.

Okazało się, że nasz hotel i miasteczko są położone w talii wyspy, najwęższym jej miejscu. Stąd dzieliło nas tylko pięć kilo-metrów od drugiego wybrzeża, gdzie Atlantyk potrząsa morską grzywą. Małeńka zatoczka, a obok góry (wulkaniczne, niezbyt wysokie) wleżą w wodę, tworząc tarasy widokowe, bo wspiąć się na nie, to prościzna. Trochę jak w naszym ulsańskim parku – skały i groźne morze. Martwa fala dopływa do brzegu z białą spienioną grzywą. Inne chlustają na kamienie, tworząc fontanny. Widok jest naprawdę świetny. Antek robi zdjęcia, ja obserwuję morze i nieliczne ptaki. Robimy małą wyprawę po grzbietach skał. Wracamy, bo o pierwszej mam spotkanie z Werą.

Hotel Oxy-2 faktycznie jest na drugim końcu miasta i jest jakby bliźniakiem naszego. Znajdujemy butik. Weronika wita nas serdecznie. Ma wielkie sarnie oczy i jest... subtelna. To najlepsze określenie. Zamyka sklep i idziemy do jednej z licznych kawiarni, na kanapę. Antek poszedł zamówić kawę, spytawszy najpierw, czy może Weronika nie zjadłaby czegoś konkretnego, ale ona odmawia. W domu z lunchem czeka Chris, chłopak, u którego wynajmuje pokój. OK, o nic nie pytam. To wyjdzie w rozmowie.

– Czy ja mógłbym się ulotnić? – pyta Antek i natychmiast go zwalniam, bo przecież nie musi tu siedzieć, a o Weronice jeszcze usłyszysz, gdy będę czytywała wywiad.

„Śliczna!” – myślę, patrząc na moją rozmówczynię. Wygląda na znacznie młodszą, niż jest. To zasługa świeżości. Żadnego makijażu, żadnych zmarszczek, zmęczonej skóry. Ma dwadzieścia lat, brązowe długie włosy i te wielkie orzechowe oczy. Drobnie i skore do nieśmiałego uśmiechu usta i smukłe dłonie. Siedzi niemal jak grzeczna uczennica. Czeka na naszą rozmowę.

– Weroniko, najprostsze pytanie. Czemu wyjechałaś z Polski? Nieporozumienia z mamą, bunt nastolatki? Polskie piekielko?

– W jakim sensie?

– No, klimat polityczny. Jest trudny, wielu dotyka, wielu nie wytrzymuje, wyjeżdża...

– A, to! Nie, i tamto też nie. Ja mam świetnych rodziców. Tata jest biologiem, mama ma zacięcie artystyczne, jest graficzką komputerową. Jestem adoptowana i bardzo kochana. Ja i mój brat. Skończyłam liceum i może nie był to lot koszący... – na chwilę milknie i znów się uśmiecha porozumiewawczo – ...rozumie pani...

– Mów mi po imieniu, jestem Marianna. Nie odmienia się łatwo, więc możesz mówić Marynia, Maryna... To znaczy, że nielekkko ci szło?

– Tak. Znaczy przedmioty matematyczne. Albo mam atrofię komórek matematycznych, albo trafiłam na nie najlepszych nauczycieli. Ale chyba to drugie, bo kiedy chodziłam do wujka na korepetycje, to jakoś wszystko włąziło, i matematyka, i chemia, i fizyka...

– Do wujka?

– Tak, to nie był płatny korepetytor. Przyjaciel rodziców, bardzo fajny człowiek, z którym mnóstwo czasu przegadałam też o życiu, bo jak każda nastolatka szukałam odpowiedzi na różne pytania i jeśli nie z mamą czy tatą, to z wujkiem znajdowałam.

– Sądziś, że dorośli umieją rozwiązać problemy was, młodych?

– Rozwiązać? Nie. Dać wskazówki. Kiedy byłam bardzo młoda, to się buntowałam, wątpiłam i krzyczałam, jeśli mi coś nie do końca pasowało, albo się obrażałam.

– Na kogo?

– Na cały świat!

– Ach! Rozumiem. I co wówczas?

– Nic. Mama przeczekiwała, tata też, a wujek tłumaczył jakoś przystępnie – nie tylko wiązania kowalencyjne i regułę de l’Hospitála, z których dzisiaj już nic nie pamiętam, ale też... życie. Jest pragmatykiem i fajnie się z nim gadało tak w ogóle. Mam do niego zaufanie.

– No i jak to się wszystko ma do twojego wyjazdu z Polski? Masz świetnych rodziców, brata, wuja mentora...

Wera pije sok pomarańczowy i udaje, że myśli. Zerka na mnie, bo przecież dzieli nas duża różnica wieku. Pewnie się zastanawia, jak mi to wytłumaczyć, żebym pojęła. A może się czegoś wstydzi?

– Próbowalam, przysięgam, naprawdę próbowałam studiować. Nie myślałam o niczym innym. Poszłam na biologię jak tata i... to może był błąd? Mama po studiach, tata też, więc sądziłam, że jeśli nie zrobię studiów, to będzie jakoś... niehalo.

– Czulaś presję?

– Niby nie, ale niech pani pomyśli. O! Przepraszam, to Chris dzwoni. Zapomniałam go uprzedzić.

Wera wyjmuje telefon i tłumaczy łagodnie Chrisowi, co i jak. A ja myślę, że mogła się czuć z lekka winna, że nie dała rady. Gdy usiadła z powrotem, znów zaczęłam pytać:

– Czyli co, znów ta matma, chemia i fizyka?

– Trochę tak. To było bardzo odległe od tego, o czym myślałam. Mój tata jest takim, jakby to powiedzieć... biologicznym humanistą, człowiekiem ziemi. A ja nie. To znaczy jestem wegetarianką, kocham naturę, ale te studia to było kompletnie nie to.

– Wkurzyłaś się i wyjechałaś? – mówię jakby w jej imieniu.

– Pani, znaczy przepraszam, spieszycie się? – pyta Weronika ciepło i troskliwie.

Głupia jestem. Po lichu wybiegam przed szereg?

– Nie, to ja przepraszam. No to jak było?

– Byłam stłamszona tymi studiami i rozczarowana sobą. Nie umiałam w sobie znaleźć motywacji, pasji. No to mama zapytała mnie, widząc, co się dzieje: „Może odpoczniesz?”. Ale jak? Po pierwszym semestrze brać dziekanę? Zresztą wiesz, *sorry*, ja w sobie nie czułam tej biologii. Ja nic nie czułam oprócz rozczarowania i zmęczenia. Nie jestem chyba mocna psychicznie. No i wówczas rozmawiałam z wujkiem o tym i on mi opowiedział o córce, która mieszka poza Polską, bo też ją przyduśliło życie i praca w korpo. Pomyślałam wówczas, że czemu ja nie mam odetchnąć, skoro nie jestem jakąś supermenką? Ostatnie lata w liceum mnie wyflaczyły. Ja nie jestem szybka, jakaś wielka intelektualistka, ja to wiem...

Wierzę jej. Rozmawia ze mną powoli, robi przerwy, pije sok, zastanawia się, uśmiecha. Bez pośpiechu, bez emfazy. Miewałam już rozmówców, którzy tak szybko mówili, że nie mogłam potem w domu poradzić sobie ze skrótami myślowymi. Mówili szybko, bo myśleli szybko i chcieli nadażyć, ale się nie da. A ta młoda, śliczna panna jest stateczna, spokojna. Rozmawiamy długo. Antek wrócił, ale nie przerywał nam. Z daleka tylko zapytał na migi, ile jeszcze ma czasu, i poszedł sobie znów, nie wiem dokąd. Wera prosi Chrisa, by po południu po nią przyjechał. Może wtedy wpadną do naszego hotelu około wpół do dziesiątej na małego drinka, to i jego poznamy?

– Chętnie go poznam – mówię, jakbym była co najmniej ciocią Wery.

Żegnamy się serdecznie. Nie, Weronika nie chce autoryzacji. Mogę sobie zrobić z tym wywiadem, co chcę. Ufa mi. To miłe i zobowiązujące.

Odprowadzam ją na zaplecze hotelu. Weronika wsiada na rower z koszem na kierownicy i odjeżdża, machając do mnie. Ma kilkanaście minut jazdy do domu. Zdąży zjeść. Najwyraźniej nie chciała dać się zaprosić na obiad w hotelu.

Antka znalazłam w przyhotelowym ogrodzie botanicznym. W naszej stołówce obiad w ramach *all inclusive* właśnie się skończył.

– Chodź, zapraszam cię do restauracji w miasteczku.

Usiedliśmy w małej restauracyjce na patio. Zamówiłam talerz ryb dla dwojga i oczywiście porcję *papas arrugadas* z zielonym sosem, choć kelner zapewnił, że z rybami dostaniemy sos czerwony. Relacjo-nowałam spotkanie:

– Wyobraź sobie, że ona ma dopiero dwadzieścia lat!

– Wygląda na piętnaście. No i czemu wyfrunęła mamie spod fartucha? – pyta Antek z lekką kpina. – Zadarła z nią czy jest imigrantką polityczną?

– Raczej ze sobą. I nie kpij, proszę. Więcej szacunku, nie znasz jej.

– Przepraszam. Czekał, zamówię sobie piwo bezalkoholowe. Dla ciebie?

– Zwyczajne, lane, duże. Pić mi się chce.

Cóż poradzę, lubię się troszkę wysybarycić, zjeść coś ciekawego, mniej mi znanego, do tego w dobrym towarzystwie. Tu jest tak fajnie!

– Wiesz, że podobno jedzenie w pojedynkę to rzecz smutna? – pytam z wdziękiem słońca w składzie porcelany.

Antek patrzy na mnie i poważniejąc, mówi żydowską gwarą:

– Pan mnie to idziesz przedstawiać?

– Przepraszam, ja też to ćwiczylam wielokrotnie. Ale dalej ten psycholog w artykule mówił, że to dotyczy jedzenia obiadowego i że nie odnosi się do jedzenia słodczy.

– Nie miał racji – mówi Antek autorytatywnie. – Jedzenie w samotności w ogóle jest nefajne. Uświadomiłem to sobie dwa razy. Raz, gdy zostałem sam, ale jakoś to usprawiedliwiłem wyjazdem, emigracją, tym, że byłem po rozwodzie, wkurzony, zraniony ich zdradą, więc nietowarzyski.

– Ich?

– Mówiłem ci, żona i mój przyjaciel...

– A tak! Prawda.

– Każdy posiłek był smutny i nie smakował.

Przed nami wylądował wielki półmisek z grillowanymi rybami, langustynkami, mulami w lekkim winnym sosie w towarzystwie miseczek z *mojo rojo* i *verde*, bo obok leżały też ziemniaczki w mundurkach.

– A nasza śliczna Weronika? – dopytał mnie Antek albo udając zainteresowanie, albo może... był zainteresowany? Jeszcze go nie rozgryzłam na tyle, żeby poznać, kiedy żartuje. Czasem żartuje „na poważnie”.

– Ano właśnie. Nic jej z Polski nie wygoniło, jeśli to masz na myśli – odpowiadam. – Postanowiła się dogadać sama z sobą, bez presji. Powiedziała też: „Może ja jeszcze nie dorosłam?”. Pogadała w necie z ludźmi i zdecydowała się na urlop od życia w Polsce. Trafiała na pannę, która jej zareklamowała Fuerteventurę. Mama i tata poparli pomysł. Ona sama sądziła, że to będzie miesiąc, dwa. Znalazła w necie mieszkanie u tego Chrisa, ktoś dał referencje. I pojechała!

– Przyznasz, że to odważne, biorąc pod uwagę, że dziewczynka jest z dobrego domu i młodziutka.

– Tak. Mnie by na to w młodości nie było stać. Byłam zbyt nie-samodzielną, świat mnie przerażał. No i mieszkanie u faceta?

– Kochanie, świat mieliśmy za żelazną kurtyną. Pamiętaj, że to były czasy okropnej propagandy, nie mieliśmy paszportów. Że były granice takie realne, namacalne, ze szlabanem i celnikami, że nam wybebeszano walizki, jakbyśmy byli złodziejami. A że u faceta? Dzisiaj to chyba żaden problem. Przed wojną, panie święty, nie do pomyślenia!

– Chyba nie wszystkim?

– Co: nie wszystkim?

– No... wybebeszano.

– Prawie wszystkim. Do bratnich krajów trzeba było jechać z wkładką paszportową. Pamiętasz? I nie dało się wymienić pieniędzy na godziwe życie na urlopie.

Bałaś się, bo ten świat za granicami był ci nieznany, obcy. A dzisiaj? Młodzi surfują po sieci, mamy Schengen i na dowód osobisty albo paszport, stale leżący w gotowości, lecisz, dokąd chcesz.

– Z wyjątkiem krajów, w których obowiązują wize.

– No tak, ale poza Stanami taka wiza to pryszcz. Sama widzisz po Korei Południowej. Wylecisz na dzień do Hongkongu czy Tokio, wracasz i masz nową wizę na trzy miesiące! Miłe.

– Ale rokpoła i krakowskiej suchej nie mogę wwieźć.

– Nie marudźmy. To „szczegóła i detal”. Niedokuczliwy.

Grillowana dorada pyszna, langustynki pięknie poczyszczony i maczany w czerwonym sosie – bajka. A i mule smakowite, bo widać siekany czosnek i czuć białe wino. I tylko bułka zwykła, pszenna i puchata jak u nas. Szkoda, że nie chrupiąca typu ciabatta.

– No i co tu Wera znalazła? Opowiedz.

– Przede wszystkim pracę, bo zna dobrze angielski, i pokój u owego Chrisa. I to jest ciekawa historia. Jesteśmy z nimi umówieni wieczorem na drinka w naszym hotelu.

– Taaaaak? OK. Nie wiem, czy znajdę wspólny język z tymi dzieciakami. Gdyby się moja córka uwinęła, miałbym wnuczkę w wieku Weroniki.

– A nie uwinęła?

– Uwinęła się, ale późno. Mam ponoć wnuka, lecz Dominika unika mnie jak ognia.

– O, to przykre.

Na półmisku poniewiera się nieco resztek, a my czujemy się wręcz obżarci.

– No i co z tym Chrisem?

– Okazał się uroczym trzydziestolatkiem, który mieszka tu już od kilku lat i zmienił styl życia. Nawet tu, po wyprowadzce z Niemiec harował jak dziki, aż nagle trafiła go w samą głowę i serce idea *slow life*.

– Nie rozumiem, Marianno. Znaczący, pojmuję sens słów, ale idea na czym polega?

– Na zwyczajnym ZWOLNIJ. Nie musisz gnać, harować, umierać z przepracowania jak Japończycy.

– To z czego żyje?

– Z pracy, która nie wyniszcza, nie powoduje bezdechu, nerwicy i sraczki, że się spóźnię, że nie dam rady.

– Nie wierzę w te bzdety. Facet jest od tego, żeby zapewnić byt sobie i rodzinie.

– Jejka, to jasne, ale nie musi to być wyścig szczurów z odruchem zegarkowym i zadyszka.

– A jak inaczej?

– Właśnie tak, jak teraz żyją ów Chris i Wera, i wielu innych młodych ludzi. Pracują, zarabiają, ale też obniżyli wymagania.

– No to ciekawe...

– Nie ironizuj. Zarabiają na bieżące życie. Nie muszą mieć willi z basenem i dwóch samochodów, kilku drogich zegarków i nie wymieniają gadżetów co rok, bo są *démodé*.

– Ja też nie wymieniam!

Rozzłościło mnie to. Pierwszy raz jestem zła na tę ironię. A może bardziej cynizm?

Dowcip na siłę? Równanie cały czas do siebie? Czemu to robi? I zaraz przyszła myśl: „Bo jest taki, jaki jest, kochana. Ty też masz jakieś cechy, które być może go drażnią. Spokojnie”.

Milczymy. Antek woła kelnera, płaci za obiad i wychodzimy. Towarzyszy nam bezczelny gołąb domagający się poczęstunku. Choćby frytecunki, okruszka! Antek macha ręką. Gołąb odskakuje ciężki z przeżarcia i urażony. W pobliskim markecie kupujemy jakieś owoce i fistaszki. Może Tosiek lubi? Śmieczę, więc ja nie biorę tego nigdy do pokoju hotelowego, ale nic nie mówię.

W samochodzie Antek znów pyta jak gdyby nigdy nic:

– No dobrze. Czyli żyją sobie spokojnie i zarabiają jakieś minimum. Jak tam dalej się potoczyło?

– Okazało się, że ów Chris, owszem, wynajmie pokój, ale tylko na trzy tygodnie, bo coś tam. I Wera się zgodziła. Sądziła, że przez ten czas coś sobie znajdzie, choć w Costa Calmie podobno niełatwo.

– I?

– Domyśl się. – Uśmiecham się do Antka. – Może tu też wiał tajfun?

– No wiesz, to śliczna dziewczyna. Taka inna, subtelna, delikatna. Takie w mężczyznach budzą natychmiast uczucia opiekuńcze i w ogóle.

– No, coś w tym jest, bo Chris miał już sublokatorki, ale kobiety dość mocne, zdecydowane i takie... hej do przodu.

– O! Takie czasem kastrują nas samym swoim zachowaniem.

– No, ale co to znaczy?

– Marianno, nie łap mnie za słowa. Bywa, że kobieta jest tak ostra, pewna siebie i przez to agresywna, że nam zwyczajnie uszy kłapią.

– Uszy? No dobrze, bez szczegółów. Tak czy siak, Weronika o urodzie Bambi sprawiła, że Chris stopniał i że dzisiaj są razem. Mieszkają razem, dzielą się kosztami, każde z nich pracuje i żadne na razie nie zamierza niczego zmieniać.

Antek milczy. Wiem, że miele jakieś myśli. Wreszcie wątpi:

– Marianna, bez urazy, ale to troszkę dziecinada. A co będzie za rok, pięć lat?

– A pytałam o to! Weronika odpowiedziała niemal jak Scarlett O'Hara: „Pomyślimy o tym w stosownym czasie, podejmiemy nowe wyzwania, nowe decyzje. Na razie jest dobrze”.

Wysiadamy z samochodu, bo ostatnie zdania mówiłam już po wyłączeniu silnika, ale Tosiek siedział w aucie i słuchał. Cały czas widziałam też, że wątpi.

Odświeżyliśmy się w pokoju i poszliśmy na spacer – tym razem w prawo od hotelu i plaży za nim. Rozmawialiśmy o tym, co widzimy. Szliśmy niespiesznie, wdychając ciepłe powietrze. Postanowiliśmy zejść nad samiuskie morze minikotlinką. Dookoła nas niskie krzewiny z liśćmi i kolcami, kamienie i mnóstwo kompletnie niebojących się synogarlic. Usiadłam, bo Antek chciał mi zrobić zdjęcie. Do rąk wsunął mi garść fistaszków.

– Ja nie lubię – prychnęłam, lecz on już nastawiał aparat.

I już wiedziałam, po co mi te fistaszki. Ze szczelin w skałach wybiegły wiewiórki ziemne i dosłownie na mnie napadły. Doskonale wiedziały, że w zaciśniętej dłoni mam

przysmak. Wskakują mi na kolana, biegną wzdłuż ramienia i próbują rozewrzeć palce. Wreszcie chwytają skarb i już ich nie ma!

– Daj jeszcze! – wołam do Antka i zabawa trwa w najlepsze. Obok chodzą synogarlice, naburmuszone i chyba przejedzone.

Jest urocze popołudnie. Na kolację specjalnie nie mamy jeszcze ochoty, więc robimy porządny spacer brzegiem morza. Jest lekko, przyjemnie, nadto ciepło i bezwietrznie. Odciskamy ślady stóp w mokrym piasku, Antek też zdjął sandały. Nie nosi skarpet, ma zadbane stopy, jaki plus! Pod ciekawym nawisem skalnym całuje mnie czule i się uśmiecha. Co za słodycz, co za kicz! Kiczu, trwaj jak najdłużej! Mijają nas pary w różnym wieku, ale przewagę stanowią tacy jak my. Starsi panowie z miłymi starszymi paniami też idą, trzymając się za rękę. I gdy zwracam na to uwagę Antkowi, on odpowiada w swoim stylu:

– Prawda, ale spójrz na nich. To faktycznie dojrzały ludzie, niektórzy w naszym wieku i starsi. Musieli jakoś zarobić na taki wyjazd. Oni nie prowadzili *slow life*. Mieszkańcy hotelu też raczej nie żyją powietrzem. Są młodzi i dojrzały, ale wszyscy chyba pracują tyle, żeby odłożyć nie tylko na podróż i hotel, ale i na dobrą, zasobną egzystencję.

– Masz rację. Ale może też jest tak, że przychodzi taka chwila, w której trzeba przyspieszyć? Albo zwolnić. Wybór należy do nas. Pieniądze, jak wiesz, szczęścia nie dają, ale prawda też, że wiele ułatwiają.

– O! Kiedyś się o to skłóciłem z moją córką. Dominika zarzuca mi zbyt duże skupienie się na zarabianiu. W naszych czasach, gdy ona była mała, młodzieńca, myśmy się uczyli życia, brania spraw we własne ręce. Ona często szafowała słowami matki „pieniądze to nie wszystko”, ale i tak każdy rachunek trafiał w moje ręce. Każdy debet na ich karcie uzupełniałem ja. To do mnie kierowały pretensje o wakacje, że przecież Dominika nie będzie ich spędzała na Mazurach, jeśli koleżanki jeżdżą z rodzicami – albo później na studiach z kolegami – do Grecji czy do Włoch. „Tato, DAJ!” Mieszkanie za małe. „Tato, kup większe, a najlepiej może willę? Segment?” Kiedy wyjechałem, żeby zarabiać w euro na te wszelkie „tato, noooo!”, moja żona poszła w tango z moim kolegą i rzuciła mi w twarz: „Pieniądze to nie wszystko”. Ja wiem, ale miłość, choćby nie wiem jak wspaniała, musi gdzieś żyć, coś jeść, czymś jeździć i mieć czym opłacać rachunki. Zgadza się?

– Tak – odpowiedziałam sucho, bo poczułam ukłucie.

Fakt, że Mirek zarabiał zawsze więcej ode mnie, ale wówczas mieliśmy naprawdę świetną sytuację finansową. A dzisiaj... sypnęła się moja praca i za diabła nie wiem, jak wyjść na swoje, na prostą. – Ej! – Zatrzymał się i wziął mnie za obie dłonie – Nie turbuj się. Poradzisz sobie, a ściślej: poradzimy, bo jesteśmy razem. Razem – powtórzyl i potrząsnął nimi.

Na końcu języka miałam pytanie: „Czy to oświadczyny?”, ale zahamowałam. Głupia. Czemu ja z mety tak reaguję? Werę też zapytałam, czy Chris to jej ukochany, czy zamierzają razem budować przyszłość, i zobaczyłam w jej oczach niedowierzanie. „Przyszłość?! – zapytała zdziwiona. – Dzisiaj to jest dzisiaj. Ja jeszcze widzę to dzisiaj i mam plany na jutro, ale dalej nie. Po co? Za młoda jestem na różne tam «na zawsze»”.

„A Chris?” – zapytałam. „Chris też. Był w jakimś zawiłym związku i teraz luzuje. Chyba jestem dla niego ważna, bo mi to okazuje. Jest szarmancki, czuły, troskliwy”. Nie pytałam dalej. Myślę, że chyba go kocha, bo kobiety szybko się zakochują – zwłaszcza dwudziestoletnie.

Wieczorem się zobaczymy, to ocenię, jak jest między nimi.

Młodzi...

W drodze powrotnej opowiedziałam Antkowi o Kasi i jej przygodzie w Paryżu, o starym arystokracji Saszy. Rozmawialiśmy o zaufaniu kiedyś i dzisiaj. Nie dziwił się.

– Ty też mi uwierzyłaś!

– Antek, to nie takie dzisiaj łatwe i proste. Pomyśl, kiedyś, przed wojną Melchior Wańkiewicz wysłał córki same na wypad po... Euro-pie! Rowerami! Panny miały noclegi w młodzieżowych zajazdach prowadzonych przez uczciwe małżeństwa. Ci „rodzice” pełnili tam nie tylko funkcję hotelarza, ale też ojca, matki i przyzwoitki. A dzisiaj? To nie do przeprowadzenia. Nikt już nikomu nie ufa.

– To prawda. Kobiety mają z tym problem – westchnął i chyba chciał zakończyć temat. Nie był zadowolony, że idziemy na drinka z Weroniką i Chrisem.

– Skoro nie chcesz, to idź do pokoju, na spacer... – próbuję mu wyjść naprzeciw.

Oburza się i udaje, tego jestem pewna, zainteresowanie. Po co to? Nie wiem, ale tak właśnie robi. Mamy mały zgrzyt.

Na patio barowym masa ludzi. Siedzą, piją bezpłatne drinki. Spory kwartał. Zestawione stoły i zabawa w bingo. Starsi ludzie, głównie Niemcy, bawią się doskonale. Są zadowoleni i pod-dają się atmosferze. Obsługuje ich para młodych Hiszpanów. Robią to świetnie – mają w zanadrzu masę szpasów. Antek ma skwaszoną minę. Próbuję rozgonić ten krytykancki nastrój, ale pierwszy raz widzę, że ma muchy w nosie i nie umie tego ukryć. OK. Milknę. Czekam na moich młodych znajomych. Wreszcie są. Chris uroczy, młodo wyglądający jak na trzydziestolatka, który ponoć ma za sobą szybkie i wyczerpujące życie w Bonn. Ładnie, choć z błędami, mówi po polsku.

– Ja się urodziłem we Wrocławiu i mieszkałem do dziewięć lat. I potem rodzice wrócili do Niemiec i już tam się uczyłem i studiowałem. A potem *hard work!* Korporacja i tylko patrzałem na zegarek i na zegarek! I szybko, szybko, dużo, mocno! I kilka lat temu ja przyjechałem na Fuerteventure. Byłem *freelancer*, robiłem zdjęcia i nadal szybko, szybko, dużo. Tak nie można. I raz zgubiłem zegarek. I już go nie potrzebowałem! Bo ja przed tym każdemu nowemu znajomemu mówiłem, że nie mam czasu! Na surfing – nie mam czasu, na kąpiel w morzu – nie mam czasu, na wycieczkę na Lanzarote – nie mam czasu! A jak zgubiłem ten zegarek, to mi znajoma powiedziała: „Ty chcesz nie mieć czasu”. I zacząłem myśleć, że ja tak będę biegł, aż do napisu „Finish”.

– Co zmieniłeś? – zapytałam.

– Trochę tylko. Mniej pracuję. Mniej zarabiam, ale po co mi „dużo zarabiam”? Mam mieszkanie, jest tu pokój dla Weroniki, jest do życia wszystko. Mam jedzenie, mam czas dla siebie, dla Wery i widzę życie dookoła. Czuję je.

– Nie chcesz wracać do Niemiec?

– Nie, nie, nie.

Weronika patrzy na niego wielkimi brązowymi oczami, uśmiecha się i wtrąca:

– Pokłócił się ostatnio...

– Z kim? Z rodzicami?

Chris spogląda na Werę z uśmiechem chłopca i objaśnia mi:

– Oni na mnie robią wpływ. Oni mnie porównują z bratem. On pracuje mnóstwo

czasu, nie ma chwili dla dzieci, żony, ale za to ma dom, ogród, samochód, ogrodnika i Ukrainkę do sprzątnięcia. Sam nie robi w ogrodzie i w kuchni, i z dziećmi. To jest nienormalne! To po co on żyje? Dla... *Herzinfarkt?* Ja mam czas, żeby czytać, jechać, oglądać, czekać z lunchem na Werę i z kolacją, i jeszcze żeby iść potańczyć, i pływać. I jakbym chciał, to śpiewać. Ha, ha, ha! Ja źle śpiewam, to żart był.

– *Slow life?* – pytam.

– *Oh, yes!*

Zwracam się do Weroniki:

– A tobie to pasuje?

Wera myśli. Nie umie odpowiedzieć z mety i to mi się podoba. Nie mówi nic po to tylko, żeby się przypodobać Chrisowi. Myśli. Antek wtrąca:

– No, ale trzeba coś więcej, niż tylko mam co jeść i gdzie spać!

Chris się uśmiecha.

– Piękna willa, samochód, basen? Konto w banku? – Widzę, że Antek się chmurzy, a Chris kontynuuje: – Mam ładne mieszkanie, choć bez basenu. Mam samochód, choć dziesięcioletni, ale i rowery mamy i deskę surfingową i uczę się kitesurfingu. A jak będę chciał coś jeszcze, to sobie na to zapracuję. I Wera chyba też tak myśli, co? – Zwraca oczy ku Werce.

Ona znów się uśmiecha. Trochę jak Kot z Cheshire. Spogląda na Chrisa, a potem na mnie.

– Ja na razie mam wszystko, co mi jest potrzebne. Pracę, pieniądze i dom, i... Chrisa. To jest naprawdę dużo. Nigdzie nie gnam, nie czuję, że kogoś zawiodłam, że coś muszę, bo „to jest powszechnie przyjęte”. Za jakiś czas zapewne pomyślę o nauce. Nauka daje szersze perspektywy.

– I możliwość lepszego zarabiania – wtrąca Antek.

– No... tak – mówi wyraźnie skonfundowana. – Ale nie do końca w życiu chodzi o forszę.

– A o co? – pyta Antek.

– Żeby żyć! Żeby to życie widzieć, czuć – kończy Wera.

Żegnamy się. Widzę, że z Antkiem dzieje się coś dziwnego. Jest rozczarowany, chyba zagubiony wobec tej dziwnej filozofii młodych ludzi.

Bierzemy do pokoju wino, bo wiem, że jeszcze pogadamy.

– Co ci jest? – pytam.

– A, chyba za stary jestem, żeby się ekscytować tym „wolę życie”. Co to jest za tekst? Gdybym ja tak myślał, to nie mielibyśmy porządnego mieszkania, wakacji w Grecji, żona samochodu, a Dominika porządnym kursów angielskiego, tańca i rehabilitacji po operacji kręgosłupa!

– Ale wybacz, Tosiek, że to powiem, i tak twojej żony te pieniądze nie utrzymały. „Wolała życie”. Dominika też cię jakoś nie obdarza wdzięcznością. A dzisiaj... to zupełnie inna sytuacja. Twój zawód nie daje szansy na wolniejsze życie. Albo jesteś kadłubowcem, albo fora ze dwora. Harowałeś, masz pieniądze na koncie i dopiero teraz

myślisz o tym, żeby za nie trochę pożyć.

Milczy. Niemal słyszę, jak mu pracuje twardy dysk. Wreszcie mówi:

– Racja. Klasyka. Kiedy już są pieniądze, to jestem stary i samotny. – Zaraz się zmiętygował i wziął mnie za dłoń. – Już nie samotny, mam nadzieję. Przepraszam, ja nie umiem się odnaleźć w świecie młodych. Za moich czasów mówiło się: „Ucz się i pracuj”. W do-myś-le: „Tylko wykształcenie i praca dadzą ci lepsze życie”. I jakoś nie umiem od tego odejść.

– No to stara dyskusja i właściwie okropny truizm, ale pieniądze to nie wszystko.

– Taaaa... – mruknął zamyślony, a ja dodałam, żeby jakoś rozładować napięcie:

– Są jeszcze akcje, obligacje i biżuteria!

Ale nie zdmuchnęłam tych chmur z jego czoła. Cały czas myśli, jest odległy.

W łóżku leżeliśmy, dotykając tylko swoich rąk. Czasem tak bywa, że całkiem niewinna sytuacja, sprawa jest dla kogoś poruszająca, a dla nas... żadna. On to chyba jakoś przeżywa, że jesteśmy tak inaczej ukształtowani niż młodzi lubiący *slow life*. Prawda, czegoś takiego właściwie nigdy nie było. Ale czy na pewno? Myślę, że kiedyś bohema paryska czy angielska z początków dwudziestego wieku żyła właśnie tak, choć pewnie nie z wyboru, tylko prostego ubóstwa. Żyli, tworzyli, pili, palili... Jednym się udało, innym nie.

Nie pcham się z czułościami i przytulaniem. Chyba on sam musi to... odleżeć, przemyśleć. Odwracam się na bok, chwilę gapię w niebo za oknem i zasypiam. Przez sen czuję pocałunek w kark. OK. Jest dobrze. Jakaś czuła struna została poruszona. To nic, to nic...

Rano Antek nie wraca do spraw wieczornych. Obejmuje mnie mocno i milcząco. Idziemy na śniadanie przez zewnętrzny balkon. Na wysokości oczu mam czubki palm i siedzące na liściach synogarlice.

– Będzie piękny dzień – rzucam radośnie. – Co wymyślisz na dzisiaj, kapitanie?

Uśmiecha się, zatrzymuje, znów mnie przytula i szepcze:

– Dziękuję ci.

– Ale że no so? – żartuję Lilkowym językiem.

– Że się nie obrażasz – komunikuje krótko.

Na sali znajdujemy miejsce niedaleko wielkiego otwartego okna. Świeży powiew oceanu porusza firanką. Oceanu, który powinien się nazywać Najspokojniejszy.

Każde z nas przynosi sobie talerz z dobrociami, kawę i już widzę, że Antek znów niesie szampana – tym razem pół na pół z sokiem z mango. Nic nie mówi, stukamy się kieliszkami i ja widzę w nim jakąś wewnętrzną radość. Ulgę. Nie wypytuję. Głędzimy o tym, co by tu robić dzisiaj, plażować czy jechać i patrzeć na księżycowy kraj-obraz wyspy. Jednogłośnie wybieramy oglądanie.

– Plaża nie? – próbuje zagadywać Antek.

– Za stara jestem na opalanie – mówię zwyczajnie. – Poza tym nie lubię, to nudne. Nie zaprzecza. Patrzy na mnie i bierze moją rękę. Oj, powie coś ważnego...

– Maniu, Maryniu, ja przepraszam. Byłem wczoraj obcesowy i wiesz, tak

zasadniczo to nie mam wytłumaczenia. Poczekaj. Nie przerywaj mi. Poczuję się stary. Tak naprawdę stary, bo to, że nie lubisz opalania, nie oznacza starzenia się, to kokieteria, miła pani. Ja kompletnie nie zrozumiałem tych młodych. Zachnąłem się... wkurzyłem na te jakby jednak brednie! Że niby pieniądze, praca się nie liczą? A ich przyszłość, stare lata? Choroby? A podróże? To wszystko wymaga pieniędzy! Ale z drugiej strony ja tak właśnie wychowany, w etosie pracy, dałem się zagnać w kierat. Tylko że ja nie miałem wyboru. Dla naszego pokolenia pieniądze oznaczały wolność.

Słuchałam, nie wchodząc mu w słowa.

– Studiowałem w naprawdę ciężkich warunkach. Chłopiec z małego miasteczka, bez pomocy rodziców... Prawie bez pomocy. Coś tam dosyć, ale chodziłem wiecznie głodny i fatalnie ubrany. A oni, młodzi, mają dzisiaj wszystko! Są syści, żeby nie rzec: przekarmieni, mają najnowsze gadzety. I nagle okazuje się, że wystarcza im lekka praca, małe mieszkanko i mają choćby tu, na Fuerteventurze... raj. To czy moja harowa, moje zapracowane życie, odkładanie, oszczędzanie nie miało sensu?

Milczy. Jest poważny. Obok nas przy okrągłym stole rechot i głośne rozmowy po polsku. Towarzystwo czymś rozbawione zachowuje się, jakby było tu samo. Wstajemy. Uciekamy stamtąd nieco zawstydzeni ziomkami.

– Antek. Oni dzisiaj żyją inaczej. Nasi ojcowie, dziadkowie walczyli o wolność. Młodzi z Warszawy złożyli najwyższą daninę, swoje młode życie. Inni marli w obozach, jeszcze inni na frontach. Gdyby stanęli tu obok nas i zobaczyli, jak pijemy szampana na śniadanie, to jak sądzisz, poczuli by niesmak czy jednak radość?

– Nie wiem. Dobre pytanie – odparł. – Poświęcili się, ale po to, żebyśmy byli wolni, budowali swoje życie na wolności, rozwijali się. I właśnie to robiliśmy, z problemami, ale robiliśmy.

– Może ten nasz pobyt tutaj, to objadanie się pysznościami, picie rano szampana w cenie uznaliby za zdziczenie? Sybaryctwo? To masz na myśli?

– Nie. To przesada... Ale coś w tym jest, że wczoraj stałe myślałem o tym, że ten Chris zrezygnował z tego, co dla mnie, dla mojego ojca, dziadka było normą – z ciężkiej pracy, pomnażania dóbr w miarę możliwości. Dla mnie to stanowi o mojej wartości! To, że mogę teraz, na stare lata konsumować z tobą oszczędności i owoce tej pracy.

– A on konsumuje już teraz. Nie będąc starym.

Milczy, ale już nie poważnie, nie gniewnie.

– Czyli co? Marudzę?

– Chyba tak, mój stary przystojniaku.

Przytulam się do niego. Jesteśmy już w naszym pokoju. Antek kołysze mnie w uścisku i mruczy:

– Przystojniaku? Podobam się pani, pani Marianno, mimo wszystko?

– Mimo co?

– No, mimo że zamarudziłem, że zepsułem nam wieczór. Przepraszam.

Od buziaka przechodzimy do pocałunku. Jest coraz namiętniej, czulej. Och tak! Chciałam tego, tęskniłam! Nie mamy po dwadzieścia lat, wiem, że Tosiek musiał odpocząć po długim locie, a wczoraj... nie wyszło. Ale teraz? Tak, tak, tak! Uwielbiam te wielkie hotelowe łóżka! Można na nich w każdą stronę – wzdłuż i w poprzek. Nie

krępuje mnie nic. Jest rano, dopiero co się wyprysznicowałam, on też. Z lekka zwalniamy, rozbieramy się najzwyczajniej, nie tak jak w filmach, na których aktorzy zdzierają z siebie ubrania i zachowują się jak zapaśnicy. Nie, nie z nami te numery! Po pieszczotach – bardzo jednoznacznych – nie mam zamiaru rozbierać go ze spodni i czekać, aż skuma, jak mi się rozpina stanik. Żadne z nas nie skacze w na wpół zdjętych ciuchach. Powoli, mamy czas. Nie ma kamer i świateł, to nie film. Na rozgrzanie się potrzebujemy więcej czasu, czułości i na dalszy ciąg też.

Kiedy już zdyszani osiągnęliśmy to, co było do osiągnięcia, ze zgrozą zauważyłam... otwarty balkon, a one są połączone. Od jakichś sąsiadów oddziela nas tylko cienka przegródka! Wskazuję Antkowi na to i parskam śmiechem.

– No co? – mówi mój kochanek zaróżowiony i zadowolony. – Niech zazdroszczą! I jakby też na złość słyszymy pukanie do drzwi.

– *Little bit later, please!* – woła Antek.

Znów parskam śmiechem. Parskamy. Razem. Znów jest świetnie. Leżymy nadzy na skotłowanym łóżku. Jeszcze trochę czułości i pytam:

– Co dzisiaj w planach, szanowny panie? Zagoniłeś mnie do łóżka, super, ale ja się dopraszam atrakcji!

Wstajemy. Na wprost nas jest wielkie tremo. Milkniemy. Gapimy się na siebie. Nagle mówię, cytując Łobaszewską:

– „Brzydka ona, brzydki on”...

– A mówiłaś, że jestem przystojniakiem – droczy się Tosiek.

Odchodzę sprzed lustra. Idziemy do łazienki.

Posmutniałam, bo zobaczyłam siebie: sylwetkę z krągłościami, rozczochraną już nie tak rozkosznie, jak to bywa u nastolatek. Fala wstydu dopadła mnie pod prysznicem. Owinięta ręcznikiem trafiłam wprost w ramiona Antka.

– Marianno. Piękni i młodzi już byliśmy. O, zobacz, mam takie chude łydki, siwy pysk i zmarszczki jak cholera. I łono siwe. Zaraz... Łono? Znaczy, wiesz, zarost TAM. Nie wiem, co ci się we mnie podoba, ale myślę, że jest coś, co łączy ciebie i mnie. Nie każ mi uprzejmie kadzić ci, że jesteś śliczniutka i tym podobne, bo chyba też nie o to ci chodzi. Najszczerzej: dobrze mi z tobą. A w łóżku płynę! Uwielbiam tę robotę z tobą. Dzięki tobie świat stał się fajniejszy, nie martwmy się upływem czasu i uciekającą nam urodą, co?

– OK. Chodźmy już zaliczyć tę surową wyspę, mój... ukochanku.

Gdy wyszliśmy z pokoju, jacyś sąsiedzi, młodszy od nas ludzie, opuszczali swój. Spłonęłam i spuściłam wzrok. A oni najzwyczajniej się przywitali angielskim:

– *Hi, guys!*

Ich twarze uprzejmie nie zdradzały niczego. Angielska powściągliwość i elegancja. Uffff.

Dzień był wspaniały! Ciepło, bezwietrznie i ciekawie.

Wyspa faktycznie wielka jak... chusteczka do nosa. Można ją objechać przed południem całą, a po południu jeszcze raz. Dwie znakomite drogi z północy na południe i wiele mniejszych, wiodących do miasteczek i osad. Bajeczne wybrzeże po stronie otwartego oceanu – jakże inne niż to spokojne od lądu. Znów odpuściliśmy obiad w hotelu i zjedliśmy pyszne ryby nad samiuśkim oceanem w osadzie wyglądającej nieciekawie – ot, kilka kontenerów przerobionych na domy, kilka chat z gliny wybielonych i... trzy knajpy. Jedna zamknięta. Mała plaża nad tym wzburzonym morzem i ten nie-zwyk-ły kontrast – białe grzywy spienionej wody i... czarny, błyszczący wulkaniczny piasek. Nie brudzi. Jest czarny niebrudzący. Jest sypki i miękki jak białe piaski nad polskim morzem. Tylko czarny!

Antek śmiał się, gdy napchałam go sobie do kieszeni kurtki i zasunęłam suwak.

Potem dalej w drogę węzowatą trasą pod górę, żeby nagle stanąć w punkcie widokowym i jęknąć z zachwytu. Po prawej w oddali ogromne cielska gór, potem łagodne stoki ciągnące się aż do szerokiej, złocistej plaży. I to nieskażonej żadnymi hotelami aż po wielce odległy cypel. Dziko i pusto. Pięknie.

Wracamy powoli. Ja proszę Antka o przystawanie, bo chcę cyknąć drobiazgi, choćby kozę pasącą się pośród hektarów kamieni, niemal niezauważalną z powodu koloru sierści i otoczenia. Co ona tu je? Jakies suchorośla, badyłki z kilkoma listkami, kaktusy. A co pije? Nie widać nic, żadnego strumyczka.

– Pewnie u podnóża coś się znajduje. Jakaś wilgoć jednak skrapla się nocami i spływa z tych gór. Ona wie, gdzie szukać. Wsiadaj, bo tu nie można stać.

Miasteczka maleńkie, gorące, senne. Widać, że turystyka tu rządzi, bo na dziesięć domostw jest pięć restauracji, barów i kawiarni. Znów widzę czarne gumowe węże z wodą koło każdej palmy, kwietnika z agawami, nie mówiąc o domostwach z bugenwillami i ogródkami warzywnymi zacienionymi przez siatkę. W takim słońcu pietruszka uschłaby na proszek. Potrzeba specjalnych starań, żeby mieć ogródek z szałwią, pietruszką i rozmarynem. Pomidory? Ogórki? Zacienione, wilgotne szklarnie – to kosztuje. W dzikich ostępach świetnie sobie radzi opuncja. Tu jest... zima, więc nie spróbuję jej owoców.

Wieczorem hotel, kolacja bardzo owocowa i zakąskowa, bez gorących potraw i frytek. Obok nas znów gwarne polskie towarzystwo przy okrągłym stole. Zapomniałam, że sobie upodobali właśnie ten punkt. Przyglądam się im. Jest wodzirej. Facet wygląda na króla życia. Zamożny – to widać po ubiorze. Nadto Antek, zmuszony do zwrócenia na nich uwagi, ocenia zegarek na „O, no, no”. Znaczący drogi.

– Zegarek Nowaka to przy nim pikuś – żartuje.

Żona pana też wiezie prym. Jest duża, opalona i pobłyskuje biżuterią. Reszta towarzystwa to chyba rodzina. Zachowują się podle. Jak w stadzie wobec samca alfa. On rzuca dowcipami albo robi wykłady o ekonomii. Ona też pewna siebie i dość władcza. Rodzina zaśluchana, potakująca. Obok dzieci – znudzone i serwujące sobie kolejne słodczyce i lody.

– Patrz – mówi Antek – na nich i na tamtych tam, koło słupa. On, ona i córki – obie pulpety. Boże, czy rodzice nie umieją nad nimi zapanować? Cola do oporu, frytki, lody i ciastka. A potem rozpacz, bo panny czują się brzydkie i niezdarne, a chłopcy nie

podbiegną nawet kilku kroków. I pójdą ciężkie pieniądze na odchudzanie.

– To problem świata, nie tylko Polski. A tamte panny to też z Polski?

– Tak. Przechodziłem i słyszałem naszą mowę. Tu w ogóle połowa to Polacy.

Reszta to Niemcy, ciut Skandynawów i Anglicy.

– Tamta para to Hiszpanie.

– Dla nich Kanary to jak dla nas Międzyzdroje, żadna atrakcja.

Idziemy na spacer do miasteczka. Chcę z bliska zobaczyć uliczki i może domy mieszkańców.

– W sensie, że autochtonów? To chyba musimy skręcić tam, za rondo. Tam jest osiedle niewyglądające na domki pod wynajem.

Spacer potrzebny. Powietrze nadal ciepłe, mimo że wieczór. Nad nami gwiazdy i liście palm. Mijamy bielusińskie osiedle domków na wynajem. Szeregowce. Przed nimi świetne samochody. Ktoś wynosi śmieci, pachnie grill, dalej kawiarenki pełne ludzi. A my idziemy przed siebie. Przechodzimy wielkie rondo i kierujemy się do osiedla, które nie jest hotelową oazą. Tu mieszkają wszyscy ci, którzy obsługują hotele. To – jak nam powiedziała Natalia z recepcji naszego hotelu, też Polka – zazwyczaj Hiszpanie, Hiszpanki, ale też Rosjanki, Ukrainki, Polacy. „Taka wieża Babel” – jak to ujęła.

Tu też szeregowce, ale większe, i ulice przejezdne. Samochody parkowane są w garażach. Latarnie, miniogródki, wiszące prania i śmietniki. Gwarniej. Dzieciaki na deskorolkach i rowerach. Inne życie niż koło hotelowych domeczków o wymyślnej architekturze.

Wracamy lekko zmęczeni całym dniem, ale i pełni wrażeń. Idziemy, trzymając się za ręce. Już w Korei to był zwyczaj, że Antek zawsze sięga po moją dłoń. Najpierw myślałam, że nie chce, żebym się zgubiła, ale gdy go zapytałam, odparł zwyczajnie: „Lubię tak”. I ja lubię. Zresztą tyle tu starszych siwowłosych i też chodzą za rękę. Próbuje sobie przypomnieć polskie ulice, sklepy – u nas to jednak rzadkość. U nas się tak nie okazuje bliskości.

Ostatni dzień to też jazda na północ, żeby zobaczyć nadmorskie miasteczka. Weronika uprzedziła, że każde jest inne. Dawna sto-lica Betancuria – klimatyczna, ciasna, malusińska. Piechotą z krańca na kraniec to piętnaście minut! Stare kościoły, strome uliczki, domki jak dla lalek, parterowe, tylko w części centralnej z piętrem. Masa knajpek. Tu zjedliśmy w niezwykle urokliwej restauracji z kapitalnym patio pełnym starych przedmiotów i ze stołami każdym od innej matki świetną potrawkę z kozłęciny. Żal mi Antka, kierowcy – takie dobre wino tu dają! Potem na wybrzeże do Ajuy o śmiesznej dla nas nazwie, bo j czyta się tu jako h, i El Cotillo. To drugie miasteczko jakby w budowie, o nowoczesnej linii domków i ulic z absolutnie bajecznymi plażami. Szerokimi, z wodą jak lazur i z kompletnym brakiem toalet!

– Co za idiotyzm, patrz! Nawet tu napisali, że z WC korzystać nie wolno i psów wprowadzać nie wolno, i hałasować nie wolno, i czego jeszcze nie wolno? Ludzie jedzą i piją, więc też wydalają! Ja rozumiem, że można się wysiusiać do oceanu, ale reszta? A jakież przebieralnie? No to Korea u mnie punktuje za to właśnie. Ta plaża to jest gigant! To są jakieś hektary! Kilometry kwadratowe piachu i nic? Żadnej toalety? Zwariowali?

– Tak? No patrz, nie zwróciłem uwagi. Faktycznie! Czyli dobrobyt rozpieszcza, bo

już nie zauważam tego na koreańskich plażach, a przecież racja, są toalety, czyste i bezpłatne, knajpki i przebieralnie.

Ruszyliśmy jeszcze zobaczyć Corralejo, które jednak mnie nie zachwyciło. Tak, niestety, mogą wyglądać tu miasta za dwadzieścia lat... Ogromna arteria handlowa przez całe miasto i hotel na hotelu, domy pod wynajem. Ludzi zatrzęsienie i zero klimatu.

– Takie... mini-Hawaje. Wiedziałem, że ci się nie spodoba – skwitował Antek.

Wracamy niespiesznie, specjalnie wybierając interior. Mało samochodów, pustawo, bo już wieczór blisko. Kapitalne pomarańczowe palmy od zachodzącego słońca na stokach wulkanów, na pustkowiach.

– Księżycowy krajobraz, co? – pyta Antek.

– Tak, i chyba takie pustkowia lubię najbardziej. Pensjonaciki, puste drogi, poznawanie prawdy o takim miejscu, czyli zagłębienie w zakamarki.

– No to przepraszam, ale na Bali też będziemy w luksusie, bo tanio było, to i zamówiłem hoteliszczę nazywane resortem. Zresztą ludzie mówią, że pensjonaciki to loteria. Można trafić świetnie, ale można też załapać się na wielonogich gości w pokoju, a ty chyba nie polubiłabyś ich, co?

– Robali? Nie. I jednak ciepłą wodę poproszę. I niekoniecznie pięć gwiazdek.

– Przepraszam. Nasz hotel ma pięć. I jest nieco podobny. Też centralny budynek z recepcją i masa bocznych w kierunku morza, i wszędzie otwarte loggie, krużganki. Ciekawa architektura. Kolonialna. Na zdjęciach bajka! Chciałem cię ucieszyć. Chciałem... no wiesz.

Całuję go w skroń, bo wciąż jedziemy samochodem. Rozglądamy się i przysięgam mu, że się cieszę. Bo i prawda, cieszy mnie ten wyjazd i ten zachód słońca, i jego ciepłe dłonie, i uśmiech, i to, że mogę wskazać mu tę wielką przestrzeń, położyć głowę na ramieniu i westchnąć: „Fajnie, co?”.

Jutro czeka nas długa podróż. Najpierw stąd do Madrytu, a stamtąd już na Bali przez Dohę. Dwadzieścia cztery godziny w podróży. Aaaaa!

Bali

Budzę się. Jest jasno. Leżę tuż za plecami Antka na prawym boku. Nie wiem, która godzina. Otwarty balkon, lekka firanka nie porusza się wcale, a ja czuję, że na zewnątrz jest bardzo ciepło, bezwietrznie i że jestem w innej bajce.

Nie ruszam się, bo słyszę, że Antek jeszcze mocno śpi. Oddycha głęboko i równo. Ma prawo być zmęczony. To była długa podróż. Swoją drogą to jest jednak techniczny cud, że taki wielki metalowy i ciężki samolot unosi się w powietrze i leci, leci, leci... Powinniśmy się wszyscy bać. Tyle strasznych katastrof! Ale rozsądek nakazuje spokój. Inaczej umarłabym ze strachu, wpadła w histerię. Wyobraźnia umie podsuwać okropne scenariusze. Tylko po co? Właśnie to mi powiedział Tosiek na lotnisku w Madrycie, gdy już zdyszani stanęliśmy przy naszej bramce: „Ludziska kochają sensację i wzajemne straszenie się. Kobiety straszą jedną drugą porodem, nakręcają się takimi, co by było gdyby... Po lichu? Nie lepiej wierzyć, że będzie świetnie?”. Miał rację. Mówił to dobrotliwie, całując mnie w nos i w oko.

Z Fuerteventury wylecieliśmy około południa. Lądowanie o szesnastej czterdzieści w Madrycie i potem pędem szukać naszej bramki, bo lot do Dohy był dokładnie za godzinę.

Bramka najważniejsza. Mieliśmy jeszcze troszkę czasu, więc siusiu i porządny hamburger z piwem. Obiad na pokładzie będzie dopiero za godzinę, a nam już piszczało w brzuchu, bo w Puerto del Rosario na lotnisku w południe nie byliśmy głodni. W samolocie kanapki z serem nie wabiły. Nie kupiliśmy.

Teraz powolutku wysuwam się spod okrycia. Nie jest to kołdra. Tu na Bali w hotelu panuje styl amerykański – prześcieradło i gruba narzuta frotté, miękka i kolorowa. Tosiek przewraca się na plecy i coś mruczy. Zaraz biedak zacznie chrapać. Miewa bezdech, więc powinien spać na boku.

Na paluszkach idę do łazienki. Nie mam niczego rozpakowanego. Śpimy nago, szlafroczek jest w walizce, a otwierając ją, obudzę go, więc owijam się wielkim ręcznikiem i idę na balkon. Wczoraj wlas-ciwie niczego nie widzieliśmy. Po małej kolacji takiej na szybko po prostu walnęliśmy się po prysznicu spać, jakby kto rzucił do łóżka dwie kłody.

Z szafki biorę buteleczkę wody mineralnej. Siadam w wygodnym, niskim i rozłożystym fotelu, tapicerowanym pomarańczową materią. Przede mną kojąca oczy zieleń bujnej roślinności równikowej. Na dole widzę trawnik, ogrodzenie hotelu, a za nim park? Las? Przypominam sobie, że zmienialiśmy pokój. Byliśmy zmęczeni, mimo to zmienialiśmy, bo Antek zamawiał z widokiem na zewnątrz, a dostaliśmy taki z oknem i balkonem na wewnątrz resortu – baseny, restauracje i w dali gdzieś być może morze. Spałam na stojąco, pod powiekami piach, nogi z miękkiej gliny, a ten wydziwia. Ale przyznaję – warto było! Z balkonu widzę teraz korony drzew i palm. Jestem na Bali! Patrzę na gałęzie i nagle widzę barwną wielką papugę. Zastygam. Takie rzeczy tylko na kanale geograficznym w telewizji!

Przylatuje druga papuga. Mizdrzą się do siebie.

Wspominam sobie lot do Dohy. Z lekka męczący – siedem godzin. Na szczęście na pokładzie urocza obsługa odgadująca migiem nasze pragnienia. Picie, soki, wino, piwo, woda? Proszę bardzo! I wreszcie ciepły posiłek. Zjadłabym miskę domowego rosółu, ale pochłaniam to, co dali. W samolotach chyba jednak zup nie serwują. Za to piliśmy mnóstwo wina, oglądaliśmy filmy i spaliśmy. Mało, ale jakoś... dało się. W Dosze mieliśmy półtorej godziny na przesiadkę do Denpasar. Antek był z siebie dumny, że znalazł takie połączenie.

Na lotnisku nie byłam głodna. Poszliśmy na piwo, które... zważyło mnie z nóg, zanim je wypiliśmy – znaczy jego cena.

– Zwariowałaś? – zapytałam zdumiona. – To najdroższy heineken na świecie! Ile to jest? Zaraz, zaraz... czterdzieści złotych?! No, nie. Weź wodę mineralną, w samolocie piwo mamy za *free*.

– W samolocie w cenie biletu, kochanie, prawda. Ale... czy mi się wydaje, czy przed chwilą szepnęłaś, że oddasz królestwo i pół konia za heinekena?

– Owszem, była tak propozycja. Tyle że przyznaję, ani królestwa, ani konia nie posiadam.

Antek zamówił piwo. Serwował je chłopak o wyglądzie Europejczyka. Zaśmiał się.

– Zrozumiałaś? – zapytałam go.

– *Nechápem, prečo?*

Mowa jakby znajoma...

– Ale że co?

– *Váš manžel je v poriadku, len žijete raz! A to je dobré pivo. Poliaci sú tí?*

– Tak, Polacy. Ale mąż pracuje od lat w Korei Południowej. Buduje wielkie statki.

Tam mieszkamy!

– Statki?

– *Big ships in shipyard* – wyjaśniłam.

Antek szuka czegoś na bilecie i jakby nie uczestniczy w rozmowie. Chłopak stawia przed nami dwa duże piwa.

– *We would like medium*, średnie – mówię skonfundowana, ale chłopię uśmiecha się porozumiewawczo i puszcza oko.

– *Som slovenský, je vedľa vás naliať trochu.*

No mile to. Antek przypomniał, że za pół godziny otwierają bramkę, i zapłacił. Słowak pożegnał nas szerokim uśmiechem i przeprosił, ale ma innych klientów. Już nie gadaliśmy więcej.

Wypiłam piwo dość szybko, modląc się w duchu, żeby zdążyć wysiusiać je przed startem. To wstawanie za potrzebą deprymuje mnie w samolotach.

Lot na Bali, do Denpasar, rozmył mi się w myślach. Najważniejsze, że dolecieliśmy i szybko znaleźliśmy się w hotelu.

Teraz siedzę w fotelu, wyspana. Jest cicho. Antek ciągle śpi. Która to? Ósma miejscowego czasu. Spaliśmy jedenaście godzin. Tak, przypominam sobie, że przecież wczoraj po przyjeździe jeszcze zeszliśmy na kolację. Wypiliśmy butelkę brzoskwiniowego prosecco pod pyszną i delikatną wędzoną na zimno rybę, krojoną w cieniutkie plastry. Bolały mnie oczy i plecy, i pupa, i w ogóle byłam wgnieciona i śpiąca. Zasnęliśmy migiem.

O, już nie słyszę chrapania. Idę do sypialni i siadam Antkowi na brzuchu, całuję go w skroń, a on jęczy:

– Aaaaaaaauuuuu!!! Zejdź! Uprzedzam, mam pełen pęcherz. Zaraz mi pójdzie uszami! Ja muszę do łazienki, a ty już gotowa na śniadanie? – Zrzuca mnie i woła już z łazienki: – Jestem głodny jak diabli, a ty?!

– Ja też! Dobrze! To ja się ubieram.

Myślałam, że na szybko sprawdzę wiadomości, ale nie mam hasła do Wi-Fi. Ciekawe, czy Estera się odzywała. Spotkamy się? Damy radę?

Hotelisko wygląda od środka imponująco – hol główny wysokości trzech pięter, ale tu pięter nie ma. Za to widać fantastycznie misterną konstrukcję belek poddasza i więźby dachowej. Cała ta budowla jest wielka!

Słupy i kolumny w holu są z pięknego drewna, a wkoło masa rzeźb i odwołań do tutejszych wierzeń i legend. Recepcja jest z boku, a centralne wyjście prowadzi na spore patio, na którym stoją ogromne leżanki z poduchami i baldachimami z prostego białego grubego płótna. Na kolorowym materacu może usiąść cała rodzina. Z boku niewielki bufet, teraz nieczynny.

Antek pyta o Wi-Fi i zaraz schodzimy do sal jadalnianych. Widzę kilka sporych, przeszklonych. Jedna prowadzi na patio, u którego stóp rozciąga się spory staw z wysepką. Na wodzie widzę okrągłe liście lotosów. Pięknie tu!

W środku sali jest kilka stanowisk z kuchniami świata. Jest kuchnia europejska – rogaliki, dzemy i jajka na wiele sposobów – dalej stanowisko miejscowe i jakieś tutejsze potrawy, głównie ryż i warzywne curry. Jest stanowisko japońskie, a tam baniak z rosółem *dashi* i inny z lekkim rosółkiem drobiowym, ryż i miseczki z dodatkami – mięso z drobiu, ale też wodorosty i... wióry.

– Antek, co to?

– To...? A to jest ryba bonito, ususzona i zwiórowana. To się chyba nazywa *katsuobushi*. Sypie się to do tego tu – pokazuje mi baniak z rosółkiem *dashi*.

– To ja dzisiaj po japońsku. A ty?

– Ja jestem tak wściekle głodny, że chyba pójdę po amerykańskie śniadanie drwala!

Pod jedną ze ścian widzę stół z wielkimi stosami owoców i pół-miskami wędzonej ryby, która nam wczoraj tak ładnie poszła pod prosecco. Te owoce mnie korcą!

Zjadam miseczkę ciepłego rosółku z kłaczkami kurczaka. Ale to nie wystarczy. Wciąż jestem głodna! Biorę jajko sadzone na grzance, kawę z mlekiem i patrzę zdumiona, jak Tosiek pochłania amerykańskie śniadanie drwala, czyli dwa sadzone jajka na frytkach i trzy wielkie grillowane kawały bekonu. Faktycznie zgłodniał! Na deser biorę sobie

płateczki wędzonej na zimno ryby. Chyba tuńczykowata. Lekko słona, pachnąca dymem, delikatna. Do tego owoce – małe banany, plaster ananasa i dziwny brązowy owoc pokryty jakby węzową skórą. Antek też pozełgował po owoce, ciastko i sery. Smakujemy, rozmawiamy o tym, co jemy, i jakie to ciekawe.

Węzowy owoc kryje w sobie cząstki jak czosnek, ale te są słodko-cierpko-kwaśne, chrupkie i soczyste. Już wiem! Ten owoc będzie tu moim ulubionym!

Ludzie jedzący tuż koło stawu mają frajdę, bo obsługa już wystawiła spore tace z siekanymi odpadami liściowymi z kuchni i wczorajszym chlebem drobno pokrojonym. Można tym karmić... wodne stwory podpływające do brzegu i rozdziawiające paszcze oraz ptaki. Te w wodzie to jakieś jaszczurki i dwa małe krokodyle. Dzieciaki są rozbawione, doroślaki też.

Wstajemy i idziemy zwiedzać teren hotelu. Za kilkoma zakrętami i kolejnymi budynkami pełnymi krużganków i loggi wreszcie wychodzimy na zewnątrz na plażę. Tu stoją dwa bary i serwują kawę i wyciskane soki. Po południu będzie wino i piwo w cenie pobytu.

– Będziemy się sybarycić czy jedziemy sobie w diabły? Znaczy w interior?

– Ja, pani Marianno, nie lubię się sybarycić, jeśli masz na myśli plażowanie, i to chyba już mamy ustalone. Ale jeśli tylko wyrazisz taką chęć, proszę bardzo, zalegnę obok ciebie na chwilę. Na długo nie dam rady.

– Nie wyrażam chęci, panie Antoni. Ja bym chętnie z panem w diabły coś pozwiedzać... I tylko chciałabym nawiązać łączność z Esterą, która gdzieś tu jest. Albo się odezwie na mail, albo na esemes, który już jej wysłałam.

W pokoju odpaliliśmy tablety. Od Estery jeszcze nic, mam tylko jakieś bzdetki w poczcie i podobne na Facebooku. Tam też masa polityki, która skłania mnie do myśli, że lepiej może w ogóle nie wracać? Poprosić tu o azyl? Zapomnieć, że jest świat, zima? Mróz?

– U mnie nic – mówię i patrzę na Antka. Widzę, że jest coś nie tak. Ma szarą twarz. – Hej? Jakiś problem? Tosieńku?

Podnosi na mnie oczy. Jest poważny i z lekka chodzą mu szczęki.

– Stary idiota... – mówi chyba o sobie. – Wybacz mi, ale na fali tego czegoś fajnego, co mi się w duszy rozlało, od kiedy jesteś blisko, napisałem do Dominiki. Raz na jakiś czas wymieniamy poprawne maile o... niczym. Tak naprawdę to nie wiem, po co to, skoro nie ma w nich niczego prawdziwego, serdecznego. Sztuczne grzeczności, zwroty. Próbowałem nieraz coś cieplej, milej. Co u niej, co u mnie, tak bardziej miękko. Ale ona wszelkie, wiesz... takie osobiste miłe rzeczy wekslowała milczeniem.

– A – wybacz, że zapytam – co jej napisałeś?

– No, że nie jestem już sam, że wreszcie zrozumiałem, co to są owe motyle w brzuchu, choć chyba u mnie raczej w głowie. Żeby się nie martwiła o moje osamotnienie i że mam w sobie więcej radości niż kiedyś. Bo nie tak dawno narzekałem na zdrowie, miałem tu drobny zabieg chirurgiczny. Niby nic, ale się wystraszyłem i czułem się taki totalnie opuszczony. I że ty się pojawiłaś...

– A co to było?

– Zabieg? Przepuklina, drobiazg. Jakies wówczas badania porobiłem, nie byłem

w najlepszej formie, ale to nic, wierz mi. Drobna anemia. I jedyne, na co ją było stać, to „dbaj o siebie”. A ja pomyślałem: „Po lichu, córeczko, skoro masz mnie od dawna gdzieś?”. Kompletnie nie dopuszczała mnie do swojego życia. Żona też milczy oczywiście, bo rozstaliśmy się mało elegancko. I teraz nie jest inaczej.

– A pretensja o co?

– Przeczytam ci, choć mi wstyd.

Tato, bądź łaskaw opanować egzaltację. Mało mnie cieszy fakt, że Ty, mocno dorosły facet, zadajesz się z jakąś laską. Ja rozumiem potrzeby faceta, zwłaszcza w okresie andropauzy, ale nie wystarczą ci tamtejsze love hotele? Musiałeś sobie sprowadzić ją z Polski? I jeszcze pewnie Ty wszystko stawiasz. Trochę to nierozważne z Twojej strony, bo unosisz się emocjonalnie jak sztubak, a ona ani się obejrzy, oskubie Cię do cna.

– Dalej nie czytam, to kretyńskie i podłe. Nie powinienem nawet ci o tym mówić.

– Jak sztubak? – próbuję żartować, ale milknę i czuję, że mam czerwone policzki. Fakt, za bilety i mój pobyt płaci Tosiek... O, gdybym tylko mogła stanąć twarzą w twarz z tą pannicą i bluznąć jej coś na ostro! Jeszcze nie wiem co. Oooooch, jaka jestem zła! Oburzona! I nagle... wybucham śmiechem. – Czyli, Tosieczku, ona sądzi, że jestem jakimś w miarę młodym i przebiegłym... lachonem, że tak brzydko powiem...?

– La-chonem?!

– Tak, to od „laski”. W Polsce funkcjonuje takie wyrażenie, nieco wulgarne. Tak? Tak myśli? Nie napisałeś jej, że jestem miłą starszą panią? Ze zmarszczkami i nadwagą? Antek się uśmiecha, twarz mu jaśnieje i mówi:

– Fakt! Jesteś o rok starsza od mojej żony! A Dominice nie napisałem, ile masz lat! Tak, ona pewnie sądzi, że jesteś... lachonem! Ha, ha, ha! Ale wstyd mi za nią, wybac, bo jest głupia i zawistna. Nie wiem, skąd to się wzięło. A teraz – olać to! Musimy zamówić taksówkę do śródmieścia i wypożyczymy terenóweczkę, skoro moja pani chce w interior.

Zamykamy smętny temat, otrząsamy się i opuszczamy apartament. Przejście, na które wychodzą wszystkie drzwi pokoi hotelowych i nasze też, ma charakter otwarty. To krużganki okalające trawnik. Jest cieniście, lecz i tak czujemy, że na zewnątrz panuje upał. Idziemy do wyjścia. Mamy spory kawałek, bo hotel olbrzymi.

Na parterze Antek zagląda jeszcze do punktu informacyjnego po mapy i adres wypożyczalni samochodów. Ja czekam. Obok mnie siada młoda, śliczna kobieta z małym chłopcem.

– Poczekaj – mówi do chłopczyka – tatuś zaraz przyjdzie.

Uśmiecham się i pytam małego:

– Jak ci na imię?

– Maksiu! – mówi i odbiega.

Mama śliczna, nieco w typie *pin-up girl*, z chusteczką zawiązaną żywcem z lat pięćdziesiątych, uszkami do góry, zwraca się do mnie z uśmiechem:

– Polka?

– Polka. Jestem tu z... z... partnerem na małym urlopie. A pani?

– My tu mieszkamy. Mamy tu biuro podróży. Piotruś, mój mąż, organizuje różne atrakcje turystom, a ja trochę mu pomagam, ale głównie zajmuję się jeszcze Maksiem i domem. Wie pani, właśnie zaowocowała mi papaja, po raz pierwszy! Posadziłam ją dwa lata temu jako sadzoneczkę ledwo kiełkującą z pestki, którą dostałam na osiedliny od sąsiadki Balijski. I już jest drzewem, i ma owoc! Taka radość! W Polsce nigdy nie ogródkowałam, a tu lubię. Mam własne pomidory i szczypiorek.

Gawędzimy mile, a mnie zaświtało w głowie: „Masz następną do książki”! Naturalnie, że się umówiliśmy. Zaniepokojona długą nieobecnością Antka wstałam i zobaczyłam go rozmawiającego z jakimś młodziakiem.

– O, to właśnie mój mąż! – Wskazała ich palcem.

– I... mój... – Chciałam powiedzieć „partner”, ale zamilkłam. A co kogo to?

Piotr z żoną Teresą, jak się okazało, i z Maksiem podwieźli nas do wypożyczalni samochodów. Jak dla równowagi Antek umówił się z Piotrem.

– Serio? Po co?

– Kochana moja, zawsze możemy odmówić, ale właśnie kleci małą grupkę na nurkowanie i brakuje mu dwóch osób.

– A ile ma?

– Dwóch Polaków z sąsiedniego hotelu.

– To faktycznie mało. Ale ja nie nurkuję.

– Dlatego jesteśmy tylko wypełniaczami i dopłacamy połowę ceny za wypad. Umiesz snurkować?

– Snurkować? Znaczy nurkować z maską i fajką bez butli? No, może nie jest to moja dyscyplina olimpijska, ale gdzieś kiedyś już to robiłam – przyznaję.

Wypożyczyliśmy nieco spracowaną terenówkę. Wyszło tanio. Najgorsze, że GPS-u nie ma. „Jutro będzie” – zapewnił właściciel i obniżył cenę za wypożyczenie jeszcze o kilkaset rupii.

– Będiesz nawigatorem, choć właściwie na razie to mniej więcej wiem, jak jechać. Jak zrozumiałem, dzisiaj interior i dzicz?

– Taaajest!

To pierwszy dzień, więc kręciliśmy się trochę po Denpasar i dalej bez celu, pożerając wzrokiem i aparatem fotograficznym co się tylko dało.

Wieczorem zmęczeni siedliśmy – ja na łóżku, Antek koło stoliczka – z tabletami przed sobą. Tosiek, sądząc po jego twarzy i groźnych pomrukach, robił prasówkę. Jest na bieżąco z tym, co się dzieje w kraju. Ja pisałam do Reginy tak, żeby fragmenty poprzeklejać potem do maila dla taty. Nie muszę przecież dwa razy opisywać tego samego:

Regino, Królowo!

No to jesteśmy na Bali.

Pominę subtelnym milczeniem lot z Fuerteventury do Madrytu, z Madrytu do Dohy,

a z Dohy do Denpasar. Na sto procent mam spłaszczony tyłek, a dwadzieścia cztery godziny w samolotach i na lotniskach to nie jest to, co bym lubiła.

Marudzę? Tak. Prawda. Tym bardziej że to wszystko na koszt Antka. Powodem wizyty na Bali jest, jak wiesz, owa Estera, która ma mi opowiedzieć o swoim życiu z plecakiem, ale też zwyczajny urlop Antka. Nie wiem, czy sam wybrałby się tutaj. Twierdzi, że ogromnie się cieszy, że ja jestem obok. I że gdyby był romantyczny, to zaśpiewałby: „Z tobą chcę oglądać świat”. Przypomniałam mu to w pewnym mailu, bo samą mnie to naszło.

Razem jest... sama wiesz.

Przypomniał mi się pызaty mąż Reginy. Nawet nie zanadto pamiętam, jak mu na imię. Stefan? On zawsze był taki w tle, na wszystkich rautach czy imprezach, gdzie z rzadka się pojawiał jako kierowca Reginy. Jej wzrostu, łysiejący i krągłolicy, przypominał nieco Gustawa Lutkiewicza. Bardzo sympatyczny i skromny. Regina zawsze mówiła, że świat z nim smakuje lepiej.

Zaklepał nam wielgachny i piękny hotel. Jest naprawdę bajecznie. Na mnie, wychowanej w PRL-u, robi to wrażenie. Nic na to nie poradzę. A też to, że mężczyzna w tak przedwojenny sposób rzuca mi świat do nóg. Tak się czuję i niech mnie feministki zatłuką – lubię to 😊 Jestem dzieckiem, które widziało wkoło biedę, choć nam akurat powodziło się całkiem dobrze. Nie bywałam jednak na wakacjach w Jugosławii ani Grecji. Pierwszy raz wyjechałam na Zachód z Mirkiem, do Paryża na dwa dni. Później na tydzień do Berlina, no i dziesięć lat temu z koleżanką do Egiptu. Dopiero dzięki Tobie mogłam być w Indiach i Japonii. Miłe czasy zasobności redakcji... Jestem Ci wdzięczna za to, wiesz?

Wracając do Bali. Dzisiaj zażyczyłam sobie wypad z tego luksusu. Chciałam zobaczyć interior, drogi, wioski, miasteczka. Antek spokojnie zatrzymywał się, gdzie tylko chciałam. I wiesz, mimo pory deszczowej na razie nie pada! Chyba tylko trochę w nocy. Upał jest jak trzeba i tylko miasta jak z Indii wycięte – brud, wilgoć w każdym zakamarku, omszałe, walące się (niektóre) domy, bo mury, zaprawa, cegły nie wytrzymują tej wilgoci i upału. Wszystko murszeje i jest cichutko pożerane przez wszędobylskie rośliny jak w kiepskim filmie grozy – mniem, mniem... bezszelestnie dzungla zjada wszystko. Jak w Jumanji.

Jest i rynsztok cuchnący z mętną wodą, i błoto, i widoczna bieda, bieda, bieda, chociaż to tylko trasa dla turystów, jeszcze nie te prawdziwe zakamarki. Są i stragany z nieustannym handlem i ludziska żyjący z niego. Głównie kobiety zachęcające cię do kupna wszystkiego, co mają. Już mam zapinkę do włosów z wielkim kwiatem plumerii i sarong w owe kwiaty. Dla mnie, Europejki, ten kwiat jest symbolem Bali, chociaż pochodzi z Ameryki Środkowej, gdzie nazywa się frangipani. Wiesz, jak pachnie, bo i Australia nimi zakwita. Czarująco!

A co jest w środku wyspy? Zobaczymy. Na razie mijaliśmy knajpki dla turystów – ładniejsze – i te tubylcze – straszne jakies, niemile. Nie mam odwagi tam wejść, zresztą jeszcze nie pora.

Warsztatów mnóstwo – naprawiają głównie wszędobylskie i bardzo tu liczne motorynki i motocykle. Są dramatycznie... okropnie brudne. I wyglądają na takie, które zaraz powinny się rozpaść w drobny mak. Ale podratowane w tych warsztatach jeżdżą! Wszystko w nich, w tych warsztacikach, upaprane smarem, nagarem, wkoło porozwalane sprzęty, jedna żarówka ledwo świecąca, leniwy właściciel i leniwy klient, leniwy kot i leniwy czas... Zero pośpiechu. To dla turysty nie do pojęcia. Turysta przybył z krainy zawrotnego tempa. Turysta głupieje, bo oni ruszają się jak muchy w smole, wolno, bez zadyszki. Jak tak można?!

Chudy pies (ciekawe, czym żyje?), ciekawskie dzieci i... napastowanie, wręcz molestowanie kupujących. Może nie tak dotkliwie jak w Egipcie, ale też. Nie da się niczego obejrzeć po swojemu – sprzedawczynie zaglądają w oczy, podtykają szmatki, gadają, zachwalają towar i drażnią zagadywaniem... po rosyjsku! Jestem biała, owszem, ale NIE Rosjanka!

Zaraz kolacja. Ściskam Cię i będę pisać, bo pisząc do Ciebie, zapamiętuję szczegóły. Dołączam zdjęcia.

Pa!

Pika esemes. Nareszcie odzywa się Estera: „Pojutrze dopiero będę w Denpasar. Możemy około południa w pobliżu Kuty? E.”. Jasne!

– Anteeek! Pojutrze o dwunastej Estera będzie czekała w pobliżu Kuty. No to tam chyba zaprosimy ją na lunch, co?

Kolacja jakoś specjalnie nie zachwyca, mimo że jest wszelkiego dobra w bród. A może za wcześnie? Bo podczas wycieczki zjedliśmy jednak w maleńkiej knajpce ryż z warzywami i rybimi kulkami w sosie curry. Antek proponuje spacer. Za hotelem jest kawałek parku i spora aleja targowa. Tam podobno, jak twierdzi Piotr, jest knajpka ze świetną kuchnią i muzyką. Po całodziennym jeżdżeniu chętnie połażę. I jakoś korci mnie bazarzenie. Może znajdę coś ładnego do domu?

Trafiamy wreszcie do tej polecanej knajpki. Z zewnątrz niespecjalna, ale okazuje się głęboka i pokonawszy dwie sale, lądujemy wreszcie na sporym klimatycznym patio ze stolikami pod palmami. Apetycznie pachnie jedzeniem, nade mną niebo i liście palm. Śliczna kelnerka usadza nas przy stoliku dla dwojga i przynosi miseczkę z pływającymi kwiatami i świeczkami. Zamawiamy miejscowe wino i ryby. Ja bezpiecznie – tuńczyka, a Antek – lucjana. Czerwonego.

– Znasz się na rybach? – pytam szeptem.

– No akurat troszkę się znam. *Red snapper*, czyli lucjan, jest naprawdę pyszna!

Twój tuńczyk cię rozczaruje, bo jest zazwyczaj suchy.

– Trzeba było mi odradzić!

– A gdzieżbym śmiał!

Porcje są ogromne i fantastycznie ozdobione muszlami ser-cówek, muli i krewetkami. Są i różne zdobienia z cienkich płatków cukinii i marchewki. Ja dostaję w pięknej muszli specjalny sos do tuńczyka i z mety proszę o dodatkową porcję. Jest wspaniały! Antkowi też smakuje. W trakcie kolacji na środek patio, przed nas, wychodzi dwóch gitarzystów. Europejczycy. Nie jestem zachwycona, bo nigdy nie lubiłam grania do kotleta. Trudno... Ale zaraz zmieniam zdanie. Są profesjonalistami i obywają się bez wzmacniaczy, *unplugged*, więc nie jest aż tak głośno, żeby nie można było rozmawiać. Repertuar szeroki, głosy rewelacja. Rosjanie! No, świetni są. Jesteśmy w połowie dań, zachwyceni jedzeniem, atmosferą, winem i sobą.

– A ten sos próbowałaś? Wspaniały! Muszę podpytać, jak go robią.

Zaczepiam naszą kelnerkę, ale ona uśmiecha się, słysząc moją prośbę, i mówi, że zaraz przyśle inną, z nią się lepiej dogadam. Podchodzi inna, okazuje się, że Rosjanka. Śmieje się, słysząc prośbę.

– *Aaaa, этом соус? Подождите!*

Wraca i opowiada mi z pamięci, ale ja się z lekka gubię. Masło? Ach, masło to po naszymu olej! Notuję na karteczce. Łatwy przepis, ale ja wiem, że diabeł tkwi w szczegółach.

– Масло, масло... – powtarza. – Но не оливковое, обычное.

Dobrze, rozumiem, i sól, pieprz, czosnek, ale niewiele, i... zmiksowane słodkie pikle ogórkowe. I mówi po rosyjsku, że oni mają tu szwedzkie te pikle, ale mogą być każde, byle na słodko.

– Jaka ty jesteś dociekliwa – uśmiecha się Antek.

– Dziennikarski nawyk zapytać. Najwyżej odmówi. Szefowie kuchni raczej nie zdradzają swoich receptur, ale jak ich podejść... Kiedyś w Warszawie jadłam pysznego... – zaczynam opowiadać o mojej rozmowie z kucharzem na temat znakomitego karpia, a Antek bierze mnie za rękę i słucha z uśmiechem. Takim, że mi serce topnieje. A ja o zwykłym karpniu! Że na chrupiąco go trzeba obsmażyć...

O, to jest taka chwila, której się nie zapomina. Antek słucha ubawiony. Moja dłoń w jego dłoni i wzrok pełen ciepła, i chciałabym powiedzieć „miłości”, ale taki kaliber to mi jeszcze przez głowę nie przechodzi, a deklaracji nie było, więc może inaczej – wielkiej serdeczności, przyjaźni? Rozmiękam. Taka randka! W miseczce pływają różowe kwiaty, świeca i jej blask w jego oczach... I tylko resztki posiłku na talerzu nie są romantyczne – ości, muszelki i łupinki krewetek. Ale jest wino. Lekko trącamy się kieliszkami i Tosiek mówi cicho:

– Żeby tak zawsze już.

No i mam łzy w oczach, bo mi tak nikt nigdy nie mówił, a może zapomniałam, że tak można? Bo sądziłam, że dzisiaj romantyzm leży na antresoli pod warstwą kurzu? Pięknie jest.

Z tego stanu budzi mnie głos gitarzysty, który podszedł i zapytał, co nam zaśpiewać, bo widzi, żeśmy... zakochani. Zaskoczony i zdumiony Tosiek szuka

w głowie, ale nie znajduje, a ja wypalam natychmiast:

– *I Want to Hold Your Hand, please.*

– *Yes, madame!*

Grają. Dokładnie jak Chłopcy z Liverpoolu. Dłonie Antka są ciepłe i miękkie. W uszach mi brzęczy: „Для влюбленных”. To o nas.

Przed nami już tylko kawa, bo na słodycze nie mamy miejsca. Rosjanie dyskretnie schodzą ze sceny. Widzę, że Antek jest nieswój, że stracił rezon i pewność siebie. Nie wie, co powiedzieć? Wyjmuje kwiat z miseczki i włada mi go za ucho. Czuję, jak we mnie wszystko śpiewa, bo endorfiny chłustają mi do krwiobiegu jak tsunami, i czuję się tak młodo! O, mam... w naszym wieku? Dla młodzieży jesteśmy jednak starcami!

Romantyzm chwili mnie unosi i odzywam się pierwsza tekstem z kabaretu radiowej Trójki:

– Kocham pana, panie Sułku.

Antek, zamiast się zaśmiać, odpowiada cicho tym swoim męskim niskim głosem, też kabaretowo:

– Ciiiicho, wiem! – I ciszej: – Ja panią też, panno Elizo.

Teraz powinny nadlecieć dwa gołąbki i zatoczyć nam nad głowami kółeczka, a z nieba powinny posypać się kwiatki czy coś równie ślicznościowego. Ale życie samo za nas decyduje, kiedy kończymy daną scenę, bo został przekroczony poziom słodyczy. Bo oto na nasze nosy, do kawy i wina nagle i niespodziewanie leci... deszcz! I to zamiast kap, kap zaczyna z mety mocno, jak z prysznica! Uciekamy do sąsiedniej sali, w pośpiechu płacimy za kolację. Dopychamy się do drzwi. Za nimi deszcz sumiennie i gęsto pada na okolicę.

Tosiek dopytuje boya stojącego przy wyjściu, kiedy jego zdaniem jest szansa na ustąpienie burzy. Boy rozkłada ręce i mówi, że jak na porę deszczową dawno nie padało. Trochę przedwczoraj w nocy, więc to chyba potrwa i on przeprasza, ale rozdał już parasolki tym, którzy wyszli pierwsi. Dla nas zabrakło.

Nic to, trudno. Może złapiemy jakąś riksę? Widziałam taką, gdy szliśmy tu: motorower i siedzisko dla dwojga pod budą.

Jadą, ale wszystkie zajęte...

– Chodź – mówię. – Nie jesteśmy z cukru, a jest ciepło! No chooodź!

– W ten deszcz?!

Antek jest skonfundowany i niechętny. Niedowierza, że ciągnę go pod ten prysznic.

– Chodź! Zobaczysz! Będzie romantycznie! Chooodź!

Deszcz jest ciepły, naprawdę bardzo ciepły, ale rześisty. Powietrze też ciepłe, ale mokre, ludzie biegną pod parasolami, kapotami, płachetkami folii, młodzi zdjęli buty, idą boso. Maszerujemy szybkim krokiem, jesteśmy mokrzy. Ten opad jest tak gęsty i obfity, że nasze bawełniane łaszki przemakają natychmiast. Woda spływa mi przedziałkiem we włosach na czoło i na nos, z tyłu leje się po plecach do... Parskam co chwila. Mamy mokre dłonie. Antek trzyma mnie za rękę.

– Nie zgub mi się! – mówi, bo mijają nas tłumy uciekających w stronę hoteli.

Też są przemoczeni, a po wieczornym winie, piwie i drinkach rozweseleni mimo deszczu. Dziewczyny mają na sobie mokre podkoszulki, chłopcy – mokre torsy i włosy,

i wyglądają bardzo seksownie. Wszyscy młodzi. Ech!

Mam zadyszkę, więc zwalniamy. To już park w pobliżu hotelu. Wysokie korony drzew troszkę zatrzymują wodę, ale nie do końca. Czuję intensywny zapach mokrej ziemi i butwiejących liści. Koło kwitnących krzaków pachnie tak intensywnie jak w naturalnej perfumerii. Antek, już mokrusieńki i pogodzony z tą nagłą kąpielą, strząsa wodę z włosów, głowy i brody, bo ma ten swój uroczy kilkudniowy zarost. Stajemy koło wielkiego nawisu krzewu frangipani, którego różowy kwiat z restauracji mam we włosach. Tu rosną wielkie i białozółte, pachnące oszałamiająco. Przyciągam Antka do siebie i całujemy się, czując, jak strużki wody ciekną nam po plecach, spływają po twarzach, wciskając się między usta.

– Ty wariatko! – szepcze. – Ty moja wariatko!

Bierzemy się znów za ręce i teraz już pędem do wielkich wejściowych drzwi hotelu. Jeszcze sto metrów, pięćdziesiąt i... już! Wita nas obsługa, podając suche basenowe ręczniki. Ooooo! Jak miło!

Idziemy do pokoju. W windzie już nam szczękają zęby. Mimo wszystko deszcz wychładza. W pokoju zrzucamy z siebie mokre łachy i oboje idziemy do łazienki pod gorący prysznic. Ciepła woda koi, rozgrzewa nie tylko ciało, ale i zmysły, sprawia, że zaczynamy się tulić i zabawiać wzajemnie czułością. Fascynuje mnie fantastyczny wzwód Antka, wygląda jak bóg miłości – stary i dostojny, zdecydowany, a nie żaden pyzaty amerek, młodziutki Eros, pokazywany bez koniecznego symbolu pożądania. To dojrzały bóg miłości z dumnie wzniesionym męskim atrybutem!

Antek ma w sobie wszystko, czego potrzebowałam – romantyzm już był, czułe podchody też, wyznanie zaliczam, mimo że cytatem z Pana Sułka. Jego pocałunki uwielbiam, rozpalają mnie jak nastkę. I tylko na razie był w łóżku dość klasyczny, a ja nie płoszyłam go tym, czego nauczył mnie mój kochanek Jarek-Ofelia. Ale przyszła pora, żeby pokierować nasze stęsknione ciała w kierunku ciut innej zmysłowej zabawy. Klasykę już znamy!

Rozgrzani gorącym prysznicem i pieszczotami lądujemy na łóżku, ale teraz ja przejmuję stery. Muszę poznać smak Antkowego Rozbójnika, muszę pokazać mojemu kochankowi, jakie to przyjemne, gdy do zabawy dołączymy ciepłe wargi i język. To mu się podoba! I to jak bardzo się podoba! Tosiek nie jest powściągliwy, a balkon mamy uchylony – znów jest szansa, że rozbawimy sąsiadów. To, co robię, wprawia go w ewidentną rozkosz, i zaskoczony, uwiedziony, nie wstrzymuje ani okrzyków radości, ani głośnych oddechów. Wygina się i wspaniale bierze to, co mu daję. Ale nie do końca...!

Teraz pozwalam mu na zmianę. Teraz on się odwdzięcza i zabawia w poszukiwanie moich wrażliwych miejsc. No tak to jeszcze nie było! Za oknem szaleje ciepła ulewa, a na naszym łóżku eksploracja i zdobywanie krok po kroku nowych terytoriów. Coraz szybciej, niecierpliwiej. Wreszcie jesteśmy razem tak bardzo, że bardziej się nie da. Antek zwalnia, choć pewnie chciałby już finiszować. Dobrze! Już nie panujemy nad sobą. Czuję całą sobą tak wielką radość i spełnienie, że chce mi się płakać, śmiać.

– Kocham cię – wymyka mi się spontanicznie.

– I ja, Maryniu. I ja też – ledwie łapiąc oddech, szepcze Antek i zamyka mnie w ramionach mocno.

Jest mi tak bardzo dobrze, że nie mam ochoty się ruszyć. Po tym „żarze rzewnych żądź, gdy płonęliśmy jak pochodnię, opadamy w niebo, śniąc niewinnie i łagodnie”. Ach, ten Grechuta – jak on umiał nazwać to, co tak trudne do nazwania!

Estera

Poranek wita nas słońcem i wilgocią w powietrzu. Taka ilość wody parowała w tę ciepłą noc, że na zewnątrz jest jak w stygnącej saunie. Włosy nie chcą mi się spuszczyć, wyglądam jak bida z nędzą. Trudno, związuję je w koński ogon. Potrzebne mi nakrycie głowy.

Jest pora śniadania. Co zaplanowaliśmy na później? A, wiem! Kupię sobie bejsbolówkę! Antkowa, materiałowa, już przepocona, zaliczyła koszt. Oboje zasłużyliśmy na takie siatkowe, na upały.

– Ale to już może w okolicach Kutuy? Masz tam wielki targ! – judzi Antek skutecznie.

Tak! Zdecydowanie poproszę!

Śniadanie zakończone tutejszymi owocami wypełniło przyjemnie nasze brzuchy. Po wczorajszych ekscesach mamy dla siebie więcej czułości i zaczepk. Przekroczyliśmy chyba jakąś granicę ugrzecznienia w łóżku i czujemy się dzięki temu bliżsi sobie, młodsi? Muszę o tym pomyśleć, ale nie teraz. Teraz jedziemy zobaczyć osławioną plażę w Kucie. Sama sprawdzę, czy mi się spodoba.

Jazda tu nie jest łatwa. Mija nas mnóstwo, mrowie motorynek, motorków, skuterów. Jeżdżą chmarami, a ich użytkownicy mają w nosie bezpieczeństwo i rzadko zakładają kaski. Jeśli tak, to chyba dla szpanu. A najśmieszniejsze jest ich obuwie – japonki, tanie kroksy, cokolwiek, i to zazwyczaj na gołych nogach. Gorąco i nikt sobie bezpieczeństwem głowy nie zawraca. Wywrotka? Trudno, będzie auć, otarcie albo gorzej. To, jak widać, wkalkulowane. Kobiety w sarongach siedzą za mężem bokiem, ale te, które prowadzą, bo i takie widzę, są w dżinsach, legginsach i długich koszulach pod-ciąg-niętych na czas jazdy do pasa. Okulary mają prawie wszyscy.

To też pojazdy wieloosobowe – tata z przodu, mama z tyłu, a między nimi bachorek albo i dwójka! Inna kombinacja: tata z przodu, mama z tyłu, za mamą podrostek trzymający się mamy mocno, a przed tatą jeszcze jakiś potomek, zazwyczaj bardzo mały. Niemowlęta u mamy na plecach albo z przodu w chuście. A ogromna bela siana na takim motoru? Co za problem? Też się ją wiezie. Ktoś transportuje sporo pustych bambusowych rur związanych cias-no, skrzynki z drobiem, gigantyczną liczbę plecionych koszy, krzes-ła i kuchenkę mikrofalową, siedem sporych bel materiału. Słowem wszystko, co się tylko da umocować, uwiązać, przewozi się motorynkami. To biedni ludzie i nie stać ich na wynajem firmy kurierskiej. Są dzielni i pomysłowi.

Mijamy śródmieście Denpasar. To nie jest piękne miasto. Piękne są rzeźby stojące na niektórych skrzyżowaniach, bo nie wszystkie oczywiście. Niewysoka zabudowa, bardzo... postindyjska, z lekka kolonialna, w większości zaniedbana, choć są też nowe piękne domy. Żadnych drapaczy, szkła i metalu. Tłoczno, nieco brudnawo i... ciekawie.

Parkujemy na ciasnej uliczce. Antek uważa, że to już jest owa Kuta i że gdzieś tu po lewej jest słynny suk. Faktycznie jest. Już widzę, że to jest wielka udojnia turystów. Oferta kolorowych pamiątek w złym i jeszcze gorszym guście męczy oczy. Zatrzęsienie

pierduletów, jak mawiał wujek Gienio. Stoisko z drewnianymi kotami nie robi wrażenia. Widziałam je w Polsce, są niedbale wykonane i nieładne. Obok stoisko z niebrzydką ceramiką, ale przecież nie będę wozila po świecie skorup! Dalej następne stoisko z badziewiem, pod parasolem wiszą grona męskich fiutek rzeźbionych w drewnie, od metrowych po maluskie.

– Jakie to wulgarne... – mówię do Tośka, a on najzwyczajniej się zgadza.

Noże, podrabiana broń, kaczkę i gęsi z drewna i gliny, ozdoby do włosów z plastiku i skóry, srebra, koralików i zatrzeszenie ciuchów. Mam potąd, ale chcę znaleźć nakrycie głowy. W kilku stoiskach przymierzamy bejsbolówki.

– Kurczę, no – sroży się Antek. – Czy na każdej musi koniecznie coś być? Jak nie twarz Batmana, to symbol FC Barcelona, napis „New York City” nie wiedzieć czemu gotykiem, przód garbusa, znak Coca-Coli i tylko gładkich nie uswiadczysz! – Złości się.

Sprzedawcy są zdziwieni naszymi wymaganiami. Wreszcie w niemal ostatnim stoisku pan znajduje mi białą, ze sztywnej siateczki, z mikroskopijnym gekonem od frontu, a Tosiek ma czarną z metalowym znaczkiem Alfa Romeo.

– Łatwo się to usunie – ucieszył się, oglądając mocowanie logo.

W czapce z daszkiem czuję się o wiele lepiej niż z klapniętymi włosami. Z boku wczepiam sobie sztuczny kwiat frangipani. Antek natychmiast wyjmuję aparat i ustawia mnie do zdjęcia koło skromnego stoiska starej kobiety, która owe zapinki sprzedaje. Ma na ladzie masę kwiecica z lekkiej pianki.

– Uwielbiam twój uśmiech – szepcze mi na ucho.

Czuję się młoda i piękna. Pierwszy raz od dawna tu, na Bali, z Tośkiem, czuję się młodzieńczo. Mam na sobie krótkie, opięte dość džinsy do kolan i białą batystową bluzkę z gipiurą na ramionach. Do tego ta biała bejsbolówka i kwiat i nie czuję PESEL-u! Ju-hu!

Z trudem wychodzimy z bazaru. Co za tłok!

– Nigdy więcej – mówię.

Mamy jeszcze dwadzieścia pięć minut do spotkania z Esterą. Knajpka jest przy słynnej plaży. Na tablicy z nazwą widnieje chmurka z napisem „Free Wi-Fi”. Lekko się chmurzy, piasek na plaży jest bury i brudny. Pełno na nim śmieci. Po prawej stronie widzimy ludzi wychodzących z tej ładniejszej plaży. Z dala widać żółty piasek. Sadząc po niebie, pogoda dzisiaj będzie w kratkę. Słońce już się narobiło i chowa się za chmury. Chyba nie deszczowe, ale czy ja się znam?

– Chodź. Znajdziemy stolik i zaczekamy na nią – proponuje Antek. – Jak się poznacie?

– Każda z nas już się naoglądała tej drugiej na Fejsie.

– Hm... Zapomniałem, że prowadzicie alternatywne życie.

Antek lekko ironizuje, bo on, owszem, ma konto na Fb, ale *pro forma*, czyli dla picu. „Z rzadka coś mi tam Dominika sarknie. A tak to nikt i nic – to nie zaglądam” – objaśnił mi, dodając: „Ja tak nie umiem. Ja muszę człowieka znać. To jakiś pic, żeby mówić «znajomy z Facebooka». Jaki znajomy? Nie wiem, kim naprawdę jest, co myśli, jakie ma gesty, czy chrząka, jakie robi miny. Nie. To nie dla mnie”. I chyba ma rację.

Knajpka jest mała, ani ładna, ani brzydka. Zwyczajna. Siadamy pod wielkim lustrem, zamawiamy kawę.

– Może ja pójdę na spacer? Nie będę was krępował...

– Tosieczku, jak chcesz. Możesz faktycznie sobie iść na sesję...

To dobry pomysł. Antek czuje, że to nie jego klimaty, zabiera więc torbę fotograficzną i daje mi buziaka.

Czekam. Estera wchodzi uśmiechnięta, w szortach i bluzce w kwiaty. Ciemne gęste włosy ma zwinięte w koczek. Okulary na głowie, japonki na stopach, niewielki plecak.

– Cześć, miło cię widzieć! – mówi i zamawia wodę z cytryną. – Co chcesz o mnie wiedzieć? I czemu ja?

– Staram się zebrać materiał o kobietach, które są żywym dowodem na to, że można żyć poza Polską i niekoniecznie z przymusu ekonomicznego. Nie chodzi mi o wyjazd na truskawki czy zmywak. Generalnie chciałabym pokazać, uwiarygodnić też, że jest życie poza Polską – inne, ciekawe, że z łatwością można bez ciężaru pod tytułem „Ale tu kości przodków moich i ziemia łojców” wyjechać i mieć się dobrze.

Zgadza się:

– Prawda. To kwestia otwartości na świat. Ale przecież wiesz, że nie jesteśmy tego uczeni, wręcz odwrotnie. Jesteśmy od małego szantażowani patriotyzmem, takim, wiesz, nieświeżym, nieprawdziwym i nadętym, a też jakimś iluzorycznym przywiązaniem do ziemi. Ja na przykład nie miałam nigdy ziemi! Nawet w donicze. Bo byłam pracoholiczką.

– Tak, to zwłaszcza w prostych ludzi wpompowane jest i wtłoczone strasznie – potwierdzam. – Pamiętam mój wywiad z osobami poszkodowanymi w powodziach. Pominę już absurd nieubezpieczenia się. Ale jedna z kobiet, którą za życia cztery razy zalała powódź ze szczętem, która cztery razy straciła wszystko, na pytanie, czemu nie sprzedali dobytku i nie przenieśli się wyżej, popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc, co do niej mówię, i odparła z jakimś jednak bólem: „Pani, to ojcowizna!”. Czyli do rzeczy. – Włączam dyktafon. – Kiedy i dlaczego dojrzałaś do tego, że ci duszno w Mordorze, że praca w korpo cię wyczerpuje?

– Ciasno to mi już było po studiach, kiedy wskoczyliśmy do Unii i nagle granice stanęły otworem. Na początku szok: co z tym zrobić? Całe życie podróżowania tylko palcem po mapie sprawia, że nie umiesz inaczej. Zawsze wszystko wiedziałam geograficzno-podróżniczo-teoretycznie... Wiesz, w marzeniach. Czytałam książki, oglądałam programy, ale tylek trzymałam w domu. Bo jak?! Paszport, pieniądze... Wydawało mi się, że na to potrzeba wora z kasą. Miałam jednak Mistrza! Mój dziadek był podróżnikiem, taternikiem, kaukaźnikiem... moim globtroterskim idolem. W weekendy często po obiedzie organizował pokaz slajdów dla rodziny. W sypialni nad dziadkowym łóżkiem wisiał taki obraz Matki Boskiej. Pamiętam go dobrze! Zdejmował go tylko wtedy, kiedy przenosiliśmy się do innego świata, który wyczarowywał nam z rzutnika na ścianie. Gasło światło, rodzina na tapczanie (lata osiemdziesiąte, wtedy sof nie było, u dziadków były tapczany) i na krzesłach, taboretach, gdzie kto dał radę... Wtedy Łódź zza okna znikwała, bo ja z Łodzi jestem tak ogólnie. W tamtych momentach u dziadków zaczynałam chodzić krętymi uliczkami chorwackich miast, po nadbrzeżach

skalnych greckich wysp, prawie czułam zapach tureckich smakołyków, o których dziadek opowiadał.

No i jak, powiedz, jak w takich warunkach nie poczuć tego czegoś, że świat gdzieś tam za drzwiami jest! Cały ciekawy i do zobaczenia. Już wtedy czułam, że ja chcę dalej, więcej, bardziej. To było we mnie. Kiedy tylko zrobiło się to możliwe, ruszyłam! Po transformacji, gdy już można było wyjechać, jeździłam oczywiście po tych Londynach, Paryżach, Barcelonach, greckich wyspach, chorwackich miastach i tureckich bazarach. Wtedy jeszcze nie zajarzyłam, że można samemu. Zresztą lot wówczas można było tylko przez biuro kupić. No jak coś pobukować bez internetu? Bo wtedy, „proszę państwa, drogie dzieci”, nie było internetu! Ani odrobinki. Wszystko ręcznie albo z trudem przez telefon. Każdy wypad z biurem podróży – grzecznie jak na klasowej wycieczce. Boże, jakie to dzisiaj wydaje się anachroniczne!

– A ten pierwszy raz, kiedy poczułaś zew?

– Pierwszy przebłysk, że można wszystko samej, że można z lokalesami dogadać się w nieznanym sobie języku (łamany angielski albo prawie żaden u nich i jako taki u mnie) i odkrywać samemu miejsca, których nie ma nawet na starych mapach. Tak było w Turcji. Z moim ówczesnym chłopakiem i jakąś tam spotkaną parką pożyczyliśmy samochód. Wyobrażasz sobie? Napotkani ludzie! Jaki luz! Tylko w czwórkę nas było stać na taką rajzę. Miałam starą kilkudziesięcioletnią mapę mojego dziadka z tamtych rejonów. Pojechaliśmy drogą z tej mapy. Czułam się jak Tony Halik. Niemal. Prawie cały dzień mocno w górę po drogach wyglądających jak dna górskich potoków. To było nieprawdopodobne przeżycie!

W środku niczego spotkaliśmy miejscowego z dwiema torbami lokalnych chlebów. Zabraliśmy go jedyną drogą wijącą się cały czas pod górę. Jechał z nami chyba z dwie godziny, po których wysiadł, wskazując na samotnie stojącą chatę na drugim zboczach, do której i tak musiał jeszcze iść zapewne godzinę czy dwie. Wtedy śmialiśmy się, że żona pewnie w pełnej zaskoczce będzie, bo szanowny małżonek dziś tak wcześnie – zamiast o osiemnastej to już o czternastej jest w domu. Wtedy też zdałam sobie sprawę, że ludzie tak żyją, że ten chłop musi pokonywać tę drogę co kilka dni, w towarzystwie tylko rozpalonych skał, jaszczurek i w żarze dnia, żeby przynieść do domu tygodniową porcję chleba. A może dochodził do pracy, a chleb przy okazji? Filmy o świecie były wtedy inne, był folklor, ale taki ustawiany, z lekka kolorowany, filtrowany. Czasem Tony Halik, ale on był zawsze w dziczy. Nagle zobaczyłam, że ludzie naprawdę mieszkają cały dzień drogi od innej najbliższej wsi, w górach, w środku niczego. Chciałam to życie jakoś zgłębić, nie z Halikiem, tylko sama, po tych bezdrożach jeżdżąc i się gapiąc.

– W Polsce w Bieszczadach miałabyś to samo.

– Wiem, wiem, ale mnie ciągnęło w szeroki świat. Bieszczady za ciasne dla mnie, no przepraszam. W świat, którego mi tak skąpiono w szkole, a w telewizji pokazywano go niemal tak jak lądowanie człowieka na Księżycu. A przecież życie jest na każdym kontynencie. Dla mnie książka do geografii była jak science fiction. Ameryka? Kolorado? Antarktyda? Równie realne jak Mars i Księżyc.

– Dla mnie też – wtrąciłam. – A przecież jestem od ciebie starsza.

– Serio? – Zaśmiała się i uprzejmie dopowiedziała: – A nie wyglądasz!

– OK. Co było potem?

– No to był tylko wątek uboczny, ale pociągnę go, bo dla mnie to było naprawdę mocne, fajne przeżycie. W razie czego wytniesz. Jechaliśmy w te góry z tą starą mapą dziadka. Po południu za kolejną górą miało być kilkukilometrowej długości jezioro, jak wół na tej mapie. Dojechaliśmy, wyglądamy zza góry w dół, a tam... pola, łąki, krowy, dziesiątki lub setki krów przeżuwających podmokłą trawę, wśród nich żurawie i inne brodzące ptaszydła. Okazało się, że jezioro wyschło! W końcu mapa miała już te swoje z czterdzieści, pięćdziesiąt lat, a może też była przedrukiem poprzedniej mapy, która miała ich sto pięćdziesiąt? Dzieciom uświadamiam raz jeszcze: NIE BYŁO internetu, nie śniliśmy o GPS-ie, nie było takiej liczby map, przewodników – NICZEGO! Jechało się niemal na pałę, na wariata. W nieznanie.

– Nauczyłaś się czytać mapę?

– O, tak! I jestem w tym dobra. Do dzisiaj nie ufam GPS-om, choć oczywiście mam w smartfonie różne ułatwiacze. Ale mapa to mapa!

– Kontynuuj!

– Zjechaliśmy więc nad tę łąkę, a tam kilka koślawych domków na palach i parę osób między nimi. Ekwilibrystyka językowa sprawiła, że dowiedzieliśmy się, iż jezioro, owszem, było. Pozostało jeszcze w śladach pamięciowych starszych mieszkańców. Domy na wysokich palach były też świadectwem jakiejś wody, która zmienia swój poziom. Kawalek dalej trafiliśmy nareszcie na jedyną gospodę w okolicy. W środku jeden, jedyny stolik i w kuchni jedna jedyna potrawa. Wspaniała! Jakaś duszona kozłina z warzywami z dość czerstwym chlebem. Wszystko było wspaniałe tamtego dnia!

– A twój pierwszy raz tak całkiem samotnie? Kiedy się przekonałaś, że możesz sama?

– To podróż do Kairu. Wow! Przeczytałam, że żyje w tym mieście dwadzieścia pięć milionów osób. To pół Polski! Totalnie się zachłysnęłam! Taki moloch! Wtedy już nurkowałam i mamie powiedziałam, że jadę na wyjazd nurkowy, taki zorganizowany. Chciałam jej oszczędzić nerwów. Do tej pory nic nie wie, więc mnie nie zdradź! Ha, ha, ha! A wtedy ten Kair to ja sama jedna... Nocnym autobusem się tłukłam z Synaju, dokąd doleciałam samolotem. Sama, mamó!

– A możemy się cofnąć? Jak to wyglądało z perspektywy panny, która mieszka w Warszawie, ma znakomitą pracę w korpo, w centralnym Mordorze, zaawansowała się i nie jest myszą, lecz raczej...

– A... tak. Byłam typową garsoneczką. Laptopówka i świetne buty, biust do przodu i... harowa. Byłam, wybacz sformułowanie, suką korporacyjną. Zarządzałam ósemką ludzi, ale gdzieś pod kopułką stale miałam zdradę.

– ?

– No, że to tylko środek do innego życia, że popracuję, zarobię i spadam.

– Nie podobało ci się? Miałaś pieniądze, władzę...

– Tak, i świadomość, że pomnażam jakieś iluzoryczne dobra, że jestem urządzeniem do zarabiania kasy dla kogoś, dla kogosiów, których nawet nie znam. A oni co z tą kasą robią? Budują nowe zakłady produkujące jogurt. Rozumiesz? Jogurt! Który wciskają wszystkim, na całym świecie przy mojej pomocy. Bo to moje biuro tworzyło

strategię sprzedaży w Polsce. Kiedy uczyłam moje podwładne, jak mają mówić o produkcie, jaką linię prowadzić, jak zrobić prezentację towaru, w środku pękałam ze śmiechu i czułam, że mój dziadek puka się w czoło i mówi mi: „Dziecko, to zsiadłe mleko z dżemem! Po co ta cała durna filozofia? Komu wciskasz te brednie o chwili rozkoszy dla siebie?”.

– Fakt. Żołnierka korporacyjna na tym polega.

– Prawda? Oni bywają czasem tak wymóždzeni, iż sądzą, że naprawdę robią coś mega, a tymczasem wysilają się dniami i nocami, żeby sprzedać coś – lakier do włosów, dżem, śrubokręt... Cały drenaż mózgów, żeby wymyślić, jak to opchnąć? Jakiego konia trojańskiego skonstruować, żeby wmówić szeregowemu Kowalskiemu czy Kowalskiej, że bez tego kefiru, śrubokręta, lakieru żyć nie może!

– Wkurzyłaś się?

– Tak, ale po dwóch podróżach, gdy zobaczyłam świat, poznałam ludzi, którzy żyją pośrodku niczego, gdy oni uścisnęli mi rękę i zrobili miejsce na ławce pod drzewem i nalali mi prawdziwego kwaśnego mleka, a nie chemicznej brei. To odwraca myślenie, zmienia wartość życia, bo masz kontakt z najprawdziwszą prawdą. Podróżując prawdziwie, nie myślę tu o resortach, hotelach *all inclusive*, ale o prawdziwym życiu, dotykasz jądra prawdy o świecie. Mieszkacie w resorcie?

– Tak – odpowiedziałam, czując się trochę winna.

– To coś ci powiem. Ludzie, którzy tam pracują, są dla was niewidoczni. Przezroczyści. Goście nie mają prawa ich widzieć. Czasem widzisz pokojówki. Widzisz je czy tylko mijasz?

– No nie osądzaj mnie aż tak mocno. Widzę. Mówię im dzień dobry, uśmiecham się.

– No to rzadkość. Zazwyczaj to one mówią, a ludzie im odburkują. I powiem ci, że one, oni – pracownicy średnich i niskich szczebli – nie jadają w hotelu. Bywają zatrudnieni za grosze, bez socjału i bez wyżywienia. Z tyłu pod hotel podjeżdżają wózki, pewnie takie widziałaś, rower i taka nadstawka, a w niej jedzenie. Baniak z ryżem, baniak z lekko podduszonymi warzywami, bańka z kulkami rybnymi i niby-mięsnymi. Podczas przerwy na lunch oni tam jedzą to jedzenie z wózka. W liść mają zawinięty ryż polany tymi warzywami. Czasem biorą rybę czy kulkę z kurczaka. Te kulki to i tak rozdrobnione mięso pół na pół z czymś tam, chyba mąką ryżową, więc mało protein. Po półgodzinie znów do roboty. Szefostwo traktuje każdego gorzej niż psa... Ja mieszkam z nimi. Od lat omijam hotele. To są wielkie koszty luksusu, który uznałam za zbędny.

– Dziwnie się poczułam – powiedziała z lekka urażona.

– Ach, przepraszam, ale z drugiej strony to dzięki turystom mają w ogóle jakąś pracę. Gdybyś zbojkotowała hotel, oni by nie mieli na szkołę dla dziecka, na meble czy życie. Generalnie zagadnienie spra-wied-liwości społecznej jest w rękach menedżerów, właścicieli i samych pracowników. Muszą dojrzeć społecznie. To nie twoja sprawa.

– A wracając do twojego ADHD podróżniczego...?

– O, ładnie to ujęłaś. Poczekaj, zamówię sobie sok. Tobie też? Proponuję znakomitą mieszankę. Grejpfrut, mango i ananas. Pycha!

Zrobiłyśmy przerwę. Przyszedł Antek i zamówił kawę. Zdziwił się, że jesteśmy

ledwie w połowie. Tym razem bez włączonego dyktafonu rozmawiamy o jej niechęci do wielkich hoteli.

– Wybacz – mówi, patrząc mi w oczy – głupio to brzmi, ale to kwestia wyboru, świadomości i oczywiście wiem, że to skomplikowane. To jak z bojkotem ciuchów szytych w Bangladeszu czy w innym biednym kraju. Bunt młodzieży w krajach bogatych nic nie da. Ci ludzie tracą pracę, bo zamówienia spadną i to wszystko. Właściciele i menedżerowie muszą zyskać pewien poziom wiedzy albo przy odrobinie szczęścia wrażliwości, żeby zobaczyć w pracownikach ludzi.

Antek się wtrąca:

– Wiśta wio, jak mówią. Generalnie masz rację, nasz bojkot hotelu narazi nas wyłącznie na niewygody. Resorty padną, ale setki ludzi zostaną bez pracy. Bo żeby przedsiębiorca płacił więcej człowiekowi, sam musi widzieć w pracowniku człowieka, a nie śmiecia. To teoria i ja ją nawet rozumiem, ale to utopia. Bo kto ma ich wychować? Nadto od piramid zawsze tak było, że bogaty ma narzędzia i ludzi do pracy. Zmieniła to rewolucja socjalistyczna. Komunizm ma piękne i szczytne idee, ale patrz, jak nie zadziałał! Uwolnił w ludziach to, co najgorsze, dlatego ludzie go nie chcą. Tylko wolny rynek!

– Owszem – wtrąca Estera. – Jestem w stanie się zgodzić, ale z inną świadomością społeczną. I mimo iż sądzisz... przepraszam, możemy być po imieniu?... że to idealizm, to mądre. Mądry idealizm. Potrzeba tu czegoś, czego niestety prawie nikt nikogo nie uczy – empatii. Jest w wielu fragmentach filozofii buddyjskiej, ale nie ma jej w religiach, ideologiach, w edukacji.

– Co masz na myśli? – pyta Antek. – Żeby nauczać współczucia?

– Tak! Dokładnie tak. Jak matematyki. Uczylabym od najmłodszego, że kot, pies, kolega, babcia to istoty czujące. Że jeśli zatrudniasz kogoś, to nie wolno go traktować jak powietrze, jak nikogo albo jak ścierkę.

– Powodzenia, idealistko – Antek odpuszcza.

Fakt, ma chyba inne zdanie i chce, żebym szybko skończyła, bo na plażę i okolice znów pada deszcz. Zwraca się teraz do mnie:

– Ja tam siądę i zrobię prasówkę.

– Wzięłaś tablet?

– A przypadkowo go znalazłem w torbie z aparatem. Nie przeszkadzajcie sobie.

Włączam dyktafon.

– Korporacja daje ci się we znaki... – przypominam.

– Tak, tak, a w głowie tli się coraz mocniej chęć następnego wypadu.

Najpierw zbierałam się w sobie. Dużo pytań miałam, bo młodzieńcze szaleństwo z Kairem było dawno. Potem się ustatkowałam, czyli praca i zarabianie, mieszkanko i życie na wysokim C. No i Marcin się pojawił. Mężczyzna na dobre i na złe. Patrz... znalazłam czas na miłość! – Uśmiechnęła się i zaraz kontynuowała: – Pojawiły się pytania: kiedy? Z czego żyć? Czy to na dłużej? Ja nawet nie wiedziałam, co to znaczy, bo czy na zawsze? Wiesz, to może śmiesznie brzmi, znaczenie słowa znałam, ale „zawsze”

to bardzo... trudne pojęcie. Nie analizowałam go jednak. Tak na wszelki wypadek, właśnie dlatego, że było trudne. A może na trochę? A ile to jest trochę? Miesiąc? Rok? Co z mieszkaniem? Kupiłam i totalnie wyremontowałam chwilę wcześniej, w kolorach Ameryki Środkowej, z hamakiem i dobrymi fluidami w środku... Jak to teraz je tak zostawić?! Poza tym jak kredyt spłacać? I jak zacząć delikatnie wprowadzać mamę w ten cały plan? Mamę, która się ucieszyła, że osiadłam i zaczęłam wieść życie mieszczyki. Bardzo współczesnej mieszczyki.

Miałam troszkę oszczędności, ale dużo więcej kredytu. Jak każdy! Wcześniej jako studentka przecież też wydawałam na podróże, nurkowanie, a potem ten remont mieszkania. Ale pomyślałam sobie, że taka rzecz jak pieniądze nie może uziemić. To było jeszcze z rok przed podróżą. W pracy udało się dostać... podwyżkę. Okazało się, że w domu mam mnóstwo ubrań, które leżą w szafie i się marnują, a i masę innych sprzętów, które chciałyby się zrealizować w akcji, a ja je trzymam głęboko w szufladach. Na przykład supernowoczesna mikro-fala, cudowności pralkosuszarka i tak dalej. Pomyślałam, że czas je uwolnić. Ja im dam drugie życie, a one mi sfinansują podróżę. W ogóle zauważyłam, że mam za dużo rzeczy, że one mnie zdominowały, że kupowałam bez sensu. Zaczęłam upływniać na Allegro czy eBayu wszystko, co było zbędne. A zbędna okazała się właściwie większość.

– Minimalizm? Czeka, to się dzisiaj już taki trend utworzył – mówię i szukam w głowie słowa, a Estera rzuca:

– Minimalizm ma jeszcze odłamy związane z różnymi tam, ale generalnie, żeby mieć tylko minimum rzeczy. To działa!

– OK. Sprzedałaś, co się dało, i...?

– Zrobiłam sobie budżet, taki prosty, żeby przyjrzeć się, na co wydaję, ile mogę odkładać. Ubywające z szafy rzeczy sprawiały, że byłam coraz bardziej... spokojna. Wtedy już polubiłam to dążenie do minimalizmu, które dziś się jeszcze pogłębiło. Teraz kocham to, że mam przy sobie tylko kilka rzeczy – sześć kilo obecnie – i niczego więcej nie potrzebuję do szczęścia. Serio!

– OK, ja to nawet rozumiem. Ostatnio po remoncie mieszkania wywaliłam kilka wiader i kilka pudeł dupereli. Ale wróćmy do ciebie. Jesteś już minimalistką i szykujesz się do wielkiego wyskoku. Z kim jako pierwszym się rozmówiłaś? Z chłopakiem, szefem, mamą?

– Pierwsza dowiedziała się mama, z którą mam świetny kontakt przez cały czas. Zawsze wszystko wie, a ja wiem, że niezależnie od tego, co bym zrobiła, mogę się zawsze do niej zgłosić, prze-gadać problem i uzyskać jej mniejszą lub większą aprobatę. Ona mnie zna i wie, że ja już mam ten dziadkowy gen podróżniczy. Już nie pamiętam jej pierwszej reakcji, chyba tylko tak trochę chciała się upewnić, że to nie na stałe. Martwiła się jak to mama, czy aby będę miała co jeść, czy będę bezpieczna. Cóż, też czasem o tym myślałam z rozsądku, ale to chyba ostatnia rzecz, która wydawała mi się problemem. Jedzenie? Jest prawie wszędzie.

Estera poprosiła o małą przerwę na siusiu. Rzucam okiem na Antka, który czyta coś w tablecie. Łowi moje spojrzenie i rzuca cicho:

– Ciekawa dziewczyna, odważna...

Teraz ja na moment znikam, a po chwili znów włączam dyktafon.

– Wiedziało też kilka najbliższych mi osób, nie rozpylałam wieści, nie chwaliłam się, potrzebowałam to sobie też w głowie poukładać. Może jestem spontaniczna, ale też lubię mieć porządek. To się wzajemnie nie wyklucza. Tymczasem wrzucałam kolejne monety do mojej świnki skarbonki, czytałam mnóstwo o Ameryce Środkowej – fikcji i faktów – poznawałam zdjęcia, smaki, zaczęłam też w pewnym momencie żyć życiem z belizeńskiej gazety, którą namiętnie przeglądałam przy porannej kawie w internecie.

– Belize to twoje marzenie?

– Tak. Wówczas tak. Przećwiczyłam z mamą Skype’a, Local-phone’a i inne wynalazki komunikacyjne. Wszystko było proste, a im dalej, tym prościej, bo mniej zostawało do zrobienia. Nie musiałam już nic, no prawie nic kupować, bo miałam przecież za dużo wszystkiego. Z całego serca chciałam się pozbywać, a pozbywanie się było jak oczyszczanie terenu ze śmieci. Kiedy już to zrobisz, to oddychasz z ulgą. Naprawdę!

– Co z pracą? Byłaś na wysokim stanowisku, zarządzałaś ludźmi. Prosta droga do kolejnego awansu, władza...

– Tak, i świadomość, że to tak naprawdę nie jest to, czego pragnę. Jak puste kalorie. Nie karmią mnie niczym oprócz oczywiście pieniędzy, ale to zamula. Zabiera czas na coś, czego nie widzisz, nie czujesz, żeby były realnie potrzebne, bo nasze konsorcjum stworzyło sztuczne zapotrzebowanie na produkty. Gdyby nagle znikły, nikt by nawet nie zauważył, nie są istotne. To ogłupiająca robota. W pracy powiedziałam tak ze trzy, cztery miesiące przed wyjazdem, a może i z pół roku. Mój szef Misiek to bardzo fajny gość. Chciałam jakoś łagodnie zagaić, żeby się nie przejął za bardzo. Wszłam do niego do pokoju na małą pogawędkę, powiedziałam, że wybywam z pracy na jakiś czas. Zmartwił i zapytał: „Cięża?”. „Nie, muszę wyjechać na dłużej”. Uśmiechnął się. „Nie ma sprawy – powiedział. – Na ile? Potrzebujesz resetu? Katmandu czy Norwegia? Tak ze dwa, trzy miesiące?” – zgadywał. U nas tak bywa, że cięża to dramat dla firmy, ale jakoś się to ogarnia, a sporo ludzi zapieprzających jak wariaci zatrzymuje się z anemią i wymóżdzeniem i jadą się wtedy regenerować do aśramów albo do Norwegii, Islandii, w dżicz lub do luksusu. Ale na to wystarczają trzy tygodnie, nikt dłużej w luksusie nie wytrzymuje.

– Serio? Wszystko pod nos...

– Właśnie. Już po dwóch tygodniach narasta poczucie winy: „Oni tam pracują, a ja tu...”. No ale wydaje im się, że gdy pływali w ciepłym morzu, pili drinki z palemkami i szaleli w nocnych klubach do rana, a potem leczyli kaca, to się zresetowali. Nic bardziej mylnego, ale to ich wybór. Powiedziałam Miśkowi, że muszę wypaść na rok co najmniej. Lekko go to zatkało, spochmurniał, nie zrozumiał. Ja miałam już właściwie z sobą wypowiedzenie wtedy i to był ten właśnie moment, kiedy się je wyciąga. Lubiliśmy się, więc spytał troskliwie: „To może weźmiesz urlop bezpłatny?”. I... wzięłam! Potem jeszcze pytali mnie inni szefowie, czy pół roku może mi wystarczy, ale ja wiedziałam, że nie, i nie bałam się mówić otwarcie, po co mi ten urlop, nie miałam przecież nic do stracenia. W głowie przecież już wręczałam papiery z wypowiedzeniem. Nie wiedziałam, czy wrócę, ale wydało mi się to od razu niezłym, a nawet uczciwym rozwiązaniem. Jest plan: rok podróży. No... mam jakby tę pracę w razie jakby co – taka mała furteczka. Ale

tak naprawdę to ostatnie opary niepewności uleciały. Decyzja zapadła, świat wołał.

Wtedy już się mocno we mnie tliło. Zaczęłam karmić się kolejnymi pomysłami. Podróże stały się jak powietrze i trudno było bez nich żyć. Pamiętasz tę starą piosenkę: „bo za jedną siną dalą druga dal”? To dla mnie był wówczas lęgnący się sens życia. Skracając, bo czytelniczki zasną – pewnego dnia ruszyłam!

Ameryka Środkowa mnie rozwaliła wewnątrz, czułam, że w poprzednim życiu musiałam tam być! Byłam jakby częścią tego świata. Meksyk, Gwatemala, Belize, Belize po raz drugi, Honduras z Salwadorem i znowu Belize, Nikaragua, Kostaryka i Belize, Panama i znowu Belize. Pewnie w poprzednim wcieleniu byłam Belizyjką... Belizenką? Chyba tak.

– Stale w drodze? Nie ciągnie cię dom?

– Nie. To jest jak choroba. Albo inaczej: jak poznanie drugiego życia, alternatywnego. Jest na wyciągnięcie ręki. Mogłabym nadal w garsonce i pantofelkach siedzieć w robocie do późna, wytykać błędy wystraszoną panną, ochrzaniać chłopaków, gromadzić rzeczy i pieniądze... I tylko powiedz, po co? Na jaką mi cholere góra tych urzędów, butów, szmatek, kremów, perfum? Na jakie lichy ta harowa? Żeby to kupować od innego producenta? Bo inna korporacja wymusiła na mnie wyrefinowaną kampanią reklamową kupowanie ich produktu, choć ja go nie potrzebuję? Mam to w dupie! Jestem wolna. Kto nie był tak wolny, ten nigdy tego nie zrozumie. Sześć kilo ciuchów, plecak i szlus!

– Komórki używasz.

– Tak. To mój jedyny luksus, bo to mapy, GPS, płatność, gdzie się da, aparat fotograficzny, translator, a nade wszystko kontakt z mamą i Marcinem. Ja dzisiaj wiem, że jestem kawałkiem tego wielkiego świata i nie widzę już możliwości ciągłych powrotów na jego kraniec do Polski tylko po to, żeby po chwili znów pokonywać tę drogę, żeby znaleźć się w miejscach, które kocham albo poznaję. Postanowiłam, że spróbuję inaczej. Moje życie za biurkiem mi nie wystarczało. Po powrocie wyłam już na lotnisku, gdy wysiadałam z samolotu. Płakałam z tęsknoty za zostawioną nowo poznaną ziemią w Ameryce czy Indochinach, lądując w Amsterdamie czy Frankfurtach. To nie mój świat! Moje życie było w podróży, wśród lokalsów, tubylców, prostych, przyjaznych ludzi. Z ich cudownymi dziećmi, problemami, ze łzami i śmiechem, z ich tańcem i codziennym życiem. Na drogach, przystankach, na falach, na straganie w dzień targowy, w ich chatkach, domkach. Na plażach, na których już podróżowałam dalej palcem po piasku. – Zamilkła.

– Ty jesteś chora – skonstatowałam. – Chora na podróżowanie!

– Chyba tak, ale to zależy, jak na to spojrzeć, bo z mojej perspektywy to ludzie, którzy dali się nabić w butelkę konsumpcjonizmu i wygodnictwa, są chorzy. Strasznie chorzy. I pocieszające jest, że nie jestem osamotniona. Weź Stasiuka. Też chory, gdy dłużej posiedzi w domu. Śwędzi go świat jak i mnie. No i masa innych.

– Co dalej?

– Już się tu nabyłam. Zaprzyjaźniłam, popracowałam. Nie cierpię Denpasar i resortów. Tych molochów, tych hoteli. Przepraszam cię, to nie moja bajka. Małe wysepki są ciekawsze, choć oczywiście nie mieszkam w chatce na palach wyposażonej

jak z reklamówki biura podróży. To dla turystów znużonych molochami. Za taką chatkę na miniwyspce płacą krocie. Nie ma tam prądu, jest luksus, ale bez niego. Codziennie dowożą słodką wodę. Są świece zamiast lamp, nie ma lodówki i bidetu. Toaletę za to spłukuje się wodą z pięknego dużego baniaka. Taka niby-prostota. Niby, bo po wyjeździe przyływa łodzią obsługa i porządkuje domek jak w hotelu... Ja mieszkam w chacie bez klimatyzacji, śpię na macie albo w hamaku, co mi dadzą. Pracuję, gdzie jest praca. Mogę się odżywiać owocami i ryżem, ale oczywiście staram się też dostarczyć organizmowi protein. Zbieram pieniądze na dalszą podróż.

– Dokąd teraz?

– Teraz? Dzisiaj wracam na Flores, to jedna z wysp. Pracuję tam na plantacji. Szef mnie wziął do biura. Zwykła biurowa robota. Pracowałam przy kawie luwak w hodowli, ale nie wytrzymałam. Straszny horror. Zwierzaki w klatkach i, wiesz... niehumanitarnie, nieludzko. Znów odezwało się pytanie o granice konsumpcjonizmu i pobłażania gustom znudzonych ludzi. Wolę każdą inną pracę. Moja lista podróży jest długaśna.

Czuję, że mam wszystko o Esterze. Żegnamy się serdecznie. Antek wstaje i też się żegna.

– Może dałaby się pani... dałabyś się zaprosić na obiad?

– Doprawdy chętnie, ale muszę zdążyć na autobus i potem na łódź. Kupię sobie coś po drodze. Zaglądajcie tu w zakątki. A macie mapę? – pyta Antka.

– Tak, została w samochodzie. Tu tylko na tablecie.

Pokazuje mu na mapie Bali miejsce i zachęca, żeby tam koniecznie dojechać.

– Ale widoki! – mówi zachęcająco.

Ściska nas oboje i odbiega w strugach deszczu, nakryta jakąś lekką kurteczką z kapturem.

– Jestem taki głodny, że zjem wszystko! – oznajmia Tosiek.

– Rozumiem, że biegniemy do samochodu? Nie mam parasolki...

– Jest! Chmurzyło się, więc przyniosłem, gdy gadałyście.

– Mówiłam ci, że jesteś cudowny?

– Ależ skąd! Ja to wiem sam z siebie, ale możesz mi to powtarzać często. Ja się nie rozbestwię.

– No to do hotelu?

– Skoro już tu jesteśmy, zjedzmy coś tu. Konia z kopytami bym zeżarł albo krowę z rogami. O! Krowa to znakomity pomysł! Widziałem tu gdzieś restaurację pod tytułem Steak-coś-tam. Chodź!

Tak, niektórzy mężczyźni miewają czasem tak, że muszą wbić zębiska w mięcho. Grzesiek mówił: „Budzi się we mnie zwierz, mamooooo! Befsztyka pragnę ja!”. Mirek lubił, ale nie wył, że jest zwierzem. Antek robi to pierwszy raz, ale przecież dopiero się pozna-jemy.

Rozpinam parasol i w strugach ciepłego deszczu idziemy w stronę knajpy, którą zapamiętał. Owszem, jest! Za targiem, na piętrze, osłonięta z lekka od ulicy długą loggią przypominającą kolonialne budowle. Miejsca są i w klimatyzowanym środku, i w owej

wielkiej loggii pod dachem, z przewiewem. Powietrze jest deszczowe, wilgotne, nieco chłodniejsze niż codzienny upał. Siadamy tuż przy barierce, koło kratownicy całej porośniętej wilgotnym pnączem.

– Dziwne – mówi Antek, wachając. – Pachnie czosnkiem.

– To pewnie winorośl czosnkowa – odpowiadam dumna i blada, bo czytałam o niej kiedyś i zapamiętałam.

Antek pochłania steka giganta, ja o wiele mniejszego. Z ziemniakiem i masłem po amerykańsku. Bez surówek. Na deser za to wypijam świeżo wyciskany sok z ananasa i to samo zalecam Tośkowi.

– Czysta bromelinka, świetnie ułatwia trawienie białek! – reklamuję, ale on woli ohydłą colę.

– W hotelu wypiję łyskacza, też świetnie trawi.

– Łyskacz? W życiu! Najlepiej to trawi orzechówka taty, ale od biedy może być underberg.

– To niemieckie na ziołach? Brrrrrrr – otrząsa się. – Po co mam sobie psuć smak? Stek był bajeczny! Teraz to bym pospał.

Deszcz ustał. Ulicą znów wali tłum ludzi. Niektórzy mokrzy, inni nie – widać przeczekali. Dzieci taplają się w ciepłych kałużach, skaczą bosymi nóżkami w sam ich środek i rozbryzgują. Wszystkie dzieci świata to uwielbiają!

W hotelu morzy nas sen. Popołudniowa drzemeczka. O, tak!

Maile, czyli kontakt ze światem

Jeszcze kilka dni przed nami.

Spotkanie z Piotrem, a właściwie z Teresą dzisiaj po południu. Na śniadanie znów staram się jeść potrawy nietypowe. Rogaliki z dżemem i sadzone jajka są dla mnie śmiertelnie nudne. Antek je uwielbia i zajada jak Anglik. Bez fasolki, ale z bekonem. Dziwi go moja miseczka z codziennie innym daniem – raz japońskim, a raz indonezyjskim. Zjadam to, żeby skosztować ciekawostek. Jadłam już *dashi* z ryżem i płatkami ryby bonito, zwykły cienki kurzy rosółek z makaronem i kłaczkami kurczaka z paseczkami wodorostów kombu, kleik ryżowy na delikatnym bulionie z warzywami i z cienko ciętym w paseczki smażonym jajkiem. Dzisiaj indonezyjskie *nasi kuning* – ryż z kurkumą i warzywami, z fajnym kwaskowatym sosem. Potem ta łagodnie wędzona ryba, którą jem prawie codziennie, bo jest pyszna, i tutejsze owoce – najdziwniejsze, jakie znajduję na stole. Jeszcze kawa z mlekiem i mogę iść, choć około południa robię się głodna.

– A widzisz? Gdybyś zjadła dwa albo i trzy jajka, tobyś wytrzymała do popołudnia!

– Tylko po co? Ja lubię jeść nowości!

Szybko wsiedliśmy do samochodu. Antek już wodził palcem po mapie, gdy ja rano łązienkowałam. Jedziemy, bo Estera mówiła, że w tym miejscu, które sugerowała, będzie trochę pięknych widoków. I prawda! Najpierw przejazd do Denpasar i znów te hordy motorynek i skuterów. Potem skręt w innym kierunku niż na Kutę i jedziemy na spotkanie dzikiej części Bali. Estera ma rację. Część turystyczna jest nudna. Wszystko zawałone ludźmi. Tłok i hałas.

Teraz jesteśmy na wyjazdówce. Proszę Antka, żeby zwolnił. Niska, jeszcze brzydsza zabudowa, domy stare i być może kiedyś ładne, ale dzisiaj potężnie zniszczone przez czas i wilgoć. Na odłupanych tynkach zacieki, ukruszone kawałki okien, balkonów i nadproży, dojmujące uczucie... brudu? Nie. Chyba bardziej rozgardiaszu, bałaganu, choć brudu też. Wszystko, każdy dom, mur, każde ogrodzenie są zajęte przez niezwykle wszędobylską roślinność. Tak, tak! *Jumanji* jest doskonałym porównaniem. W tym filmie rośliny w mig pożarły świat. Tu dzieje się to wolniej, ale widać, że każdy właściciel obejścia musi ciąć, wrywać rośliny, żeby zachować odrobinę miejsca dla siebie. Na opuszczonych parcelach roślinność żyjąca wolno zawłaszcza teren niepodzielnie po ostatni centymetr. Migiem.

Po drodze mijamy teraz podobną do poprzedniej dzielnicę warsztatów i warsztacików, czuję w powietrzu charakterystyczny zapach smaru i ropy. Ciągnie się to i ciągnie, ale nic dziwnego, skoro tyle osób korzysta z tanich środków lokomocji. Teraz mijamy hurtownie budowlane – większe i mniejsze. To taka robocza część miasta. Wreszcie trochę zabudowań prywatnych, przedmieścia i wyjeżdżamy w teren.

Szosa nadal dość wąska, jednopasmówka, dwupasmówka, miejscami remontowana. Po bokach kipi roślinność, mijamy jakieś chaszcze, łąki i pola. Mało uprawnych. Na takie miasto? Nie widzę też gospodarstw rolnych. Za to po lewej w oddali

majaczą jakieś porośnięte lasem równikowym wzgórza. Pogoda piękna, widoczność dosko-nała. Fakt – rozglądanie pożądane, ale chyba trzeba zjechać z głównej drogi.

– Jeszcze nie teraz. Estera mówiła, że gdzieś, czekaj... tu. – Pokazuje mi na mapie, bo zatrzymaliśmy się na marnym poboczu. Nasz samochód to terenówka i gdy otworzyliśmy wszystkie okna, jechało się nim jak kabrioletem. Klimatyzacji nie ma i ma nie być. Szczególnie po rozmowie z Esterą. Klimatyzacja jest dla cieniasów!

– Podziwiam ją – wspominam moją rozmówczynię.

– Esterę? – załapuje Antek. – Czy ja wiem, czy to jest do podziwiania? Ile jest takich? Jak długo zamierza tak wędrować?

– A czemu miałyby przestać? Bo tobie z tą myślą niewygodnie, że ona cały czas w drodze?

– Ha! A mi co do tego? Ale sama pomyśl. Dałabyś radę z sześciokilowym workiem żyć tak kompletnie bez udogodnień?

– Ona żyje. Zdaje się, że to trzeci rok tej jej obecnej wędrówki. I końca nie widać.

– No, wybacz, ale to rodzaj fanaberii.

Wściekłam się.

– A jakim prawem ją osądzasz? Jest wolnym człowiekiem i korzysta z tej wolności. Na swój sposób i na własny rachunek.

– Jasne, ale nie chcę wywoływać wilka z lasu: dopóki coś się nie stanie.

– Oczywiście. Ma kotwicę w postaci portu, do którego może wrócić, i nie robi niczego zdrożnego.

Widzę, że Antek jest skłonny do ciągnięcia dyskusji, ma inne zdanie, ale tylko wzrusza ramionami. Milczymy. Droga piękna, niebieskie niebo, pęd powietrza chłodzi. Jesteśmy na Bali, a ten się wziął za ocenianie nieznannej mu kobiety! Trudno. Pomilczymy zatem.

Wreszcie nie wytrzymuję:

– Feministą to ty chyba nie jesteś?

– Aaaa... skąd taka konstatacja?

– No bo chłopaka wędrującego to byś tak nie ocenił.

– Jak?

– Tak... dość nonszalancko. Jakbyś miał jej za złe albo uważał, że udaje, bo kobieta.

– Teraz ty mnie oceniasz.

– No ale nie jest tak?

– Nie jest. Twierdzę tylko, i może się mylę, że tak się nie da całe życie.

– *Pourquoi? What for? Proč?*

– Bo to niezwykła rzadkość u pań właśnie. Wanda Rutkiewicz też wracała do domu, Elżbieta Dzikowska, Beata ta, no Blondynka...

– Pawlikowska – podrzucam mu. – Ale każdy zawsze wracał do domeczku: Kapuściński, Cejrowski, Halik, Czajkowski, a to faceci wszak.

– No sama widzisz. Wracali! A ona się tak śmiesznie zarzeka, że nie lubi.

– Zaraz, a musi koniecznie tęsknić „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem”? Musi?

– Niby nie – mówi Antek i wiem, czuję to, że chce uniknąć dalszej rozmowy.
– Tosiek. Ona co prawda ma w Polsce miękkie lądowanie, bo mama, bo chłopak, jak każdy, ale teraz ma fazę wędrowania i to mnie, wiesz...
– No właśnie. Co?
– ...zachwyca. Szanuję ją za odwagę.
– Czy za lekkomyślność?
– Każdemu może się coś złego zdarzyć. Każdemu. Ale jeśli tak, to nie powinna nawet z domu wychodzić, bo ją tramwaj potrącić może. Wybacz, ale zrzedzisz.
– Zrzedzę? Ja zrzedzę? Dobrze, czekaj, zaraz cię tu zostawię na poboczu i obrażony odjadę w siną dal. – Roześmiał się trochę sztucznie.

I ja wiem, że zrobił genialny unik, żeby się nie kłócić. Podejrzewam, że Estera wzbudziła w nim respekt. Taka młódka? To on się wyrwał z Polski dumny z siebie, dał nogę w ten okrutny świat, dźwigając na plecach bagaż goryczy, zapewne jakiegoś lęku, i dał radę, bo jest silnym facetem, a ona, panna, która ganiała w szpilkach i garniturze, jest od nas dziesięć razy bardziej zaprawiona w podróżach?! Z niejednego pieca placki jadła? Z niejednego morza małże upieczone nad ogniskiem? Spała na polepie, na liściu palmowym... I ma plecak z sześciokilowym majątkiem. Ten plecak też mnie wprawia w zdumienie.

– Ja ją szanuję i podziwiam. Ona pije własny los prosto z... włas-nych dłoni – zakończyłam literacko.

Antek zahamował. Drogę przebiegł nam mały chudy pies.

– Tu skręcamy – zdecydował.

Szosinka wiodła w dzicz, w pola i łąki. Już widać, że to nie droga główna czy nawet główniejsza. Minęliśmy kilka wiosek i w pewnej chwili wjechaliśmy do wsi, w której najwyraźniej każdy jest producentem cementowych rzeźb. Do ogrodu albo przydomowych kaplic, a nawet świątyń. Jak uprzedził Piotrek, mamy zwracać uwagę na przydomowe prywatne świątynki!

Zatrzymaliśmy się, zaparkowaliśmy samochód, bo wiadomo, że będzie wielkie fotografowanie. Podobno wolno nam i nikt nas nie poszczuje psami. Ja fotografuję telefonem, zwyczajnie, ale Antek już taszczy torbę, wyjmuje sprzęt. Nakręca porządny obiektyw. On znajduje swoje rzeźby, a ja swoje. Ludzi właściwie nie widzę. Jest południe, ciepło, widocznie wszyscy są w domu, może w pracowniach? Jedyne żywe istoty to ptaszki ciekawie się nam przyglądające, siadające na czubkach koczka młodego Buddy czy wymyślnej fryzurze pięknej pani. Obok niej siedzi małpa z betonu jak żywa. Dalej jakieś ogrodowe gnomy, strachy, dziwaki. Najbardziej mi się podoba rzeźba młodego Buddy śpiącego na brzuchu. Ma podłożone ręce pod twarz, a jego ciało zagłębia się w trawę, jakby leżał pod... zieloną kołdrą.

Tych rzeźb ilustrujących miejscowe podania i wierzenia są setki. Przed każdym domem ogrom ich, jak tłum uliczny. Są monstrualne smoki i stylizowane lwy, jaszczury i piękne boginki, groźni wojownicy. Antka widzę w oddali – też jest pochłonięty pstrykaniem. Musi mieć znakomite ujęcia, światło... Widzę opodal mnie na łączce między domostwami ogromne drzewo. To figowiec bengalski, banian. Wiem, bo mieliśmy w jednym z numerów czasopisma fotografię podobnego z Mauritiusa i cały

tekst o nich. Te drzewa urzekają liczbą zwisających pędów, które po osiągnięciu ziemi ukorzeniają się i drzewo zyskuje jakby dodatkowe pnie. Gdyby ich nie podcinać, figo-wiec zyskałby mnóstwo takich pni, a rozłożyste gałęzie – podpory. W owym tekście czytałam, że banian może nawet zacieniać około dwóch hektarów powierzchni. Siadam na ławeczce w takiej naturalnej altanie jak pod wielkim parasolem. Ludzie zazwyczaj podcinają pędy, ale i tak wewnątrz pod koroną jest cieniste, wielkie i wygląda jak secesyjna rzeźba.

Niedaleko stoi ołtarzyk wotywny, całkowicie zaśmiecony talerzykami, które kobiety z tej wsi stawiają przed nim kilka razy dziennie. Dzieje się tak w każdej wsi i na każdej ulicy miasta. Talerzyki są z liści, a na nich leżą kwiaty, ryż, ciasteczko i woda. Stawiane są jedne na drugich. O ile pożywienie zjadają szczury, wygłodniałe psy albo ptaki, o tyle reszta wala się pod ołtarzem i wokół niego, tworząc zwykły śmietnik. Robię fotki, bo jednak coś w tym przyciąga uwagę. Kobiety, zwłaszcza stare, oprócz wykonywania prac domowych masowo wyrabiają ręcznie z liści owe talerzyki. Widziałam to na targu.

Antek już się wysycił jako fotograf, szuka mnie wzrokiem, macha ręką.

– Wiesz, tam na końcu wsi jest ciekawostka. Mieszka tam bogaty gość, zamożna rodzina, i oni mają koło domu prywatną świątynię. Warto zobaczyć!

– Wpuszczą nas?!

– Tak, syn takiego tu kamieniarza, anglojęzyczny nawet, powiedział, że tak. Tam teraz przepięknie jest. Mówi, że pojutrze będzie jakaś uroczystość i kobiety ustroiły wewnątrz.

Wsiadamy w samochód, jedziemy. Istotnie prawie na końcu wsi widać sporej długości bogato rzeźbione ogrodzenie. Wejście jest z boku. Niestety koło bramy stoją trzy samochody. Ktoś nas uprzedził. Gdy parkujemy i zaglądamy ciekawi na podwórze, Antkowi gębusia się uśmiecha. Nie dość, że faktycznie to teren rodzinnej świątyni, uwijają się tu jakieś miejscowe babki i młode panny, zdobiąc rzeźby bóstw girlandami kwiatów, bukietami i liśćmi, wycinankami, koralikami i złożonym papierem, to jeszcze jest jakaś sesja... Prześliczne kobiety ubrane w narodowe stroje, przemyślnie ufryzowane, umalowane, są ustawiane przez choreografa do kolejnego ujęcia. Pan pogania, pokrzykuje do tłumaczki, a ta grzecznie tłumaczy, jak mają mieć ułożone ręce, bo kobiety to Europejki, a może Amerykanki? Kanadyjki? Niestety panie się droczą i upierają, że teraz ich dłonie mają pokazywać co innego. Nagle słyszę słowa miłe moim uszom:

– Niech ona mu powie, pacanowi jednemu, że my musimy mieć jedno zdjęcie z naszą nurkową okejką!

– *Five minutes break, please!* – woła pan fotograf naburmuszony i zmęczony.

Podchodzimy bliżej zwabieni polską mową. Gdy panie mają małą przerwę na poprawienie urody, ja zagaduję śliczną brunetkę pijącą wodę najbliżej mnie.

– Polki?

Spogląda mi prosto w oczy i z uśmiechem, dumą odpowiada:

– A Polki! Małgosia – przedstawia się.

Siedzimy i pogadujemy sobie. Antek uzyskał pozwolenie i trzepie nam zdjęcia, innym pannom też i świątyni, i rzeźbom. Fotograf znikł. Małgosia zapytana, co tu robią,

odpowiada:

– To koleżeński wyjazd nurkowy. Ale też postanowiłyśmy sobie zrobić balijską sesję. Podczas przebierania i malowania pani opowiedziała nam o znaczeniach stroju, koloru, gestu. Troszkę ciekawostek.

– A – pytam, wskazując dziewczynę na wózku – koleżanka też nurkuje?

– Lara? Też! W wodzie jest prawie pełnosprawna!

– Skąd jesteście?

– A to różnie. Ja na przykład mieszkam od piętnastu lat w Lizbonie. Dziewczyny z Polski.

– Lizbona? Co cię tam zaniósło?

– Krótka przygoda miłosna. Już jakieś piętnaście lat temu! Kiedy się skończyła, pomyślałam ambitnie, że nie wrócę do Polski z płaczem tylko dlatego, że mam złamane serce. Trochę studiowałam, pracowałam oczywiście tam.

– A teraz? Nie pracujesz?

– Teraz mam własną firmę. Właśnie otworzyłam filię w Barcelonie, a mam już dwie – w Madrycie i Porto.

– O! Czym się zajmujesz?

– Cycuszkami! – Małgosia śmieje się perliście. – Prowadzę sklep z damską bielizną i jestem braffitterką. Mam świetny personel, znakomite modele. Nie wierzyłam, że aż tak to pójdzie, wiesz? Ale kobiety polubiły wreszcie własne piersi na tyle, żeby o nie dbać i umieć je... nosić. Stanik to ważna rzecz nie tylko z powodu urody, ale i zdrowia. Patrz! Już ci wykład robię!

– A skąd to zainteresowanie? Co robiłaś wcześniej?

Małgosia pije wodę delikatnie, żeby nie zmasać mocnego makijażu, poprawia kwiaty we włosach i kontynuuje:

– Jestem po warszawskiej ASP, wzornictwo przemysłowe. Pracowałam zazwyczaj w zawodzie jako graficzka, udało się. Potem były różne pomysły, aż wystrzelił ten z bielizną. I zupełnym przypadkiem mam piętrowy lokal w samym centrum Lizbony. Centrum to wielki bonus.

– Odwiedzę cię. Marzy mi się Lizbona od zawsze. I co? Nie wracasz do Polski?

– Nie. Po co? Świat jest tu szerzej otwarty. Dusi mnie polska ksenofobia, ciasnota przekonań i – jakkolwiek to źle zabrzmie – brak kultury, a zwłaszcza uśmiechu.

Zmieniam temat i kończę niestety, bo widzę już, że pani stylistka niepokoi się, a fotograf już przestępuje z nogi na nogę.

– Osiem kumpelek, nurkowanie, Bali? Co jest tu nutą przewodnią?

– Przyjaźń, serdeczność, poznawanie kolorów świata, choć nie zawsze są to kolory optymizmu. Wiesz, że Bali tonie w islamie?

– Słyszałam...

– To równie pozerająca i władcza religia jak katolicyzm. Zalewa Bali i wyniszcza starsze wierzenia. Szkoda. Może się stać tak, że nie spotkamy się tu za pięć lat, bo świątynie przydomowe poświęcone wierzeniom miejscowym będą zakazane, a nawet zniszczone jak w syryjskiej Palmirze, w Mosulu... To straszne. Poza tym Bali wybrałyśmy demokratycznie! Tu jest mnóstwo ciekawostek na styku piękna i brzydoty.

To fascynujące, jak czasami potocznie postrzegana przez nas brzydota jawi się jednak jako piękno! – zakończyła woła-na już przez koleżanki.

– Idź, Małgosiu. Żałuję, że nie mogę dłużej z tobą rozmawiać.

– Odwiedźcie mnie w Lizbonie! Zostawiam ci wizytówkę. Pa!

Małgosia bierze swój biały pachnący kwiat, jakie one wszystkie mają misternie wplecione we włosy, i wpina mi. Żegnamy się z resztą dziewczyn.

– Wiesz – mówiłam do Antka już w samochodzie. – Żałuję, że nie porozmawiałam z każdą z osobna. Każda z nich to jakaś historia.

– Tak, ale one w większości warszawianki. Nie wpisują ci się w temat.

– A ty skąd wiesz?

– Rozmawiałem z jedną z nich. Z... Grażyną chyba, tą, która się opiekuje tą na wózku. Wiesz, że ona nurkuje?

– Wiem. Po to tu przyleciały!

– Ma pod wodą opiekę, bo to paraplegia niestety. Ale wiesz... podziwiam.

– A ty zanurkujesz? Nie jesteśmy na to za starzy?

Antek zmarkotniał.

– Kurczę, taki byłem zachłyśnięty pracą, że kompletnie o tym nie myślałem. – Zjechał na pobocze, objął mnie mocno i powiedział: – Ale jeśli tylko dasz radę być ze mną, to o niczym już nie zapomnę. I na nic nie jesteśmy za starzy. Co najwyżej zbyt wygodni, nie dość wygimnastykowani, ale nie za starzy. Z tobą chce mi się podróżować i w ogóle wszystkiego mi się chce. Zwłaszcza... jeść. Nie jesteś głodna? – spytał już zupełnie odromantyczniony.

– Jestem! O, jestem! Ale zobacz, jakie tu pustkowie! Spójrzmy na mapę. Co my tu mamy zobaczyć jeszcze?

– Pola ryżowe. Kawalek dalej. Pokaż mapę. O, tu jest jakaś miejscowość i tu. Może coś będzie? A jeśli nie, skręcamy na główną i patrz, tutaj jest jeszcze większa miejscowość. Jedziemy.

Daje mi buziaka i patrzy tak, że nie mam wątpliwości, że znów był to rodzaj wyznania. Niedotyczącego jedzenia, ale tego, że chce być ze mną. Mimo wszystko to rodzaj... romantyzmu.

– Małgosia nas zaprosiła do Lizbony – rzucam niby nic.

– Mamy przed sobą cały świat, moja ty... Jak to się nazywa to pachnące?

– Frangipani.

– Mariannapani.

– Jedź! Jedź, Tosieczku, bo zgłodniałam jak młodziak po seksie.

– He, he... Bo my jesteśmy młodziaki, tylko takie trochę starsze!

Szukamy knajpki. Mijamy grupy uczniów. Widać tornistry i szkolne stroje. Czyli prawdę mówiła mi Teresa, że szkoły, nawet te najbiedniejsze, nakazują nosić dziecku mundurek. Dziewczynki stąd mają pomarańczowe bluzeczki i zielone spódniczki

w kontrafaldę, chłopcy – zielone bluzy i czarne spodniki. Chłopcy biegają osobno, nawołują się, hałasują, a panienki szepczą i chichoczą.

– Ładne te dzieci, prawda? – pytam Antka i zaraz żałuję, bo głupio się zachowałam.

Oczywiście słyszę akceptujące „ehmmm”, ale on patrzy w mapę. Robię dzieciakom kilka zdjęć, pytając gestem, czy mogą. Chłopcy się ustawiają i prężą, żartując, a dziewczynki skromniej, dają się fotografować, ale nie ustawiają do zdjęcia. Serce mi się ściska na wspomnienie słów Małgosi o islamie. Czy któregoś dnia te dzieci już nie będą mogły tak razem wędrować do szkoły? Czy i te dziewczęta podzielą los nigeryjskich rówieśniczek porwanych przez Boko Haram? Ale Antek nie podziela mojego zdania o tym, że to obecne czasy zrobiły się takie bestialskie.

– Kochana moja, wojny zawsze były bestialskie. Nie zapominaj o brankach wziętych w jasyr dla uciechy żołnierzy, o odciętych dłoniach zwyciężonych za czasów cesarstwa, o obozach koncentracyjnych i Rwandzie. Świat, Maniu, podły bywa od zawsze.

Nie rozmawialiśmy więcej o dramatach.

Przydrożna knajpa. Niczego innego nie znaleźliśmy w tej „większej miejscowości”, która była ciut większa, miała duży sklep spożywczy, hurtownię mebli i knajpizona. Lokalnego, z sześcioma stolikami, ołtarzykiem koło wielkiego okna i sztucznymi kwiatami. Pora nieposiłkowa, więc pusto, ale pachnie jedzeniem!

Jedynie co jest, to *nasi goreng*, smażony ryż z warzywami i chyba kurczakiem. Pani w wieku poprodukcyjnym, to znaczy około sześćdziesiątki, ale zadbana, ładna, w wiśniowej bluzeczce i kolorowym sarongu, skromnie uczesana i uśmiechnięta, nie zna języków, więc nie umie powiedzieć, co to będzie. Pokazuje tylko garść ryżu i że usmaży. Mówi po swojemu, a ja rozumiem tylko „*nasi goreng*”, bo to tutaj popularne jak pizza w Europie. W każdym przewodniku figuruje jako sztandarowa potrawa Bali.

Zdobywam się na mowę gestu i dźwięk – udaję kurczaka, bo wołałabym coś jednak z proteinami. Pani wybucha śmiechem i kiwa głową. Zaśmiewając się wciąż, idzie na zaplecze zrobić nam jedzenie. W tym czasie z zaplecza wychodzi młodziotka i nieśmiała panna w wieku szkolnym. Może wnuczka? Przynosi nam widelczyki z plastiku i pałeczki jednorazówki w papierku. O, jest też łyżka. Są serwetki, jest flakon z wodą, której się boję, bo pewnie kranówa.

– Weźmy jakieś napoje, bo tego to ja się pić nie odważę.

Po chwili panna stawia przed nami miseczki z cienkim rosółkiem z kilkoma wiórkami warzywnymi i niemal natychmiast dostajemy po talerzu smażonego ryżu, w którym wyraźnie widzę drobno krojone warzywa, kawałeczki kurczaka i sadzone jajo pośrodku. Pachnie świetnie, inaczej niż w chińsko-wietnamskich budach w Polsce.

– O, lubię smażony ryż – mówi Antek i bierze pałeczki.

Sprawnie się nimi posługuje. Ja też staram się pałeczkami, ale jajko lepiej się je widelcem. Rosółek skropiony sosem sojowym i cytryną daje się pić. Do dość suchego ryżu bardzo pasuje, ale ja idę na łatwiznę. Wkładam sobie spore porcje ryżu do miseczki z rosółkiem. Tak jest smaczniej.

Pani z wnuczką stoją dyskretnie za ladą i robią kuleczki z masy mięsnej. Niby na nas nie patrzą, ale czujemy ich ciekawski wzrok i słyszymy szepty.

Najedzeni możemy jechać dalej w poszukiwaniu owego pięknego miejsca poleconego przez Esterę. I znajdujemy je dokładnie za tą wsią. Dosłownie kilka kilo-metrów i nagle naszym oczom ukazuje się wielka zielona kotlina o niebywałej kolorystyce, zwłaszcza że musiało tu padać niedawno, bo na poboczu są jeszcze kałuże.

Antek parkuje bezpiecznie, choć jest wąsko, i zabiera torbę z aparatem. Stajemy na samym brzegu kotliny, która zaczyna się tuż za szosową barierką.

– Ach, paaaaatrz! – wołam, choć Antek widzi i milczy w pełnym oczarowaniu.

Słońce świeci z prawej strony, dolina jest tak soczyście zielona jak świeżo zmielony szpinak. Krople wody pobłyskują jak na zmięczonym filmie. Dolinka ma głębokość kilkunastu pięter. Od góry do dołu po obu stronach pokrywają ją tarasy ryżowe. Gdzieś palmy, krzewy. Wszystko bajecznie skąpane w słońcu. Na dalekim tarasie widzę bawoła i kogoś, kto za tym bawołem brodzi w wodzie po kolana. Ale fakt, Teresa uprzedzała, żebym zwróciła uwagę na to, że na tych polach ryż występuje w różnych okresach dojrzałości! Od pola, na którym zaraz będzie sadzony, po zielone płaskie trawniki młodego, aż po rżysko, na którym cała rodzina kończy cięcie dojrzałego. Nad tym wszystkim niebieskie niebo z kilkoma chmurkami.

– Co za... pocztówka! – śmieję się. – Niemal kicz! I patrz, tam po lewej taka śliczna bladuróżowa bugenwilla, kryjąca jakąś komórkę, nadaje tej kotlinie tego kiczowatego wyglądu. Nie ma tu chatek. Są niewysokie murki oddzielające każdy taras i wiele subtelnych odcieni zieleni. Piękne zjawisko. Napatrzeć się nie mogę.

Mija nas samochód, hamuje i parkuje za naszym. Jakieś młode małżeństwo też zobaczyło ten widoczek. Idzie z aparatami. Szwedzi. Zamieniamy kilka słów o urodzie miejsca. Białorzęsy i rudo-włosy przystojniak opowiada, że jakby tak pojechać tą główną drogą, o, tam, skąd jadą, to tam jest kilka takich miejsc, ale ta dolinka faktycznie – najpiękniejsza.

Wracamy. Tym razem już lepszą szosą, żeby podziwiać inne widoki. Mijamy miasteczka i kilka wiosek, wiele ogromnych banianów, wiele kapliczek i przydomowych świątyń, charakterystycznych bram, a dalej pola, łąki i w oddali pagórki.

– Antek, czytałam na jakimś blogu, że to mógłby być raj, tylko że im się nie za bardzo chce uprawiać warzywa. Jedzą skromnie, a przecież to wszystko rośnie jak oszalałe! Warzywa, owoce! W domach podobno ubogo, ludzie często niedożywieni, a witamin mają wkoło, ile zechcą, tylko nie jedzą. Uważają, że owoce się uprawia dla turystów.

– Nie wiem, Marianno. To chyba nie jest aż takie proste. Nie mogą uprawiać czegoś, jeśli nie mają ziemi. Tu też własność jest osią konfliktu, a korupcja jest jak Himalaje. Tak Piotrek mówił.

– No i ten bloger też o tym pisał – dorzucam. – A taki rajski klimat! Zjadłabym arbuza! Ale takiego słodkiego jak ulep!

Do hotelu trafiamy na czas obiadokolacji. Może nieszczególnie głodni, ale zjadamy jakieś sery, oczywiście rybę, a ja owoce – ile mi wejdzie. Dzisiaj to arbuzy.

W recepcji czeka na mnie wiadomość od Teresy. Przekłada nasze spotkanie na jutro.

– Mamy wolny wieczór! – ogłaszam radośnie. – Poobijajmy się troszkę, co? Nad basenem poleżmy, a może morze jest na tyle ciepłe, żeby się wykapać?

– Świetnie!

Wkładam kostium, Antek – kąpielówki. Idziemy nad morze, gdzie niewielu jest już amatorów plażowania. Słońce poczerwieniało. Kąpiel nie jest fajna. Bardzo słona, gorzkawa woda, spora fala... Wychodzimy. Na szczęście można przepłukać usta winem. I to już koniec wieczornego plażowania, bo nagle... jak nie lunie! Taki deszcz działa na nas... pobudzająco, bo po ciepłym prysznicu wylądowaliśmy w łóżku, a po żarliwych pieszczotach i porządnym szczytowaniu odetchnęliśmy nieco, zamówiliśmy wino do pokoju i usiedliśmy, ja do maili, Antek do prasówki.

– Jak dwa stare dziady – powiedziałam kpiąco.

– Mów za siebie – odrzekł Antek z miną niepewną, czy przypadkiem się nie zezłoszczę. – Starzy to my będziemy! Nie wiem kiedy, ale na pewno nie teraz.

Teresa i papaja

Poranek zapowiada pogodę. Taka w kratkę ta pora deszczowa. Jak deszcz, to dosłownie prysznic, ulewa, ale ciepła. A jak słońce, to tropikalny upał. Choć podobno latem bywa goręcej. Przez otwarty balkon zagląda przesiane przez czuby palm słońce. Ślizga się po ścianach, po poduszkach. Słysząc ptasie odgłosy, jakże inne niż w Polsce! Stąd widzę tylko skrawek nieba i zielone liście oddalonych nieco drzew.

Tosiek śpi. Ja zaglądam we własne myśli.

Taka byłam już Zosia Samosia. Znajomi, a zwłaszcza znajome, po moim rozstaniu z Mirkiem pocieszały mnie, jak mogły, że sing-lizm jest naturalny, że to dostojne i dobre być samą i podobne brekekeks, jak mawiał Wańkowicz. To prawda, że można się przyzwyczaić. Można? Trzeba, bo co innego pozostaje? Oczywiście jest alternatywa – kolejny pies albo kot ze schroniska i rola psiej albo kociej mamy, ale to nie dla mnie. Naczytałam się o znanej malarce, która stworzyła psom raj na ziemi, który z czasem zamienił jej i psów życie w piekło. Wniosek z tego taki, że powodowała nią nie tylko wrażliwość, ale straszna samotność i... bezmyślność.

Nie. Nie dla mnie przygarnianie zwierzaków. Małe mieszkanie i społeczność domowa przewrażliwiona. Pani Helena z parteru ma taki słuch, że liczy kroki małego pieska sąsiadki z pierwszego piętra, choć w pokojach dywany. I spuszczenie wody liczy... Jest sama, stara i zwariowała. No do pewnego stopnia.

Nie chcę tak się starzeć. Po śmierci Lilki nie miałam żadnego planu na życie. Zresztą na własne można mieć, ale jak przewidzieć w nim miejsce dla kogoś? Partner to nie jest pies, chomik czy kanarek – nie da się go wybrać w schronisku ani w sklepie. Sądziłam, że zdziczeję w tej samotności, choć jeszcze nie jestem taka samotna i stara jak sąsiadki w tej mojej kamienicy, którą nazywam statkiem wdów, ale wciąż dość sensowna i młoda... Lecz latka lecą. Gdyby nie Tosiek, pewnie bym tak schła i starzała się w samotności.

Dotykam Tośkowego ucha. On się budzi, ale jeszcze podsypia, drzemie, zagarnia mnie w ramiona i całuje w czubek głowy.

– Sześć, Maniuszko...

To jakaś nowość. Maniuszko?

– Cześć, mój ukochanku – odpowiadam cicho.

Myśli mi się snują dalej. Pamiętam rozmowę w studiu telewizyjnym o seksie starszych pań. Opowiadały o tym odważnie i barwnie dwie sześćdziesięciolatki i... osiemdziesięciolatka. Pani Zuzanna spokojnie, elegancko i szczerze, że tak, nadal to robią z jej partnerem, że z mężem przez pięćdziesiąt prawie lat było okropnie, dopiero partner po śmierci jej męża pokazał, ile frajdy jest w seksie. A na widowni także starsze panie miały miny, jakby się cytryny z cykorią najadły. Jedna z nich nie wytrzymała i wręcz zakrzyknęła, że ona to taka głupia nie jest, żeby sobie na stare lata chłopa brać i gacie mu prac! Biedna. Miłość sprowadziła do prania gaci. Rozmawialiśmy o tym w redakcji. „To strach – powiedziała nasza psycholożka. – Może też takie gwałtowne zaprzeczenie czemuś, co jej się wydaje totalnie nieosiągalne, więc lepiej domalować temu niedoścignionemu celowi rogi i zęby i odrzucić? My czekamy na rycerza na białym koniu,

a zapominamy, żeśmy same utyte, ze zmarszczkami, cellulitem, że nam to i owo źle działa i nie jesteśmy księżniczkami”. Dlatego słowem się nie odezwałam o Jarku-Ofelii. Nie uwierzyłyby mi wtedy, że miałam gorący romans z kolegą z liceum, który wygląda świetnie, bo ćwiczy. Spojrzałam na Walę z działu kuchennego, która mi się kiedyś na zapleczu przyznała, że ma młodszego kochanka i błaga go, żeby po nią nie przyjeżdżał. To była dziwna chwila szczerości między nami, choć nic nas nigdy nie łączyło. „Wybacz, że ci to powiedziałam, ale musiałam z kimś pogadać, a ty wydajesz mi się tu najsensowniejsza” – stwierdziła zwyczajnie. Ale w zażyłość się to nie przerodziło, pracowała na drugim końcu redakcji, a po miesiącu odeszła do konkurencji. „Młodszy kochanek, no, no!” – myślałam z niejaką zazdrością. A teraz, proszę, mam i ja. Może nie młodszego, ale za to naprawdę fajnego.

Stale jeszcze go obserwuję i wiem, że też jestem pod obserwacją. To wciąż jeszcze etap obwąchiwania się. Szukam jakiejś wady, czegoś, co starannie ukrywa, tłamsi. Ale na razie nic... Mój fajny Tosiek, fajnie pachnący. To ważne, żeby lubić swój zapach. Nie, nie perfumy czy dezodoranty, ale naturalny zapach ciała. Antkowy mnie koi. Bez wątpienia jest feromonem wabiąco-uspokajającym. Marcin zawsze był stłumiony wodami kolońskimi i dezodorantami. Ofelia? Nie pamiętam. Często się kąpał, więc nie wyczułam. A Mirek? Nie wiem... też nie pamiętam. Rozmijaliśmy się i widocznie mi to umknęło.

– O czym tak rozmyślasz? – Słyszę wreszcie całkiem już wybudzony głos Antka.

– Filozofuję sobie.

– A... ooooo... o czym to?

– Teraz? O zapachach. Że lubię twój zapach.

– Ojejka, pewnie się spociłem w nocy i śmierdzę? – mówi spłoszony.

– Nie! Nie. O tym, że czasem zapach przyciąga, ten nasz naturalny, a czasem odrzuca i wówczas, choćby nie wiem co, związek nie wyjdzie. Feromony, dobór.

– A ty nie pachniesz – stwierdza, obwąchując mnie. – Umyłaś się i na noc też używasz dezodorantu. To niesprawiedliwe! – dąsa się i wstaje, ziewając. – Śnił mi się piękny sen! – Zmienił temat.

Oczywiście nie pamiętał, i dobrze, bo opowiadanie snów to infantylizm, którego nie lubię.

Po śniadaniu ogarnęliśmy się szybko, bo zaraz mieli wpaść Teresa i Piotr z propozycją.

– Najlepiej, gdybyście nas odwiedzili – mówi, gdy już przyszli. Ewidentnie zapomniała, że ma mi opowiedzieć ich historię. – Piotrek coś wykombinował fajnego na dzisiaj, więc mamy mało czasu. Kiedy wyjeżdżacie?

– Ach, no prawda. Za kilka dni – przypominam sobie.

Szczerze mówiąc, kompletnie zapomniałam o kalendarzu. Zdałam się na Antka, to jego urlop.

Piotrek musi coś ustalić w hotelu stojącym za parkiem. Antek idzie z nim. Nie lubi siedzieć, gdy ja z kimś rozmawiam. My mamy zatem pół godziny na pogadanie. Włączam dyktafon, a Teresa poprawia włosy jak uczennica, robi wdech i zaczyna dość szybko. Widać, że jest z lekka stremowana:

– Ale zmienisz nam imiona? Bo to jest taka historia z awanturką w tle. Jestem

troszkę, wiesz... *femme fatale*!

Śmieję się w duchu. Jaka z niej *femme fatale*? Wygląda na miłą i serdeczną istotę. Jest szczupła, młoda. Ma delikatne rysy, a pierwszego dnia, gdy zobaczyłam ją w chusteczce na głowie na gosposię, szortach i trampkach, wzięłam za opiekunkę Maksia. Bez makijażu jest świeża i taka zwyczajna w dobrym tego słowa znaczeniu.

– A Maksio gdzie? – pytam bez sensu.

– Maksio został z sąsiadką. Ona ma dwoje dzieci, a my się zastanawiamy, czy nas stać na przedszkole – tłumaczy się.

– OK, no to co to znaczy, że jesteś *femme fatale*?

– Byłam! W Polsce. To było tak, że... – Zamilkła nagle. – Wiesz... nie wiem, czy chcę o tym opowiadać. To takie prywatne.

– No dobrze – godzę się. – Ale jakoś to się zaczęło to wasze bycie tutaj?

– No tak... – Szuka słów i też namyśla się, czy mi opowiedzieć coś, co trzyma dla siebie. Nie skonsultowała tego z Piotrkim. Znam te rozterki, ale jako była dziennikarka muszę z niej to wyciągnąć.

– No to cofnijmy się w czasie. Jesteś w Polsce, masz pracę, Piotrek też. I?

– Nie, to nie tak. Jeszcze nie ma Piotrka. Piotrek... – zaczyna się, ale wreszcie przełamuje: – ...Piotrek pojawił się w moim życiu kilka razy. Był kumplem mojego ówczesnego, no wiesz, jak to mówią *fiancé*. Ale jakoś tak się porobiło, że za którymś razem... – milknie.

Widzę, że to dla niej niezbyt łatwa sprawa, więc odpuszczam, podpowiadając:

– Zamieniłaś ich miejscami.

– Nnno, tak. Tyle że mój były się trochę wkurzył, ale to normalne. Ja jestem „Krakowianka jedna”. Pracowałam w największym z portali internetowych. To był prestiż i frajda! I w pewnej angielskiej firmie. Nie miałam problemów z pracą. Praca mnie znajdowała, nie odwrotnie. A Piotrek był taki wówczas szukający siebie w tym wszystkim, zawodowo też poszukujący. Bo on nie z Krakowa. Widywaliśmy się, zanim nas „wzięło”, z rzadka.

– No ale strzelił w was piorun?

– Tak! I dlatego Piotruś się znalazł w Krakowie ze mną. Miał różne pomysły na siebie. Pewnego razu znajoma, która dużo podróżowała, zapytała mnie, czy nie chciałabym się z nią umówić? To było dziwne, bo nie byłyśmy specjalnie zaprzyjaźnione. Ona w kawiarni jak królik z kapelusza wyskoczyła z pytaniem o to, czy interesowałoby mnie zbudowanie biura podróży na... Bali. Myślałam, że śnię. Ja nie jestem jakąś tam gęsią, ale sama rozumiesz, tu nasze polskie realia, a tu ona wyskakuje z tym Bali, jakby mi proponowała pracę w Zakopanem.

– A ty co?

– Ja już byłam z Piotrusiem. Mieliśmy różne pomysły, zwłaszcza on. No to dzwonię do niego z tym tematem, a on zamiast jakiegoś „Oooo!”, „Ach, doprawdy? Serio, na Bali?” odpowiedział najzwyczajniej: „Pewnie! O której będziesz w domu? Ja już jadę. Co kupić? Obgadamy wszystko”. Sądziłam, że może niedostłyszał albo wziął ten pomysł za żart. Ale nie. Przy kolacji wypytał, o co chodzi, i już zaczął się drapać w głowę. On jest szybki...

– I co? Tak ot, pstryk i leciecie?!

– No nie. Od słowa do słowa zaczęliśmy to analizować, zastanawiać się. Całkiem na poważnie. Napisałismy biznesplan. Po pół roku poleciliśmy na Bali na wakacje, żeby zobaczyć, jak to w ogóle wygląda. Zresztą lecieliśmy w zasadzie tylko po to, aby potwierdzić naszą chęć założenia biura, bo decyzja zapadła już dawno temu. Piotrek jest jak wariat! Mocno go to wciągnęło. Potem oczywiście sytuacja przedstawiona przez moją koleżankę zupełnie rozminęła się z rzeczywistością, ale ponieważ powiedziało się A, energia i pieniądze włożone w projekt były na wysokim poziomie, zaczęliśmy na własną rękę poznawać warunki, kulturę, zwyczaje, możliwości, doświadczając wszystkiego na własnej skórze. Momentami... oj, nie było łatwo. Po powrocie z wakacji zaczęliśmy budować stronę internetową, zapoznawać się z broszurami, które zebraliśmy na wyspie, nawiązywać kontakty z hotelami i firmami organizującymi aktywności. To już było robienie interesu!

– Jak wam się tu mieszka? Przyzwyczyłaś się? Przecież byłaś mieszczką, krakowianką, „panną miejską, nie wiejską”. Tu masz ogród, rodzina daleko...

– No tak. „Rodzina daleko” to jest pewien problem i jak dla mnie to nierozwiązywalne. Ja tęsknię i kropka! Ale też jestem tu i... kropka. Myśmy wyjechali na przycgodę, na jakieś trzy lata i szlus!

– A jesteście...?

– Osiem. I końca nie widać. Mieszkanko, domek, nie jest może willą marzeń. Ale jest tu wszystko to, co potrzebne – prąd, woda i wygoda. Skromnie, funkcjonalnie, po mojemu. Piotrkowi wszystko jedno, jak twierdzi, abyśmy my byli obok, ja i Maksiu. Poczulałam się tu gospodynią nie tylko dlatego, że urządziłam nasz dom, ale też ogród! Tu trzeba uważać, bo jeśli nieopatrznie wbijesz w ziemię grabie, to one następnego dnia mają korzenie, a jeszcze następnego zakwitają. Z nasionka wyrosła mi piękna papaja, a bananowce odbijają od ściętych łądyg, z korzenia i jeszcze tego samego roku gotowe zaowocować! Muszę bardzo mocno w ryzach trzymać ogród, bo zarasta migiem!

– Co jest trudne?

– Świadomość, że wulkany nie śpią. Wstrząsają wyspami od czasu do czasu. Wtedy ma się ciary i lęk. Nigdy nie wiadomo, czy to tylko kaszel wulkanu, czy coś znacznie gorszego.

– Bałaś się kiedyś aż tak, żeby powiedzieć: „Koniec tego! Wracamy!”?

Teresa myśli chwilę.

– Tak. Raz tu u nas i raz na Jawie. Ale, jak widzisz, nadal tu mieszkamy, a Piotr pokazuje turystom wulkan.

– To trochę jak drażnienie smoka?

– Dobrze to ujęłaś. Tak. A poza tym to, co jest równie wkurzające i męczące, to trudny system. Tu jest okropna korupcja. Oni już inaczej nie umieją. To się stało obrzydliwą normą. Mnie to strasznie wkurza, ale Piotr się dostosował.

– Jak?

– Normalnie. Już go to nie wprawia w zakłopotanie. Inaczej się nie da żyć.

– A te smutne dość opowieści o tym, jak islam pożera balijską kulturę?

– Nie mamy na to wpływu, ale to też wkurza. Szkoda, bo mają swoje piękne

wierzenia. Widziałaś świątynie, ołtarze, rzeźby? Niedługo ich nie będzie. Ale na razie cieszymy się, że są. Kiedy islam już się całkiem tu rozpanoszy – wyjedziemy.

– A wasz syn? Przecież on w tej chwili zna tylko Bali.

– No, zna też Polskę, ale fakt, to dla niego egzotyka. On jest tu wychowany. Pomyślimy. Na razie, odpukać, jest moda na śluby na Bali, na wyprawy na wulkany, na nurkowanie i Piotrek ma co robić.

– Śluby?

– No... piękne bywają. Nad morzem, przy zachodzącym słońcu, ze śpiewającymi Balijskimi. Bardzo romantycznie.

Chciałam ją jeszcze pytać i pytać, ale panowie wrócili i Antek zapowiedział dość niepewnie:

– Piotr ponawia zaproszenie na... snurkowanie. Nie znalazł więcej chętnych. Co ty na to?

Teresa pożegnała się, bo ma pilne zajęcia. Właśnie urządza kolejny ślub z pewnymi ekstra wymaganiami. Patrząc zdziwiona na Antka. Piotr wyraźnie czeka na nas, więc się szybko godzę i oboje bierzemy z pokoju stroje kąpielowe.

W samochodzie witamy się z dwoma Polakami, Ryśkiem i Jurkiem. Tył dżipa wyładowany jest sprzętem do nurkowania. Panowie rozmawiają z Piotrkiem, my siedzimy z tyłu spokojnie. Nie wiem, czy mam ochotę na snurkowanie, ale OK, jadę z nimi. Darowanemu koniowi... Antek nastroszony, milczący, uśmiecha się czasem, ale widzę, że też nie ma pewności co do podjętej decyzji.

Ostroboki

– Co ci jest? – pytam na stacji benzynowej, gdy wszyscy wysiedli.

– No nie wiem, czy dobrze zrobiłem, ale Piotr nalegał. To jego problem, że się chętni wykruszyli, a nie mój. Ale się dałem!

– Żałujesz?!

– Nie wiem. Myślałem kiedyś o nurkowaniu, ale w Korei jakoś nie miałem czasu. A snurkowanie tylko z fajką jest chyba dla dzieci. Trochę głupio... Przepraszam.

– No wiesz. – Uśmiechnęłam się. – Nie spodziewałam się po tobie takich rozterek i kompleksików.

– Jakich znów kompleksików? Ci dwaj nurkują od lat, mają doświadczenie i sprzęt, a my jak te dzieci będziemy się taplać w wodzie po kolana... Głupio, no ale cóż, słowo się rzekło.

„Tu cię boli” – pomyślałam, bo panowie właśnie wrócili z toalety i Piotrek zapuścił motor. „W wodzie po kolana”? Ooooj tam! To kawałek przygody. Oni będą oglądać stary zatopiony statek, a my nie. Trudno. Ja snurkowałam dawno temu w Egipcie i nawet mam stamtąd bajeczną przygodę, ale opowiem ją Antkowi później. Jeśli w tej „wodzie po kolana” będzie ciekawe dno, to z pewnością uzna to za miłą rozrywkę. Naprawdę może być interesująco. Tu nawet nie kąpaliśmy się w morzu tak porządnie. Zaledwie kilkadziesiąt ruchów ramionami i wyszliśmy, bo fale i za słono. Antek troszkę popływał w basenie. Ja wcale. Nie chciało mi się. Być na Bali i nie pływać w morzu?

Ledwie wyjechaliśmy ze stacji, nadpłynęły chmury i zrobiło się tak, jakby miało padać.

– Rozchmurzy się! – pocieszał nas Piotr.

Rysiek i Jurek milczą. Są małomówni. Antek też. Więc milczę i ja. Niebo w chmurach, słońce się gdzieś schowało. No szkoda! Oboje czujemy, żeśmy się dali wkręcić w coś, czego nie planowaliśmy. Trudno. Biorę Antka za rękę. Zaskakują mnie jego ciepłe reakcje. Teraz też. Całuje mnie we wnętrze dłoni i uśmiecha się, jakby tylko na to czekał.

– Będzie fajnie! – rzuca pocieszająco.

Rysiek i Jurek mało rozmawiają. Pośmiali się tylko, zastanawiając, jak bardzo ich żony, które zostały w Denpasar, wyczyszczą im karty kredytowe na zakupach, a potem zamilkli. Mijamy wioski rybackie, pola i teraz już jedziemy morskim nabrzeżem. Wreszcie docieramy do celu. Jeszcze wąska uliczka i nadwodna dojazdówka do parkingu. Piotrek prowadzi nas do dziwnej knajpy, wyglądającej tak, jakby ją ktoś wyjął ze starego filmu. Lokal nie ma bocznych ścian, cały jest tarasem, werandą. Meble pamiętają holenderski kolonializm, a niegdyś kolorowe ściany przypominają zielonkawą mapę z zaznaczonymi tajemniczymi lądami z powodu złażącej płåtami farby. Węższa część werandy przylega do skały, choć między nimi jest metr ziemi. Zapora z murku zapobiega opadowi odłamków skalnych, a ów metr ziemi już dawno porósł pnączami i wielką paprocią, która wdziera się do środka. Tuż obok jest, o dziwo, toaleta. Staroświecka i z muszlą naznaczoną rdzawym pasmem żelazistych osadów. Sprawna – co za szczęście! Na długiej ścianie wisi lustro, równie stare jak korweta spoczywająca na dnie gdzieś tu

w morzu. Całe szczęście, że takie odrapane, bo jakoś tak... się dzisiaj sobie nie podobam. Za to pani za barem ciut młodsza. Nie ma jeszcze stu lat.

Panowie rozkładają i składają sprzęt, a my zamawiamy kawę.

– O, właśnie – zagaduje nas Piotr. – Może jutro chcielibyście zobaczyć plantację słynnej gównianej kawy kopi luwak?

– Nie, nie! – zaprzeczam gwałtownie. – To smutny proceder. Poza tym ja nie cierpię ogrodów zoologicznych.

– Ależ... – usiłował oponować Piotr, ale Antek dodał swoim zwyczajem:

– Nie lubimy takich miejsc. Sam wiesz, że to dzisiaj przemysł. Aż takimi kawoszami nie jesteśmy.

– A, no to OK. Chciałem jakoś, to tak... To ja pójdę z chłopakami i pokażę im, co i jak, potem wrócę i zabiorę się za waszą atrakcję. Tu jest co zobaczyć pod wodą, naprawdę! Może nie jest to rafa, ale naprawdę jest ładnie. – Nie zabrzmiało to szczerze.

Panowie poszli z Piotrem do wody, a Tosiek mruknął:

– W końcu zapłacona, to musi być atrakcyjna atrakcja, do licha!

Kawa jest pyszna – albo tak nam się zdaje. Wypijamy ją powoli, czekając na Piotra, który wraca po piętnastu minutach.

– No! To chłopaki wiedzą już, co i jak. Zatopiony statek przed nimi. A teraz wy, kochani! Macie tu maski i fajki. Snurkowaliście kiedyś?

– No, ja troszkę, a Antek...

– ...też troszkę – ucina Tosiek i szybko bierze maskę.

Piotr pokazuje nam palcem kierunek. Tam podobno, tak po lewej, jest co oglądać.

– Szkoda, że te chmury... – mówi do nas, jakby zapomniał zamówić pogodę.

Fakt, szkoda. I szkoda, że trudna plaża. Trudna, bo cała się składa z otoczków wielkości pięści. Żadnego piasku! Nielekko się idzie po takim nierównym i ruchomym bruku. Zostawiamy klapki na kamieniach i wchodzimy do wody. Nie jest bardzo ciepła albo to tylko wrażenie. Po chwili się zanurzamy. Będzie dobrze! Kładziemy się na wodzie i przyzwyczajamy do oddychania przez fajkę. Cały czas się obawiam, że zachłysnę się wodą. Wiem, wiem, to wyobraźnia, więc staram się oddychać miarowo, spokojnie. Antkowi poszło nadspodziewanie dobrze. Jak na pierwszy raz świetnie! Płyniemy. Dno zaczyna się robić coraz ciekawsze, oglądamy więc ryby, kamienie, niezwykle formacje podwodnego świata. Rybek coraz więcej – są małe i kolorowe. Nie tak bajeczne jak w Egipcie, gdzie jaskrawe słońce czyniło z tamtejszej rafy disneyowskie widowisko, ale ują.

Pamiętam doskonale moment, gdy płynęłam sobie, podziwiając dno, które miałam z metr zaledwie pod brzuchem, a tu nagle dno jakby zapadło się kilka pięter w głąb, aż mnie zatkało z przestachu, ale ja nadal płynęłam!!! Jak ptak w powietrzu! Miałam pod sobą głęboką dolinę, a ja... w górze! Płynęłam, podziwiając podwodne krajobrazy. Nie spadłam jak kamień zrzucony w otchłań! Już wiedziałam, jak się czuje byle mewa, jaskółka, gołąb! Cudowne wrażenie.

Wiem, że tu nic takiego nie nastąpi. Dno płaskie jak Mazowsze, nadto jest dość pochmurnie, co nie gwarantuje disneya. Nagle pojawia się wielka, kolosalna doprawdy atrakcja! Wpływamy w ławicę... śmieci. Dookoła nas dostojnie płyną torebki foliowe

wszelkich rozmiarów, grzebienie, pudełka po papierosach rozmokłe mocno, szczoteczka do zębów wyglądająca trochę jak konik morski, papierki po cukierkach, sreberka po batonikach, zakrętki od butelek i wszelkie inne paprochy i paproszki, odrzuty cywilizacji. W pewnej chwili oboje poczuliśmy mnóstwo drobnych ukłuć! Jakby wata szklana, jakby jakieś cieniuszkie włosie ostro wchodziło nam w skórę. Bardzo nieprzyjemne doznanie, niemal bolesne. Wypływamy z tej ławicy śmieci na płytszą wodę. Już nie ma klucia, ledwie mrowienie skóry. Nic nam nie jest. Oplukujemy się. Klucie przeszło. Wychodzimy na brzeg i czujemy oboje, że nam chłodno. Antek znajduje zegarek w ubraniu i stwierdza ze zdziwieniem, że snurkowaliśmy czterdzieści minut!

– Niemożliwe – mówi, wkładając suchy podkoszulek. – Czterdzieści?!

– Ja też myślałam, że krócej! A przecież nic ciekawego, no ciekawszego od kolorowej rafy tu nie ma! Kilka rybek, krewetek, muszelki i te... śmieci! – Parskam.

– Czulaś te igły? Co to było?

– Nie wiem, może jakaś... chemia? – myślę na głos.

Antek wraca z toalety, zahaczając o bufet. Niesie colę, szklanki i odrapane menu, na którym figurują cztery potrawy. Zupa vege, rosół z kurczaka i *nasi goreng vege* i z kurczakiem. Wyblakłe i odrapane fotografie talerzy nie zachęcają.

– Wiesz, co myślę? – Antek chwilę się zastanawia. – Że to mógł być jakiś zmodyfikowany genetycznie plankton, żywiący się czymś z tych śmieci.

– Nas też uznał za śmieci? Za strasznie stare śmieci? – mówię, zachowując powagę.

– Oooo! Mów za siebie! – Żartuje Antek i dodaje: – Zgłodniałem. Zjemy coś?

– Piotr coś mówił o wspólnym posiłku...

– Ale mi już kiszki marsza grają, weźmy coś! – prosi.

Zjadamy po misce cienkiego rosółku z ryżem i pływającym ściętym jajkiem. Damy radę wytrzymać do powrotu chłopaków. Nagle pojawia się Piotr. Szybko zdejmuje strój nurka i wkłada podkoszulek i spodnie.

– Panowie jeszcze w wodzie? – pytamy ciekawi.

– Ale! Poszaleli! To faktycznie jest fajne, bo statek leży blisko brzegu. Widzieliście zresztą sami. Świetnie zachowany. Są tam jeszcze inni nurkujący, ale właśnie odpływają, więc chłopaki zaraz będą mieli wrak tylko dla siebie. A wam podobało się snurkowanie? Bo mam dla was jeszcze jedną ciekawostkę.

Antek się krzywi, ja udaję entuzjazm. „Zapłacone, to trza zjeść!” – przypominam sobie starą zasadę Kobylińskiego.

– Co mianowicie?

Piotr pokazuje mi palcem wiry na wodzie w odległości około siedemdziesięciu, stu metrów od brzegu.

– To są ławice ryb. Warto popłynąć, mówię wam!

– O, jedną już mamy za sobą! – burczy Antek niechętny pomysłowi, ale mnie coś tam ciągnie.

Zdejmuję ręcznik i wkładam klapki. Antek niechętnie, bardzo niechętnie człapie za mną. Na brzegu sarka:

– Mało ci? Woda zimna, kobieto!

Płynę. „Zapłacone, trza zjeść do końca” – myślę po raz drugi. Jeszcze popatrzę, co

pode mną pływa! Tam jest głębia, może być ciekawiej. Tosiek też jednak płynie. Miło mi, bo wiem, że po prostu nie chciał mnie puścić samej, choć ma już dość.

Już niedaleko, bo widzę wyraźny wielki wir. Jest już naprawdę blisko. Co to może być? Ryby to wiem, ale...

Zanurzam głowę i już wiem, że warto było. Na wyciągnięcie rąk widzę wielki dzwon składający się z setek, tysiący srebrnych ryb! Na dodatek na niebie poprzesuwały się chmury i zaświeciło słońce! Podpływam bliżej, ale one się nie boją! Patrzę na Tośka. On też zatrzymał się i pokazuje mi swój uśmiech i skierowany do góry kciuk. Pod wodą nie da się rozmawiać! Szkoda, bo krzyknęłabym z radości: „Widzisz?!!! Ju-huuuu!!! Warto było!”.

Podpływamy ostrożnie, ale ta ostrożność niepotrzebna, bo ryby przyjmują nas w środek bez lęku. Średnica wiru to jakieś siedem metrów, a głębokość – z dziesięć! Ileż ich tu! Pływają dostojnie wkoło. Każda ma z pół metra długości. Są srebrne, połyskują w słońcu jak lusterka i są takie piękne! Początkowo myślę, że to mogą być małe tuńczyki, ale nie, nie tuńczyki... Później się zastanowię. Na razie, chwilo, trwaj! To jest bliskie spotkanie z obcą cywilizacją. No dobrze, to egzaltacja, z obcymi organizmami, których tak naprawdę nie znamy. Może z filmów. Tak wielkiej ławicy nigdy nie widziałam na własne oczy. Choć zapewne są i większe. Zataczamy koła wraz z rybami – te podpływają blisko mnie, mojej twarzy, gapią się, łypią okiem, ocierają się niemal o nas, ale żadna nie daje się dotknąć. Płyną w kółko, ale też zmieniają położenie, te z dołu zbliżają się do nas, a te, które nas obejrzały, opuszczają się głębiej i znów, i znów... Obserwuję je ciekawie, ale też wiem, czuję, że i one nas obserwują. Antek jest ubawiony – wyciąga rękę, chciałby dotknąć jednej, macha do mnie i uśmiecha się jak rozbawione dziecko. Co za fantastyczna przygoda! Nagle na dole, w ciemnicy dna, dostrzegam wielki kształt. Pokazuję Antkowi. Może to wielki tuńczyk? Delfin? Rekin, merlin? Gapię się na tę rybę. Ma ze dwa metry i majaczy mi na samym dole wiru. Po chwili jednak śmiejemy się oboje – to jakiś nurek. Podpłynął od spodu, pewnie wraca z wraku. Zobaczył nas i macha. Też jest zachwycony. On może tam niżej pływać, ma tlen, my tylko tuż pod powierzchnią. Nie mam pojęcia, ile czasu to trwa. Rozsądek nakazuje wracać.

– Popływałabym jeszcze z nimi – mówię do Antka, zmierzając już do brzegu.

– Ja też. Ale znów długo snurkowaliśmy. Już marznę.

– Wystudziłeś się. Woda wcale nie jest ciepła jak w wannie, to nie lato.

W naszej kawiarni panowie Jurek i Rysiek właśnie się rozbierają z pianek. Nasze zachwyty nie są dla nich wielką rewelacją, bo koło wraku też była taka ławica.

– Fajne, fajne! – kwituje Jurek.

Rysiek tylko kiwa głową. Mają masę roboty z tym oprzyrządowaniem.

Zjadamy, rozmawiając, ciepły obiad, który jest w cenie wyprawy. Znów *nasi goreng*, najprostsza receptura: ryż smażony z jajkiem i przyprawami. Najważniejsze, że gorące, bo Antek chyba faktycznie się przechłodził. Popija ryż gorącą cienką herbatą.

– Już OK – mówi.

Wracamy. Panowie zachwyceni wrakiem, my – ławicą tych wielkich ryb. Każdy ma swoją frajdę.

– Wyprawa udana? – pyta Piotr, gdy opuszczamy wioskę.

– Udana! Trzeba by oblać! – mówi nagle milczący Rysiek. – Może gdzieś będzie sklep z monopolem, tobyśmy tak raz-dwa, bo i mnie coś chłodno.

Popatruje na nas, oczekując aprobaty. Antek jest niewzruszony, nie wyraża entuzjazmu. Zapewne marzy mu się już gorący prysznic i skok do łóżka. Ja jestem bardziej otwarta i podejmuję propozycję. Piotr nas studzi:

– Nie za bardzo bym na to liczył tutaj. Dopiero w Denpasar!

– Eeee! Serio? A na stacji benzynowej?

– Zapomnij... Ale... – Piotr zawiesza głos – ...może chcielibyście spróbować miejscowego bimbru?

Aplauz! Tak, chcemy!

Niedługo po tej propozycji Piotr zatrzymuje samochód obok przydrożnego sprzedawcy benzyny. Już wcześniej zauważyliśmy, że koło ruchliwszych dróg stoją ludzie z przenośnymi regałami, a na nich w butlach po coli i wodzie mineralnej mają benzynę do motorynek.

– U niektórych można spytać o arak.

– E, nie – oponuję. – Słodkich wódek nie lubię!

– To bynajmniej nie ma nic wspólnego z arabskim anyżkowym arakiem! I uprzędzam – Piotr wydyma usta – jest okropny!

– O, to super! – woła Jurek. – Lubimy nowe smaki! Ma gościu ten arak?

Miał. Rysiek trzyma półlitrową plastikową flaszkę bez naklejki. Piotr przysięga, że nikt się tutaj tym nie otruł, że dobrze pędzone, ale że przyjezdnym nie smakuje.

– Ja – mówi Jurek – najgorsze, co piłem, to spirytus skażony benzenem chyba. Śmierdział jak farba olejna czy rozpuszczalnik. To w wojsku było. Potem tylko rzygaliśmy jak koty.

– Jurek! – ofuknął go Rysiek.

Antek się wtrącił:

– A ja najgorsze, co piłem, to... wódka chińska. Nie żeby ze smokiem, węzem, płodami myszy czy co tam. Zwykła niby wódka, ale w smaku tak ohydna, że nie daliśmy rady. To na statku było. A! I jeszcze coś! Na przyjęciu z pewnymi ważniakami w Singapurze podano nam do stołu zmrożoną wódkę. Zwykłą, na szczęście, markową jakąś. Odetchnąłem, że nie będzie potrzeby pić tych tam węzówek, jaszczurówek czy z czerwiemi. Podano pieczonego tuńczyka, ale szef wstrzymał się od jedzenia i uklonił się przede mną jako gościem, i powiedział, że ma dla mnie coś specjalnego. Kucharz w kieliszku przyniósł mnie i jemu... wydłubane oko tego tuńczyka z takim farfoclem krwistym. Błeee... Koleś naciął ciałko szkliste, wycisnął taką przezroczystą galaretkę, zalał to zimną wódką i trącił się ze mną swoim kieliszkiem.

– Wypiłeś?! – zdumiał mnie.

– Jak trzeba, to trzeba! Urosło mi w gardle, ale połknąłem! Nawet... nieobrzydliwe. Kontrakt się udał!

– No to – rzekł Rysiek – powiem wam, że ja to nie, ale kolega mój opowiadał o tym, co pił najgorszego. Wygrałby chyba. Mówił, że kiedy mieszkał w Warszawie podczas studiów, wyszli z jakiejś imprezki nad ranem niedopici. Mieli ze sobą flaszkę spirytusu zabranego gospodarzom z imprezy. Spożywczego, zwykłego, a jakże. Czwarta rano,

wszystko pozamykane, więc poszli nad Wisłę. Lato było. Znaleźli jakiś słoik, umyli i zaczerpnęli wody z tej Wisły. Mówił, że to był najgorszy syf, jaki pił. Zresztą zwrócił zaraz, bo zoba-czyli, że opodał był... kolektor.

Zawyliśmy wszyscy, robiąc straszne miny. Był w tym rodzaj pierwotnej towarzyskiej radości. Powinniśmy to zrobić, zanim pojechaliśmy na to nurkowanie. Zbratać się. Byłoby milej.

– Piotr, masz jakieś szklaneczki, kubeczki?

– Z tyłu koło butli powinna być torba, a w niej bluzeczka w paski, piłka i kubeczek Maksia, taki z kaczorkiem. Nic więcej nie mam.

Rysiek otworzył butelkę. Każdy powąchał. Ohydny zapach!

– Dajmy temu szansę – rzekł Jurek i nalał do kaczorka bimbrow.

Jako kobieta dostałam pierwsza. Łyknęłam. Przełknęłam z trudem, robiąc wiele wysiłku, żeby nie wypluć i nie krzyknąć „łohiiiiidaaaaa”! Zachowałam jednak niemal kamienną twarz i podałam kubeczek Ryśkowi, celowo pomijając Antka. Rysiek za to nie wytrzymał. Co prawda łyknął, ale też huknął głośno:

– O, kurrrrwa! – I poczerwieniał.

Jurek zrobił to samo. Dokładnie w tej samej kolejności. Obaj sapnęli soryśki za tę kurwę.

Ta balijska woda, mocna faktycznie jak diabli, miała zarówno zapach, jak i smak taki pomiędzy zepsutą kwaszoną kapustą i wodą po gotowaniu wędzonej szynki. Dramatycznie obrzydliwe.

– Oni to piją? – jęknął Rysiek, gdy odzyskał oddech.

– Ależ piją! – potwierdził Piotr. – Im też chodzi o to, żeby sponiewierało. Rozcieńczają oczywiście.

Żegnaliśmy się pod hotelem panów już serdeczniej, połączeni wspólną dezaprobatą dla balijskiego bimbrow. Zapraszali nas na koniak, ale nie mieliśmy ochoty. Nie obrazili się. Też potrzebo-wali prysznic i wypoczynku. Zresztą czekały na nich żony, które wróciły z zakupów.

Zamówiliśmy do pokoju burbona z lodem. Flaszkę araku zabrał Piotrek.

– Będzie na jakiś wziętek! – Uśmiechnął się.

Kąpiel i burbon to świetne zakończenie dnia. Na kolację zszedł tylko Antek i tylko po, żeby przynieść owoce w kieszeni. W łóżku wspominaliśmy spotkanie z rybami. Sprawdziłam je w necie – to były ostroboki. Ktoś sfilmował taki rybi wir, a my oglądaliśmy filmik, klnąc na czym świat stoi, że nie kupiliśmy jednorazowej kamerki podwodnej. Mielibyśmy swój dokument, a tak – kto nam uwierzy? Takie kamerki widzieliśmy tu w sklepie fotograficznym. „No ale po co nam?” – skwitowałam wówczas Antkowe: „Zobacz, podwodna kamera!”. Kto mógł przypuszczać, że popływamy z ostrobokami?

– Jak to było? – zaczął Antek. – „Z tobą chcę oglądać świat”?

Stale nam towarzyszy ta piosenka.

– Ja też – szepczę.

Milczymy pogrążeni w ciszy, w ciepłe i w siebie. Nagle Antek pyta:

– Maniu... Maryniu, czy ty pobyłabyś jeszcze ze mną?

– Przecież jestem.

– No tak, ale zaraz zechcesz wracać do Polski. A ja się z tobą tak wspaniale czuję.

Bałem się, że po tylu latach samotności nie będę już umiał być z kobietą, że będziesz miała swój świat, swoje narowy, zwyczaje, że się w tym pogubię, że sam się przyzwyczailem do własnego dnia świstaka, powtarzalnego jak w tym filmie. Patrzyłem na ciebie w samochodzie, jak cię chłopaki zagadywali, i pomyślałem, że gdy mi uciekniesz do Polski, to ktoś mi cię zwyczajnie sprzątnie!

Milczę. To brzmi niemal jak oświadczyzny, a przynajmniej jak sercowa deklaracja. Nie powinnam zdradzić, jakie to dla mnie ważne i jakie miłe.

– Pobądź ze mną... Dopóki wytrzymasz, co? – prosi.

– Antek, jestem... – ucinam ten romantyzm, bo nie o siebie się boję, ale o niego, że powie coś, czego pożałuje. Przecież dobrze jest, jak jest. – Nie obawiaj się, inni panowie mnie nie interesują. Jestem z tobą. Serio, serio – kończę Shrekiem.

Objął mnie i ścisnął mocniej.

Zasnęłam w jego objęciach szczęśliwa, że nie zjadł nas agresywny plankton i że wielkie srebrne ryby patrzyły nam w oczy, że prawie ich dotykałam, że Antek był i jest obok, cały czas, i że chce ze mną oglądać świat.

Kocham tego pana, ale ciinii.

Cień

Jeszcze mamy kilka atrakcji: ogród ze storczykami, wulkan i to, co lubię, zwykłą jazdę po wyspie bez ładu i składu, bez trzymania się wytyczonych tras.

– Pozaglądamy Bali pod spódnicę? – śmieje się Antek.

– No, w każdym razie będziemy trendy, bo mieszkanie wyłącznie w resorcie jest *passé*.

– Co przez to rozumiesz? – pyta mnie zdziwiony, nakładając sobie kolejną porcję serów.

– Wielu publicystów próbuje dorobić turystom twarz bezdusznych i dumnych konsumentów, a tym, którzy z plecakiem i w zatłoczonych autobusach, sypiającym w zapchlonych pensjonacikach za grosz nadać twarz humanistów i wrażliwców.

– A! Czyli Estera OK, bo śpi na plaży w namiocie, a my do kitu, bo korzystamy z „przemysłu turystycznego”?

– No, jakoś tak. Że skoro nas stać na drogi hotel, a kilka ulic dalej ludzie żyją ubogo, to my mamy dorysowane gęby nieczułych bogaczy zalewających się własnym tłuszczem.

– A nie sądzisz, że linia przebiega gdzie indziej?

– No?

– Kultura, wrażliwość, uważność. Niby gdzie mam nocować jako turysta? Gdzie się umyć, jeśli przywykłem do pewnych standardów? Co złego jest w tym, że dzięki nam wyspa Bali ma pieniądze w kasie, że hotelarze płacą swoim ludziom, a oni nie są bezrobotni? Kupujemy pamiątki, korzystamy z gabinetów kosmetycznych albo restauracji i robimy ruch w interesie. Prawda?

– No tak, ale zaraz usłyszysz, że nadal pracownicy hotelu dostają nędzne stawki, a obok jest strefa ubóstwa.

– Czy to nasza wina, Marianno? Gdybyśmy zbojkotowali owe hotele, wszyscy by stracili – my turystyczną atrakcję, bo ten hotel jest naprawdę fajny i miło tu się mieszka, pracujący tu – zatrudnienie, a właściciel – zysk. To jakiś czysty socjalizm! Jakaś chora teoria, bo obrońcy tej tezy nie mają żadnego pomysłu, co zamiast, a to niestety wolny rynek i ludzie muszą uregulować kwestię sprawiedliwego podziału dóbr.

– O, mam... aleśmy wdepnęli w temat.

– Cóż począć? To też kawałek życia! A wiesz, Piotr proponował mi...

– Tobie? Tylko tobie? A ja to co?

– Gdybyś chciała, to oczywiście chętnie bym cię widział, ale chodzi o hiking, i to dość ekstremalny. Głupio, bo mam tylko zwykłe adidas, ale jeśli chcesz, to oczywiście chętnie!

– Kiedy?

– Jutro.

– O, świetnie. To ja sobie popłażuję jak ta wredna i nieczuła turystka!

W pokoju szybko siedliśmy do przejrzenia poczty. U mnie niewiele. Krótki

komunikat od Grzesia, że właśnie się wybrali na weekend do Włoch, że mieszkają w fajnym hotelu, a Tadzio szaleje na kręgielni. Do tego serwis fotograficzny. Zadowolona rodzina! Iga zapuściła włosy, za to Grzesiek i Tadzio mają identyczne krótkie fryzurki.

Nic od taty i Anki, choć obiecali zdjęcia ze ślubu. Myśląc o tym, mam niemiły skurcz w żołądku. Dziwaczna sprawa z tą Anką. Dopiero teraz ojciec się zdecydował na kobietę? Czy to może raczej ona zdecydowała się na niego? Tak! To wyraźnie Anka parla do zamieszkania tam i do ślubu! Ta niby miłość to zapewne mydlenie oczu wszystkim. Tere-fere. Zwąchała świetny interes i uległego starego faceta. Łatwo było go omotać... Mój Boże, jak łatwo się dał. Mój ojciec! Mąż TAKIEJ kobiety jak mama! Mężczyzna odcytany, mądry, sprawny intelektualnie, samodzielny do niedawna ponad miarę, korzystający z komputera od lat i z karty kredytowej, ze smartfona. Co prawda wyłącznie z funkcji telefonicznej, ale jednak! Ewidentnie Anka wstrzeliła się w ten czas, gdy mój tatko poczuł się mniej samodzielny i słaby. Wykorzystała to! Gotowa jeszcze zawłaszczyć majątek ojca... Nie. Nie. Do tego się nie posunie! To już byłby czarny scenariusz! „Pomyślę o tym jutro”. Ale pomyślę koniecznie, bo choć tatko nie wygląda na chorego i ma przed sobą jeszcze kawał życia, to sprawy spadkowe powinniśmy jakoś omówić. Tylko jak z nim o tym rozmawiać? „Tato, spisz testament, póki jesteś przy zdrowych zmysłach?” Nie przejdzie mi to przez gardło. Mam czas. Gdy wrócę, to się tym zajmę osobiście. O! W Boże Narodzenie, jak przyjedzie Grzesiek z rodziną, będzie znakomita okazja.

Zamykam pocztę. Antek czyta maile, wywala spam i nagle twarz mu tężeje.

– Co jest? – pytam.

Milczy dłuższą chwilę.

– Dominika zapowiada swój przyjazd.

– Tu?

– Nie. Do Ulsan. Jutro.

– JUTRO?! Nie wie, że ciebie nie ma?

– Nie wie. Aż tak blisko nie jesteśmy, żebym jej się opowiadał, dokąd i kiedy wyjeżdżam. Założyła, że skoro tam zima, to jestem. Właśnie wsiada do samolotu. Dziwne. Dobrze. Czekaj... zadzwonię do administratora, żeby dał jej klucze.

Dzwoni, rozmawia, załatwia sprawę. Potem zmienia temat, bo mamy przed sobą piękny dzień, kwiaty i znów oglądanie zakamarków Bali.

– A może wolałybyś pojechać do Trunyan?

– Oglądać ich niepochowanych zmarłych? Nie. I nie z powodów estetycznych, ale tego, o czym rozmawialiśmy. To właśnie uznaję za dziwne: oddanie turystyce własnych zmarłych i zarabianie na tej intym-ności. Nie. Wystarczy mi internet i fotorelacje.

– Tak myślałem.

Przytulił mnie na chwilę w geście jakiejś... akceptacji? Uznania? Nie wiem, widocznie miał taką potrzebę. I pojechaliśmy.

Ogród ze storczykami zrobił wrażenie, ale... nie szokujące. Jest pora deszczowa. To nie pełnia kwitnienia. Jest trochę większy niż ogród przydomowy, no taki mały park. Faktycznie sporo kwiecica. Ja jednak nigdy nie uległam urokowi storczyków. Poza tym, że faktycznie jedne wyglądają jak tancerki, a wiele innych jak... damskie narządy

plciowe. W tym są doprawdy ładne! Zresztą wykorzystano to w jakiejś francuskiej książeczce dla dzieci o płciowości właśnie.

Najładniejsze jednak są kwiaty helikonii, wyglądające jak wielki kolorowy zamek błyskawiczny. Z miejsca poprosiłam Tośka o zdjęcie. Wielki zwisający kwiat nałożyłam sobie na bluzkę, jakby na niego właśnie była zasuwana. Bajeczne kolory czerwieni i żółci, a też wielkość kwiatu są powalające! No i strelicje – te są jak dłonie tancerki.

Zadzwoił Piotr. Do mnie. Czy jutro, gdy on będzie się wspinał z Tośkiem na wulkan, nie chciałabym zobaczyć, jak ich biuro urządza ślub na Bali? Para jest polska oczywiście. Tak, oczywiście, pytał ją o to i się zgodziła. Gości będzie dziesięcioro i nic nie stoi na przeszkodzie, żebym się tam dosiadła z Teresą. Świetnie.

Po południu jeszcze zajechaliśmy zobaczyć świątynię Pura Luhur Uluwatu – doprawdy, co ja bym zrobiła bez notatnika! Te nazwy! I piękną Tanah Lot. Do każdej wchodzimy owinięci sarongami, które po prostu kupiłam pierwszego dnia, bo szanuję kulturę kraju, w którym jestem gościem. Lubię też praktyczne pamiątki, a te sarongi pełnią funkcję pareo. Tosiek chodzi w krótkich spodniach, więc też powinien się zawijać w sarong. Mój sarong jest piękny! Filetowo-złoty. W Pura Luhur zostajemy ostrzeżeni przed bezwzględnością małp. I faktycznie, idący przed nami Japończyk stracił okulary, które założył sobie na głowę podczas czytania mapy. Gonił złodzieja, ale na próżno. Opodal jakaś małpia rodzina zabawiała się czymś kapeluszem, jeszcze niespecjalnie użytym, więc zerwanym zapewne komuś z głowy przed chwilą. Ja trzymałam w garści moją czapkę z daszkiem, ale i tak małpa ukradła mi z niej kwiat frangipani. Nie ma kwiatka! Spodobał się małpie!

- Patrz – rzucam Antkowi. – Mają złe spojrzenia. Nie są przy-jazne.
- Wcale im się nie dziwię. To my zakłócamy im spokój, to ich teren!
- Ale też dostarczamy rozrywki!
- Jakiej?
- No, kapelusze, okulary...

Antek jest spięty. Uśmiecha się dopiero po chwili, ale to uśmiech wymuszony. Niespodziewany przyłot Dominiki ewidentnie go poruszył. No wiem, że nie są ze sobą blisko, że ona tylko raz była w Korei u niego i to na trzy dni zaledwie. Odwiedziła go pięć lat temu, a na jego dalekiej emigracji tylko wtedy, gdy pierwszy raz wyjechał do pracy do Chin. Była zła, bo miętina niewielka, więc obłaskawił ją dopiero wycieczką do Singapuru. Wcześniej chyba była u niego w Hamburgu, gdy tam zaczynał jako emigrant wiele lat temu.

Zatrzymuje się, biorę go za rękę. Uśmiecham się i nadstawiam do buziaka. Nic nie mówię. Po co?

Jesteśmy bardzo głodni. Po drodze chapnęliśmy w małej knajpce nieco ryżu z warzywami i tłustego pączka, podobnego do donata. Zajeżdżamy do centrum handlowego blisko hotelu. Wielki teren z restauracjami i butikami.

– Po licho mi włoska kuchnia tu, na Bali? – dziwię się. A jeszcze bardziej, gdy widzę austriacką gospodę. – Chłopskiego Jadła tu nie ma? – Śmieję się.

– Nie zdziwiłbym się.

Wybieram knajpę z morskim drobiazgiem. Czekanie na głodniaka mają nam umilić

jakieś prażynki z egzotycznym sosem. Nareszcie na stole pojawia się owalny półmisek. Pośrodku króluje wielki krab, obok langustynki, krążki kalmarów i krewetki, kawałki ryb i osobno pieczywo przypominające ciabattę, bo frytek nie chcemy. Jest też różowe wino. Antek odzyskał humor, zabawiamy się wysysaniem szczypców, łamiąc je specjalnym sprzętem i równie specjalnymi widelczykami grzebiąc w pancerzu. Nie ma wiele tego mięsa, ale takie właśnie są kraby – smakowite, choć to nie schaboszczak. Właściwie to powinniśmy odwrócić kolejność – najpierw zaspokoić wilczy głód rybami i krewetkami, a potem przejść do delektowania się i zabawy z pancerzykami. Całość polana owocowym octem i oliwą ma bajeczny smak, a chleb maczany w powstałym sosie dopełnia frajdy. Jesteśmy upaprani oliwą. Na naszych kieliszkach widnieją tłuste ślady paluchów. Dostajemy ciepłe ręczniczki nasączone wodą cytrynową. Zamawiamy jeszcze wina. Samochód zostanie tu na parkingu, trudno. Kelnerka mówi, że tak robią wszyscy. Napiją się i biorą taksówki, a do tych dwóch hoteli obok (w tym do naszego) to piechotą jest piętnaście minut! Ostatnie kęsy ledwo nam wchodzą. Już z obżarstwa wymiatamy sos chlebem i decydujemy się na deser. Sałatka owocowa jeszcze jakoś wejdzie.

Już noc. Wkoło mnóstwo ogródków i otwartych restauracji, kolorowe latarnie i palmy całe poowijane lampkami na przewodach jak u nas choinki i domy na Boże Narodzenie. Wszyscy jedzą, piją zachwyceni ciepłem i smakami Bali. Obserwuję młode małżeństwo. Tatko ma na plecach śpiącego malucha w chuście. Z boku spod materii wystaje maluśka różowiułka i pulchna nóżka. Rozczulający bąk śpi, a rodzice jedzą i rozmawiają sobie jak na randce.

Widzę kota żebraka z obrzydliwie uformowanym sztucznie ogonem – zwiniętym i zrosniętym w ślimak. Wzdrygam się.

– Co za barbarzyństwo – pokazuję Antkowi i w tym momencie właśnie jak nie lunie! Dosłownie w sekundę chlusnęło z nieba gęstym i mocnym deszczem.

– Zaraz przejdzie! – powiedziała kelnerka pewnie, stawiając przed nami miseczki z owocami.

Jedliśmy je, rozmawiając niby o niczym, ale spoglądając nerwowo na ścianę wody. Nie wyglądało to na przelotny opad. Lało i lało.

– Patrz, że te żaróweczki nie mają nigdzie zwarcia! – rzuciłam, byle tylko odwrócić własną i Antka uwagę od ulewy.

Kałuże robiły się coraz większe i większe, łącząc się ze sobą. Nieliczni wychodzili pod parasolami i szli, a raczej skakali między kałużami na parking. Reszta spoglądała zaniepokojona na zewnątrz i czekała, aż „przelotny” deszcz przeleci. Nie przelatował, a nawet się umiarowił. Lało teraz mocno i równo jak z prysznica. Kelnerka zapytała, czy daleko mamy, bo w czasie takich nagłych, intensywnych opadów knajpa stawia taksówkę, ale warunek: maksimum załadowania.

– Nie, my tu blisko.

Dostaliśmy parasolkę.

– Jeśli wpadniecie jutro, to oddacie, a jeśli nie, zostawcie w re-cepji.

– O, widzisz? To jest troska o klienta! Miłe. Idziemy?

Naturalnie parasol na niewiele się zdał. Antek nie pozwolił mi iść na bosaka, „bo się czymś skaleczysz i będzie bieda”. I chyba miał rację. Klapkami ochlapałam sobie

nogi, więc je opłukałam w... przedhotelowym stawie. Nikt nie widział!

Dotarliśmy na miejsce znów mokrzy od góry do dołu. I znowu powitano nas basenowymi ręcznikami, już nieco przechodzonymi, które pewnie czekają na takie okazje w magazynie.

– Jednak luksus jest bardzo przyjemny – mruknął Antek, wychodząc po gorącym prysznicu z łazienki i całując mnie namiętными wargami.

Koniak i seks pod werbel deszczu znów smakowały nam wspaniale.

– Tosiek – szepnęłam tuż przed zaśnięciem. – Pierwszy raz między nami było podczas tajfunu, pamiętasz? A tu najprzyjemniej jest się kochać, gdy tak pada... Zauważyłeś?

– Tak, powietrze jest lżejsze – odpowiada i mruczy: – „Kochankowie z deszczu”.

Układa się do snu, trzymając mnie w pasie. Uwielbiam to!

A rano jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ani śladu ulewy!

Wstałam pierwsza. Antek spał jak dziecko. W Ulsan musi się zrywać raniutko, niech tu sobie pośpi! Znów stałam na balkonie w ciszy poranka. Ziemia parowała, słońce grzało, na drzewach nawoływały się rozradowane ptaki.

Szkoda, że to ostatni dzień! Tak bardzo mi się podoba Bali. Ta niezwykle głęboka, soczysta, szpinakowa zieleń, kolory jak z komputera, oszałamiająco słodkie aromaty kwiatów i jedzenia. Ale też zapach murszejących budowli, płotów i wilgoci w drewnie, a nawet gnijących i butwiejących roślin, smród resztek w rynsztokach to też Bali. Wszędzie, dosłownie wszędzie poniewierające się miseczki wotywnie z liści palm bananowych i gnijące w nich resztki owoców, kwiatów, bo wszystko, co jadalne, już pożarły psy, szczury i ptaki. Będę wspominać targi i kramy, zapraszające gesty miłych ludzi żyjących ubogo. Bo głównie ich spotykałam. Są ciepłi, serdeczni. Zamożni Balińczycy żyją poukrywani – jak opowiadali Teresa z Piotrem – w klimatyzowanych willach. Nie lubią się pokazywać. Za to zwykli Balińczycy są naturalni i... ładni. Mężczyźni mają charakte-rystycznie wiązane chustki na głowach, niektóre kobiety, zwłaszcza starsze, też mają na włosach zawoje, ale inne. Młode zaś za-zwyczaj kwiaty wplecione we włosy, ale też widać sporo muzułmanek w hidża-bach. Sarongi są kobiece, bo wysmuklają sylwetkę. Niektórzy mężczyźni też je noszą.

Wzdycham, chłonąc ciepłe i jeszcze wilgotne powietrze. Antek się budzi. Bez ceregieli wyluskuje mnie ze szlafroka. Lubimy dotyk naszych nagich ciał.

– Gdybym był młodszy... – szepcze mi do ucha i całuje w szyję.

– To co? – prowokuję go.

– ...tobym ci spokoju nie dawał. Jesteś słodka, kobieca i uwielbiam się z tobą kochać.

– Ja też, kochany mój, ja też. I zapewniam cię, że ja nie muszę być codziennie molestowana, choć pewnie jeszcze z dziesięć lat temu byłoby to normalne.

– Serio?! – udaje zawiedzionego. – Ale czemu? Nie jestem twoim księciem?

– Jesteś, jesteś, ale przecież ci mówiłam. Posiadam też coś, co się nazywa menopauza. I to przez nią hormonów seksu coraz mniej i porywy już nie takie częste.

– Porywy, w sensie chuci?

– W sensie chuci – potwierdzam.

Antek wzdycha.

– Wiem coś o tym. Ja też się zaprzyjaźniam, a przynajmniej próbuję, z andropauzą.

Czyli co, moja kochana? Dziadziejemy?

– O, nie! Bez walki się nie poddamy, mój książę! Chodź na śniadanie!

– Ech... – Tosiek jęknął. – Jeszcze kilka lat temu ciebie spożyłbym na śniadanie.

Łazienka moja?

– Twoja, ja już się umyłam i tylko wskoczę w ciuchy. Czekam na ciebie!

Przy śniadaniu znów na twarzy Antka pojawiał się cień, gdy tylko odchodziłam po jakieś kolejne dania. „No tak, przecież nie za bardzo się między nimi układa” – pomyślałam o nim i Dominice, niosąc sobie plastry arbuza i wężowe owoce do kawy.

Ślub i obrączki, czyli marzenia się spełniają

Antek odstawił samochód do wypożyczalni i pozbiierał się wreszcie na ten hiking. Klął na czym świat stoi, że nie wziął odpowiednich butów.

– No to kup sobie! – sarknęłam, bo miałam już dość tego marudzenia. – Jesteś dorosłym i doskonale zarabiającym facetem. Najwyżej swoje stare koreańskie postawisz koło śmietnika, a tu kup sobie na pamiątkę porządne buty do hikingu. Poproś Piotra, to się zatrzymacie w Denpasar i kupisz.

– No, ale ja mam, tyle że w Ulsan! – złości się.

– Powtarzasz to jak mantrę. Nie nudź. Albo idziesz w adidasach, albo kup i nie jęcz!

– Dobrze, ale pod warunkiem!

– Ty mi stawiasz warunek w sprawie własnych butów do wspinaczki?

– Tak! Łatwiej mi pójdzie taki zakup, jeśli i ty sobie coś fajnego kupisz. Zostawię ci pieniądze i proszę, błagam, kup sobie jakiś rozkoszny pierdulecik! Żebym się nie czuł osamotniony w tym kupowaniu. Co?

– Ja mam swoje pieniądze – warknęłam.

– Uspokój się, feministko jedna! – Tosiek wpił mi się w usta i puścił, gdy straciłam oddech. – Kup sobie prezent ode mnie, BŁAGAM cię. Chciałem ci coś kupić na pamiątkę z Bali, ale ja nie wiem, nie umiem! Byle czego nie lubię, w sensie szmatki, drewnianego kota czy posążka Buddy. Sama mówiłaś, że widziałaś piękną biżuterię. Proszę cię. Co?

Pojechali, a ja mam jeszcze kilka godzin do owego ślubu, na który zostaliśmy zaproszeni. Teresa przyjedzie po mnie w porze obiadowej. Fakt, obok, w jednym z butików widziałam piękną srebrną i niedrogą biżuterię, no i mam ochotę na położenie po sklepach.

Poszłam pieszo wolnym krokiem przez wielki park. Myśli przelatywały mi przez głowę, ale te o tacie i Ance przeganiałam. Usiadłam na chwilę.

– A o mnie? – Lilka spłynęła ze swoich zaświatów i przysiadła na ołtarzu dziwnego bóstwa.

Dam sobie głowę uciąć, że ma na sobie zielono-złoty sarong i różowo-żółte kwiaty frangipani owinięte wokół koczka. No... widzę to jakby! W zaświatach ma znów swoje rudawe piękne włosy zamiast onkologicznej łysinki. Majta gołą nóżką w złocistym sandałku.

– No i co, kochana? – pyta zadziornie. – Jest jak w raju? Bo bzykacie się tak namiętnie... – westchnęła teatralnie.

– Podglądasz?!

– Eee tam. Nas zmysły już opuściły, więc żadna to podnieta. Tak tylko czasem spojrzę na twoje szczęście, moja pani Maniu. Udał ci się ten twój... Tosiek? Tak o nim mówisz?

– Udał.

– Kochasz? Powiedz... Powiedz! – niemal rozkazała.

– Chyba tak. W każdym razie jesteśmy już ze sobą trochę, a kłótni, awantury ani

widu, ani słyhu. Bywa, że się powymądrzamy na tematy społeczno-polityczne, ale mamy wspólne poglądy, więc i klócić się nie mamy o co.

– No widzę, że to jakaś słodka sielanka.

– Lilka, nie wiem, czy ja nie przesadzam, twierdząc, że go kocham, ale kiedy porównam mój stan z tym, wiesz, głupim za-kochaniem w Ofelii, to mam znacznie więcej z tego, o czym wówczas marzy-łam.

– Czeka, czeka. – Lilka zeskakuje z ołtarzyka i siada obok mnie na ławeczce. – Nie wiesz, czy go kochasz? A kto się uśmiecha rano, ledwo tylko się obudzi i zobaczy jego wymięte od snu ucho? Kto zasypia wtulony w niego? Kto się śmieje jak nastolatka z jego słów, gdy palnie żart? Swoją drogą, to nie jest on zbyt rozrywkowy i żarty ma raczej...

– Odczep się! – zaperzam się. – Jest inteligentny, bywa kapitalnie dowcipny, czasem, fakt, ironizuje, a czasem porozumiewamy się bez słów!

– No to teraz wyobraź sobie, że go nie ma.

– Jak to: nie ma?

– A bo ja wiem...? No nie ma. Umarł, zginął w wypadku. Umiesz dalej żyć tak, jak żyłaś?

Wyobraziłam to sobie i aż mnie to uczucie zabolalo. Ścisnęło żołądek i... po prostu się popłakałam.

– No – powiedziała Lilka – sorki, ale to był najłatwiejszy sposób, żeby sprawdzić. Kochasz! Wyszłabyś za niego?

Wzdycham i boję się odpowiedzi. Milczę. Lilka zgaduje moje myśli.

– Boisz się, że on nie myśli o tym? O więzach? Tak też może być, bo on się mocno sparzył, więc może tylko jakieś zaręczyny?

– Może... Ale nie sędzę, żeby na to wpadł.

– Głupia. Mamy równouprawnienie?

– A co to ma...? – pytam, wycierając nos.

– Głupia – powtarza Lilka z uśmiechem. – Sama się z nim zaręcz i już! Lecę. Baw się dobrze! A w tym butiku z biżuterią są naprawdę fajne obrączki. Tytanowe. Pa, pa, Maniuska. A! I pamiętaj, że jesteś warta miłości. Daj mu się kochać i sama puść lejce! Życie jest za krótkie na tyle wątpliwości. A ja czuwam! A nawet jeśli coś przeoczę, to Włodzio ci oczy otworzy. Trzymaj się, Mańka!

Spojrzałam za siebie, za krzew, obok którego stoi ławeczka. Mig-nęła mi twarz Włodka i usłyszałam jego głos:

– Mała ma rację, Marianno. Ja ci od zawsze mówiłem, że jesteś warta miłości. Daj mu się kochać i pamiętaj, że facet lubi kobietę obsypać perłami. Taką mamy słabość do was. My inaczej liczymy wydatki.

– Tak? A jak? – zapytałam głośno, już chcąc wejść z Włodkiem w polemikę o pieniądzech, ale usłyszałam tylko z daleka już jakby z echem:

– A daj mi święty spokój i nie strugaj głupiej.

I odlecieli oboje.

No i bądź tu mądra.

Lubię go, znaczy Antka. Wiem, że nie jest młodzikim, że ma zmarszczki i siwe

włosy nawet wokół wacka. Że ma od słońca chyba mocno pomarszczoną i czerwoną skórę na karku. To od pracy w koreańskim upale. Ciężko pracuje. Niby to inżynierska posada, kontrola jakości, ale to kawał ciężkiej, fizycznej roboty. Haruje w dosłownym tego słowa znaczeniu. I bonus! Jest zadbany, ma ładne implanty i dzięki temu szeroki piękny uśmiech. Skórę na przedramionach i łydkach cieńszą i czasem, gdy pije za mało wody, robi mu się jak krepina. Ja mam taką na szyi i na wierzchu dłoni też. Ale ja używam kremów. Za to na plecach i na pupie skórę ma jędrną, gładką i napiętą. I w ogóle ma ładny tyłeczek. Mocno zarysowaną szczękę. Znaczący żuchwę. Spory i lekko przełamany nos dodaje mu męskości. Brwi też mu siwieją. Gdy się do mnie uśmiecha, to topnieją w środku. Lubię jego ciepłe i miękkie dłonie. I zupełnie, ale to zupełnie nie wyobrażam sobie... dalszego życia bez niego!

Podjęłam decyzję. Zaobraczkuję go sobie. Taki niewinny, wiele, ale i niewiele znaczący gest.

Butik jest pośrodku snobistycznego centrum handlowego. Mijam restauracje, o tej porze jeszcze zamknięte. Młody chłopak w specyficznie zawiązanej chusteczce na głowie zaprasza mnie na poranną kawę do kawiarni. Ma naprawdę piękny uśmiech i wielkie ciemne oczy. Odmawiam. Idę, oglądając drogie łańcuszki w butikach, torebki, kapelusze i okulary przeciwsłoneczne znanych światowych firm. Lecieć na Bali po ciuchy, które można kupić w Europie? Można i tak... Jak to mówi Antek: „Daj spokój tym filozofiom, to dzielenie włosa na czworo. Świat się doskonale kręci, gdy mu się daje kręcić w myśl zasad wolnorynkowych. To się wszystko samo unormuje bez narzucania, bez systemu nakazowego, tylko na to potrzeba czasu”. Fakt. Chcemy szybkich zmian. Żeby było dobrze, zasobnie, równo i pięknie. Wiąta wio! Daleka droga do sprawiedliwego świata!

Za tym centrum handlowym, za parkiem i rondem jest inne typowo balijskie centrum, czyli stragany z tanimi rzeczami. Tam też turyści zostawiają pieniądze. Każdy, kto ma umiejętność handlowania, stara się ją rozwijać. Jak u nas – od składanego łóżka pod Pałacem Kultury przez Stadion Dziesięciolecia po Marywilską czy własne sklepy. Antek z dumą opowiada o koledze, który wiele lat temu stracił pracę w stoczni, zaczął sprzedawać jakieś bzdety na rozkładanym łóżku, a dzisiaj ma kilka sklepów w nadmorskim mieście. „Jak można kogoś takiego nazywać, cholera jasna, Januszem biznesu?” – wścieka się. Prawda. Dziwni jesteśmy.

Mijam stoisko składające się z krzesła i pani, która robi młodym dziewczynom i dziewczynkom kolorowe warkoczyki. Zaplata je ciekawie, o czym świadczą reklamujące ją zdjęcia. Krzesło, pomysł, kolorowe włóczki i grzebień. Pani jest przedsiębiorcza! Podobnie słynne masażystki i pedikiurzystki z plaży w Kuta. Może za kilka lat założą gabinet? Na razie zarabiają dzięki temu, że na Bali przylatują samoloty z turystami. Proste – tak właśnie kręci się pieniądź. Zaraz ja dołączę do tego kręcenia, bo właśnie się zatrzymałam przed butikiem z biżuterią. Wchodzę i rozglądam się ciekawie. Sprzedawczyni jest Europejką, doskonale więc się rozmawia. Oglądam. Pytam o specjalne wzory, choć kilka podoba mi się już teraz.

– Inne też robi. Tu jest katalog. Robi też na zamówienie indywidualne.

– Kto? Jubiler?

– Tak. Szef jest jubilerem. Sam to robi. Zaczął od sprzedawania na plaży srebrnych pierścionków, a teraz ma kilka sklepów i ten tutaj warsztat. To niedaleko, jeśli pani chce coś takiego bardziej...

Chcę. Mam czas. Idę. Faktycznie, dwadzieścia minut drogi w stronę handlowej ulicy znajduję niewielką pracownię. Okazuje się, że jubiler pracuje z synem. Mają na sobie skórzane fartuchy z kieszenią na opiłki. Ze mną rozmawia syn. Chłopiec o miłym uśmiechu, z wrodzoną chyba skromnością, ale i wiedzą. Z szafy wyjmuje sporą paletę pięknych obrączek z tytanu i srebra. Teraz faktycznie widzę rzeczy inne, ciekawsze, choć dla mnie ciut za wytworne. Lilce kupiłabym pierścionek z obrączką ze złota z czarną powierzchnią tytanową i ze szklaną banieczką, w środku której bezładnie porusza się cyrkonia szlifowana w diamentik.

– Śliczne! – chwale, a chłopak uśmiecha się szeroko.

Oglądam i oglądam, nie mogę się zdecydować. To ma być skromne! Antek nie nosi biżuterii, zegarek też lubi męski, bez wodo-trysków i bajerów. I dobre pytanie: czy będzie nosił? Wreszcie decyduję się na maksymalną prostotę – zwyczajna obrączka ze złotym środkiem i od zewnątrz pokryta nierówno grafitową matową powłoką. Lekko tylko zaokrąglona przy brzegach. Najklasyczniejsza klasyka. Przymierzam. Ładna! A... Antek? Mówię sprzedawcy, że... nie znam rozmiaru palca Antka. Nie okazuje zdziwienia. Pyta o wzrost i orientacyjną wagę, prosi, żeby opisać dłonie, czy szczupłe, czy krępe? Co robi?

– To ważne?

– Tak. W niektórych zawodach kostki palców z wiekiem stają się większe.

W końcu za namową młodzieńca biorę taką, która wydaje mi się odpowiednia. Na wymianę już nie będzie czasu. Jutro, a właściwie dzisiaj w nocy lecimy do Ulsan.

W holu hotelu już czeka na mnie Teresa i jedziemy na bajecznie piękny ślub niedaleko Denpasar.

Brzeg morza, pusta plaża i tuż na linii piasku i wody jest widoczne miejsce zaślubin. Ukwiecony baldachim i kilka krzesełek. Każde przybrane kwiatami. Teresa jako przedstawicielka organizatora zajmuje się jeszcze jakimiś drobiazgami, wita gości. Ja witam się z Polakami, którzy pokonali tysiące kilometrów, żeby zobaczyć tę jakże inną od polskiego ślubu w urzędzie czy kościele uroczystość na... Bali. Staram się zapamiętać, jak to wszystko wygląda, żeby opowiedzieć Tośkowi. Tak naprawdę jestem rozproszona, bardziej zajmuje mnie mój... projekt. Odważam się na to modne słowo.

Polacy zwyczajni, lekko nadęci, okazujący mi pełne *désintéress-ment*, choć ja to rozumiem. Jestem przypadkowym widzem. Miło, że pozwolili mi zrobić kilka zdjęć. Po dość zwyczajnym ślubie bajeczna sesja fotograficzna odbędzie się niedaleko na skałach. Goście jadą do hotelu. Teresa odwozi mnie szybko do mojego. Dzwonił Piotr. Wróć z Antkiem i innymi za dwie, trzy godziny.

Jem samotnie obiad i idę poleżeć na hotelowej plaży, na leżaku, z musującym winem. Nic nie poradzę, luksus jest uwodzicielski, podstępnie zawojuje serce każdego, kto całe życie spędził w zimnym kraju, licząc grosz do grosza. Kto paszport ma od połowy życia za ledwie i nie przywykł do dobrobytu na sporą skalę. Jak dla mnie, na dużą skalę.

Słońce wciąż grzeje. Woda gra z jego promieniami. Leniwie bieg-ną minuty. Chodzę po plaży, moczę nogi w ciepłym morzu, kładę się na leżaku. Jest przyjemnie. Błogo.

Zasypiam...

Fiancé!

Budzi mnie dźwięk telefonu. Tak, wzięłam go ze sobą, wiedząc, że Antek zastanie pusty pokój.

– Gdzie jesteś, słonko?

Słonko? Nigdy jeszcze tak się do mnie nie odezwał.

– Tu, na plaży, po lewej stronie od tej budki z napojami, koło takiej wygiętej palmy.

– Jestem z lekka zgłodniały. Pójdziemy na kolację? – pyta mnie.

– Chodź tu, jak masz siłę, jest naprawdę przyjemnie. Słonko – dodaję bez złośliwości.

Czekam na niego. Po krótkim czasie Tosiek nachyla się i całuje mnie w nos.

– Ale było fajnie! – mówi z radością i siada na fotelu obok. – Piotr wie, jak organizować taką wspinaczkę. Bo to nie był lekki hiking. Trzeba było się troszkę powysilać. Ech! Gdybym był młodszy, tobym częściej się tak zabawiał! Facet czuje mięśnie, pot i frajdę, gdy się tak pomęczą.

– Kobieta nie?

– Nie wiem. – Zamknął mi usta. – Nigdy nie byłem kobietą.

– Tosiek, a czy ja ci się z kimś nie pomyliłam?

Patrzy na mnie zdumiony. Nie rozumie.

– Bo powiedziałeś do mnie „słonko”.

– A, to przepraszam, jeśli ci się źle kojarzy. Kiedy tak leżliśmy na ten wulkan, zeszło na kobiety. Piotr zapytał, jak długo ze sobą jesteście, a potem spytał mnie, jak bym cię określił jednym słowem. Palnąłem „słońce”, bo mi rozświecisz życie. To źle?

– A jak on określił Teresę?

– „Życie”. Tak, „życie”.

– Ładnie. To wy romantyczni bywacie? – mruczę rozleniwiona tym z lekka już gasnącym słońcem, ostatnim dniem na Bali.

– Ano, takie męskie ekstrawagancje. Za pół godziny obiadokolacja. Masz ochotę coś zjeść, Marianno? Po drodze z wulkanu zajechaliśmy do makdonaldowni, a wiesz, że nie znoszę tego. Rąbnąłem jakiś najmniejszy kotlet w bułce i to starczyło na chwilę. Teraz mam ochotę odpowiednio pożegnać ten hotel i te wakacje. Jeśli chcesz, skoczmy do centrum na jakąś wystawną kolację we dwoje!

„Hmmm, przydałaby się oprawa dla mojego pomysłu” – przebiegło mi przez głowę, ale też wiem, że i tu, w hotelowej restauracji jest pyszne i już zapłacone jedzenie. Nie szalejemy.

– Zostanemy w hotelu! – proponuję. – Ale chodź, przebierzemy się.

Usiedliśmy tym razem przy stoliku lekko oddalonym, koło palmy przypominającej rozłożony wachlarz. Kelner przyniósł nam musujące wino, poprosiłam o zapalenie świecy.

Jemy pomału, wykwinnie i smakując różności. Znów są ciut inne dania niż w poprzednie dni. Jest wielka misa świeżych ostryg na lodzie. Kelner gwarantuje, że są

idealne, ale ostrygi nie mają wielkiego wzięcia.

– Jadłaś?

– Kiedyś próbowałam, ale to było dawno temu i chyba nie byłam zachwycona. Teraz natomiast chętnie spróbuję. Zrobiłam się taka odważna!

– Ja nie ukrywam, lubię. – Antek uśmiecha się niemal lubieżnie. – Ostrygami na Bali można zakończyć dania główne!

Bierzemy po trzy, ale Antek dorzuca sobie jeszcze kilka i cytrynę.

– Mówi się – kontynuuje – że trzeba zjadać codziennie po jednej i dopiero siódmego dnia czujesz, że je kochasz.

– Aż tak? Nie wiem. Myślę, że trzeba lubić „morski smak”, to coś takiego tranowatego. Są ryby z tym właśnie morskim smaczkiem – rzucam.

– Jakie? – pyta naprawdę zainteresowany.

– No... makrela. Ma ten intensywny morski smak, a już na przykład dorsz – nie. Smaczne? Świeże? – dopytuję.

Kiwa głową. Kiedy przechyla muszlę i ostryga wpływa mu do ust, aż zamyka oczy z rozkoszy. Ja czekam jeszcze. Zbieram się w sobie.

– Tak – potwierdza. – Ja chyba się urodziłem do luksusu! Raz na jakiś czas uwielbiam te morskie galaretki.

Biorę i ja muszlę, skrapiam cytryną i nastawiam zmysły na tran... Ale nie. To nie tran, faktycznie słoność i ocean, smak tego, co nas otaczało, gdy pływaliśmy z rybami w morzu. Dziwne, nie pamiętałam mojej pierwszej i ostatniej ostrygi. To było z Mirkiem dawno temu w Hamburgu. Pojechałam z nim na jakieś jego sympozjum i zaproszono nas na dętą kolację. Nie było nastroju, więc i ostrygi mi nie smakowały...

– Co z deserem?

Antkowi dopisuje apetyt, butla wina prawie pusta. Bierzemy jeszcze jedną. Szaleństwo, ale ja tego alkoholu wcale nie czuję. Muscatowe wino jest takie niewinne.

– Antek... – zaczynam i chociaż mam przygotowaną przemowę, nagle tracę rezon. On patrzy na mnie ciepło i – jak mi się wydaje – zachęcająco.

– No co, słoneczko? – pyta miękko i już wiem, że dam radę.

– Tylko się nie wystrasz, ale mamy równouprawnienie! I wobec tego to ja chciałabym podzielić się z tobą moim dzisiejszym zakupem. Ale nie będziesz się śmiała?

Ma lekkie zdziwienie w oczach. Jest zaskoczony i czeka na niespodziankę z małym, jak mi się wydaje, niepokojem. Wyjmuję z kieszeni obie obrączki bez pudełeczka. Tak to właśnie wymyśliłam, bez pudełeczka, żeby zdjąć z nich odświeżność. Wyciągam dłoń i po-woli ją otwieram. Antek ma przez moment pytający wzrok, potem łapie już, co to jest, i śmieje się:

– Marianno, jakie to... miłe! To znaczy, że... Co to znaczy?

Wolałabym już nie tłumaczyć mu, ale mężczyzna ma prawo zgłupieć w takiej odwróconej sytuacji.

– To jest pewien taki... wiesz... symbol, że ci nie ucieknę. I chciałabym też myśleć, że i ty nie czmychniesz. To niby nic nie znaczy, to tylko biżuteria, ale... – urywam, bo mi się myśl wysliznęła.

Antek wstaje, obchodzi stół i podaje mi rękę. Ja też wstaję. Obrączki są w jego

dłoni. Wyłuskuje tę mniejszą i nakłada mi na palec. Potem ja jemu.

– Pasuje! – cieszę się i nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Łowię spojrzenie kelnera stojącego opodal i dyskretnie klaszczącego w dłonie.

Siadamy. Antek milczy i przygląda się swojej obrączce.

– Fajnie to wymyśliłaś. Wstyd mi, że to nie ja. Bałem się, że za wcześnie na poważne gesty, ale kiedy, jak nie teraz? Nam, Marianno, szybciej cyka zegar. Na co czekać? Wiesz, nawet mi to przemknęło przez myśl podczas pierwszego spaceru. Oglądałaś tę biżuterię, a ja pomyślałem, że powinienem ci kupić tamten pierścionek, który ci się tak podobał.

– No coś ty.

– No powinienem, ale stale się bałem. Teraz tak sobie myślę, że my oboje już od dawna wiemy, że fajnie nam ze sobą, ale łązimy jak te liski koło płotka.

– ...koło drogi – poprawiam Antka, a on zaraz też się poprawia:

– „Chodzi lisek koło drogi, cichuteńko stawia nogi, cichuteńko się zakrada, nic nikomu nie powiada”. Ty mój lisku!

– Będiesz nosił? Przecież mówiłeś kiedyś, że nie lubisz u faceta świecideł.

– To nie świecideł i będę nosił. Wybrałaś skromny, fajny model. Czyli co, teraz jestem twoim...?

– *Fiancé!* – odpaliłam. – Lubię to słowo. Brzmi o wiele ładniej niż „narzeczony”.

– To ty też jesteś moją *fiancé*. Bardzo mi się to podoba, pani Marianno!

Uffff. Spadł mi kamień z serca, choć właściwie to nie było kamienia. Była niepewność, czy Antek nie poczuje się usidlony. Ale... nie. Mężczyźni tak długo wolni od więzów nie są skorzy do tworzenia ponownych. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Trzymając się za ręce, jak to już od dawna robimy, poszliśmy jeszcze na romantyczny pożegnalny spacer. Troszkę rozmawialiśmy, troszkę całowaliśmy się w miejscach słabo wyeksponowanych, bo jesteśmy jednak dyskretni i nieostentacyjni. Spać nam się nie chciało, za to chyba każde z nas przepełniała młodsze radość z faktu, że postawiliśmy jakąś kropkę nad i, że dopowiedzieliśmy niedopowiedziane, że te obrączki to rodzaj deklaracji, żebyśmy nie czuli się zawieszeni. Tak można się czuć za młodu, i to jest nawet przyjemne. Te niepewności, oczekiwania, rojenia i marzenia, te nieprzespane noce i słynne motyle w brzuchu. Ale my jesteśmy na to za starzy i za... normalni. Mamy krótszy kalendarz, mniej czasu na ceregiele. Zresztą nie certoliliśmy się zanadto, tylko skorzystaliśmy z tsunami i zrobiliśmy to, o czym każde myślało. I tak jest dobrze.

Noc była tak ciepła, bajeczna, a my tacy szczęśliwi i niezłomni, że zaszliśmy jeszcze do Bali Center na jednego. W zapchanej restauracji siedliśmy przy barze i zaraz nas poklepano po plecach. To... Rysiek i Jurek z wesołym towarzystwem! Antek zaraz się pochwalił obrączkami, więc poszły toasty za nasze zdrowie, gromkie oklaski i zaciąganie nas do stolika, ale się wykręciliśmy. Leciutko wstawieni wróciliśmy do hotelu. Zanim spakowaliśmy walizki, Antek westchnął:

– Oj, Mańka, ja to mam szczęście!

**W życiu musi być dobrze
i niedobrze.**

**Bo jak jest tylko dobrze,
to jest niedobrze**

– ks. Jan Twardowski

Noc, lotnisko w Denpasar, odprawa, oczekiwanie, wejście na pokład, lot. Jutro około czternastej będziemy w Ulsan.

To się już tak powtarza w moim życiu, że już ani słowa o tym. To tak się już wbiło w moje obyczaje, że stało się czymś normalnym, jak kiedyś jazda tramwajem, a potem samochodem. Pamiętam, jak zrobiłam prawo jazdy i jak z Mirkiem pojechaliśmy po mój, mój, abso-lutnie mój samochód. Wcześniej pojeździłam oczywiście naszym, wówczas ukochanym polonezem, potem seatem, ale przyszła pora i stać nas było na dwa samochody. Taka kolej rzeczy.

– Wiesz, Antek, ja pamiętam mój pierwszy absolutnie własny samochód – powiedziała, gdy już siedzieliśmy w samolocie i ten wyrównał lot po starcie.

– Co cię naszło? Chcesz mieć w Korei własny? Proszę bardzo!

– Nie, ja nie o tym. Ja o ewolucji i postępie. Wówczas to ewoluowało w tę stronę, że mieliśmy coraz więcej pieniędzy. Więc samochód początkowo był luksusem, który nagle stał się naszym udziałem, a potem – co było dla mnie niewyobrażalne – sama miałam swój!

– No i co to było?

– Oczywiście najpierw zaczęłam od malucha. Ale szybko Mirek wymienił mi go na ibizę. Seata. Mogłam do taty jeździć już bez łaski Mirka. A dzisiaj samochód to żaden luksus. Byle złom można kupić za grosze.

– No i potem biadolić, że to nieprzewidziane koszty, bo nie tylko paliwo, ale i ubezpieczenie, naprawy. I statystyczny Kowalski pozbywa się tego złomu prędzej, niż go kupił.

– To prawda, ale ja nie o tym. Mój pierwszy lot taki naprawdę długi, który zapamiętałam, to lot do ciebie. Kilka lat wcześniej leciałam też do Japonii i Indii, ale to były wyjazdy zorganizowane i ja się czułam jak przedszkolak. Wiesz, ktoś zaprowadził, posadził, odebrał. Potem nie latałam. I wreszcie lot do Frankfurtu, do Ulsan, potem z powrotem i znów na Fuerteventurę i na Bali, i teraz znów Ulsan i już mi to powszednieje.

– To dobrze! Tak powinno być, słonko.

– Przyzwyczajamy się do luksusu, ale już jesteśmy u progu całkiem nowej ery.

– Serio? Nic o tym nie słyszałam.

– Nazwijmy ją postgadżeciarską. Bo ten zalew niepotrzebnych gównien musi się skończyć.

– Które gówna masz na myśli?

– Te, które nas ścigają. Te, które nam się wciska jak paraleki „na głowy swędzenie i dupy bolenie”, abyśmy tylko kupowali. Rzeczy kompletnie niepotrzebne, będące li tylko fajną zabawką.

– No nie zgodzę się z tobą. Bo nawet jeśli są niepotrzebne, a stanowią wielki procent eksportu krajów rozwijających się, to znaczy, że rozwijają te kraje, które ten tani bądzie tłuką.

– Tak. Ale wracam do realnych potrzeb, które się zmieniają i za jakiś czas będą musiały zmienić nasze myślenie o wszystkim. Wiele miast europejskich już za chwilę wprowadzi totalny zakaz poruszania się samochodami. Dla mieszkańców tych miast samochód stanie się czymś zbędnym, utrudniającym im życie, i z wieloma gadżetami będzie to samo.

– Tak sądzisz? Serio?

– Mieszkasz w Korei. Nie wiesz, że to się już dzieje?

Rozmawialiśmy długo o tym, że cała filozofia postępu i cywilizacji musi się jakoś przewartościować. Antek się podśmiewał i wątpił, ja nie. Różnimy się. On twardo stąpa po ziemi, a we mnie kwilą romantyzm, humanizm i idee życia dla życia, a nie dla osiągnięcia kolejnych dóbr.

– Antek, to musi wałać. Japończycy umierają na *karōshi*, śmierć z przepracowania. Japońscy przedsiębiorcy, tylko niektórzy, zdecydowali się na... zlikwidowanie dwóch ostatnich godzin pracy w piątek, żeby pracownicy mogli trochę pobyć z rodzinami. To nie-humanitarne aż tyle pracować! Dwie godziny... W Szwecji ograniczono w niektórych firmach godziny codziennej pracy do sześciu, żeby ludzie odnowili życie osobiste i żyli dla życia.

– I to ma odbudować ich rodzinność? Wierzysz w to?

– Chciałabym wierzyć, że żyjemy nie tylko po to, żeby umierać z przepracowania.

– Kochanie, żeby to wprowadzić, państwo musi być bogate.

– ?

– No pomyśl. Żeby żyć godnie i rodzinnie, potrzebny jest nie tylko czas, ale też... pieniądze. A jeśli spędzimy pół życia w robocie, marnie pracując i krótko, to z czego mamy żyć jako emeryci? Nadto przecież grozi nam *silver tsunami*.

Fakt... Już za kilka lat starych ludzi będzie o wiele więcej niż młodych. Zamilkłam.

– To my jesteśmy tym *silver tsunami*, prawda? – Spojrzałam na niego z niepokojem. Mój *fiancé* popatrzył mi w oczy dobrotliwie.

– Wiesz co, Marianno? Myślę, że te kłopoty zostawiłbym młodemu pokoleniu. A my żyjmy tak, żeby to, co mamy przed sobą, było jak najprzyjemniejsze i najbardziej wygodne. I wiesz, co jest do tego potrzebne?

– Zdrowie? – odpowiedziałam rozsądnie.

– Tak! Zdrowie i pieniądze! I dlatego będziemy, pani Maryniu, żyć mile i nie zaciskając pasa.

– Trzeba coś mieć na czarną godzinę, tak mówiła mama – mruknełam.

– To prawda. Za młodu. A skąd wiesz, czy przypadkiem ta czarna godzina już może nie była? – To mówiąc, nachylił się i pocałował mnie w nieco pomarszczone czoło. – *Don't worry*, jak mówią. Nie zamartwiaj się bez sensu. Jest dobrze, a będzie jeszcze dobrze! Jesteśmy piękni i młodzi, znaczy dość młodzi duchem, może mniej ciałem i życie przed nami. Ponadto jesteśmy zaręczeni, a to zobowiązuje!

– Do czego?

– Nie wiem! Nigdy nie byłem zaręczony, ale coś wymyślimy! Z pewnością do tego, żeby nawzajem o sobie dbać i kochać się, a reszta to pikus.

– To... wyznanie?

Antek uśmiechnął się nieporadnie.

– Tak. Wybacz, że nie klepię ci wyznań miłosnych, ale ja nie wiem, czy...

– Wiem. „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?” Też sobie zadawałam to pytanie, ale mi jest łatwiej, bo ja jestem egzaltowana gęś, a przynajmniej tak o mnie mówiła szkolna koleżanka. Lilka mnie zapytała, co bym zrobiła, gdybym cię teraz straciła. I to było jak cios w brzuch. Wyobraziłam sobie moje życie bez ciebie i zobaczyłam czarną dziurę. Tak zabolalo... i wówczas zdałam sobie sprawę, że tak się chyba objawia miłość, ta stara analogowa i niemodna miłość. Że się już widzi własne życie pozaplatane z tym kimś kochanym.

Popatrzyłam w Antkowe oczy. O, mamo, zwilgotniały mu! Wzruszył się! Pocałował mnie w rękę i wyszeptał tylko:

– Ja też. – I zaraz potem spytał trzeźwo i ciekawie: – Lilka?

– Tak. Moja Lilka. Przyfruwa z zaświatów i gadamy.

– Z zaświatów? – upewnił się. – To... pozdrów ją ode mnie.

Ośmiogodzinny lot do Seulu wydał mi się krótki. Potem tylko zmiana lotniska z Inczon na Gimpo i godzina do Ulsan. To już wiem!

– Do Ulsan lecimy z Seulu czy jedziemy?

– KTX-em. Pojedziemy z Inczon metrem na stację KTX, bo samolotem to byłoby dłużej, odprawa i wiesz... A tak myk, myk i w pociąg. Dwie godzinki i już jesteśmy w Ulsan! Zresztą tam na parkingu tym przedłużonym stoi samochód. Nie zmęczy cię to zanadto?

– Z tobą? Coś ty! Na luzie!

W tym momencie właśnie zaczęto roznosić posiłki. Czyli jeszcze tylko kilka godzin! Zasnęłam na ramieniu Tośka mile ukołysana konia-kciem.

W Seulu nie czuję zmęczenia. Tylko trochę boli mnie pupa od siedzenia i mięśnie od bezruchu. No i wio, do metra, potem na szybką kolej i szast-prast dwie i pół godzinki i jesteśmy w Ulsan! Na lotnisku Antkowi rzędzie mina.

– W domu mamy gościa – przypomina z niepokojem.

– No to świetnie! Twoją córkę trzeba pięknie ugościć! Jestem w dobrym stanie, nie martw się! Z lekka odespałam. Zaraz skoczę do sklepu, zrobię zakupy, żeby była kolacja i śniadanie jutrzejsze.

Antek niepokoi się, czy aby dam radę, bo podróż, bo jakże to, może on nas zaprosi do restauracji albo coś zamówimy?

– Żartujesz? Zrobicie coś raz-dwa. Chyba że macie do pogadania, to idźcie.

Powoli czuję motyle w brzuchu, ale to nie są te motyle. To niepokój, bo Dominika podobno, tak twierdzi Tosiek, nie jest miłą i serdeczną istotą. Wiem, że jest z rozbitej

rodziny, a dzieci różnie reagują na takie sprawy. Ale przecież ona była już wtedy prawie dorosła! Denerwujemy się więc już oboje. Antek spięty jak przed prokuratorem, a ja chciałabym dobrze wypaść.

Ulsan z lekka tylko przymrożone. Nie jest lodowato, śladu śniegu! Rzeka nawet nie przymarznięta. Na jej nabrzeżu, na ścieżce z tartanu widzę młodych ludzi w kolorowych czapkach i szalikach na rollkach. Staram się oderwać myślami od Dominiki. Jest tam i czeka na nas. Jaka się okaże?

Podjeżdżamy pod dom. Wchodzimy na piętro. Antek jest milczący i skupiony. RzUCA mi szybki uśmiech. Czternasta, nikogo z sąsiadów nie ma. Wszyscy w pracy.

Otwieramy drzwi. Wnosimy walizki. Z kuchni wychodzi na oko trzydziestokilkuletnia kobieta, dość wysoka i mocnej budowy. Ma czarne, długie i rozpuszczone farbowane włosy. „Nie jest przesadnie elegancka” – odnotowuję w myślach. Tosiek przedstawia nas sobie.

– To Marianna, pisałem ci o niej. Moja... *fiancé!* – słyszę. Mówi to z uśmiechem i szybko do mnie: – A to Dominika, o której ci mó-wiłem.

Wyczuwam jej niepewność. Nawet nie powiedziała na głos swojego imienia. Pewnie spięta. Podaję jej dłoń z uśmiechem i głośnym: „Marianna”. Ona podaje swoją, niestety to rybia płetwa. Nie czuję ciepłego i serdecznego uścisku, ale przecież jeszcze niczym sobie na tę serdeczność nie zasłużyłam. Taksuje mnie zdziwiona. Nie jestem długonogą antylopą. „Luuuuzik” – pocieszam się, bo widzę, że Dominika jest owinięta chłodem. Bywa. Ja zazwyczaj każdego ponuraka po kilku słowach jakoś „rozpinam”. Pogadamy, zrobię pyszne jedzenie, to z pewnością poluzuje gorset.

– To ja tylko siusiu i skoczę do sklepu – mówię wesoło.

Cisza. Zostawiam ich milczących i pospinanych. Ja jednak mam z Grześkiem znacznie fajniejszy układ. I z Igą, która jest niby milcząca i wycofana. No ale fakt, musiałyśmy zjeść korczyk soli, bo beczka nie była to z pewnością, żeby się polubić.

Chłodno. Kurtki zimowej nie mam. Muszę sobie tutaj jakąś sprawić. W kuchni wysypuję do kieliszka czarny piasek z Fuerteventury. Dziecinne to, ale taki już miałam odruch. Po balijskim ciepłe po prostu cała drzę, więc idę mocnym, zdecydowanym krokiem. Prawie biegnę. W sklepie miło, wita mnie wesoło: „*Anaseyo!*” szefowej, wabią znane już produkty na półkach. Teraz muszę kupić coś na szybko, *stir-frying*, czyli prosto z patelni, a na jutro może zwyczajny rosół? Biorę zatem dwie bagietki, bo nie chce mi się iść do pana piekarza po chleb, dwie tacki pokrojonego na drobne kawałki kurczaka, tackę obranego czosnku, kapustę *pak choi*, butelkę białego i butelkę czerwonego wina, wołowinę na rosół, mandarynki i szpinak. Do woka wybiorę ładniejsze części kurczaka, a resztę dorzucę do rosółu. Oczywiście marchew, białe korzenie jakiejś rośliny, która ma smak zbliżony do pietruszki, seler naciowy (bo korzeniowego nigdy tu nie widziałam), cztery pomidory kanapkowe foliowane, masło i ser topiony, jajka i to chyba wszystko. Wracam też szybko, bo chłodno jest i zwyczajnie zgłodniałam.

Na klatce cisza. Stąpam powoli i niestety słyszę podniesione głosy z naszego mieszkania.

– Oczadziałeś?! A co to ma do rzeczy? – Słyszę jej głos.
– Jesteś dorosła i nie możesz tak reagować! – To Antek.
– Reaguje, jak mi się podoba! A raczej nie podoba mi się to. Nie sądziłam, że ją tu zastanę. Wy już tak na stałe, tatuśku?!

To „tatuśku” jest pełne jadu. Oddycham cicho i niestety... pod-słuchuję.

– Byliśmy na Bali, pisałem ci.

– Myślałam, że ona wróci stamtąd do Polski. Tracisz rozum!

– Jak to: tracę? Co to znaczy: „Nie podoba mi się to”? Jak możesz tak mówić?

– Bo jesteś łatwowierny jak baran! Jak myślisz? Czy ta pani poleciała na twoją wędną urodę? Wybacz, ale gadamy szczerze.

– Nie zna mojego statusu finansowego, Miniko, jeśli o to ci chodzi. Nie pokazywałem jej wyciągów bankowych. I co to w ogóle jest za tekst? Co ciebie obchodzi, co ja robię z majątkiem? Z kim śpię?

– Mnie? Nic. Tylko że jesteś moim ojcem i staram ci się otworzyć oczy!

– Nie znasz jej! Niczego nie musisz.

– Nie muszę jej znać, tato, a ty jesteś albo ślepy, albo...

Postanowiłam to przerwać. Weszłam z wesołą miną.

– Mam zakupy i nie zawaham się ich użyć! – Uśmiechnęłam się i poszłam do kuchni.

W powietrzu zawisła cisza cięższa od ołowiu.

– Pomóc ci? – Antek wszedł za mną. Jest szary na twarzy, aż mi go żal.

– Może zrób nam wszystkim herbaty, bo ja na przykład zmarzłam, a potem rozpakuj walizki. Moją tylko połóż w moim pokoju – mówię dość chyba naturalnie, ale może zbyt głośno.

– Dobrze, słonko – odpowiada Tosiek jak grzeczne dziecko i nastawia czajnik.

Szeleszczę opakowaniami, chowam rzeczy do lodówki.

– Nalej nam po łyśkaczyku – szepczę mu na ucho – bo без водки не разберёшь.

Patrzy mi w oczy pełen widocznego dramatu, rozczarowania i... poczucia winy.

Też inaczej wyobrażał sobie spotkanie z córką po latach. Dominika siedzi w pokoju. Jej złość czuję aż tu. Tosiek wyjmuję butelkę whisky i nalewa dwie szklaneczki. Dodaje mi lód. Sobie nie, bo nie lubi. Wychyla jednym haustem, potem robi herbatę dla nas wszystkich, ale wiem, że herbata nic mi nie da. Wypijam i ja zawartość szklaneczki i całuję cicho Tośka, pokazując kciukiem do góry, że będzie dobrze.

Do obiadu jest właściwie cicho. Dominika ma słuchawki na uszach i smartfona w rękę. Antek rozpakowuje walizki i ładuje pralkę ciuchami z podróży. Ja pitraszę. Jest... niezręcznie. Dominika wprowadziła tu wrogą atmosferę i nielekką będzie to odkręcić.

Stawiam obiad na stole, proszę ją, żeby rozłożyła sztucce. Robi to bez entuzjazmu, nie łapiemy kontaktu. Moje uśmiechy na nic się zdają. Podczas obiadu Antek coś próbuje opowiadać o wspinaczce na wulkan, ale to brzmi sztucznie. Chwali jedzenie, chwali moją kuchnię, próbuje rozładować atmosferę opowiastką o tym, jak kupowałam drożdże, ale to też na nic. Dominika chce dokończyć kłótnię, a ja przeszkadzam. Proponuję:

– To pozmywajcie, a ja wyskoczę po chleb do pana piekarza i zahaczę o sklep w Hyundai Departament Store, bo w naszym nie było śmietany.

Antek oponuje, że po co, że jestem zmęczona. Ale ja wiem, że jeśli tego nie zrobię, ona go wyciągnie na spacer albo do pobliskiej knajpy i tam zrobi mu dalszy ciąg awantury. Przy ludziach.

– Dobrze, ale tylko do piekarza – kapituluje. – Jutro skoczymy do Mega Martu po resztę zakupów. Bardzo cię proszę, Marianno. – Jest stanowczy.

Po powrocie już na schodach słyszę podniesione głosy i niestety, przepraszam, Wysoki Sądzie, znów podsłuchuję.

– Minika, zapomniałaś, że to ja łożyłem na twoje potrzeby i studia, a nie Wojtek! To ja dałem mamie pieniądze na wykup mieszkania, z którego ona była uprzejma mnie wyślizgać!

– Sam się wyślizgałeś! Było nie wyjeżdżać!

– Ty to poważnie mówisz? I gdzie według ciebie miałem pracować? Na poczcie?

– A choćby i na poczcie! Ale byłbyś blisko. Mama cierpiała na samotność!

– Na poczcie, moja droga, nie zarobiłbym ani na twoje studia, ani na mieszkanie, ani na twój samochód!

– Aleś ty materialista!

– Ja? To ja jadę przez pół świata skontrolować ciebie i twój związek? Bo czegoś tu nie rozumiem?

– Tato... – Dominika już nie wrzeszczy. Mówi spokojnie i twardo: – Dajesz się wyrolować. Mnie nie chodzi o twoje zachcianki erotyczne, ale chyba są tu młodsze i ładniejsze? Płacisz, masz! Po co ci wiązanie się na starość? „*Fiancé!*” – prychna i głośniejsze dodaje: – Ona tylko udaje taką dobrotliwą gosposię. Przyjdzie chwila, to cię oskubie na łyso. Czytałam ostatnio...

– Dziecko, o czym ty mówisz i kto dał ci prawo do wtrącania się w moje życie? Do obrażania moich przyjaciół? Co to za jakaś idiotyczna napaść? Czy ty przypadkiem nie boisz się o schedę po mnie? Już mnie kładziesz do grobu?

– To... tylko troska o ciebie! – odszczekuje, ale brzmi to nieszczerze, i dodaje: – Ale skoro już tak tu sobie szczerze gawędzimy, to spisałeś może oświadczenie woli?

Antek milczy. Cicho tam okropnie. Widocznie go to ubodło, a ona widzi, że przeholowała:

– Tak tylko pytam, bo w razie czego to potem same kłopoty. Janek, ten nasz kuzyn z Wrocławia, ten, wiesz, został kompletnie wyślizgany z majątku, bo kochanek jego matki tak jej zawrócił w głowie, że wyjechali razem do Chorwacji i tam żyją na jakimś jachcie. A ciotka przecież ma już około siedemdziesiątki. I jakby co, to nawet nie wiadomo, gdzie ich szukać.

Antek nadal milczy. Słyszę, że ktoś otwiera drzwi klatki schodowej. Trudno. Koniec podsłuchiwania. Cichutko schodzę kilka stopni niżej i pochylam się, że niby poprawiam coś przy bucie. To Lali Chopra. Witamy się serdecznie, głośno. Lali wygląda świetnie, po chwili słyszymy stąpanie.

– *Rasul's coming. We were shopping! Where were you?*

– *Bali! In a great hotel!*

– *Get in for a coffee in an hour. Tell me how it was.*

– *Sorry but no. We have a guest* – mówię ze smutkiem. Najprawdziwszym, bo

zamiast siedzieć w domu z niechętną mi córką Tośką, wołałabym kawę u Choprów i mój wysiłek włożony w poprawne formułowanie myśli po angielsku.

Rozmowa u nas ucichła. Żegnają sąsiadów i wchodzi do mieszkania.

– Spotkałam Lali i Rasula, zapraszają nas na kawę, ale się wykręciłam. Czy może źle zrobiłam, Tośku? – rzucam mu pytanie i zaraz się zwracam do Dominiki: – To nasi sąsiedzi. Są Hindusami i zapraszają. Gdybyś chciała, poszlibyśmy razem. Lali zawsze ma pyszne słodczyki własnej roboty.

– Nie, dziękuję. A właśnie. Mama kazała ci to kupić.

Dominika wraca z pokoju, trzymając w dłoni torcik wedlowski. Daje go Antkowi tak, jakby podawała bilet do kontroli. Bez cienia uśmiechu. Gwałtownie szukam w głowie pomysłu na rozładowanie sytuacji, ale tam pusto i wiatr wieje. Halny.

Idę do kuchni i znów cicho nalewam dwie szklaneczki whisky. Jedną wypijam, druga czeka na Antka. Podziwiam jego spokój. Ja bym szybciej ją ustawiła do pionu!

Siadamy w pokoju na kanapie, ja podaję kawę i kruche ciasteczka kupione w piekarni. Rozmowa drętwą, o niczym. Dominika opowiada niechętnie o pracy, o dalszej rodzinie. Antek słucha, choć widzę, że to po nim spływa. Proszę go o konfitury, więc wstaje, idzie do kuchni. Słyszę wołanie:

– Kto się napije łyskacza?!

Dominika chce, więc Tosiek przynosi trzy szklaneczki. Puszczam do mnie dziękczynne oko. Nadal jest sztywnawo. Zaczynam nie-winnie:

– Kiedyś w redakcji mieliśmy dysputę o tym, czy miłość to przywilej młodości, czy też jest niezależna. Zaskoczyła nas nasza młodzież, bo okazało się, że oni wierzą w miłość i że jest możliwa w każdym wieku, a moje koleżanki – starsze oczy-wiście – wąpiły.

– No to chyba rozsądne – burknęła Dominika.

Cisza. Więc brnę:

– Był taki film Ewy Borzęckiej *Damsko-męskie sprawy*. To opowieść o starszych ludziach i ich pragnieniu miłości. O prawdziwym pragnieniu. Ile tam było... Szekspira! Prawdziwych emocji!

– Tak niby między wierszami chce mi pani uświadomić, że to prawdziwa miłość?

– Dominisium – mówi Antek słodko. – Wołałabym, żebyś nas w naszym domu nie obrażała.

– Ja? No skąd! Każdemu wolno mieć złudzenia – odpala cynicznie.

– Jeśli nawet jesteśmy naiwni i hołdujemy złudzeniom, droga panno – cedzi Antek – to mamy je na własne życzenie i nie musisz się o nas martwić.

Znów próbuję zmienić temat:

– Może pooglądamy zdjęcia? Tosiek zrobił świetne! To potrwa chwilę. Kochanie, zrobisz pokaz?

– Ale... nie są obrobione – Tosiek się kryguje.

– Wybaczysz mi, prawda? – pytam Dominiki, ale odzewu oczywiście nie ma.

Antek niechętnie i zapewniając nas, że to surowizna, robi wreszcie ten pokaz. Najpierw zdjęcia z Fuerteventury, sporo tych zabawnych, wesołych, na których żartujemy. Tosiek udaje osła, ja kozę, potem czarna piaszczysta plaża i też jakieś żarty, napisy z kamieni „Giovanni & Jolanda”, „Pedro & Mercedes”, „Layla & John” „Patryk

& Kaśka”, ale też „Patrick & Javier”.

– Młodzi fajni – komentuję. – Pofatygowali się po kamyki i poukładali te napisy w serca i... nasi tu byli!

– Jakoś nie widzę napisu „Antek & Marianna” – podkpiwa Dominika. Nareszcie się uśmiechnęła.

– A fakt, leń nas dopadł. O, a tu była znakomita koźlecina. Pyszna, co widać po pustych talerzach! – Pokazuję na zdjęcie z talerzami po potrawce.

– A Mańka szminką napisała im na papierowym obrusie „FANTASTICO” i narysowała coś. O, patrz tutaj.

Zero odzewu.

– Dobra. – Dominika dała za wygraną. – Położę się, bo padam. Bawcie się dobrze!

Wstała i poszła się myć. Nie zabrała ani swojej filizanki, ani szklaneczki, uznając, że jest tu gościem. OK. To nie problem, tylko tak mi przykro, bo widziałam gimnastykę Tośka, desperackie próby normalizowania sytuacji.

Zostaliśmy sami ze zdjęciami z Fuerteventury i Bali. Nie mamy już ochoty na kolację, więc jeszcze końcówka łyskacza. Antek sobie dolał podwójną porcję.

– Mam ochotę urznąć się w sztok.

– A urznij się! Wolna wieś!

– Słucham?

– Takie powiedzonko. Urznij się. I tak więcej nie mamy, a do sklepu nie pójde. Za zimno.

Zasiedliśmy na swoich miejscach bliżej siebie i oglądaliśmy slajdy. Trzymałam Antka za rękę i czułam, jak powoli się uspokaja.

– Do kiedy tu będzie? – pytam szeptem.

– Do jutra. Po południu ma pociąg do Seulu, a stamtąd leci do Hongkongu.

– Ma tam jakieś sprawy?

– Nie, kochanie. Ma hojnego tatusia. Poprosiła o to. Cały przylot i wylot, i Hongkong jej zafundowałam.

– I za tę hojność tak obrywasz? Ups... przepraszam! Bardzo cię przepraszam. – Złapałam się za usta. Jest mi głupio, bo to nie moja sprawa. – Antek, przepraszam. Nie wiem, jak mogłam. To nie moja sprawa – powtarzam.

– Maryniu, co ty! Moja sprawa, twoja sprawa, nasza sprawa! Kto tak mówił?

– Grigorij Saakaszwili! Mechanik z *Czterech pancernych!*

– Brawo, siadaj, piątka! – i dodaje cicho: – Daj spokój. Myślę, że to już ostatni taki mój gest jelenia. Zawsze tylko kasa, kasa, kasa. Nigdy nie pamiętała o moich urodzinach, nigdy nie napisała maila, listu, nigdy nie zapytała, czy mam może jakieś problemy, czy jestem zdrow.

– Nikt jej tego nie nauczył.

– Daj spokój. Moja córka ma prawie czterdzieści lat, za sobą trzy nieudane związki. Jest, jak to mówią, singielką z dzieckiem, którego nie znam. I wiesz, będę wredny, ale jeśli ona jest taka na co dzień, to ja już wiem, dlaczego jest sama.

– Daj spokój, ja jej współczuję. Może ona nie przerobiła tej traumy?

– Jakiej? Z facetami?

– Nie, z waszym rozstaniem.

– Ona ma trzydzieści osiem lat! A nie osiem! Była pora to prze-robić.

Odłożyliśmy slajdy, bo poczuliśmy senność. Adrenalina spłynęła z nas i odezwało się zwyczajne zmęczenie. Do łóżka wzięłam tablet, bo jednak nie chciałam czekać z pocztą do jutra. Może stało się coś ważnego?

– Tosiek!

– Co tam? – spytał sennie.

– Mam dostać odszkodowanie za naruszenie praw autorskich.

– Ty? A kto cię naruszył?

– Ten... Zygmunt, co poprzeinaczał wspomnienia Włodka. Za kilka dni wpłynie na moje konto bardzo przyjemna sumka.

– Czy jest tajemnicą, jak bardzo przyjemna? O, *sorry*. Teraz ja przepraszam, to nie moja sprawa. Głupia ciekawość. A powiesz?

– Pięćdziesiąt tysięcy. Adwokat walczył o trzysta, ale tyle wytargował po odliczeniu swego honorarium. Ju-hu! Wymienię samochód! Albo nie, mój strucel jeszcze jeździ i ma się dobrze. Odłożę!

Dobiegło mnie urocze pochrapywanie mojego... *fiancé*! Popatrzyłam na moją obrączkę i zasnęłam.

Tak jak być powinno

Nie wiem, o czym jeszcze rozmawiała Dominika z ojcem. Każdy z nas miał do obiadu swoje zajęcia. Ja kuchenne i jakieś domowe sobie znalazłam, Antek zabrał córkę na miasto. Nagle przypomniałam sobie o odszkodowaniu i aż głośno zawołałam: „Ju-hu!”.

– Naprawdę aż taka nędza? – pyta mnie stary Włodek, objawiając mi się w kuchni. Siedzi na okapie kuchennym jakiś taki pomniejszony, ale głos ma swój, chrapliwy, niski.

– Ale że co?

– No te moje dzienniki? Naprawdę ten gnojek tam coś dopisał durnego?

– Naprawdę. Dzisiaj, Włodeńku, najlepiej sprzedają się skandale. Książka bez skandalu to kiepski produkt. Szczególnie dzienniki z PRL-u. Nikogo nie interesuje, jak było naprawdę, a już szczególnie sprawy normalne. Choć u ciebie normalności akurat malusio.

– Marianno. Normalność jest nudna jak flaki z olejem.

– No wiem! Dlatego właśnie taką podjęłam decyzję. Wybacz, ale już cię za to przepraszałam. A szef tego Zygmunta cwaniak chciał z twoich dzienników zrobić takiego... faszzerowanego kurczaka. Powtykał tam jakieś grube świństwa, których ty nigdy byś nie napisał.

– No dobrze, dobrze. Przynajmniej na odszkodowaniu zarobiłaś, ale coś mało...

– Daj spokój. Dużo! Myślisz, że ile zarobiłabym na wydanych dziennikach?

– Jest aż tak źle?

– Źle. Więcej piszących niż czytających. Włodek, nie przeszkadzaj mi już! Jako duch nawet mi ziemniaków nie obierzesz, sio, sio! Wpadnij innym razem!

– Oj, no dobrze już, dobrze! Ale, powiedz, małpa z tej córki? – I szczęść, jak to duch.

„Małpa – pomyślałam. – I ja nie lepsza. Też najeżdżam na Ankę i na tatę”.

To było olśnienie! Takie, że aż przypaliłam cebulę, gdy się nad tym zamyśliłam. Cebula do kosza i trzeba kroić nową.

Dzisiaj rosółek mocny i aromatyczny z makaronem *udon* i lekkie drugie danie – duszone warzywa w sosie z dodatkiem przecieru paprykowego, który znalazłam kiedyś w wielkim markecie na regale z napisem „Przetwory ze świata”. Bakłażan, cukinia, cebula, czosnek, papryka i pomidor uduszone w gęstym sosie ze słodkiej papryki. Ciut siekanego *kimchi* dodaje pikanterii, a wczorajsza bagietka świetnie wysuszone sos z talerza. Do rosółu, już w miseczkach, włożę cieniutkie plasterki marynowanego owocu lotosu. Świetnie wygląda i fajnie chrupie.

Czekam na nich z obiadem, bo zaraz potem Tosiek odwiezie Dominikę na dworzec.

Po ich minach po powrocie widzę, że nie był to przyjemny spacer. Znów się pożarli. O mnie i o majątek Tośka. Szkoda. Mogło być milej. Obiad zjadamy niemal w milczeniu. Tosiek chwali jedzenie, Dominika zdawkowo mówi: „Smaczne, dziękuję”. Zamienia ze mną grzecznościowo kilka słów, gdzie pracowałam, co teraz robię. Zainteresowała się Esterą podróżniczką, ale wydeła usta, mówiąc, że to typowe odbicie. Nie komentuję. Ma prawo do własnego zdania. Ożywia się, gdy opowiadamy o przypadku Lali Chopry.

Żałuje, że już jej nie pozna.

I koniec.

Teraz czekam na powrót Antka.

– Ufff... To nie było fajne – mówi Antek, stając w drzwiach. – Przepraszam cię, Maryniu. Ona nigdy nie była miękka, miła i wylewna, ale teraz dała dziwny popis niechęci.

– A wiesz – powiedziałam, gdy już siedział obok mnie w kapciach i ze szklaneczką szkockiej, którą kupił w drodze powrotnej – że w jakiś sposób ona była moim lustrem?

– Nie rozumiem.

– No, pokazała mi moje fochy wobec Anki. Może ja nie jestem aż tak obcesowa, ale moje podejrzenia pokrywają się z podejrzeniami Dominiki.

– Żartujesz!

– Nie żartuję. Ja też posądzam Ankę, że okręciła sobie tatę wokół palca, bo podobają jej się siedlisko, dom, ogród... Kiedyś nawet myślałam, że sama podpaliła ten drewniak w Garwolinie, bo wyczuła, że ojciec da jej pokój na święte zawsze.

– Serio? Tak myślałaś?

– Tak. Jak Dominika byłam – i nadal pewnie jestem – zazdrosna o tatę. I boję się, że ona go nie kocha prawdziwie.

– Udaje? Dla kasy?

– Tak sądziłam. Ale teraz mi głupio, bo wizyta Dominiki uświadomiła mi, że tak wcale może nie być, że jestem do Anki uprzedzona, że odmawiam im – ojcu i jej – prawa do uczuć. Jak myślisz?

– Ja? Ja nie wiem. Ani taty nie znam, ani tej Anki. Ale obserwując ciebie przez tyle tygodni, nie mam cienia wątpliwości co do twojego uczucia do mnie, Maniuszko. I jeśli nie jestem wylewny, nie klękam tu przed tobą z deklaracjami, to tylko dlatego, że... nie umiem. I dzięki Bogu sądzę, że ty czujesz moje zaangażowanie w nasz związek. – Zamilkł. I patrząc na obrączkę, którą stale nosi, dodał: – Bo to chyba jest związek, co?

Do Choprów już nie poszliśmy. Wyciągnęłam Tośka do marketu po ciepłą zimową kurtkę. Znalazłam naprawdę świetną parkę na podpince z kapturem i, o dziwo, był mój rozmiar, a tutaj to rzadkość. Według tutejszej rozmiarówki kobiecej ja noszę rozmiar... orki. Naprawdę. Europejskie czterdzieści dwa to tutejsze XXL.

Wieczór spędziliśmy w domu i szybko poszliśmy spać. Tosiek jutro do pracy, a ja muszę spisać wywiad z Teresą. Niby to jest najśłabszy wywiad, bo bez rzeczy zaskakujących, jak Julikowa nerka czy żółwie morskie, wędrówka Estery za grosze lub Gabrysiowe przedzieranie się przez życie do lepszego świata. Ale Teresa miała w kieszeni jakiś skandalik, tylko ostatecznie zrezygnowała z jego ujawnienia.

Brak mi kolejnych bohaterek. Muszę usiąść i drażyć dalej. Weronika mówiła o koleżance, która też rzuciła wielki świat i tam, na Fuerte-venturze bierze się za bary z prawdziwym i nielekkim życiem. Kupiła rozpadającego się busa i remontuje go

własnoręcznie, żeby wozić małe grupy w ciekawe miejsca na wyspie.

– Sama remontuje? – spytałam Weronikę.

– Sama. Jest upačkana smarem. To motocyklistka. Ma jakieś enduro czy coś tam. Sama w nim wiecznie grzebie. Jest dość niesamowita, technicznie zagięłaby niejednego faceta. Wszystko umie zrobić sama! Wynajmuje niewielkie poddasze i na podwórku ma ten swój niby-warsztat. Nielekko jej, ale twierdzi, że jest szczęśliwa. Na swój sposób. A w Polsce była damcią!

No, dobrze. Jest damcia mechanik. Kto jeszcze? Spojrzałam na kalendarz. O! Przecież to już grudzień. Muszę pomyśleć o Wigilii, a na razie zakiszę koreańskie ogórki. Tylko polska przyprawa daje radę. No i musimy też zakiszyć kapustę. Czeka nas wyjazd na targ w sobotę, bo w domu jest troszkę pustawo po naszej nieobecności.

Grudzień w Korei

Kochany Tato,

ależ miałam podróż! Jak wiesz, ale tak tylko Ci przypomnę, Antek spotkał się ze mną na Fuerteventurze. To jedna z Wysp Kana-ryjskich.

Następnie poleciliśmy na Antkowe wakacje, na Bali. Okazuje się, Tatku, że dzisiaj cały świat stoi otworem, a pieniądze potrzebne na podróż to już nie jest coś niewyobrażalnie wielkiego. Gdy przyjadę do Polski, zrobię Wam pokaz slajdów. Boska wyspa! Tyle tu piękna mimo pory deszczowej (stąd i wyjazd, bo Antek znalazł taki ekskluzywny hotel za pół ceny). Było naprawdę co zwiedzać. A deszcz? No lało kilka razy, ale to ciepłe deszcze, a my nie z cukru.

Podjęłam się współpracy z wydawnictwem, które chce opublikować książkę o Polkach z niebanalnymi życiorysami, które żyją poza krajem. Ich wybory życiowe nie są ucieczką z „biednej Polski”, ale świadomym wyborem innego kawałka świata na życie niekonwencjonalne. Mogę oczywiście rozmawiać z nimi, siedząc na Zwycięzców przy biurku, ale skoro Antek umożliwił mi spotkanie się z bohaterkami do mojej książki bezpośrednio, to skorzystałam. Rozmawiałam więc oko w oko z Weroniką i Esterą, Małgosią i Teresą.

Przez przypadek moją pierwszą rozmówczynią była, jeszcze w Warszawie, Gabrysia. Ona jest ciekawa, bo jej wypad w wielki świat to wyjazd z małego miasteczka na Mazurach do Warszawy i niezwykle upór w dążeniu do celu. Ona jest taką... Esterą, tylko wcześniej i z biedniejszymi korzeniami. Jest na etapie walki o karierę w biznesie. Esterę już ta kariera znudziła do tego stopnia, że wystarczy jej to, co zarobi w podróży.

Jak Ty się czujesz? Co u Ciebie? Nie lubię denerwować Cię telefonicznie, ale uwierz mi, że stać mnie na pięć minut rozmowy!

Święta spędzę tutaj. Nie chcę zostawiać Antka samego. Ty masz Anię i Kasię, i Łukasza, to teraz Twoja nowa rodzina, z czego zresztą bardzo się cieszę.

Kocham Cię bardzo

Baranek

PS Zdjęcia są moje i Antkowe. Ta wielka papuga siadywała vis-à-vis naszego balkonu. Piękna, prawda?

Jedno kliknięcie i już! Po otwarciu poczty tatko znajdzie w skrzynce maila. Fajnie! Ja z kolei mam mail od Estery.

Kochana Marianno,

mam dla Ciebie następną do bukietu. Nazywa się Hanka, mieszka od kilku lat w Sydney. Co nadzwyczajnego? Trochę jak ja. Pracowała w Polsce w kilku korpo. Była stale dyspozycyjna i nakręcona. Aż się wypaliła. Z facetami też jakoś było niehalo, ale o tym to ona sama opowie. Pracuje jako kelnerka i nie ma najmniejszej ochoty awansować. Dobrze jej, jak jest, bo ma czas dla siebie, męża, pasierbów i psa. Twierdzi, że po prostu żyje.

Masz do niej mail: hanka_101@gmail.com.

Ja nadal w drodze. Gdzie jestem teraz? Na pracowych wczasach 😊 Na dwa miesiące przyjechałam na wieś do Anglii. Mieszkam na farmie, za oknem widzę dwa konie i kilkadziesiąt owiec, ale one dalej. Mieszkam sama na górze starego szkockiego domu, a na dole pracuję. Przygotowuję pakiety (naklejki, farbki, brokaty, kleje, pędzelki, wizualizacje) na sezon tatuażowy w Anglii. To takie tatuaże z brokatem dla dzieciaków i ich dziadków, bo wszyscy pośrodku, znaczy młodzież i dorośli, mają tu prawdziwe i dużo. Nie podoba mi się to, sama bym sobie nie zrobiła, ale de gustibus...

W czerwcu mam zamiar zawitać na dwa tygodnie do Polski – truskawek pojeść i wpaść przy okazji na dwa festiwale fotograficzne, w Łodzi i Krakowie, no i zjeść mamowy rosół, i pomiziać się w domu rodzinnym. A potem lecę znów tu. No prawie tu, bo już nie na tę farmę, tylko do Kornwalii te tatuaże dzieciakom robić 😊 Kolejne dwa miesiące i tak oto zarobię sobie na kolejne podróże. Hura!

Nie wiem, czy już Ci kiedyś pisałam, jak tę pracę znalazłam, a właściwie ona mnie. Bo na tatuaże przyjechałam już w zeszłym roku na lipiec–sierpień, wtedy do Walii (w tym roku Kornwalia, bo cieplej). A więc tak: w zeszłym roku po wyjeździe z Australii, gdy byłam na Filipinach, napisała do mnie koleżanka Słowaczka (którą notabene spotkałam z pięć lat wcześniej też na Filipinach), czy nie chciałabym wpaść do Anglii na wakacje i zarobić trochę kaski, bawiąc się z dzieciakami w lecie. No i pewnie, że chciałam! I chwilę później w Japonii miałam interview na Skypie z kolesiem, który trzęsie tym tatuażowym biznesem na Wyspach. No i tak oto w zeszłym roku, zamiast spędzić lato w Polsce na objadaniu się malinami i jagodami, jak planowałam, zostałam dziecięcą tatuażystką. Kolejny zawód do kolekcji zawodów podróżnych.

A co dalej... to ja już myślę. Może wydám te pieniądze w jakiejś indiańskiej wiosce w Boliwii czy amazońskiej puszczy? Troszkę może też jednak w Japonii, bo mnie wciągnęła. A skoro Japonia, to i o Korei Południowej też myślałam.

A z tą Koreą to na pewno do Ciebie się zgłoszę. Przyjmiecie mnie na kilka nocy?

Podróż jest w fazie przyszłej, nie planuję jej bardzo, ale za to bardzo mocno czuję,

że chcę jechać dalej i dalej. Myślę, że to będzie moja podróż w pojedynkę, a przynajmniej w większej jej części. Ja bym chciała na co najmniej kilka miesięcy znowu wyruszyć. A Marcin już mówi, że on za stary, że noszenie plecaka już go nie jara, że zdążył polubić siedzenie w domu, że tam cieplej lub chłodniej, w sensie: w domu najlepiej. Na razie stale jesteśmy razem, w sensie, wiesz, związku, ale nie wiem, jak długo wytrzymamy takie oddalenie i tego mojego świra podróżniczego.

No ja mam tu inny pomysł na życie, ale na szczęście my się dogadujemy w tym klimacie. To, że od czasu do czasu samotnie się gdzieś wyprawiamy i nie żyjemy non stop razem, to jest chyba już stałym elementem naszego związku. A dzięki temu też po powrocie jest tyle do opowiedzenia. Pamiętam, że kiedy byliśmy w Chinach w 2013, też było kilka takich tygodni, w których pojechaliśmy w dwie strony. Ja bardzo chciałam tam, gdzie jego w ogóle nie ciągnęło, więc po co mieliśmy się zmuszać? A potem było szaleństwo na Reunion (tam się spotkaliśmy), bo każde z nas miało superprzeżycia z tych wypraw. I to jest piękne, że można się potem tym wszystkim dzielić.

Nadążasz za mną?

No i w tej Australii właśnie spotkałam Hankę. Już ją pytałam, czy chce z Tobą pogadać. Chce!

Uściski. Odezwę się.

E.

Szalona jest!

OK. Muszę napisać do tej Hanki. Zrobiłam już dość rutynowo zestaw pytań i napisałam mail, o co mi w ogóle chodzi. Mam trochę prasowania po podróży, więc rozstawiłam sobie deskę, odpaliłam wiadomości i zaczęłam jazdę na żelazku. Nie wiem, czemu ludzie tak bardzo tego nie lubią. Ja lubię. Pomięte rzeczy się prostują, pod rękami mam lube ciepłko i jeszcze sobie sprawdzam, co się dzieje w Korei. O, jaka zima w Seulu! Fakt, że kiedy lądowaliśmy, widziałam, że trochę zaśnieżony, ale potem to już system pociągów i metra z lotniska na pociąg i właściwie nie spojrzałam na miasto. W pociągu drzemałam.

Ulsan ma podobno swój mikroklimat i śnieg bywa tu rzadko. Antek mówił, że cztery lata temu tak sypnęło, że było aż dwadzieścia centymetrów! Nikt tu nie zmienia opon na zimowe i działa się! Miasto dosłownie stanęło. A teraz widzę w telewizji Seul i jest ciut inaczej, bo tam często są i lód, i śnieg. Jest minus siedem i wszystko solidnie zasypane i oblodzone, ale ulice czyste, popiaskowane, gorzej z chodnikami. Ależ tam zima!

Ech! Koniec prasowania.

Doceniam ogrzewanie podłogowe. Chodzę w skarpetkach i ciepło mi. Sarta poskładanych i pachnących świeżością rzeczy ląduje w szafach. Zaraz zrobię obiad i zaczekam na Antka. Dzisiaj rosół, który został z wczoraj, i pierożki *gyoza*. Wprawdzie to mrożonka, ale fajne są – prostokątne, nadziewane kurczakiem, makaronem ziemniaczanym, a może to makaron z fasoli? Taki przezroczysty. I z siekaną *kimchi*. Zawsze są w zamrażalniku na takie okazje, kiedy nie bardzo mam czas na robienie czegoś wymyślnego. Pie-rożki i maczanka, taka troszkę jak japońskie *ponzu*. Miseczka, a w niej lekko rozcieńczony sos sojowy, ocet mirin albo jabłkowy, ciuteńka miodu i wiórki czosnku, ostrej papryczki i siekana zielona kolendra. Ta maczanka jest doskonała do wszystkiego! Do kaszanki, do grillowanych mięs, do ryb, tempury i sałat. Bardzo to uniwersalne!

Przy obiedzie umówiliśmy się na popołudniowy wypad do sklepu albo na ryneček na Bangeojinie. Potrzebny mi baniak gliniany albo choć szklany słój i główka białej zwyczajnej kapusty.

– Dasz radę? – pyta Antek.

– Pewnie, że dam! To nie może być trudne, skoro cały świat kisi. Ty wiesz, jakie się teraz zrobiły modne kiszonki?

– No, Korea z nich słynie.

– Tak. I chyba tu bije źródło owej mody! *Kimchi* podbiło wiele serc, a teraz czytam, że kiszenie, fermentacja warzyw i owoców to trend! Wróć prędko, zrobię ci kanapkę albo zjemy kolację na bazarku. Zdążymy?

Tak też było. Zjawił się ciut po piątej i tylko zaczekał, aż się ubiorę. Pojechaliśmy do Tesco, na bazarek było za późno. Tu na dziale warzywnym mam zawsze rozbiegane oczy. Tyle tego!!! Kupić? Ale kto to przeje? Zdroworozsądkowo biorę tylko główkę kapusty i marchew. Jabłka mamy.

– Nie mamy szatkownicy, Tosiek. Nie mamy, prawda?

– Ja ci posiekam! Dam radę. Mamy ostry nóż.

Potem szłam wolno, zaglądając na półki. Co to jest, że lubię tu robić zakupy? Oderwanie od domowej rutyny? Inne towary, choć właściwie takie same? Do kosza wrzucam sól morską.

– Masz kminek? Bo tu nie ma.

– Chyba mam. Przywiozłem z Polski, bo lubię wrzucić do gulaszu. Musi gdzieś być w przyprawach.

Na dziale z papierem toaletowym i ręcznikami nie miałabym pojęcia, w jakim kraju jestem. Towar taki sam jak u nas.

– Zgłodniałeś na pewno. Chodź, na ostatnim piętrze są jadłodajnie. Zjemy coś.

– Nie. Weźmy sushi na wynos. Jakoś mnie wzięło.

– Te osobno pakowane, na sztuki czy sushi boxy?

– Tak, te osobno... Dawno nie jadłem.

Bierzemy z lady chłodniczej czternaście kawałków. Jest wieczór i są przecenione, ale wyglądają na świeże.

– Japończycy chyba byliby skonfundowani – twierdzą, patrząc na napis o wieczornej promocji.

– Nie byliby – mówi Tosiek. – Oni tam w Japonii też mają oprócz prawdziwych susharni zwykły garmaż i też sprzedają w marketach sushi na sztuki. Wszystko już mamy? Wasabi jest w lodówce. To do kasy i do domu! Marzy mi się gorąca herbata i jakiś ckliwy film.

– Czemu ckliwy, a nie strzelanka?

– Bo tak! – odpowiedział po babsku i puścił oko.

W kolejce napotkałam wzrok... naszego sąsiada z góry. Uśmiechnął się i skinął głową. I ja się uśmiechnęłam.

– Antek, tam stoi nasz sąsiad z góry. Mieliście się wszyscy z naszej klatki schodowej spotkać kiedyś u Choprów, pamiętasz? I spotkaliście się?

– A! Tak. Nie pisałem ci? Czekaj, w samochodzie ci opowiem.

W drodze powrotnej okazało się, że owszem, spotkali się u Lali i Rasula. I John Hurt, i miętowy z góry. Pili piwo, wódeczkę i ga-dali. Ten z parteru naprawdę ma na imię John i jest Szkotem, a ten z góry to mieszaniec, pół Anglik, pół Holender. Mieszka na stałe w Amsterdamie i na imię ma Cedric.

– Cedryk? Ładnie. To brytyjskie imię? – zapytałam.

– Tak. Literackie. Wymyślone jak nasza Grażyna.

– Tak? Ano faktycznie, Mickiewicz sam ją wymyślił. Dobrze, ale jak było? – sonduję dalej.

– Wtedy? Fajnie. Każdy coś przyniósł. Faceci głównie piwo, ja kupiłem niby-szarlotkę w cukierni Hyundaia. Okropna jest, za słodka. Lali zrobiła arabskie kulki z białego twarogu, bardzo pikantne, i samosy z jogurtowo-miętową maczanką. Świetne pod napitki. Pogadaliśmy sobie trochę. Fajni ludzie. John pracuje na Offshorze. Ty wiesz? Zna Wieśka i Olgę. Dwukrotnie rozwiedziony, twierdzi, że się nie nadaje do związku, bo ma ciężki charakter.

– Ciężki?

– No, że jest mrukiem. A ten... Cedryk, fajny, wesolek. Nie wygląda na miętowego, chociaż zapytany o samotność coś mówił, ale nie dosłyszałem, gadałem z Lali o jej pracy.

– A gdzie pracuje?

– Lali?

– Nie, no Cedryk.

– W biurze projektowym. Lali za to opowiadała, jak się pokłóciła ze starym majstrem. Gdy mu udowodniła, że ma rację, to jej spawacze klaskali. Powiem ci, że to rewolucja! To się tu nie zdarzało.

– No a Rasul? Nic o nim nie mówisz.

– A co mam mówić? Normalny facet. Robota go z lekka nudzi, marzy mu się rejs po świecie albo choćby na Wyspy, bo lubi morze. Ale Lali nie chce go puścić. Za to facet świetnie się orientuje w polityce, tośmy się rozkręcili tak, że aż Lali zasnęła. Miałem ci opisać...

W domu rozpakowaliśmy siatki i zjedliśmy sushi. Szatkowanie kapusty

zostawiliśmy na następny dzień. Zdążę z tym kiszniem.

Święta tuż

Od taty ani słowa. No to policzyłam, ile jest między nami godzin, i zadzwoniłam. Przepraszał, tłumaczył, że źle się czuje, że okulary, że szybko się robi ciemno i że z czytania to w ogóle nici, bo to chyba zaćma. Ale że Anula mu nastawia książki, znaczy audiobooki, i teraz zimą słucha, ile się da. Odkrył kryminały.

– Czytam Kasię Bondę. Ona ma taki dar opisywania, że ja każdy szczegół widzę! I nigdy nie wiem, kto zabił! A jaka ładna jest! Była na spotkaniu u nas w Otwocku, pojechaliśmy z Anią. Wpisała mi autograf do książki. Taka młoda i piękna kobieta i kryminały pisze, i to takie, wiesz... Co u ciebie, Baranku? Nie przyjedziesz na święta?

Żałuje, że mnie nie będzie. Rozpytuje o moje życie tu, o pracę, o Antka – czy to porządny człowiek.

– Tak, tatusiu. Oświadczył mi się – przekręcam trochę prawdę, ale tatko nie zrozumiałby tego, że można i w drugą stronę.

– Taaaak? Pierścionkiem?

– Takimi obrączkami, tatku. Ma poważne zamiary. Nie martw się. To dobry człowiek!

Z tatą rozmawiam jak z księżycem, jest kilka sekund opóźnienia w jego percepcji. Starość. Jak szybko to poszło! Mój Boże. Czasem coś powtarzam dwa razy, żeby ojciec zrozumiał. Proszę do telefonu Ankę.

– Cześć, Anula. Co tam z tymi okularami?

– A nic. Robimy nowe, bo stare gdzieś tak położył, że za nic nie wiemy, gdzie są. Powiem ci tak, że... Michał ma nie najlepsze wyniki badań prostaty, ciśnienie opanowane, bierze primacor i czasem captopril, cholesterol jak cię mogę, nie chce brać statyn i ja się nie wtrącam, bo mówi zdecydowanie, że macie to ustalone.

– A, tak. Kiedyś wysłałam mu sporo artykułów o mafii cholesterolowej i o szkodliwości statyn. Jesteśmy podobnego zdania, że dwieście siedemdziesiąt to żaden alarm. Co tam jeszcze?

– No jesteśmy umówieni na taki spory przegląd, ja i on. CTG czaszki, jakieś markery, wiesz...

Z rozmowy wynika, że Anka dba o tatę i że to tylko, o Boże... galopująca starość. Ze zrozumieniem i chyba z ulgą przyjęła wiadomość, że nie będzie mnie na Boże Narodzenie. Pytała, kiedy przyjadę do Polski i takie tam. Byłam miła. Wizyta Dominiki jakoś odmieniła moje drewniane serce i teraz widzę w Ance troskliwą opiekunkę ojca. Może nawet ona faktycznie go kocha? Najważniejsze, że tam jest, ma go non stop na oku. Grzesiek miał rację.

Oczywiście natychmiast telefon do Grzesia. Ale on w pracy, więc: „Mamo, mogę, ale krótko”. Trudno. Tadzio pięknie mówi po szwedzku, Iga ma sporo zleceń przed Gwiazdką. Aha! Zmieniła firmę, robi piękne fotografie okazjonalne i też nauczyła się fotografować jedzenie. O! Pamiętam z pracy w redakcji, że to jest inna para kaloszy i że dobra fotografia jedzenia to ho, ho! Gratuluję i kończymy rozmowę.

– Nudno ci tu trochę? – zagaduje mnie wieczorem Tosiek.

– Trochę. Opracowałam już Teresę, choć ona jest, wiesz... taka normalna z tym

Bali. A teraz czekam na tę Hankę z Australii. Zjad-łeś? No to ja ci pokażę dzban, jaki kupiłam. Tu na naszej uliczce, koło piekarni! Gliniany i bez zwężenia. Będzie świetny do kapusty.

Kiszenie kapusty na dwie ręce jest czymś uroczym. Jest w tym zażyłość, tradycja, polskość i takie nasze bycie razem. Tosiek często mi pomaga w kuchni. Choć znalazłam tekst o tym, że *de facto* to nie jest pomoc, lecz... norma.

– Że co?

– No że obieranie ziemniaków, przetarcie podłóg, zrobienie prania czy umycie klo-
klo to normalne.

– A ktoś sądzi inaczej?

– Tosiek, ty się z choinki urwałeś? Niestety nadal wielu panów uważa, że jeśli cokolwiek zrobią w domu, to „pomagają żonie”, a to nie jest pomoc. To jest część najnormalniejszych zachowań domowych. I myślę, że każdemu facetowi przydałoby się tak pomieszkać samemu rok na obczyźnie. Niechby sam sobie robił zakupy, pogotował, posprzątał, oprał się i kibello umył.

– I sądzisz, że faceci tego nie robią?

– Jeśli nawet czasem robią, to gros z nich uważa to za domowy heroizm. Gotowi są pierś do medali nadstawiać, bo raz czy dwa pozmywali albo ogarnęli kuchnię. Mirek mało musiał, ale podłogi i okna to była jego działka. Bez gadania.

– Nie sądzę, żebyśmy my, emigranci, nie myli swoich kibli, nie zamiatali, nie odkurzali...

– Żebyś się nie zdziwił. Spytaj kolegów, ilu z nich zatrudnia sprzątaczkę.

– No, niektórzy zatrudniają, fakt, ale to tak, wiesz, raz na miesiąc, na dwa dni i pani robi wszystko, łącznie z praniem pościeli *et cetera*.

– No, a w zwykłym życiu to robi żona. Za friko.

– Okropnie mi głupio...

Dopiero teraz się zorientowałam, że to zabrzmiało jak wyrzut.

– Tosieńku, ale ja nie feminizuję ostro. W każdym związku to są kwestie umowne. Nie da się linijką ani cyrklem wyliczyć, ile i kto... Ja akurat nie narzekam, mam mało pracy własnej, więc prowadzenie ci domu jest frajdą i formą zabicia czasu, ale ja mówiłam, wiesz, generalnie o tym, co się dzieje w polskich domach.

– Aaaaa! Generalnie? Generalnie to chętnie naleję nam po koniaczku i posiekam kapuchę!

Antek wstał i ruszyliśmy do kuchni. Rozłożył gazetę pod deskę, włożył fartuch i faktycznie sprawnie mu szło to siekanie. Ja obierałam marchew i jabłka.

– Ćwierczakiewiczowa byłaby z nas dumna! – powiedział.

– Ja będę dumna dopiero, gdy już ona ukiśnie, bo nigdy nie kisiłam sama. Masz tu w miseczce kminek.

Kilka dni do świąt zleciało mi szybko. Odpisywałam na maile, nadrabiałam prasówkę, czekałam na wiadomość od Hanki. Przysłała tylko kilka zdań, że owszem, odpisze mi, ale nie teraz, bo ma ścisk czasowy i jakieś zastępstwo. Mail od Reginy mnie

ucieszył, podbudowała mnie i poprosiła o kilka słów więcej o moim *fiancé*. Napisałam więc, a tym samym jakoś tak samej sobie objaśniłam kilka spraw.

Regino, czyli Królowo,

miło, że się angażujesz w moje życie osobiste. Kiedyś wystarczałam sama sobie, potem była w moim życiu Lilka, był wujek Gieniu, zwany przez ojca Gieniuszem, był tatko, stary druh i mentor Włodek, wreszcie też była moja terapeutka Agata. Nie odczuwałam samotności, a zresztą wiesz też, że byłam dość koleżeńska. Ale nie na tyle, żeby potrzebować mieć wokół siebie babski wieniec – i piszę to bez kpiny. Moja znajoma producentka filmowa ma taki wieniec, czasem to wręcz psychoterapia. Gdy któreś z nich coś jest, a nawet gdy tylko mają ochotę sobie pobyć w kobiecym gronie – skrzykują się. Opowiadała mi kilkakrotnie (pamiętasz? miałam z nią o tym robić wywiad) o tym, jak jej życie podeszło do gardła i jak wówczas ten babski wieniec zamortyzował jej życiowe salto. Pozazdrościć. Myślę, że to trzeba jakoś czuć, chcieć, umieć.

Jestem teraz na takim etapie życia, że w zupełności Ty wystarczasz mi jako znakomita koleżanko-przyjaciółka. Odległość w tym nie przeszkadza, a nawet w pewien sposób pomaga. A też fakt, że już nie ma między nami zależności zawodowej. Wspominałam o tym chyba. No, cóż na stare lata powtarzamy się coraz częściej.

Antek – mój fiancé 😊

No nie sądziłam, że to się tak potoczy. Zanosilo się na miłą przygodę i cześć. Przypadkowe spotkanie na Wisłostradzie, kilka słów w mailach, zaproszenie do egzotycznego kraju. Nie sądziłam, że wdepnę w poważny romans! A dzisiaj po tym, co narobiłam, nie wypada już nazywać tego romanssem.

Ty wiesz... Odważnie poleciałam do Ulsan. Odważnie zamieszkałam u samotnego pana, który reprezentował wysoki poziom kultury, odważnie też pomyślałam, że jeśli coś między nami zagra, to czemu nie? Mały romansik będzie uroczym przeżyciem. Nasze babki mawiały: „Lepiej żałować za grzechy, niż żałować, że się nie grzeszyło”. To chyba Justyna z naszej redakcji zrobiła taką świetną rozmowę, pamiętasz? „ŻAŁUJĘ”. I tam pewna starsza pani, żyjąca niezwyk-le elegancko i dystyngowanie, zorientowała się w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, że niczego nie przeżyła naprawdę. Ani wielkiej burzliwej miłości, ani porządnego seksu, a jej małżeństwo było tylko... układne. Pamiętam ten jej żal. Rozmawiałyśmy o tym w kuchence. Nie każda z nas była gotowa w to uwierzyć. Nam się zdaje, że jeszcze tyle przed nami! Ja sobie zdałam z tego sprawę, gdy się tak burzliwie spotykałam z Ofelią. Wiesz, że ja nigdy z żadnym narzeczonym ani mężem nie zaznałam takiego seksu? Takiego odważnego, bezpruderyjnego, z takimi odjazdami! Warto było!

Marcin to był świetny materiał na jakiś związek, ale nie wyszło. OK. No i pomyślałam, że to już jest turbo finito! Teraz tylko będę liczyć zmarszczki i zrywać kartki

z kalendarza. My, Polki, bardzo szybko kładziemy się do grobu. Czytałaś, co młodzi myślą o seksie pięćdziesiątek plus?

Wracam do tematu: ANTEK.

Otóż, Kochana moja, z pewnym lękiem, ale oświadczyłam mu się. Trochę dla żartu, a trochę na poważnie, bo ja właściwie to nigdy zaręczona nie byłam. Mirek szybko podjął decyzję, żeby mnie poślubić, i... zostałam poślubiona. Pasowało mi. O, mamó... jak to brzmi. „Pasowało mi”. Żadnego romantycznego wieczoru z bukietem pachnących kwiatów, z zachwytem i łopotem serca. Jakieś w miarę niezaskakujące chyba oświadczyły. To było w... Kazimierzu? Tak, chyba tak. Pierścionek okropny. Toporny. I mąż taki, wiesz, lepszy ten niż żaden, bo wówczas czułam, że mnie małżeństwo ominie, jeśli się nie zdecyduję na dobrotliwego i porządnego Mirka. Szalone zakochanie miałam za sobą i toksyczną miłość. Bałam się skłonności do takich czarków.

I teraz, po latach zdobyłam się nie tylko na odwagę dalszego poznawania frajdy z seksu, ale przede wszystkim codziennie po kawałku zakochuję się w Antku. Mimo że to starszy pan, nie żaden tam metroseksualny, pachnący najnowszą perfumą elegant. Zwyczajny i staroświecki mężczyzna. Z zasadami, ze zbieżnymi z moimi pryncypiami, inteligentny, troskliwy i ciekawy, choć nie zaskakuje wystrzałowymi pomysłami typu: skoki na bungee, safari w Kenii czy zorza polarna w Islandii oglądana z namiotu. Ale przyznaj, że ta Fuerteventura i Bali to jednak wystrzał! To coś znacznie fajniejszego niż pierścionek z brylantem. Bo po co mi brylant?

Dzień po dniu utwierdzam się w przekonaniu, że jest mi z nim świetnie. Że lubię z nim grać w scrabble, wspólnie oglądać stare filmy, rozprawiać o polityce i kochać się. Czytałam ostatnio manifest pewnej nabuntowanej feministki o tym, że uludą jest myślenie, iż to miłość nas uszczęśliwia. Że najpierw JA, a potem reszta. Co za smutny wywód! A co, jeśli ja znalazłam swoje JA? Jestem ze sobą pogodzona na tyle, na ile mogę. Teraz czas na MY. I z tym MY bardzo mi dobrze.

Oj, śmiejesz się, jak mnie wzięło? 😊 Zawsze Ci troszkę zazdrościliśmy, bo wszystkie w firmie wiedziałyśmy, że Wy jesteście znakomicie dobraną parą. Taką z patyną staroświeckiej miłości. No i ja sięgnęłam po taką.

Życz mi szczęścia

Nam

eM.

PS Święta spędzę tu, w Korei, z Tośkiem. Zakisiłam kapustę. Taka się zrobiłam gospocho!

Myślałam, żeby te wywody skrócić, bo nagle się zawstydziałam takich wyznań, ale Regina jest mądra, bliższa mi teraz bardziej niż jako szefowa. I może to i lepiej, że mieszkamy w oddaleniu? To sprzyja takiej korespondencyjnej przyjaźni.

Ulsan rozświetlone świątecznie. Antek mi mówi, że jeszcze kilka lat temu tak nie było. Że to kraj na tyle laicki, że nie było aż takiej ostentacji chrześcijańskich świąt Bożego Narodzenia, ale widocznie spodobały im się na tyle te wszelkie aster i napisy „*Merry Christ-mas*”, lampki i ubrana choinka, że weszli w to. Mimo braku śniegu miasto tchnie świątami długonosych, zresztą sporo tu chrześcijan, podobno. Mnie też weselej – bałwanki, miśki, renifery są wesołym akcentem i nie ma co marudzić, trzeba robić te święta, tym bardziej że padła propozycja, żeby je spędzić z Wieskiem i Olgą.

– U nas czy u nich? – zapytałam.

– U nas. U nich jest pakowanie przed wyprawą.

– Zmieniają mieszkanie?

– Nie. Wracają do Europy.

– Jak to? Całkiem?

– Tak. Wieskowi podziękowano.

– O, mam... Wracają do Polski czy do Finlandii?

– Nie wiem, zapytasz.

Skoro się pakują, nie będę obarczała Olgi gotowaniem ani pieczeniem. Tosiek powiedział, że Wiesiek jest podłamany, bo sądził, że może jakimś cudem jeszcze popracuje. Ale gruchnęło mu sześćdziesiąt pięć i pracodawca uprzejmie podziękował.

Przed południem biorę torbę na kółkach i jadę do centrum po zakupy. Już lubię to robić sama. Umiem korzystać ze środków komunikacji miejskiej, dojeżdżam prawie pod sam market i łążę. Łążę jak nie ja... Jestem wyluzowana, nie myślę o tym, że Tosiek, gdyby był, toby się zapewne nudził, bo mężczyźni nie lubią zakupów, a już diabli ich biorą, gdy kobieta stoi i się namyśla za długo, którą musztardę wziąć. A szczerkę do zębów? O! Jakie ładne kubeczki! Tak, tak, niepotrzebne nam, ale co szkodzi pooglądać? Wydaje mi się, że ja nigdy tak nie robiłam. No, może troszkę? Za to chłopaki, znaczy Tosiek, lubi tak pooglądać sobie statywy do aparatów, a zwłaszcza obiektywy. Godzinami tak może... Ja spokojnie czekam, bo zawsze mam o czym myśleć. Nie złościę się, ale widzę, że po jakimś czasie Antek nerwowo się odwraca i szuka mnie wzrokiem. Czyli oboje wiemy, że ta druga osoba czeka...

Schodzę na poziom minus jeden. Tu są warzywa i spożywką, czyli produkty suche, przetworzone, ale też świeże mięsa i ryby. Na poziomie zero są punkty usługowe – pralnie, ksero, fotograf i przechowalnia dla małych dzieci, cukiernie. Na hali zabawki i AGD. Za halą w głębi *food corner*, czyli zakątek restauracyjny. Na pierwszym piętrze elektronika i meble, narzędzia i papiernictwo, plakaty i pościel. Na drugim – ciuchy zwykłe męskie, damskie i dziecięce, ciuchy sportowe i sprzęt sportowy. Wyżej parkingi.

Trzy poziomy.

Wigilia u nas w szerszym gronie? Hmm, świetnie. To może jednak zajrzę na piętro do dekoracji? Znajdę jakieś drobiazgi świąteczne?

Trochę się rozwłóczyłam. Ładna jest tu ta estetyka kuchenna, znaczy zastawy stołowe i naczynia mają dyskretne zdobienia, a niektóre nawet niedyskretne, ale za to ładne. Bardzo mi się podoba duży garnitur na stół z motywem wielkich kolorowych piwonii. Można sobie podobać naczynia w tym samym stylu albo w czerwone kwiaty z soczyście zielonymi liśćmi albo w różowe kwiaty, albo w białe, albo... wymieszać. Ja bym wymieszała. W kuchni mamy zwykłą tutejszą kazonną zastawę. Białą arcopal. Albo ta w dyskretne smugi bambusa. Półprzezroczysta, opalizująca. Piękna!

Ja od zawsze lubiłam skrajności – albo kreska japońskiego pędzelka, albo polska wieś, bukiety kwiecia! O! Ta lekko cytrynowa z kwiatami lotosu też piękna! Do wyboru są białe kwiaty albo lekko różowe, albo żółto-brzoskwiniowe. Można mieszać. Bo to nie są serwisy, tylko „dobieranki” do osobistej kompozycji. Mnóstwo małych, średnich i maciupeńkich miseczek. To specyfika azjatycka. Mnóstwo miseczek. W restauracjach, na przyjęciach to się nazywa *banchan*, czyli zakąski w miseczkach, których musi być dużo.

Przystanęłam i gapię się, bo Antek nie stoi obok, udając, że się nie nudzi. Może namówię go kiedyś na tę zastawę w piwonie?

Na dziale dekoracji biorę tylko śliczną latarenkę. Jest absolutnie w stylu... skandynawskim. Przecierane drewno, jakby podrdzewiałe okucia. Wdzięczny kształt. Do tego piękna krępa świeca w kolorze prawdziwego wosku i tak też pachnąca. Inne ozdoby świąteczne są nazbyt dosłowne, dosadne. Nie podobają mi się. Tosiek ma na własny użytek sztuczną choineczkę. Zauważyłam ją opatuloną w folię. Stoi na loggii. Sztuczna! Faj! Coś wymyślę. W kwaciarni widziałam poinsecję. Może wystarczy?

W spożywczy też oglądam towary wolno i z namysłem. Do Wigilii tydzień. To już jest czas na konkretne zakupy. Mąka, rodzynki, drożdże – to wszystko kupię koło nas. Po co dźwigać? Tu mogę znaleźć ładniejsze mięso. Może będzie jakiś inny drób poza kurczakiem? Tak by się przydała mała indyczka... Bo w pierwszy dzień świąt Wieśkowie też wpadną. I zdaje się, że Lali i Rasul nie przyjdą, bo chcą wyskoczyć do Indii. Z Korei jednak bliżej niż z Europy.

Taaak, no to szarpnę się i zrobię pasztet. Grzybów do bigosu nie mam, wezmę te tutejsze, prawie bez zapachu, hodowane w namiotach. Są czeze w smaku niemal jak pieczarki. Suszone *shiitake* troszkę pachną. Będzie bigos, więc i mięso, tego tu nie brakuje. Piękne żeberka znalazłam.

Na dziale owocowo-warzywnym zawsze się uśmiecham. Tym razem ciut więcej świeżych ogórków, pomidorów, jabłek, gruszek, persymon. Znalazłam buraki, czyli nawet nie musimy jechać na targ w Eonyang. Ziemniaki, cebulę i selera naciowego kupię u nas.

Wracam. W tę stronę biorę taksówkę. Taksówkarzowi pokazuję kartkę z napisanym adresem. Tak jest łatwiej, bo jednak mam inną wymowę od Koreańczyków

i kiedyś, gdy powiedziałam: „*Soebu dong, Dong nam*” – taksówkarz zawiózł mnie nie na osiedle Soebu dong, ale na Nammok, bo tam też było osiedle Soebu cóstam.

Lubię podczas pobytu w sklepie podglądać ludzi. O tej porze to zazwyczaj kobiety, starzy mężczyźni, bo inni są w pracy. Całe rodziny przychodzą na zakupy w weekendy. Ojcowie jakoś cierpliwiej zajmują się najmłodszymi albo biorą starszaków do działu sportowego. Oglądają wędkę, rowery, hulajnogi, a mamy z córkami buszują w kosmetykach i zabawkach. Potem się schodzą i razem kupują spożywkę, ręczniki papierowe, wielopaki piwa, soków, ryż, makarony, soju i co tylko im potrzebne. Zachowują się najnormalniej na świecie: rozmawiają, pytają, śmieją się, czasem – wyjątkowo rzadko – złością. To nieprzyjęte. W sklepach dobro wszelkie przelewa się, towarów jest mnóstwo, więc nic dziwnego, że lubią zakupy. Maluchy siedzą matkom na plecach w powijaku albo w wózku zakupowym. Są grzeczne. Żadnego jęczenia, marudzenia ani krzyków, ani płaczu. Niemowlaki i starsze dzieci właściwie wcale nie używają... smoczków. Bobas siedzi w kokonie na matczynej plecach i obserwuje świat dookoła albo śpi. Nie ssą też paluszków. Są śliczne. Czasem widzę na schodach ruchomych plecy mamy albo babci z tą charakterystyczną koreańską kołderką do noszenia dzieci i... zwisającą z kokonu malusią stópkę w malusiej skarpetce. Korci mnie, żeby dotknąć. Ale nie robię tego. Nie wypada.

Starsi państwo robią zakupy jak my, nieco dostojniej i serdecznie – rozmawiają, szukają towarów i zastanawiają się, co wziąć. Żadnych różnic. Jak u nas. Tyle że w Polsce częściej widywałam naburmuszonych panów, złych, że muszą się angażować w zakupy.

Już i nasze osiedle. Portier otwiera szlaban, podjeżdżamy pod dom. Obok zatrzymuje się samochód Cedryka. Wita mnie radośnie. Miłe. Jest owinięty wielkim szalem. Mnie by taki zawój przeszkadzał prowadzić! Jest wesoły i uprzejmy – wnosi mi zakupy i stawia pod drzwiami. Na odchodne rzuca:

– *Merry Christmas!*

Przedstawiam mu się, bo nie było okazji. Powtarza moje imię „Mar-i-anna?”, „Marion”? OK. – Kiwam głową. Może być Marion. Pytam:

– *Are you leaving for Christmas, Cedric?*

– *No, I stay here.*

Pokazałam mu, żeby się zatrzymał, i powoli powiedziałam:

– *Would you like to come to us for Christmas dinner?*

Zatkało go, ale zaraz odpowiedział z szerokim uśmiechem:

– *Seriously?*

– *Really, really! You can come on twenty-fourth at noon, or on twenty-fifth, or twenty-sixth around two in the afternoon. As you wish. Or on both these days. OK?*

Zaskoczony kiwa głową i woła z góry:

– *OK, OK, OK! Thank you! I will!*

O, mamó i tato... ale się ze mnie kwoka zrobiła. Spraszam porzuconych... Ciekawe, czy John zostaje, czy wyjeżdża? Poślę do niego Tośka.

Wieczorem Antek się uśmiechnął:

- Taaak? Zaprosiłaś Cedryka? A Lali i Rasula?
- Oni chyba jednak lecą do Indii, do rodziny.
- No to fajnie, będą Wieśkowie i chłopaki. W czym ci pomóc?

Przygotowania

Ha! Nigdy nie sądziłam, że będę tak zadowolona tylko z tego powodu, że robię świąteczne przyjęcie. Nie udało mi się tylko zaprosić Min. Tej młodej *agashi*, która myła u nas okna. Spotkałam ją koło budynku administracji naszego osiedla. Niejeden raz zresztą. Szła zamotana w wielką chustę, a na głowie miała kolorowe nauszники. Drobną i zgrabną. Uśmiechnęła się z daleka. Zagadnęłam ją, co u niej, i choć nasz angielski nie jest mistrzowski, dowiedziałam się, że wszystko w porządku i że miała gripę, ale jest już OK, że zapisała się na kurs prawa jazdy. Rozmawiało nam się na tyle miło i serdecznie, że zniechęca wypaliłam z zaproszeniem do nas na polską Wigilię. Min zmieszała się i uprzejmie odmówiła. Bez kręcenia powiedziała, że to byłoby dla niej krępujące i dla nas też, bo to wszak inna kultura i obyczaje, ale jeśli będzie miała wolną chwilę, wpadnie przed południem na herbatę. Po pierwszym, bo ma teraz nawał nauki do tego prawka. Przypomniała mi się uwaga Antka: „Oni tu są bardzo dyskretni i w takich kontaktach... subtelni. Nie lubią się narzucać”. Miał rację.

Jako pani domu zabłysłam! Umówiłam się z Olgą, że przyniesie jakiś bożonarodzeniowy akcent, bo sztuczna choinka z loggii działa na mnie tak, że mam ochotę ją wywalić na śmietnik, ale nie śmiem. Jak mówi Tosiek, lata z nim spędziła. A raczej zimy. Myślałam już, co by tu na nią wylać „całkiem niechęcy”, żeby móc ją wyrzucić, ale nic mi do głowy nie przyszło. Stoi za pralką. Czort z nią!

Pasztet robię naprawdę świetny. Po wątróbkę jednak trzeba było jechać do Eonyang, bo tu w żadnym sklepie podrobów nie stwierdziłam. Pan sprzedający mięso w naszym sklepie zdziwił się i powiedział, że podroby są błeeee, i skrzywił się okropnie.

– Serio? Przecież jeszcze nie tak dawno, czterdzieści lat temu, gdy był głód, jedli wszystko! Psa z budą! Jestem pewna! Głodny człowiek nie strzela focha na wątróbkę czy inne białeczko – mówiłam w samochodzie, gdy jechaliśmy na niezbyt odległy targ w niewielkim miasteczku.

– Ale, zobacz, Marianna, co się tu teraz dzieje! Podaż przewyższa popyt. W każdym wielkopowierzchniowym sklepie masz pięć firm mięs-nych, których sprzedawcy cię zaczepiają i wychwalają własne wyroby.

Wiem, gdzie na targu stoi małżeństwo sprzedające zmrożony drób. Kuraki mają już bez pierza, ale z wnętrznościami, i te wnętrzności wywalają na miejscu do kubła. Robią to na wielkim pieńku, na którym leży silikonowa mata. Kilka razy widziałam u nich i kupiłam też kaczkę, choć z kaczki do zjedzenia to tylko piersi i udka, a reszta kotom na śmietnik. Ten drób u nich tańszy niż nawet ten bardzo tani w marketach. I mają coś, co dzisiaj ogromnie mnie ęci – wiadro z resztkami!

Żeby nie wyjść na jakiegoś śmietnikowego nurka, kupiłam sporego kurczaka, ale patrzyłam na ręce pani wyflaczającej i złapałam wątróbkę z okrzykiem triumfu. Pokazałam, że z owego wiadra potrzebuję jeszcze dziesięć takich wątróbek.

Koreańczycy są fajni! Uśmiechają się, nawet gdy nie rozumieją długonosej Europejki zainteresowanej czymś tak wstępnym jak wątróbka z wiadra z odpadkami. Pani mi je odcięła od reszty flaczków, oczyściła i ułożyła starannie na tacce, a potem z ukłonem (a jakże!) wręczyła. Tosiek już trzymał wspomnianego kuraka w koszu

zakupowym. Zatem zapłaciłam tylko za kuraka, bo pani nie chciała ode mnie pieniędzy za wątróbkę.

Targ już się kończył, część stoisk się zamykała, bo przyjechaliśmy ciut za późno. Poprzednim razem, gdy tutaj byliśmy, oglądałam każde stoisko dokładnie, bo oprócz badziewka można tu czasem znaleźć coś potrzebnego albo fajnego. Na przykład małe krawieckie nożyczki, których w Polsce używali do tej pory właściwie tylko wędkarze. Teraz już są powszechniejsze. Działają na zasadzie nożyc do owczego runa, ale są miniaturowe i ostre. Zmyślne nawlekadelko do igieł, śliczne kapturki do misek, żeby wstawiać resztki do lodówki, piękne kolorowe kapturki, w których się chodzi jak na bosaka, wielka lada z *kimchi*, w której naliczyłam czterdzieści osiem kiszzonek, w tym kiszzone jajka przepiórcze i cienkie płateczki kiszzonego buraka ćwikłowego. Niektóre kiszzonki wyglądają apetycznie, a inne niestety nie. *De gustibus...* Przy wejściu na targ jest dziwna szklana lada ze sztuczną półtuszą... psa, ale nigdy nikogo tu nie ma. Pan sprzedający obok kalosze powiedział, że to nie działa. Od lat. Chyba jednak kłamał... Ale nie dopytujemy się. Podobno, jeśli się bardzo chce, to turysta trafi do knajpy z psiną, którą można dostać w tajnych miejscach w postaci gulaszu, lecz nas nie ciągnie. To rzadkość i pozostałość po czasach, gdy jadło się wszystko, co się ruszało i nie było zegarkiem. Niestety dzisiaj wobec różnych mód na dziwne jedzenie to snobizm.

Chcę wierzyć, że to zabronione, zresztą potwierdzili to hodowcy pięknych i rasowych psów na wystawie w Grand Parku, na którą trafiliśmy kiedyś przypadkiem, gdy byłam tu poprzednim razem.

Koło wejścia na targ z drugiej strony siedzi sporo bardzo starych babek sprzedających przysłowiowy czosnek. Biedne są albo tylko spragnione towarzystwa siedzą i gadają między sobą. Na kocykach mają miseczki z obranym czosnkiem, wiązki dziwnych ziół, które wygrzebują spod śniegu. Ziółka mają listki i korzonki. Są umyte i zawiązane tasiemką.

– *Namul!* – mówi z uśmiechem pani tak stara, że spoza zmarszczek nie widać już prawie twarzy. Oczy też ma ukryte w wąskich szparkach.

Biorę te zioła. Tosiek się dziwi.

– Wiesz, co to? Po co ci?

– Nie wiem, ale patrz, jaka ona uboga. Benjamin Joinau pokazywał w telewizji, jak się robi te zioła. Trzeba je obtoczyć w paście sojowej z olejem sojowym i tą ostrą papryką *gochugaru*, i zjeść!

– I... zjemy to?

– Eeee, chyba nie. Chciałam ją zasilić.

– Ty masz serce... – wzdycha.

– Wracamy! Mam, co chciałam, i zimno mi – oznajmiłam i zobaczyłam szeroki uśmiech Antka. Chyba miał już dość.

Tak było w Eonyang, a teraz mieszam bigos w domu. Cały dom pachnie gotowaną kapustą. Klatka schodowa też. Ale gdy Lali pichci swoje curry, pachnie podobnie mocno! Zeszłam na półpiętro i uchylłam okno. Na zewnątrz tylko minus jeden. Przewietrzymy dom!

Pasztet z kawałeczkami wątróbki, którą pokroiłam w kostkę i podsmażyłam,

a zmiksowaną dodałam zamiast jajek do związania całości, udał się znakomicie. Od wczoraj leży już na zimnej loggii. Dzisiaj kapusta z grzybami i gar bigosu. Barszcz z buraków robię sama, bo nie ma tu barszczu w kartonie, a szkoda, bo zawsze się sprawdzał. Rzuciłam się na wszystko sama, że sobie poradzę, że oj tam, oj tam, dam radę, że co to dla mnie, i... trochę żałuję. Do pierogów poproszę o pomoc Olę. Indyczka nasolona już się marynuje w ziołach, będzie na pierwszy dzień świąt, a kurczak z targu poszedł na poćwiartowanie i do lodówki. Nie jest zbyt świąteczny!

Trochę to dziwne, bo ja nigdy nie byłam aż taką gosposią, a teraz czuję zew, frajdę i powołanie, żeby zrobić Tośkowi i gościom fajną Wigilię. Wiesiek podobno fatalnie zniósł wieść o emeryturze. Oboje są zasmuceni.

Nastawiłam sobie bożonarodzeniowe piosenki śpiewane przez sławy. Nat King Cole z córką, Carreras, Bing Crosby i wielu innych, o których młodzież dzisiaj nic nie wie. Nie jestem specjalnie religijna, a nawet wcale, ale lubię ten nastrój, gdy jest dla kogo go kultywować. Kiedy byłam sama, nie miałam takiej potrzeby.

Przyjdzie kilka osób, a ja czuję sens tego przyjęcia. Dziwne. W Ulsan pierwszy raz w życiu jestem wyłączną reżyserką i wykonawczynią wieczoru wigilijnego. Popołudniami pomaga mi Antek, ale staram się nie zawalać go robotą. Cały dzień naprawdę ciężko fizycznie pracuje. Jest przecież zimno, a w kadłubach statków nie ma ogrzewania. Sprawdza też spawy na zewnątrz i to zajmuje sporo czasu. Tam z kolei wiatr. To ciężka praca. Ziąb, deszcz albo upał jak cholera, a trzeba się czołgać w zęzie czy huścić na *cherry pickerze* – malutkim samochodziku, który rozwija przy kadłubie dłuuuuuugą drabinę. Na jej czubku jest kosz, w którym siedzi Antek. Koszem telepie wiatr. Ale inaczej zewnętrznych spawów się nie sprawdzi. Teraz, zimą, wraca naprawdę zziębnięty i często obawiam się o jego zdrowie. Wolę, żeby zamiast rzucać mi się do pomocy, popił gorącej herbaty albo wziął ciepłą kąpiel.

– Oj, przydałaby mi się sauna, ale najbliższa jest w hotelu Hyundaia, trzeba dojechać kawałeczek.

I ten właśnie kawałeczek to jest niebezpieczeństwo, bo rozgrzany po saunie w drodze na parking może łatwo ulec przewianiu. Zamiast wyprawy do sauny siada więc ze mną w kuchni, pije po kolacji koreańską cytrynowo-imbirową herbatę, pogadujemy, a on czasem coś obiera, sieka i dodaje mi odwagi, mówiąc, że z pewnością wszystko mi się uda. Jak wówczas po przyjeździe z Bali, gdy zastanawiałam się, czy nie jest za późno na ciasto pierniczkowe.

– Oj, coś ty. Nawet jeśli zrobisz dzień przed, będzie dobrze!

– Skąd wiesz?

– Logika. Nie będzie takie odstałe jak w przepisie, ale to jakaś wielka różnica?

– Skoro tak...

Piekiłmy je wczoraj wieczorem. On wałkował, ja wykrawałam aster, kółka i serca. I siup! Do gorącego pieca na osiem minut. On wyjmował i układał na stole na gazecie koreańskiej przykrytej czystym prześcieradłem. Oj! Dużo nam ich wyszło!

– Kochanie moje, a kto to zje? – dziwił się Tosiek.

– Będą na prezenty! – wymyśliłam natychmiast. – Każdy gość dostanie stos pierniczków owiązanych kokardełkiem!

– Świetnie. A kto wpadnie oprócz Wiezków tak ostatecznie?

– Zapraszałam Min i Cedryka. Zaniosę też Johnowi, gdy wróci, bo okazało się, że jednak wyjeżdża. Znaczy wylatuje.

Prezenty to właśnie pierniczki. Umówiliśmy się, że nie czaimy się z niespodziankami, bo to krępujące. Nadto ja swój prezent w postaci Bali już skonsumowałam. Jeszcze tylko *panettone* – moje marzenie, i... sprzątanko. I już!

– *Panettone*? Co to? – zapytał wczoraj Tosiek.

– Bardzo trudna babka drożdżowa. Włoska.

– Czemu trudna?

– Bo ciężka. Masła w niej sporo.

– Tylko? Co w tym trudnego?

– No bo drożdże nie lubią się z tłuszczem.

– A! Aha... To pewnie dlatego moja mama zawsze najpierw robiła – to doskonale pamiętam z domu – ciasto drożdżowe tak, wiesz, po kolei, ale bez tłuszczu, a dopiero gdy ciasto podrosło, wyrabiała je z ciepłym masłem i dalej rosło.

– Tak? Aha. Bo ja, wiesz, jestem w te klocki kiepska. Może porywam się z motyką na słońce? Może, żeby nie było wpadki i wstydu, zamówić w cukierni Hyundaia? Co?

– Eee, to nie może być aż takie trudne!

– Wszędzie piszą, że ta babka to strrrasznie trudna jest. I kołnierz małej formy trzeba jej dorobić z woskowanego papieru, żeby była wysoka, cylindryczna.

– A to... nie smak ważniejszy?

– Smak też, ale ma być wysoka jak męski cylinder!

– OK. Jutro wracam wcześniej, bo szef uległ i puści nas około piętnastej, zresztą mamy tylko papierkową robotę, to ci pomogę. Ale pojutrze normalnie, niestety.

Zaraz powinien przyjść. Już piętnaście po trzeciej.

– Jestem już! – Zabrzmiało jak symfonia z pokoju.

Idę do niego i przytulam się. Skąd u mnie taki nagły wylew czułości? Ale czy to ważne? Potrzebuję tego. I on chyba też, bo kołysze mnie w ramionach i całuje w ucho.

– Kolacja? – pytam zwyczajowo.

– O tej porze? Za wcześnie. Herbata tak, koniaczek... albo nie! Ta szkocka, którą kupiliśmy kilka dni temu, i mogę włożyć fartuch! Rozporządzaj mną! Razem w kuchni! Jak ja to lubię! – zadeklarował Tosiek i dodał po chwili: – Chyba ci na gwiazdkę kupię jakiegoś fajnego wielofunkcyjnego...

– Ani mi się waż! – ucięłam. – Jeśli już, to nam, i nie na gwiazdkę, ale tak w ogóle.

– Bo? – zdziwił się.

– Tosieńku, bo kobiecie nie kupuje się AGD! To jakbym ci kupiła zimową oponę albo wycieraczki do samochodu.

Robi minę zasmuconego basseta.

– Wybacz, racja. Kupimy nam po świętach jakiś taki kombajn, żeby wszystko

umiał!

– Najlepiej, żeby tylko przed wyjściem z domu napisać mu w programie: „Zrób tartoletkę truskawkową, umyj okna i zmień pościel”.

Antek się śmieje i myje swój stary, niezbyt funkcjonalny mikser, który pamięta chyba jeszcze czasy wojny japońskiej. Oczywiście przesadzam, bo mimo ohydneho szarego koloru i z lekka wypadających trzepaczek działa i dobrze się spisuje. Naleśniki kręci całkiem, całkiem.

Drożdżowe ciasto rośnie. Ciepłe masło dodaliśmy po podrośnięciu. Tosiek wyrobił ciepłą dłońią. Delikatnie. Jak jego mama. OK. Wierzę, że *panettone* będzie śliczny i pyszny. Rodzynki ze słodką skórką pomarańczową wsypałam w ostatniej chwili, bo namoczone w ciepłej wodzie z koniakiem stały z boku, nie zatrzymując na sobie mojego wzroku. O mały włos, a zapomniałabym o nich!

– Wiesz, Mańciu, coraz częściej wspominam mamę. Mam wrażenie, że gdy zmarła, wyparłem ją z pamięci. Nie ma jej, szlus, amen, koniec.

– To naturalne...

– Serio? I ty to mówisz? Ty, która rozmawiasz z duchami?

– Oooj tam – oganiam się.

– A co to jest, jeśli nie zatrzymanie w pamięci? Zmarła, gdy byłem tu sam, na emigracji. Pojechałem do Polski. Pochowaliśmy ją z tatą jakoś tak cicho, sami prawie, bo moja żona i Dominika były na nartach chyba czy jakoś tak, oczywiście już z Wojtkiem. Była zima. Padał mokry śnieg, topniał... To było w Urlach. Mała osada, takie podmiasteczko, jak mówiła mama, na Mazowszu. Dość znane miejsce nad Liwcem. Daczowisko – „warszawka” się tam zjeżdżała w latach osiemdziesiątych i później.

– Urle? Słyszałam. Moi znajomi jeździli do Rybienka, to gdzieś dalej. A w latach siedemdziesiątych to „warszawka” też jeździła budować dacje do Karniewka nad Narwią, no i oczywiście do Otwocka. A twoi rodzice...

– Nie, to nie dacza. Po prostu tam zamieszkali. Prowadzili sklep. Na podwórku jest taki pawilonik z zapleczem. Całkiem dobrze zarabiali w sezonie. W zimie był zastój. Jak kto z miejscowych potrzebował na gwałt mąkę czy cukier, dzwonił do furtki i mama sprzedawała, ale zimą to rzadkość.

– I co dalej?

– Krótco po mamie zmarł tata. Bardzo krótco. Niespełna rok. Mam tam po rodzicach ten niewielki domek, plac... ale niepiękne to. Taki bunkierek z lat siedemdziesiątych. Mama chciała, żeby po jej i taty śmierci była tam biblioteka, ale to się nigdy nie stało. Dzierżawiłem to żłobkowi, ale też padło. Do niedawna pewne małżeństwo prowadziło tam przedszkole, ale też się to nie udało.

– I co teraz?

– Zamówiłem okiennice, zabiłem na głucho i stoi podłączony do firmy ochroniarskiej. Trzeba byłoby się tego pozbyć. Muszę pomyśleć, musimy – poprawił się – bo co będzie ze mną za kilka lat, gdy już się ze mną stanie to, co z Wieśkiem? Do czego mam wracać? Do hotelu?

Wypaliłam szybko:

– Kochanie, mam niewielkie mieszkanie, na początek wystarczy. Szkoda, że je

znów podzieliłam, bo kiedyś było większe. Teraz wydzieliłam małą kawalereczkę i tam panowie psycholog i psychiatra mają gabinet, a ja mały pieniądz z wynajmu. Porozmawiamy może o tym później, co? – poprosiłam, bo wiem, że i tak teraz niczego nie wymyślimy. – A na razie, jeśli mogę cię prosić, podłoga!

– A! No jasne! Już.

Tosiek zgrabnie zabrał się za pozamiatanie i umycie podłogi, a ja już czuję ten całodzienny dyżur w kuchni w stopach. Marzę o kanapie. Już chyba nic więcej nie muszę dzisiaj robić.

Objechał wszystkie podłogi koncertowo. Na nasz niski stolik w pokoju przyniósł mi zieloną herbatę i szklaneczkę szkockiej, zrobił kanapki z pastą jajeczną, bo zostało jej sporo, i po kolacji już na siedząco zdobiliśmy pierniczki lukrem, czekając, aż *panettone* wyrośnie i się upiecze. Żadne z nas nie wiedziało, jak się robi lukier, ja zapomniałam sprawdzić, czy nie ma w sklepie gotowego, ale Tosiek jak zwykle poszedł do pana Googielskiego i wyczytał, że lukier... to się robi najprościej na świecie.

– Cukier puder, kochana moja, i kilka kropel koniaku. My damy szkocką i mamy lukier dla dorosłych! A zresztą dla każdego, bo alko-hol zaraz wywietrzeje.

Gdy tylko lukier nam niebezpiecznie gęstniał, dostawał kropelkę szkockiej i zabawialiśmy się w najlepsze. Ale... takich koronkowych śliczności z lukru jak pewna pani z internetu to nie umiemy.

– Antek... – zaczęłam. – Wiesiek i Olga mają teraz nielekkko. Zwłaszcza on czuje żal, prawda?

– Tak. Brzydko się go pozbyli. Tak jakoś za szybko i nieelegancko. *C'est la vie*, jak mówią Francuzi. Trudno.

– Musimy zatem jakoś delikatnie z nimi...

Tosiek pocałował mnie w czoło i przytulił.

– Dziękuję, że o nich pomyślałaś. Jesteś taka...

Nie dokończył, a ja poczułam takie zmęczenie, że ziewnęłam jak zwierzę z kreskówki. Zajrzeliśmy do *panettone*. Pięknie wyrosły, bo wyszły nam dwa. Początkowo rosły z trudem, ale później śmignęły. Jeszcze tylko je upiec i już!

– Idź spać, ja upiekę, popilnuję i sprawdzę patyczkiem, jak uczyła mama, a przy okazji posprzątam – obiecał Antek. – Idź!

Zasypiając, czułam rozkoszny zapach ciasta.

Koreańska, a jednak polska Wigilia

Wigilia. Dwudziesty czwarty. Tym razem niestety stoczniovcy pracują do siedemnastej. To Korea i nie ma przebaczyć. Wolne tylko dwudziestego piątego.

I tak cud, że wczoraj szef puścił dwóch długonosych o te dwie godziny wcześniej. Tosiek mówił, że tu to się nigdy nie zdarza. Ale się zdarzyło! Dzięki temu pomógł mi z podłogami i resztą.

Dom pachnie słodko pierniczkami i babką drożdżową. Jestem taka dumna!

– Lili! – szepczę, gdy tylko Tosiek wyszedł do stoczni. – Lili!

– Tak, wiem – mówi moja siostra, siadając obok mnie, na stole. – Upiekłaś ciasto i pierniczki. To jakiś powód do oklasków?

– Jasne! Przecież wiesz, że o ile pomidorówkę z lanymi kluskami zrobię i o dwunastej w nocy nawet pijana w sztok, to z ciastami to ja nigdy nie byłam za pan brat!

– Ty pijana? – kpi Lilka. – Ty, święta Marianno, byłaś kiedykolwiek pijana?

– Bo co?

– Nico. Zawsze taka akurтна i ugrzeczniejsza! Nawet skręta nie chciałaś. Pamiętasz, jak przywiozłam trawkę do taty?

– Ale przecież się sztachnęłam! – zaperzam się, bo istotnie tak było.

Kiedyś, gdy obie byłyśmy młode, a ja chyba właśnie wróciłam z Kazimierza, w którym mi się Mirek oświadczył, Lilusia przyjechała jakaś taka doskonale nastrojona i szepnęła mi, że musimy iść na spacer. Tam zapaliła skręta i podała mi go, mówiąc, że kto nie pali, ten kabluje. Sztachnęłam się i przepisowo wstrzymałam dym w płucach, a potem zrobiłam wydech. I nagle jak mnie nie zemdliło! Rzyg-nęłam koncertowo! „Dla ciebie to szkoda dobrej trawki!” – Lilka była oburzona, ale i nakręcona ziołem, i po tym spacerze rechotała ze trzy godziny. Dostała regularnej głupawki, a potem spała z dziesięć godzin. Ojciec chciał dzwonić po pogotowie, bo myślał, że postradała zmysły albo napiła się czegoś nefajnego.

– E, bo to nie była czysta maryśka – wydeła usta Lila. – Najprawdopodobniej skun, bo Eryk, od którego ją dostałam, handlował skunem. Tak. Teraz byłoby łatwiej o czystą. A zresztą nie wiem, bo ja już od dawna nie w temacie!

– A w ogóle to popalałaś?

– Niiieeee. Eryka aresztowali i się wystraszyłam. Za późno mi wykryli tego raka. Pamiętasz, jak popalałam, a ty się bałaś, że sąsiedzi wyczują?

Nie chcę z nią rozmawiać o chorobie.

– Lilku – zaczynam. – Mówiłam ci, że się zakochałam?

– Tak. Masz jeszcze coś rewelacyjnego? Bo to nuda jakaś. Sama wiesz, że z „żyli długo i szczęśliwie” niczego sensownego nie zrobisz. No więc? Kochasz Antka, ale poza tym...? Cięża? Kochanek?

Zawsze mnie zbija z pantafyku tą swoją ironią, choć wiem, że to powierzchowne, że mi dobrze życzy i... zazdrości.

– Gupia! – syczę i dodaję: – Wiesz, Li? Myślę o tym, że oczywiście jest fajnie, ale zaczynam żałować, że go nie spotkałam wcześniej i wcześniej się nie rozwiodłam.

Lilka patrzy na mnie okrągłymi oczami.

– Wcześniej? – cedzi.

– Myśl, co chcesz, ale wpadłam po uszy. On jest taki fajny! Dobrze nam razem.

Tak czule i spokojnie.

– To na czym polega problem? – Lilka ogląda paznokietki i poprawia rude loczki.

– Czas...

– A, o to chodzi – mówi poważnie. – Co ci powiedzieć, siostró? Macie go mniej, to fakt. Późne miłości mają, jak to się mówi, krótszy kalendarz. Możesz zrobić tylko jedno, panno Maniu. Powiem ci to, a ty wyhaftuj to sobie na makatce i powieś nad łóżkiem: „Przeżuwaj każdy dzień jak ostatnią landrynkę z pudełka”.

– O, jaki ładny bon mocik. Skąd to?

– Taka jedna pisarka to wymyśliła. Ładne co? Słodkie jak landryna! – parsknęła. – Czas? To faktycznie jedna ze zmiennych. Jest jeszcze jedna, nieokreślona i nieprzewidywalna, Marianno. Zdrowie.

– Skoro jesteś po tamtej stronie, to może wiesz, ile tego czasu mamy i czy...

– Maniuśka, *sorry*, ale odwaliło ci? Mnie pytasz o przyszłość? W duchy wierzysz czy co?

I rozplynęła się.

No tak. Powinam się wziąć za pierogi. I już miałam jęknąć, bo nie lubię wałkować ciasta, ale przypomniało mi się, że gotowe i świeże jego krążki widziałam w naszym sklepie. Spacer dobrze mi robi!

To naprawdę moje wielkie odkrycie. Gotowe krążki do ciasta! Załatwimy to z Olgą w try miga!

Wieśkowie przyjechali o trzeciej.

– Przepraszamy, czy nie za wcześnie? – zapytał Wiesiek, wchodząc.

Olga postawiła na kuchennym stole niewielki jasnozielony i prawdziwy jałowiec w doniczce, bardzo dyskretnie posypany złoto-czerwonym brokatem.

– *Nu*, choinka jest! – Uśmiechnęła się.

– Do czego mógłbym się przydać? – zapytał Wiesio.

Nie mam dla niego żadnego zadania, więc usadziłam go na kana-pie, podałam kubek herbaty, bo poprosił, i zajął się czytaniem naszych kolorowych pism przywiezionych jeszcze z Polski. Olgę zabrałam do kuchni lepić pierogi z kapustą.

– Dobrze, że jesteś Rosjanką... – zaczęłam, ale mnie sprostowała:

– Białorusinką! I co?

– No lubisz kapustę!

– Oj, tak! Koreańczycy też lubią!

– Prawda, ale już nasi sąsiedzi z Indii, Cedryk z Holandii czy John ze Szkocji to niekoniecznie.

– Nie wiedzą, co dobre. Ty sama kisiła? – pyta Ola.

Gadamy sobie, lepiąc pierogi. Za oknem w prezencie od natury chyba widzimy

białą kaszkę padającą z nieba. Miło.

– Jak Wiesio? – szepczę.

– Zły... Gdyby się nie pokłócił z szefem, to może by nadal pracował, ale bardzo się ścięli. Zresztą ni pierwszy raz i tamten już na niego... wiesz... zły.

– Nie da się jakoś odkręcić?

– *Niet*. Zresztą wiesz, że już my prawie spakowani. Jutro przyjeżdża firma, która to wszystko wyśle tym... no... frachtem. Taki sukinsyn!

– Kto?

– Ten Janusz, jego szef!

Aż mnie zatkało.

– Polak?

– *Nu, Poliak, Poliak...* Coś okropnie był cięty na Wieśka, od kiedy nastał. Ja nie wiem, co w ludziach siedzi. Diabeł jakiś! Cały czas po Wiesiu jechał, jakby się bał, że mój mąż zabierze mu stanowisko. *Nu*, kretyn! Co poradzisz!

Z pokoju dobiegło:

– Ola!

Olga szepnęła prawie niesłyszalnie:

– Bardzo nie lubi, jak o tym...

A ja zmieniłam temat i głośno uprzedziłam gości:

– Ale karpia nie ma!

– I poczemu akurat karpia? – pyta Ola.

– Bo to polska tradycja wigilijna!

– U, to dobrze, bo ja nie lubię ryb, a karpia chyba w ogóle nie jadła.

Zaczęła opowiadać o rybnym targu w Pusan, Wiesiek przyszedł z pustym kubeczkim, umył też wszystko ze zlewu, kochane chłopisko, i nareszcie przyszedł Tosiek.

Na stole leżało czterdzieści siedem pięknych pierogów! Panowie ostrożnie przenieśli je na blat, a stół kuchenny – do pokoju. Ola nakrywała, a ja smażyłam coś, co przypominało dorsza. Chyba łupacza. Kupiłam w ostatniej chwili, bo żadna ryba mi nie pasowała. Zrobiłam z niego tempurę. Małe kawałeczki w delikatnej i chrupiącej panierce. Oj, kto zje to wszystko? Wymyśliłam, że pozostałe po Wigilii kawałeczki ryby pójdą do zalewy octowej, bo Antek to uwielbia.

Oczywiście nie mieliśmy opłatka, więc zastąpił go cienko ukrojony plasterek chleba. Zresztą my niewierzący, więc dla pięknej tradycji łamanie się chlebem czy opłatkiem nie robi różnicy. Ważny nastrój i serdeczność. Wieśkowie przynieśli nam piękny świecznik i kilka drobiazgów, których nie zapakowali do powrotu. Zapalone świeczki zrobiły nastrój. Płyta z piosenkami świątecznymi znów gra cicho, my siadamy i robi się nam jakoś tak serdecznie i wzruszająco. To jest piękny czas. Zwłaszcza gdy się jest na obczyźnie. Chwilę o tym rozmawiamy, pijemy wino. Widzę, że Wiesiek jest spięty. Tosiek też to dostrzega, ale nie wywołujemy wilka z lasu. Wspominamy nasze różne Wigilie. Ja z rozbawieniem tę, po której się dowiedziałam, że Mirek zabrał Grzeška,

Igę i Tadzia do Barcelony ze swoją nową wówczas partnerką. Ola zadaje pytania, ja opowiadam o chorobie Lilki i o tym, jak się „ta pani”, Mirkowa Julka, objawiła jako opiekunka Lili.

– Przyjaźnicie się?!

Opowiadam o tym, ale kątem oka widzę, że Wiesiek nie słucha. Jest szary na twarzy. Pierogów ani ryby niemal nie tknął. Tyle że wypił filiżankę barszczu. A kiedy sprzątałyśmy ze stołu po daniach głównych, gdy już-już na stół miał wjechać mój pięknie wyroś-nięty i wypieczony *panettone*, Wiesiek wstał, przyłożył dłoń do piersi, zrobił wdech i osunął się na kanapę.

– Dzwonź po pogotowie! – krzyknęła Ola do Antka.

Siedzieliśmy w poczekalni. Szpital jest niedaleko, koło domu hand-lowego Hyundaia i równie niedaleko od bramy stoczni. Nie wiem, czy to za sprawą tego, że chodzi o ekspata, czy tak w ogóle, ale cała akcja pogotowia była szybka i sprawna jak w amerykańskim serialu. Właściwie to nie przeszkadzał nawet fakt, że ratownicy słabo mówią po angielsku. Robili swoje szybko i fachowo. Zabrali Wieska do szpitala karetką. My z Olgą zahaczyliśmy o ich mieszkanie po stosowne papiery i wróciliśmy.

Tu, w szpitalu, dzień jak co dzień, to Korea, żadnych świątecznych akcentów. Na erce sporo ludzi. Właśnie wywożą Wiesia z kolejnych badań. Jest przytomny, ale szary, zmęczony i jakby zakłopotany. Antek z Olą rozmawiają z lekarzem.

– Niewielki zawał. Teraz OIOM do jutra, potem jeszcze dwa dni w szpitalu.

– A potem?

Olga wtrąca:

– Mamy bilety na samolot akurat na za tydzień.

– Zapytaj lekarza, czy wolno mu lecieć! – proszę Antka.

Idzie porozmawiać.

– Powiedział, że niechętnie, ale ponieważ go wystentują, to może.

– Wy... co?

– Założą stenty. Trochę się migał, ale tu stenty to taka klasyka leczenia zawału i, jak powiedział lekarz, Wiesław jest w dość dobrym stanie i on rozumie sytuację, dlatego gotów go puścić. To zresztą też oznacza, że Olga może się dopominać od szefa biznesklasy, bo to szczególna okoliczność, a na biednego nie trafiło.

Olga słucha i kiwa głową. Mówi też zła:

– Ja jutro pójdę do Janusza. Albo i dzisiaj pozwoni i mu to powiem!

– Ja bym poszedł wyżej, Olu. Niechaj Janusz dostanie to jako polecenie z góry.

Klaus się zgodzi. A sumienie i tak Janusza podgryzie. Ja ci to mówię.

Ola została w szpitalu. Mogła być przy mężu. My wróciliśmy do domu w minorowym nastroju. Sprzątanie po Wigilii dobrze nam zrobiło. Ani ja, ani Antek nie umielibyśmy zostawić brudnych naczyń i jedzenia na wierzchu...

Hanka

Następnego dnia rano przyszła Ola. Powiedziała, że Wiesiek przespał noc, rano się wysikał i zjadł śniadanie, a lekarz wygonił ją, by odpoczęła, tłumacząc, że teraz musi być silna i zdrowa, żeby się zająć mężem. Pielęgniarka przypomniała, żeby Olga może przyniosła Wieskowi jakieś lepsze kąski na obiad. Taki tu obyczaj. Szpital naciska na rodzinę, żeby ta dokarmiła chorego, pokołysała i zajęła się częściowo opieką. To niegłupie nawet.

Nakarmiłam i położyłam Olę w moim pokoju. Zasnęła szybko. Tosiek robił prasówkę. Pisał coś i czytał. Ja w kuchni piekłam indyka na dzisiaj, ale nie w całości. Wycięłam piersi i nogi. Nauczona przez pewną uroczą kobietę gotującą, włożyłam masło z solą i ziołami (listki szałwii i pewnej tutejszej rośliny podobnej do ciemiernika, ale w smaku bardzo lubczykowej) pod skórę na piersi indyczej. I do pieca na wolny ogień, a na reszcie ugotowałam rosół. Uzdrowiający rosółek dla Wieśka. Znow czuję w sobie kwokę.

– Tosieczku, mówiłam ci, że dzisiaj zapewne wpadnie Cedryk?

– Wspominałaś... – mruczy, ale nie wiem, czy w pełni dosłyszał. Jest zajęty czytaniem polskiej prasy. OK.

W kuchni szybko mi poszło, więc i ja usiadłam do poczty. Mam! Hanka przysłała swoją opowiadkę!

Nie wiem, Marianno, czy to takie ciekawe, ale skoro Ci się komponuje, to proszę! Pytania wycięłam. To dobrze czy źle? Wolałam pisać ciągiem. Więc to tak jest:

Pomysł na Australię wziął się stąd, że ja sobie po prostu Australii nie potrafiłam zupełnie zwizualizować. Wyobraziłam mam barwną, ale nie miałam żadnego materiału teoretycznego, żeby na nim jakiś obraz postawić. Jedyne filmy osadzone w Australii, które kojarzyłam, to Krokodyl Dundee i Wesele Muriel. Słabiutko. No i ta niemożność zwizualizowania męczyła mnie od dobrych już kilku lat.

Australia! Ciekawa i taka jakaś odległa! I któregoś dnia frustracja i chęć poznania jej zaczęły już bardzo mocno wyływać na powierzchnię moich pragnień, a splot okoliczności sprawił, że powiedziałam sobie: „Jeśli nie dziś, to kiedy? Na wieczne nigdy?”.

W Polsce była rodzina – mamcia, papcio, brat i moje mieszkanie, i życie towarzyskie, i praca, kiedyś wymarzona. Bardzo, bardzo wymarzona. Żeby było nudniej, wylądowałam w... Mordorze. Serio. Dokładnie tam! Podobno ja i Estera pracowałyśmy (nie wiedząc wówczas nic o sobie) o dwie przecznice od siebie w podobnych wielkich i bezdusznych biurach. Z czasem jednak ogarniało mnie coraz mocniejsze przekonanie, że to chyba kariera nie dla mnie. Ale bałam się odejść z firmy, bo przecież nic innego nie umiałam ponad to, co... umiałam. Marketing i zarządzanie studiowałam po angielsku, zaliczając jeszcze dodatkowy język. I zdrowy rozsądek szeptał, a nawet pokrzykiwał, że nie po to sześć lat nielekkich studiów zaliczyłam, żeby teraz zaczynać coś

od nowa. Ale męczyłam się w pracy. Czułam niespełnienie, czułam, że to dla mnie za ciasne... nie moje, coraz bardziej obce. Nie miałam jednak odwagi ani pomysłu na zmianę.

Do tego zbliżała się trzydziestka, czas przecież przełomowy, a ja tu nic z życiowej listy do zaliczenia jeszcze w sumie nie zaliczyłam. I to także uwierało. Moja sytuacja osobista – a musisz wiedzieć, że właściwie jestem seryjną monogamistką – znów sprzyjała życiowym przełomom i relokacji. Byłam kolejny raz już uwolniona z więzów, które nie satysfakcjonowały, mogłam się rzucić w wir realizowania własnych pomysłów.

Wszystko więc układało się po mojej myśli. Znalazłam powód, tatko dał na bilet, spakowałam się i na Okęciu znalazłam bramkę z napisem „Sydney”.

W Australii spędziłam początkowo trzy i pół miesiąca, co z perspektywy polskiej wydawało się straszliwie długim wyjazdem. Po przylocie jednak okazało się, że nie jestem jeszcze w Australii, ale raptem w Sydney, a trzy miesiące to jest jakiś bardzo śmiesznie krótki czas, żeby cokolwiek tu zobaczyć, tak, wiesz, porządnie, żeby zobaczyć wiele i żeby to zobaczenie dało choć kawałek prawdziwego obrazu... Sydney i czegoś, co może nazwę kolokwialnie, australijskością.

W Australii, a to naprawdę duży kontynent, bardzo zmienia się perspektywa czasu i przestrzeni. Serio! Jest to kraj tak absurdalnie wielki, że dojazd dokądkolwiek wymaga budżetu i agendy. Kiedyś sądziłam, że trasa Marki–Mokotów to mordęga jakaś, bo aż czterdzieści minut! „Co za strata czasu” – myślałam! Tu przez trzy lata jeździłam do pracy półtorej godziny metrem w obrębie miasta (!) i cieszyłam się, że mam łatwe połączenie. Dawniej w Polsce wyprawa samochodem z Warszawy do Łodzi to było dwie godzinki z hakiem – a to był już wyjazd za miasto wymagający lądowania w hotelu w razie koncertu czy imprezy, bo przecież od domu daleko. Nie mówiąc o Poznaniu czy Trójmieście. Tu jeździmy sobie na wypadki do „okolicznych” miasteczek na spacer, po trzy godziny w każdą stronę, i wracamy na noc do domu, bo przecież to wypad jak... z Warszawy do Konstancina, z Poznania do Kórnika czy z Trójmiasta do Pucka. Tak, trzy godziny autostradą, bo np. Entrance, Newcastle czy Hunter Valley to właśnie okoliczne miasteczka. Bliżej za bardzo nic nie ma.

Ale zwiedzanie innych większych miast wiąże się z zakupem biletów lotniczych i zaplanowaniem urlopu. Tak, lotniczych. Z Sydney do Melbourne jest 880 kilometrów, do Adelajdy – 1400 km, do Perth – 3900 km, do Brisbane – 930. Najbliżej leży Canberra. To około 250 km, ale co tam robić? To tylko stolica, tam jest administracja i... niewiele więcej. Przy takich odległościach nikomu się nie chce tłuc samochodem czy pociągiem, choć oczywiście jeżdżą autobusy i pociągi, bo do Melbourne to mniej więcej dziesięć godzin!

Początkowo sądziłam, że mieszkając w Sydney, wyskoczę sobie do Melbourne

i Brisbane tak, jak w Polsce wyskakiwałam do Krakowa czy Gdańska. Otóż nie da się. Znaczący, not so easy. Na mapie wygląda to wszystko jakoś bliżej. Kiedy więc stwierdziłam naocznie, że tak naprawdę to wyjechałam tylko do Sydney, a Australia wciąż leży odlego, niezwidzona, postanowiłam iść za ciosem i przedłużyć wizę. Do Polski nic mnie nie ciągnęło. Tak, oczywiście tęskniłam za pogaduszkami z ojcem, za maminymi pierogami i czułościami, za koleżankami i imprezkami, a nawet za moim bratem! (To żart, brata mam w porządku.) Ale nic poza tym! Więc przedłużyłam wizę znowu i znowu, i znowu... A! I żeby było jasne – musiałam spełnić taki warunek, że się uczę. Spryciarze udawali oczywiście i odwalali owe kursy na cokolwiek lewą nogą. Ja natomiast wszędzie, na każdym kursie byłam nazywana prymuską, z dużą dozą sympatii i podziwu. „Chce ci się naprawdę zakuwać...” Chciało mi się. Ja się lubię uczyć, nadto jestem uczciwa. Mama i tatko, a też babcie i dziadek, nauczyli mnie tego, wpoili mi to. Więc skoro byłam na kursach, np. rehabilitacji pourazowej, fitnessu i takich tam innych, to lojalnie się uczyłam i zdawałam śpiewająco!

No to idę dalej. Nie śpisz?

Któregoś dnia obudziłam się rano i stwierdziłam, że jestem w fajnym mieszkaniu, z pracą, która sprawia mi przyjemność, i z perspektywą uzyskania wizy pobytowej. Hura! Nic mnie nie ciągnęło do kraju. NIC! Wątpliwości oczywiście jakieś się pałętały. Najgorsze są rozluźniające się coraz bardziej więzi. Ja jestem rodzinna, lubię nasze stado, kocham rodziców i rodzinne obiady. Naprawdę. I lubię się przytulić do taty, mamy, brata i bratanic. No ale coś za coś. Tu się też znalazło coś do przytulania ☺

Na początku pisałam do rodziny i przyjaciół, dzwoniłam, opowiadałam, wrzucałam zdjęcia, odpowiadałam na pytania. Z czasem pisać mi się już trochę odechciało, tematy się pokończyły, gdy życie weszło już w jako taką rutynę. Nie robiłam już tylu zdjęć, a i ludzie powoli przestali pytać, chyba już nasyceni w swej ciekawości. Poczulałam, że wypadłam z kręgów towarzyskich, powolutku przesuwam się do zakładki „miałam kiedyś taką koleżankę, ale wyjechała do Australii”. To poczucie straty trochę bolało takie towarzyskie zwierzątko, jakim byłam. Na szczęście okazało się, że niektóre znajomości zostały i mają się dobrze. Że mama nie uważa, że to ja z racji wieku mam dzwonić, tylko sama pisze albo dzwoni. Odkryła teraz dzwonek na Messengerze i czasem korzysta. Kochana jest i nie robi tego za często. Nigdy mnie nie trzymała na emocjonalnej uwięzi.

Jestem Polką. Cały czas jestem! Zawsze przedstawiam się swoim polskim imieniem. Nie mówię, że jestem Australijką polskiego pochodzenia. Przez pierwsze dwa lata torturowałam moich współ-lokatorów Polaków naszymi tradycjami wielkanocnymi i bożo-narodzeniowymi. Do dziś staram się na każde święto ugotować coś polskiego. Szkoła mamy i babci. Miałam też spięcie ze znajomym o prawo „emigrantów” do głosowania w wyborach parlamentarnych czy prezydenckich w Polsce. Głosuję zawsze. Mam w sobie taki imperatyw, że powinnam budować lepszą Polskę i czasem mi przykro, że nie buduję. Ale tylko czasem.

O, przepraszam, muszę skończyć. Jutro dopiszę!

I tak trochę już o niej wiem. Fajna dziewczyna, pogadałabym...

Do niedawna było dla mnie nie do pojęcia, że można zostawić fajne życie i jechać gdzieś w nieznaną po ryzyko i niewygody, trudności i przeciwności. Chyba byłam leniuchem i tchórzem, małą wygodniczką i strachajłem.

Już miałam zagadać o to Antka, ale obudziła się Ola. Pewnie poczuła obiad. Szybko jej spakowałam termos z rosółem, wmusiłam miseczkę tegoż z pierogami z wczoraj i dopiero wypuściłam.

– Biedna ona – mówię na głos, a Tosiek mi tylko odmrukuje zatopiony w lekturze.

Muszę go jednak oderwać od prasówki, bo w każdej chwili może przyjść Cedryk.

Nakrywamy do stołu, indyk się dopiekł pięknie. Ostrzyknęłam go sosem złożonym z soku pomarańczowego, sproszkowanego czosnku, soli i papryki. Do tego pieczone ziemniaki i glazurowana masłem marchewka. Bardzo zwyczajnie.

Cedryk zapukał do drzwi dokładniusięńko o czternastej zero, zero. Wystrojony, uśmiechnięty i w czapeczce Mikołaja. Powiedział, że mu bardzo miło i tak, chętnie machnie szklaneczkę szkockiej. Opowiedzieliśmy mu o wczorajszym wieczorze, a potem o polskiej Wigilii, że ona to dwudziestego czwartego *de facto* jest, a on zrewanżował się opowieścią o tym, jak to było zawsze w jego rodzinnym domu i że to pierwsze święta, gdy nie pojechał.

– Dlaczego? – zapytałam, skoro w jego domu gwar, ścisk i powszechna radość jak w amerykańskim filmie klasy B.

– A bo... – zaczął i poleciał po szczerości – ja od lat byłem w związku. Ruben jest starszy ode mnie. Cała moja rodzina go uwielbiała i... nadal uwielbia. Ale już nie jesteśmy razem, bo on nie wyobrażał sobie domu i rodziny na odległość. A ja tu mam naprawdę fajną i dobrze płatną pracę. No i chciałem poznać Koreę. Świat tu mam na wyciągnięcie ręki. Mnie fascynuje Azja. No i zerwał ze mną rok temu.

– Masz wsparcie rodziny?

– Niby mam, ale zasadniczo moi rodzice pocieszają... Rubena, a mnie strofują. Znaczy, czuję się strofowany. Dlatego zostałem. I jeszcze...

– Tak? – wyrażam zainteresowanie, bo Antek czuje się ciut nieswojo.

– Znaczy... kilka miesięcy temu poznałem tu chłopaka i chyba się zakochałem.

– On o tym wie?

– No, jasne! Mamy regularny romans. Ale to Koreańczyk, więc jest przerażony.

– Bo...? – pytam zdziwiona.

– Bo to tutaj nieprzyjęte. W Korei na razie cichaczem się o tym przebąkuje. Widziałaś koreańskie kanały muzyczno-młodzieżowe? Tam aż się roi od gejów, a przecież to kompletnie szara strefa.

– Fakt – mówię. – Właściwie wśród gwiazd, boysbandów nie ma facetów, tylko jakieś mimozy, kolorowe motyle, typy androgyniczne. *Sorry*, Cedryk, bez obrazy...

– Ale nie! Nie przepraszaj! To jest fakt! Nie ma tak zwanych twardych facetów, no mało... Mimo to temat LGBT tu nie istnieje! O, ja przepraszam, że taki problem tu

zacząłem – sumituję się szczerze i zaraz dodaje: – Może pomogę?

Przy stole rozwijaliśmy kwestię ku, chyba, konsternacji Tośka, który właściwie milczał. Kroił mięso i tylko czasem wtrącał „yhhh”. Na szczęście przysłała Olga i naturalnie zeszło na Wieśka i sprawy stoczni. A Wiesiek zjadł rosół, co obie z Olą przyjęliśmy z ulgą, bo mamy w sobie ten pierwiastek mamusizmu, że jeśli chory je, to mu na zdrowie idzie. Lekarze są dobrej myśli, a Klaus, zwierzchnik Janusza, zgodził się na przelot Wieśków klasą biznes.

– Pewnie musiał się konsultować z Hamburgiem – rzucił Tosiek.

A ja stwierdziłam:

– I bardzo dobrze! Za te fochy Janusza i naprawdę ciężki charakter to przynajmniej powrót będą mieli przyjemniejszy.

Tosiek z Olą zanieśli naczynia do kuchni, a ja kontynuowałam rozmowę z Cedrykiem.

– To chłopak stąd? Z Ulsan?

– Tak. Poznałem go w kinie. Pracuje w małej agencji reklamowej. Fajny jest, ale potężnie przerażony, bo co to będzie, jeśli ktoś się dowie, że on przyjeżdża tu, na osiedle dla ekspatów? Że zaraz ktoś się domyśli, doniesie...

– No to jak się widujecie?

– Normalnie. Tyle że on się boi taksówek, więc jedzie do mnie autobusem. Zazwyczaj już tu, koło osiedla, zakłada kaptur, choć przecież na portierni go widzą.

– Zaczepiają?

– Raz. Teraz mówi, że nie. Ale i tak umiera z niepokoju. Nad ranem wywożę go za bramę samochodem, tak żeby portier nie widział. Czasem mu się chce nadkładać drogi i wchodzi od strony basenu, tą ścieżką bez portierni, która, wiesz, wychodzi na tamtą ulicę.

– A! Wiem. No i co dalej?

– Nie wiem! Ale życie pokaże! Junsu jest uroczy, młody i taki... – zaciął się.

– Tak? – próbuję go ośmielić.

Cedryk milczy, jest czerwony po uszy.

– Bo Ruben, był ode mnie starszy. Ja miałem jakieś tam swoje młodzieńcze akcje, ale to on mi pokazał, jak może być w związku. W takim prawdziwym, jak u mojej matki i ojca. Że dom, w sensie mieszkanie, że zakupy, porządki, sprzątanie, gotowanie, mycie okien i taka zwyczajna codzienność. Rozumiesz mnie?

– Jak najbardziej.

– Bo Ruben uważa, że bez tej codziennej troski, miłości nie ma związku. Że bycie żoną marynarza jest poza jego możliwościami. I wiesz... A ja mam dobre perspektywy tutaj!

– On nie może przyjechać?

– Nie. Co by tu robił? Ma dwa fakultety, z filozofii i socjologii. Jest wykładowcą, ma swoją renomę, wiesz...

– No, a młody?

– Junsu? To dzieciak. Studiuje stosunki zagraniczne i bawi się w tym studiu reklamowym. Ale ja chciałbym mu pokazać, że to nie musi być tylko romans, seks. Tyle

że tutaj to jest prawie niemożliwe, żeby to się nie rzuciło w oczy. Ech... Żal mi go.

Cedryk przyniósł nam pod choinkę dwie filizanki do espresso. Od nas dostał pierniczki i ogromnie się ucieszył, bo zapakowałam mu podwójną porcję. Nie zdążyłam wręczyć ciasteczek Lali i Rasulowi, to dostały się Cedrykowi i Junsu.

– Jeślibyś chciał jakoś znormalizować sprawę, wpadnij z młodym na kawę czy co...

Cedryk dziękuje i ulatnia się, bo ma spotkanie. Tosiek nie komentuje. Olga siada z kubkiem herbaty.

– Ja na chwilę, zaraz pójde do Wiesia – deklaruje.

Tym razem robię Wieškowi termos herbaty i pakuję ciasto. Zdecydowanym tonem nakazuję Oli powrót do nas. Po pierwsze ma blisko – piętnaście minut spacerem do szpitala – nadto u nich w domu sajgon po pakowaniu, pusto i smutno.

Zostajemy sami. Trochę rozmawiamy o Cedryku, ale widzę, że Antka cały ten temat krępuje.

– Marianno, ja się wychowałem w czasach, gdy o tym się nie mówiło. Jakoś, wybacz, muszę się oswoić.

– Masz coś przeciwko homoseksualizmowi?

– Nie... nie, chyba nie. Ale ty to tak traktujesz... normalnie, zwyczajnie.

– No bo jak inaczej?

– A zdziwiłabyś się. U nas w firmie to temat trudny. Grek na ten przykład ma wręcz faszystowskie poglądy, Chorwat udaje, że nie słyszy, Rosjanin prycha, Ukrainiec milczy, Niemców to w ogóle nie dziwi i uważają, że jesteśmy homofobami, Anglik też. Koreańczycy nie rozumieją wtedy po angielsku. Tutaj to temat wstydlivy i nadal społecznie nieakceptowany.

– Boszsz... jaka ciemnota – mówię. – Ty też przeciwny?

– Kiedyś tak, ale z czasem złagodniałem. Teraz, jak widzę, muszę zrewidować poglądy.

– Musisz. Ja mam znajomych gejów i chyba też lesbijki. To kapitalni ludzie, wrażliwi, mądrzy i odważni. Wartościowi. Co cię obchodzi, jak to robią?

– Mnie nie! – zaperza się.

– Ale z jakiegoś powodu nie miałeś w sobie do tej pory przyzwolenia na myślenie, że osoby homoseksualne to tacy sami ludzie jak my. Poczekaj, nie przerywaj mi. Czytałam właśnie zwierzenie pewnej pary o tym, że uwielbiają sadosmaso.

– ...?

– No, ona lubi być krępowana, podwieszana na haku w suficie, on jest dominujący i tak rozpoczynają swój dobry seks.

– Dewianci – rzuca Tosiek.

– Bo? Przecież nikomu nie robią krzywdy, a sobie sprawiają radość. Oboje to lubią i są hetero. A geje najnormalniej...

– Nie, no proszę cię. To dość...

– Dlaczego gejowski seks, a pamiętaj, że jest jeszcze lesbijski, tak ci przesłania to, że żyją w dobrych związkach? Obierają ziemniaki, pieką ciasto, czyszczą kibel, wieszają pranie, chodzą razem do kina i wspierają się w chorobie... Czemu ten cały wielki kawał

ich życia spychasz w niebyt, zajmując się wyłącznie ich sposobem uprawiania seksu?
A seks analny w związkach hetero cię nie brzydzi?

– Masz rację. Cały czas uważałem i nadal uważam, że sypialnia to prywatna sprawa dwojga ludzi.

– Otóż to. Ja ci powiem, czemu głównie faceci są zbrzydzeni gejostwem. Gejostwem, bo lesbijstwo akceptują. Bo wasz fetysz to kiszka stolcowa...

– Mańka!

– Co: Mańka? Zmierz się z tym! Wy, heterocy, uważacie ją za waszą *terra incognita*, tabu, rzecz niedotykalną! Dlatego nienawidzicie gejów, bo oni jej używają do frajdy, nie chodźcie do proktologa, bo badanie jest dla was poniżające, i sami tak bardzo się boicie własnego anusa, że wielu mężczyzn zazwyczaj ma brązową plamę na gaciach, bo samo podcieranie się was mierzi, a to wszak wasz własny tyłek!

– Ja nie mam brązowej! – Tosiek usiłuje się zaśmiać. Jest spięty. Trafiłam w czuły punkt.

– Tak, bo masz deskę hydrauliczną, która to robi za ciebie, i masz wielką potrzebę higieny. Ja to w tobie bardzo lubię, czyścioszku! Ale wierz mi, koleżanka robiła kiedyś wywiad o tym. Brązowa plama na gaciach wynika właśnie stąd i jest powszechna. Mężczyźni uważają, że anusa nie ma! Że to jest ich niedotykalne miejsce.

– Nnnoo... – mruczy Tosiek.

– A my, Tośku, też mamy takie swoje miejsce, ale niestety musimy je udostępniać bez frajdy choćby lekarzowi. A przecież nadal jest wielu takich, którzy uważają, że to miejsce, nawet bez zgody kobiety, im się należy, bo chcą. Wracając do sedna... To głównie faceci nakręcają spiralę nienawiści do gejów, bo myślą wyłącznie o TYM.

– O czym?

– O kiszce, odbycie, anusie, jak go tam zwał, i w ten sposób sprowadzają zwykłą miłość, przywiązanie, wsparcie i szacunek do fizjologii. I to dopiero jest okropne. Byłeś kiedyś w gejowskiej rodzinie?

– Nigdy.

– A ja byłam. Fajne przyjęcie było. U znajomych. Wszyscy czuliśmy się tam znakomicie. Obaj panowie to humaniści, obaj lubią gotować i były tam obie mamy tych panów.

– No widzisz. A ojcowie?

– Jeden nie żyje, a drugi chory w domu, ale zaakceptowali, bo mają mądre żony.

Make love not war!

Tosiek patrzy na mnie badawczo.

– No... nauczaj, Marianno, nauczaj – mruczy. – Dzięki tobie staję się lepszy.

Do zobaczenia w Polsce!

Odebraliśmy Wieska ze szpitala. Zdrow, uśmiechnięty i tylko taki... lekko spłoszony, bo miał chyba siebie za herosa. Na razie wracają do Turku, do Finlandii, gdzie Olga zachowała mieszkanie, a teraz przed nimi decyzja, gdzie żyć. Nie wiem, co wymyślą.

– Tosiek, a Wiesio ma jakąś godziwą emeryturę?

– Nie wiem. Zapewne odkładał gdzieś coś. Na polski ZUS bym nie liczył. A Ola, zdaje się, ma nadzieję na jakieś najniższe uposażenie, no i powiedziała mi, że da radę pracować. Mają oszczędności, bo tu Wiesiek zarabiał miłe pieniądze. Na Offshorze pięknie płacą! Wiem, bo kilka lat i ja tam pracowałem. Ale to na warunki Polskie jest dobry zarobek, a nie wiem, jak to by wyglądało w Finlandii. Trzeba myśleć o starości za młodu.

Milczę. Ja nie mam oszczędności. Będę miała tyle, ile mi ZUS łaska-wie wyliczy. Zdaje się głodową emeryturkę.

– Maryniu, i Wiesiek, i ja mamy podobnie. Po rozwodzie małżonki uprzejmie nas oskubały, uważając, że wina leży po naszej stronie, bośmy wyjechali za chlebem. U Wieska to tam jeszcze inaczej, bo jego pani była po prostu agresywna i dość trudna, jak to on ładnie nazwał. Moja mnie po prostu zdradziła. Obie namawiały na wyjazd i lepsze pieniądze. Wiesiek w Polsce nie ma nic. Ja w Polsce tylko ten domeczek po rodzicach, zdaje się do rozbiórki, i oszczędności na różnych kontach. Wprawdzie mam jeszcze pracę, ale nie wiem, jak długo. A pieniędzy nie zamierzam zapisywać Dominice, tylko przeżyć je z tobą.

– Ja... – zająknęłam się – Jeśli coś się tatce stanie, choć życzę mu długich lat życia, mam to jego siedlisko.

– To świetnie! Masz zabezpieczenie na stare lata, słonko. A na razie mamy z czego żyć, za co jeść i podróżować. Nie jestem nababem, ale poukładałem na kupki, co na starość, co na dzisiaj, co na życie w Polsce, bo trzeba będzie jakiś dom czy co... Żyjemy, pani Marianno!

Odwieźliśmy Wiesków na lotnisko w Ulsan. Mają godzinkę do Seulu, tam tylko hyc z Gimpo na Inczon i klasą biznes, na leżąco, z dobrym winem wio! Do Finlandii!

Pożegnanie było niemal ckliwe. Ola miała mokre oczy, ale i Wiesiek też. Obściskiwaliśmy się i podziękowaniom nie było końca oraz obiecankom, że kontakt utrzymujemy KONIECZNIE.

Chętnie.

Po powrocie obiad zjedliśmy z narożnej kurczakowni. Mam w domu resztki ze świąt, ale naszło mnie na pikantnego kurczaka po koreańsku. W domu Tosiek siadł do herbaty przy meczu, a ja do komputera, bo mam drugą część rozmowy z Hanką Australijką.

Marianno, to ja dalej:

Jak zmieniłam karierę w korpo na... noszenie kawy.

Zacznijmy od tego, że karierę nie każdy robi. Kariera to taka marchewka, którą inni nam lub czasem my sami sobie wieszamy przed nosem, żeby zmotywować się do pracy w wybranym zawodzie, żeby uzasadnić wybór danego miejsca pracy, mieć więcej pieniędzy, prestiż. Czasem ta kariera, owszem, jest spektakularna – „od pucybuta do milionera”. Sama widziałam takie. Ale często, częściej, jest po prostu codzienne wstawanie do pracy, podwyżki wyrównujące inflację, nieznaczne awanse i przeciętność. Jak koń w kieracie (kto dzisiaj wie, co to kierat?), od poniedziałku do piątku, trzy kawy, lunch w galerii handlowej i wakacje na Mazurach, a jeśli się przyoszczędzi, to w Egipcie. Jeśli ściśnie pasek, to samochód się ma! I dodatkowy wydatek na benzynę, ubezpieczenie, przeglądy i miejsce parkingowe. No i nerwicy się nabywa w korkach.

Ale przecież do tego nie trzeba pracować w korporacji!

Kilka lat mi zajęło to odkrycie.

Wiesz, ja zawsze podkreślam, że Australia to nie eldorado. To nie panaceum na zło tego świata. Nie każdy się tu odnajdzie. Ale ja siebie odnalazłam. I moja mama to wie. To jej osładza brak mnie. Taki fizyczny, bo mama chciałby mnie czasem... przytulić – gdy mi o tym napisała, to się poryczałam.

To, co nazywasz roznoszeniem kawy, sprawia mi ogromną przyjemność. Naprawdę. Odnajduję się w tym, jestem w tym dobra, lubię swoją pracę. Wieczorem wracam do domu bez czarnych chmur nad głową. W nocy nie budzi mnie mrożąca krew w żyłach myśl, że zapomniałam o jakimś deadline, który może kosztować firmę (nie mnie) fortunę. Późnym wieczorem nie dzwoni do mnie samotna szefowa, siedząca nadal z głową w laptopie, z genialnym pomysłem, że mam na rano zrobić jej zestawienie w Excelu... właśnie gdy ja rozpoczynam grę wstępą z uroczym kandydatem na narzeczonego albo zwyczajnie zasypiam przy serialu.

Owszem, wiem, że nie dojdę tą drogą do wielkich pieniędzy, bo to jest łatwa – tak, nie wstydę się tego – bardzo łatwa praca bez większych perspektyw rozwoju osobistego. Ale znów – nie każdy urodził się, żeby zdobywać szczyty! Świat potrzebuje dyrektorów finansowych, podróżników ekstremalnych, pielęgniarek, śmieciarzy i kelnerów. Dla każdego jest miejsce. Każdy ma swoje Himalaje albo równiny.

Wiesz, co dla mnie jest ważne? W czasach pracy biurowej latałam dość regularnie do kręgarza, bo ból w plecach uprzykrzał mi życie. Od kiedy pracuję fizycznie, zapomniałam o plecach! Nie potrzebuję już tabletek na sen. Żadnych pigułek. Nie wychodzę na papierosa, żeby tylko oderwać się od komputera i pobyć wśród ludzi. A pensję mam prawie identyczną, jaką miałam w Polsce w agencji przed wyjazdem. Uwierzysz?

Po pracy mogę sobie iść posłuchać szumu oceanu (mieszkam i pracuję niedaleko plaży) i popatrzeć na kiwające się palmy. Przy porannej kawie karmię chlebem wielgachne kakadu, które tu szwendają się po ulicach i ogródkach tak jak w Polsce mewy czy gołębie. Mogę iść bosą do sklepu czy bosą jechać autobusem i będę jedną z wielu. Mogę zagadnąć dowolną osobę w autobusie, drogerii albo poczekalni szpitalnej i w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków nawiąże się fajna rozmowa. Serio. Tacy są Australijczycy zwani tu Aussies. Czytaj: Ozis ☺ Są uśmiechnięci, przyjaźni, wyluzowani. To zaraża. To buduje tak zwaną jakość życia, która mi bardzo odpowiada. Czuję się zdrowsza, mam „luźny warkoczek”. (Znasz to? Przyszła pani z córką do lekarza i prosi o leki na tarczycę dla dziecka, bo mała ma wytrzeszcz. „Pewnie to choroba Basedowa” – sugeruje mama. Lekarz zbadał dziecko i mówi: „Żadna tam tarczyca. Pani jej warkoczek polu-zuje”).

A jak komentują to znajomi z Polski? Na początku myśleli, że to mój chwilowy kaprys, wakacje od kariery. Kiedy poinformowałam, że to już na stałe, musiałam się gęsto tłumaczyć, dlaczego „obniżyłam loty”. Bardzo ciężko to wytłumaczyć w oderwaniu od kontekstu. Jedna z przyjaciółek odwiedziła mnie kiedyś w Sydney. Przyjechała sceptyczna ze słowami: „Ja nie wiem, jak ty tak możesz”. Wyjechała uśmiechnięta, mówiąc: „Jak ja cię już rozumiem!”. Może to trzeba zobaczyć, przeżyć? Ale do dziś spotykam się z jawnym niedowierzaniem, z kręceniem głową i wzdychaniem. Niektórzy chyba myślą, że się poddałam, że poszłam na łatwiznę albo uciekłam od wyzwania cywilizacji. I niech sobie myślą, co chcą. Mnie jest dobrze! I rodzice to doceniają. Gdy kiedyś mamie napisałam: „Mamo, ja tu SIEBIE lubię”, zrozumiała wszystko w lot!

Zwykle kiedy ktoś mnie tu pyta, gdzie pracowałam wcześniej albo co studiowałam, moja odpowiedź spotyka się z dużym zaskoczeniem i uniesieniem brwi. Ja sama się śmieję, że jestem najlepiej wykształconą kelnerką w Sydney. Ale nikt nigdy jeszcze nie zasugerował mi, że się rozmieniłam na drobne albo że się marnuję. Najczęściej mówią: „I super, że ci z tym dobrze”, poklepują po ramieniu i po prostu się uśmiechają. Nikt mi nie uświadamia, że źle robię, że obniżyłam loty, że kariera. Oczywiście w Australii też są korposzczurki oraz białe kołnierzyki i tacy zwykle nie są zainteresowani życiorysem obsługującej ich kelnerki imigrantki. I to też jest OK. Nie jestem i nie muszę być częścią ich świata.

Widziałam w centrum taką scenkę w jakimś wietnamskim barze. Białe kołnierzyki, a raczej garsonki, jadły lunch. Jadły i gadały. Wietnamka (a może... nieważne, Azjatka) podała im jedzenie, doniosła coś jeszcze i wróciła za ladę. Panie zjadły, rzuciły okiem na zegarek i poskładały naczynia. Jedna z nich zaproponowała, że je odniesie. I odniosła. Kelnerka podziękowała, garsonka oparła się o ladę i przez chwilę panie gadały o czymś wesoło i miło. Garsonka pożegnała się najnormalniej, bez tego wyczuwalnego czasem w Polsce „jestem kimś lepszym”. Tu tego nie ma. Każdy jest tam... gdzie jest. Nikt tego nie ocenia.

Dzisiaj mieszkam w przepięknej części świata, a dodatkowo w przepięknym regionie tejże przepięknej części, bo właściwie nad samym oceanem, a przecież niecałe Sydney to wybrzeże. Kamienisto-piaszczysta plaża, bajeczne wschody i zachody słońca, a latem ciepła woda. Widuję często lekcje wuefu tu na plaży. Naukę surfowania. Fajne! Zarabiam wystarczająco dużo, żeby płacić czynsz za ładny domek, jeździć porządnym używanym samochodem i odłożyć sobie co jakiś czas pieniądze na bilet do Polski albo na wakacje gdzieś tam. Mam rewelacyjnego partnera, tak, kangura, z którym dzielimy te same wartości i cele. Budujemy sobie naszą codzienność na spokojnie, bez wielkich stresów i zmagañ, nadymania się i pogoni. Dokonujemy wyborów i razem radzimy sobie z konsekwencjami. Życie tu, z nim jest... dobre.

Jeśli czegoś żałuję, to trochę tego, że moje życie ułożyło się tak fajnie dopiero teraz, po trzydziestce, bo mam to przykre poczucie uciekającego czasu, że przecież mogłam zacząć wcześniej. Ale nie żałuję mojego poprzedniego życia – gdyby nie ono, nigdy bym tu nie przyjechała, nie byłabym tym, kim jestem. Nie miała skali, odniesienia. Żałuję, że jestem tak daleko od przyjaciół – nowych poznać o wiele trudniej i nie zawsze się chce. Ale nigdy, ani razu nie żałowałam, że postanowiłam tu zostać. Tu jest moje miejsce, moja normalność, moje szczęście i mój spokój. „...i mieć to, co najświętsze na świecie: święty spokój...”

Przeczytałam to Toškowi w przerwie meczu.

– Wiesz, wciągają mnie te opowieści. Może odwiedzimy Hankę w Sydney? – zaproponował.

– Żartujesz?

– Nie. Latem? OK, ustalone. A teraz wybac, słonko, druga połowa. Może Bayern się jakoś odgryzie?

Żeby poznać tę Australię, kliknęłam i znalazłam wideoblog pewnej Polki mieszkającej od lat w Perth. I choć autorka zmarła niedawno po ciężkiej chorobie, jej wideopamiętnik trwa w necie i daje mi potężną dawkę wiedzy o tym kontynencie.

Piknęło zawiadomienie o mailu. Hanka:

Marianno, ja Hemingwayem nie jestem, o szczegóły pytaj wprost. I jakby co, mam jeszcze Iwonę w Londynie, Agnieszkę w Szkocji, a i Martę w Tajlandii. Koleżanki z poprzedniej pracy też mają ciekawe koleżanki w świecie. Pozdrawiam H.

Świetnie!

Nowy rok

– Antek, a jak ty zazwyczaj obchodziłeś sylwestra?

– Nijak. To Korea, więc oni mają Nowy Rok jakoś w lutym. To jest ich księżycowy Nowy Rok. Ale coś jest w telewizji, bo to światowa komercja każe włączyć się w „sylwestrową falę”.

– A co to jest?

– To moja przerośnia taka. Coś jak meksykańska fala. Telewizje świata, zwłaszcza amerykańska, brytyjska, ale też rosyjskie stacje i niemieckie, pokazują wędrujący Nowy Rok, który podobno zaczyna się na Kiribati i posuwa dalej na zachód. Co chwila jest gdzie indziej, gdzie indziej wybuchają radość i sztuczne ognie, ludziska odbijają szampany. No to Korea też, ale to nie jest ich Nowy Rok.

– No a ty? U znajomych? W domu?

– Słoneczko moje, jeśli chcesz, to oczywiście coś wymyślimy! Jest chyba jakiś bal dla ekspatów w hotelu Hyundai. Zapytam, bo nigdy się tym nie interesowałem.

– Nie trzeba. Nie jestem balowa. Kupimy szampana, zrobię lekką kolację i zobaczymy sylwestrową falę w telewizji.

– No i super! – Antkowi wyraźnie ulżyło.

Trzydziestego pierwszego spadło troszkę śniegu i zrobiło się ładnie, biało. Razem pojechaliśmy po szampana i kupiliśmy wspaniałego, lekko podwędzanego japońskiego tuńczyka tataki na półsurowo. Do tego *ponzu*, czyli maczanka. Znalazła się też zielona kolendra. Szampana szukaliśmy w dziale win, ale dość istotnie był już przetrzebiony, więc znakomicie się nadał biały muscat.

Niestety ten dzień i zakupy, i nie wiem co jeszcze, sprawiły, że ziewałam już od kolacji, a o wpół do jedenastej powieki mi się dosłownie zamykały. Wzięliśmy wino do sypialni, sądząc, że flary i sztuczne ognie nas obudzą, ale nie. Spaliśmy snem kamiennym do rana. Pierwszy raz w życiu piłam w łóżku toast noworoczny o poran-ku. Musującym pysznym winem.

A dalej był dzień jak co dzień... No, jak kolejna niedziela, bo w Korei mimo wszystko pierwszy stycznia w stoczni jest dniem wolnym od pracy.

Przy śniadaniu postanowiliśmy iść w górki. Wprawdzie hiking wydawał mi się czymś kompletnie nie dla mnie, ale Tosiek mnie przekonał, no bo co robić w weekendy? Wiele świątyń już zobaczyłam, byliśmy na kilku koncertach w Daegu i w Seulu, zwyczajowo też spędzamy czas na kręglach i spacerach wzdłuż rzeki albo na targu rybnym. Wiem jednak, że Antka ciągnie w góry. On lubi się zmęczyć. Poszliśmy więc kupić mi porządne buty, bo moje adidaski kompletnie się w góry nie nadają.

W sobotę pojechaliśmy dość blisko, za Nammok, żeby wejść ścieżką turystyczną do małej świątyni, obok której na urwisku stoi posąg Buddy oczywiście i są pozostałości warowni. Lekka trasa i jak na początek naprawdę nie było źle, choć ja miałam lekką zadyszkę. Widok z góry kapitalny, na otwarte morze. Była piękna pogoda i faktycznie poczułam, że umiem, potrafię i daję radę. W niedzielę poszliśmy nad sztuczne jezioro

i w górki, po których tu biegają prawie wszyscy. Na szczycie złapałam oddech i urosłam z dumy, a pochwały Tośka sprawiły, że uznałam hiking za łatwiznę. Gorzej było ze schodzeniem, bo stromizna spora, a stopnie dość wysokie, więc odczułam je boleśnie w przeciążonych łydkach i udach.

– Auć! Boli! – jęknęłam na dole.

– A wydawać by się mogło, że schodzenie jest proste, co? Jutro zabiorę cię do Gyeongju, wejdziemy na Namsan. Łagodna górka, spodoba ci się.

Już się boję, ale przecież to nie będzie Mont Blanc!

Mój pierwszy prawdziwy hiking! Ależ byłam dumna!

Najpierw podjechaliśmy na parking pod trasę. Zobaczyłam dość łagodną górę porośniętą lasem i wytyczoną ścieżkę. „Luzik!” – pomyślałam. Zabraliśmy plecaki. Mój zawierał mandarynki i wodę, Tośkowy resztę, znaczy apteczkę, batony energetyczne i wodę. Droga pod górę najpierw łagodna, ale łapię zadyszkę.

– Staraj się nie wysilać – tłumaczy Tosiek. – Złap swój rytm i postaraj się zgrać ten rytm z oddechem.

– To zwolnij troszkę.

– Dobrze!

Las jest beżowobrazowy. Liściasty. Tylko gdzieniegdzie widzę świerki albo sosny. Poszycie suche, stoki przy ścieżce pokryte lekkim szronem, bo to chyba nie śnieg. Jest chłodno, ale jesteśmy dobrze ubrani. Moja parka się sprawdza. Oddycha, więc nie pocę się na oślizło jak w ortalionie. Buty trzymają się podłoża, mimo że zdarzą się śliski korzeń czy kamień. Stopnie są uformowane tak, żeby łatwiej było iść. Dla początkujących super, choć bywa stromo.

Złapałam rytm. Idę za Tośkiem i fajnie mi, że pokonuję jakiegoś własnego lenia, który wszak siedzi w środku i marudzi: „Po co ci to? Zadyszka masz. Ciężko ci pod górę. Na licho ci się tam pchać? Dla ładnego widoczku? Oszalałaś?”. Ale idę, bo to fajny spacer, bo w górę... coś człowieka ciągnie. Bo Antek zadowolony i razem to robimy!

Mijają nas Koreańczycy. Zawsze się sobie kłaniamy i mówimy „*anaseyo!*”. Dwójka starszych przystanęła z widoczną chęcią zaczepienia nas. Pogadaliśmy minutkę, dwie. Skąd jesteście, a tak Polska! Szopen, Walesa, Gdansk! Gdańsk? Tak, pan był w Gdańsku jako dziennikarz. Rozmawiał z Wałęsą. Miło było rozmawiać! Ukłony, pożeg-nanie.

– Antek, oni wszyscy są świetnie ubrani!

– Co to znaczy? – dziwi się.

– No... stiuningowani. Nawet staruszkowie, którzy tak dziarsko tu nas mijają, mają świetne kurtki z goretexu, buty, kijki, laski, plecaki, czapki, wszystko!

– Widziałas, ile jest sklepów sportowych z wyposażeniem. Oni, jeśli za cokolwiek się biorą, to ze wszystkim! Jak za rower, to od butów po czapkę, jak za rolki, to od nakolanników po kask, jak w góry, to sama widzisz.

Z góry schodziła grupa młodych z oseskiem na plecach młodego taty. No zachwycające! A my jeszcze trochę. Jeeeszcz, jeszcze! Pod szczytem jest trudniej.

Stromo i muszę się pomęczyć. Jest niewielka polana.

– Tu odpoczniemy, nie ma co się katować, panno Maniu!

W dali pod lasem widzę dwie ziemne półkule. Niewielkie, ale regularne.

– Co to?

– Kurchany. Kogoś tu pochowano. Podobno jeszcze do niedawna zmarłych można było chować gdzie bądź. Ale na sto procent tak właśnie jak tu chowano mnichów ze świątyni. Skoro już raz to zobaczyłaś, to wyłapiesz więcej. Czasem są jakieś napisy, częściej nie ma.

– Piękne to i tajemnicze. Chcesz mandarynkę?

Łupiny bierzemy do kieszeni. Antka złości to, że Koreańczycy wyrzucają je ot tak, na drogę, po której idą.

– To nie jest złe. To są naturalne odpadki. Zaraz jakieś żyjątka to zjedzą, jakaś mysz zrobi sobie ciasto mandarynkowe – tłumaczę.

– Jestem inaczej wychowany. Na szczycie będzie kosz. Tam wyrzucę. A myszy śpią.

Pod szczytem, zanim go zdobędziemy, widzę drewnianą sławojkę. Za nią... ślady opon. Czy to znaczy, że przyjeżdża tu opróżniacz?

– No, pewnie tak – mówi Tosiek. – To mądrzejsze od udawania, że człowiek nie musi. Siusiu to jeszcze jak cię mogę, za drzewkiem, ale jak się komu zachce kupę? Toż to najnormalniejsze, zwłaszcza że oni zazwyczaj na szczytach jedzą porządny posiłek! O, zobacz i baniak z wodą i kranikiem do obmycia rąk! Elegancja!

Nie przestają mnie zadziwiać... Sławojka porządna, czysta, ze szklanym świetlikiem w dachu, bo nie ma tu żarówki, woda do mycia rąk, mimo to obierki od mandarynek rzucone za siebie...

– Co kraj, to obyczaj! Chodź. Zdobądźmy szczyt!

I zdobyliśmy!

Zamiast epilogu

Podobnie spędzałam zwyczajne dni tygodnia i weekendy. I zupełnie mi nie przeszkadzało, że Antek w pracy do siedemnastej z przerwą o dwunastej na obiad. Nie przeszkadzało mi i nie przeszkadza robienie zakupów, jazda do śródmieścia i wędrowka piesza na odległy bazar za naszym dużym marketem na Bangeojinie. Nic mi nie przeszkadza. Jest świetnie! Moje buty trekkingowe mają już ślady zużycia. Zdobyłam z Tośkiem jeszcze kilka szczytów i szczytków, bo koreańskie góry to... góry. Co prawda on odgraża się, że przed nami jeszcze trochę ciekawostek i prawdziwej wspinaczki, a ja na to robię się zielonkawa i nieco przerażona, ale wierzę mu, gdy mówi: „Dasz radę! Schudłaś. Nie masz zadyszki. Patrz, Marianno, co się z tobą porobiło! To są ledwie wzgórki! Dasz radę!”.

Choprowie nie dali się wyciągnąć na hiking. Są teraz zajęci. Lali mi zdradziła, że są na prostej drodze do... adopcji. Adoptują ko-reańskie dziecko. Cedryk był z nami dwa razy, ale chyba woli spotkania z Junsu, a ten nie lubi gór i towarzystwa. John z parteru w ogóle się nie dał wyciągnąć. Ale wystarcza mi towarzystwo Antka, a jemu moje.

Przed nami jeszcze sporo wierzchołków – Gajisan, Jirisan, Simbulsan i Chirisan. Prawie zawsze towarzyszy im jakaś świątynia w połowie trasy albo pod szczytem. Nie odważyliśmy się jeszcze na odwiedzenie przyświątynnej restauracji, prowadzonej przez mniszki albo mnichów, ale już znalazłam adres jednej i mamy to w planie wiosną, gdy zakwitną na wzgórzach azalie, dzikie wiśnie i czereśnie.

Pod koniec lutego zakwitły kamelie. Tak zwyczajnie. Bach i wszędzie na tych zimozielonych krzewach wybuchły czerwone albo różowe i białe kwiaty, przypominające nieco piwonie. Tosiek robi mi zdjęcia w tym anturazie – jak się wyraża nader elegancko. Ustawia mnie koło azalii albo kamelii i cyka!

Czy zawsze jest tak uroczo i słodko? O, nie. Kilka razy ścięliśmy się o zbyt mocne i zdecydowane osady czy opinie Tośka albo moje. Ale to są drobiazgi. To tylko ścięcia. Poza nimi mamy całe nasze wspólne życie.

Tosiek oczywiście nie wierzy, że gadam z duchami, że wpadają do mnie na pogawędki Lila z Włodkiem. Uważa to za moje małe dziwactwo. I dobrze. Niepokoi mnie jednak, że wujek Gieniu się z tego wymiksował. Może nie umie? Ale jeszcze go wywołam! Poproszę Lilkę o pomoc.

Anula pisze, że tatko źle znosi zimę. Miał zapalenie oskrzeli. Przez telefon ledwo daję radę z nim porozmawiać, z trudem łapie wątek. Muszę mówić do niego powoli i podawać proste informacje. Bardzo mnie to martwi. Tatko mi się kończy...

Mam rozesłanych dziesięć ankiet do nowych dziewczyn, żyjących ciekawie poza Polską. Chętnie odpisują. Nie każda ma talent gawędziarski, więc uprzedzam je, że lekko podrasowuję. Każdy z tych życiorysów jest na swój sposób ciekawy, pokazuje, że żyć z wielką frajdą, satysfakcją i radością da się wszędzie. Że świat jest pojemny i warto skorzystać z faktu, że ma się fantazję, pomysł i odwagę. Podobno jakaś Polka mieszka na Wyspach Owczych, inna na Alasce. Mam dostać namiary.

Od lat nam wmawiano, że ojczyzna święta, korzenie, dziad z dziada, kości przodków i tak dalej. Piękne to i wzniosłe, ale czy koniecznie trzeba żyć tam, gdzie się

człowiek urodził? Rozmawiałam z Antkiem o tym i teraz oboje zastanawiamy się, gdzie zamieszkać po tym, jak się mu skończy praca w Korei. Wiesiek pewnie zostanie z Olą w Turku. Mówili coś o fińskiej wsi, agroturystyce. Mają plany. Wiesiek jest świetnym stolarzem, wiem to od Oli, więc poradzą sobie. A my? Na razie muszę wrócić do Polski. W kwietniu polecę. Pozałatwiam sprawy, dopracuję wywiady, złożę tekst w wydawnictwie i może znów na coś ciekawego tematycznie zapołuję. Szefowa sugerowała mi napisanie książki o Korei Południowej. To jest jakaś myśl!

W maju wrócę do Antka, do Ulsan. Wówczas złożę papiery o wizę partnerską. Zapowiadają, że to będzie możliwe. To się ma nazywać ponoć *frequent visitor visa*.

Nie bardzo mi się chce lecieć do Polski, ale mam obowiązki na miejscu, no i... tatko. Tatko jest teraz najważniejszy!

Znów uściski i buziaki z Antkiem na lotnisku.

– Mańka, wracaj prędko! Ja już tęsknię – mruczy mi Tosiek w ucho.

– Wiem, ja też. No, pa. Wracaj ostrożnie.

– Oj tam!

– Antek! Wiesz do domu cenny dla mnie towar! I daj znać, że dojechałeś bez problemu!

– Ja jestem cennym towarem? Towarem?!

– Tak, jesteś cennym i niezłym towarem. I masz fajny tyłeczek! – Staram się żartować, bo nie lubimy cikliwych pożegnań.

Już umiem lecieć w tak daleką podróż, już mnie nie przerażają ta liczba kilometrów, wysokość i czas spędzony w drodze. Zaprawiona już jestem!

Zostawiam Antka za barierką. Jeszcze kontrola bezpieczeństwa i już spaceruję po wielkim lotnisku w Seulu, czekając na mój czas odlotu.

Kolejna podróż!



fot. Małgorzata Ziębińska/mustbetheplace.pl

MAŁGORZATA KALICIŃSKA

Urodzona w poprzednim stuleciu. Autorka bestsellerowych powieści dla kobiet. Ukończyła SGGW-AR w Warszawie. Pracowała w agencji reklamowej, w TVP i zbudowała na Mazurach ośrodek konferencyjno-szkoleniowy, a potem zbankrutowała. Jej pasją jest zwyczajne życie, z rodziną i w zgodzie z naturą. Matka, żona i babcia

**MAŁGORZATA KALICIŃSKA
PRZEKONUJE, ŻE NAJLEPSZE
DOPIERO PRZED NAMI!**

*Wszelkie granice mamy tylko w głowie, a na miłość nigdy
nie jest za późno. Gorąco polecam.*

Janusz Leon Wiśniewski

Marianna, lat kilkadziesiąt z lekkim plusem, nie jest specjalnie przebojowa i żadna z niej superbohaterka. Jest za to kobietą, z którą chce się przebywać i towarzyszyć jej w życiowych perypetiach. Bliską. Niemal znajomą.

Po ocknięciu się z żałoby po siostrze Lilce walczy z zalany miesz-
kaniem i remontem, jednocześnie poszukuje pracy i próbuje zrozumieć
fakt, że w życiu jej ojca pojawiła się nowa kobieta. Jak małe dziecko,
Marianna jest o tatę zazdrosna.

Sfrustrowana i samotna odnajduje radość w mailowaniu z Antonim
– dawnym znajomym, teraz pracującym w Korei Południowej. By uciec
od codziennego zgiełku, Mańka przyjmuje zaproszenie na krótki wypad
do Korei. Rezultat tego „desperackiego susa” zaskakuje ją samą. Okazuje się, że najlepsze w jej życiu być może wcale nie minęło, a dopiero się zaczyna.

*Czy to wypada, żeby kobieta w pewnym wieku...? Wypada, bo kto nam
zabroni?! Dlatego fajna jest ta Marianna: pracuje, podejmuje ryzyko,
podróżuje, kocha, zmienia swoje życie i zaczyna od nowa.*

Dorota Wellman

*To ciepła, dodająca otuchy książka ze świetną męską postacią.
Czytelniczki będą prosić o adres tego pana.*

Katarzyna Miller

Patroni
medialni

Tele Tydzień

Gala Claudia

Życie

IMBROGLIO

storytel.pl

Partner:



Zamówienia

www.burdaksiążki.pl

tel. +48 22 360 37 77

[facebook.com/burdaksiążki](https://www.facebook.com/burdaksiążki)

KSIĄŻKA DOSTĘPNA
TEŻ JAKO E-BOOK



Znaskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki!

